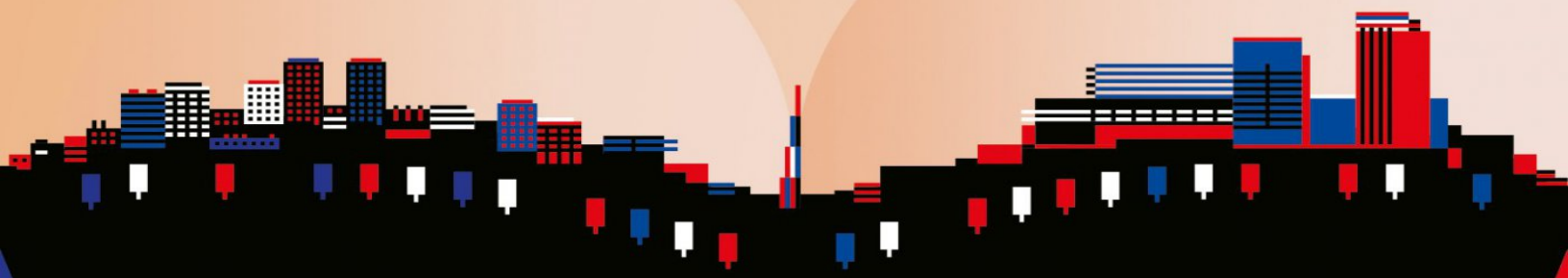

Zygmunt Miłoszewski

Jak zawsze

Zygmunt Miłoszewski

JAK ZAWSZE

Copyright © Zygmunt Miłoszewski, MMXVII
Wydanie I
Warszawa

Spis treści

Dedykacja

Motto

Styczeń. Pięćdziesiąt lat później

Styczeń

Ciągle styczeń

Marzec

Kwiecień

Maj

Czerwiec

Sierpień

Wrzesień

Zaduszki

Jak zawsze

Od autora

Przypisy

Dla rodziców

Tous les garçons et les filles de mon âge font ensemble des projets d’avenir.

Wszyscy chłopcy i dziewczęta w moim wieku wspólnie robią plany na przyszłość.

Françoise Hardy

Styczeń
Pięćdziesiąt lat później

1

Czuł się młodo, jak zawsze. Odkąd pamiętał, to był jego ulubiony moment dnia. Otwierał oczy i czuł przelatującą przez całe ciało iskrę energii, jakby codziennie rodził się na nowo. Jestem ja, jest świat, jest przygoda, jest akcja, jest moc. Czasami ta chwila trwała cały dzień, czasami tylko mgnienie. A zaraz potem, cóż, różnie bywało. Miał szczęście, w większości przypadków zaraz potem następował zwyczajny, nudny dzień. Ale zdarzał się lęk, ból lub mdlący kac, zdarzała się rozpacz.

Dziś poczuł moc, jak zawsze. A zaraz potem ostrożność, jak ostatnio. Bardzo długo uważał swoje ciało za sprawny zestaw narzędzi, może nie takich dla profesjonalistów, ale przyzwoity amatorski zestaw do majsterkowania, co to prawie każdej sprawie da radę. Przez lata dłuto się wyszczerbiło, śrubokręt trzeba było wymienić, udar wiertarki stał się umowny, jakieś klucze oczkowe poginęły, ale cały czas, nawet jeśli z trudem, zestaw dawał radę, nie trzeba było szukać specjalisty. Starczał do bieżącej konserwacji. Cóż, stare dzieje. Obecnie nie czuł się już właścicielem kompletu narzędzi, tylko kustoszem ubogiej ekspozycji ze skansenu na prowincji. Strzała z brązu, kamienny toporek, pół przerdzewiałego pługa i lampka karbidowa. Nie dotykajcie, dzieci, bo się rozpadnie.

Przewrócił się z boku na plecy – korzystając z tego, że Grażyna gdzieś wyszła i ma całe łóżko dla siebie – i zaczął poruszać ostrożnie rękami i nogami, żeby pobudzić krążenie i sprawdzić, czy przez noc coś się nie posypało. Kwaśny dyskomfort w przełyku, nic, czego nie załatwi tabletka albo dwie. Hemoroidy już szczypią, a będzie jeszcze gorzej, na szczęście ten nowy żel rzeczywiście pomaga. Bolesne ciągnięcie w kolanach może uda się trochę rozchodzić, ale i tak zaraz po wstaniu weźmie coś przeciwbólowego na wszelki wypadek.

Nieprzyjemnie zdrętwiała mu lewa stopa, ale lekarz zapowiedział, że ją do grobu zabierze, bo nie będzie pacjentowi w tym wieku kroił kręgosłupa dla drobnostki.

Można wstawać.

Krzywiąc się z bólu, spuścił nogi z łóżka. Znowu ktoś nasypał mu nocą pokruszonego szkła do stawów kolanowych. Pomógł sobie rękami, wyprostował się i usiadł, lekko dysząc. Zaczekał, aż uspokoi się serce i minie lekki zawrót głowy, i dopiero wtedy otworzył oczy.

Zimowe słońce wisiało nisko. Jego promienie wpadały nieomalże poziomo do mieszkania, prosto na półkę z książkami, zajmującą całą ścianę sypialni. Odbijało się od błyszczących obwolut, od złotych i srebrnych liter wytłoczonych na grzbietach niektórych pozycji. Bez okularów wyglądało to jak dużych rozmiarów abstrakcyjny obraz, spalający się gwałtownym płomieniem. Na tyle atrakcyjne widowisko, że kręcił głową i mrużył oczy, żeby przypatrzyć się temu z kilku stron, a dopiero potem wymacał i założył okulary.

Ładny dzień, pomyślał. Wstał i ruszył do łazienki, po drodze włączając radio i dowiadując się dzięki temu, że właśnie dziś mija okrągła sto pięćdziesiąta rocznica powstania styczniowego i pięćdziesiąta podpisania traktatu elizejskiego o przyjaźni niemiecko-francuskiej.

Jak zawsze z każdą minutą czuł się lepiej. Nauczył się już, że najważniejsze to wolno zaczynać, potem jakoś się rozkręcał i mimo gderania w gruncie rzeczy zgadzał się ze swoim lekarzem, który przekonywał go, że jest w kwitnącej formie. Coś tam mu wycięli, ale nie toczył go żaden rak, mimo dziur w pamięci daleko mu było do alzheimera, a wszystkie historie artretyczne i reumatyczne załatwiał zwykłymi pigułkami przeciwbólowymi. Naprawdę, nie było źle.

Tak myślał, dokonując porannej toalety, która ostatnio przypominała odhaczanie kolejnych czynności na liście startowej promu kosmicznego.

Sikanie – tylko minuta. No naprawdę pękał z dumy, że w tym wieku prostata dokucza mu tylko trochę, był pewien, że to zasługa regularnego seksu i jeszcze regularniejszej masturbacji.

Prysznic – wzięty.

Zęby swoje – umyte.

Zęby swoje sztuczne – wyjęte z pudełeczka, umyte, założone.

Jama ustna – przepłukana.

Aparat słuchowy – założony. Nie do końca go potrzebował, ale nie chciał być denerwującym staruszkiem, który ciągle prosi, żeby mu coś powtórzyć.

Oczy – zakroplone.

Krem pod oczy – wtarty.

Włosy – uczesane, lekko psiknięte lakierem.

Broda i wąsy – przystrzyżone.

Okulary – przetarte.

Stabilizatory kolan – z trudem i stękaniem założone.

W radiu zapowiedzieli przebój dnia i puścili francuską przeróbkę *My Way* Franka Sinatry. Kiedyś uwielbiał tę piosenkę. Teraz za każdym razem gdy ją słyszał, myślał o tym, że to podobno najczęściej grany na amerykańskich pogrzebach utwór i być może on sam powinien już wybrać jakiś kawałek na swoją przejażdżkę w trumnie. Z tego powodu przestał lubić Sinatrę. Na szczęście po francusku amerykański marsz pogrzebowy brzmiał mniej ostatecznie, raczej melancholijnie, więc nucąc znajomą melodię, poprawił jeszcze rzadkie włosy i psiknął lakierem, żeby się trzymały. Po czym zrobił dziarską minę i mrugnął zawadiacko do lustra.

Psiakrew, pomyślał, ale jestem stary.

Nie chciał umierać. Naprawdę bardzo, ale to bardzo nie chciał umierać. Nie był na śmierć gotowy, nie oczekiwał z utęsknieniem kresu życiowej tułaczki, nie czuł zaciekawienia tunelem prowadzącym w stronę światła, a już na pewno nie marzył o żadnym wiecznym odpoczywaniu. Zastanawiał się kiedyś, czy na starość coś mu nie przeskoczy w głowie i nie stanie się nagle człowiekiem głęboko wierzącym, z bojaźnią i nadzieją oczekującym spotkania ze świętym Piotrem. Nic z tych rzeczy. Im był starszy i bogatszy w doświadczenia, tym bardziej wszelkie religie i ich wyznawcy irytowali go, a próby wciągnięcia w eschatologiczno-transcendentalne dyskusje szybko ucinał.

Naprawdę bardzo, ale to bardzo nie chciał umierać.

Ale dziś, w dniu, kiedy być może będzie musiał wybierać między niewydolnością serca a rozczarowaniem – wybierał to pierwsze.

Wyszedł z łazienki, szybko zrobił sobie lekkie śniadanie z jogurtu naturalnego wymieszanego z pestkami dyni i słonecznika i zagotował w tygielku kilka łyżek kujawianki. Dwadzieścia lat temu przerzucił się ostatecznie na kawę zbożową i dziś uważał się za jej smakosza. Po wielu eksperymentach z najróżniejszymi egzotycznymi mieszankami to kujawianka cały czas smakowała mu najbardziej. Było to źródłem wielu kpin ze strony pozostałych przy życiu znajomych, którzy kompletnie nie rozumieli, jak można dobrowolnie zrezygnować z prawdziwej kawy, nie mając na koncie trzech zawałów.

A jemu po prostu kawa zbożowa zawsze bardzo smakowała.

Zaniósł do biurka miseczkę z jogurtem, kubek kawy i pudełeczko z lekami. Zjadł, po czym łyknął cały zestaw pigułek i wziął głęboki oddech. No dobra, pomyślał, trzeba zrobić ostatni test.

Wysunął szufladę biurka i wyjął z głębi listek z kupionymi specjalnie na dzisiejszą okazję tabletkami. Szybko, żeby nie mieć czasu na zmianę zdania, wyłuskał jedną, włożył do ust i połknął, popijając haustem kujawianki.

Miał godzinę.

2

Nie mam pojęcia, co mi strzeliło do głowy, żeby iść do tego sklepu. Trzeba było zamówić coś przez internet, i to w kilku rozmiarach, potem bym odesłała. Ale nie mogłam się zdecydować, nie byłam pewna, czy dobrze przeliczam te tabele wymiarów, i zrobiło się za późno na wysyłkę. Ciągle mogłam pojechać gdzieś, gdzie jest w miarę normalnie, ale przyszłam tutaj, do najbardziej brokatowego sklepu w najbardziej błyszczącym centrum handlowym miasta. Przynajmniej prosto od fryzjera. Marna pociecha, ale zawsze coś.

– Taaak?

Jasne, żadne „czym mogę służyć?” albo „w czym mogę pani pomóc?”. Bardziej „taaak, zgubiła się pani? Taaak, pokazać drogę do apteki? A może do toalety? Taaak?”.

Miałam ochotę uciec i kosztowało mnie to sporo wysiłku, żeby podreptać w stronę kontuaru.

– Szukam czegoś sexy – powiedziałam.

Panienka, na moje oko w wieku gdzieś między porodówką a gimnazjum, aż wyszła zza lady i załamała ręce. Brakowało tylko, żeby zawołała „olaboga!” i się przeżegnała.

Przez chwilę szukała słów.

– Na prezent?

– Na prezent dla mnie.

– Rozumiem.

I zamilkła, jakby po zrozumieniu czegokolwiek musiała chwilę odpocząć, taki wysiłek, że olaboga. Na dużym ekranie za ekspedientką wiła się jakaś goła panna, robiąc przy tym dziwne miny, które miały wyrażać narastającą ekstazę.

– Jak bardzo sexy?

– Tak bardzo sexy, żeby stanął osiemdziesięciotrzylatkowi. Ekstremalnie sexy.

– Rozumiem.

I znowu się zawiesiła. Żal mi się zrobiło dziewczyny.

– Proszę pani – powiedziałam tonem miłej babci z prowincji. – To nie jest żart. Wolałabym pójść prosto do przymierzalni, ale zamiast tego wyjaśnię. Ja mam siedemdziesiąt osiem lat, a mój mąż osiemdziesiąt trzy. Dziś mija dokładnie pięćdziesiąt lat od dnia, kiedy pierwszy raz uprawialiśmy seks. Uprawia pani seks?

– Słucham?

Chyba nie potrafiłam powiedzieć tego prościej, więc dałam jej chwilę.

– Prawdę mówiąc, to jeszcze nie – wydusiła w końcu.

– Cieszę się, że ma pani ten cudowny moment przed sobą. Ale teraz proszę odwołać się do swojej teoretycznej wiedzy na ten temat i spróbować mnie zrozumieć. Mam dziś z mężem bardzo ważną rocznicę i wiem, że on zrobi wszystko, żeby stanąć na wysokości zadania. Na pewno się szprycuje jakąś chemią i mam nadzieję, że to wszystko przeżyje, ale bardzo chciałabym mu pomóc. Dać jakiś bodziec. Mężczyźni są prości w obsłudze, zobaczy pani, ich serce może zasilić w krew tylko jeden ważny organ naraz. Kawałek

czerwonej koronki i dostaną erekcji nawet w przeręblu, można wtedy dawać do podpisu akty notarialne. Dom, samochód, na co tam pani będzie miała ochotę.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Mówiąc wprost – kontynuowałam – musi mi pani znaleźć coś, w czym będę wyglądała jak mokry sen każdego fetyszysty fantazjującego o starych, pomarszczonych babach.

Zwięźlej i prościej tego ująć nie potrafiłam. Pozostało czekać.

– Może ja pani pokażę, co panowie najczęściej wybierają. Myślę, że to ich kręci najbardziej, co nie?

Przyszło mi do głowy kilka żartów na ten temat, ale uznałam, że lepiej nie ryzykować zniszczenia chwilowego porozumienia ponad Bóg wie ilu pokoleniami. Dziewczyna zakrzątnęła się i rozłożyła na blacie kilka wdzianek, za których posiadanie na Podkarpaciu pewnie idzie się do więzienia.

Dała mi chwilę na podziwianie.

– Co pani sądzi?

– Zastanawiam się.

Powiedziałam prawdę. Zastanawiałam się, jak przechytrzyć seksowną bieliznę. Normalnie jej zadaniem jest udawanie, że coś zakrywa, podczas gdy w istocie wszystko eksponuje. Ja potrzebowałam wdzianka, które sugerując, że coś odkrywa, tak naprawdę zakrywałoby te fragmenty, po których najbardziej widać, że jestem stara. Szpilki ukryją pokrzywione paluchy. Czarne pończochy rozwiążą sprawę cellulitowych ud. Ale co wyżej?

– Na pani miejscu połączyłabym te dwa zestawy. – Dziewczyna wyrwała mnie z zamyślenia i ułożyła obok siebie czerwone koronkowe szorty i czarną koszulkę.

Zachęciłam ją spojrzeniem, żeby wytłumaczyła.

– Czerwone szorty, bo tak jak pani mówiła, są czerwone. Poza tym szorty są dość kryjące, a pani pewnie już dziś nie zdąży na siłownię, żeby zadbać o jędrność pośladków.

Mrugnęłam do niej, to się udało dziewczynie.

– No i proszę zobaczyć, nie trzeba zdejmować – powiedziała, układając szorty na ladzie tak, by zaprezentować rozcięcie w kroczu.

Pokiwałam głową z uznaniem. Dziewczyna ma łeb na karku. Dzięki temu Ludwik w momencie uniesienia nie będzie musiał zdzierać ze mnie majtek, a w jego głowie nie pojawi się myśl: „Hej, a co to za stary blady tyłek?”.

– A koszulka to myślę, że jest super, bo pod biustem jest dość kryjąca i luźna, tak? Potem ma tasiemkę, można ścisnąć, więc dobrze podtrzymuje piersi. A na piersiach jest tak przezroczysta, że prawie jej nie ma, a z tego, co widzę, to biust ma pani jeszcze w porządku. To znaczy nie chciałam…

Machnęłam ręką, żeby dała sobie spokój z przepraszaniem. W końcu powiedziała całkiem miły komplement. Propozycja wydawała się idealna i głupio mi się zrobiło, że wcześniej wzięłam dziewczynę za kretynkę. Dobrałam jeszcze pończochy i zapłaciłam absolutnie astronomiczną sumę; jakby to przeliczyć na gramy, to pewnie ten towar kosztowałby więcej niż kokaina.

– Dziękuję i zapraszamy ponownie – wyrecytowała dziewczyna, podając mi pakunki, i dodała: – Super pani jest. Chciałabym, żeby moja babcia była taka. To znaczy gdyby żyła, tak?

Cóż było robić. Uśmiechnęłam się miło na pożegnanie.

3

Jeszcze pięć minut.

Zabijał czas ulubionym zimowym nałogiem, czyli sprawdzaniem warunków w kurortach narciarskich. Ile jest śniegu, ile będzie, jaka pogoda i temperatura, jak to wszystko wygląda w kamerach internetowych. Uwielbiał ten rytuał. Zaczynał od Kasprowego i Jaworzyny, potem wędrował po całej Europie. Przede wszystkim po miejscach, w których kiedyś jeździł, ale też po takich, do których zawsze chciał się wybrać, ale jakoś się nie złożyło. Co roku obiecywał sobie, że znajdzie wreszcie czas i pieniądze na Zermatt i Engelberg. Tylko raz w życiu był na nartach w Szwajcarii i bardzo chciał tam wrócić, a tu proszę, niespodziewanie nadeszła jego osiemdziesiąta czwarta zima i mało prawdopodobne, żeby jeszcze zrobił sobie zdjęcie z Matterhornem w tle. Przynajmniej na nartach,

bo w ogóle pojechać może jeszcze się uda. Czemu nie? Jest stary, ale przecież nie martwy.

Otworzył kalendarz na kwietniu i zapisał na pierwszej niedzieli „Wycieczka Zermatt czerwiec?". Po chwili zamazał znak zapytania i ponownie spojrzał na ekran komputera.

W Polsce nędza, ale we Francji dosypało śniegiem, i to nieźle. Bardzo dobrze, mieli zaplanowany wyjazd na marzec, jak tylko skończą się ferie we francuskich szkołach. Śmieszne, że z wiekiem, planując eskapady narciarskie dla siebie, coraz bardziej kierował się tym samym, co w zamierzchłych czasach, kiedy stawiał na nartach syna, a potem obie wnuczki. Parking jak najbliżej wyciągu, żeby się nie umęczyć, możliwy powrót gondolą albo krzesłem, biorąc pod uwagę, że w wielu stacjach zjazd na nartach do punktu zero oznaczał walkę z muldami, lodem i kępami trawy. A na górze długie łagodne stoki, bez orczyków, z których można spaść. I dużo miejsca do odpoczynku, jedzenia i wygrzewania się na leżakach. Odkąd musiał się porządnie szprycować środkami przeciwbólowymi, żeby kolana pozwoliły mu zjechać, wygrzewanie stało się jego główną górską aktywnością – ale i tak nazywał te wyjazdy narciarskimi.

Kilka lat temu znaleźli wreszcie stację narciarską idealnie spełniającą wszystkie te kryteria – maleńkie francuskie Champagny. Z tej kameralnej i spokojnej wioski, połączonej wyciągami z jednym z francuskich kurortów potworów, można było wjechać krzesłami na grań z widokiem na Mont Blanc z jednej strony i skolonizowanym przez Rosjan Courchevel z drugiej – tam też zawsze chciał pojeździć, ale za każdym razem ostatecznie uznawali, że snobistyczne miejsce jest dla nich zbyt drogie.

Świetna stacja, mimo to żałował, że jest już za stary na Kasprowy. Szklana Góra z każdym rokiem stawała się dla niego zbyt stroma i zbyt nieprzewidywalna. A dojazd z Warszawy trwał dłużej niż dotarcie do Champagny. Wszystkie zdroworozsądkowe argumenty przemawiały przeciwko Kasprowemu, ale i tak czasami na wspomnienie wysiadania z nartami na dworcu w Zakopanem zalewała go fala nostalgii. Kiedy wylądował tam po raz pierwszy? Chyba w pięćdziesiątym, pierwszy rok świeżo utworzonych studiów, w Murowańcu spali na podłodze w tych wszystkich wełnianych

swetrach, narty nieśli na plecach, nie zbudowano przecież jeszcze wyciągu na Hali Gąsienicowej.

Ciągle pamiętał zapach tamtej nocy. Snujący się po wnętrzu schroniska dym z opalanych drewnem pieców, dolatujące z kuchni wymieszane zapachy szarlotki i fasolki po bretońsku, wilgoć parująca ze skórzanych butów i wełnianych swetrów, ta czarnulka, która przytuliwszy się do niego w nocy, pozwoliła mu włożyć rękę pod flanelową koszulę, pierwsze w życiu naprawdę erotyczne doświadczenie, była spocona pod piersiami. Boże, jak ona miała na imię. Marzena? Bożena? Potem w Almaturze pracowała. Jak już wszyscy wokół chrapali, pozwoliła mu się pocałować, plackowaty blady cycek, srebrnoszary od księżycowego światła, miał orgazm, gdy tylko położył na nim usta, pamiętał, jak bardzo mu zależało, żeby nie dać tego po sobie poznać. Na szczęście ona wolno, lecz konsekwentnie obnażała się dalej, a wtedy przerwy między gotowościami liczył w minutach, a nie tygodniach.

Pogrążony we wspomnieniach, poczuł nagle znajomą suchość w ustach, mrowienie w kroczu i pęczniejącego członka. Czyli działa! Dokładnie tak jak powinno! Po godzinie wystarczy poczuć podniecenie i chemia robi resztę, czyż to nie wspaniałe? Ściągnął pasiaste spodnie od piżamy i spojrzał w dół, gdzie spomiędzy siwych włosów łonowych dumnie sterczał jego blady penis. Nigdy nie był oszałamiający, ale – klękajcie narody, alleluja, niech zabrzmią trąby anielskie, niech dzieci rzucają płatki róż przed procesję – dziś sterczał naprawdę wspaniale.

Przymknął oczy, przywołał obraz dziewiętnastoletniej studentki psychologii, spoconej i lepkiej po całym dniu w górach, która bierze jego rękę i wkłada pod flanelową koszulę, do miękkich piersi z małymi sutkami. Pozwolił swojej wyobraźni biec dalej.

4

Przynajmniej menu nie stanowiło problemu. Wtedy fast food nie istniał, o pizzy czytano w książkach podróżniczych, z jedzeniem na wynos też był kłopot. Chętny musiał nieść do baru mlecznego

garnek albo termos na zupę, a potem i tak wszystko trzeba było odgrzewać albo odsmażać. Jedynym ciepłym jedzeniem, które można było kupić na mieście, bez problemu donieść do domu i zjeść ciągle ciepłe – był kurczak z rożna.

Zimą roku 1963 jako dwoje kochanków, którzy dość nieoczekiwanie się do siebie dorwali i nie chcieli oderwać za żadne skarby – byliśmy skazani na kurczaka z rożna. Wysłałam Ludwika do baru „Praha" w Aleje i nie zdążyłam chyba wypalić dwóch papierosów, kiedy wrócił z dwoma kurczakami – nie do końca ciepłymi, zima akurat się rozpanoszyła w Polsce potworna – i pudełkiem faworków. A potem wyciągnął z szafy prawdziwe francuskie wino, nie było zresztą jego, ukradliśmy je koledze Ludwika, który pracował o dziwnych porach i pozwalał wykorzystywać mieszkanie na gabinet. Francuskie wino! Ja, taka frankofilka, najpierw szczebiotałam zachwycona, a potem musiałam udawać, że mi smakuje, bo nigdy wcześniej nie piłam innego wina niż słodkie jak landrynka polskie babcine trunki.

I dlatego zawsze w naszą rocznicę mamy to samo menu: kurczak z rożna, faworki i butelka francuskiego wina.

Siedziałam i dłubałam bez przekonania w kurczaku, który dziś był dla mnie o wiele za tłusty, podobnie jak faworki zresztą. Ale wino było rewelacyjne, delikatne i prawie musujące pinot noir, co zaskakujące, nie z Burgundii, tylko z Prowansji. Ktokolwiek mu to polecił, znał się na rzeczy. Delektowałam się jego smakiem, ale Ludwik ledwo moczył w kieliszku usta, bojąc się pewnie o swoją erekcję. Popijałam i patrzyłam na mężczyznę, z którym pięćdziesiąt lat temu żarłam kurczaka, siedząc po turecku, kompletnie goła, w biednej śródmiejskiej kamienicy, która cudem przetrwała wojnę i którą zresztą wyburzono niedługo potem. Mieszkanie nędzne, ale miejscówka niezła, z widokiem na Pałac Kultury.

Boże, jaki mi się wydawał wówczas wspaniały. Ludwik znaczy się, nie Pałac Kultury. Żarłam kurczaka i kręciło mi się w głowie, miałam wrażenie, że mogę dostać orgazmu od samego patrzenia na niego. Ludwika znaczy się, nie kurczaka. Nie daliśmy rady zjeść na jedno posiedzenie, chociaż byliśmy głodni jak jasna cholera, ze trzy razy robiliśmy przerwę na seks. Obmacywał mnie tłustymi dłońmi,

a ja czułam, że nic bardziej podniecającego już mnie w życiu nie spotka.

A potem znowu się gapiłam. Na blond czuprynę gęstą jak futro jakiegoś zwierzaka, na jasne, jakby rozwodnione oczy za okularami w tych koszmarnie grubych oprawkach z tamtych czasów, na przyciętą krótko brodę, na dłonie, na ramiona. Nic nie mówiłam, czekałam, aż się odezwie, aż użyje tych ust, nigdy nie widziałam piękniejszych ust u mężczyzny, ale to ten głos pociągał mnie najbardziej. Dziś myślę, że można było baczniej się wsłuchiwać w to, co te usta i ten głos miały do powiedzenia. Ale to dziś.

Teraz starałam się na niego patrzyć jak najrzadziej. I nawet nie dlatego, że byłam nim zmęczona (choć byłam) i miałam go dość po tych wszystkich latach (choć miałam). Nie mogłam na niego patrzeć, ponieważ nienawidziłam go za to, że stał się stary. Cóż z tego, że obiektywnie biorąc, nieźle się trzymał? Jak się wymył, wypomadował, wyczesał, wypachnił i ubrał, wyglądał na osobę, za którą miała go reszta świata: zacnego i mądrego, choć cokolwiek nudnego profesora. Tylko że ja go miałam nie tylko w wersji obiektywnej. Ja go miałam w wersji świszczącej, pierdzącej, rozczochranej, cieknącej, śmierdzącej, pomarszczonej i bezzębnej. W całej fizjologicznej krasie nieeleganckо dogorywającego ciała.

Owszem, też nie jestem podlotkiem, nietrzymanie moczu to moje drugie imię, cycki sięgają mi do pępka, nawet jak stoję, a jak siedzę, to lepiej nie mówić. Wszystko prawda, ale jak człowiek normalnie żyje, na spacer pójdzie, książkę przeczyta, telewizję obejrzy – łatwo o tym zapomnieć. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na tego strasznego dziada i od razu wiedziałam, że jestem identyczna. Czasami ta świadomość uderzała mnie tak boleśnie, że robiło mi się niedobrze, czułam zawrót głowy i gwałtowny atak mdłości i zupełnie serio obawiałam się, że któregoś dnia na niego zwymiotuję.

– Kochałaś mnie wtedy?

– Oczywiście, że tak – odpowiedziałam, powtarzając to kłamstwo od tak dawna, że właściwie sama w nie wierzyłam.

– A teraz? – Złapał mnie za rękę.

Zerknęłam nieopatrznie. Jego dłoń wyglądała znacznie lepiej od mojej, elegancka dłoń kiedyś przystojnego, dobrze zbudowanego faceta. A moja? Mogliby ją pokazywać jako dowód na procesach przeciwko koncernom kosmetycznym. Jak to możliwe, że pomimo wcierania w nią przez całe życie kremów, balsamów i cudownych wywarów stała się paskudną plątaniną ścięgien i żył, doskonale widocznych pod tak cienką, że niemal przezroczystą skórą? Przez chwilę poczułam surrealistyczny lęk, że od jego delikatnego głaskania pęknie przy nadgarstkach i zsunie się z palców na ziemię jak za luźna rękawiczka.

– Teraz jeszcze bardziej. – Uśmiechnęłam się słodko. W słodkich uśmiechach byłam tak dobra, że powinni mnie zatrudniać w burdelach do szkolenia prostytutek.

Och, proszę pana, wszyscy wiedzą, że wiek nie ma znaczenia. A już na pewno nie dla mnie. I uśmiech.

5

Ten dzień stanowił dowód na to, że życie w żadnym wypadku nie jest nauką ścisłą, a właściwie w ogóle nie jest dyscypliną naukową. W nauce ten sam eksperyment przeprowadzony w tych samych warunkach musi przynieść te same rezultaty. Inaczej wnioski należy wyrzucić do kosza.

Oni od lat tego samego dnia o tej samej porze zadawali sobie te same mniej więcej pytania: co im przyniosło szczęście? Z czego są dumni? Co chcieliby zmienić? Co zamierzają zrobić?

I co roku te same dwie osoby udzielały na te same pytania zupełnie nowych, a czasami też zupełnie sprzecznych z poprzednimi odpowiedzi. Żałował, że od początku tego nie nagrywali albo przynajmniej nie spisywali.

– Wiesz, czego coraz częściej żałuję? – zapytała, odstawiając kieliszek. Wino zostawiło wiśniowy osad na jej ustach i delikatnym puszystym wąsiku nad górną wargą.

– Czego?

– Że nie jeździliśmy częściej na wakacje.

– Co roku w wakacje jeździliśmy na wakacje.

– Wiem, wiem, ale to za mało. Trzeba było ruszać w drogę, kiedy tylko się dało, zaniedbywać pracę, nie myśleć o karierze, żyć biednie i nieodpowiedzialnie, ale za to podróżować, oglądać, podziwiać, dziwić się, mieć przygody. Żadne tam walki z niedźwiedziami grizzly, takie zwykłe mieszczańskie przygody, że samochód się zepsuł w czasie burzy, że pani w pensjonacie była wariatką, że nas kieszonkowcy okradli. Bezpieczne przygody do opowiadania znajomym. Oglądałam nasze albumy ze zdjęciami i wiesz co?

– Nie wiem. Co? – W jego głosie pojawiły się asekuranckie tony, jakby szykował się do odparcia ataku.

– Wyobraź sobie, że nie mamy fotografii, na których siedzimy na kanapie, podpisanych „A tutaj siedzimy bardzo odpowiedzialni, wróciliśmy z pracy, spłaciliśmy kredyt w terminie i zamierzamy wziąć nowy telewizor na raty".

– Nie przesadzaj, mamy parę zdjęć z domu – odparł, trochę urażony, czując się w obowiązku bronić swojego życia, które bardzo lubił.

– Imprezy, święta, urodziny, wydarzenia. To wszystko przygody, odskocznie od dnia codziennego. I przygody wspaniałe, nie zrozum mnie źle. Tylko dziś myślę, że więcej wysiłku trzeba było wkładać w to, żeby jak najmniej było zwyczajnych dni. Wyobraź sobie, że co roku wykrawasz dodatkowe piętnaście dni na przygody. Niby niewiele, ale przez dziesięć lat to już jest sto pięćdziesiąt dni, pięć miesięcy, półroczna podróż.

– Zwyczajny relaks, odpoczynek, siedzenie w domu, to też jest bardzo ważne.

– Przecież nie mówię, że trzeba było prosto z polowania w Afryce jechać na wyścigi bojerów, tylko że może za dużo mieliśmy jakże ważnego spokojnego odpoczynku, a za mało poszukiwania przygód. Co pamiętasz z sześćdziesiątego trzeciego?

– No, to. – Zdziwił się, jakby nie wypadało w ogóle o to pytać. – Najpiękniejsza, najseksowniejsza, najbardziej goła ty. I kurczak. I wino, które zwędziłem Antkowi. I krzyki z korytarza tej strasznej rudery. Do dziś pamiętam: „Kurwy, świnie, brudasy, ja was wszystkich wezmę i zajebię!".

– A co jeszcze? Z cieplejszych miesięcy? Lipiec? Hm?

Parsknął śmiechem.

– Też pytanie. Wielką narwiańską wyprawę erotyczną oczywiście.

– Ze szczegółami?

– Niestety. Nie wiem, czy kiedykolwiek byłem bardziej obolały.

To prawda. Pływali po Narwi wypożyczoną od gospodarza łódką, szybko wpadli na pomysł, że stara rozklekotana krypa to doskonałe miejsce na seks. Udało im się kochać na chybotliwej łupinie tak skutecznie, że zmęczeni i kompletnie nadzy usnęli, a prąd niósł ich w stronę Bugu i dopiero co otwartego Zalewu Zegrzyńskiego. Tak nowego, że w płytszych miejscach z wody ciągle wystawały pnie drzew i kominy zalanych chałup. Obudziła ich syrena okrętowa, a po otworzeniu oczu ujrzeli pełen mężczyzn w garniturach statek wycieczkowy „Dziewanna". Był 22 lipca, oficjele przypłynęli ze stolicy na otwarcie „warszawskiego Balatonu". Jedni i drudzy chwilę patrzyli na siebie. Oni na golasa na łódce. Tamci w garniturach na statku. W końcu jeden z mężczyzn powiedział z ironicznym uśmiechem: „Widzicie, towarzysze, rację mieliśmy, że naród polski spragniony jest nie tylko domów i ubrań, ale i porządnych możliwości rekreacji. W zdrowym ciele zdrowy, socjalistyczny duch! Prawda, panie kolego?". Ludwik potwierdził skinieniem głowy, licząc, że to koniec, ale dowcipniś nie odpuszczał i dodał: „A za przybranie na cześć święta 22 lipca barw międzynarodowej rewolucji proletariatu serdecznie dziękujemy. Kontynuujcie".

Statek jeszcze raz zawył syreną i odpłynął, a on dopiero wtedy spostrzegł, że od słońca jest spieczony na raka i boli go całe ciało. A prawdziwy ból miał się dopiero zacząć, bo czekało go jeszcze wiosłowanie kilkanaście kilometrów w górę rzeki, pod prąd, z powrotem do Dzierżenina. Kiedy dopłynął do pomostu, był pewien, że nic gorszego już go w życiu nie spotka.

Mylił się. Następnego dnia obudził się z gorączką, pęcherzami na dłoniach, poparzoną połową ciała i tak bolącymi mięśniami ramion, że miał ochotę je sobie odciąć.

– Ale kurację pamiętasz? Jak ci robiłam okłady z kefiru na poparzenia?

– Oczywiście. Jak gospodarz zobaczył, że cała pościel i kwatera są w kefirze, kazał nam zapłacić podwójnie.

– Trzeba było leżeć spokojnie. A sierpień? Tego samego roku! Jezu miłosierny, ile się wtedy działo w naszym życiu.

– Wtedy, kiedy zmajstrowaliśmy Jacka?

– Aha.

– Przecież to wtedy polował na nas ten Breżniew pod Olsztynem.

– Jezu, tego to ja nie zapomnę, nigdy się tak nie bałam. Najpierw strzelał, a potem leciał za nami i darł się po rusku. Tam obok postawili ten ośrodek dla nomenklatury w Łańsku, pewnie stamtąd przylazł. Myślisz, że to naprawdę był Breżniew?

– Przecież nam potem tłumaczył ten stróż, już za wolnej Polski, że w tym Łańsku to bywali i Chruszczow, i Breżniew, i Ché Guevara. Tylko tamten, co nas gonił, miał jakieś włosy, a Chruszczow to łysy chyba. Pieprzony bolszewik namiocik nam przestrzelił.

Wybuchła śmiechem na to wspomnienie.

– Przestań, ten namiot i tak się rozłaził ze starości. Słuchaj, a jak my byśmy wtedy tego Breżniewa zastrzelili, to myślisz, że byśmy zmienili losy świata?

– Przypominam, że jeśli chodzi o arsenał, to Breżniew miał karabin, a my szyszki, nalewkę wiśniową i płyn na komary domowej roboty. Ale nawet zakładając w tym całym układzie, że jakąś szyszką byśmy celnie trafili, to wątpię.

– A dlaczego?

Przybrał profesorską minę jak zawsze, kiedy spytano go o coś poważnego.

– Historia to skomplikowany proces. Pewnie by Andropow szybciej wskoczył na jego miejsce i nic by się nie zmieniło. Ale jednego skurczybyka byłoby mniej, zawsze jakaś satysfakcja. No i wtedy na Warmii żeśmy Jacka stworzyli, może to dzięki Breżniewowi.

– Myślałam, że od stresu okresu nie dostałam. Śmieszne, pierwszych wakacji z Jackiem nie pamiętam. W ogóle pojechaliśmy gdzieś?

Myśleli przez chwilę.

– Chyba nie, cali byliśmy przestraszeni, że on jest taki mały. Może do twojej matki na działkę i to tyle.

– A potem co roku do Pelnika. Nad morze trzeba było więcej jeździć, tak dziś myślę. Lepsze powietrze.

– E tam, w góry go zacząłem zabierać, zanim się nauczył chodzić porządnie.

– Bo w Zakopanem to jest świetne powietrze. Wyziewy z węgla, kominków, karkówki z grilla i pierdzące konie, smog jak w Londynie.

– Przecież wyżej go zabieraliśmy, do schronisk.

– Chyba że z zapaleniem ucha ktoś z nim musiał siedzieć w szpitalu na dole.

– A to moja wina, że wtedy wpuszczali tylko matki?

– Jakoś nie pamiętam, żebyś się wykłócał z nimi do upadłego, że to ojciec się dzieckiem zaopiekuje. Przejęty ojciec następnego dnia przyszedł w odwiedziny ledwo żywy od kaca, właściwie jeszcze pijany.

– Boże przenajświętszy, od pięćdziesięciu lat mi to wypominasz!

– Dzień podsumowań to dzień podsumowań, quoi faire?

– Tu pourrais m'excuser.

– Chyba miałeś na myśli me pardonner.

– Daj mi spokój, nie każdy jest frankofilem w tej rodzinie. A propos frankofilstwa, wyjazd maluchem do Francji to było coś. Pamiętasz minę tego mechanika pod Grenoble?

– Pamiętam, że to nie był pierwszy mechanik w czasie tej wycieczki, przecież już w NRD kogoś szukaliśmy do rozrusznika.

– No bo nie znałem jeszcze tej sztuczki z kijem od szczotki w tym całym układzie. Musiałem wtedy wstąpić do partii i podpisać lojalkę, że będę pisał raporty z podróży, żeby w ogóle dali nam paszporty. Wiesz, że prowadziłem wtedy pamiętnik na wypadek, gdyby kazali coś pokazać? Ostatnio go znalazłem, najlepsze są te momenty, w których piszę, że nawet w tym wieku ważna jest aktywność i poszukiwanie nowych bodźców.

– Przecież nie miałeś nawet pięćdziesiątki wtedy.

– No właśnie. Nastolatkiem byłem!

– Swoją drogą ta podróż… Żadnych fotelików, żadnych pasów, Jackowi tak ułożyliśmy z tyłu torby z żarciem, żeby na całej tylnej kanapie miał plac zabaw. Dzisiejsze matki na sam widok straciłyby przytomność.

– Jacek już był duży wtedy, dziesięć lat. A jak żeśmy tymi autobusami do Rumunii jechali, to ile miał?

– Sześć albo siedem, to zaraz po grudniu było. Do tej podróży to nie tęsknię, tyle ci powiem.

– Miały być Bałkany i słońce, a lało cały czas, gorzej jak nad Bałtykiem.

– Lało to się głównie z nas. Myślałam, że umrę.

– Rozbijałem namiot w deszczu i robiłem przerwy po wbiciu każdego śledzia, taki byłem wykończony przez tę biegunkę. Naprawdę się bałem wtedy, że coś nam się stanie.

– Dopiero ten rosół dziwny, ciemny, co nam baba zrobiła, postawił nas na nogi. Do dziś nie wiem, z czego on był. Co my żeśmy jej wtedy w zamian dali?

– Coś bursztynowego, pamiętam, że na handel trochę bursztynowych rzeczy zabraliśmy, pies z kulawą nogą się tam tym nie zainteresował, w końcu żeśmy rozdali, żeby nie wieźć z powrotem.

– Teraz myślę, że z Jackiem też trzeba było więcej jeździć, nie dbać o te wszystkie obowiązki, przedszkola i szkoły. Więcej by mu z tego przyszło niż z peerelowskiej edukacji i siedzenia w bloczydle. Więcej po Polsce, więcej za granicę, choćby do demoludów. Czasami to myślę, że potem sobie taki bezpieczny i nudny zawód wybrał właśnie dlatego, że za mało mu dawaliśmy bodźców. Ale takie czasy były. My do pracy, on żłobek, przedszkole, szkoła, zleciało tak jakoś. Dziś bym inaczej zrobiła.

– Co inaczej?

– Siedziałabym z nim więcej. Pamiętam, że często miałam taką myśl, że się na dobre nie nacieszyłam jakimś etapem, a on już szedł dalej. Lubiłam patrzeć, jak raczkuje, a on nagle już chodził. Lubiłam, jak wymyśla słowa, miałam je spisać, a on nagle już mówił normalnie. Lubiłam tę jego czułość przedszkolaka, a on nagle stał się nastolatkiem wiecznie za zamkniętymi drzwiami. Jednego dnia

szedł na studia, drugiego miał dzieci, trzeciego już po rozwodzie. Codziennie miałam inne dziecko, a to wcześniejsze… no rozumiesz. Jakoś tak się nie nacieszyłam. – Głos jej się załamał.

Nic nie powiedział, od pięciu lat każde ich wspominki, i te styczniowe, i te bożonarodzeniowe, i urodzinowe, i w ogóle każde kończyły się tak, że jednemu z nich głos się załamywał. Podniósł się, pomógł jej wstać od stołu i usiedli razem na kanapie. Przytulił ją i pozwolił się wypłakać.

– To chyba była podróż mojego życia, wiesz – powiedział łagodnie, kiedy jej płacz zamienił się w ciche pociąganie nosem. – Jak pojechaliśmy z Jackiem i dziewczynkami na Warmię. Pokazać, gdzie się kochaliśmy, gdzie się podzieliły jego pierwsze komórki. Opowiadaliśmy mu o burzy i o Breżniewie, który nas gonił ze strzelbą.

– A on cały czas nas strofował, żebyśmy mówili ciszej, bo dziewczynki są za małe na te szczegóły. Potem się kąpaliśmy wszyscy w jeziorze, wieczór, pamiętam, był taki wspaniały, co to w Polsce się zdarza dwa razy do roku.

– Dziewczynki poszły spać, a my żeśmy prawie całą noc siedzieli na plaży, pili piwo i gadali. Potem się dziwiłem, że tyle pamięta ze swojego dzieciństwa, więcej chyba nawet niż ja. Jak w szpitalu byliśmy na Niekłańskiej, bo sobie fasolkę wsadził do nosa i mu tam zakiełkowała. Albo jak wlazł do wanny z karpiem, żeby się razem z nim wykąpać. Pamiętasz?

– Ba. Szkoda, że tych telefonów z aparatem wtedy nie było, ale mielibyśmy zdjęcia fantastyczne. A ty?

– Co ja?

– Co ty byś zrobił inaczej?

– Ja wiem? Znasz mnie, Grażynko, ja jestem szczęśliwy w tym całym układzie, wszystko mi się w moim życiu zawsze podobało. Niech pomyślę. Może bym trochę inaczej rozłożył akcenty. Mniej kariery naukowej, a więcej pacjentów. Studenci i tak zawsze woleli innych wykładowców i pewnie więcej od nich korzystali. A ja bym paru ludziom jeszcze pomógł, zawsze coś.

6

Za jakie grzechy, drodzy anieli? Za jakie grzechy, pomyślałam. Człowiek ma osiemdziesiąt trzy lata, patrzy wstecz na swoje życie i co by zmienił? Może by ograniczył pracę na uczelni i więcej czasu spędzał z pacjentami. No trzymajcie mnie. Nie wielkie podróże, nie przygody, nie odkrycia, dzięki którym ląduje się w encyklopedii i zasługuje na ulicę w rodzinnym mieście i tablicę pamiątkową. Nie wyzwania, szóstka dzieci, budowa drewnianego domu na Suwalszczyźnie albo rejs barką ze Szczecina do Marsylii. Może by ograniczył pracę na uczelni.

Nie powiem, moja lista jest dłuższa, ale nie podzieliłabym się z nim swoimi marzeniami nawet w żartach, zrzucić to na człowieka tak dobrodusznie szczęśliwego z każdego nudnego dnia swojego życia byłoby okrucieństwem.

Przede wszystkim częściej uprawiałabym seks. Z nim też, po początkowym okresie wielkiej namiętności emocje opadły szybko, a może nie tak szybko, może to trwało dobre kilka lat, tylko z dzisiejszej perspektywy mi się wydaje, że to się stało już następnego dnia. Pewnie bym starała się to powstrzymać, walczyć o emocje i o temperaturę. Ale to dziś mam tę wiedzę, czterdzieści lat po tym, jak Wisłocka odkryła łechtaczkę, trzydzieści po pierwszej przywożonej z Zachodu pornografii, dwadzieścia od pierwszych sexshopów, tyleż, odkąd o potrzebach i możliwościach seksualnych kobiet normalnie się w tym zaścianku rozmawia. A wtedy? Żadna ze mnie była katoliczka ani prowincjonalna panna, ale o seksie nie wiedziałam nic, o swojej fizjologii też nie, o związkach tym bardziej. Po prostu uznałam, że tak musi być i tyle.

Dziś bym wiedziała, jak lepiej wykorzystać swojego Ludwiczka, te jego mięsiste usta, te jego poranne wzwody.

Dziś pewnie bym się też puszczała. Raz tylko mi się zdarzyło w małżeństwie, że nie byłam wierna jak Penelopa. Już po czterdziestce pojechałam po zapaleniu płuc do sanatorium do Ustronia, sama, pokój dostałam w jednej z tych piramid, które wtedy wydawały mi się dziwaczne. Ja miałam normalny pokój,

a facet, którego poznałam przy śniadaniu, dostał taki ze skośnym sufitem, przy krawędzi piramidy. Poszłam z ciekawości, żeby zobaczyć ten skośny pokój, no i jakoś tak zostałam. Mało nie umarłam z poczucia winy, ale wróciłam następnego dnia, kiedy się okazało, że świat ciągle istnieje, wyrzuty sumienia mnie nie zabiły, a niebo nie rozpękło się na pół, aby Bóg mógł dać mi klapsa. Ludwik przyjechał w połowie turnusu mnie odwiedzić, bo go ciągnęły stoki w Szczyrku, i mieliśmy najlepszy seks od lat, aż mi się z uszu dymiło. Na naszym szczęściu to nijak nie zaważyło, a wspaniałe wspomnienie zostało. Pierwszy i jedyny raz ktoś mnie wtedy lizał po odbycie, ciągle o tym fantazjuję czasami. Zabawne, że w fantazjach zawsze mam swoje ciało z najlepszego okresu, czyli pewnie takich dojrzałych, leniwych trzydziestu kilku lat, czterdziestu może. Czasami więcej, ale nigdy mniej.

No i dziś bym pozwalała sobie się zakochiwać. Czasami. Kontrolowanie. Platonicznie. To znaczy chyba platonicznie. I chyba kontrolowanie. Na zabój. Jak w powieściach. Żeby mnie skręcało z tęsknoty, żebym jak idiotka płakała w łazience z rozpaczy, żebym scałowywała z policzków łzy odtrąconych przeze mnie mężczyzn. Żebym słuchała innych dowcipów, innych opowieści z dzieciństwa i odkrywała inne sposoby wymyślane przez mężczyzn, żeby mnie zdobyć.

A właściwie nie przez mężczyzn, tylko przez jednego mężczyznę. Tego jednego, jedynego mężczyznę. Zabawne, że świętowaliśmy dziś z Ludwikiem pięćdziesiątą rocznicę. I dla mnie, i dla niego była to rocznica pięciu dekad fizycznej bliskości, prawda. Dla niego też rocznica pięćdziesięciu lat miłości do mnie. A dla mnie? Dziś go kocham, to nie ulega wątpliwości. Ale jak długo? Śmieszne, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam, byliśmy razem i wiadomo, życie.

I weź teraz powiedz mu, kobieto, co byś zmieniła, żeby ani nie skłamać, ani go nie zranić śmiertelnie.

– Za dużo czasu spędziliśmy razem – wyrwało mi się.

– Słucham? – Oczywiście od razu obrażone tony.

Pomyślałam, że jak na jednego z ważniejszych świętych polskiej psychoterapii, to w małżeństwie nigdy mistrzem słuchania nie był. I oczywiście po chwili zrobiło się jak zawsze, włączyliśmy starą

płytę, koncert na dwa instrumenty, on już nastroił swoje nabzdyczenie, ja uniosłam dłonie nad klawiaturą irytacji i złośliwości.

– Opanuj się, przecież się z tobą nie rozwodzę. Po prostu mówię, że przez te pięć dekad bardzo dużo czasu byliśmy we dwoje, może trochę zbyt kurczowo do siebie przyklejeni. I tak samo jak mogliśmy wykroić czas na przygody, tak samo dałoby się zadbać o zdrowy dystans. Mieliśmy tylko jedno dziecko, nic nie stało na przeszkodzie, żeby dla zdrowia psychicznego wyjechać samemu, a to na tydzień w góry, a to na miesiąc do Indii.

– Chcesz pojechać na miesiąc do Indii?

– Przykładowo powiedziałam, pierwsza lepsza myśl.

– Te pierwsze myśli są najważniejsze i najszczersze. Czyli informujesz mnie teraz, że przez cały ten czas marzyłaś o tym, żeby spędzać więcej czasu sama w Indiach?

Poczułam, jak mnie szlag trafia.

– No skoro tak twierdzisz, to biorąc pod uwagę twoje doświadczenie, to zapewne prawda. Jak teraz o tym mówisz, to faktycznie, zawsze o tym marzyłam. Miesiąc w Indiach, a może rok czy dwa, Boże drogi, tam to ja bym dopiero była szczęśliwa.

Poprawił okulary.

– Kpiną nie zakryjesz prawdy.

– Jakiej znowu prawdy?! – krzyknęłam.

– Że w końcu postanowiłaś mi powiedzieć, jak bardzo czułaś się nieszczęśliwa w naszym małżeństwie.

Słów mi zabrakło. Poważnie się zastanawiałam, czy go nie uderzyć, jedyne, co mnie powstrzymało, to myśl o tym, jak z boku wyglądałaby bójka osiemdziesięciolatków.

– Ale skoro o tym rozmawiamy – wykorzystał moje zapowietrzenie, żeby przejąć inicjatywę i perorować tym swoim profesorskim tonem – to ja też ci się przyznam, że często o tym myślałem. Przez pięćdziesiąt lat nie zadbaliśmy o urlopy od samych siebie. Mimo że przecież sam napisałem kiedyś w jednym eseju do „Przeglądu”, że związki powinny wysyłać partnerów na wczasy tak samo, jak pracodawcy wysyłają pracowników. Pamiętasz? Fundusz Wczasów Psychicznych, tak to nazwałem.

– Droga wolna – wycedziłam.

– Nie bądź infantylna.

– Nie jestem infantylna, tylko wściekła.

– Nie jestem pewien, czy to pojęcia z tego samego katalogu emocjonalnego.

– A ja jestem pewna, że masz mnie przeprosić natychmiast. A potem możemy wrócić do rocznicy.

Uwielbiałam tę zagrywkę. Intelektualnie rozumiał, że pojednanie i przeprosimy to podstawa zdrowej komunikacji, ale jego emocjonalna strona dinozaura pochodzącego z epoki totalitarnego patriarchatu nie pozwalała mu się ukorzyć przed kobietą. Teraz zacznie kluczyć, żeby uspokoić atmosferę i wylawirować z kłótni, jednocześnie nie przepraszając.

– Ale za co mam cię przepraszać? Nie rozumiem. Ustaliliśmy wspólnie, że żałujemy, że nie braliśmy częściej od siebie urlopu. I że narosło w nas zmęczenie swoją nieustającą obecnością. To po obu stronach zrozumiałe. Też zrozumiałe, że nie jesteśmy w wieku, kiedy możemy sobie fundować takie urlopy.

– Niby dlaczego? – wypaliłam, złość mi jeszcze nie przeszła. Rozumiałam gdzieś głęboko, że to bez sensu, że nie chodzi o ten wieczór, że w takich chwilach przemawiają przeze mnie nagromadzone przez dekady drobne pretensje, resentymenty, złości i rozczarowania.

Ale i tak nie potrafiłam odpuścić.

Spojrzał za okno, ciemno już się zrobiło, w szybie niewyraźnie odbijała się stojąca na stole zapalona świeczka i talerz z ledwo ruszonym kurczakiem z rożna.

– Niby każdemu w każdej chwili może coś się przytrafić, ale w naszym wieku… sama rozumiesz. Nie chciałbym, żeby drugie z nas było wtedy na wczasach.

Wzruszył mnie tymi słowami i postanowiłam odpuścić.

– Może porozmawiajmy dla odmiany o przyszłości – powiedziałam, myśląc, po pierwsze, że to rozpaczliwe, biorąc pod uwagę, ile jej zostało, a po drugie, że zaraz usłyszę, że się bronię przed przeszłością, która… trzy, dwa, jeden, start.

– Zawsze się bronisz przed przeszłością, uciekasz do przodu. A to przeszłość decyduje o tym, kim jesteśmy i kim będziemy, czy to ci się podoba, czy nie.

I pomyśleć, że pięćdziesiąt lat temu te banały wydawały mi się mądre i przenikliwe. Ale postanowiłam brnąć w banały, żeby zatrzeć wspomnienie kłótni.

– A co by nas napędzało bez planów? Robimy zakupy, bo mamy wizję smacznej kolacji. Wsiadamy do samochodu z wizją dojechania na miejsce. Posyłamy dziecko do szkoły, bo mamy wizję jego przyszłości. Zaczepiamy kogoś, bo mamy wizję wspólnego wieczoru. Albo wspólnego życia. Każde nasze działanie wynika z tego, że wyobrażamy sobie jego skutek w przyszłości i jesteśmy go ciekawi.

– Możliwe. Ale to, gdzie jedziemy, co jemy i kogo zaczepiamy, wynika w stu procentach z przeszłości. Przeszłość jest wszystkim, przyszłość to zbiór pobożnych życzeń i zazwyczaj chybionych wyobrażeń.

Matko Boska, jak ja nienawidziłam tego chrzanienia.

– Możesz się wymądrzać, ale plany i tak muszą być. Aż tak starzy nie jesteśmy. – Kłamstwo, ale w dobrej sprawie. – Dawaj.

Westchnął. Objęłam go za szyję, przybliżyłam twarz do jego twarzy, uśmiechnęłam się. Miał mokre, przekrwione oczy. Smutna twarz bez uśmiechu obsunęła się do dołu. Staro wyglądał w takich chwilach mój staruszek. Zamiast tamtej czupryny przerzedzone bielutkie włosy. Zamiast mięsistych ust Belmonda z *Do utraty tchu* różowa i drżąca, obwisła warga. Brwi tak mu wyłysiały i wyblakły, że właściwie nie miał ich w ogóle. Zamiast czujnych jasnych oczu mętne i jakby przestraszone spojrzenie.

– Zapisałem sobie w kalendarzu – zaczął dziarsko, ale głos mu drżał – żeby wiosną pojechać do Zermatt. Zrobić sobie wycieczkę w szwajcarskie Alpy. Drogo pewnie będzie, ale na co mamy odkładać w tym całym układzie?

– Gdzie to jest dokładnie?

– Na dole, bliżej Chamonix niż Mediolanu. Pod Matterhornem.

– Kolejna święta góra?

– Jedna z najświętszych.

Głos mu się załamał. Zwykle czytałam mu w myślach i potrafiłam przewidzieć następną kwestię z dokładnością do osiemdziesięciu procent, ale tym razem nie miałam pojęcia, o co chodzi.

– Niedługo umrę, prawda? – zapytał po chwili.

– Nie chcę cię martwić, ale jest taka szansa.

– I to pewnie zwyczajnie będzie koniec.

– Zależy, kogo spytasz. Ale raczej tak.

Nie podobał mi się kierunek tej rozmowy. Nie chciałam. Nie dziś.

– A nawet jeśli nie, to będziemy sobie ciałami astralnymi, duszami, dziwnymi bytami, na co tam trafimy w katalogu zabobonów.

– No i?

Nagle usta wykrzywiły mu się w podkówkę i wybuchnął ze smutku płaczem jak małe, kilkuletnie dziecko. Przez mgnienie oka zobaczyłam w nim przedszkolaka, którym był osiemdziesiąt lat temu.

– No i to znaczy, że już nigdy… przenigdy… przez całą wieczność nie będę w górach. Nie wyjdę rano na taras schroniska, nie wyjmę termosu z plecaka, nie wystawię gęby do słońca na wyciągu, nie poczuję zapachu śniegu, nie usłyszę trzasku butów zapinanych w wiązaniach, nie zamówię tartiflette… nigdy. Tak nieskończenie, do końca wszechświata, nieodwołalnie, nigdy.

Czułam jego rozpacz niczym emanujące fale gorąca, tak fizycznie, jakbym stała obok płonącego domu. Nie mogłam nic odpowiedzieć. Nie mogłam nic zrobić. No, prawie nic. Otarłam mu łzy, złapałam jego dłoń i włożyłam między swoje uda.

– Ale dopóki żyjemy – powiedziałam – korzystajmy, wiecznością będziemy się martwić później.

Nie patyczkowałam się. Rozłożyłam bezkompromisowo nogi w czarnych pończochach i położyłam jego dłoń na świeżutkich majtkach. Niespodziewanie poczułam się podniecona. Gwałtowne, rozlewające się po całym ciele, trochę już zapomniane uczucie.

Jako doświadczona i pozbawiona złudzeń stara kobieta postanowiłam żyć chwilą, dopóki trwała.

7

Od razu zerknął na stojący obok telewizora zegar. Idealnie! Nie mogłaby z tym momentem wcelować lepiej, równo godzina od wzięcia tabletki. To się nazywa żona. Teraz tylko trzeba się zrelaksować, spokojnie zrobić swoje, stres to największy wróg seksu nie tylko po osiemdziesiątce.

Pocałował ją czule w usta, ostrożnie, uważając, żeby nie poruszyć protezy, i jednocześnie głaskał ją po udach. Próbował się wyluzować, ale nie mógł przestać myśleć o tym, czy tabletka już działa, czy ma już wzwód, czy już czuje to specyficzne swędzenie w krzyżu. Rano zadziałało, ale to było rano, w spokojnych warunkach, we własnych fantazjach. Wtedy trening, teraz zawody o najwyższą stawkę.

Nic nie czuł. Cholera, nic nie czuł.

– Pokażę ci coś – powiedziała i odsunęła się od niego.

Energicznym ruchem zdjęła przez głowę grubą zimową sukienkę, pokazując wszystkie swoje nowe nabytki, i uśmiechnęła się zalotnie. Przejechała dłońmi po ciele, od szyi przez ledwo ukryty za tiulową koszulką biust aż do podwiązek.

– Hm?

– Wyglądasz wspaniale – powiedział bez krztyny kurtuazji. Naprawdę był zachwycony.

Od pierwszej nocy pięćdziesiąt lat temu zawsze uważał, że wygląda wspaniale. W ciąży, zmęczona, utyta, stara, zawsze mu się podobała. Nigdy jej nie zdradził, nigdy nie planował, nigdy się w nikim innym nie zakochał. Nawet w czasie masturbacji zazwyczaj fantazjował o niej. Cały jego seksualny świat należał do niej i tego też by nie zmienił. Bo po co? Po co zmieniać coś, co jest dobre?

Rozłożył wersalkę, uważając, żeby nie schylić się zbyt gwałtownie, i zaprosił żonę ruchem dłoni. Dygnęła, położyła się, przeciągnęła i poczekała, aż on się rozbierze. Stanął bokiem, częściowo schowany za krzesłem, żeby nie zobaczyła, że jeszcze nie ma wzwodu. Nie chciał jej rozczarować, cały czas się uśmiechał, ale nie mógł zwalczyć narastającej paniki, że nic z tego nie będzie. Na

dodatek w radiu znowu puścili ten kretyński francuski przebój, który kojarzył mu się z pogrzebowym *My Way*, wszystko, żeby tylko go zdekoncentrować, jak na złość.

Dalej, myślał, dalej, niech zadziała.

– Podoba ci się moja nowa bielizna?

Rozłożyła szeroko nogi.

– Oszałamiająca.

Podszedł szybko i położył się między jej nogami, żeby nie zobaczyła, że jeszcze nie jest gotowy.

– Z niespodzianką. – Pociągnęła za krawędzie majtek.

Wtedy w końcu wyłączył myślenie. Oszalał na punkcie tej cipki pięć dekad temu i teraz też nie potrafił jej się oprzeć. Poczuł dreszcz, swędzenie w krzyżu, skok ciśnienia krwi i prostującego się gwałtownie (no, umiarkowanie gwałtownie) członka.

– Pocałujesz mnie?

– Później. Teraz nie ma chwili do stracenia. – Uklęknął przed nią, wskazał dłonią na sterczącego penisa i uśmiechnął się dumnie.

– Ogoliłeś sobie włosy łonowe?

– Nie mogłem patrzeć, jakie są siwe.

Zaśmiała się cicho.

– Hm, teraz wydaje się większy.

– Stara sztuczka – mruknął, wchodząc w nią i całując w usta. – Poza tym…

– Cii – szepnęła, napierając na niego biodrami.

8

Matko Boska Przenajświętsza, tak jak zwykle nie przywiązywałam do tego wielkiej wagi, tak dziś bałam się, że nic z tego nie będzie. Nie wiem, może dosypał mi czegoś do jedzenia, ale nie byłam taka napalona od lat, od dekad być może. Starałam się robić dobrą minę do złej gry, kiedy stary i zgarbiony chował się za krzesłem, ale miałam ochotę się rozpłakać. Na szczęście nowe majtki okazały się faktycznie więcej warte niż kokaina.

Nie musiałam się niczym smarować, nie musiałam uciekać się do żadnych sztuczek, po prostu chciałam, żeby ktoś mnie wziął i żeby mi było dobrze. Przez chwilę myślałam, czy się nie odwrócić, zawsze miałam wtedy najlepsze orgazmy, ale uznałam, że nie warto kusić losu i ryzykować, że się zdekoncentruje. Więc po prostu objęłam go, przycisnęłam do siebie, wypychałam biodra, żeby poczuć go jak najlepiej, i czekałam, co się wydarzy.

Najpierw jak zwykle myślałam o nim, żeby się nie zmęczył, nie stracił uwagi, żeby go nie urazić jakimś gestem, czy miną kwestionującą jego możliwości. Ale z jego możliwościami wszystko było w porządku, więc postanowiłam pomyśleć o sobie. A właściwie przestać myśleć o sobie. W ogóle przestać myśleć. Kompletnie i totalnie nie myśleć absolutnie o niczym. Było mi tak dobrze, że przez chwilę poczułam lęk o własne serce i własne ciśnienie, ale ten lęk też porzuciłam i skupiłam się na własnym ciele i na tym, co się w nim działo. A działo się to, że nadchodził, jak zwykle u mnie gdzieś z tyłu, nie z dołu brzucha, a spomiędzy pośladków, z okolic kości ogonowej, niezwykły orgazm.

Złapałam Ludwika za pomarszczony tyłek i kierowałam nim, żeby nie stracił rytmu, jeszcze tylko przez chwilę. Ciężko dyszał, cały był spocony, ale nie miałam w sobie przestrzeni na żadne troski, na myślenie o innych, na to, czy umrze, czy przeżyje, czy dojdzie, czy nie, chciałam tylko, żeby ten rytm utrzymał jeszcze przez kilka sekund, dwie, jedną, o Matko Boska Przenajświętsza.

Kiedy już się zaczął, to trwał i trwał, i trwał, nie było we mnie żadnej innej myśli ani emocji, czułam w nim echo wszystkich swoich orgazmów, czułam echo tego styczniowego mroźnego dnia w 1963 roku.

Jak to mówią: wszystkie orgazmy przeleciały mi przed oczami.

Styczeń

1

Czuł się młodo, jak zawsze. Czuł się nawet wyjątkowo młodo, biorąc pod uwagę, że jego budzącą się świadomość wypełniało wspomnienie wczorajszego wspaniałego wieczoru. Aby trwać w tym błogostanie jak najdłużej, nie otwierając oczu, przekręcił się na bok, wtulił twarz w rozrzucone na poduszce włosy swojej żony i odetchnął głęboko jej zapachem.

I omal nie puścił pawia. Włosy i poduszka śmierdziały dymem papierosowym tak potwornie, jakby importowano je specjalnie z koszarowej kantyny jakiejś republiki bananowej, gdzie nie dotarły ani zakaz palenia, ani nawet informacja o szkodliwości papierosów. Wrażenie było fizycznie odstręczające, wstręt sprawił, że zapomniał na chwilę, ile ma lat, odrzucił kołdrę i zerwał się na równe nogi, walcząc z odruchem wymiotnym.

I nie zemdlał. Nawet nie zakręciło mu się w głowie. Naprawdę, seks czyni cuda.

– O psiakrew – powiedział na głos.

Znajdował się w cudzym mieszkaniu. Dziwnym mieszkaniu. Bardzo nowoczesnym i bardzo staroświeckim zarazem. Nowoczesnym, bo ściana niewielkiej sypialni składała się w całości z okna, wychodzącego na balkon z ażurową betonową balustradą i zimowe bladoniebieskie niebo. A przez otwarte drzwi pomieszczenia widział kawałek korytarza i biegnące w dół schody, wskazujące na to, że mieszkanie jest dwupoziomowe.

Staroświeckim, bo całe wyposażenie mieszkania – krzesła na cienkich nóżkach z giętego metalu, regał z przesuwnymi szklanymi drzwiami, dywan w geometryczne wzory, a przede wszystkim ogromna popielniczka pełna petów na szklanym stoliku do kawy – wszystko to wyglądało jak eksponaty ze skansenu, prezentującego

życie codziennie w latach sześćdziesiątych albo siedemdziesiątych XX wieku.

Zaskoczony przejechał dłonią po włosach; jego najbardziej charakterystyczny gest, wyrażający w zależności od sytuacji zamyślenie, zdumienie albo zniecierpliwienie.

– O psiakrew – powiedział.

Jego dłoń zamiast na czaszkę z paroma cienkimi pasemkami włosów natrafiła na czuprynę gęstą jak sierść owczarka niemieckiego. Spojrzał na dłoń – żadnych plam, wykrzywień i pomarszczeń. Spojrzał na brzuch – prawie płaski. Klata normalna, bez siwych włosów i obwisłych męskich cycków. Członek wystawał z normalnego ciemnoblond zarostu, a jego nogi kończyły się normalnymi stopami, a nie sękatymi tworami, do których ktoś krzywo przytwierdził sine krogulcze pazury. Innymi słowy: był młody. Nie zatrważająco młody, ale gdzieś między trzydziestką a czterdziestką.

W sypialni nie wisiało żadne lustro, podszedł więc do regału i przejrzał się w szybie etażerki. Patrzył na niewyraźną twarz, przypominającą jego własne stare zdjęcia. Co oznaczało, że był w ciele młodego siebie, sprzed jakichś pięćdziesięciu lat.

– O psiakrew – powtórzył.

– Nie mógłbyś zaczynać dnia od jakiegoś innego słowa? – dobiegło spod kołdry. – Dzień dobry? Kocham cię? Chcesz kawy?

Pociągnęła nosem.

– Jezu, co to za sztynk.

Smród nikotyny wygonił Grażynę z łóżka tak samo jak jego. Przeciągnęła się, spojrzała na stojącego w obcej sypialni obcego mężczyznę i zaczęła przeraźliwie krzyczeć, szybko zakrywając gołe ciało ściągniętą z łóżka kołdrą.

– Grażyna, to ja!

– Jaki ja? Jaki ja, na miłość boską?

– Ludwik, no.

Zaśmiała się histerycznie.

– Spójrz na siebie! Grażyna, mówię ci, spójrz na siebie.

Zajrzała pod kołdrę.

– Matko Boska Przenajświętsza.

Odrzuciła kołdrę i zaczęła dotykać swojego gołego ciała. Idealnego, perfekcyjnego, pozbawionego wad ciała dwudziestokilkulatki. Coraz szybciej, coraz łapczywiej dotykała dłońmi szyi, piersi, ramion, bioder, obmacywała się tak zapamiętale, że zaczęła dyszeć. Przestraszył się, że zaraz dostanie jakiegoś ataku.

– Grażyna? Wszystko w porządku?

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Maryjo Królowo Polski, co za wspaniały sen. Szybko, kładź się, zanim się obudzę. Raz, raz, kładź się.

Bez czekania na dodatkowe zachęty, skoczył na łóżko swoim wspaniałym, jędrnym, sprawnym ciałem i położył się na wznak, jego członek sterczał już jak reklama środka na potencję. Chichocząc, cmoknęła go w czubek penisa i usiadła na nim okrakiem z głośnym westchnieniem. Przeciągnęła się, zaplotła dłonie na karku gestem, którego nie widział u niej od dobrych dwudziestu lat, i zabrała się energicznie za miłość.

2

Sen czy nie sen, po czwartym razie byliśmy już porządnie zmęczeni. Leżałam nago na wznak i nie mogłam przestać wodzić palcem po swoim ciele. Nie uważałam się nigdy za piękność, trochę za nisko miałam tyłek i za krótkie nogi, za to od pasa w górę, no tutaj nie mogłam sobie nigdy nic zarzucić. Święta Trójca: duże oczy – duże usta – duży biust, robiła wrażenie na każdym, co oczywiście wiem teraz, kiedyś byłam za młoda, za głupia i zbyt wstydliwa.

Miałam nadzieję, że ten sen potrwa jak najdłużej, a rano nie zapomnę wszystkiego, jak to zwykle ze snami bywa, i opowiem Ludwikowi.

Leżałam, dotykałam delikatnie ust jak niewidomy, który chce poznać kształt czyjejś twarzy, i nie mogłam przestać się zachwycać. Nie za wąskie, nie za szerokie, twarde i sprężyste, z dolną wargą większą i wychylającą się ku przodowi, normalnie gdybym mogła, to sama bym się całowała.

Oblizałam swoje boskie usta, przełknęłam ślinę i głośno zaburczało mi w brzuchu. Głodna byłam jak nie wiem co.

Szturchnęłam Ludwika. Nawet we śnie każdy facet idzie spać po seksie.

– Hm?

– Głodna jestem.

Wymamrotał coś niewyraźnie.

– Co?

– To tylko sen…

– Tak, wiem, rozmawialiśmy o tym. Ale i tak jestem głodna. Pięćdziesiąt lat temu poleciałeś po kurczaka i faworki, to teraz rusz tyłek w naszą rocznicę.

Ziewnął i usiadł. O Jezu, ale był przystojny.

– Pięćdziesiąt lat temu byłaś miła, szczebiocząca, trzepocząca rzęsami i mówiłaś do mnie „proszę pana”.

– To było pół wieku feministycznej walki wcześniej. Rusz się, bo do końca snu będę już tylko cnotliwa.

Wstał i podrapał się po świeżym zaroście na policzku.

– Musi tu być jakaś kuchnia czy coś…

Wyskoczyłam z łóżka za nim, ale przed wyruszeniem na poszukiwanie lodówki, i zawinięci wspólnie w kołdrę wyszliśmy na balkon. Zimno jak diabli. Widok nie był zbyt zachęcający. Znajdowaliśmy się na ósmym, może dziesiątym piętrze czegoś, co musiało być dość paskudnym blokiem. Prosty wniosek, biorąc pod uwagę, że z okna widzieliśmy kolejne bloki, bardzo betonowe, bardzo gigantyczne, bardzo identyczne i z niewiadomych przyczyn bardzo gęsto ustawione, jakby ktoś się uparł, żeby na każdy metr kwadratowy gruntu przypadało jak najwięcej mieszkańców. Nie przypominały polskich bloków z wielkiej płyty, wyglądały raczej jak odlane z betonu leżące na dłuższym boku pudełka od zapałek, zadrukowane w kształt geometrycznej kratki, bo taki rytm miały pokrywające całą fasadę loggie.

Pomiędzy blokami rozlewał się ocean wymieszanego ze śniegiem błota.

– To Warszawa? Polska w ogóle? – spytał Ludwik.

Wzruszyłam ramionami. Może być i Mars, byleby mieli sklep spożywczy. Sądząc po śniegu i błocie, raczej nie Lazurowe Wybrzeże, tylko jakiś właśnie rejon wiecznej szczęśliwości na Wschodzie. Może Polska, może Białoruś, może Rurytania albo Borduria, co to ma za znaczenie. Śnić jak najdłużej – tylko to się liczy. Dlatego, choć wymęczona seksem, bałam się zamknąć oczy, bałam się nawet mrugnąć. Żeby nie stać się na powrót starą babą w Warszawie.

Szybko wróciliśmy do środka, musiało być z minus dziesięć, minus piętnaście stopni. Z sypialni wyszliśmy na wąski korytarz, pełen szaf i drzwi do innych pomieszczeń, z których do tej pory zwiedziłam tylko maciupeńką toaletę. Cały poziom wydawał się dość długi i wąski, o proporcjach przerośniętego wagonu kolejowego. W połowie znajdowały się prowadzące na dół wąskie schody.

– Może coś do ubrania znajdziemy, zimno, cholera. – Ludwik zapalił światło i otworzył na oścież szafy. W jednej były garnitury, w drugiej damskie ciuchy. Zabraliśmy się do grzebania. Pięć minut później Ludwik miał na sobie szare spodnie, białą koszulę i wycięty w serek błękitny sweter. Do tego proste czarne sztyblety. Ubrania wyglądały jak uszyte na niego na miarę.

Ze mną było gorzej. Jeśli to sen, wtedy po raz pierwszy pomyślałam „jeśli”, moja podświadomość, jak to zwykle u kobiet bywa, chciała mi pokazać, że moje ciało do niczego się nie nadaje i do niczego nie pasuje. Właścicielka garderoby miała mniejszy od mojego tyłek i mniejszy biust, była za to wyższa i miała większą stopę. I zapewne była ruda, biorąc pod uwagę ilość zielonych i brązowych ubrań, tylko rude dobrze wyglądają w takich połączeniach. W końcu znalazłam jako tako pasującą spódnicę i włożyłam luźny kasztanowy golf, nawet ładny. Na stopy zamiast butów założyłam najgrubsze znalezione skarpetki.

On wyglądał jak z żurnala, ja jak ubrana przez Armię Zbawienia.

Zeszliśmy na dolny poziom.

– No nieźle – powiedziałam.

Schody prowadziły do połączonego z kuchnią salonu, przestronnego pomieszczenia, ładnie urządzonego delikatnymi

ciemnymi meblami. Owalny stół na cienkich, częściowo mosiężnych nogach, tapicerowane na czerwono krzesła, smukły kredens, dywan w geometryczne wzory. Mieszkanie wychodziło na obie strony budynku, salon znajdował się po przeciwnej stronie niż sypialnia, jego część tuż przy oknie została otwarta w górę na wysokość obu poziomów, a że tu okno również zajmowało całą ścianę – efekt wywierał wspaniałe wrażenie. Stanęliśmy przy tym ogromnym oknie, nie kwapiąc się do wizyty na balkonie, ciągle zziębnięci po poprzedniej eskapadzie. Wychodziło na kolejne dwa bloki, za którymi widać było elegancki pałacowy budynek z ogrodem, w którym rozpoznałam Pałac Krasińskich. Z tyłu przeplatały się czerwone, chaotyczne dachy Starego Miasta, nad którymi górował stromy dach katedry Świętego Jana.

– A więc jednak Warszawa?

Skinęłam głową.

– Czyli te wstrętne bloczyska stoją na terenach getta? Jakoś przy Bonifraterskiej? Tam, gdzie stoi ambasada chińska? W sensie tam, gdzie normalnie stoi?

Wszystko na to wskazywało. Nie chciało mi się komentować oczywistości. Już te bloki były wystarczająco dziwne, ale najdziwniejsza budowla stała na horyzoncie. W Warszawie starej baby i starego dziada, patrząc z tej perspektywy za dachem katedry, widzielibyśmy wysoki pylon mostu nad Wisłą, a za nim koszyk Stadionu Narodowego i nic poza tym. Gdyby uznać, że śnią mi się lata sześćdziesiąte lub siedemdziesiąte, to w ogóle przestrzeń za dachem katedry powinna być pusta. Tymczasem za Wisłą stała monstrualna wieża, tak na oko ze trzydzieści pięter. U podstawy prostokątny gruby klocek, na nim prostokątny średni klocek, na nim cienki, a na czubku szpikulec. Dość to było paskudne, a pomalowanie każdej z części na kolor flagi francuskiej – od góry niebieski, biały i czerwony – nie poprawiało sytuacji. Budowla byłaby w każdej skali obleśna, ale w tej musiała być najbrzydszym obiektem architektonicznym planety.

– Cudownie – skomentował w końcu Ludwik. – Nie dość, że mamy drugi Pałac Kultury na Pradze, to jeszcze brzydszy niż prawdziwy. Lepiej poszukam lodówki w tym całym układzie.

I poszedł. Ja tymczasem nie mogłam przestać się gapić.

Mimo zimna uchyliłam okno, wystawiłam głowę na zewnątrz i głęboko wciągnęłam kilka razy powietrze przez nos. Czułam przede wszystkim metaliczny zapach zimy, ale też węglowy dym z kotłowni, gorące mleko i bigos na zmianę z jakąś smażeniną, zależy, skąd wiatr powiał. Ktoś musiał palić papierosy na balkonie.

Starałam się łowić dźwięki, wyłuskać coś konkretnego z szumu miasta. Niektóre były proste – dzwonek ostrzegawczy tramwaju, trzask otwierania harmonijkowych drzwi w autobusie, pisk nienaoliwionej karuzeli na placu zabaw. To z dołu. Wokół, z mieszkań, dobiegały odgłosy życia domowego. Szum wody spuszczanej w toalecie, trzask garnków przestawianych na fajerkach, pisk małego dziecka, amatorskie rzępolenie na skrzypcach, niemożliwy do zrozumienia fragment rozmowy, damski poirytowany głos, przerwany przez trzask zamykanego okna. Jedyne, co zrozumiałam, to „raz w życiu mógłbyś…”, zapewne wtedy stała najbliżej.

Barwy, zapachy, dźwięki, im więcej ich czułam, tym bardziej rosła we mnie wściekłość, że tak się dałam oszukać. Jak cholerna żaba. Ta cholerna żaba, co jakby ją wrzucić do wrzątku, toby w try miga wyskoczyła z garnka. A jak się jej podnosi temperaturę o pół stopnia, to nawet nie zauważy, kiedy się w końcu ugotuje. Ja tak samo. Gdyby mi w wieku czterdziestu lat na chwilę pokazali, jak będzie wyglądało życie w wieku lat osiemdziesięciu – wyblakłe barwy, nieostre krawędzie, nierozróżnialne dźwięki, stłumione zapachy, wszystkie zmysły zepsute, opóźnione, nieprecyzyjne – palnęłabym sobie w łeb bez chwili wahania. A tak…

Zamknęłam okno. Zmarzluchem byłam zawsze, od urodzenia.

– Nic nie ma w tej lodówce! – Ludwik krzyknął z głębi mieszkania. – Tylko jakiś dziwny gulasz w słoiku, zjedzony do połowy. Idę na zakupy.

Zanim zdążyłam krzyknąć, żeby mnie nie zostawiał samej we śnie, już go nie było.

Nie czekając na to, czy i co odpowie, po chwili mocowania się z ogromnymi, przedpotopowymi zamkami otworzył drzwi na klatkę schodową.

Na wycieraczce siedziała kura.

Dość duża, wsiowa, zwyczajna białobrązowa kura. Nawet na niego nie spojrzała. Ostrożnie zrobił duży krok, żeby jej nie spłoszyć, i zamknął drzwi. Korytarz był długi i pusty, nie licząc kury, nieprzyjemnie mroczny przez oszczędnie rozmieszczone świetlówki, które musiały być zapalone non stop. Jedyne okna znajdowały się na końcach korytarza i nie miały szans oświetlić tego miejsca.

Czy to na pewno jest Polska?, pomyślał.

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie po schodach zadudniły kroki. Najpierw szybko większa grupa, jakieś dzieciaki, potem wolniej jedna osoba.

– Kurwy, świnie, brudne puty, łachudry, chuligani, jeszcze was dorwę! – darł się wściekły damski głos.

Polska. Nie ma wątpliwości.

W końcu trzasnęły drzwi i z klatki schodowej weszła na korytarz drobna kobieta o kwadratowej szczęce wschodnioeuropejskiej chłopki. Mogła mieć około czterdziestki, ale sprawiała wrażenie, jakby koniecznie chciała uchodzić za siedemdziesięciolatkę w rozdeptanych kapciach, rozciągniętej granatowej podomce i włosach owiniętych chustką w kwiatki.

– Jezu, Zofia, a ty znowu u doktora wysiadujesz, dzień dobry, panie doktorze, potrzeba coś? Jajeczka jutro będą, to przyniosę. Pozmywać, poprasować, łazienkę może umyję? Na szyby to za zimno jeszcze.

Podeszła do niego, zdecydowanym gestem wzięła pod pachę kurę, która nie straciła nic ze swego spokoju, i spojrzała wyczekująco.

– E… nie, dziękuję. Mam trudną pacjentkę, lepiej jej nie przeszkadzać.

Kobieta przeżegnała się, pocałowała wiszący na szyi krzyżyk i cofnęła się dwa kroki.

Czyli tutaj też jest psychologiem, dobrze wiedzieć.

Razem podeszli do wind, wdusił czerwony guzik i czekali.

– Ja na dół, a pani?

– Na dernier wracam.

Nie zrozumiał i nie za bardzo wiedział, jak się zachować, więc spróbował uśmiechnąć się dobrodusznie, ale ze zdenerwowania wykrzywił tylko twarz w dziwny grymas. Kobieta patrzyła na niego podejrzliwie i widać było, że czuje się niekomfortowo. Szybko zgasił więc uśmiech, co z jej punktu widzenia wyglądało zapewne, jakby przybrał groźną minę, i jej dyskomfort zamieniał się pomału w lęk, do tego ciemny korytarz, migająca lekko jak w horrorze jarzeniówka, sytuacja robiła się coraz bardziej niezręczna.

Wtedy przed nosem Ludwika zatrzymała się kabina windy. Drzwi się nie otworzyły, a nigdzie nie widział klamki. Popchnął drzwi, potem pomachał ręką przed czerwonym guzikiem, myśląc, że może fotokomórka, potem przejechał po nich delikatnie dłonią, szukając dotykowych paneli, czując się przy tym coraz bardziej idiotycznie.

– Pan doktor klucza zapomniał? – szepnęła sąsiadka.

Pokiwał tylko głową.

Zbliżyła się niepewnie, wyciągnęła z fartucha krótki klucz z dużą główką, otworzyła i przepuściła go przodem. Otworzył podwójne wewnętrzne drewniane drzwi i wszedł do środka. Drzwi już się zamykały, kiedy gwałtownie wyrzucił rękę i zacisnął na krawędzi – od strony korytarza musiało to wyglądać jak scena z taniego horroru.

– Tak, panie doktorze? – Kobieta nie próbowała już ukryć strachu, cofnęła się od windy, jak mogła najdalej, opierając się plecami o ścianę korytarza.

– A te jajka to jutro chętnie wezmę.

Pokiwała głową bez słowa.

– W takim razie do zobaczenia!

Ostatnie musiało w uszach sąsiadki zabrzmieć jak groźba. Zatrzasnął zewnętrzne drzwi, potem wewnętrzne, wdusił RC, uznając, że winda musiała zostać importowana z Francji, i dopiero wtedy odetchnął głośno z ulgą.

Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że choć w mieszkaniu miał wrażenie patrzenia na świat z wysokości około dziesiątego piętra, to guzików było tylko 8. RC i od jedynki do siódemki. On sam wsiadł na piątce, co nie miało żadnego sensu.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna w szarej jesionce, ciągnący za sobą kraciastą torbę na kółkach, po brzegi wyładowaną zakupami. Spod zamkniętej klapy wystawały jak rogi dwie bagietki. Przyjrzał się torbie z zainteresowaniem – bardzo przypominała podstawowe wyposażenie każdego emeryta z XXI wieku, on sam nie ruszał się bez takiego sprzętu na bazar. Ta jednak miała dodatkowo przymocowane do stelaża szelki, jak plecak.

– Dzień dobry – powiedział do towarzysza podróży. – Wszystko w porządku?

– W porządku to będzie, jak jeszcze obskoczę trójkę i szóstkę, chwilę mi zajmie, żeby się przebić przez te błota. Nieźle to wymyślili, jebaniutcy, co nie? Wszystko tak pięknie opracowane, a chodników, kurwa, nie ma. Bo natura. Trzy razu już petycję żeśmy z siódemki wysyłali, bo u nas serwisy i na dodatek żadnych smikardów ani szomerów nie ma jak u was, żeby się na dachu urządzili. No to musimy zapierdalać na te pielgrzymki, kurwa jego mać, raz w tygodniu biorę wolne, bo żona nie daje rady, z kręgosłupem od okupacji problemy. Natura, kurwa. Naturę to niech sobie robią, gdzie klimat na to pozwala. U siebie w Afryce najlepiej.

Kiwał głową z życzliwym zainteresowaniem, nie rozumiejąc ani słowa z tej przemowy. Pomyślał, że polska cecha, każąca na pytanie „co słychać?” odpowiadać zgodnie z prawdą i ze szczegółami, ma swoje ciemne strony.

– Pomoże mi pan z korbiarką? – zapytał towarzysz podróży, wskazując na torbę, kiedy winda zatrzymała się na parterze. Ludwik przytaknął skinieniem głowy, mężczyzna odwrócił się i pochylił, opierając dłonie na kolanach.

Podniósł ciężką torbę – czując się rozkosznie młodym i silnym – i pomógł mężczyźnie wsunąć ramiona w jej szelki.

– Wielkie dzięki. Dobrego! – krzyknął mężczyzna, poprawił kołnierz jesionki i wymaszerował z windy.

Ludwik wyszedł za nim do holu. Przestronnego i przeszklonego, na planie kwadratu. Ściana z trzema windami i drzwiami prowadzącymi zapewne na klatkę schodową była lita, pozostałe trzy natomiast szklane, co pozwalało zobaczyć, że, po pierwsze, blok nie stoi swoją podstawą na gruncie, lecz na betonowych nogach poustawianych pod różnymi kątami, skrzyżowanie żuka ze statkiem kosmicznym. Po drugie – wszystkie sąsiadujące budynki zostały skonstruowane identycznie. Gdzie spojrzeć, na bliższym i dalszym planie krzyżowały się ze sobą betonowe odnóża, pomiędzy którymi chodzili ludzie, wielu z takimi samymi torbami na plecach jak ta, którą przed chwilą podnosił.

Rozejrzał się, ale w zasięgu wzroku nie znalazł niczego, co by wyglądało na sklep spożywczy. Tylko bloki i ich betonowe nogi, żałował, że nie spytał faceta w windzie, skąd niesie pieczywo.

Obok wind znajdowała się mała kanciapka, z całą ścianą pokrytą małymi karteczkami z odręcznie wypisanymi nazwiskami mieszkańców. Wśród lokatorów piątego piętra znalazł swoje nazwisko.

W kanciapce siedział dozorca, czytał gazetę i palił papierosa bez filtra. Dozorcy, jak wiadomo, dzielą się na latających z miotłą cieciów i na dostojnych kierowników nieruchomości, ten należał zdecydowanie do drugiej kategorii, wyglądał na arystokratę czystej krwi, który nigdy nie pohańbił się nawet minutą pracy fizycznej, a szmatę do podłogi widział tylko na ilustracjach w książkach przedstawiających codzienność ubogich i dalekich cywilizacji. Garnitur, krawat, zapięta pod szyję koszula, wybrylantynowane włosy, zaczesane na gładko i tak świecące, że przypominały czuprynę ludzika lego. Wąsik wypielęgnowany do ostatniego włoska, jakby dozorca miał asystenta, który niczym innym poza dbaniem o zarost pana kierownika się nie zajmuje.

Zauważył Ludwika i utkwił w nim pytający wzrok. Nie powiedział ani słowa, nie wyjął też papierosa z ust. Patrzył, niby zachęcająco, ale tak naprawdę z sugestią, żeby odejść i nie zawracać mu głowy. Ludwik myślał gorączkowo, nie miał pojęcia, jak sformułować

pytanie, żeby nie wyjść na wariata, który nie wie, gdzie jest sklep spożywczy.

– Zimno dziś, cholera – powiedział w końcu.

Cieć nawet nie drgnął.

– A na dodatek kawa mi się skończyła. Pomyślałem: pójdę po kawę, ale zobaczyłem tego faceta z bagietkami i sobie zdałem sprawę, że nic nie jadłem od rana. I sobie pomyślałem: gdzie by tu iść po coś dobrego? Rozumie pan. – Część jego świadomości patrzyła na to z boku i widziała idiotę, ale cóż było robić.

Cieć wyjął papierosa z ust i nachylił się.

– Panie doktorze, ja wszystko rozumiem, ze mną pan nie musi dookoła krzaka. Ale co ja mam zrobić, może to nie wino, może to nie szlachetne trunki, ale zacier musi dojrzeć, a dopiero kilka dni, jak przestał pracować. Dwa tygodnie jeszcze, żeby był klarowny. Z jakości nie zrezygnuję, swój honor mam. A kto panu w ogóle powiedział? Wiśniowiecki spod trzydziestki? Cicha woda, profesorek, a to on mi kolumnę przyniósł z wydziału, inna sprawa, że teraz chce litr z każdego pędzenia, czy ta kolumna tyle była warta, to nie jestem pewien, no nieważne.

Nie miał pojęcia po raz kolejny, co powiedzieć. Więc improwizował:

– Dwa tygodnie, pan mówi, no niedobrze, niedobrze, akurat dziś dobrego klinika potrzebuję jak nigdy. Wczoraj… – Postukał się w szyję, co sprawiło, że dozorca zmrużył oczy i pokiwał głową ze zrozumieniem. – Teraz to mi trzeba soku z kiszonych ogórków i jakoś, sam nie wiem, sardynek bym może zjadł. Nie wie pan, gdzie ja sardynki dobre kupię?

Cóż, była to rozpaczliwa próba, ale miał nadzieję, że cieć, było nie było Polak, nie takie rzeczy ze szwagrem robił.

– No, doktorze, widzę, że faktycznie, szacuneczek. U nas widziałem sajrę, sardynki chyba w rybnym w siódemce, a soku pan dostanie u nas na wiosce. – Wskazał kciukiem do góry. – W lewo pan pójdzie do Głowackich, pomarańczowe drzwi, tam najlepsza kapucha, to i sok powinien być dobry.

Każda kolejna niewiadoma w tej wymianie zmian sprawiała, że jego szok poznawczy rósł, co w połączeniu z głodem i wyczerpaniem

seksem sprawiało, że jego mózg i ciało zaczynały zgodnie odmawiać posłuszeństwa. Poczuł, jak miękną mu nogi, przed oczami zaczęły latać czarne plamki, oddech i tętno przyspieszyły – jego organizm wariował.

Dozorca patrzył na niego podejrzliwie, więc bojąc się, że po kolejnym pytaniu i kolejnej niezrozumiałej odpowiedzi straci przytomność, pożegnał się zdawkowo i wrócił do windy.

Wdusił piątkę, ale kiedy kabina zatrzymała się na trójce i zobaczył na korytarzu kolejną osobę z zakupami, tym razem w starej dobrej siatce – jednej z tych, co wyglądały jak zrobione z sieci rybackich – wyszedł.

I to była dobra decyzja. Korytarz trzeciego piętra z jednej strony przypominał jego korytarz, z drugiej za to rozszerzał się na całą szerokość bloku i rósł z jednej do dwóch kondygnacji. Na tak wygospodarowanej przestrzeni mieściło się kilka sklepików, mikroskopijne centrum handlowe. Spożywczak, piekarnia i klub brydżowy. Aż się przyjrzał, czy to ostatnie to aby nie nazwa jakiegoś baru, ale nie – po prostu klub brydżowy, na szybie wisiały rozpiski turniejów, w środku przy dwóch stolikach toczyły się rozgrywki. Nawet jeśli w głębi działo się coś innego, to dym papierosowy skutecznie to zasłaniał, ośmiu mężczyzn kopciło bez przerwy, od czasu do czasu odkładając dymiące papierosy na wmontowane w stoliki przy każdym graczu popielniczki.

Zamglone akwarium nie wyglądało zachęcająco, mimo to poczuł znajomy ścisk w żołądku. Stawki, licytacje, moment niepewności towarzyszący rozkładaniu kart. Nie grał, odkąd wszyscy jego partnerzy z dawnych lat umarli, próbował z innymi, ale tylko mu się smutno robiło, więc od dawna przestał. Podszedł do szyby, żeby zajrzeć w karty najbliższego gracza. Słabizna, same blotki.

Stanie przy szybie i obserwowanie znajomej, bezpiecznej czynności przyniosło mu ukojenie i pozwoliło uspokoić oddech. Patrząc na schodzące kolejne lewy, mógł udawać, że reszta świata nie istnieje, nie musiał się zastanawiać, że znajduje się w dziwnym bloku, w dziwnej Warszawie, w dziwnym czasie i w dziwnej rzeczywistości i coraz trudniej jest udawać, że to sen, który za chwilę dobiegnie końca. To nie był sen, w jakiś sposób czuł to od

początku. Tylko nie miał jeszcze odwagi, żeby zmierzyć się z tą świadomością.

Małymi kroczkami, myślał sobie. Małymi kroczkami. Żeby nie zwariować.

Małym kroczkiem cofnął się od szyby oddzielającej go od brydżystów i wszedł do sklepu, na którym widniało znajome logo Warszawskiej Spółdzielni Spożywców „Społem". Był to niewielki sam z drucianymi koszykami, dwiema alejkami i jedną kasą, za którą stała ubrana w biały fartuszek dziewczyna. Młodziutka, niewysoka, pucułowata, spod szerokiej białej opaski wystawały krótko obcięte czarne włosy, jasne oczy miała tak intensywnie umalowane „na kociaka", że sięgające w stronę uszu czarne łezki wyglądały bardziej jak maska komiksowego superbohatera niż jak makijaż. Naprawdę kiedyś była taka moda? Kompletnie o tym zapomniał.

Chwycił koszyk i ruszył na zakupy. Ryż, kasze, makaron, słodycze, konserwy mięsne, konserwy rybne, kakao – bezwiednie czytał etykiety nad półkami, szukając czegoś, co się nadaje do jedzenia bez konieczności gotowania, pieczywo kupi w piekarni, ale potrzebuje wędlin, żółtego sera, masła, majonezu, żeby chociaż kanapki zrobić. Zabawnie się czuł, bo choć wszystkie etykiety napisano po polsku, towarzyszyło mu wrażenie znane z podróży zagranicznych, które Grażyna nazywała z francuska „epiceriografią". Faktycznie, było w tym coś z nauki, bo oboje uważali, że sklep spożywczy więcej mówi o kulturze danego miejsca niż muzea. Dobór towarów, opakowania, sposób ich wyeksponowania – można w tym czytać jak w przewodniku. Szwecja ze swoją państwową siecią sklepów z alkoholami mówiła: tak, mamy problem z chlaniem na umór, więc niech chociaż państwo na tym zarobi. Protestancki etos szczerości i obywatelska postawa. Stany ze sprzedawaniem wszystkiego w monstrualnych „rodzinnych" opakowaniach nie pozostawiały wątpliwości, co jest u nich najważniejszą wartością – przesada. We Francji w każdej najmniejszej dziupli można kupić produkty regionalne, żeby nikt nie zapomniał o dumie ze swojej małej ojczyzny, a bretoński sprzedawca zapytany o butelkę calvadosu wywracał oczami, jakby Normandia znajdowała się

w odległej wrogiej galaktyce. Dlatego w każdej podróży zawsze kierowali pierwsze kroki do spożywczaka, by zwiedzać go z zapałem i wnikliwością przez innych zarezerwowanymi dla gotyckich katedr.

Tutaj epiceriografia wciągnęła go identycznie. Napisy po polsku, ale wszystko inne. Przede wszystkim nie było żadnych produktów w plastikowych opakowaniach, tylko w szklanych, metalowych i papierowych. Najbardziej zdziwiła go bateria słoików: gulasz, pulpety, bigos, nie wiedzieć czemu, nazwany z francuska szukrutem, groch, fasolka z boczkiem tytułowana na etykiecie kasuletem, jakieś tajemnicze „Kenelki", pomidory konserwowe… Pomidorów wziął słoik, uwielbiał je, a w Polsce od lat nie widział, jedna pacjentka mu przywoziła z Ukrainy. Do tego dobrał pasztet, konserwę turystyczną i serek topiony tylżycki. Zaskoczyła go ilość francuskich produktów, w tym stojak z suszonymi kiełbasami z gatunku tych, co to wciąż będą dobre, kiedy słońce zmieni się dawno w czerwonego olbrzyma. Wziął jedną z orzechami laskowymi i jeszcze krakersy o nazwie „L'Alsacienne", myśląc, że Grażynie to się spodoba. Gdyby tak jeszcze butelkę wina… Rozejrzał się, ale żadnych alkoholi w sklepie nie było. Tak, to by tłumaczyło, dlaczego cieć zajmuje się pędzeniem.

W końcu podszedł do kasy, tak się akurat złożyło, że był jedynym klientem. Przywitał się grzecznie i postawił na ladzie koszyk z zakupami.

– Dzień dobry, panie doktorze. Coś jeszcze pan sobie życzy?

Uśmiechnęła się w taki sposób, że „jeszcze" nabrało w jego głowie erotycznych znaczeń. Uspokój się, dziadu stary, pomyślał, łapiąc swoje przystojne odbicie w przeszklonej ladzie chłodniczej z serami i wędlinami. Jaki stary? Jaki dziadu? Cholera, szkoda, że nie wiedział, jak panienka ma na imię.

– A szanowna pani to nie ma imienin niedługo?

– W Wigilię obchodzę, jak wszystkie porządne Ewy. Ale kwiaty przyjmuję i bez okazji.

Poprawiła opaskę na włosach, paznokcie miała krótko obcięte, nieumalowane. Rany, jaka była młoda. Musiała mieć dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Żadnej zmarszczki, żadnej krosty, gdyby mógł, starłby z niej ten mocny makijaż do ostatniej kropki,

żeby zobaczyć swoimi nowymi ostro widzącymi oczami z bliska tyle wspaniałej młodości. I flirtowała z nim! Z nim! Ostatni raz, kiedy jakaś kobieta przed pięćdziesiątką z nim flirtowała, to jeszcze komuna była.

– To może goudy wezmę ze trzydzieści deko. – Szkoda, że on sam nigdy nie był dobry w sztuce uwodzenia, i finezji mu brakowało, i śmiałości.

Śliczna Ewa trochę zmarkotniała na tę ripostę i ukroiła kwadratowy kawałek sera, zawinęła w pergamin, szybko wybiła wszystko na monstrualnej analogowej kasie i podsumowała rachunek, osiemnaście złotych.

Wtedy zdał sobie sprawę, że nie ma pieniędzy.

– Pani Ewo kochana, portfela nie wziąłem.

Oparła się na ladzie i zamrugała oczami, makijaż jej się od tego obsypał jak brokat z bombki choinkowej.

– No to będzie musiał się pan do mnie pofatygować jeszcze raz. Jakby pan nie zdążył do osiemnastej, to potem tylko dwa piętra. Wyrwę się rodzicom, moglibyśmy pójść na dach na chwilę.

Rodzicom? Czy naprawdę błyska do niego oczami i biustem panienka, która mieszka z rodzicami? To się nie dzieje naprawdę, aż zaczął się zastanawiać, czy ona w ogóle jest pełnoletnia. Zmieszany zapakował wszystkie sprawunki do papierowej torby i zaczął się wycofywać ze sklepu, dukając pożegnania i podziękowania, czując, że z każdym słowem coraz bardziej się czerwieni.

– Panie doktorze – powiedziała, kiedy stał już przy drzwiach. Wyprostowała się i zrezygnowała ze swojej postawy femme fatale na dorobku. – Pan jest mądry, wykształcony człowiek. Myśli pan, że ma sens iść do Efu? Była tu ostatnio rekrutorka, mówiła, że ciągle miałabym szansę, wprowadzają nowe programy dla dorosłych. Różnie o nich mówią, ale jak się ich widzi na mieście, te stroje, te fryzury, sam pan rozumie, inaczej to się boję, że nigdy się z dernieru nie wyrwę. – Wskazała głową na sufit.

Nie miał pojęcia, o czym jest mowa. Ef? Za PRL-u tak się mówiło o Niemczech, na Śląsku nie jeździło się pracować do Niemiec ani do Enerefu, ale do „Efu” właśnie.

– W sensie wyjechać?

– Docelowo pewnie tak. – Wzruszyła ramionami. – Prawie wszystkie dziewczyny z Efu wyjeżdżają, inaczej jaki to by miało sens?

– Ile pani ma lat?

– Dziewiętnaście. Wiem, późno, jeśli w ogóle, to powinnam iść po siedmiolatce jak wszyscy, ale myślałam o gimnazjum, a potem ojciec wyjechał, nie wiem, po co panu to wszystko opowiadam.

On wiedział doskonale. Odkąd pamiętał, miał w sobie coś takiego, że ludzie mu się zwierzali, zwłaszcza kobiety. W dzieciństwie różne ciotki i znajome matki („No po cóż ja ci to w ogóle mówię!"), potem koleżanki, dzięki czemu całował się najwcześniej z chłopaków z klasy. Znajome, przyjaciółki, kobiety poznane na prywatkach, te spotkane w windach i przedziałach kolejowych, im bardziej obce, tym chętniej zrzucały na niego prywatne i intymne szczegóły swojego życia. Na długo zanim uzupełnił ten dar o wiedzę i został wiele dekad później jednym z najbardziej znanych polskich terapeutów, a jego metoda lustrzanych konfrontacji eksportowym towarem polskiej psychologii. Ale wszystkie te metody, praktyki, studia, sympozja, tytuły naukowe i setki pacjentów to była tylko nakładka na jego dar, który sprawiał, że ludzie lubili mu się zwierzać.

– Zrobi pani coś dla mnie?

Zarumieniła się.

– Zależy, czy…

– Niech pani znajdzie sobie któregoś wieczoru miejsce, gdzie może być zupełnie sama – wpadł jej w słowo, tryb zawodowy zwyciężył z chęcią emablowania małolaty – gdzie nikt nie będzie pani przeszkadzał. Niech pani zamknie oczy i powyobraża sobie siebie w najróżniejszych sytuacjach. Może z dzieckiem? Może z mężem? Może w domu na wsi? Może w podróży? Może w pracy? Może w mieszkaniu z rodzicami? I za każdym razem kiedy już ten obraz będzie pani widzieć ze szczegółami, niech pani pomyśli: czy jestem szczęśliwa? A potem niech pani do mnie przyjdzie pogadać. Jasne?

– Dakodak! – krzyknęła radośnie. – Jak mówią w Efie, co nie? Ale pan jest mądry…

– W tym wieku to żadna sztuka. Powodzenia!

Z nowym zastrzykiem energii, jaki zawsze dawała mu praca, chwycił torbę ze sprawunkami, wyszedł i ruszył w stronę windy. Dochodził do granicy między rozświetloną zimowym słońcem częścią handlową a ciemnym korytarzem, kiedy ktoś go zawołał:

– Halo, panie Ludwiku, gazet pan nie bierze? „Polityka" dziś jest!

Odwrócił się zaskoczony, w drzwiach piekarni – która najwidoczniej pełniła też funkcję kiosku – stał chudy i wysoki mężczyzna w białym fartuchu, pod którym miał koszulę i krawat. Teatralnie pacnął się w czoło, bo przecież nie tylko o gazetach zapomniał, ale i o pieczywie – i lekkim truchtem podbiegł do piekarni. Ta wyglądała jak… piekarnia: chleby, bagietki, bułki paryskie i trochę słodkich ciastek. Gazet nie widział.

Piekarz pod krawatem wyciągnął jednak spod lady teczkę z jego nazwiskiem, wyjmując stamtąd „Politykę", „Kobietę i Życie" oraz nieznanego mu „Warszawiaka", który wyglądał na popularną popołudniówkę.

Wziął do ręki „Warszawiaka" i spojrzał na datę: 23 stycznia 1963. Dokładnie pięćdziesiąt lat. Dokładnie ten dzień, kiedy obudził się koło Grażyny i już wiedział, że nigdy nie będzie chciał się obudzić obok nikogo innego, bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu za to zapłacić. I teraz znowu jest z nią, znowu tego dnia.

I co dalej?

Rozwinął gazetę. Pod tytułem znajdowało się duże czarno-białe zdjęcie, przedstawiające trzech polityków. De Gaulle'a rozpoznał od razu po wielkim nosie i odstających uszach. Obok niego stał jakiś zasuszony staruszek o twarzy ufoludka, a obok ufoludka – dorównujący Francuzowi wzrostem i zapewne też wiekiem szczupły mężczyzna o smutnej twarzy dobrego, mądrego człowieka.

Tytuł pod zdjęciem głosił: „Historyczna chwila! Prezydent Eugeniusz Kwiatkowski w Paryżu podpisuje Traktat Przyjaźni z Francją i Niemcami! Historia Europy zaczyna się na nowo!".

4

Zła byłam na Ludwika, że poszedł beze mnie, sama bym chciała pozwiedzać trochę świat za drzwiami – zakładając, że jest tam jakiś świat, a nie czarna dziura, do której wpadł, a ja teraz muszę czekać głodna nie wiadomo na co. Bez niego poczułam się samotna i przestraszona w tym aż nazbyt realistycznym śnie, w mieszkaniu, którego nie znałam, w obcych ciuchach i mimo wszystko obcym ciele.

Wolałabym, żeby wrócił.

Żeby odgonić złe myśli, zajęłam się zwiedzaniem mieszkania. Dolny poziom składał się właściwie tylko z balkonu, przestronnego salonu, kuchni i mikroskopijnego holu, z którego można było wyjść na korytarz.

Lodówka, zgodnie z twierdzeniem Ludwika, była nieomalże pusta, nie licząc słoika z połową gulaszu, którego nie odważyłabym się nawet wziąć do ręki. Na wierzchu zebrał się gruby kożuch, który mógł być zastygniętym tłuszczem, ale równie dobrze czymś, co sprawi, że po otwarciu trzeba będzie objąć całe miasto kwarantanną. Poza tym musztarda diżońska, francuski dżem z czarnej porzeczki oraz kilka skurczonych i pomarszczonych ze starości marchewek. Otworzyłam dżem. Wyglądał niewinnie, pachniał dobrze. Cóż, raz się żyje. Co mi grozi w końcu? Rozwolnienie? Dla kogoś, kto od dwudziestu lat zmaga się z zaparciami, to nie tyle groźba, co obietnica.

Przetrząsnęłam szafki w poszukiwaniu jakiegoś dodatku węglowodanowego. Znalazłam przyprawy, ryż i makaron oraz fajny robot Moulineksa o wdzięcznej nazwie „Charlotte”. W starych seksistowskich czasach wszystkie sprzęty domowe miały kobiece nazwy. Śmieszne wrażenie, cały design robota pochodził z lat pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych, jak coś, co się dziś w muzeach ogląda, a jednocześnie sprawiał wrażenie świeżo wyjętego z pudełka, z bielutkim plastikiem, niepobrudzonym kablem i świecącymi nowością końcówkami. Pomyślałam, że tej rudej, co tu mieszka, gotowanie nie zajmuje zbyt wiele czasu.

Alleluja, chwalmy Pana, w chlebaku znalazłam nienapoczęte opakowanie macy, które rozdarłam, żeby zrobić sobie kanapki z dżemem. Jadłam łapczywie, krusząc macą po całej kuchni, o Jezu, ale to było dobre, omal kolejnego orgazmu nie dostałam. Zeżarłam cały dżem, macy pół opakowania i ciągle byłam głodna.

Prosto z kuchni poszłam na górę do toalety, gdzie przekonałam się, że nie grożą mi ani zaparcia, ani rozwolnienia. Moje młode ciało wypróżniało się bez wysiłku, bez przygód, wręcz niezauważalnie, z gracją, powiedziałabym. Co było dość zachwycające, ale nie na tyle, żebym po tych wszystkich fizjologicznych bachanaliach, jakim oddawałam się od rana, nie zapragnęła prysznica.

Łazienka znajdowała się obok toalety i była mikroskopijna. Mała wanna, umywalka, pralka typu Frania – tyle że o kształcie prostopadłościanu, a nie walca – wciśnięta między umywalkę a drzwi w ten sposób, że nie dawało ich się uchylić do końca. Wśliznęłam się do łazienki, zrzuciłam łachy i zrobiłam sobie gorącą kąpiel, śmiejąc się w głos, gdy znalazłam koło wanny szklany pojemnik w kształcie szyszki i nasypałam do wody soli kąpielowej o intensywnym zapachu sosnowej żywicy. Zanurzyłam swoje wspaniałe ciało w leśnej kąpieli i pomyślałam, że zaraz po przebudzeniu popełnię samobójstwo. Byle tylko nie być stara. Ten sen czy czymkolwiek to było, uświadomił mi jedną rzecz. Starość nie jest naturalną kontynuacją poprzedzających ją etapów życia – dzieciństwa, młodości i dojrzałości. To jest zło. Zło, które trzeba wypalić żelazem.

Po kąpieli przejrzałam damskie kosmetyki w szafce, zestaw podstawowy i dość skromny. Wstrząsnęło mną przede wszystkim opakowanie waty, już zapomniałam, jak to jest mieć okres, a o tym, jaki to był koszmar żyć bez podpasek i tamponów – zapomniałam nieskończenie. Skropiłam się trochę „Soir de Paris” i sięgnęłam po stojący obok słoiczek kremu, kiedy pomyślałam: po co? Po co mi krem, skoro jestem idealna?

I od tej myśli znowu nabrałam ochoty na seks. Owinęłam się szlafrokiem i zeszłam na dół, ale Ludwik jeszcze nie wrócił.

Nie podobało mi się to wcale a wcale.

Otworzyłam drzwi wejściowe i wyjrzałam na zewnątrz. Zobaczyłam ciemny korytarz, śmiesznie kolorowe drzwi do mieszkań i plamę na wycieraczce, która – przysięgłabym – wyglądała na kurze odchody.

Postałam chwilę, słysząc szum windy, w nadziei, że to Ludwik, ale nie, pojechała wyżej.

Wróciłam do środka. Zaparzyłam sypaną herbatę w pękatym porcelanowym kubku, ładnym, ale trochę zbyt delikatnym jak na mój gust, i zaczęłam nerwowo chodzić po mieszkaniu. Widok niepokojąco obcego świata za oknem drażnił mnie. Poszłam do łazienki i umyłam palcem zęby, sen czy nie sen, nie wyobrażałam sobie używania cudzej szczoteczki.

Potem otworzyłam ostatnie drzwi, za którymi jeszcze nie byłam, na górnym poziomie. Pokój znajdował się na antresoli, kończył się balustradką, za którą znajdował się wysoki na dwa poziomy salon.

Fotel, kozetka, biurko, krzesło i regały z książkami, które wypełniały szczelnie wszystkie półki, poustawiane oczywiście w dwóch rzędach, a i tak nad nimi poupychano jeszcze w poziomie mniejsze wydania, Książki stały też na dwóch prowizorycznych półkach nad drzwiami – zbyt prowizorycznych, aby można je było uznać za element projektu architektonicznego – oraz poukładane w wieże tworzyły dodatkową niską ściankę przed balustradką.

Inteligencki gabinet, bez dwóch zdań.

Postawiłam herbatę na biurku i już miałam poszukać czegoś do czytania, kiedy moją uwagę przykuły stojące na jednym z regałów zdjęcia oprawione w cienkie mosiężne ramki. Kilka wakacyjnych landszaftów, ślubne zdjęcie ludzi, których w życiu na oczy nie widziałam, inna obca para z dzieckiem. I dwa zdjęcia Ludwika. Na pierwszym: wbity w garnitur młody Ludwik, z miną mówiącą „to najszczęśliwsza chwila mojego życia i sikam po nogach z przejęcia, ale jestem zbyt dumny, żeby to pokazać” oraz niższy o głowę staruszek w okularach, o sympatycznej twarzy nazistowskiego księgowego. Znałam tę gębę aż za dobrze, wisiał u nas jego portret rozmiaru A4, ten sam uśmiech proroka przyozdabiał wszystkie jego książki, których mieliśmy pół regału w kilku wydaniach i kilku językach. Ile razy wrzeszczałam w czasie awantur, że ten dziad to

jedyna prawdziwa miłość mojego męża – nie policzę. Cholerny guru, jeśli o mnie chodzi, to te jego sekciarskie teorie więcej mają wspólnego z religią niż z nauką, no ale co ja tam wiem, nauczycielka z podstawówki.

Na drugim: beztrosko uśmiechnięty Ludwik w koszuli z podwiniętymi rękawami stał obok postawnego czterdziestolatka o szerokiej, szczerej gębie wiejskiego proboszcza. Obcięty na jeża, uśmiechnięty od ucha do ucha, wyglądał na „swojego chłopa", zwłaszcza przy Ludwiku, którego szlachetne rysy zdradzały inteligencko-mieszczańskie pochodzenie. W tle stał surrealistycznie ogromny stóg siana, przez co fotografia robiła wrażenie pocztówki reklamującej sielskie krajobrazy polskiej wsi.

Tak. I teraz kilka pytań. Co w tym dziwnym mieszkaniu, w tym dziwnym bloku, w tym dziwnym świecie robią zdjęcia mojego Ludwika? I jak to możliwe, że na jednym przytula się do starego Karola Gustawa Junga, którego nigdy w życiu nie spotkał, a na drugim obejmuje po bratersku Edwarda Gierka?

Pozastanawiałabym się nad tym, ale na dole trzasnęły drzwi. Nareszcie. Co za ulga.

– Tutaj jestem! – krzyknęłam, odstawiając zdjęcie z Gierkiem na półkę.

Słyszałam, jak Ludwik odstawia zakupy na blat w kuchni i idzie schodami na górę. Matko Boska, za chwilę znowu go zobaczę i znowu będę się kochać, czy to nie wspaniałe?

Uklękłam na biurku, zarzuciłam sobie szlafrok na plecy i wypięłam goły tyłek w kierunku drzwi do gabinetu, ten widok zawsze doprowadzał go do szaleństwa.

Za mną otworzyły się drzwi.

I wtedy uderzyła mnie jedna myśl: skoro to są zdjęcia Ludwika i skoro to jest mieszkanie Ludwika, to czyje, do jasnej cholery, są te ciuchy, które na mnie nie pasują?

– Pani sobie życzy, żeby ją podetrzeć czy żeby ją pocałować? – Usłyszałam za sobą damski głos.

5

Zbyt podniecony znalezionymi w gazecie wiadomościami nie dał rady bezczynnie czekać na windę, wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie i rozkoszując się tym, że choć jego serce przyspieszyło, nie czuł ani zadyszki, ani zmęczenia, nie wspominając o zawrotach głowy. Pomyślał, że musi znaleźć jakieś sportowe ciuchy i pójść pobiegać, w śniegu, błocie, na mrozie, nieważne. Byleby tylko czuć, jak wspaniale funkcjonuje maszyneria jego ciała.

Na piątym poziomie przez chwilę poczuł się zdezorientowany, nie pamiętając, które drzwi są jego. Na pewno na prawo od wind i na pewno po lewej stronie korytarza. Ale które z kolei? Trzecie? Czwarte? Piąte? Szlag by to trafił. Na szczęście na jednej z wycieraczek zobaczył pamiątkę po Zofii, głupiej kurze, która uwielbiała wysiadywać pod jego drzwiami.

Ostrożnie otworzył drzwi, tak, to było to mieszkanie.

– Jestem! – krzyknął. – Grażyna, jak ci powiem, to nie uwierzysz.

– Na górze! Czy możesz przyjść szybko na górę, proszę?

Poczuł niepokój. W głosie żony usłyszał histeryczne tony, które bardzo mu się nie podobały. Rzucił sprawunki razem z gazetą na podłogę i pobiegł wąskimi schodami na górną kondygnację. Rozejrzał się i zobaczył Grażynę w szlafroku, stojącą przy biurku w pomieszczeniu, w którym jeszcze nie był. Z ulgą spostrzegł, że w tym mieszkaniu są jednak książki. Wcześniej nie chciał się dzielić tą myślą z Grażyną, ale przyszło mu do głowy, że jeśli trafili w zaświaty, to wieczność bez literatury nieszczególnie go podnieca. Nawet seks nie potrafiłby tego zrekompensować.

O seksie zresztą chwilowo nie było mowy. W gabinecie stały naprzeciwko siebie jego dwie żony. Grażyna, z wyzywającą miną, rękami skrzyżowanymi na piersiach, próbująca wyglądać poważnie mimo szlafroka, bosych stóp i rozczochranych wilgotnych włosów. Oraz Iwona, z rękami w kieszeniach prostych spodni, wysoka, dumna, z ironicznym uśmiechem na wąskich ustach. Patrzył na nią z ciekawością. Choć ciągle żyła, to nie miał z nią żadnego kontaktu od trzydziestu lat, a takiej nie widział od rozstania. Odkąd pół

stulecia temu porzucił ją dla Grażyny, przedstawiając swojej kochance tradycyjną męską wersję o parze, której nic ze sobą nie łączy, nie sypiają ze sobą, właściwie się nie widują, a kontakt utrzymują jedynie korespondencyjny.

Iwona spojrzała na niego z rezygnacją i wskazała na Grażynę.

– Byłbyś łaskaw coś z tym – zaakcentowała to słowo w sposób niepozostawiający wątpliwości, że zaimek odnosił się do osoby, nie do sytuacji – zrobić i odzyskać mój ulubiony szlafrok, proszę?

– Wiesz, dlaczego mam w dupie ciebie i twoje impertynencje? – wysyczała Grażyna. – Bo mi się śnisz!

– Tak, to bardzo interesujące. Ludwiku, czy możesz zabrać tę panią razem z jej zaburzeniami i przemienić ten przytułek dla psychicznie chorych z powrotem w nasz dom? Byłabym ci szalenie zobowiązana za podarowanie mi komfortu zrobienia sobie kawy bez lęku, że jakaś goła wariatka z grubym tyłkiem poderżnie mi od tyłu gardło.

– Ty, ty… – Grażyna nigdy nie była mistrzynią błyskawicznych ripost, zwłaszcza w momentach wzburzenia. – Ty sucha szmato ruda ty, najpierw z nim pomieszkaj parę dekad, a potem się dopiero odzywaj do mnie. Myślisz, że dlaczego cię zostawił? Co?

Iwona westchnęła, wyjęła ręce z kieszeni i obciągnęła swój pomarańczowy golf, prostując jego fałdy. Spojrzała na niego ze spokojem, zapomniał kompletnie, jakie miała mądre spojrzenie. A być może w ogóle nigdy tego nie zauważył w czasie ich małżeństwa.

– Zrób coś z tym, proszę. Najlepiej w czasie krótszym niż parę dekad. To byśmy się jeszcze wina dziś razem napili.

Grażyna parsknęła śmiechem.

Nie miał pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji. Jak rozdzielić dwa plany czasowe swojego życia. W dzisiejszym jest żonatym facetem, który romansuje z młodszą. We wczorajszym żonatym facetem, który z tą „młodszą” spędził kilka szczęśliwych dekad. Co oznacza, że ma w tej chwili dwie pełnoprawne żony. Każde rozwiązanie wydawało się złe.

– Bardzo cię przepraszam – powiedział w końcu do Iwony. – Dałem jej twój szlafrok, bo wyrzuciła swoje rzeczy przez okno,

zbiegłem teraz na dół, ale już ktoś, wiesz jak to jest. Gdybyś mogła…

Była żona spojrzała na niego wzrokiem pozornie spokojnym, ale zobaczył w nim ślad furii i od razu przypomniał sobie, skąd kojarzył stojącą w sypialni ogromną popielniczkę z napisem BYRRH na boku. Pamiętał ten przedmiot sprzed pięćdziesięciu lat, kiedy minął jego głowę o milimetry, rzucony wprawną ręką grającej regularnie w tenisa Iwony. Tynku odpadło tyle, że można było ocenić, czy cegły są równo ułożone.

– Mogłabym. Całą szafę mogłabym oddać tej nieszczęsnej chorej osobie, to znaczy z tego, co widzę, tylko te luźniejsze rzeczy. Ale mogłabym też wskazać jej ciuchy, które najwyraźniej przyleciały z powrotem, wymieszały się w magiczny sposób z twoimi ubraniami i zwinęły w kłąb koło kozetki. Potem porozmawiamy o tych czarach. Teraz ją stąd zabierz.

Pomyślał, że trzeba było obejrzeć najpierw dokładnie mieszkanie, zanim się wybrał na zakupy.

– Nigdzie się nie wybieram – wycedziła Grażyna.

Bał się swojej kolejnej kwestii, ale nie miał pomysłu na inną.

– Bardzo cię przepraszam za tę sytuację – wyszeptał do Iwony. – Nie miałem pojęcia, że to do tego stopnia trudna pacjentka. Pewne jej zaburzenia, fantazje, słyszysz to przecież. Szukała pomocy ze względu na stany histeryczne, nic tego nie zapowiadało.

– Że co?! – Grażyna wydarła się na pół bloku.

Dał jej znak ręką, żeby się uspokoiła, nie przestając mówić.

– Ciężkie dzieciństwo, trauma z czasów okupacji, nawet nie chcesz wiedzieć, co przeżyła, dlatego ucieka w świat fantazji. To nie jej wina. Zostaw nas na chwilę samych, spróbuję ją wyprowadzić jakoś łagodnie. Jeśli zobaczy policję, mundury, rozumiesz…

Iwona spojrzała na niego.

– Masz dziesięć minut. Potem wzywam policję i wierz mi, żadna jej trauma nigdy mi nie spędzi snu z powiek.

– Dziękuję.

– Dziewięć minut i pięćdziesiąt sekund. Na twoim miejscu nie marnowałabym czasu na podziękowania.

Skinęła głową na pożegnanie Grażynie, to jednak była stara mieszczańska rodzina, kindersztuba ponad wszystko. I wyszła.

Grażyna miała tak wściekłą minę, że na wszelki wypadek cofnął się o krok. Na poważnie bał się, że rzuci się na niego z pięściami.

– Co ona tutaj robi? – spytała. – Rozumiem, że wylądowaliśmy w jakiejś wersji waszego mieszkania z przeszłości, tak? Jak to możliwe?

Dobre pytanie.

– A bo ja wiem? Przecież widzisz, że to inna Warszawa, inne mieszkanie, jakaś inna w ogóle rzeczywistość fikcyjna. – Postanowił się trzymać tej wersji, licząc na to, że uda się zrzucić na nią kilka faktów, które przed Grażyną zataił pięćdziesiąt lat wcześniej.

– I co zamierzasz zrobić w tej fikcyjnej rzeczywistości? Bo właśnie zrobiłeś ze mnie wariatkę i obiecałeś swojej żonie, że mnie stąd zabierzesz. Przepraszam, ale dokąd dokładnie? Do szpitala dla psychicznie chorych? Do przytułku? A może po prosto do lasu na mróz? A potem wrócisz do żony z kwiatami, pić wino i rozmawiać o nieobliczalnych pacjentkach?

– Najpierw stąd wyjdźmy – wyszeptał, bo gabinet był przecież połączony z salonem piętro niżej i bał się, że Iwona podsłuchuje. – Ubierz się, wyjdźmy, bądźmy sami, zastanówmy się, co dalej. Po pierwsze, nie zmienimy tego, że ona tu jest…

– Czemu? Parę sposobów by się znalazło.

– …po drugie, muszę ci coś pokazać. Załóż te ciuchy, co miałaś wcześniej, albo te, co tutaj leżą, cokolwiek załóż i się uspokój. Chyba że chcesz, żeby ta zołza naprawdę wezwała policję, która odwiezie cię do zakładu zamkniętego z lat sześćdziesiątych.

– Skąd wiesz, że to lata sześćdziesiąte?

– Ubierz się.

Zacisnęła mocniej pasek szlafroka, minęła go bez słowa i poszła do łazienki. Cóż, przynajmniej jest szansa, że stąd wyjdą. Odetchnął głęboko, żeby uspokoić nerwy, poprawił fryzurę i zszedł na dół.

Iwona siedziała w fotelu z papierosem w ręce.

– Jak pacjentka? Wyjdzie sama czy zawołać gestapo?

– To nie jest zabawne.

Spojrzała na niego bez uśmiechu.

– To zdecydowanie nie jest zabawne, Ludwiku. Interesujące, przyznaję. Ale bardzo niezabawne. Odstaw ją w bezpieczne miejsce, z mocnymi zamkami najchętniej. Kluczyki mam w kieszeni płaszcza, a stoję pod ostatnim filarem, tam jest chyba najmniej tego przeklętego błocka.

– To my mamy samochód? – zapytał ze szczerym zdziwieniem.

Zmarszczyła brwi.

– Przepraszam, ale jakiego rodzaju to ma być żart? Że niby żonka pojechała, wróciła i nawet ciągle samochód mamy? A na zakrętach pewnie piszczała i robiła śmieszne miny. Stać cię na więcej. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jeżdżę lepiej niż ty.

– No to akurat nie jest trudne – dopowiedziała Grażyna, w wygniecionych, ale tym razem dopasowanych ciuchach; miała na sobie spódnicę i sweter w pionowe pasy z bardzo szerokim golfem. – Zawsze jeździł jak dupa wołowa, prawda, Ludwiczku?

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Iwona, nawet jeśli miała ochotę coś powiedzieć, zrezygnowała. Zamiast tego wstała z fotela i podeszła do swojej następczyni.

– Trudno powiedzieć, że miło było mi panią poznać, ale na pewno życzę pani wiele szczęścia i rychłego powrotu do dobrego samopoczucia.

Ludwikowi zrobiło się przykro, młoda Grażynka zawsze łatwo się peszyła i płoniła, a dotknięta złośliwością lub przykrością uśmiechała się niepewnie, żeby potem płakać i odreagowywać w samotności. Dlatego mu się spodobała. Świeża, delikatna, pozbawiona pancerza. Jej niezdolność do riposty nie wynikała z braku inteligencji, tylko z duchowej czystości, braku gotowości na złośliwość nawet w samoobronie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Grażyna. – Zawsze chciałam poznać kobietę, którą Ludwik porzucił dla mnie. Także życzę szczęścia i proszę pamiętać, że kobieta samotna wcale nie jest mniej wartościowa. Nie można dać się upokorzyć patriarchalnemu społeczeństwu. Idziemy?

Ostatnie słowo wypowiedziała, patrząc zimno na Ludwika.

Starając się nie patrzeć żadnej ze swoich żon w oczy, poszedł do holu, znalazł beżowy prochowiec Iwony, a w nim metalowy kluczyk

przyczepiony do niewielkiego breloczka z podwójnym odwróconym V, logo Citroëna.

Czyli ma cytrynę, fajnie, zawsze był fanem marki, w latach dziewięćdziesiątych nawet jeździł modelem XM przez kilka lat, grat psuł się bez przerwy, ale kiedy działał – to działał bajecznie. Od tamtej pory tęsknił za swoim „najszybszym żelazkiem świata", nudząc się śmiertelnie w kolejnych toyotach, na które się decydowali jak wszyscy emeryci, ponieważ miały opinię bezpiecznych i bezawaryjnych.

Podrzucił kluczyk i wsunął go do kieszeni spodni. Z wieszaka zdjął grubą marynarkę i – po chwili wahania – leżącą na drucianej półce ciemnoszarą fedorę z wąskim, czarnym otokiem, którą od razu założył na głowę. Grażyna spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała. Wskazała tylko bez słowa na drzwi.

Nie odezwała się do niego na korytarzu ani w windzie, dopiero w holu, kiedy korzystając z ogromnego lustra na pół ściany, zapiął górny guzik marynarki i przekrzywił kapelusz lekko na jedno ucho. Wyglądał rewelacyjnie. Naprawdę rewelacyjnie. Młody, piękny, dobrze zbudowany, normalnie ubrany w czasach, kiedy mężczyzna miał wyglądać jak facet, a nie jak zapuszczony licealista w bluzie z kapturem albo wiotki wegetarianin w sandałkach. Patrzył na siebie i czuł się jak król wszelkiego stworzenia.

– Zdejmij to.

– Że co?

– Zdejmij ten idiotyczny kapelusz, bo wyglądasz jak mazowiecka podróbka Belmonda. Idziemy.

Zdjął grzecznie, uznawszy, że nie jest to idealna chwila na dyskusje. Przeszli obok dozorcy, który skinął mu głową z konspiracyjnym uśmiechem, i wyszli na dwór.

Od razu przestał się czuć jak król stworzenia. Warszawski styczeń podpełzł do niego jak ogromna pijawka i zaczął wysysać chęć życia. Zimno było jak cholera, wiało, aż świszczało w uszach, ledwo minęła piętnasta, ale już mrok wyłaził zza horyzontu, dzień przegrywał krótką i nierówną walkę z nocą. Ostatnie promienie rachitycznego słońca oświetlały morze błota zmieszanego ze śniegiem, które rozciągało się między blokami.

Na osiedlu pojawiło się więcej ludzi. Kilka samochodów chowało się w podbrzuszach domów, gdzie znajdowały się parkingi. Sporo przechodniów maszerowało od strony miasta i przystanku autobusowego ze wzrokiem wbitym w ziemię, wyszukując suche miejsca do stawiania kroków. Niektórzy z teczkami lub siatkami w rękach, inni z korbiarkami na plecach. Wszyscy, bez względu na płeć, ubrani byli w długie, sięgające kolan ciemne płaszcze.

Miał wrażenie, że patrzy na ilustrację z sowieckiej powieści postapokaliptycznej, w której ludzie próbują bez większych nadziei przeżyć nuklearną zimę, aż w końcu zjadają się nawzajem w jakimś bunkrze i umierają z zamarzniętymi łzami w oczach.

Innymi słowy tradycyjna zimowa pocztówka z Europy Wschodniej.

Otrząsnął się z dopadającej go chandry i ruszył wąskim chodniczkiem wzdłuż budynku do miejsca, gdzie podobno stał zaparkowany jego – ich raczej – samochód.

– Czym szanowny pan doktor razem z małżonką się przemieszcza? – zapytała zgryźliwie Grażyna.

Przełknął ripostę.

– Citroënem, jeśli wierzyć kluczykom.

Mijał kolejne betonowe nogi, na których opierało się bloczydło, patrząc na zaparkowane samochody. Nie było ich wiele. Zdezelowana renówka, dwa volkswageny garbusy i jeden przypominający je sylwetką citroën 2CV. Podeszli do niego, ale kluczyk nie pasował. Za następnymi podporami stały dwa samochody przykryte brezentowymi plandekami i uświniony aż po dach żabowaty citroën DS. Ludwik w jednej ręce trzymał kluczyk, drugą zacisnął w pięść z kciukiem w środku.

Proszę, pomyślał, niech to będzie ten.

To był ten. Kluczyk przekręcił się bez problemu, po otwarciu drzwi na ziemię osypało się mnóstwo okruszków zaschniętego błota.

– Gdzie ona była? Na polowaniu? Przez pola jeździła za dzikami i trąbiła?

– Wsiadaj. Musimy porozmawiać.

– Och, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jesteś żonaty.

Zrobiła teatralnie przestraszoną minę i zamrugała oczami, ale przeszła na drugą stronę auta.

– Otwórz mi od środka, brzydzę się tego dotknąć.

Wszedł do samochodu, którego wnętrze pachniało wilgocią, papierosami i damskimi perfumami. Rzucił kapelusz na tylną kanapę. Odblokował drzwi od strony pasażera, wpuścił Grażynę do środka i dopiero wtedy się rozejrzał. Citroën DS, najpiękniejsze auto świata. Jedyna, niepowtarzalna, niedościgniona bogini motoryzacji – trochę samochód, a trochę statek kosmiczny. W młodości polował na kolorowe gazety, w których pojawiały się informacje o kolejnych modelach bogini, raz nawet poprosił listownie samego Lacana, żeby mu przysłał katalog DS. Trzy razy musiał przysyłać, bo raz przesyłka zaginęła bez śladu, a raz przyszła ostemplowana przez SB z połową zdjęć z katalogu wyciętą nożyczkami.

– Ogrzewanie jakieś znajdź, bo zamarzniemy tutaj.

Uwaga była słuszna. Włożył kluczyk do stacyjki, wcisnął sprzęgło i przekręcił, silnik zaterkotał i zaczął pracować głośno jak karabin maszynowy. Poszukał gałki zmiany biegów. Z blaszanej deski rozdzielczej wystawały trzy wajchy, ale nie miał pojęcia, do czego służą. Metodą prób i błędów ustalił, że jedna obsługuje kierunkowskazy, a druga wycieraczki, czyli pręt wystający z prędkościomierza musiał służyć do zmiany biegów. Ustawił go w pozycji, która wydawała się luzem, i puścił sprzęgło.

Citroën szarpnął do przodu i zgasł.

– Potrafisz w ogóle prowadzić tego grata? Czy żonę zawołać?

Zaczerpnął głęboko powietrza i powoli wypuścił, czując narastający gniew, uczucie kiedyś znajome, ale od którego zdążył się odzwyczaić. Wraz z dawnym ciałem wrócił dawny poziom hormonów, nieznany starszemu panu. Koktajl testosteronu i adrenaliny zabulgotał mu w żyłach, ręce zacisnęły się na plastikowej kierownicy. Spokojnie, tylko spokojnie.

Odpalił jeszcze raz samochód. Tym razem w każdym ustawieniu wajchy delikatnie popuszczał sprzęgło i w ten sposób udało mu się ustalić jedynkę, wsteczny i luz. Potem światła, ogrzewanie – sterowane za pomocą pokrętła, po którego ustawieniu do środka zawiało intensywnym zapachem spalin niskooktanowej benzyny –

i światła w kabinie. Dopiero wtedy spojrzał na siedzącą obok Grażynę, ciągle tak wściekłą, że od zaciskania szczęk drżały jej mięśnie na policzkach.

– Odpieprz się ode mnie, dobrze? – powiedział spokojnie.

– Słucham?

– Odpieprz się ode mnie, powiedziałem. Chciałbym ci przypomnieć, że jeszcze wczoraj ja miałem osiemdziesiąt trzy lata, a ty siedemdziesiąt osiem. Spędziliśmy miły wieczór i ocknęliśmy się tutaj. Tak samo jak ty gówno z tego rozumiem. Może to sen, może to jakieś popieprzone zaświaty, nie mam pojęcia. Nie prosiłem się o to, nie zaplanowałem tego, nic nie rozumiem, nic nie mam do gadania. Więc albo zejdź ze mnie, albo otwórz drzwi, zabierz siebie, zabierz swoją spiczniałą minę i radź sobie sama.

Położyła dłoń na klamce tak zdecydowanym gestem, że przez chwilę był pewien, że wyjdzie i będzie musiał biec za nią przez te błota i prosić o przebaczenie. Jednak cofnęła rękę i przejechała palcami po blaszanej pokrywie schowka na rękawiczki, gdzie oprócz logo Citroëna widniał napis ZORZA.

– Tak się ten model nazywa?

– Zorza? – wymówił to po polsku, jako synonim brzasku.

– Raczej zor-za. – Ona z kolei po francusku postawiła akcent na ostatnią sylabę, rozbiła głoskę „rz” i wygraserowała „r”. – W końcu to francuskie auto.

– Nie, nigdy nie było takiego modelu. W sensie w naszym świecie nigdy nie było takiego modelu. To zwyczajna DS.

– Déesse? Jak bogini?

– Model był zawsze oznaczony normalnie literami DS, ale faktycznie tak na nią mówili, bogini.

– Zorza to bogini pogańska, może to jakaś wersja na polski rynek?

Wzruszył ramionami. Może.

Chwilę siedzieli bez słowa.

– Dobrze. To co mi chciałeś pokazać?

Włączył lampkę na podsufitce. Do tej pory wnętrze rozświetlone było jedynie odbijającym się od betonowych podpór budynku blaskiem reflektorów ich samochodu. Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni złożony na czworo egzemplarz „Warszawiaka”.

– Zobacz datę i przeczytaj tekst na pierwszej stronie.

Bez słowa wzięła gazetę, rozłożyła i zabrała się do lektury. On w tym czasie ustawił sobie siedzenie i lusterka, nie przyznałby się głośno, ale miał tremę przed jazdą nieznanym samochodem po nieznanym mieście. Może przynajmniej miejsce do parkowania łatwiej będzie znaleźć, to byłaby miła zmiana.

Grażyna skończyła lekturę, złożyła gazetę i podała mu ją bez słowa. Wzrok miała nieobecny i w pełni ją rozumiał, jemu też regularnie kręciło się w głowie, to wierny przyjaciel mózg zastanawiał się, czy nie pstryknąć bezpiecznikiem w momencie, kiedy ilość emocji i informacji stawała się nie do zniesienia.

Położył jej rękę na udzie. Twardym, sprężystym, ciepłym udzie. Od razu nabrał na nią ochoty, ale uznał, że to nie jest najlepszy moment.

– Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

– Trochę oszołomiona, ale w ogóle nieźle. Staram się to jakoś poukładać – zaczęła spokojnie i rzeczowo, ale głos jej się nagle załamał. – Jezu, Ludwik, co się z nami dzieje?

Przytuliła się do niego, objęła mocno rękami za szyję i zaczęła płakać. Nie przeszkadzał jej, gładził po plecach i czekał, aż się uspokoi. Znał ją od pięćdziesięciu lat, wiedział, kiedy jest czas na gadanie, a kiedy na głaskanie i – jak to nazywali od czasów, kiedy Jacek był mały – rodzinnego borsuka. Skąd to się wzięło w ogóle? Zapomniał, cholera, chyba w jakimś zoo widzieli tulące się do siebie małe borsuki. We Wrocławiu może?

Głaskał ją po plecach, starając się lekko odsunąć, żeby nie poczuła jego erekcji. Nie mógł przestać myśleć w czasie tych pieszczot, że nie czuje pod palcami paska stanika, co oznacza, że tulą się do niego wspaniałe, niczym nieskrępowane dwudziestoośmioletnie piersi.

W końcu Grażyna przestała szlochać, smarknęła i wytarła mokre oczy wyciągniętym spod swetra rękawem bluzki.

– Nie wiem – odpowiedział. – Staram się nie myśleć „co”, „dlaczego”, „jak”. Myślę o faktach. A fakty są takie, że poszliśmy do łóżka 22 stycznia 2013 roku, a wyszliśmy z niego 23 stycznia 1963 roku. Ze swoimi ciałami sprzed pięciu dekad. I najwyraźniej

w jakiejś alternatywnej wersji historii, w której na Muranowie stoją dziwne megabloczydła, na miejscu Stadionu Narodowego jest wieża we francuskich barwach, a traktaty elizejskie podpisuje z de Gaulle'em i Adenauerem prezydent Eugeniusz Kwiatkowski.

– To ten od Gdyni?

– Aha. Tyle wiem, że to przed wojną był jakiś minister budowy. Gdynia, Stalowa Wola. Prawdę mówiąc, nawet nie mam pojęcia, czy w normalnym świecie przeżył wojnę, czy nie.

– Wygląda sympatycznie.

– Na pewno lepiej niż te wszystkie komuchy z naszych czasów.

– Myślisz…

– Hm?

– Myślisz, że to oznacza, że jesteśmy po drugiej stronie żelaznej kurtyny?

– Cholera wie. Może nie ma żadnej żelaznej kurtyny.

– Lepsza wersja historii?

Skrzywił się. Historia ludzkości dowodziła, że wszelkie zmiany i alternatywy rzadko kiedy bywały lepsze, w najlepszym przypadku równie krwawe i bezsensowne.

– Inna. Czytałaś komentarze do podpisania tych traktatów? Dla nas to wygląda rewelacyjnie, jakbyśmy dołączali do Wspólnoty Europejskiej czterdzieści lat wcześniej, jakby nie było komuny. Ale ten dziennikarz nie pisze entuzjastycznie, martwi się, że w roku kampanii wyborczej taka ucieczka do przodu może zaszkodzić Inżynierowi…

– Inżynierowi?

– Tak nazywają Kwiatkowskiego. Piszą, że przelicytował, że Polska nie jest jeszcze gotowa na takie symboliczne pojednanie z Niemcami.

– Czyli że wojna była normalnie, tak samo jak… u nas, powiedzmy.

– Na to wygląda. Zresztą tym się zajmiemy później. Na razie musimy swoje życie ogarnąć.

Westchnęła.

– To co robimy? Bo zaraz ciemno będzie.

– Pomyślałem, żeby pojechać do dziewczyn na Wilczą. To by było logiczne. Rzeczywistość jest inna, ale nasze historie podobne. Tak samo wyglądamy, tak samo się obudziliśmy po pierwszej nocy. Tak samo – odchrząknął – tak samo jestem żonaty. Tak samo dostałem mieszkanie nowe, też na Muranowie, tyle że w innych budynkach. Czyli ty powinnaś mieszkać z dziewczynami na Wilczej.

– Bez sensu. Przecież poszliśmy do łóżka w tej ruderze w centrum. Jezu, ten koc, pamiętasz, jak nalegałam, żeby być na górze cały czas? Wszystko przez to, żeby się na tym kocu nie kłaść.

– Nie mówiłaś nigdy… – W jego głosie zabrzmiała uraza.

– No nieważne, jakoś tak teraz do mnie wróciło. Tak czy owak, w ruderze.

– Może chodzi o to, że wtedy tam przyjmowałem pacjentów? Antek mi pozwalał, on pracował na wieczory i noce. A teraz we własnym mieszkaniu mam gabinet, widziałaś kozetkę. No i skoro się spotkaliśmy w moim gabinecie, rozumiesz.

Zapatrzyła się za okno, gdzie młoda kobieta wybrała się z dziecięcym wózkiem na spacer. Wózek wyglądał jak rekwizyt z planu *Dziecka Rosemary*, czarny, majestatyczny, z gotycką budką, na kołach wielkich jak od roweru. Koła utknęły w błocie, kobieta nie dawała rady pchać wózka, szła pochylona, ciągnąc go za sobą, trochę wariacja na temat chłopa, któremu wół zdechł i sam pług ciągnie. Chełmoński mógłby taką scenę namalować.

– Tak – powiedziała w końcu, nie odwracając się od szyby. – Same podobieństwa. Czyli co? Wtedy też zostałeś na noc tylko dlatego, że żona wyjechała w delegację? Pytam, bo od pięćdziesięciu lat mi powtarzasz, że nic was wtedy nie łączyło, nie mieszkaliście ze sobą, nie widywaliście się, nie wspominając o małżeńskich obowiązkach, właściwie byłeś kimś pomiędzy wdowcem, zakonnikiem a kawalerem, tyle że z aktem małżeństwa w kieszeni. Och, taka drobnostka.

Szlag, wiedział, że do tego dojdzie wcześniej czy później.

– Bo tak było, przecież widzisz, że to jakaś fikcyjna rzeczywistość.

– Którą próbujesz zrozumieć, doszukując się w niej jakże wielu podobieństw do tej realnej?

Nie miał na to odpowiedzi, dlatego wyciągnął spod marynarki duży kawałek bagietki, którą udało mu się zabrać z kuchni, i podał żonie. Spojrzała na niego z politowaniem i złamała bułkę na pół, żeby każde z nich mogło zjeść kawałek.

– Nie denerwuj mnie, tylko jedź na Wilczą. Muszę pomyśleć.

Wrzucił jedynkę i ruszył wąską alejką, która prowadziła z podbrzusza budynku w stronę miasta. Jechał wolno, lawirując między licznymi przechodniami, którzy wybierali jezdnię jako jedyny utwardzony szlak komunikacyjny. Dojechał do ulicy, przepuścił autobus o obłym kształcie i skręcił w prawo, chcąc dojechać Świętojerską do Marszałkowskiej, żeby przejechać jedną z głównych arterii i zobaczyć, jak ta Warszawa wygląda. Z prawej strony mieli znane im już blokowisko, z lewej drzewa parku Krasińskich, o tej porze roku łyse i melancholijne. W głębi dostrzegł lodowisko oświetlone rozwieszonymi na sznurach między drzewami lampkami, młodzi ludzie ganiali się na łyżwach, nawet przez zamknięte okno słyszał śmiech i muzykę.

– Przez tę osteoporozę to ile lat ja już na łyżwach nie jeździłam? Ze dwadzieścia chyba.

Wszystko wokół go interesowało, ale skupiał się na drodze, głupio byłoby zakończyć te przygodę, roztrzaskując się na słupie. To nie XXI wiek z poduszkami bezpieczeństwa, kurtynami powietrznymi i strefami zgniotu; bogini nawet pasów bezpieczeństwa nie miała.

– Pójdziemy do kina? – zapytała nagle.

– Na co? – odpowiedział automatycznie, starając się wyczuć hamulec tak, żeby ani i nie wpaść w poślizg, ani nie wjechać w jadącą przed nim ciężarówkę, która wyhamowywała przed skrzyżowaniem.

– Może na Bonda? Widzę afisz, *Doktor No* właśnie wszedł do kin.

Zahamował, spojrzał na żonę, spojrzał na Seana Connery'ego z dymiącym pistoletem w dłoni, który patrzył na niego z plakatu, i zaczęli się jednocześnie śmiać. Śmiechem młodym, radosnym, głośnym, nieomalże histerycznym.

Aż ktoś z tyłu zatrąbił. Agresywnie, po polsku, jakby właśnie sięgał po ukrytą pod siedzeniem deskę nabijaną gwoździami, żeby wymierzyć sprawiedliwość na drodze.

A potem skręcili w stronę centrum i nabrali pewności, że wojna, o której wspominali dziennikarze w gazecie, to ta sama wojna, którą pamiętali oni, i że tak samo rozprawiła się z Warszawą. Grażyna wypowiedziała na głos myśli ich obojga:

– Czyli powstanie było. Szkoda.

Mógł się tego domyślić wcześniej. Mikroskopijne mieszkanko, jakie dostali z Iwoną pod koniec lat pięćdziesiątych, znajdowało się w jednym z socrealistycznych bloków wybudowanych na kupie gruzów w miejscu dawnego getta. Blok, w którym obudzili się teraz, stał w tej samej dzielnicy, raptem dwie przecznice dalej. Gdyby losy wojny potoczyły się inaczej, stałaby tu wciąż normalna, gęsta zabudowa dzielnicy żydowskiej, nie byłoby jak postawić w centrum stolicy eksperymentalnego blokowiska.

Ale wojna była. Wojna, Zagłada, powstanie w getcie, potem powstanie warszawskie, w końcu zburzenie przez Niemców wszystkiego, co było do zniszczenia. To na pewno miało miejsce, ślady tych wydarzeń rzucały się w oczy w taki sam sposób – prawie taki sam – jak ten, który zapamiętał z czasów swojej młodości, z czasów odbudowy zniszczonego do cna miasta.

Przede wszystkim puste przestrzenie. Nawet w Warszawie, w której jeszcze wczoraj pił kawę, Warszawie roku 2013, wciąż było sporo niezabudowanych miejsc. Sympatycznych i lubianych, bo w dużej metropolii każdy skrawek przestrzeni z drzewami i ławkami jest mile widziany. Ale niepokojąco nienaturalnych. Nikt nie planuje przecież w mieście skwerów między kamienicami, placyków na jednym z rogów skrzyżowania, gdzie poza tym stoi elegancka mieszczańska zabudowa. Tak to wygląda w XXI wieku, siedemdziesiąt lat po wojnie. Przed 1989 rokiem w ścisłym centrum Warszawy wciąż pełno było ogromnych łąk, jakby zapomniano na nich wysiać pszenicę albo ziemniaki, Jacek grał tam w piłkę z kolegami. A w latach sześćdziesiątych, gdy jego życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni, kiedy porzucił żonę dla pacjentki, aby spędzić z tą pacjentką pięć szczęśliwych dekad?

Dobrze pamiętał tamto miasto. Czas wygładził wspomnienia i pierwsze, co przychodziło mu do głowy, to „bombonierkowatość” stolicy. Wybudowane w ciągu piętnastu powojennych lat budynki

nie zdążyły się zestarzeć ani zabrudzić, wszystkie lśniły tynkami i pachniały nowością. Nowe pierzeje w centrum były wysokie i monumentalne, osiedla wokół kameralne, pełne przestrzeni i świeżo zasadzonej zieleni. Wszyscy czuli, że nie są w tym mieście gośćmi ani przechodniami, że to miasto jest „ich". Dlatego tak chętnie gromadzili się w miejscach, gdzie zewsząd otaczał ich lukier nowoczesności – przeszklone witryny sklepów i barów, kolorowe neony, świeżutka architektura, spryskany polewaczkami czarny asfalt, rabaty z kwiatami i chmary młodych dziewczyn w letnich sukienkach, efekt powojennego boomu demograficznego. Taką Warszawę chcieli widzieć i taką Warszawę kochali, Ludwik nie był wyjątkiem. Zakładali odprasowane prochowce, zakładali kapelusze i przechadzali się Kruczą wte i wewte, pozwalając, żeby neony odbijały się w wyglancowanych lakierkach. Teatr, który odgrywali przed wszystkimi i przed sobą, z zaangażowaniem tyleż autentycznym, co gorzkim.

Ponieważ za kulisami tego teatru, pod neonowo-piaskowcowym lukrem, kryła się prawdziwa Warszawa, prosta i ubożuchna niczym mazowiecka kuchnia. Trochę jakby w pędzie do przodu zdecydowano, że Warszawa może być tylko nowa. Starą byłoby najlepiej wyburzyć, żeby zrobić miejsce prawdziwemu miastu, ale nawet prorocy nowoczesności rozumieli, że środki są ograniczone, a ludzie tymczasowo gdzieś muszą mieszkać. Więc machnięto ręką i czekano, aż sponiewierana stara stolica rozleci się sama.

Ta jednak trwała i po wyjściu z położonych przy reprezentacyjnych arteriach nowoczesnych urzędów nowoczesnej ojczyzny warszawiacy wracali do ukrytych w bocznych uliczkach kamienic o fasadach podziurawionych kulami i odłamkami tak gęsto, że tynk był tam raczej rzadkością niż normą. To było miasto balkonów trzymających się na słowo honoru. Ścian tak naruszonych przez eksplozje, że strach było o nie oprzeć półkę z książkami. Piekło wspólnych kuchni i wspólnych łazienek. Dla szczęściarzy, bo pompy czy studnie na podwórkach oraz wychodki na zewnątrz wcale nie były rzadkością. Ciemne nory w oficynach, podwórka studnie w drugim i trzecim rzędzie zabudowy tak wąskie i wysokie, że nawet na drugie piętro nigdy nie zaglądało słońce. Gdzieniegdzie

brakowało kondygnacji czy dwóch. Gdzieniegdzie po zniszczonych kamienicach zostały fantomy na sąsiednich – charakterystyczne szachownice ścian, a na nich różne kolory farb, różne desenie tapet, różne kafelki, tu i ówdzie krany i umywalki wiszące w próżni kilka pięter nad ziemią.

No i pustka. Nie parki i ogrody, nie pieczołowicie wyrysowane modernistyczne place i aleje, nie paryskie bulwary, tylko właśnie pustka, brak, miejsce na coś, co być może było, a być może powinno być, nienaturalna i rzucająca się w oczy jak dziury w uzębieniu. Kiedy przyjechał do Warszawy na studia na początku lat pięćdziesiątych, w tych dziurach ciągle zalegały kupy gruzu, pomiędzy którymi działały sklecone z byle czego sklepiki i bary. Do lat sześćdziesiątych budki zlikwidowano, gruz uprzątnięto, ale pustka została. Nowi mieszkańcy oswajali ją sobie zielenią, ławeczkami i karuzelami dla dzieci, starzy krzywo na to patrzyli, ciągle znali nazwiska tych, którzy tam mieszkali, pamiętali, jakie sklepiki były na dole, czy w podwórku urzędował krawiec, czy szewc, i ostrzegali nowych, żeby dzieci za głęboko nie kopały w piaskownicy. I słusznie, powstańcze trupy chowano szybko i płytko.

Ta wersja Warszawy była inna. Ale nędza i pustka tak samo rzucały się w oczy. Najpierw zobaczyli pustkę. Za ich blokowiskiem nie było nic. W miejscu dawnej dzielnicy żydowskiej, potem getta, a potem morza gruzów, rozpościerała się ogromna niezabudowana przestrzeń. Widoczne tu i ówdzie kilka dźwigów i otulonych kokonami rusztowań świeżych murów świadczyło o tym, że może coś tam powstaje.

Układ zabudowy i siatka ulic układały się trochę inaczej, jego mózg z trudem akceptował fakt, że znajduje się zarówno w mieście znanym, jak i w zupełnie obcym. Dojechał do Marszałkowskiej, głównego szlaku komunikacyjnego przecinającego stolicę na osi północ–południe w miejscu, gdzie normalnie znajduje się zejście do stacji metra, Starbucks i Pizza Hut. Skręcił w stronę centrum, przekonany, że zobaczy znajomy krajobraz: skrzyżowanie, za skrzyżowaniem rozległy plac z klasycystycznym urzędem miasta po

prawej stronie i niskim budynkiem mieszkalnym po lewej, dalej drzewa Ogrodu Saskiego.

– O psiakrew – wyrwało mu się.

Dobrze, że ruch był znikomy, w zasięgu wzroku znajdowały się jedynie trzy auta, inaczej bez wątpienia spowodowałby stłuczkę i powybijał sobie wszystkie zęby o kierownicę albo wykłuł oko jedną z tych cholernych wajch. Jak ludzie mogli jeździć samochodami bez pasów bezpieczeństwa? Nie bali się?

Plac Bankowy zawsze stanowił bramę do centrum miasta od jego północnej strony, ale w tej wersji ktoś postanowił to podkreślić. Wjazd na plac przypominał zgeometryzowaną wariację na temat Bramy Brandenburskiej, z kolumnami w kształcie prostopadłościanów, bez tympanonu i kwadrygi. Po bokach brama przechodziła płynnie w proste długie budynki, raczej biura niż mieszkania. Biorąc pod uwagę, że nad bramą wykuty został napis RZECZPOSPOLITA, plac Bankowy zamieniono zapewne w dzielnicę rządową, co miało sens, urzędy mieściły się tutaj zawsze.

– No nieźle – skomentowała Grażyna. – Dawaj, ciekawa jestem, jak to dalej wygląda.

Wyglądało na to, że przez bramę można normalnie przejechać. Dwa skrajne przejazdy przeznaczone były dla pieszych i rowerów, dwa kolejne dla aut, w środkowym mijały się właśnie dwa tramwaje.

Zmienił bieg na wyższy i przejechał przez bramę do miasta, które zawsze miał za swoje, a które zwiedzał teraz jak turysta.

Brama mimo rozmiarów sześciopiętrowej kamienicy była ażurowa i lekka. Na smukłych kolumnach nie wyryto żadnej listy miejsc bitew, żadnych nazwisk generałów ani wzniosłych sentencji – nic, co by psuło czytelną, funkcjonalną architekturę. Wydało mu się to dziwne, tradycją jego narodu było przyczepianie tablic pamiątkowych ku czci na każdym wolnym skrawku ściany.

Za bramą powinien znajdować się plac Bankowy. I się znajdował. Równie wielki co zawsze, może nawet rozleglejszy. Po prawej klasycystyczne pałace Corazziego, powiewająca nad nimi biało-czerwona flaga wskazywała na to, że mieszczą się tam urzędy. Na wprost nieomalże po horyzont ciągnęła się pośród parkowej zieleni

Marszałkowska, a po lewej zamiast wieżowca stała dziwaczna budowla, wysoki na trzy piętra betonowy sześcian otoczony rzędem wąskich kolumn. Biorąc pod uwagę biegnący wzdłuż całej elewacji napis po hebrajsku – ani chybi synagoga. Najdziwniejszy jednak wydawał się stojący pośrodku placu pomnik. Zawsze tam coś stało. Najpierw fontanna, potem posąg komunistycznego rzeźnika Feliksa Dzierżyńskiego, radośnie obalony przez lud w 1989 roku i zastąpiony Juliuszem Słowackim. A teraz, hm…

– Boże jedyny, co to jest? Weź się gdzieś zatrzymaj, muszę to zobaczyć.

Nie protestował, sam miał gębę rozdziawioną ze zdziwienia. Między pomnikiem a urzędem znajdował się niewielki parking dla interesantów, gdzie udało mu się znaleźć miejsce. Zgasił silnik i wyskoczyli na zewnątrz. Było lodowato, na dodatek na ogromnym placu wiało jak cholera, zimowe słońce już schowało się za budynkami, za chwilę zrobi się ciemno. Zapinając marynarkę, pomyślał, że powinni byli pierwszy raz pójść do łóżka w czerwcu, wtedy ich obecna wizyta byłaby znacznie przyjemniejsza.

Monument miał wysokość około dziesięciu metrów. Wykonany był ze stali nierdzewnej tak wypolerowanej, że sprawiała wrażenie lustra. Zbliżali się do niego od tyłu, z tej strony przypominał ogromny, pokryty łuskami walec, w którym niczym w gabinecie krzywych zwierciadeł przeglądała się architektura placu. Dopiero kiedy zaczęli go obchodzić, dostrzegli, że pomnik przedstawia stylizowanego, zgeometryzowanego w duchu modernizmu orła, którego skrzydła nie były jednak wzniesione do lotu ani ułożone wzdłuż ciała, lecz półkoliście wyciągnięte do przodu w geście chronienia gniazda. Ukoronowaną głowę orzeł miał odwróconą lewym profilem niczym na godle Polski, patrząc w dal, w stronę centrum. Obeszli go dookoła i stanęli w miejscu, gdzie krzywizna skrzydeł sięgała ziemi, pozwalając wejść do środka „gniazda”.

Spojrzeli po sobie niepewnie, chwycili się za ręce i weszli do wnętrza, ostrożnie, jakby spodziewali się nie wiadomo jakiej niespodzianki. „Gniazdo”, czyli okrągła przestrzeń otoczona orlimi skrzydłami, było kołem o średnicy dziesięciu, może dwunastu

metrów. Wewnętrzne ściany również wygładzono na lustro, w którym odbijali się z każdej strony.

Zaraz za nimi do środka weszła kolejna para. Dziewczyna w kożuszku, kozakach i futrzanej okrągłej czapce, spod której wystawał blond warkocz; wyglądała, jakby teleportowała się prosto z Kmicicowego kuligu, niczym modelka reklamująca wakacje w Polsce. On z kolei przypominał kogoś, kto się na te wakacje skusił, bo nie stać go było na Karaiby. Po pięćdziesiątce, ze szpakowatymi krzaczastymi wąsami w stylu bohaterów *Asteriksa*, nochalem pijaka i aż nazbyt schludnym wyglądem, w której to schludności zdawał się skrępowany, charakterystyczna postawa osób, dla których marynarka, fryzjer i kąpiel to nie codzienność, lecz świąteczne przygotowania. Ojciec i córka? Szybko odrzucił tę myśl. Klient i prostytutka? Bez sensu, nikt się nie stroi dla dziwki. Wuj z prowincji, oprowadzany przez kuzynkę po stolicy? Może.

Dziewczyna podbiegła do nich z uśmiechem na ustach i aparatem fotograficznym na dłoni.

– Można państwa prosić? Bałam się, że nikogo nie będzie w taką pogodę, a dziś podpisaliśmy kontrakt, bardzo mi zależy, żeby mieć zdjęcie w kurniku. Na pamiątkę.

– Kurniku? – spytał bezwiednie, biorąc do ręki aparat. Na metalowej obudowie wygrawerowano logo nieznanej mu marki i nazwę „Vitoret”, ale nie czuł się onieśmielony, zbyt wiele lat spędził z aparatem Kiev 4 w ręku, a ten wydawał się podobny. Ech, cudowne czasy, kiedy człowiek zastanawiał się nad każdym kadrem, a potem z drżeniem serca szedł odebrać odbitki i sprawdzić, co z tego wyszło. Teraz nawet mu się nie chce z komórki ściągać zdjęć na komputer, życia szkoda.

– To znaczy przepraszam. – Dziewczyna się stropiła. – Chodziło mi oczywiście o gniazdo, tylko w mieście się przyjęła taka nazwa, proszę wybaczyć, nie chciałam nikogo urazić.

Machnął ręką, że się nie gniewa, żeby ukryć fakt, że po raz kolejny nie wie, o co chodzi. Pokręcił gałką, żeby naciągnąć film, sprawdził ustawienie ekspozycji i przyłożył aparat do oka, kadrując parę tak, żeby w tle było widać głowę orła i kawałek skrzydła. Wuj uśmiechnął się szeroko i przyciągnął kuzynkę gestem, który

wykluczał pokrewieństwo. Strzelił im trzy zdjęcia, myśląc, że wuja stać chyba na kliszę, i oddał aparat.

– Faktycznie trochę do kurczaka podobny – powiedziała Grażyna, kiedy zostali sami, patrząc z różnych kątów na orlą głowę. – Może ten dziób powinni trochę bardziej zakrzywiony zrobić, sama nie wiem. Co sądzisz?

– Sądzę, że marznę. Kurtki puchowej potrzebuję, a nie jakiejś marynarki wiatrem podszytej.

– Powodzenia. Musiałbyś poczekać tutaj jeszcze ze dwadzieścia, trzydzieści lat. Na polary tak samo. Flanelowa koszula, wełniany płaszcz, kożuch ewentualnie, to masz teraz do dyspozycji. Niegłupi ten pomnik. Ale – zawiesiła głos – strasznie inny.

– Bo?

– Legenda założycielska Polski to biały orzeł, wskazujący miejsce na założenie gniazda. O to im tutaj chodziło. Orzeł, pod którego skrzydłami można się schronić. Patrzący w przyszłość, a może wypatrujący niebezpieczeństw. Biały bielą stali, czyli nowoczesny i niepokonany jednocześnie. I jeszcze te lustra, te odbicia w skrzydłach, które przypominają, że ojczyzna to my. Nie orzeł, nie gniazdo, nie jacyś zapomniani poeci, wygrane bitwy i krew przelana. Tylko po prostu my. Orzeł nas chroni, ale daje do zrozumienia, że jest jedynie naszym odbiciem. Od nas, tu i teraz, zależy, czym jest ojczyzna.

Parsknął śmiechem.

– Żywi zamiast trupów, opoka zamiast rozróby i patrzenie w przyszłość zamiast kąpieli w krwawej historii. Słyszałaś kiedyś o takiej Polsce?

– Nie. Ale zawsze o takiej marzyłam.

6

Może to przez ten zimowy zmierzch, szybki, mroczny i lodowaty, jak to w styczniu po ładnym dniu, ale po raz pierwszy poczułam lęk. Żadne rozdzierające emocje, taki zwykły, codzienny, lekko przyduszający lęk. Wróciliśmy do samochodu, patrzyłam na

migającą za oknem Warszawę i myślałam o pieniądzach. Jak sobie poradzimy, jeśli tu zostaniemy? Jak ja sobie poradzę? Wczoraj byliśmy żyjącymi jak pączki w maśle emerytami. Nie bogato, nie dostatnio, ale na luzie. Emerytury wpływały co miesiąc na konto, Ludwik zawsze dostawał ekstra a to tantiemy za dawno wydane prace naukowe, a to parę groszy za jakiś wykład. Pacjentów brał coraz mniej, ale za przyzwoite pieniądze. Willi z basenem nie mieliśmy, ale na dobrego lekarza zawsze starczało, a w tym wieku ważniejszych wydatków nie ma.

A teraz? Jeśli tu zostaniemy? Musimy się dorabiać od początku? Harować od rana do nocy, kłócić o pieniądze, znowu przeżywać chude lata? Po raz drugi mamy najlepszy czas naszego życia zostawić w tramwajach, biurach i zakładowych stołówkach? Żebym za kolejne pięćdziesiąt lat, stara i zmęczona, z nostalgią wspominała czas, kiedy mogliśmy żyć inaczej?

A jeśli zostanę sama?

Jemu tego nie powiem, ale cała moja wściekłość wynikająca ze spotkania z Iwoną była podszyta przerażeniem. Widziałam to ładne mieszkanie. Francuskie auto. Widziałam tę mądrą, zadbaną, spokojną kobietę. Wtedy wybrał mnie, powtarzając bez końca, że jesteśmy sobie przeznaczeni, ale dużo w tym było zwykłego pożądania. Co jeśli dziś napędzanej testosteronem żądzy zabraknie? On machnie ręką i powie, że nie ma sensu dwa razy przeżywać tego samego życia? Że bzykniemy się na do widzenia i on wróci do swojego dwupoziomowego mieszkania prowadzić przy winie intelektualne dyskusje?

A ja? Jadę teraz do starej kamienicy, do maleńkiego mieszkania na pierwszym piętrze oficyny, w którym ciemno i zimno było nawet w najbardziej słoneczny dzień lipca. Do przyjaciółek, których może tam nie być. Co wtedy? Z powrotem do matki do Środy? Do pośredniaka szukać pracy i mieszkania robotniczego?

Była też oczywiście inna opcja, o której nawet bałam się myśleć, którą od rana histerycznie od siebie odpychałam, myśl sprawiająca, że żołądek zaciskał się w supeł, dłonie pociły, a od napięcia czułam się, jakbym miała zemdleć.

– Trzymaj mnie, Pałacu Kultury nie ma! – krzyknął Ludwik, zwalniając.

Faktycznie, choć Marszałkowska zdawała się równie szeroka jak w naszych czasach, to za Świętokrzyską nie zamieniała się nagle w plac wielkości lotniska, pośrodku którego stał ten sowiecki „koszmarny sen cukiernika". Wzdłuż ulicy stała normalna przedwojenna zabudowa, częściowo wyremontowana, nic wyjątkowego ani zjawiskowego. Dopiero za skrzyżowaniem ze Złotą po prawej stronie otwierała się przestrzeń. Tam, gdzie w normalnym świecie są wejścia do dworca kolejki podmiejskiej, znajdował się spory plac pełen tramwajów, autobusów i ludzi, centrum komunikacyjne.

Za placem natomiast perspektywę zamykał ogromny wykwit architektury, wyglądający jak ziszczony mokry sen hitlerowskich budowniczych. Wielkie toto było, monumentalne i kanciaste, ludzie znikali w szeregu rozświetlonych drzwi na parterze jak mrówki włażące między zęby wyszczerzonego w krzywym uśmiechu potwora z bajki.

– No popatrz, że niby to odbudowali – skomentował potwora mój małżonek.

– Co odbudowali?

– Ty jesteś za młoda, ale jak tu przyjechałem zaraz po wojnie, to w tym miejscu straszyły ruiny Dworca Głównego. Nasi go zaczęli przed wojną, Niemcy skończyli, a na odchodne wysadzili w powietrze. Dopiero trzydzieści lat później udało się postawić Centralny. Tutaj widocznie komunikacja jest wyżej na liście priorytetów.

– Ciekawe czemu.

– Inne idee. Komuna to były wieśniaki, podróżowanie nie mieściło im się w głowie, chyba że po instrukcje do Moskwy. A obywatel miał się grzecznie przemieszczać między osiedlem a zakładem pracy i wypoczywać w ogródkach działkowych. Podróżowanie uważali za podejrzane, zresztą słusznie, jak obywatel w świecie obyty i wypoczęty, to mu głupie pomysły zaraz przychodzą do głowy. Wolność, równość, takie tam brednie. Zwróć uwagę, że wszyscy zamordyści mają politykę zagraniczną do bani, boją się świata poza

własnym podwórkiem i nie rozumieją go. To po co im dworce w tym całym układzie?

Mentalnie wywróciłam oczami, strach czasami było spytać o coś Ludwiczka, bo mu się zaraz odpalał tryb wykładowcy, po tych wszystkich latach jak zaczynał tym tonem, to się nudziłam, zanim doszedł do pierwszego przecinka. „Zwróć uwagę". Jak można, mówiąc do własnej żony, użyć sformułowania „zwróć uwagę", na Boga.

Dojeżdżaliśmy do serca miasta, skrzyżowania Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi. Smutne to zawsze mi się wydawało, że serce Warszawy bije nie na starym rynku, nie w pałacu królewskim, nie przy pomniku wielkiego rodaka – tylko na śmierdzącym skrzyżowaniu. I trochę się łudziłam, że w tej wersji będzie inaczej, ale nie, tłoczność i gwarność tego miejsca dowodziły, że to ciągle pępek stolicy. Karma. Przed promieniującym aurą nowoczesności dworcem teren uprzątnięto, ale wszędzie indziej z miejskich szwów wychodziła rosyjska energia Kongresówki. Na kamienicach piękne kolorowe neony, na parterach rozświetlone witryny, a przed nimi: kramy, budki, stragany i chmara ludzi w ciemnych płaszczach. Gdyby w gronie apostołów był jakiś święty Polak, na obrazach w kościołach byłby przedstawiany w ciemnym płaszczu i na tle sinego nieba.

– Może poszukam miejsca i obejrzymy ten dworzec? – zapytał, zatrzymując się na światłach.

– Starczy tego zwiedzania – parsknęłam. Nie mogłam się doczekać, żeby sprawdzić, czy dziewczyny są cały czas na Wilczej, czy mam się gdzie podziać. Ta niepewność była nie do zniesienia. Odwróciłam twarz od Ludwika i krzyknęłam głośno, ponieważ za oknem pojawiła się znikąd odrażająca dłoń o jednym tylko palcu i tym właśnie jedynym palcem energicznie zastukała w szybę. Patrzyłam na ten palec, niezdolna zrobić ruchu, dopiero Ludwik przechylił się i odkręcił szybę. Dmuchnęło lodowatym powietrzem.

– O co chodzi? – zapytał.

Wyjrzałam ostrożnie. Na krawędzi chodnika siedział na małym drewnianym wózku mężczyzna o wychudzonej twarzy pooranej głębokimi bruzdami. Wojskowy szynel miał tak przycięty, aby

można było zobaczyć, że nie ma obu nóg i jednej ręki. Została mu jedna, i tak okaleczona, z tym brudnym paluchem do stukania w szybę. Przy szynelu pobrzękiwała kolekcja odznaczeń.

– Państwo wspomożecie weterana? – poprosił niskim głosem.

Zatkało mnie. Ludwika też, ale on nie widział dobrze siedzącego kaleki, ja za to patrzyłam mu prosto w twarz.

– Panienka ze stolicy, to się widzi po oczach. – Uśmiechnął się do mnie. – Widzi panienka, ja pół ciała oddałem Warszawie w powstaniu, a teraz Warszawa nie pamięta, ani kawałka chleba nie odda. Taki los. Może pomożecie?

– Nie mamy pieniędzy – wydusiłam z siebie.

Pokiwał głową ze smutnym zrozumieniem.

– Pan nie rozumie, my naprawdę nie mamy pieniędzy przy sobie, ani ja, ani mój mąż, nie mamy ani złotówki. – Pomyślałam, że nawet nie wiem, czy walutą są złotówki, więc dodałam idiotycznie: – Ani żadnej innej waluty, bardzo przepraszam, naprawdę.

– Taki los – powiedział, ironicznie do mnie, bez ironii do siebie. – Powodzenia zatem panience życzę.

Ktoś zatrąbił ponaglająco z tyłu i ruszyliśmy, zostawiając za sobą łupinę powstańca. Zamknęłam okno.

Ludwik prowadził bez słowa. Po kolejnych paru przecznicach skręciliśmy w lewo w Wilczą. Obecnie – to znaczy za pięćdziesiąt lat, Jezu, nawet nie wiadomo, jakimi słowami myśleć – jednokierunkową, ale teraz samochodów jeździło i parkowało na mieście na tyle mało, że wjechać można było z obu stron.

I nagle, zaskakując nawet siebie samą, rozpłakałam się po raz kolejny. Ludwik wyłączył silnik i mnie objął, wtuliłam się w niego, szukając bezpieczeństwa w jego ramionach, i jak poprzednio zamiast ukojenia poczułam niepewność, kiedy zamiast znajomo pachnącego staruszka dotknął mnie obcy mężczyzna.

Czułam, że powinnam coś powiedzieć, ale co? Jak w ogóle ubrać w słowa bulgoczące we mnie emocje? Ulgę, bo po raz pierwszy od rana zobaczyłam coś znajomego. Ten kawałek Wilczej wyglądał tak samo przed wojną, po wojnie, w latach sześćdziesiątych i w XXI wieku. Jeden z niewielu fragmentów miasta, który przetrwał w miarę nienaruszony. Mieszczańskie kamienice z oficynami,

niektóre biedniejsze, inne bardziej okazałe, ale znałam tu każdą bramę i każdy balkon. Teraz po raz pierwszy od rana znane nałożyło się na nieznane bez zgrzytów i pisków. Byłam u siebie i to była wielka ulga. Podszyta jednak nostalgią i szarpiącym smutkiem, jakby coś uwiesiło się mojej duszy i gryzło. Tutaj spędziłam najbardziej beztroskie, niewinne i radosne lata życia. Wtedy nie doceniałam tych babskich przekomarzanek, kto napali w piecu kaflowym, tego gadania bez końca w kuchni wypełnionej kłębami dymu z niezliczonych papierosów, tych ciast z zakalcem, imprez, na których nie trzeba było kropli alkoholu, żeby czuć się odurzonym tańcem, śmiechem i młodością. Ileż wieczorów skręcało mnie z tęsknoty za tymi letnimi dniami, kiedy Warszawa pachniała gorącymi cegłami, a ja skręcałam w Wilczą i kupowałam w „Guciu" rurkę z bitą śmietaną. Kiedy „Gucia" zamknęli, rozpaczałam, jakby umarł mi ktoś bliski. A teraz „Gucio" był tutaj. Taki sam jak zawsze, z rozświetloną witryną i tą samą średnio udaną grafiką na szybie, przedstawiającą długą rurkę, z której skapywała wielka kropla białego kremu. Jezu, ile myśmy żartów nieprzyzwoitych o tej rurce wymyśliły, za każdym razem innych. Dziesiątki? Setki?

Płakałam ze strachu, że to się skończy, i ze strachu, że to się nie skończy. Tylko jak miałam to wszystko wyjaśnić człowiekowi, dla którego targające kimś sprzeczne emocje były elementem naukowych dociekań, a nie osobistych doświadczeń?

– A co, jeśli tutaj zostaniemy? – wychlipałam w końcu. – Tak na dobre?

– Boję się o tym myśleć.

Pociągnęłam nosem i spojrzałam na jego przystojną twarz zapatrzoną w perspektywę ulicy. Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi.

– Ja też – powiedziałam. – Boję się, bo jak polubię tę myśl i nagle wrócimy, to będzie nie do zniesienia.

Pokiwał głową.

– Gdybyśmy zostali – przerwałam, ciężko mi było nawet o tym myśleć, a co dopiero mówić, broniłam się przed formułowaniem tej myśli, nie mówiąc o przeciskaniu jej przez gardło – gdybyśmy

zostali, gdybyśmy latem pojechali na Warmię, gdybyśmy spróbowali jeszcze raz… Rozumiesz, o czym mówię?

Pokiwał głową. Rozumiał.

Siedzieliśmy w milczeniu. Ludzie wchodzili do „Gucia" i wychodzili z małymi paczuszkami, jasne, kto by w styczniu jadł rurki na ulicy. Nie mogłam dojrzeć, kto w środku obsługuje. Pan Ryszard? Na ścianie zawsze wisiało zdjęcie żony pana Ryszarda i ogłoszenie o jej poszukiwaniu. Zaginęła w czasie powstania, jeden z tysięcy niezidentyfikowanych trupów. Pan Ryszard powtarzał, że powstanie było straszne, że ludzie od takich emocji mogą stracić pamięć, zapomnieć, kim są. Że może to spotkało jego żonę. Że może ktoś ją zna, przyjdzie na rurkę i rozpozna. Nie komentowałyśmy tej opowieści. Nikt nie komentował.

– A jeśli zostaniemy? Nie będziemy tęsknić? – zapytał.

– Za czym? Za oddalającymi się z prędkością światła wnuczkami, które widzimy raz na pół roku? Za inną rodziną, której już nie ma? Za przyjaciółmi, którzy umarli przed nami? Za starością, za niedołężnością, lekarzami, aptekami, upokarzającymi zabiegami, które i tak nie mają sensu? Za nadchodzącą śmiercią?

– Jedyne, za czym mógłbym tęsknić, to ty. A ty jesteś tutaj.

– Nie opuścisz mnie?

– Nie żartuj. Jaka para ma szansę przeżyć ze sobą sto lat? Może medal od prezydenta dostaniemy.

– Tytanowe gody.

Parsknęliśmy śmiechem, ściskając mocniej swoje dłonie, para wesołych staruszków.

I znowu nie wiadomo, jakimi słowami myśleć.

– To co robimy? – zapytałam.

– Sprawdzamy, czy mieszkasz z dziewczynami, i jeśli tak, to ogarniamy sytuację i widzimy się jutro.

Poczułam się, jakby mnie uderzył.

– Słucham? Masz zamiar mnie tutaj zostawić?

– A co mam innego zrobić? – Zjeżył się, zapomniałam, jak łatwo się irytował jako młody facet. – Wytłumaczyć dwóm kobietom, które mnie pierwszy raz zobaczą na oczy, że muszę u nich nocować na kocu w kuchni pod zlewem? Nie mam pieniędzy, nie mam

dokumentów żadnych, nie mam pojęcia o tym świecie żadnego. Mam się ustawić koło tego weterana spod dworca?

– Pozwól, że się upewnię. Po pięćdziesięciu latach masz zamiar tak po prostu zostawić mnie nie wiadomo gdzie, z nie wiadomo kim, i wrócić do swojej ślicznej młodej żony, żeby się z nią gzić pod kołdrą?

Nozdrza mu się rozszerzyły.

– Mam zamiar wrócić do domu po to, żeby dowiedzieć się, kim jestem, znaleźć dowód osobisty, paszport, gotówkę i walizkę i mieć tutaj z tobą, jeśli los pozwoli, nowe wspaniałe życie. Chyba że chcesz ode mnie odpocząć, tak długo o tym fantazjowałaś wczoraj. I zapewne przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Powiedz, słucham.

– Do domu? Jej dom nazywasz domem? Boże, nie mogę w to uwierzyć. Zrobisz wszystko, żeby do niej wrócić! Tęskniłeś do niej pewnie zawsze i teraz masz szansę, żeby w końcu naprawić stare błędy. To jakiś koszmar, Boże, niedobrze mi, zwymiotuję za chwilę. Dobrze to czułam przez te wszystkie lata, jej cień, jej oddech na plecach.

Mój gniew był autentyczny, ale mówiąc te słowa, czułam się nieuczciwie, bo jeśli nasz związek trwał w czyimś cieniu, to na pewno nie był to cień Iwony.

– Grażyna, nie bądź kretynką.

– Nie waż się tak do mnie mówić! Zawsze to samo, zawsze dochodzimy do momentu, kiedy zaczyna się pełen troski, a tak naprawdę protekcjonalny, pogardliwy ton. Nigdy nie zadawałeś sobie trudu, żeby mnie wysłuchać do końca. Przede wszystkim dlatego, że nigdy nie traktowałeś mnie jak równego sobie partnera, to miejsce widać zostało dożywotnio zajęte przez twoją poprzednią żonę. Pamiętasz, jak kiedyś rozmawialiśmy o Hellingerze i tłumaczyłeś, że z punktu widzenia wszechświata pierwsza żona zawsze jest pierwsza i nie można jej tego odebrać? Nigdy tego nie zapomniałam, nigdy!

– Pomyśl przez chwilę! Grażyna, ja naprawdę słucham, co ty do mnie mówisz. O tym podróżowaniu, że powinniśmy byli więcej jeździć, więcej oglądać. Może to znak, że ten dworzec tutaj stoi. Może powinniśmy pojechać tam, kupić pierwszy lepszy bilet,

zostawić za sobą to miasto, Iwonę, dziewczyny, wszystkie te duchy nakładające się na nasze wspomnienia i zacząć od zupełnie czystej karty, tylko my. Ale nie możemy tego zrobić bez dokumentów, pieniędzy i wiedzy o tym, kim jesteśmy.

– Ty jesteś przyjacielem Edwarda Gierka, tyle przynajmniej wiemy.

– Co?! O czym ty mówisz?

– O zdjęciu, które stoi w twoim gabinecie, w słodkim gniazdku twoim i twojej wyfiokowanej, wyniosłej żony. Obok drugiego z Jungiem.

– Serio? Poznałem osobiście Junga? To wspaniałe.

Ale mnie ręka świerzbiła, żeby go walnąć.

– Muszę to zobaczyć, koniecznie. Obiecuję, że będę spał na kanapie.

Nie wytrzymałam i strzeliłam go w pysk. I wtedy drzwi się otworzyły.

– Graża? Grażynka? To ty? Wszystko w porządku?

Dziewczyny stały w otwartych drzwiach i patrzyły na całą sytuację z niepokojem. Ja dyszałam z wściekłości, Ludwik trzymał się za oko, z braku miejsca nie wycelowałam w policzek, tylko po prostu uderzyłam go centralnie w gębę.

Wyskoczyłam z samochodu i rzuciłam się na nie z takim impetem, jakbym ich nie widziała od lat. Czyli zgodnie z prawdą. Wandę rak załatwił jeszcze w latach siedemdziesiątych, Lucka teoretycznie żyje, dogorywając na alzheimera, kilka lat temu mnie jeszcze poznawała czasami, teraz ciągle do niej chodzę, ale boi się, jak mnie widzi, powtarza, że nie lubi obcych.

Rzuciłam się, otworzyłam ramiona, żeby objąć bladą, czarnowłosą Wandę, i zastygłam w tej durnej pozycji jak bohaterka filmu animowanego. Ponieważ widząc z tak bliska młodą, piękną, gładką, nieżyjącą, nieistniejącą od kilku dekad przyjaciółkę, poczułam gwałtowne ukłucie strachu, pewność, że to nie jest prawdziwa osoba, tylko duch, że moje ramiona przelecą przez nią jak przez mgłę i upadnę na chodnik po drugiej stronie.

Patrzyły na mnie jak na wariatkę. Nie dziwię się.

Wyciągnęłam wolno rękę, złapałam Wandę za ramię, potem za drugie, potem pocałowałam ją w oba policzki – ciągle pewna, że moje usta musną nie jej skórę, lecz chłodne styczniowe powietrze – i dopiero potem mocno ją objęłam.

I poczułam spokój. I wściekłość.

– Zdecydowanie w porządku – odparłam. – Pan doktor wraca do siebie. Obawiam się, że jego metody są jak dla mnie zbyt nowoczesne. Może pan wykasować zaplanowane na przyszłość sesje, to nasze ostatnie spotkanie. Żegnam.

Trzasnęłam drzwiami tak mocno, że cały citroën się zakołysał na tym swoim hydropneumatycznym czymśtam, opowieściami o czym mój mąż mnie od dekad zanudza.

Ciągle styczeń

1

Umierałam. Obudziłam się i nie miałam pojęcia, gdzie i kim jestem. Najpierw musiałam sobie na głos powtórzyć kilka razy, jak się nazywam, ile mam lat, gdzie mieszkam, żeby znaleźć jakiś punkt oparcia. Ja, Grażyna, żona Ludwika, lat siedemdziesiąt osiem, zamieszkała w Warszawie. Ale gdzie jestem? Jak się tu znalazłam? Dlaczego? Oddychałam coraz szybciej i coraz gwałtowniej, traciłam oddech, czułam dławiący ból w klatce piersiowej, ciało wpadło w niekontrolowane drżenie. Umierałam i pomyślałam, że to straszne, ale nie ma co narzekać, swoje przeżyłam, swoje widziałam, chciałam się tylko pożegnać z Ludwikiem, ale Ludwika nie było obok. W ogóle to łóżko nie było moje, zapach mieszkania nie mój, niewyraźne w ciemności kształty tym bardziej. Próbowałam zapalić lampkę na stoliku nocnym, ale stolika nie było, od szamotania się spadłam tylko na gruby, śmierdzący stęchlizną dywan, na którym skuliłam się w kłębek, słuchając ostatnich łomotań serca. Umierałam w samotności, w ciemności, w obcym miejscu, bez świadomości, gdzie jestem i co się ze mną dzieje.

– Ludek! Ludeczku! Jesteś tam? Proszę…

Może jesteśmy razem w jakimś hotelu nie wiadomo gdzie, może tylko poszedł napić się wody albo wysikać i tam siedzi w łazience, prostata, wiadomo. Chciałam go zobaczyć po raz ostatni, starego irytującego dziada, całe moje życie, tyle wspomnień, tyle miłości.

Usłyszałam kroki, światło się zapaliło i stanęła nade mną Wanda, zawiązując pasek od szlafroka frotté w błękitno-niebieskie prążki, porcelanowo blada jak zwykle, z czarnymi włosami rozczochranymi jak u wiedźmy. Taką ją zapamiętałam z lat, kiedy mieszkałyśmy razem na Wilczej. Jak to dobrze, że to ona wita mnie po śmierci pierwsza. Ale że nie zobaczyłam Ludwika po raz ostatni, psiakrew,

to strasznie smutne, tak rozdzierająco smutne, łzy napłynęły mi do oczu.

– Hej, już dobrze. Bałaś się znowu? Chodź, przytulę cię. – Wanda przycisnęła mnie mocno do siebie, szlafrok pachniał starą kamienicą i papierosami, jak wszystko tutaj. Udało mi się zaczerpnąć oddech. Raz, drugi, trzeci. Serce się uspokoiło, wracały wspomnienia. Pięćdziesiąta rocznica, seks, przebudzenie w alternatywnej Warszawie. Spojrzałam na swoje dłonie – ciągle młode.

– Żyję? – spytałam na wszelki wypadek.

– Cóż – odpowiedziała ze smutkiem, zawsze wszystko mówiła ze smutkiem, była naszym prywatnym Kazimierzem Rudzkim – niby żyjesz, ale w styczniu, w Europie Wschodniej, co to warte takie życie?

Minęła piąta, nie miałam ochoty kłaść się z powrotem, więc usiadłyśmy przy stole w kuchni, która pełniła funkcję mojej sypialni, Wanda z Lucyną spały razem w salonie. Zabawna jest pamięć, prawie pół wieku nie stałam w tej kuchni, a krzątałam się, jakbym nigdy z niej nie wychodziła. Woda, czajnik na gazie, sypana kawa w poobijanej puszce w szafce nad zlewem, zbrylony od wilgoci cukier w posrebrzanej cukiernicy, śmiałyśmy się zawsze, że to jedyny stylowy element tego wnętrza. Żaden rodzinny zabytek, Lucyna kupiła ją na straganie pod wpływem impulsu, mając już dość wygrzebywania cukru ze słoika.

Zrobiłam sobie kawę i zaparzyłam Wandzie ziółka. Jej słaby żołądek był obiektem niekończących się kpin. Źle tolerował kawę, wino, papierosy, przez co prowadziła się najlepiej z całej naszej trójki. Nie przypuszczałyśmy, że ten żołądek zabije ją, zanim dociągnie do czterdziestki. Patrzyłam teraz, jak delikatnie popija zioła ze szklanki, próbując nie poparzyć sobie koniuszków palców ani ust. Czy mogłam ją jakoś ostrzec? Czy w ogóle mogę jej pomóc? Czy w latach sześćdziesiątych robili gastroskopię? Kolonoskopię? Czy potrafiliby wyleczyć jej raka, nawet gdyby go znaleźli? Nie miałam zielonego pojęcia o medycynie w czasach mojej młodości. Kiedy po raz pierwszy na serio musiałam zacząć chodzić po lekarzach, prezydentem zostawał właśnie Lech Wałęsa.

– Dobrze się czujesz? – spytałam.

– Pyta osoba, która przed chwilą umierała na dywanie.

Uśmiechnęłam się, ale wspomnienie przerażającego lęku, jaki czułam przed chwilą, sprawiło, że zaschło mi w ustach. Od dawna, od bardzo dawna nie doświadczałam tych potwornych ataków, które kiedyś rządziły moim życiem i przez które trafiłam najpierw na kozetkę Ludwika, potem do jego łóżka, a w końcu do długiego wspólnego życia. Czyżby ataki wróciły razem z młodym ciałem? To by było potworne.

– Po prostu myślę, że niektórych sygnałów nie można lekceważyć – powiedziałam, zmieniając temat.

– Ty masz histerię, ja mam zgagę, wszyscy mamy wady.

– Ja się leczę.

– Widziałam. – Siorbnęła trochę ziółek, nie spuszczając ze mnie oczu. – Słyszałam, że analitycy są dziwni, ale to musi być naprawdę eksperymentalna terapia, jeśli jej elementem jest to, że znikasz na całą noc, on cię potem odwozi do domu, a ty na do widzenia okładasz go pięściami. I na dodatek jest przystojny jak sam Łapicki, nigdy nie mówiłaś, że to taki piękny mężczyzna.

Andrzej Łapicki. W moim świecie nie żył od roku, a tuż przed śmiercią przemaszerował przez wszystkie plotkarskie media dzięki małżeństwu z dziewczyną młodszą o sześćdziesiąt lat. Wzdrygnęłam się na myśl, że otaczają mnie duchy. Martwa Wanda wspomina martwego Andrzeja Łapickiego.

– Nie oceniam. Może trochę nawet zazdroszczę.

Wanda nie miała szczęścia do mężczyzn. Chłopcom z naszej klasy społecznej przeszkadzała jej wyniosła uroda hrabianki, chłopcom z wyższej klasy przeszkadzało jej pochodzenie, którego w przeciwieństwie do innych nie rekompensowała obfitym biustem i szerokim uśmiechem idiotki; wszystkich odstraszało zbyt inteligentne jak na kobietę tamtych czasów spojrzenie. No i zapach z ust, pierwszy objaw jej choroby. Umarła samotna, męża nie miała, rodzina za biedna i za daleko, ja tego dnia musiałam siedzieć przy dziecku. Wyrzuty sumienia dręczyły mnie przez resztę życia i wróciły teraz taką falą, że o mało co nie zaczęłam jej za to przepraszać, ale ugryzłam się w język. Co miałam powiedzieć? „Wiem, że umrzesz za parę lat, i chciałam cię przeprosić, że mnie

przy tym nie będzie, tym bardziej że wszystkim innym też nie będzie się chciało pofatygować”.

– Wydajesz się inna – powiedziała w końcu Wanda.

– Inna? – Spięłam się.

– Zawsze uważałam, że w tych twoich wielkich oczach odbija się jedynie tu i teraz.

– Masz mnie za kretynkę?

Autentycznie się zdziwiłam.

– Przenikliwość jest przereklamowana – odparła. – Tak sądzę. Nie czyni nikogo ani lepszym, ani bardziej wartościowym, a już na pewno nie szczęśliwszym. A głębia spojrzenia oznacza, że ktoś przeżył więcej, niż miał ochotę. Sama wiesz, za dużo takich spojrzeń w Warszawie. Ale ty… Nie wiem. Na pewno chcesz dalej chodzić do tego szamana na terapię?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie wiedziałam, czy to jakiś dowcip w jej stylu, czy naprawdę zobaczyła w moich oczach siedemdziesiąt osiem lat doświadczeń. Nerwowo wygładziłam ceratę na stole, spojrzałam za okno, gdzie zapalały się na żółto kolejne okna, za firankami migały niewyraźne cienie, nasza studnia się budziła. Maleńki skrawek nieba widoczny nad podwórkiem zmienił się z czarnego na czarnoszary, świtało.

– Bo jeśli tak, to na twoim miejscu zadbałabym o nowoczesną antykoncepcję, żeby uniknąć kłopotów. Chyba że to, co nosi na serdecznym palcu, jest jedynie nietypowym pierścieniem rodowym.

Zaśmiałam się głośno, ale ukłuła mnie zazdrość. W ferworze wczorajszych wydarzeń nie zwróciłam uwagi na to, co Wanda spostrzegła od razu. No i gdzie jest teraz ten zaobrączkowany palec mojego męża? Pod jej kołdrą? Pod jej koszulą nocną? Między jej nogami?

– To jest mój pan doktor – powiedziałam lekko – i należy go traktować z szacunkiem.

– Grażka, kocham cię i powiem szczerze, że głęboko mam, czy ktoś mu okazuje szacunek. Ode mnie go na pewno nie dostanie, tak samo jak każdy żonaty lekarz uwodzący swoje pacjentki. Przepraszam, że to mówię wprost.

Nie skomentowałam, zgadzałam się z nią w stu procentach. I po raz pierwszy pomyślałam, że może faktycznie los daje mi szansę, żebym od niego odpoczęła. I niezłą wymówkę, w końcu to on wczoraj podjął decyzję, postanawiając do niej wrócić.

– To co? – Wanda odstawiła szklankę i zatarła szczupłe dłonie. – Do roboty? Kto pierwszy do łazienki, zanim bachory Sobczaków ustawią się w kolejce?

– Idź pierwsza, masz dłuższe włosy. Ja mogę jeszcze iść z brudnymi.

– Sawa. Tylko nie budź Lucki, dziś ma nockę w aptece.

Wanda duszkiem dopiła zioła, zgarnęła ręcznik i kosmetyczkę i wyszła na korytarz, do łazienki dzielonej z lokatorami dwóch innych mieszkań. W moich czasach żadni Sobczakowie tu nie mieszkali, ich bachory tym bardziej, a Krystyna pracowała w Związku Młodzieży Socjalistycznej, ale to był obecnie mój najmniejszy problem.

Po pierwsze – musiałam zgadnąć, gdzie pracuję.

Po drugie – musiałam znaleźć jakieś ciuchy.

Po trzecie – musiałam zdecydować, czy i jak skomunikować się z Ludwikiem. Esemesa mu przecież nie wyślę.

Po czwarte – musiałam znaleźć jakiś sposób na wyrzucenie z głowy pytania, kołaczącego się w niej od wczorajszego przebudzenia:

Czy Adam też tu jest?

2

Spał jak zabity, nic mu się nie śniło i już świtało, kiedy obudziło go cudowne, od dekad zapomniane uczucie – poranny wzwód. Wspaniały, twardy, w pewien sposób dostojny wzwód, który pomagał nie myśleć o tym, że po nocy spędzonej na krótkiej sofie pod cienkim kocem jest obolały i zziębnięty.

Po rozstaniu z Grażyną poprzedniego dnia wracał do domu, kipiąc ciekawością, fantazjował o długich rozmowach z poprzednią żoną, o wyciąganiu z niej informacji o tajemnicach tego niezwykłego

świata, w którym historia potoczyła się inaczej, o wielkiej intelektualnej przygodzie. Fantazjował też nieśmiało o tym, jak się zachować, jeśli Iwona zażąda od niego spełnienia mężowskich obowiązków.

Żadna z tych fantazji się nie ziściła. Iwona warknęła, żeby zostawił ją w spokoju, i zamknęła się w sypialni.

Obudził się z erekcją i z myślą, że dopiero co wiódł spokojne życie staruszka u boku kochanej i kochającej żony, teraz zaś miał dwie małżonki, które równie mocno go nienawidziły i równie chętnie poderżnęłyby mu gardło, gdyby tylko w ich ręce wpadł przypadkiem jakiś ostry przedmiot. Co gorsza nie miał żadnego pomysłu, jak z tej sytuacji wybrnąć. Pędzić do Grażyny i przepraszać ją na kolanach? Niedoczekanie. To nie jego wina, że się tu znaleźli i że próbuje być roztropny na wypadek, gdyby to miało potrwać dłużej. Przepraszać Iwonę, błagać o wybaczenie, ratować związek, który sam zakończył pięćdziesiąt lat wcześniej? Totalna bzdura. Czekać biernie, jak sytuacja się rozwinie? Często powtarzał pacjentom, że brak decyzji to też decyzja, i wierzył w to, ale z drugiej strony takie zachowanie wydawało mu się tchórzliwe i niegodne.

Wstał i wyszedł na korytarz, w łazience szumiała woda i na myśl, że w środku jego żona bierze kąpiel, poczuł erotyczne napięcie. To w końcu jego żona, nie byłoby nic dziwnego, gdyby zapukał, żeby – powiedzmy – umyć zęby, ze wzwodem czy nie. Gdyby się wprosił pod prysznic, to też żadna niewłaściwość, najwyżej by mu powiedziała, żeby spadał.

Poza tym ciągle nie wiadomo, czy to nie absurdalny sen, który trwa i trwa. Stawanie na rzęsach, żeby w marzeniach sennych pozostać wiernym zasadom realnej moralności – czy to w ogóle ma sens?

Tak sobie tłumaczył, ale kiedy już trzymał rękę na klamce, zawahał się.

Dźwięk wody ucichł, szczęknęła słuchawka prysznica odkładana na widełki, słyszał dźwięk namydlania, szorowanie gąbki o skórę. Śmieszne, w tamtych czasach wszyscy używali gąbki, on też, ale

potem przestał, ciekawe dlaczego. Może chodziło o to, że pojawiły się żele pod prysznic?

Przełknął ślinę. Wizja siedzącej w wannie młodej kobiety, energicznie namydlającej swoje ciało, od której dzielił go tylko jeden gest, rozpalała jego wyobraźnię. Tyleż pożądaniem, co ciekawością. To kobieta, w której się zakochał, oświadczył, spędził z nią kilka lat, dzień w dzień kładł się obok niej, szukał jej ciała. Z biegiem lat coraz rzadziej, to fakt, ale jednak. A mimo to jej wspomnienie zatarło mu się kompletnie, jedno ślubne zdjęcie przechowywane na dnie szuflady nie wystarczało, żeby zachować pamięć wszystkich tych chwil, które spędzili razem. Zapach włosów, smak ust, dotyk skóry pod dłonią, tembr głosu – wszystko zapomniane.

Wczorajsze spotkanie, zdawkowe i chłodne z uwagi na okoliczności, nie zaspokoiło jego ciekawości, jedynie ją wzmocniło.

Pamiętał, że miała w sobie coś z wodnego zwierzęcia, wydry albo łasicy, świetnie zresztą pływała i chętnie, dlatego między innymi rude włosy miała zawsze krótko obcięte. Szczupła, gibka, z figurą o lekko tylko zaznaczonych kobiecych kształtach i ze śmiesznymi dużymi stopami, jakby natura, przewidując sportową pasję, postanowiła wyposażyć ją w płetwy. No i piegi. Może nie bardzo wyraźne, może nie bardzo gęste, ale pokrywające całe jej ciało od czubka nosa po stopy.

Stał przy zamkniętych drzwiach i wyobraźnia pracowała mu tak intensywnie, że widział rozgrywającą się za nimi scenę, jakby były ze szkła. Siedzi pewnie w wannie bez wody – nie cierpiała kąpieli, nazywała to „siedzeniem w zupie”, niesamowite, ile rzeczy mu się nagle przypominało – mokre włosy z rudych zrobiły się kasztanowe, gąbką rozsmarowuje pianę po całym ciele, po śmiesznych, sterczących trochę na boki małych piersiach, po delikatnych ramionach, po tych niesamowicie długich nogach. Nogi miała wspaniałe, nigdy mu nie przeszkadzało, że na obcasach jest odrobinę wyższa od niego, bo zawsze wtedy wyglądała obłędnie. A o jej niewielkim biuście myślał czasami, kiedy Grażyna się zestarzała, cóż, im atrakcyjniejsze bujne kształty za młodu, tym bezlitośniej czas się z nimi obchodzi.

W końcu nacisnął klamkę.

Prawie wszystko się zgadzało, tyle tylko że zamiast siedzieć, stała, jedną stopę postawiła na krawędzi wanny i pochylona namydlała sobie łydkę.

– Nie potrafisz pukać? – warknęła, a jej wzrok zatrzymał się na jego białych bokserkach.

To tylko sen, pomyślał, nikogo nie zdradzam. Uśmiechnął się zalotnie i wszedł do łazienki.

– Oszalałeś kompletnie? Masz amnezję? Zapomniałeś, co się działo wczoraj? Wynocha albo policję wezwę.

I wtedy zabrzmiał dzwonek do drzwi.

Spojrzeli po sobie, myśląc zapewne o tym samym. Chciał powiedzieć „udawajmy, że nas nie ma", żeby zbudować jakąś nić porozumienia, zażartować o wieśniaczce z góry szukającej znowu swojej Zofii, ale poczucie odpowiedzialności mu nie pozwalało, na korytarzu najprawdopodobniej stała jego żona, zapłakana, ledwo żywa, szukająca pomocy w obcym mieście i obcym czasie, gdzie był dla niej jedynym znanym punktem odniesienia.

– Jeśli to ona – wycelowała w niego gąbkę – to rób, co chcesz, ale nie wolno jej przekroczyć progu tego domu. Zamknij drzwi, bo mi ciepło ucieka.

Dźwięk dzwonka ponownie wypełnił mieszkanie, tym razem dłuższy i bardziej natarczywy.

Zamknął łazienkę, ściągając wcześniej szlafrok z haczyka, i ruszył do drzwi wejściowych.

Na korytarzu stała para. On miał około pięćdziesiątki i wyglądał na człowieka, który ma już za sobą dylemat, czy się zabić, czy nie, i jest już na etapie załatwiania formalności, żeby żony nie zostawiać z niezapłaconymi rachunkami. Szary płaszcz, szary kapelusz, szara twarz z szarymi oczami, encyklopedyczny zimowy Polak. Ona – młodsza o co najmniej dekadę, z palcem na dzwonku, spięta i poirytowana. Niska, w brązowym kożuszku i kozakach, o okrągłej rumianej buzi pomocy kuchennej w przydrożnym zajeździe pod Kielcami.

– Tak? – zapytał, zastanawiając się, czy to nie jacyś kaznodzieje. Mało radośni jak na kogoś, kto ma głosić dobrą nowinę, ale jest

w końcu styczeń w Polsce, nie wymagajmy zbyt wiele.

– No my w środę mieliśmy się zgłosić o siódmej do pana doktora, czy nie? Chyba że coś źle zapamiętaliśmy… – Spojrzała wymownie na partnera, żeby do wszystkich dotarło, że to stary coś pokręcił, nie ona.

Pacjenci, no proszę, kto by pomyślał. Błogosławiony zawód, w którym trzeba się tylko życzliwie uśmiechać, kiwać głową i raz na kwadrans wtrącić „i jak się państwo z tym czują?". Szanse, by się zorientowali, że pierwszy raz w życiu widzi ich na oczy – żadne.

3

Złość mnie gryzła taka, kiedy się ubierałam, że aż mdliło. Raz, że próba wykąpania się w zardzewiałej wannie wielkości umywalki zakończyła się upokarzającą klęską. Już namydlona, wściekła, że z kranu ciurka ledwie ciepła woda, postanowiłam zawalczyć z piecykiem gazowym, ruszając dwiema wystającymi z niego wajchami. Oczywiście skurczybyk zgasł, oczywiście są pieprzone lata sześćdziesiąte, więc nie ma w nim żadnej baterii, więc jak zgaśnie ten mały płomyczek, trzeba go zapalić zapałkami. Tyle pamiętałam. I nawet obok piecyka leżało pudełko.

Zgadnijcie, ile zapałek było w pudełku. Brawo, zgadliście, jedna.

Namydlona, sztywna z zimna i wściekła, czułam się jak bohater filmów akcji, który ma tylko jedną szansę, by rozbroić bombę. Zawinęłam włosy w ręcznik, żeby nie kapnęło, ustawiłam wajchy na oko, potarłam zapałkę i wtedy w drzwiach do łazienki stanął ktoś, kto musiał być panem Sobczakiem. Wyglądał dokładnie tak, jak się nazywał. Góralskie kapcie, spodnie od garnituru i podkoszulek na ramiączkach, spod którego wyłaziło gęste futro, owłosiony był jak małpa. A przy tym przeraźliwie chudy, więcej miał chyba na sobie włosów niż ciała. Na gębie wąsy, w gębie dymiący pet, a w ręku namydlony już pędzel do golenia i maszynka.

Krzyknęłam i oczywiście upuściłam cholerną zapałkę. Szukałam ręcznika, żeby się okryć. Zanim przypomniałam sobie, że go mam na

głowie, zanim go ściągnęłam i się okryłam, Sobczak już mógłby malować moje akty z pamięci.

– Uszanowanie pani Grażynce. – Wyjął peta i skinął głową na powitanie. – Coś potrzeba?

– Potrzeba, żeby się pan wyniósł natychmiast – warknęłam. – Żonie się poskarżę.

– Pani ma żonę? A to ciekawe.

– Wynocha… ordynusie.

Jezu, skąd mi takie słowo przyszło do głowy, to lata sześćdziesiąte, ale XX wieku, nie muszę się stylizować na panienkę ze dworu.

– A może – zaciągnął się mocno papierosem i wyciągnął go do mnie, pokazując żarzący się mocno koniuszek – piecyk zapalę? Jak by to powiedzieć, więcej i tak już nie zobaczę.

W jego głosie zabrzmiał komiczny, szczery żal, musiałam się skupić, żeby nie parsknąć śmiechem. Z zaciśniętymi ustami wskazałam na piecyk.

Podszedł, zapalił od papierosa płomień, a potem chwilę regulował kurek ciepłej wody i wajchę w piecyku, aż uzyskał w miarę normalny i w miarę ciepły strumień.

– Dziękuję – wydusiłam z siebie.

– Do usług – powiedział. – Poczekam za drzwiami na swoją kolej. Razem z całą rodziną. Niecierpliwie.

Wychodząc, pokazał mi jeszcze wymownie dyndający przy drzwiach haczyk, dając do zrozumienia, że skoro jestem zbyt głupia, aby opanować obsługę tego urządzenia, to sama sobie jestem winna.

– Panie Sobczak – szepnęłam za nim, bo coś mi nagle przyszło do głowy.

Spojrzał spłoszony, być może przestraszony, że będę się dalej obnażać, co innego podejrzeć młodą kobietę przez przypadek, a co innego brać udział w łazienkowym flircie, kiedy żona stoi za drzwiami.

– Zostawi mi pan ten pędzel do golenia?

Patrzył bez zrozumienia.

– Proszę?

Wzruszył ramionami, postawił pędzel na krawędzi umywalki i wyszedł. Wyskoczyłam z wanny, zamknęłam drzwi na haczyk i otworzyłam szafkę, w której wcześniej widziałam maszynkę i całe pudełko żyletek. Ostrożnie używając kremu, bo miałam do dyspozycji tylko tyle co na pędzlu, ogoliłam sobie łydki, na pachy niestety już nie starczyło. Pachy mi zresztą nie przeszkadzały, połowa stycznia, raczej nie wyjdę w sukience na ramiączkach. Ale już wczoraj skręcałam się ze wstrętu, widząc wystające przez zimowe rajstopy czarne włosy rosnące mi na łydkach. Jak ja mogłam sobie nie golić wtedy nóg?

Zacięłam się dwa razy, ciężko było się golić maszynką z przykręcanymi żyletkami, poza tym byłam wściekła. Nie tylko z powodu tej żenującej sytuacji. Szlag mnie trafiał, bo nie mogłam przestać myśleć o wczorajszej kąpieli, o czystej, obłożonej kafelkami wannie w nowoczesnym mieszkaniu Ludwika, w łazience, której nie musiał z nikim dzielić. Z nikim oprócz rudej flądry, która teraz pewnie leżała w ciepłej wodzie, krzycząc „Ludwiniu, kochanie, nie widziałeś gdzieś mojego szlafroczka, tego cieniutkiego?!”.

Kiedy w końcu wyszłam, przeciskając się w holu obok czekających na łazienkę członków rodziny Sobczaków, następne upokorzenie spotkało mnie przy szafie. Zdziwiłam się, że mam tak mało ciuchów – pozytywnie się zdziwiłam, ostatnio ciągle narzekałam, że jak typowe dziady toniemy w niepotrzebnych betach – ale za chwilę zdziwiłam się bardziej, już mniej pozytywnie, zorientowawszy się po rozmiarach ubrań, że we trzy miałyśmy wspólną szafę. Moja była tylko część.

Mieć mało ciuchów to żaden grzech, ale jak sobie przypomniałam szafę rudej, te wszystkie swetry i spódnice, ech. To, że była gotowa, abym wyszła z domu w jej ubraniach, i nawet jej powieka nie drgnęła. Gdybym ja komuś pozwoliła wyjść w swoich ciuchach, następnego dnia stanęłabym przed wyborem, bez jakiej części garderoby ruszyć na miasto.

Cóż, przynajmniej nie miałam problemu, jak się ubrać, cały wybór stylistyczny sprowadzał się do tego, czy wybrać sweter, czy żakiet i bluzkę, i do odcienia rajstop – od jasnobeżowego do ciemnobeżowego. Najgorszy był stanik. Brzydki, niewygodny

i uwierający po bokach, a moje cycki wystawały w nim do przodu jak dodatkowe kończyny. Poszłabym bez, ale cholera wie, gdzie ja pracuję i co robię.

Makijaż sobie darowałam, bałam się, że coś poplączę w tych nieznanych kosmetykach. Poza tym jestem młoda, piękna i idealna. Niech się stare tapetują.

Wciągnęłam kozaki, usiadłam przy stole w kuchni, czekając, aż Wanda zrobi sobie kocie oczy, i zastanawiałam się, dlaczego czuję jakiś ogromny brak, pustkę, irytującą wyrwę w duszy. Nie chodziło o żadne wielkie rzeczy, o Ludwika, o całe to zamieszanie, o to, że mogłam patrzeć, jak martwa od wielu lat Wanda nakłada sobie makijaż. Raczej takie niewygodne swędzenie mózgu, kiedy się nie może znaleźć okularów albo telefonu, albo odłożonej minutę temu książki, albo przypomnieć sobie imienia bliskiego krewnego.

Czego mi, do jasnej anielki, brakowało?

I nagle przyszło olśnienie. Objawienie. Promień słońca rozświetlił mroki. Podziękowałam Bogu za przypomnienie, czego potrzebuje każda kobieta, aby odnaleźć się w dowolnej rzeczywistości.

– Wandzia – zapytałam beztrosko. – Nie widziałaś gdzieś mojej torebki?

– Na wieszaku – odparła, nie odrywając oczu od lustra.

Przyniosłam do kuchni niewielką granatową torebkę zamykaną na mosiężny zatrzask i wysypałam jej zawartość na stół, nie mogąc się doczekać, aż dowiem się czegoś o sobie. Wanda zerknęła na mnie, słysząc hałas, ale nie skomentowała.

Szminka, kredka do oczu, pilnik do paznokci, puderniczka z lusterkiem, pudełko kremu nivea, chusteczka zwykła, nie jednorazowa. Ten standardowy zestaw przesunęłam na jedną stronę stołu. Nic o mnie nie mówił poza tym, że pracowałam raczej w biurze niż w klubie nocnym, kolory kosmetyków były pastelowe, mało wyzywające. Ale tego już się domyśliłam po swojej garderobie.

Klucze do mieszkania z breloczkiem w kształcie syrenki. Czyli czułam się dumną warszawianką, to już jakaś informacja.

Bilet miesięczny w plastikowej ramce z naklejonym znaczkiem na styczeń i ze zdjęciem, na którym kocie oczy miałam pociągnięte tak daleko, że ich kąciki chyba się splatały na potylicy. Czyli nie mam

samochodu i jeżdżę na tyle często komunikacją, że opłaca mi się mieć miesięczny. Do pracy? Do znajomych? Do chłopaka?

Dowód osobisty. Imiona i nazwisko to samo, imiona rodziców też, ta sama data urodzenia i miejsce, czyli Środa Wielkopolska. Zdjęcie chyba maturalne, bo straszny dzieciak na mnie ze zdjęcia zerkał, naprawdę zapomniałam, że kiedykolwiek byłam aż tak młoda. Wpisany stały meldunek w Środzie i tymczasowy meldunek na Wilczej. Obie te informacje potwierdzone dziwną pieczątką ze skrzyżowanymi kluczami, jakby Watykan zajmował się w Polsce sprawami meldunkowymi. Dzieci nie miałam, męża i znaków szczególnych też nie, miałam za to zawód: pracownik naukowy. Ciekawe. Państwo nazywało się Rzeczpospolita Polska, orzeł miał koronę, dokument wydano w językach polskim i francuskim.

Mikroskopijna portmonetka ze sztucznej skóry, taka w kształcie litery U, z jedną tylko przegródką, w której miałam trochę drobnych i złożony na czworo banknot pięćdziesięciozłotowy z panoramą Warszawy. Dużo? Mało? Trzeba iść do sklepu, żeby sprawdzić. Mam gdzieś jeszcze jakieś pieniądze? W szufladzie z majtkami nic nie widziałam, może w kuchni w jakiejś puszce, dziewczyny powinny wiedzieć.

Wizytówka Ludwika z hasłem: „Nowoczesna pomoc w problemach psychicznych. Skuteczne leczenie lęków, złości i melancholii". Bez komentarza.

Niewinne puzderko w kwiatki, takie na różne różności, a w środku dwie prezerwatywy Eros, wyprodukowane przez Krakowskie Zakłady Przemysłu Gumowego. Czyli jestem aktywna seksualnie. Z kim? Albo przynajmniej jestem psychicznie gotowa na taką aktywność. Z kim? I jako zabezpieczenia używam prezerwatyw, więc trzeba uważać. Czy miałam wczoraj dzień płodny, kochając się z Ludwikiem prawie cały czas?

Ta myśl mnie zmroziła, z bardzo wielu powodów.

Trzy krówki ciągutki i zawinięta w kawałek gazety wyssana do połowy miętówka.

– Idziesz? – Wanda stała przy drzwiach i patrzyła wyczekująco.

Zgarnęłam wszystko i wyszłyśmy.

Cóż, po wczorajszym słonecznym dniu ślad nie został, prawdziwy polski styczeń go zamordował i pochował głęboko pod warstwą zamarzniętej gleby. Niebo nad studnią miało kolor – nie, wróć, nie miało żadnego koloru, nawet nie chcę szukać słowa na tę straszną barwę – ceglane ściany sprawiały przygnębiające wrażenie, a w bramie cuchnęło, jakby sikało tam całe miasto. Bliżej ulicy została upstrzona ordynarnymi napisami i ozdobiona dziwacznym graffiti. Znak wymalowany czarną farbą po obu stronach wejścia przedstawiał stylizowany kłos zboża, u dołu przechodzący w kotwicę. Jak Polska Walcząca albo Solidarność Walcząca, tylko zamiast P lub S – kłos pszenicy. Podziwiałabym dłużej i zapytała Wandę, ale chciałam za wszelką cenę wyjść z tej chmury uryny, nie mogłam się doczekać, aż znajdę się na ulicy.

Niesłusznie.

Ulica składała się z kilku niezależnych rzek śniegu i błota. Najgorzej było na jezdni, gdzie nawierzchnia z kocich łbów wypiętrzała się pośrodku, przez co cała woda spływała w stronę chodników. Wyglądało to tak, jakby z ciemnego jeziora wystawał poszarpany grzbiet śpiącego w nim wężowatego potwora. Ponieważ woda zbierała się przy krawędziach, każdy przejeżdżający samochód wychlapywał ją wielkimi fontannami na chodnik, gdzie mieszała się ze śnieżną breją. Ludzie w szarych płaszczach przemykali przy ścianach domów, reagując na odgłos silnika jak na naloty w czasie okupacji – z paniką w oczach rozglądali się za najbliższą bramą i pędzili do niej, żeby schronić się przed fontanną wody.

Ludwik miał rację. Kupić bilet na pierwszy lepszy pociąg i uciekać. Tak długo, aż znajdziemy więcej słońca i mniej błota.

Okupacyjną metodą dotarłyśmy z Wandą do Marszałkowskiej i przeprawiłyśmy się na jej drugą stronę. To naprawdę właściwy czasownik, nie wyobrażam sobie lepszego, biorąc pod uwagę, co się stało. W pewnej chwili na chodniku napotkałyśmy prowizoryczny most z desek, łączący oba brzegi ogromnego bajora.

– Uwaga, dziecko! – krzyknęła z tyłu młoda kobieta, kiedy byłam w połowie przeprawy, starając się za wszelką cenę utrzymać równowagę na chybotliwych deskach.

Rozejrzałam się zdziwiona, ale reszta przechodniów nawet nie mrugnęła, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Młoda kobieta podała najbliżej stojącej osobie zawiniętego w beciki berbecia, a ludzie zaczęli go sobie podawać z rąk do rąk i za chwilę to ja trzymałam małego chłopca, tak na oko prawie rocznego, o czarnych włosach wystających spod czapki i czarnych roześmianych oczkach. Trzymałam go przez sekundę, tyle żeby odwzajemnić uśmiech i podać go dalej, ale i tak uderzyło mnie tsunami uczuć. Sześćdziesiąty trzeci rok. Inny, ale ja tu jestem, Ludwik tu jest, jeśli zostaniemy, to za kilka miesięcy nadejdzie sierpień, kiedy jako para kochanków wybraliśmy się na Warmię. Czy można powtórzyć ten dzień? Czy warto zagrać w biologicznego totka? Czy jeśli jest cień szansy albo nawet promil cienia szansy, żebym znowu trzymała w rękach swojego syna i tym razem doświadczyła jak najmocniej każdego dnia macierzyństwa, wiedząc, że nic lepszego mnie w życiu nie spotka – czy moim obowiązkiem nie jest zaryzykować?

Myślałam o tym, patrząc, jak młoda matka po przebyciu kładki odbiera swoje dziecko, sadza sobie na ramieniu i odchodzi. Ruszyłyśmy w tę samą stronę i doszłyśmy do placu Konstytucji, którego, jak by to powiedzieć, nie było. W miejscu, gdzie powinien znajdować się monumentalny socrealistyczny plac ze sklepami ukrytymi w podcieniach, z posągami robotników i z ogromnymi ozdobnymi kandelabrami zamiast lamp, ciągnęła się zwyczajnie ulica Marszałkowska.

No, nie całkiem zwyczajnie.

Bardzo niezwyczajnie.

Do Warszawy przyjechałam dopiero na studia, w połowie lat pięćdziesiątych, akurat trwał festiwal młodzieży, pierwszy raz Murzyna na własne oczy zobaczyłam, jak prawie wszyscy zresztą. Nie wiedziałam, że to czas wyjątkowy, świąteczny, odpicowany. Ja, prowincjuszka z wielkopolskiej mieściny, zakochałam się bez pamięci w tym mieście słońca, kolorów, przybyszów z całego świata. Nie wiedząc, że to krótki nawias między morzem szarzyzny przed i oceanem beznadziei po. Nieważne, ważne, że przyjechałam do Warszawy już w miarę uporządkowanej. Wprawdzie wciąż można

było spotkać poszarpane kulami elewacje, a w drugiej linii zabudowy straszyły kamienice żywcem przeniesione z XIX wieku, nasza na przykład, żeby daleko nie szukać, ale mimo to z niedowierzaniem słuchałam opowieści o pustej i martwej wypalonej kupie gruzów, jaką była stolica w 1945 roku. O czarnych, pokrytych śniegiem zgliszczach. Bez światła, bez wody, bez prądu. O mieszkańcach, którzy kręcili się w kółko w miejscu, gdzie spędzili całe życie, nie poznając ani jednego kamienia, nie potrafiąc odróżnić w wydmach rumowisk ulic od podwórek. O ludziach, którym bez żadnej przenośni stawało serce, kiedy wracali i widzieli zwłoki swojego miasta.

Teraz po raz pierwszy zobaczyłam tego trupa na własne oczy i ten widok był jak cios pięścią. Zatrzymałam się i nie mogłam zaczerpnąć tchu, zrobiło mi się słabo. Musiałam usiąść na brudnym koszu śmietnikowym na rogu ulicy, żeby nie zemdleć.

Wanda spytała, czy wszystko w porządku, odpowiedziałam, że tak, zaraz mi przejdzie, skłamałam, że to przez miesiączkę, jestem słaba, za szybko szłam. Mówiłam i nie słyszałam własnych słów, patrząc w miejsce, gdzie w moim świecie znajduje się obłożona piaskowcem pierzeja placu Konstytucji, ze sklepem muzycznym, kawiarnianymi ogródkami i kwiaciarkami, które w zależności od pogody albo rozstawiają się na placu, albo uciekają przed słońcem lub deszczem w rozległe podcienie. Teraz cały ten kwartał ulic wyglądał jak wrota piekieł. Najpierw usypiska gruzu, za nimi wypalone fasady, prawie kompletnie zburzone, sięgające pierwszego piętra, jeszcze za nimi kolejne ściany, trochę wyższe, z ziejącymi oczodołami zamiast okien, bez dachów, czarne, okopcone. W wyrwach zawalonych ścian widziałam kolejne linie zabudowy, tak samo wypalone i martwe. Wszystkie poza jednym mieszkaniem na najwyższej ocalałej kondygnacji w głębi tego archipelagu ruin, na czwartym, może piątym piętrze – tam płonął intensywnie pomarańczowy ogień, jedyny element koloru w tym pejzażu, dawało to upiorny efekt, jakby z gruzów wstawała ogromna postać z płonącymi oczami.

Czy naprawdę całe miasto tak wtedy wyglądało? Dlaczego tego kawałka nie odbudowali? Nie uprzątnęli przynajmniej, nie postawili

latarń i rabatek, żeby to w jakiś sposób oswoić, w końcu to samo centrum stolicy.

Wczoraj rozmawiając z dziewczynami krótko przed zaśnięciem, wymyśliłam pewien styl prowadzenia rozmowy, który pozwalał mi zdobywać informacje. Polegał nie na zadawaniu pytań, lecz wygłaszaniu neutralnych komentarzy. Nie wychodziłam w ten sposób na idiotkę, co najwyżej na nudziarę, która stwierdza rzeczy oczywiste. A potem milczałam, licząc, że dziewczyny coś powiedzą na ten sam temat, żeby wypełnić ciszę – Ludwik mnie nauczył tej sztuczki. I że w ten sposób dowiem się czegoś o otaczającym mnie świecie.

– Zaraz dojdę do siebie, moment. – Machnęłam ręką na znak, że to błahostka.

– Może terapia już działa – powiedziała Wanda z przekąsem.

– Niby się przyzwyczaiłam, ale zawsze się dziwnie czuję, jak tędy przechodzę. – Wyszło na to, że próbuję zmienić niewygodny temat. – Że to zostawili.

Wanda wzruszyła ramionami.

– Zazdroszczę, ja się czasami wstydzę, że całymi tygodniami Rezerwatu nie zauważam. A w lecie w ogóle tędy nie chodzę, wiesz przecież, nie chcę patrzeć, jak turyści walą do tego lunaparku śmierci, z lodami w łapach i bachorami na barana. Piotrek ma rację, albo trzeba było nic nie ruszać, albo zwyczajnie odbudować. A nie stawiać w środku sklep z pamiątkami. Ciotka ostatnio do mnie list napisała, żebym jej taki breloczek z gruzem sprezentowała, uwierzyłabyś? I teraz jeszcze na Koszykach mają zrobić „patriotyczną przestrzeń kulturalną". Wiesz, co to u nas oznacza.

– Kurczak z rożna i piwko dla dorosłych, a dla dzieci plac zabaw w formie kanału i drewniane karabiny, żeby się mogły bawić w śmierć za ojczyznę?

Wersja historii alternatywna co prawda, ale strzał wydawał się bezpieczny.

– No jak cię słucham, to myślę, że niejeden konkurs na muzeum wojny byś u nas wygrała. Chodź, bo się spóźnimy.

Ruszyłyśmy.

– Może to i jakiś pomysł, więcej bym zarobiła niż teraz. – Miałam nadzieję, że się dowiem, gdzie pracuję i co robię.

Wanda zwlekała z odpowiedzią, jakby kwestia mojego zatrudnienia stanowiła dla niej niewygodny temat.

– Nie narzekaj, jak cię przyjmą na stałe, to będziesz najlepiej z nas ustawiona. Piotrek ma rację, na niektóre zawody koniunktura nigdy się nie kończy. Na przykład ludzie zawsze potrzebują policji. – Zaśmiała się chrapliwie.

Policja? Jezu, nie miałam najmniejszego pojęcia o pracy w policji, tyle co z seriali kryminalnych. Sama myśl o tym spięła mnie tak, że przestałam zauważać moje nie moje miasto wokół, gapiłam się w krzywy chodnik, próbując wdepnąć w jak najmniej kałuż, byłam w kozakach z cienkiej skóry, a nie w kaloszach, i zastanawiałam się, co też mogę robić w policji. Munduru w szafie nie trzymam, więc może jestem urzędniczką, protokolantką? Ale w dowodzie miałam wpisane „pracownik naukowy". Więc może instrumentariuszka, która lekarzom sądowym podaje piłę do cięcia kości i ociera pot z czoła? Cholera, może po prostu uciec pod jakimś pretekstem, pojechać do Ludwika i tam myśleć, co dalej. Czy ja bym w ogóle trafiła do jego bloku? Nie zapisałam adresu, piętra, numeru mieszkania, nic. Na wizytówce może jest? Czy tam siedział dozorca? Miał spis lokatorów? Czy w ogóle się odnajdziemy?

Jedna niewesoła myśl napędzała drugą, z każdą kolejną zbliżałam się do kurtyny, za którą czekała histeria, gotowa, żeby rzucić mi się do gardła.

– To co, wieczorem w domu – rzuciła Wanda – chyba że damy radę o szesnastej pod „laską marszałka"?

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się, choć miałam ochotę paść w błoto na kolana i błagać ją, żeby mi pomogła, żeby zawiozła mnie do Ludwika. Poprawka: nie w błoto. Wokół mnie zamiast kocich łbów i wypełnionych wodą dziur rozciągał się równiutki chodnik z wielkich, wypolerowanych granitowych płyt. Zdziwiłam się, przez co straciłam szansę na rozszlochanie się i błaganie o pomoc. Wanda machnęła mi ręką na pożegnanie i pobiegła.

A ja zostałam sama pod budynkiem przypominającym trochę warszawskie Muzeum Narodowe, a trochę paryski Palais de Chaillot,

ten sam prostokątny monumentalizm, tylko więcej okien.

Pod wejściową kolumnadą kręciły się dziewczyny w wieku na moje oko licealnym, wszystkie w identycznych zielonkawych mundurkach i z włosami zaplecionymi w identyczne warkocze różniące się jedynie kolorem, w większości oczywiście miodowe albo słomiane, jak to u nas.

Nad kolumnadą widniał wyryty w marmurze napis: FEMMES SANS FRONTIÈRES.

4

Słuchał, jak jego pacjent opowiada monotonnym głosem o próbie samobójczej, i nie posiadał się ze szczęścia. Ponieważ był terapeutą z XXI wieku w latach sześćdziesiątych. Piętnaście lat przed *Annie Hall*, ze dwadzieścia przed terapią kognitywno-behawioralną, trzydzieści przed tym, zanim wiara w to, że można przegadać swoje problemy i ulepszyć swoje życie, stała się normalnością, a nie wyśmiewanym dziwactwem, opowieścią ze świata, w którym ludzie rano wierzą, że są Napoleonami, a wieczorem eksponują genitalia w Ogrodzie Saskim. Jego doświadczenie w dziedzinie najróżniejszych technik terapii indywidualnej i grupowej przewyższa obecny stan wiedzy o lata świetlne. On wie, jak pomóc nieszczęśliwym ludziom, którym dziś przepisuje się – psiakrew, przecież w tym świecie nawet valium nie ma – herbatki kojące nerwy albo radzi: „Weź się w garść, chłopie”. Przecież będzie mógł pomoc setkom osób. A jeśli poświęci czas na wyszkolenie paru uczniów i wysłaniu ich w Polskę – tysiącom, może dziesiątkom tysięcy. Przecież on jest tutaj bogiem! Ta perspektywa go upajała, wpędzała w euforię, musiał bardzo się starać, żeby okazać odpowiednio wiele poważnej uwagi cierpiącemu na syndrom stresu pourazowego mężczyźnie i jego tyleż zatroskanej, co poirytowanej żonie. Właściwie to od niej się wszystkiego dowiadywał, facet tylko siedział i sprawiał wrażenie, że włożony w to siedzenie wysiłek go wykończy.

– Panie doktorze, ja panu powiem tak szczerze, jak pomyślę, że ludzie to mają prawdziwe problemy. Ktoś umiera, ktoś ciężko chory, boli go albo jeszcze gorzej, coś z dzieckiem nie tak. A my? Może nie młodzi, ale starzy też nie, nie bogaci, ale głodem nie przymieramy, dzieci udane, praca jest, a Polska nasza, różnie bywa, no ale czy to było kiedyś lepiej? Na pewno nie przed wojną, no i na pewno nie za okupacji czy potem przez chwilę z Moskalami, no wtedy to w ogóle, a teraz tylko brać, żyć i być szczęśliwym, gębę wystawiać do słońca i śmiać się głośno, takie jest moje zdanie, jeśli mnie ktoś pyta.

Nie przerywał, bo mimo deklarowanego szczęścia dużo było w jej przemówieniu goryczy.

Ciekaw był, do czego to doprowadzi.

– Tylko śmiać się i brać, co życie daje. Tylko baba daje jedno, a chłop daje drugie, tak zawsze było i tak zawsze będzie. Ja się od roboty nie migam, ja dom ogarnę, dzieci oporządzę, już duże na szczęście, a jeszcze muszę na piątą się meldować świątek piątek w „Bretanii", wie pan, vis-à-vis Cedetu. I ja w zamian nie chcę być wszego świata cesarzową, tylko zwyczajną królową, jak w bajce, rozumie pan. Tylko królowa potrzebuje króla, co zarobi, co załatwi i nawet jak jest gorzej, nawet jak nie wychodzi, to się stara.

Nakręcała się w swojej przemowie, a on słuchał uważnie, próbując dośpiewać sobie wszystko to, co teoretycznie powinien wiedzieć w wyniku wcześniejszych spotkań. Na razie wywnioskował tyle, że mężczyzna był już u niego, aby opowiadać o swoich problemach, a teraz po raz pierwszy przyszedł razem z żoną, na wyraźną prośbę Ludwika.

– I ja się starałam rozumieć i współczuć, i rozmawiać, i wszystko, ale ja już nie mogę. Ja już nie mogę, że kiedy w nocy w sobotę stoję w kuchni i mnie nogi już tak strasznie bolą, żeby w niedzielę, wie pan, normalnie było, dwa dania, ciasto, cała rodzina przy stole, to jest ważne, jak potem dzieci mają wiedzieć w swoich rodzinach, że tak trzeba, jak im nie pokażemy, to ja wtedy nie chcę słuchać o wojnie. Nie chcę, nie chcę i nie mogę. Bo to było straszne, ale to było dwadzieścia lat temu prawie. Przecież nawet Inżynier mówi, że pamięć nie może zastąpić wyobraźni, że historia nie może być wizją

przyszłości. Ja nie krytykuję, tylko to wszystko się już tak dawno temu wydarzyło, prawda?

Przytaknął delikatnie, by dać do zrozumienia, że pojmuje przekaz i uważnie go słucha, ale to nie znaczy od razu, że się z nim zgadza.

– Maciek – zwróciła się wprost do męża, do tej pory mówiła o nim jak o kimś nieobecnym – przecież my się poznaliśmy na demonstracji po wyborach w czterdziestym siódmym, piętnaście lat temu! I przez dziesięć lat byłeś normalnym facetem. A teraz przecież w tym reżimie to wy jesteście szlachta nowej Polski, my byśmy mogli z mieszkaniem załatwić, już tyle razy mówiłam. Panie doktorze, no wspomnienia, no one są po prostu, nie mogą tak człowieka zaatakować po latach. No jak tak można, no?

– A kiedy to się pojawiło?

Spojrzała na męża, który najpierw długo nie zmienił wyrazu twarzy, a kiedy zorientował się w końcu, że oczekują od niego aktywności, próbował zbyć ich grymasami niewiedzy i wzruszeniami ramion. I dopiero kiedy spostrzegł, że to nie skutkuje, westchnął i zaczął wolno mówić:

– Na początku było tak, że te wspomnienia czasami wracały, jak to wspomnienia. Przykro, ale przecież tak się zdarza. Potem zauważyłem, że stały się bardziej aktywne. Nie czekały tam z tyłu w magazynie, aż je wyciągnę – poklepał się po potylicy, jakby to faktycznie tam mózg przechowywał wspomnienia – tylko stały, jak by to powiedzieć, w sieni. I jak tylko nie miałem nic do roboty, jak tylko chciałem sobie po prostu pobyć, odpocząć, pomyśleć, to od razu wyskakiwały. Za każdym razem na dłużej. A teraz są w salonie, cały czas. I muszę na nie patrzeć, czy mam na to ochotę, czy nie. Opowiadałem panu.

Opowiadał, ale Ludwik był tu od wczoraj i jedynie mógł się domyślać, że to jedna z okropnych wojennych historii. Zabijał? Był świadkiem śmierci? Okrucieństwa? W sumie to drugorzędne, tak jak dla chirurga drugorzędne jest, czy dziurę zrobiła gałąź, czy szabla, zaszyć trzeba i tyle. Jeszcze usłyszy tę historię nie raz.

– No jak tak można. – Żona splotła ręce na kolanach gestem kobiety z prowincji. – Wspomnienie to wspomnienie. Jest i tyle.

– Pani nie czuje się z tym komfortowo, prawda?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutno, błysnęły łzy. Miała w oczach fajną mądrość, która musiała się kiedyś spodobać jej mężowi, mimo że wyraźnie pochodzili z różnych klas społecznych. On zapewne jeszcze przed wojną odebrał wykształcenie, ona awans społeczny zawdzięczała powojennym zmianom.

– Wie pan co, panie doktorze? Ja chyba nawet nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

– Dlaczego?

– Nieprzyzwyczajona jestem, jak o tym pomyślę, to nikt mnie nigdy w życiu chyba nie zapytał, jak ja się czuję. A ja się bardzo samotnie czuję. Bo może ja nie byłam prawnikiem w sądzie podziemnym, może nie byłam w takiej konspiracji, że nawet mężowi nie mogę powiedzieć, co robiłam. W powstaniu nie walczyłam, tylko uciekałam w panice, nigdy nie miałam broni w ręku. Z prostej kolejarskiej rodziny jestem dziewczyna. Kazali uciekać, uciekałam. Kazali stać, stałam. Kazali jeść brukiew, jadłam. Ale ja też swoje przeżyłam. Ja też czasami… – Głos jej się załamał.

Milczał, czuł, że powie do końca, z czym przyszła. Bo rozumiał już, że dziś tak naprawdę to ona do niego przyszła, nie on. Bał się, czy partner jej nie przerwie jakąś uwagą, ale partner nie zamierzał wychodzić ze swojego stanu.

W głębi mieszkania delikatnie zamknęły się drzwi, to pewnie Iwona wyszła do pracy. Trochę szkoda, bo chciał z nią porozmawiać, ale też dobrze się składa, będzie mógł poszukać Grażyny i pomyszkować, żeby zdobyć trochę informacji o tym świecie. Ciągle nie miał pojęcia, jak to możliwe, że Eugeniusz Kwiatkowski podpisuje jako polski prezydent traktaty z de Gaulle’em i Adenauerem.

– Moja siostra była w powstaniu. Starsza o trzy lata, maturę podziemną zrobiła. Umarła, wiadomo, jak wszyscy. Niby że od bomby, potem się okazało, że koledzy z własnego oddziału ją przez przypadek zastrzelili, jak w nocy z siku wracała, podobna historia jak z synem Inżyniera. Tylko szkoda, że przez to odznaczenia nie dostała, dla mamy to by było ważne pewnie. Ale nie mam żalu do nikogo, historia taka jest, jaka jest. Jezu, ile my żeśmy się jej grobu naszukali. Śledztwo jak z kryminału, od osoby do osoby, wszystkie

nitki się rwały, no bo nie żyli wszyscy, co podobno coś wiedzieli. Styczeń, mróz, jedyne światła to ogniska, jakie ludzie palili, że też wszyscyśmy nie uciekli z tego miasta, to do dziś nie potrafię zrozumieć. W podwórku była na Lwowskiej, gdzie Rezerwat jest teraz, nienawidzę tego miejsca.

Powiedziała to na jednym wydechu prawie, musiała minąć chwila, zanim zrozumiał, że ostatnie zdanie dotyczy jej siostry.

– Po włosach poznaliśmy, czarne loki, długie, co do reszty, to ona jeszcze w sierpniu zginęła, upały. Matka to była w takim stanie, szkoda gadać. Wygrzebałam siostrę jakoś, a matka zaczęła płakać, że nie możemy jej tak pochować. Na początku nie wiedziałam, o co jej chodzi, okazało się, że o gruz we włosach. Głupie, co nie? No ale matka to matka, nie wypadało się kłócić. Znalazłam deskę z gwoździami, trupa sobie położyłam na kolanach i ją jakoś uczesałam tymi gwoździami. Ostrożnie, żeby nie skaleczyć. Też głupie, co nie?

Nic nie mówił, nie po raz pierwszy i nie po raz tysięczny słyszał, jak ktoś maluje przed nim obrazy najgorszych wspomnień i traum. W swoim katalogu miał rzeczy zupełnie błahe, którym lata rozpamiętywania nadały wyolbrzymione znaczenie, jakieś kłótnie, dziecięce upokorzenia, małżeńskie zdrady. Miał też takie, które starał się zaleczyć, wiedząc, że podnieść się po tym nie sposób. Ofiary gwałtów, molestowań, wieloletniej przemocy. Z tego punktu widzenia opowieść kobiety mieściła się gdzieś pośrodku – wstrząsająca, ale jednak zamknięta, w scenie rozczesywania włosów słyszał czułość, rozdzierający smutek pożegnania – ale nie traumę.

– Ale mnie nikt nie pożałuje, bo potrafię wstać z łóżka i nie wkładam głowy do piekarnika, żeby dzieci musiały mnie stamtąd wyciągać zarzyganą, jak wrócą ze szkoły. Więc co ja tam wiem o wojnie.

Odczekał chwilę, ale oboje milczeli, więc postanowił się wtrącić. Nauczył się przez dekady praktyki, że czasami zgodnie z zasadami sztuki trzeba pozwolić pacjentowi samemu do wszystkiego dojść, ale czasami lepiej zagrać lekarza, który wie, co dolega, i potrafi to wyleczyć. Wielu osobom dawało to siłę niezbędną do zmierzenia się z procesem terapeutycznym.

– Proszę mnie posłuchać. Głowa w pewien sposób nie różni się od żołądka czy płuc. To jeden z organów naszego ciała. Dwie osoby zjedzą to samo zepsute mięso, ale tylko jedna się rozchoruje. Dwie latają bez czapki w zimie i jedna wyląduje w łóżku na dwa tygodnie, a druga nawet kataru nie będzie miała. Tak samo z głową. Pani jest ciężko, kiedy wracają smutne wspomnienia, rozumiem to i współczuję. A pan Maciej od swoich się rozchorował.

Spojrzała na niego uważnie. Ten efekt też znał. Słowo „choroba" pacjenci zazwyczaj witali z nadzieją. Choroba to coś, co można wyleżeć, wyleczyć, nazwać.

– I ta choroba się jakoś nazywa?

Dobre pytanie, syndrom stresu pourazowego zdefiniowano i nazwano po wojnie w Wietnamie, która tutaj się na dobre nawet nie zaczęła, Kennedy przecież jeszcze żyje. Kiedy on zginął? W sześćdziesiątym trzecim właśnie, ale kiedy? Jesienią chyba, nieważne. Wcześniej PTSD nazywano nerwicą pourazową, ale instynktownie czuł, że słowo „nerwica" źle się tym ludziom skojarzy, pomyślą od razu o kaftanach i drzwiach bez klamek.

– Nazywa się szok artyleryjski, ponieważ jest częsta u żołnierzy, którzy doświadczyli rzeczy strasznych. Ale dotyczy też ofiar katastrof, przestępstw, świadków nagłych i gwałtownych wydarzeń. – Wolał nie wspominać o gwałtach, bo młodą dziewczynę w czasie okupacji różne rzeczy mogły spotkać. – I przypomina trochę niezagojoną ranę w pamięci. Która cały czas się jątrzy i ropieje.

– Ranę można wyleczyć.

– Taką też.

Pan Maciej drgnął i spojrzał na niego, po raz pierwszy od początku spotkania w tych oczach było coś innego niż pustka.

– Ale jak? – zapytał.

– My mówimy desensytyzacja, a po ludzku chodzi o „odwrażliwienie". Chodzi o to, że bolesne wspomnienie nie zniknie. Czasami, tak jak teraz pańska żona, będzie je mógł pan przywołać. Czasami nawet wróci samo. Ale nie będzie, jak pan to ujął, rozpychało się w salonie, nie będzie przeszkadzało panu żyć. Trochę to załatwimy rozmową, a trochę zrobimy czary-mary.

– Czary-mary?

– Pan będzie mówił, a ja panu będę ruszał ręką przed nosem. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale chodzi o to, w jaki sposób mózg jest połączony z oczami i wspomnieniami – mówił, a w wyobraźni strzelały mu fajerwerki. Dostanie możliwość zastosowania EMDR ponad dwadzieścia lat przed wynalezieniem tej terapii, niesamowite! – Od razu też powiem, że w terapii pomaga odcięcie się od bodźców, które przywołują wspomnienie. Czyli na razie odradzam spotkania z kolegami z wojska. Tylko tutaj będziemy o tym rozmawiali. O tym i o innych sprawach, które sprawiają, że czuje pan niepokój.

Pan Maciej spojrzał za okno wychodzące na bloki i przestrzeń dookoła. Przestrzeń, będąca pozostałą po getcie pustynią. Może to o to chodzi? I on, i Grażyna spędzili wojenne dzieciństwo poza Warszawą, ich ojcowie zginęli w czasie okupacji, ale poza tym ominęły ich największe koszmary, jak Zagłada i powstanie. W przeciwieństwie do jego gości znali je tylko z opowieści.

– I kiedy możemy zacząć?

– Już zaczęliśmy.

Na te słowa kobieta rozpłakała się i był to płacz ulgi. Słyszał go tyle razy i za każdym razem tak samo rozpierała go duma i szczęście. Tyle tylko, że w tej rzeczywistości nie mógł jej podsunąć pudełka chusteczek jednorazowych, zamiast tego wyjął z kieszeni marynarki starannie wyprasowaną chustkę w kratę.

I spodobało mu się to. Styl jednak ma znaczenie, pomyślał.

5

Dobrze, czyli pracuję w szkole. Nie jestem pomocniczką koronera, specjalizującą się w pakowaniu gałek ocznych do słoików, ani nic w tym stylu. To dobra wiadomość. Mam dwadzieścia osiem lat i jedną trzecią szafy, więc raczej żadne eksponowane dyrektorskie stanowisko to nie jest. Jeśli tutaj też skończyłam SGPiS, a czemu nie, w końcu Ludwik tak samo jest po psychologii, pewnie jestem jakąś urzędniczką niższej rangi, to by nie było złe, liczydła i segregatory od zarania ludzkości tak samo działają, dam sobie radę.

Muszę tylko znaleźć pokój, szklankę, sypaną kawę i cukier w kostkach – a dalej z górki. Kiedy miałam swoje prawdziwe dwadzieścia osiem lat, pracowałam w Komisji Planowania i tam zajmowałam się kontaktami z kadrą w przedsiębiorstwach państwowych, innych zresztą nie było. A potem się przebranżowiłam na edukację i w końcu dyrektorką podstawówki nawet zostałam, no ale od sześćdziesiątego trzeciego do mojego dyrektorowania to jeszcze ho, ho, ze trzy dekady.

A tutaj – urzędniczka w szkole. Wszystko się zgadza. Ciekawe jaka. Sekretariat? Na to trochę zbyt wykształcona jestem. Chyba. Księgowość? Kwatermistrzostwo? Jakaś asystentka przy dyrekcji?

Myśl o znajomym zajęciu uspokoiła mnie na tyle, że w końcu zaczęłam dostrzegać otoczenie. Weszłam do środka i stwierdziłam, że wcześniejsze porównanie do Muzeum Narodowego wcale nie było na wyrost. Hol pomieściłby publiczność średniej wielkości stadionu i był onieśmielająco monumentalny. Miałam wybór – mogłam albo zapuścić się w korytarze po lewej i po prawej stronie, albo skorzystać ze schodów prowadzących przez kolumnady na wyższe piętra. Poszłam w stronę schodów bez żadnego wyraźnego powodu, wydawało mi się to bardziej atrakcyjne, zresztą tam znikały wszystkie uczennice, podejrzewałam, że boczne korytarze parteru prowadzą raczej do szatni, stołówki i sali gimnastycznej, to by było logiczne.

Na głównej ścianie naprzeciwko wejścia, w piaskowcu wyryte było proste logo szkoły, zaplecione ze sobą litery FSF na tle w kształcie szkolnej tarczy. Poniżej mogłam przeczytać francuską sentencję:

„Les femmes n’ont point de caste ni de race, leur beauté, leur grâce et leur charme leur servant de naissance et de famille. Leur finesse native, leur instinct d’élégance, leur souplesse d’esprit sont leur seule hiérarchie, et font des filles du peuple les égales des plus grandes dames”.

Ostatnie słowa, od „font”…, zostały wyróżnione większą czcionką, każda litera miała wielkość mojej głowy. Autora nie było, polskiego tłumaczenia też nie, co mnie trochę zdziwiło i wydało się pretensjonalne. Tekst nie był trudny – o tym, że podziały klasowe

i rasowe nie dotyczą kobiet, ponieważ ich klasę wyznacza piękno, gracja, elegancja i inne seksistowskie bzdury, dlatego każda dziewczyna z ludu może być wielką damą – na dodatek w tamtych czasach wszyscy uczyliśmy się w szkołach francuskiego, ale jednak. Chyba że to szkoła w stu procentach francuska, jak to liceum na Saskiej Kępie. Szczególnie mnie to nie martwiło, po pierwsze administracja na pewno jest polska, po drugie mój francuski, nawet jeśli zardzewiały, ciągle był płynny. Ostatnio nawet o tym myślałam u fryzjera, że przez te wszystkie lata to była moja jedyna pasja. Szkoda, że się tak nie złożyło, żeby pomieszkać we Francji tak naprawdę, nie na tydzień, nie na chwilę, tylko na rok, dwa. Zawsze to mieliśmy w planach emerytalnych, ale wiadomo, a to praca Ludwika, a to remont, a to wnuki, a to nagły wydatek i może lepiej to odłóżmy na przyszły rok, a potem nagle lekarz używa sformułowań: „w tym wieku, z takim niskim ciśnieniem" i zaczynasz sobie powtarzać, że „starych drzew się nie przesadza", „na przygody to był czas", „no my to żeśmy się wyszumieli", wszystkie te dziadowskie kłamstwa i gówno prawdy.

Tak myśląc, weszłam po schodach na piętro, tłum uczennic się przerzedził, większość weszła już zapewne do klas, spóźnialskie szybkim krokiem przemierzały długie korytarze. Chyba nigdy nie widziałam w Polsce tak ogromnej szkoły.

No dobra, i co teraz? Przed nosem miałam drzwi z napisem: SECRÉTARIAT. Wejść i zacząć rozmowę o pogodzie w nadziei, że dowiem się, gdzie pracuję? Ryzykowne, jeśli od razu się nadzieję na dyrekcję i wyjdę przed przełożonymi na idiotkę. Albo jeśli wystartują do mnie z elegancką francuszczyzną, a ja zapomnę języka w gębie i zacznę dukać. Poszukać księgowości i tam zasięgnąć języka?

Korytarze kompletnie opustoszały. W prawo? W lewo? Coś muszę zdecydować.

Wytarłam dłonie o spódnicę. Zawsze mi się pociły, kiedy byłam zdenerwowana. Wytarłam dłonie i poczułam swoje biodra. Sprężyste, twarde, jędrne, wspaniałe biodra młodej kobiety, aż na nie spojrzałam, w obcisłej spódnicy prezentowały się olśniewająco.

Złośliwość jakaś losu, że te biodra przyprowadziłam do damskiej szkoły, Matko Boska, taki widok się marnuje.

I tak zastygłam, myśląc, że macam się jak kretynka po biodrach, a przecież nawet nie wiem, co tu robię i skąd się wzięłam. A mimo to grzecznie poszłam do biura i martwię się, czy mnie koleżanki zaakceptują. A potem co? Biurko do szesnastej? Kawa parzona? Do sklepu i do domu? I tak przez pięćdziesiąt lat? A potem z powrotem i znowu – biuro, kawa, sklep, dom, pięćdziesiąt lat. Przecież ja już miałam takie życie. Powinnam stąd wyjść, znaleźć jakieś pieniądze…

Dobre pytanie, gdzie ja mam pieniądze, nie na karcie przecież? Trzeba było zostać w domu i poszukać, cholera jasna.

…znaleźć paszport,

Kolejne dobre pytanie, czy ja w ogóle mam paszport? Czy leży w jakimś urzędzie?

…i ruszyć do Paryża.

Młoda, piękna, mądra, z doświadczeniem prawie osiemdziesięcioletniej kobiety, przecież cały świat stoi przede mną otworem. Chrzanić Warszawę, niezależnie od wersji historii, chrzanić ten zabłocony kraj, chrzanić Ludwika z jego pełnym pasji psychologicznym przynudzaniem, które okazało się bardziej odporne na czas niż jego seksapil. Mieć kompletnie nowe, cudowne, wspaniałe, przygodowe życie.

Odwróciłam się na pięcie i zaczęłam zbiegać po schodach, ale po trzech stopniach się zatrzymałam. Myśląc, że po pierwsze, nie mogę wyjechać, nie spotykając się z Adamem. Po drugie, muszę tak to zorganizować, żeby w sierpniu być na Warmii, żeby spróbować za wszelką cenę, nawet jeśli to wydaje się beznadziejne. A po trzecie, trzeba pogadać z Wandą o jej zdrowiu i może jednak najpierw wsiąść w pekaes, pojechać do Środy i odwiedzić mamę. I dowiedzieć się, co Piotrek robi, czy to możliwe, żeby o moim bracie Wanda wspominała?

Spokojnie, najpierw plan.

– Ça tombe très bien que vous soyez là, mademoiselle Gragine. Puis-je m’entretenir un instant avec vous dans mon bureau?

Odwróciłam się. O „możliwość krótkiego spotkania” prosiła w arystokratycznie nienagannej francuszczyźnie kobieta, która – sądząc po tonie – musiała być moją przełożoną. Ale czy to kierowniczka sekretariatu, czy sama najjaśniejsza pani dyrektor, to już nie miałam pojęcia. Raczej to drugie, biorąc pod uwagę, że momentalnie poczułam się onieśmielona, wyczuwając różnicę klas pomiędzy nami. Można iść na studia, wzbogacić się, mówić językami, mnożyć w pamięci czterocyfrowe liczby, mieć garnitury szyte na miarę, pisać książki tłumaczone na trzydzieści języków i dostać Nagrodę Nobla – ale nie sposób przeskoczyć klasy. Wbrew napisowi na ścianie. Każda osoba z gminu to wie. Czułam to poprzedniego dnia w czasie spotkania z żoną Ludwika, tę aurę przedwojennej mieszczańskiej inteligencji, gotowość, żeby rzucić od niechcenia, jak to u niej w domu mówiło się na Tuwima wujaszku, a portret mamy malował Witkacy, jak akurat byliśmy u niego na wakacjach, o mój Boże, co za nuda, nawet ironicznie to jest nie do zniesienia. Irytujące – tylko i aż. Tymczasem stojąca przede mną kobieta onieśmielała pokoleniami arystokratycznej krwi. Mieszkające we mnie geny dziewek służebnych, mamek, gospoś, praczek, szwaczek i najzwyczajniejszych chłopek miały ochotę dygnąć i wybąkać ze spuszczonym wzrokiem „oczywiście, proszę pani”.

– Oczywiście, proszę pani – odpowiedziałam i przeszłam przez otwarte drzwi.

6

Kilka lat temu – zdawał sobie sprawę, że myślenie tymi słowami w latach sześćdziesiątych o zdarzeniach z początku XXI wieku brzmi komicznie, ale uznał, że potraktuje obecne wydarzenia jako kontynuację swojego życia, inaczej oszaleje – gościł dziennikarza z pisma „Charaktery”. Robili numer specjalny o największych teoriach terapeutycznych XX wieku, na stulecie urodzin Lacana chyba, i oczywiście przyszli do niego, żeby opowiedział o lustrzanych konfrontacjach. Dziennikarz, z którym rozmawiał

w swoim gabinecie, nagle zafascynował się fragmentem jego biblioteczki, kilkudziesięcioma oprawionymi przez introligatora tomami w formacie albumów krajobrazowych, bez żadnych tytułów i nazwisk na grzbiecie. Wyjaśnił, że to jego kalendarze, które kolekcjonuje od początku kariery terapeutycznej.

„Ale aż tyle?", zdziwił się uprzejmie dziennikarz, co Ludwik przetłumaczył sobie w głowie na: „Psiakrew, naprawdę jest pan taki stary?".

Teraz nie potrzebował aż tylu. Potrzebował jednego. Potrzebował jednego, aktualnego kalendarza. Znajomego grubego tomu w formacie B4, gdzie zapisywał spotkania, obowiązki, wyjazdy, notatki o pacjentach, do którego wklejał dodatkowe strony, zdjęcia, wycinki prasowe, pocztówki. Te tomy stanowiły kronikę jego życia, ale też mapę każdego z jego pacjentów, spotkaniom towarzyszyły notatki, odnośniki, słowa kluczowe, informacje o wcześniejszej i następnej sesji, aby można było nawigować w razie potrzeby po postępach pacjenta. Dzięki tym tomom zrobił habilitację, przygotowywał wykłady, pisał artykuły. Był od nich uzależniony do tego stopnia, że w czasie stanu wojennego on – zatwardziały ateista – szukał dojścia przez znajomych z opozycji do papieskiego otoczenia, żeby ktoś mu przywiózł kalendarz z Rzymu, bo właśnie tam produkowała je niewielka włoska manufaktura papiernicza.

Czemu go nigdzie nie ma, do jasnej cholery? Dzięki niemu wiedziałby o sobie wszystko.

Zamknął ostatnią szufladę w biurku, usiadł na podłodze i wybuchnął śmiechem.

Nie ma, ponieważ pierwszy kalendarz dostał od Grażyny na pierwsze wspólnie spędzone Boże Narodzenie, w grudniu 1963 roku właśnie. Traktował go jak relikwię. Kiedy miał gorszy dzień, wyciągał go i otwierał na pierwszej stronie, gdzie na dole napisała swoim zabawnym, zaostrzonym jakby pismem dedykację. Prześmieszną, ponieważ – jakże wtedy byli w sobie zakochani, gdyby wynaleziono maszynę do łączenia dwóch osób w jedną, wsiedliby do niej bez chwili wahania – Grażyna zapisała ją w formie futurystycznej przepowiedni:

Wielkie dzięki za 50 lat wspaniałej miłości! Pamiętam każdy dzień!
24 grudnia 2013 roku

Dlatego nie może znaleźć żadnego ze swoich notesów. Jeszcze ich nie ma. A Wigilia 2013 roku paradoksalnie jest bardziej odległa niż grudzień 1963, kiedy wyciągnął pierwszy notes spod niewielkiej choinki, na której paliły się prawdziwe świeczki. Wosk skapywał na bombki, tworząc na nich stalaktyty zacieków, zwłaszcza na tych z ząbkowanymi wgłębieniami. Ileż miał w mózgu najróżniejszych wspomnień. Czy pomieści więcej? Czy gdyby się okazało, że tutaj zostaje i ma w tej samej głowie zmieścić kolejne pięćdziesiąt lat – czy to w ogóle fizjologicznie jest możliwe?

Ciekawe rozważania, ale akademickie. Teraz musi znaleźć kalendarz. Nie ma jeszcze swoich dzienników, ale to początek lat sześćdziesiątych, nie zapisuje przecież spotkań w telefonie ani w komputerze, musi gdzieś być kalendarz, notes, piórnik, portfel, wizytownik. Tylko gdzie? W aktówce, proste, widział wczoraj mężczyzn na mieście, każdy z nich miał aktówkę.

A gdzie aktówka?

Przeszukał cały dom, przy okazji zapalając światło w kilku pomieszczeniach. Po wczorajszej słonecznej zimie nie został ślad.

W gabinecie, po raz kolejny w ciągu tych kilkudziesięciu godzin, wziął do ręki swoje zdjęcie z Edwardem Gierkiem, jakby to było żywe stworzenie, wymagające regularnej pieszczoty. O co chodzi? Dlaczego ma zdjęcie z Gierkiem, dlaczego wyglądają na nim jak dobrzy kumple i dlaczego uznał, że jest na tyle ważne, aby postawić je na półce? Dużo pytań, żadnej odpowiedzi.

W sypialni nie mógł się oprzeć, żeby nie powąchać leżącej na oparciu krzesła nocnej halki Iwony, poczuć zapach dawno zapomnianej żony. Pachniała kremem nivea i perfumami, których nazwy wypadły mu z głowy, ale których zapach pamiętał z dawnych lat i który jak to czasami bywa z zapachami, wywołał uczucie nostalgii za czymś minionym. Czymś minionym, co wróci wieczorem do domu i będzie się krzątać po kuchni, tak, surrealistycznej cielesności nabrały teraz jego wspomnienia.

Aktówki nie było.

Może ją zostawił gdzieś, gdzie pracował? W szpitalu w Tworkach? W jakiejś przychodni? Na uczelni? Prywatny gabinet ma tutaj, ale raczej wątpliwe, żeby dał radę się z tego utrzymać, musi mieć normalną pracę. Tylko gdzie?

Tak czy owak nie ma co liczyć, że odpowiedź znajdzie tutaj. Wziął kluczyki, płaszcz, kapelusz i postanowił pojechać do Tworek. Nigdy nie cierpiał tego miejsca, o wyglądzie, klimacie i atmosferze szpitala dla obłąkanych z gotyckiej powieści, ale jeśli gdzieś o nim coś wiedzą – to tam.

Wyszedł z mieszkania, przeskoczył nad siedzącą na wycieraczce kurą, która się tym kompletnie nie przejęła, zjechał na dół, machnął szybko cieciowi, obawiając się jakichś dłuższych dyskusji o samogonie, i znalazł samochód. I dopiero wtedy przyszło mu do głowy, żeby zajrzeć do bagażnika.

Elegancka czarna aktówka leżała obok eleganckiego czarnego parasola.

7

Dyrektorski gabinet był równie stylowy, co jego właścicielka, budziłby zachwyt w każdym muzeum XXI wieku jako idealny przykład powojennego funkcjonalizmu. Żadnych bibelotów, ozdóbek, zalegających papierzysk. Proste meble w czerniach i brązach, dużo książek, smukła stojąca lampa z mosiądzu i ciemnego drewna, żadna ze mnie estetka, ale to chyba najpiękniejszy element wystroju wnętrza, jaki w życiu widziałam. Jedyną rzeczą czysto ozdobną był obraz, ironicznie zastępujący obowiązkową w dyrektorskich gabinetach zieleń – przedstawiał donicę z fikusem.

Chyba nigdy nie byłam we wnętrzu, które bardziej sprzyjałoby spokojnej rozmowie i temu, żeby się skupić na rozmówcy. A i tak przychodziło mi to z trudem z powodu, o którym za chwilę. Na szczęście po wymianie uprzejmości przy pracownicach sekretariatu przeszłyśmy na polski. Na szczęście, ponieważ akcent pani dyrektor

był tak nieskazitelny, że nawet w Paryżu uznano by ją za snobkę. Wstydziłabym się powiedzieć przy niej po francusku, że mam na imię Grażyna i mieszkam w Warszawie.

Na szczęście nie musiałam ani po francusku, ani po polsku, zaproszono mnie na opeer za to, że wczoraj nie przyszłam do roboty, i tyle. Dużo wysiłku kosztowało mnie zachowanie poważnej miny, bo odkąd o mało nie powiedziałam, że „wczoraj to ja byłam na emeryturze", rosła we mnie histeryczna wesołość.

– Pani Grażyno, osobiście musiałam przekonywać do pani radę, wierząc, że pani specjalizacja i pani badania – Matko Boska, jakie badania, chyba nie jestem tutaj lekarzem – przysłużą się naszym dziewczętom. I nie tylko im, wiem, że wiele koleżanek mówi o pani z podziwem i zainteresowaniem. Rozmawialiśmy o wydaniu książki, to byłaby poza wszystkim dobra reklama dla szkoły, rozmawialiśmy też o mieszkaniu, które rozwiązałoby pani życiowe problemy.

Cholera, powinnam się jakoś usprawiedliwić. W sumie nietrudno, to przecież czasy bez komórek, pagerów, maili, a żeby zadzwonić, trzeba szukać budki albo poczty. Do tego bolesne babskie dni, święta wymówka od czasów jaskiń, i problem z głowy.

– Chciałabym bardzo przeprosić… – zaczęłam odpowiednio zbolałym tonem, no naprawdę, bycie młodym ma swoje ciemne strony, od dwudziestu lat się przed nikim nie usprawiedliwiałam.

Przerwała mi gestem jednocześnie uprzejmym i kategorycznym. Byłam pod wrażeniem, że w ogóle można taki zrobić.

– Nie dopuszczam do siebie myśli, że mogłaby pani zaprzepaścić taką szansę lekkomyślnym zachowaniem. Ponieważ wśród kadry naszej szkoły nie ma miejsca na lekkomyślność i cecha taka nigdy nie będzie przeze mnie tolerowana. Zrozumiem natomiast, jeśli ma pani inne plany i inaczej zamierza ułożyć swoje zawodowe życie. Prosiłabym jednak wtedy o poinformowanie mnie z odpowiednim wyprzedzeniem, aby ta zmiana nie odbiła się negatywnie na szkole.

Wszystko jasne, w sposób odpowiednio skromny i skruszony kiwałam potakująco głową, ale ciągle nie miałam pojęcia, co ja w tej szkole, do jasnej cholery, robię. Zagadka rozwiązała się szybko.

– A teraz proszę wracać do klasy, uczennice czekają na panią wystarczająco długo.

No pięknie.

8

Nie chciało mu się wracać do mieszkania, więc odpalił silnik w citroënie, włączył lampkę i zabrał się do przetrząsania aktówki, podniecony jak dzieciak, który na wakacjach znalazł tajemniczą skrzynię w ruinach starego zamku.

Po pierwsze: portfel. Z pieniędzmi. Alleluja. To oznacza, że będzie mógł oddać dług ślicznotce ze spożywczaka i pójść coś zjeść, w brzuchu mu burczało. Wyjął plik banknotów, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądał pięćdziesiąt lat temu obieg pieniędzy. Kart nie było, czeków też nie, pamiętał jedynie gotówkę, którą dostawało się z kasy i trzymało w szufladzie. Nadwyżki można było wpłacić na książeczkę albo kupić pokątnie dolary, ale nadwyżki to akurat nigdy nie był jego problem. Czyli co? Gdzieś na górze między skarpetkami ma grube pliki banknotów związane gumką recepturką, wypłaty swoje i Iwony? Podzielone w różnych kopertach na rachunki, jedzenie, przyjemności?

W portfelu znajdowało się dwa tysiące złotych. W sklepie był winien sześćdziesiąt, a robiąc zakupy zwrócił uwagę, że nominalnie wszystko kosztuje mniej więcej dwa razy drożej niż w XXI wieku. Puszka sardynek dziesięć, kilo pasztetowej trzydzieści, kilo żółtego sera pięćdziesiąt i tak dalej. Oznacza to, że jego dwa tysiące są warte jakiś tysiąc z XXI wieku.

Nie jest źle.

Przyjrzał się banknotom, dowiadując się z nich, że jego ojczyzna nazywa się Rzeczpospolita Polska, a orzeł ma koronę, dobre wiadomości. Zaskoczyło go, że w przeciwieństwie do wszystkich innych znanych mu walut świata, na banknotach nie ma bandy brodatych facetów w śmiesznych czapkach, wszystkich tych królów, poetów i naukowców. W ogóle żadnych portretów, trochę jak na euro. Na awersie znajdowały się panoramy polskich miast, a na rewersie różne grafiki kojarzące się z nowoczesnością. Spodobała mu się pięćdziesiątka o ceglanej barwie, która z jednej strony miała

panoramę Warszawy, a z drugiej rozpędzoną futurystyczną lokomotywę.

Po drugie: kalendarz. Niewielki w porównaniu do jego późniejszych potworów, ot notes do zapisywania spotkań. Dziś, 24 stycznia, miał wyjątkowo luźny dzień, jedynie porannego pacjenta z adnotacją „trauma wojenna, dziś z żoną". Za to od południa zakratkował resztę dnia, pisząc „seks biblioteka". Hm, albo pracuje nad jakimś artykułem lub wykładem, albo ma bardzo ciekawe życie. I niezłą kondycję, biorąc pod uwagę, że ma się temu poświęcić do dziewiętnastej. Potem o dwudziestej „kolacja" i trzy wykrzykniki. Przeglądając własne zapiski, czuł się, jakby rozwiązywał rebusy.

Przekartkował kalendarz. Wczoraj, kiedy cały dzień się migdalił w łóżku z Grażką, teoretycznie miał po południu jakiś dyżur. Gdzie, jaki, cholera wie. Przedwczoraj tylko przyjmował pacjentów, ostatnim wpisem na liście była „p. Grażyna, panika". Powinien dopisać „seks" i zakratkować noc i cały następny dzień.

Przez chwilę zastanawiał się, czy skoro jego świadomość z XXI wieku desantowała się tutaj, to jakiś inny on z tej wersji historii umarł, zostawiając mu miejsce. Z jednej strony tamtego nie było mu żal, zdecydowanie wolał swoje własne istnienie, z drugiej głupio trochę. No nic, roztrząsanie tego to prosta droga do szaleństwa. Jest jak jest, żyć trzeba i tyle. Takie powziął postanowienie wczoraj i zamierzał być mu wierny, jak długo się da.

Wrócił do bieżącego dnia. Jaka kolacja? Z kim? Gdzie?

– O psiakrew – powiedział na głos.

Oczywiście, że rocznicowa kolacja. 24 stycznia, przecież to rocznica jego pierwszego ślubu. Musiał to wyprzeć, pięćdziesiąt lat temu ta kolacja też się odbyła, też dzień po szaleńczym seksualnym maratonie z Grażyną. Siedział w „Szanghaju" i wstydził się potwornie. Spał z pacjentką, zdradził żonę, czuł się szaleńczo zakochany i nie mógł myśleć o niczym innym – a jednocześnie trzymał za rękę Iwonę i snuł plany na wakacje.

Grażyna. Musi do niej pojechać jak najszybciej.

Przy okazji sprawdzi, czy jakaś wersja „Szanghaju" istnieje, to w końcu tuż obok.

9

Proszę wracać do klasy, przedrzeźniałam w myślach arystokratyczną wymowę szefowej, maszerując szybkim krokiem po pustym korytarzu. Stukot obcasów odbijał się od ścian i wracał do mnie echem, przywołując szkolne wspomnienia. O dziwo nie te, kiedy sama już pod koniec życia pracowałam w szkole, ale jak w latach siedemdziesiątych odprowadzałam Jacka. Bał się strasznie i wymógł na mnie, żebym czekała na korytarzu, kiedy on szedł na lekcje – tylko pod tym warunkiem godził się zostać, inaczej wpadał w histerię nie do opanowania. Prawie pół pierwszej klasy to trwało, klęłam na czym świat stoi, żeby się skończył ten koszmar, dziś wszystko bym oddała, żeby czekać na niego pod klasą i mieć nadzieję, że wyjrzy i rzuci mi się na szyję.

Wydawało się, że korytarzy są kilometry, a sal dziesiątki, mnożyły się jak w koszmarze. Boże Przenajświętszy, daj mi jakiś znak, pomyślałam. I wtedy, za zakrętem korytarza, zobaczyłam otwarte na oścież drzwi i dobiegające spoza nich dziewczęce śmiechy.

Postanowiłam improwizować.

– Dzień dobry, dziewczęta – powiedziałam, wchodząc, i zatrzasnęłam za sobą drzwi. – Przepraszam was za spóźnienie.

Śmiechy ucichły, zastąpione przez kpiące uśmieszki, ironiczne grymasy i znudzone spojrzenia. Zerkałam na ławki, próbując z podręczników i zeszytów domyślić się, czego właściwie tutaj uczę, ale o dziwo na blatach nie leżało kompletnie nic, żadnych pomocy naukowych. Może wychowania fizycznego uczę? Ale nie w normalnej klasie przecież. Ściany też mi nie pomogły, nie było na nich wzorów matematycznych, mapy fizycznej Europy, przekroju żaby ani trenów Kochanowskiego. Nic kompletnie.

Jezu, może to religia. Matko Boska Przenajświętsza, wtedy to mam naprawdę przesrane.

– Ochotniczka? – spytałam.

Spojrzały po sobie, duże dziewczyny, około siedemnastu lat, ten specyficzny wiek, kiedy niektóre wyglądają jak dziewczynki

niemogące się doczekać zabawy w piaskownicy, a niektóre jak sterane życiem burdelmamy.

Z tyłu sali podniosła się ręka. Dziewczyna była ciemnowłosa, raczej z tej drugiej kategorii, rzęsy miała tak długie, że stąd je widziałam, a dopasowany mundurek, cóż, ta zdecydowanie miała już za sobą okres dojrzewania. Poczułam ukłucie zazdrości, ja w liceum wyglądałam jak pączuszek z tłustymi włosami. W ogóle ze zdumieniem rozejrzałam się po sali, choć dziewczęta prezentowały bardzo różne typy urody, od wiotkich blondynek po moją ochotniczkę, to zdecydowanie nie było uczennic ani zaniedbanych, ani tym bardziej brzydkich. Może to kwestia diety? Może się w tej alternatywnej Polsce lepiej odżywiają?

– Sprawdźmy, co zapamiętałyście z ostatniej lekcji. Proszę opowiedz w kilku zdaniach, co przerabiałyście. Koleżanki mogą pomagać.

– Kontynuowałyśmy o tym, w jaki sposób potrzeby intymne mężczyzn różnią się od potrzeb kobiet i jak to się układa w życiu rodzinnym.

Czyli wychowanie do życia w rodzinie albo wychowanie seksualne czy jak to nazwali, w każdym razie kurs relacji damsko-męskich w życiu i w rodzinie. No proszę, jaka nowoczesna szkoła. Odetchnęłam z ulgą. Jako żona, matka, babcia i osoba regularnie uprawiająca seks od prawie sześćdziesięciu lat, powinnam sobie poradzić. Z renesansową literaturą albo rozmnażaniem pantofelków nie miałabym szans.

– I co zapamiętałaś?

– Że nadmiar informacji i rozmawianie ze swoim mężem o sprawach naszego ciała nie są polecane.

– Dlaczego?

Byłam autentycznie ciekawa.

– Ponieważ nasze ciała zbudowane są inaczej. A wszystko jedno, czy kobieta odczuwa przyjemność ze zbliżenia, czy nie, to mężczyzna zawsze odczuwa spełnienie. I że w przypadku, eee… oziębłości albo braku ochoty na zbliżenie, należy to zachować dla siebie. Dla mężczyzny to ewidamentnie bez znaczenia, a jeśli mu

powiemy, jego wieczór może być zgaszony. A jak jego wieczór będzie zgaszony, to powstanie szansa, że nasz też się zgaszuje.

– I może mieć do nas o to słuszne pretensje – dopowiedziała koleżanka o interesującej twardej urodzie, w stylu modelki z XXI wieku. – Że zachowałyśmy się egoistycznie i w końcu cała rodzina może cierpieć przez nasze skoncentrowanie na sobie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Modelka uznała, że czekam na dalszy ciąg, i dodała:

– I że w sypialni naszymi największymi sojusznikami są milczenie i uległość, ale pani mówiła, że będziemy też przerabiać przejmowanie inicjatywy i zaskakiwanie męża, żeby się nie znudził, ale to dopiero pod koniec roku.

– Dobrze, bardzo dziękuję – powiedziałam, żeby zyskać na czasie i nie palnąć czegoś głupiego. Chociaż nie byłam nigdy chodzącą na barykady sufrażystką, choć tych samych bzdur uczyły mnie matka i ciotki, to jednak uczestniczyłam w rewolucji obyczajowej, łechtaczka i orgazm nie były dla mnie nazwami kosmicznych stworów z opowiadań Lema, a słuchanie mądrości o „jego przyjemności" i „jego słusznej pretensji" odczuwałam jak pisk styropianu po szkle. Nieszczęsne pokolenie, ostatnie dziewczyny, które muszą tego słuchać. Jak je uratować? Czy to w ogóle możliwe? Miałam ochotę wykrzyczeć im w pięć minut pięć dekad społecznych przemian, ale jedynym skutkiem byłaby zapewne utrata pracy.

– A czy rozmawiałyście już o swojej własnej przyjemności? – spytałam ostrożnie.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich szczupła, ascetycznie ubrana i uczesana kobieta około pięćdziesiątki. Musiała mieć posłuch, wszystkie dziewczyny momentalnie wstały. Dała im znak ręką, żeby usiadły, a mnie – żebym kontynuowała. Świetnie, czyli dyrektorka wysłała za mną wizytatorkę, żeby sprawdziła, czy aby nie zwariowałam. Co teraz? Kontynuować w stylu lat sześćdziesiątych o tym, żeby się nie martwić jego romansami, bo to i tak nic w porównaniu z napięciami, jakich doświadcza w pracy? Czy spróbować ruszyć z posad bryłę świata?

– Jak dobrze wiecie – zaczęłam – kobiety i mężczyźni różnią się od siebie. Ale czy na pewno? Tak samo przecież drżymy z zimna na mrozie i ciepło nam w słońcu. Śmiejemy się z żartów, czujemy niepokój nocą na cmentarzu i lęk przed chorobą i śmiercią. Tak samo chcemy być zakochani, tak samo śpiewać ze szczęścia, przeżywać niesamowite przygody i spacerować po plaży, trzymając się za ręce. Zgodzicie się ze mną? Znacie tylu chłopaków, żeby powiedzieć, czy mam rację, czy nie?

Pokiwały uprzejmie głowami, zainteresowane. Jednocześnie zerkając czujnie na wizytatorkę.

– I zapewniam was, to znaczy, z najnowszych badań wynika – zaasekurowałam się, też obserwując czujnie reakcję wizytatorki – że kobiety tak samo chcą czuć spełnienie. Rozkosz. I tak jak mężczyźni odnajdują szczęście w tym, że my dbamy o nich, tak samo kobiety powinny oczekiwać, że o naszej rozkoszy ktoś myśli i na tę rozkosz ciężko pracuje.

Wbrew sobie traciłam nauczycielski chłód, wszystko przez pamięć wczorajszych igraszek z Ludwikiem, i przedwczorajszych, i różnych naszych seksualnych przygód, bliskości, wzajemnych czułości, odnajdywania swoich ciał po wyjazdach, po kłótniach, po okresach oddalenia – moje życie zostało zbudowane na bardzo intymnej symbiozie, na porozumieniu nie tyle intelektualnym i emocjonalnym, co cielesnym. Poczułam tęsknotę i jednocześnie nieprzytomną furię, spowodowaną tym, że ten stary dziad postanowił wrócić przy pierwszej okazji do łóżka swojej zapomnianej, porzuconej pięćdziesiąt lat wcześniej żony.

– Chcecie być niewolnicami? – spytałam gorzko. – Milczącymi, uległymi laleczkami do spełniania zachcianek swojego pana, czy to wam się podoba, czy nie? Rozkosz jest świętym prawem każdej kobiety, po to dostaliśmy ją od natury, żeby z niej korzystać, kiedy chcemy i jak chcemy. A chcemy ją przeżywać jak najczęściej, spleceni w uścisku z naszym partnerem, myśląc o nim i wiedząc, że on myśli o nas. A jeśli ktoś, jak mówicie, i tak zawsze osiąga spełnienie, a co tam się dzieje u żony jest dla niego tak mało ważne, że co najwyżej zepsujemy mu humor, rozmawiając o tym, to myślę,

że powinien godnych siebie partnerek szukać w chlewie, a nie w sypialni. I o tym dziś będziemy rozmawiać.

– Dakodak! – krzyknęła głośno moja ochotniczka.

– Dziś – wtrąciła zimno wizytatorka – to ja będę kontynuowała program ze swoją klasą, a koleżankę zapraszam do pani klasy, numer dwadzieścia trzy, o ile się nie mylę.

Tego się nie spodziewałam. Szkoda, zamierzałam się rozkręcić w wyprzedzeniu Wisłockiej o parę lat, z tyłu głowy układał mi się już plan lekcji na cały semestr.

– Oczywiście – powiedziałam. – Bardzo przepraszam, drzwi były otwarte, a wcześniej ktoś wspominał o zastępstwie, zabawna pomyłka. – Uśmiechnęłam się najsympatyczniej, jak potrafiłam, na co moja koleżanka z pokoju nauczycielskiego nie odpowiedziała nawet skinieniem głowy.

I wyszłam, zastanawiając się, co na mnie czeka w sali numer dwadzieścia trzy.

10

Zaparkował na Wilczej, stwierdziwszy przedtem, że nie dość, że restauracji „Szanghaj” nie ma, to nawet budynek, w którym się mieściła, nie istnieje. W ogóle Marszałkowska została odbudowana kompletnie inaczej, ale czy piękniej – trudno powiedzieć. Komuniści po prostu wyburzyli pierzeje i zbudowali od nowa MDM, z rozmachem przynajmniej. W tej wersji odbudowano przedwojenną zabudowę, ale po taniości. Zachowała swoją chaotyczność, z różnymi wysokościami i szerokościami domów, różnymi wysokościami pięter. Ale straciła wdzięk przez nieodtworzenie – zapewne z oszczędności – rzeźbienia fasad, kutych balustrad, wszystkiego, co nadawało tej architekturze charakter.

Nie podobał mu się ten styl, co skonstatował z niejakim zdziwieniem. Zwykle uważał, że każdy inny sposób podniesienia Warszawy z gruzów byłby lepszy, niż to, co faktycznie zrealizowano.

Przeszedł przez śmierdzącą bramę – śródmiejska ludność z zapałem wykorzystywała fakt, że już nie ma konsjerżek, a jeszcze

nie nastała era domofonów, i wracając do domu, można się wysikać komfortowo, nie czekając, aż jeden z tuzina współlokatorów zwolni toaletę – minął hordę wrzeszczących dzieci i wszedł do zalatującej wilgocią narożnej klatki schodowej.

Stanął przed tymi samymi drzwiami do tego samego mieszkania w tej samej kamienicy, do których pukał pół wieku temu i po raz pierwszy się zawahał. Niby wczoraj spotkali dziewczyny na ulicy, ale to nie znaczy, że mieszkają w tym samym mieszkaniu, cholera, to nawet nie oznacza, że mieszkają w tej samej kamienicy. Ale też wiedział, że nie z tego powodu zwlekał z naciśnięciem dzwonka. To nie stanowiło problemu, zawsze mógł powiedzieć „przepraszam, pomyliłem adresy" i szukać innego sposobu na znalezienie Grażyny, albo po prostu czekać w domu, aż ona odnajdzie jego. Zwlekał, ponieważ czuł, że nie do Grażyny tutaj przyjechał, i nie był pewien, czy pukając, otworzy nie tyle drzwi do starego śródmiejskiego mieszkania, co do emocji, które…

I wtedy drzwi się otworzyły i stanęła w nich Lucynka w szczelnie zawiązanej podomce w maki, kapciach na obcasie i z tlącym się petem w ustach.

– Pan kogoś szuka? – zapytała.

Zamrugał, żeby się nie rozpłakać, słysząc pytanie zadane przez najbliższą przyjaciółkę, o której wiele razy myślał, czy to nie ona powinna być miłością jego życia i czy przypadkiem nie było tak, że dobry los skierował go do mieszkania przy Wilczej, a on pokpił sprawę i z trzech lokatorek wybrał nie tę, którą należało.

11

W sali numer dwadzieścia trzy siedziały dziewczyny młodsze, miały zeszyty i nie patrzyły na mnie jak na przybysza z innej planety, tylko jak na swoją panią. To dobra wiadomość. Zła: po raz kolejny nie miałam pojęcia, czym się właściwie w tej szkole zajmowałam. To zaczynało być męczące.

– Przepraszam was bardzo za spóźnienie i za to, że ogólnie nie jestem dziś w idealnej formie. – Przechadzałam się między ławkami,

rozdając słodkie uśmiechy jak kretynka, ale zależało mi, żeby podejrzeć, co to za przedmiot. – Ale… czasami nawet specjalistka od zarządzania może mieć dni, kiedy, cóż, to jak stać nad urodzinowym tortem cały dzień tylko po to, żeby spód się przypalił, bita śmietana zwarzyła, a truskawki okazały spleśniałe. Bywa.

Roześmiały się uprzejmie, kochane dziewczęta. Powinnam się wstydzić tego czerstwego dowcipu, ale miejsca na wstyd już we mnie nie było, wszystko wypełniała radość i niedowierzanie. Już wiedziałam, czego uczę. „Zarządzanie gospodarstwem domowym", głosił tytuł na okładce leżącego na najbliższej ławce zeszytu.

– I o tym będzie dzisiejsza lekcja.

Otworzyły zeszyty.

– Proszę, żebyście nie robiły notatek, żeby zapamiętać, że nie na wszystkie ewentualności można się przygotować. Zeszyty proszę zostawić po lekcji u mnie na biurku, postanowiłam sprawdzić, jak je prowadzicie.

Pomruk zawodu, ale cóż, musiałam jakoś zdobyć informacje o swojej karierze.

– A tematem będzie właśnie to, jak się przygotować na nieprzygotowane, czyli coś, co szefowie wielkich przedsiębiorstw nazywają „zarządzaniem kryzysowym". Chodzi o to, żeby kiedy naprawdę wszystko się wali, działać tak, żeby nie tylko ocalić firmę przed krachem, ale jeszcze wyjść z kryzysu silniejszym, bogatszym i pewniejszym siebie. Pogodzić się z tym, że katastrofy się zdarzają i nie da się ich uniknąć. Kiedy na stole przewróci się dzbanek wina, odskakujemy szybko, żeby ocalić sukienkę. Rozumiecie? Wyobraźcie sobie jakiś superważny dzień, do którego chcecie się idealnie przygotować, wyjątkowy wieczór. Hm?

– Rocznica kontraktu?

– Na przykład. – Domyśliłam się, że chodzi o rocznicę ślubu, ale postanowiłam nie dopytywać. – Co może pójść nie tak?

– Żelazkiem zrobimy dziurę w sukience.

– Dobrze, co jeszcze?

– Dostajemy niestrawności.

– Perfekcyjnie. Dalej.

– Przypalamy pieczeń.

– Albo merengę.

– Albo ostrygi się wściekły, berk.

Ostrygi? W Warszawie? W latach sześćdziesiątych?

– I coś spoza kuchni, coś nieoczekiwanego, losowego – zachęciłam, żeby ukryć zaskoczenie, myśląc jednocześnie, że jeśli jakimś cudem jest w tym mieście bar z ostrygami, to trzeba go koniecznie odwiedzić.

– I nagle pojawia się brat z kumplami, tak tylko na jedną noc, przyjechali na manifestację Unii!

To zdanie, którego kompletnie nie zrozumiałam, wywołało dziką wesołość u dziewczyn. Uznałam, że pora to przerwać.

– Innymi słowy nic nie idzie tak, jak miało. Co zrobić? Przede wszystkim pomyśleć. Rozpaczanie, histeryzowanie, bieganie po mieszkaniu i łkanie w łazience, to wszystko strata czasu. Musimy pogodzić się z tym, że katastrofa już się wydarzyła i nie może się odwydarzyć. Myślenie o jej przyczynach, zamartwianie się, jak to się stało, rozważanie innych scenariuszy nie ma sensu. Trzy głębokie oddechy, potem bierzemy naszego najlepszego przyjaciela, czyli kartkę papieru, i szukamy trzech punktów, których realizacja pozwoli nam zminimalizować straty. Nie dziesięciu, nie pięćdziesięciu. Trzech. Zaraz podzielę was na grupy, każda grupa ma do tej sytuacji, czyli rocznica, dziura w sukience, niestrawność, zepsute ostrygi i wizyta brata, zrobić trzypunktowy plan ratunkowy. Pamiętając o tym, że co jest naszym najważniejszym celem, dziewczęta?

Dziewczęta uśmiechnęły się i chórem wyrecytowały:

– Uśmiech jego, gdy do domu wraca swego!

– Co?! – Bóg mi świadkiem, że do dziś nie mam pojęcia, jak mi się udało powiedzieć po prostu „co?”, zamiast rosnącego w ustach „co, kurwa?”.

Krzyknęłam na tyle głośno, że uczennice się spłoszyły i spojrzały po sobie niepewnie.

– No tak pani psor kazała nam zapisać na pierwszej stronie w zeszytach, myślałyśmy, że…

To niemożliwe, to zły sen. Czy jest w tej szkole jakikolwiek przedmiot, który nie przypomina instrukcji obsługi jaskiniowca

przez posłuszną samicę? Jasne, urodziłam się na prowincji jeszcze w latach trzydziestych, wychowano mnie w szacunku i bojaźni do mężczyzn, czasy były patriarchalne aż do komicznego przegięcia, ale patrząc na siebie dziś, z perspektywy wszystkich przeżytych lat, miałam się może nie za jakąś wielką postępową buntowniczkę, ale za zdroworozsądkową feministkę – raczej tak. Kiedy czasami pojawiały się myśli, że zmarnowałam życie jako posłuszna i cicha kura domowa, potrafiłam je uciszyć w kilka minut, zracjonalizować swoje zachowania i jeszcze dodać na koniec „takie były czasy, cóż zrobić". Ale teraz nie miałam dokąd uciec. Okazało się, że dwudziestokilkuletnia ja, kiedy dostała możliwość przekazania młodym dziewczętom teorii zarządzania, uczy ich czego? Jak być idealnymi kurami domowymi.

Miałam ochotę spalić się ze wstydu.

– Tak, faktycznie od tego zaczęliśmy, ale muszę wam powiedzieć, że, hm, jak by to ująć, biorąc pod uwagę stan ostatnich badań, który poznałam na różnych międzynarodowych sympozjach, i też własnych doświadczeń i przemyśleń, no, inaczej rozłożymy akcenty.

Patrzyły na mnie z kompletnym niezrozumieniem.

– Przede wszystkim proszę, zanim przejdziemy do zadania, żebyście przekreśliły na zeszytach nazwę naszych zajęć „Zarządzanie domem". Proszę, proszę, raz, dwa.

Wyraźnie widziałam, że czują się niekomfortowo, ale grzecznie wykonały polecenie. Niektóre zamazały, niektóre przekreśliły zamaszystą kreską, inne przy linijce kreśliły kolejne linie, mające zasłonić nazwę zajęć.

– A teraz napiszcie „Zarządzanie rodziną".

Odczekałam, aż wszystkie napiszą.

– Wiem, myślicie pewnie, że to bez różnicy. Dom, rodzina, o co chodzi? Tymczasem różnica, choć drobna, jest bardzo istotna. Jak myślicie, jaka?

Cisza.

– Że dom to jest jakby raczej obejście, no gospodarka jakby, ale jedno miejsce – powiedziała w końcu blondynka o mocno zarysowanej, męskiej szczęce. – A rodzina to u mnie ze wszystkimi wujami chyba ze sto osób będzie.

Sala zachichotała.

– Dobry kierunek! – pochwaliłam szybko, bojąc się, że zaczną się dywagacje o wujach, kuzynach i pociotkach. – Dom to miejsce, gospodarstwo, czasami duże wiejskie obejście, czasami maleńkie mieszkanie. Rodzina to ludzie, którzy w tym miejscu żyją. Najbliżsi, czyli wy, wasi przyszli mężowie, dzieci, być może rodzice, jeśli będziecie mieszkali razem. Wyobraźcie to sobie, bez setki wujów w miarę możliwości.

Kilka dziewcząt parsknęło śmiechem, czułam, że są ciekawe tego, co mam do powiedzenia.

– I następne pytanie: czym się różni zarządzanie domem od zarządzania rodziną?

– Bo wtedy rządzimy też ludźmi? – Odpowiedź padła szybko.

– Zgadza się. A dlaczego ta różnica jest taka ważna?

Tym razem cisza. Dałam im chwilę.

– Bo mamy więcej władzy? – Znowu duża szczęka, przydałoby się dowiedzieć, jak się nazywają. Może wymyślę jakąś dramę, ćwiczenie, żeby się do siebie musiały zwracać po imieniu. Pomyślę o tym później.

– Bardzo dobrze. Jeśli zajmujemy się domem, stajemy się służącą, pokojówką od sprzątania klocków, słania łóżek i szorowania patelni. Popychadłem i garkotłukiem latającym na kolanach ze ścierą, myśląc o jego uśmiechu, a dostającym w najlepszym razie akceptację, zwykle obojętność, często pogardę, w najgorszym razie porzucenie. Interesuje was taki obrót sprawy?

Pokręciły przecząco głowami.

– Tak myślałam. Ale jeśli zarządzamy rodziną, to wtedy my jesteśmy szefem w tym przedsiębiorstwie. Mamy swoją fabrykę, ale mamy też swoich pracowników. Czasami zdolnych i samodzielnych, czasami leniwych i wrednych, różnie bywa, zwolnić nie możemy, bo to jednak ciężko na sercu oddać dziecko do sierocińca albo matkę do przytułku. Z mężem się przynajmniej rozwieść można, dwudziesty pie… dwudziesty wiek mamy na szczęście.

Wybuch śmiechu.

– Ważne, żeby jedna rzecz była jasna dla wszystkich: szefowa jest tylko jedna.

– No a mąż?

– Co mąż?

– No czy to nie on powinien być szefem?

– W sensie szefem w rodzinie? – zapytałam.

Potaknęły.

– To zależy, jak się z nim umówicie. Może się zdarzyć taka sytuacja, czego wam wszystkim życzę, że będziecie robiły wielkie kariery, wymyślały lekarstwo na raka i wygrywały złote medale na olimpiadach. A mąż będzie was wspierał, kochał i zarządzał rodziną, żeby wszystkie tryby chodziły w niej bezszelestnie. Wtedy będzie szefem. Może też być tak, i tego też wam życzę, że wasz mąż to będzie normalny facet, z którym zrobicie przyjacielską spółkę do kierowania rodziną. Ale też chcę was przygotować na to, że świat jest taki, jaki jest. I że od wielu z was będzie się wymagać, żebyście były nianiami, kucharkami, sprzątaczkami, kochankami, guwernantkami. I będą to robić osoby, które bardzo was kochają. I wy same, mam nadzieję, że z miłości, będziecie miały ochotę waszej rodzinie to wszystko podarować i to może naprawdę być piękne. Pod jednym warunkiem.

Zawiesiłam głos.

– Tylko na waszych zasadach. Tylko na waszych warunkach. Tylko w zamian za wdzięczność i szacunek. I tylko, jeśli w tych dziedzinach, za które jesteście odpowiedzialne, macie posłuch i ostatnie słowo. Tego się będziemy od dziś uczyć. A teraz…

Dzwonek przerwał mi w pół słowa.

12

O tej porze roku słońce nigdy nie znajdowało się na tyle wysoko, żeby wzejść ponad horyzont ścian studni, i nie było mowy, żeby zajrzało do kuchni, rzucając ostre cienie i wydobywając z popołudniowego półmroku siedzące przy nakrytym ceratą stole postaci. A szkoda, byłby to kadr jak z obrazu Hoppera, jednego z tych, przy których dzień w dzień przystają kolejne pokolenia zwiedzających, próbując zgadnąć, co dzieje się między dwiema

przedstawionymi osobami, a po wyjściu z galerii mówią: „Wiesz, nie daje mi spokoju ten obraz”.

Na pierwszy rzut oka nic szczególnego, kobieta i mężczyzna w nędznej kuchni. Nie starzy, ale też nie bardzo młodzi, oboje w okolicach trzydziestki. Małżeństwo? Jeśli tak, to w kryzysie, jest między nimi dystans, pusta przestrzeń, jak pomiędzy dwoma magnesami skierowanymi do siebie identycznymi biegunami. Kochankowie? Też nie, nie czuć tu żadnej namiętności, raczej pewne zakłopotanie, i to z obu stron. Ona ma skrzyżowane, podkulone pod krzesło nogi, ręce zaplecione na biuście, w jednej dłoni papieros wypalony prawie do końca, nie pierwszy, przed nią stoi pełna popielniczka. On siedzi swobodniej, ale zamiast na towarzyszkę patrzy w okno, gdzie widzi swoją twarz odbitą w szybie. Może właśnie się rozstali? Ale jeśli to para, to dlaczego wyglądają tak odmiennie? Ona w kapciach i szlafroku, szczelnie nim opatulona, nie ma tu żadnej erotycznej dwuznaczności. On w garniturze i pantoflach, za dobrych na to skromne wnętrze, kapelusz położył na stole, jakby przed chwilą przyszedł i wiedział, że nie zabawi długo. Ale nie wygląda na kogoś, kto ma ochotę wyjść. Przeciwnie, można odnieść wrażenie, że zaskoczył ją w domowych pieleszach i to ona chciałaby znowu być sama, ale nie może albo nie chce go wyrzucić. Nie chce być nieuprzejma? Liczy na to, że mężczyzna sam się zorientuje? Ale on patrzy tylko w szybę i bawi się otokiem kapelusza. Może to przyjaciel z dawnych lat? Może brat, od którego się oddaliła, ale on nie potrafi zrozumieć, że już nie ma dla niego miejsca w jej życiu? Hipotezy można by mnożyć, interpretować ułożenie ciała, grymasy, szukać odpowiedzi w skromnym wystroju wnętrza, bez końca domyślać się, jakie słowa wychodzą z lekko rozchylonych ust kobiety.

– I tak można komuś pomóc, tylko przez rozmowę? – zapytała. – Przyznaję, że byłam sceptyczna, kiedy Wanda opowiedziała Grażynie, że spotkania z panem mogą być lekarstwem na jej lęki. Ciągle jestem.

– Nie jest to koncept nowy, biorąc pod uwagę wszystkich, którzy od wieków ustawiają się w kolejce do spowiedzi.

Pokiwała uprzejmie głową, że coś w tym jest, a on w odpowiedzi uśmiechnął się życzliwie, mimo że w duchu walił głową w mur. Lucka, którą znał, ta szybko myśląca, bezkompromisowa, ostra Lucka, roześmiałaby się chrapliwie, zaciągnęła papierosem i wykaszlała, że to najlepszy dowód, że cała jego pieprzona psychologia niczym się nie różni od religii, skoro się tak chętnie do czarnych porównuje.

To znaczy kiedyś by się roześmiała, jeszcze kilka lat temu, zanim choroba zaczęła ją stopniowo wyłączać. Co za kretyńska sytuacja, co za diabelska pętla czasu. Tydzień temu ją odwiedził, jak zwykle sam, jak zwykle nie mówiąc nic Grażynie, bał się, że zacznie zadawać pytania, czemu chodzi tam tak często, czemu bez niej. Odwiedził i opowiadał, jak co tydzień, historię ich wspólnego alpejskiego wypadu. Wcześniej, wiedząc, że choroba stopniowo pozbawia ją pamięci długotrwałej, wybierał różne zdarzenia, różne wspomnienia, ale kiedy odkrył, że jego praca się nie kumuluje, że co tydzień Lucka tak samo reaguje na jego opowieści, jakby słyszała je po raz pierwszy, jak się słucha czegoś, co przytrafiło się komuś innemu – opowiadał zawsze tę samą historię, szlifując szczegóły, dopracowując zwroty akcji, dodając dialogi i starając się o odpowiednio zabawowy ton, aby nie spostrzegła, że opowiada nie tylko dla niej, ale też dla siebie, i że to nie jest jakaś tam anegdota, lecz jedno z najważniejszych wspomnień jego długiego życia. A i tak pod koniec czasami dziwnie na niego patrzyła.

Diabelska pętla czasu. Co tydzień przychodził do wychudzonej staruszki, musiał się przedstawiać, mówić jej, kim jest, i za każdym razem było to tak samo rozdzierająco smutne. I teraz, pięćdziesiąt lat wcześniej, kiedy zasuszona staruszka jest dziewczyną przed trzydziestką, znowu musi tłumaczyć, kim jest. Płakać się chce.

– Z całym szacunkiem do konfesjonału – przewróciła prawie niezauważalnie oczami i przez moment zobaczył w niej prawdziwą Luckę – mam nadzieję, że pańskie metody są oparte na bardziej naukowych przesłankach. I że pan pomoże Grażynce. Bardzo się o nią martwimy, czasami ma te swoje napady histerii tak często, że robimy sobie dyżury, kto do niej wstanie w nocy, gdyby była taka

potrzeba. Jej oczywiście o tym nie mówimy, więc byłabym wdzięczna…

– Oczywiście.

– Tajemnica spowiedzi?

Uśmiechnął się na znak, że docenia dowcip. Rozumiał, że musi wstać i wyjść. Że łamie wszystkie zasady dobrego wychowania, siedząc przy ubranej w szlafrok obcej kobiecie, gapiąc się w okno i nie kwapiąc się do opuszczenia mieszkania. Że to jest panna Lucyna, a nie żadna Lucka, z którą razem przewrócili jacht na Zalewie Szczecińskim, która po nocy woziła chorowitego Jacka do szpitala na Niekłańskiej, kiedy jako jedyna miała samochód, której nosili paczki do więzienia w stanie wojennym i która w dzień wejścia do Unii z takim zapałem machała niebieską flagą na ich balkonie, że zrzuciła doniczki z pelargoniami na zaparkowany na dole radiowóz. Lucka, wieczna rewolucjonistka, wiecznie zbyt zajęta, zbyt walcząca w jakiejś słusznej sprawie, czy to u boku Kuronia, czy Ikonowicza, czy innego trybuna ludowego, żeby się ustatkować. Nikt nie rozumiał, co z nią jest nie tak, że odrzuca kolejnych kochanków, kończy gwałtownie obiecujące związki, patrząc potem, jak jej byli mężczyźni żenią się, statkują i pchają dziecięce wózki po Polu Mokotowskim. Dziwili się, szeptali między sobą, że to mógłby być przecież jej wózek i jej szczęście. Czemu tego nie chciała? On wiedział czemu, zdradziła mu to wtedy, kiedy czekali na resztę ekipy w górskiej chatce w Meribel i nagła śnieżyca odcięła ich na trzy dni od świata.

Miał ochotę złapać ją za ramiona i krzyknąć: dziewczyno, Luca, czy ty w ogóle masz pojęcie, ile my wspaniałych chwil razem przeżyjemy?

– Przepraszam, że tak panią przepytuję, ale chciałbym skorzystać z okazji, że pani Grażyny nie ma – widział, że zacisnęła zęby, aby stłumić uśmiech, oczy jej się zaświeciły, no tak, to zabrzmiało co najmniej dwuznacznie – żeby zdobyć trochę informacji, często pacjent swoje własne stany wyolbrzymia albo przeciwnie, wstydzi się szczerze opisać, pani relacja byłaby bardzo pomocna.

Zapaliła kolejnego papierosa, nie mógł wyjść z podziwu, ile tutaj wszyscy kopcili.

– Wie pan, co innego ona mówi, a co innego ja widzę. Ona mówi, że czasami jej zmora w nocy siada, ale ani to się nie dzieje tylko w nocy, ani tylko czasami. Oczywiście w nocy jest najgorzej, kiedy krzyczy przez sen i nie może zaczerpnąć tchu, i cała się trzęsie, i naprawdę widać, że ona jest wtedy przekonana, że umiera. Ale mam wrażenie, że jakiś taki lęk jest w niej cały czas. Że wie, jak źle się czuje, kiedy to się dzieje, i unika wszystkiego, co może sprawić, że czuje się źle, czy ja się jasno wyrażam?

– Jak najbardziej – potaknął.

„Czy ja się jasno wyrażam?" było jej ulubionym zwrotem. Kiedy przez jedną kadencję siedziała w parlamencie w latach dziewięćdziesiątych, w kabarecie telewizyjnym parodiująca ją aktorka cały czas powtarzała: „Ale czy ja się aby jasno wyrażam?".

– I to jest bardzo źle.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Pan to wie lepiej ode mnie, ale każdy ma ataki, gorsze dni, w nocy go zmora budzi.

– Jak sobie żartujemy z kolegami, nie ma ludzi zdrowych, są tylko źle zdiagnozowani.

Zbyła machnięciem ręki jego kiepski dowcip, popiół posypał się na szlafrok.

– Ale ja myślę, że ona już się nie boi nocy ani niebezpieczeństw, ona się boi samego bania i to narasta, i przez to się wycofuje, chowa jak ślimak do skorupki. Zaczyna unikać wyzwań, przygód, brania się z życiem za bary. Znajdzie sobie pierwszego lepszego, przy którym poczuje się bezpiecznie, uczepi się go kurczowo i spędzi pięćdziesiąt lat jako urzędniczka, ganiając pomiędzy sypaną kawą, przedszkolem i robieniem kolacji mężowi. I to będzie dla niej dramat.

– Bo? – wybąkał, starając się nie pokazać, jak silny efekt wywierają na nim te słowa.

– Bo w życiu mamy różne role do odegrania. Warto pod tym kątem patrzeć na ludzi, bawić się w odgadywanie ich przyszłości. Pan to pewnie potrafi jako psycholog?

Wzruszył ramionami.

– Psycholog zajmuje się przeszłością. Tym, żeby stała się historią, żeby przyszłość leżała w rękach pacjenta, żeby sam mógł o sobie

decydować. Nie wierzę w typy ludzi, nie wierzę też w role, jakie mają do odegrania. Ale ma pani rację, że rozdźwięk między tym, co chcielibyśmy robić, a tym, co robimy, jest źródłem wielu napięć. Im większy, tym większe napięcie.

– Pan nazywa po swojemu, ja po swojemu.

Ależ był szczęśliwy, że mógł z nią siedzieć. Rozgadaną, machającą papierosem, tworzącą swoje teorie Lucką. Słuchał jej, ale jednocześnie cały czas się zastanawiał. A jeśli cała ta afera, cała ta, z braku lepszego słowa, podróż, wydarzyła się po to, aby mógł wybrać inaczej? Przećwiczyć na własnej skórze, „co by było gdyby"? Stać u boku tej wspaniałej kobiety, którą zawsze podziwiał?

Znał teorię, wedle której mężczyźni, którzy zdradzili raz, w kolejnych związkach są histerycznie wręcz wierni, nie zezwalając sobie nawet na fantazjowanie – ponieważ boją się, że znowu coś zniszczą. I w pewien sposób akceptował, że jego też to spotkało. Nigdy w czasie swojego związku z Grażyną nie zrobił nic, czego powinien się wstydzić, czego nie mógłby jej opowiedzieć. Nigdy, nawet jeśli jego relacja z Lucyną pełna była napięcia znacznie wykraczającego poza przyjacielskie. Odarł to napięcie z erotycznej dwuznaczności i zamienił w podziw dla jej szybkiego umysłu, jej bezkompromisowych wyborów, pracy zawsze dla lepszej sprawy, płynnego przechodzenia z jednej szlachetnej krucjaty w drugą.

Teraz po raz pierwszy fantazjował śmielej. O życiu, w którym alpejski weekend nie byłby pełnym napięcia wyrzeczeniem, ale czasem spędzonym wspólnie przez oddanych sobie bez reszty małżonków i kochanków?

Chciałby tego?

– Na przykład pan? Myśli pan czasami o swojej przyszłości?

Coraz mniej, miał ochotę odpowiedzieć, po osiemdziesiątce takie wizje to kuszenie losu.

– Widzi pan siebie za dziesięć, dwadzieścia lat? Może nawet w XXI wieku?

– A pani mnie widzi? To w końcu pani rości sobie pretensje do wróżbiarstwa.

– Widzę, ewidamentnie. Ma pan w sobie coś takiego, że czego by pan nie robił, to na pewno w końcu będzie wyrastało ponad

przeciętną. Może nie na tyle, żeby dostać Nagrodę Nobla, ale na tyle, żeby mieć w encyklopedii hasło bez zdjęcia i żeby pana imieniem nazwali boczną ulicę w rodzinnym mieście na prowincji.

Pokiwał z zainteresowaniem głową, myśląc, że ubawiłaby ją informacja, że w przyszłości nawet fikcyjne postaci z komiksów będą posiadać rozbudowane artykuły w encyklopedii, a czytać je będziemy z telewizora schowanego w kieszeni spodni. Kolorowego telewizora.

– A pani Grażyna?

– Grażka ma wektor skierowany na zewnątrz.

– To znaczy?

– To znaczy, że jej duszę cechuje, proszę wybaczyć ekspresję, wiercidupstwo. Tęsknota za włóczęgą, przygodą, podróżą w nieznane. Jednocześnie do tego dąży i jednocześnie przed tym ucieka, szukając bezpieczeństwa, dlatego jest w takim stanie. Proszę spojrzeć, po maturze sama przyjechała tu z jedną torebką, do stolicy, w nieznane, mieszkać u ciotki, której w życiu nie widziała. Ja ją niedługo później poznałam, jej się aż nozdrza ruszały na każdy zapach nowości i przygody. Wie pan, gdzie chciała studiować?

Zaprzeczył ruchem głowy. W jego świecie Grażynka studiowała na SGPiS-ie i tyle.

– Na l'Hydro w Marsylii.

– Lidro?

– Szkoła morska, jak u nas w Gdyni, tylko starsza, lepsza, no i wiadomo, szkoła kolonialnego mocarstwa, a nie państwa, co ma morze wielkości miski i w nim śledzie łowi. To było niedługo po traktatach wspólnotowych, kiedy Francuzi pozwolili Polakom studiować na swoich uniwersytetach. Napisała do nich piękny list, ale nie przewidziała, że w kraju oświecenia od XVII wieku niezmiennie obowiązuje prawo, które zabrania kobietom nawet wchodzić na pokład statków handlowych, a co dopiero szkolić się na kapitanów i nawigatorów. Namawiałam ją, żeby zdawała do Szczecina, ale wtedy akurat miała gorszy moment. No i ludzie są durni, znajomi śmiali się z niej, że oficerka to rodzaj buta, a nie zajęcie dla kobiety. I co wybrała? Studia w tej durnej szkole planowania i statystyki, wylęgarni urzędasów. Ale potem miała

lepszy moment, poznała Adama i zamiast iść podbijać pieczątki, wylądowała w Efie, nagle ta ścieżka przygody znowu się przed nią rozwinęła.

Udawał, że słucha z zainteresowaniem, ale zazdrość rozlała się po nim piekącą falą, jakby mu wewnątrz eksplodował pojemnik gryzącego gniewu. Jaki Adam? Przekonał się już na sobie, że zaskakująco wiernie została tu oddana jego sytuacja z tego okresu, kiedy zmieniał jedną żonę na drugą. Czy tak samo było w wypadku Grażyny? Czy po ich szalonej pierwszej nocy wróciła do swojego Adama? Nic mu to imię nie mówiło. Czy o nim opowiadała, kiedy przychodziła na pierwsze sesje? Nie pamiętał, potem na pewno w ich wspólnym życiu temat nie wracał. Nie mieli nikogo takiego w kręgu przyjaciół, nie był bohaterem anegdot i opowieści z czasów młodości.

– I? – wydusił w końcu z siebie.

– Adam wyjechał na placówkę, a ją znowu życie przeraziło i wylądowała u pana.

Uśmiechnęła się gorzko i teraz to ona się zapatrzyła w okno, w szybie mógł obserwować lekko rozmyte znajome rysy. Drobną kwadratową twarz, jasne krótkie włosy założone za uszy, wąskie wargi, lekko zadarty nos, nadający jej urodzie zadziornego charakteru. Ech, gdyby miał żyć jeszcze raz, chciałby zapamiętać, żeby największą uwagę zwracać na te kobiety, za którymi nie ma ochoty się obejrzeć na ulicy.

– Mogę mieć do pana prośbę?

– Oczywiście.

– Niech pan dopilnuje, żeby odnalazła w sobie ten wektor. Żeby nikt jej nie uwięził na pięćdziesiąt lat, nie wciągnął do tego polskiego trzęsawiska uświęconej zwyczajności, nie wmówił, że najważniejsze jest takie małe, codzienne szczęście i malutkie radości, na które przyjdzie czas, gdy spłacimy meblościankę. Ponieważ jej przeznaczeniem są przygody i ona nie może o tym zapomnieć. Czy wyrażam się jasno?

13

Matko Boska, ale mi szybko zleciał ten dzień. Jeszcze dwie lekcje, obiad w stołówce (nie ostrygi, ale całkiem niezła potrawka z jagnięciny, zaskakująco przyzwoita jak na zakład zbiorowego żywienia) i okienko, które spędziłam w pokoju nauczycielskim. Udało mi się ustalić, no, domyślić raczej, że uczę od września, na razie tylko pierwsze klasy i chyba się przyjaźnię z nauczycielką geografii, co w sumie nie jest zaskakujące, biorąc pod uwagę, że podróżowanie palcem po globusie to moja pasja od dziecka do emerytury. Kiedyś nawet miałam mapę świata, na której zaznaczałam miejsca, w których byłam, ale z biegiem lat mapa żółkła, pinezek nie przybywało i zrezygnowałam z niej przy okazji któregoś remontu. Sophie była młodszą ode mnie o trzydzieści lat (to znaczy tutaj starszą ode mnie o dwadzieścia) śniadą Francuzką, która urodziła się na Madagaskarze, wychowała w Indochinach, przyjechała na dobre do Europy po dekolonizacji i przez to cały ten świat był dla niej w pewien sposób równie nowy, co dla mnie.

O czternastej skończyłam, tak podniecona od wrażeń i nowości, że aż mnie nosiło. Od wczoraj z tyłu głowy tłukło się we mnie pytanie: nie żyję, śnię czy zwariowałam? Słyszałam je cały czas, zamilkło w czasie prowadzenia lekcji i kiedy wróciło, zbyłam je machnięciem ręki. Co za różnica? Jest jak jest i tyle. Jeśli zaraz się skończy – pozostanie się cieszyć z fajnej przygody. Jeśli potrwa kolejne pięć dekad – trzeba się na to przygotować. A tym razem nie zamierzałam przeżyć tych lat cichutko i bezpiecznie, co to, to nie. Tym razem zamierzałam ruszyć z posad bryłę świata, zrozumiałam to w czasie tego jednego szkolnego dnia. Patrzyłam w oczy tych ślicznych, młodych dziewczyn i czułam, że dla wielu z nich to, co im powiem i jak im powiem, może zmienić ich życie, przestawić zwrotnicę i przełożyć z toru „poniewierana kura domowa” na tor „mocna, pewna siebie, spełniona kobieta”. Jeśli zostanę w tej cudownej, nowoczesnej szkole dla panien – czyli muszę trochę wyluzować z feminizmem – jeśli przekabacę choćby dwadzieścia procent, jeśli one przekabacą swoje koleżanki, córki,

wnuczki, Boże drogi, przecież ja mogę tysiące, dziesiątki tysięcy polskich kobiet ocalić! Buzowało to we mnie, gotowało się, widziałam prowadzone przez siebie wykłady, pisane przez siebie książki, odbierane nagrody, a w międzyczasie dalekie podróże – i to w czasach, zanim dzięki masowej turystyce każdy kawałek świata został zadeptany przez ludzi w klapkach.

Pomyślałam odruchowo, że muszę to opowiedzieć Ludwikowi, i od razu mnie szlag trafił, jak tylko sobie przypomniałam, co wczoraj wykręcił. Ciekawe, co teraz robi? Przyjmuje pacjentów? Wyszedł z żoną na spacer? Drzemie na kozetce? A chrzanić to, ja na pewno do niego w łaskę chodzić nie będę. Chce, to przeprosi, nie chce – droga wolna. Dobrze mówiłam w rocznicę, że za mało od siebie odpoczywaliśmy. Jeszcze zatęskni, stary dziad przynudzający. Jeszcze przyjdzie tłumaczyć, że „są pewne mechanizmy w tym całym układzie", a ja mu wtedy powiem, że na kolana, całować stopy, to może się zastanowię. Tylko żeby w miarę szybko to zrobił, bo miałam mu ochotę opowiedzieć wszystko, kto mnie tutaj oprócz niego zrozumie?

Cieszyłam się, że mam jeszcze dwie godziny do spotkania z Wandą pod „laską marszałka", pozwoli mi to po pierwsze znaleźć laskę, a po drugie w końcu rozejrzeć się po okolicy. Idąc tutaj, byłam zbyt spięta, żeby zauważyć cokolwiek, potem wszystkie okna moich klas wychodziły na wewnętrzny dziedziniec z boiskiem i ogrodem, ale pamiętacie, jak mówiłam, że ciężko było mi się skupić w czasie rozmowy z panią dyrektor? To dlatego, że okna jej gabinetu wychodziły na ulicę – ogromną, szeroką, reprezentacyjną ulicę, która nie przypominała kompletnie nic z tego, co kiedykolwiek widziałam w Warszawie. Zbiegłam po reprezentacyjnych schodach po dwa stopnie, minęłam cytat – z Maupassanta, teraz wiedziałam, bo w pokoju nauczycielskim wisiał ten sam, dla odmiany podpisany – i wystrzeliłam na zewnątrz, żeby zobaczyć trochę tego nieznanego miasta, zanim światło kompletnie zniknie.

Tak szybko jak wyszłam, tak szybko się zatrzymałam, zaskoczona widokiem sceny, jakiej nie spodziewałam się zobaczyć w tej rzeczywistości, przyjąwszy za pewnik, że teraz jest inaczej. Inaczej

niż za żelazną kurtyną. Tymczasem kilkanaście metrów ode mnie stał ustawiony w poprzek chodnika wóz policyjny o rozmiarach i kształcie wagonu kolejowego, z którego dachu patrzył mi prosto w oczy wylot lufy armatki wodnej.

Skuliłam się w paroksyzmie strachu, oczekując najgorszego, i wtedy lufa drgnęła, przepraszająco jakby, i skierowała się w stronę chodnika, gdzie policja kończyła właśnie rozpędzać niewielką demonstrację, pakując jej uczestników do furgonetek. Jak to na demonstracjach, jedni posłusznie wchodzili na pakę, inni złorzeczyli i wyzywali od gestapo, niektórzy wierzgali dla zasady. Nie byłam może taka hop do przodu jak Lucka, która za komuny żadnej rozróby nie opuściła, ale napatrzyłam się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, znałam reguły gry.

Uczennice wychodziły za mną i ku mojemu zdumieniu nawet nie patrzyły na to, co się dzieje, jakby armatka wodna była w Warszawie elementem krajobrazu równie naturalnym co kałuże głębokości jezior i psie kupy kwitnące po roztopach jak krokusy w Dolinie Chochołowskiej. Dziewczęta zapinały płaszczyki, chichotały i oddalały się w stronę miasta. Inni przechodnie też niewiele sobie z tego robili, wyglądali na poirytowanych obecnością ciężarówki na chodniku i tyle.

Podeszłam bliżej, stąpając między porzuconymi na ziemi mokrymi transparentami – na jednym widniał dziwaczny napis WSZECHNICA WSZETECZNICA – i myśląc, że prawdziwa dwudziestoośmioletnia ja nigdy w życiu by tego nie zrobiła, ale jak ktoś ma prawie osiemdziesiątkę, to byle czego się nie boi, bo raz, że wszystko już widział i wie, że nie takie straszne, a dwa, że co może mu się stać? Umrze? Wolne żarty.

Uczestnicy demonstracji wydawali się bardzo młodzi, w większości chłopcy, nie mieli więcej jak dwadzieścia pięć lat, troje nosiło na kurtkach naszywkę ze stylizowanym kłosem – podobnym do tego, który widziałam wcześniej na ścianie naszej kamienicy, tylko bez kotwicy, no i znacznie lepiej wykonanym. Choć symbol został zgeometryzowany, nie mogło być wątpliwości, co przedstawia.

Lekko ubrana jak na pogodę dziewczyna, w wieku moich uczennic, szarpnęła się trzymającemu ją policjantowi i pewnie by się wyrwała, gdyby ten nie pociągnął jej mocno w ostatniej chwili. Dziewczyna straciła równowagę i upadła na chodnik, rozchlapując fontannę brudnej wody.

– Halo, halo, co pan wyprawia?! – krzyknęłam, podeszłam do dziewczyny i pomogłam jej wstać.

Policjant spojrzał na mnie jak na przybysza z innej planety, oczami błyszczącymi od adrenaliny. Ten wzrok też znałam, właśnie z demonstracji w latach osiemdziesiątych. Wzrok tłumaczący wszystkie tajemnice eksperymentu Zimbardo, o którym Ludwik lubił opowiadać do znudzenia.

– Pracuję – odparł.

– Rzucając młodych ludzi w błoto?

– Rozpędzając nielegalną demonstrację. Gdyby panienka – spojrzał na dziewczynę – zajmowała się, czym tam się zajmują panienki, zamiast włóczyć się wbrew prawu po ulicach, żadna krzywda by jej się nie stała.

Dziewczyna patrzyła na niego wściekle, ręce zacisnęły jej się w pięści.

– Uważaj – powiedział zimno policjant. – Bo na razie grozi ci spisanie i do mamy na ciepłe mleko. A jeszcze jeden głupi pomysł i będziesz z prokuratorem rozmawiała. A pani – zwrócił się do mnie – sympatyzuje? – Mówiąc to, popukał w symbol kłosa na płaszczu dziewczyny, która skrzywiła się ze wstrętem.

Może i tak, skąd miałam do jasnej cholery to wiedzieć, nie miałam pojęcia, o co tutaj chodzi.

– Ja, proszę pana, jako nauczycielka, sympatyzuję z każdym młodym człowiekiem, którego władza rzuca na trotuar.

– Nauczycielka? – Dziewczyna i policjant powiedzieli to jednocześnie, połączeni tym samym zdziwieniem.

– W sensie… – Policjant wskazał na budynek za moimi plecami.

– Tak, to moje miejsce pracy – odparłam i wyprostowałam się dumnie, bo rozumiałam już tyle, żeby wiedzieć, że moja pensja dla panien to nie jakieś prowincjonalne gimnazjum, tylko duma stolicy, istotna, nowoczesna i nowatorska placówka edukacyjna.

Moje uczynione z podniesionym czołem wyznanie przyniosło zaskakujący efekt. Policjant parsknął i zaczął się głośno śmiać, a dziewczyna podeszła do mnie z nienawiścią w oczach, splunęła mi pod nogi i z podniesioną dumnie głową weszła jako ostatnia do suki. Policjant, ciągle chichocząc, zamknął za nią drzwi.

– Oj ludzie, ludzie – powiedział i znowu zachichotał. – Co to jest za miasto wariatów, nigdy się dziwić nie przestanę. No nic, miłego dnia życzę, pani profesor.

Ukłonił się i wszedł do szoferki na miejsce pasażera. Wszystkie policyjne samochody odjechały, nie włączając sygnału, a ja zostałam na ulicy z głupią miną.

14

Rozmowa z Lucką bardzo głęboko go poruszyła. Żałował, że nie ma pod ręką superwizora, żeby porozmawiać i uporządkować swoje emocje. Zamiast tego postanowił przeprowadzić śledztwo gastronomiczno-kulinarne, mające za cel ustalenie, gdzie też u diabła spędza ze swoją żoną rocznicowy wieczór. Czuł się winny wobec Grażyny, że w ogóle planuje tam iść, ale tłumaczył sobie, że gdyby teraz Iwona wyrzuciła go za drzwi, pozbawiając mieszkania, gabinetu i auta – nie byłaby to dobra wiadomość ani dla niego, ani dla Grażyny, gdyż zostaliby kompletnie na lodzie w nieznanej rzeczywistości. Najpierw bezpieczeństwo, a potem się zobaczy. Naprawdę, nie czas teraz na fochy.

Dlatego stał na poczcie przy Miodowej z garścią monet w dłoni i wyświechtaną książką telefoniczną pod pachą, czekając, aż zwolni się jeden z automatów. Zamierzał obdzwonić warszawskie lokale i sprawdzić, w którym ma rezerwację. Nie wszystkie, rzecz jasna, wcześniej siedział na poczcie godzinę, ślęcząc nad listą stołecznych restauracji i starając się zawęzić listę poszukiwań.

I musiał przyznać, była to lektura zdumiewająca. Książkę otwierał z planem, żeby ograniczyć się do lokali kategorii „S” w Śródmieściu z kuchnią międzynarodową. „S”, ponieważ wyglądało na to, że są ludźmi raczej zamożnymi, wykształconymi i na tyle bywałymi, żeby

nie skąpić raz w roku na rocznicę ślubu. W Śródmieściu, bo żaden szanujący się warszawiak nie wyprawiał się specjalnie na kolację do innej dzielnicy, to trochę tak jakby para z VIII dzielnicy Paryża jechała na uroczysty diner do kebaba w Gentilly. Niby można, ale po co? A kuchnia egzotyczna, ponieważ po pierwsze, wtedy świętowali w chińskim „Szanghaju", a po drugie, kto wybiera na taki wieczór kartę z bryzolem, rumsztykiem i sznyclem – a tak mniej więcej pamiętał polską gastronomię z lat sześćdziesiątych. Nazwy romantyczne, kawał mięsa tak samo przesmażony, tłusty, żylasty i niestrawny. Summa summarum spodziewał się, że albo – w wersji optymistycznej – od razu będzie wiedział, o jaką knajpę chodzi, albo – w pesymistycznej – wykona trzy telefony.

Gdy otworzył książkę telefoniczną na stronie z restauracjami, teoretycznie powinien się zdziwić, ale zamiast tego poczuł ogromne, dojmujące przygnębienie. Bo tak jak nie ciągnęły go wielkie przygody, podróże i nieznane lądy, gdyż wierzył głęboko, że nic nie pobije atrakcyjnością tego, co siedzi w ludzkiej głowie – tak jeść lubił. I wiele razy nie mógł przeboleć, że całe swoje kulinarne życie, wszystkie najlepsze lata, kiedy nie musiał jeszcze myśleć o cukrze, wątrobie i cholesterolu, przeżył w cholernej Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Tak, nie było wolności słowa i wolności zgromadzeń, cenzura, ZOMO, radzieckie wojsko i w ogóle, ale czasami poważnie myślał, że to wszystko byłoby do zniesienia, gdyby nie ten upokarzający smutek kuchni. Te warzywa jak z poligonów atomowych, to mięso jak wprost ze szpitalnej chłodni, te wina jak płyn do mycia kibla, przyprawy jak suszone przydrożne chwasty, słodycze o wdzięku zawiniętych w sreberko buraków cukrowych, pieczywo zajeżdżające szczurami i karaluchami, od których roiło się w piekarniach, nawet ziemniaki udało im się zamienić w oblepiony ziemią zapychacz jelit, pozwalający nie umrzeć z głodu, i tyle. W knajpach to samo, tylko gorzej, drożej, na dodatek zalane beżowym sosem, którego jedynym zadaniem było ukryć fatalną jakość wyjściowych materiałów, i zaserwowane przez kelnera, którego wzrok informował, że w kuchni wszyscy cierpią na bardzo rzadkie choroby skóry, no mówię szanownemu panu, naprawdę obrzydliwe, cały czas rzygać się chce.

Za to kulinarne upokorzenie najbardziej nienawidził żelaznej kurtyny.

Stąd przygnębienie, ponieważ strony książki telefonicznej, na których restauracji warszawskich było nie jak za jego czasów trzydzieści, lecz kilkaset, uświadomiły mu, jak wiele stracili. Dwa pokolenia skazane na podłe żarcie. A mogło być inaczej. Mogło być tak jak tutaj. Normalnie.

Westchnął, uśmiechnął się do urzędniczki swoim najlepszym uśmiechem, żeby prosić o ołówek – podała mu go ze spojrzeniem mówiącym, że chciałaby, aby tym ołówkiem wytatuował jej swój adres – i wziął się do roboty. Skreślił wszystkie nazwy typowo polskie typu „Krzepka Ślązaczka", „Wesoła świnka" czy „Biały domek", skreślił te poza centrum (na tyle, na ile kojarzył ulice), skreślił te sugerujące bary jak „Flaczki babuni" i ciągle miał około setki restauracji do obdzwonienia.

Postawił gwiazdki przy dwudziestu, których nazwy mu się podobały albo brzmiały egzotycznie: „Puszta", „Orient Express", „Konstantynopol", „Petit Zinc", „Le Tire Bouchon", „Yin Yang", „Uśmiechnięty Budda", „Bakfickan" i tak dalej. Obdzwonił wszystkie, z trudem tłumiąc śmiech, kiedy we francuskich knajpach obsługa odzywała się po francusku, zdawało mu się to nie tyle światowe, co pretensjonalne. Tak czy owak nigdzie nie słyszano o rezerwacji na jego nazwisko.

Niedobrze.

Na chybił trafił zaznaczył kolejne dwa tuziny knajp i obdzwonił. Ciągle nic, robiło się późno. Nie miał czasu, żeby obdzwonić całą setkę, zresztą nawet to mogło nie przynieść rezultatu, bo przecież pod nazwą „Wesoła świnka" mogła kryć się najmodniejsza stołeczna knajpa, serwująca wieprzowe frykasy ze wszystkich zakątków globu. Tknięty przeczuciem zadzwonił do „Świnki", gdzie go wyśmiano, informując z przesadną grzecznością, że dodzwonił się do baru szybkiej obsługi, gdzie nie ma nawet miejsc siedzących, ale szanownemu panu zarezerwują najlepszy fragment kontuaru koło tualety, jeśli tylko sobie winszuje.

Dowcipnisie.

Wściekły trzasnął ebonitową słuchawką o metalowe widełki automatu. Dziewczyna w okienku spojrzała na niego pytająco przez szybę kabiny. Uśmiechnął się do niej, myśląc, że jeszcze chwila i jego jedyną szansą będzie czekać w mieszkaniu na Iwonę w nadziei, że się pojawi, aby się umalować i przebrać.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech. Słodka była i młoda jak wczorajsza ekspedientka, tak samo umalowana w kocie oczy, koło siebie wyglądałyby jak siostry.

A może by tak załatwić sprawę po staremu, pomyślał i podszedł do okienka.

– Może szanowna pani mi pomoże. Kolega poznał wdechową dziewczynę i się zastanawia, gdzie ją zaprosić na randkę. I staram się pomóc, biedaczyna jest spoza Warszawy, szuka jakiejś dobrej restauracji. Przychodzi pani coś do głowy? Coś zaskakującego, on chce jej pokazać coś egzotycznego, europejskiego, a że rodzice hodują tulipany w Mysiadle, to sama panienka rozumie, badylarze. – Potarł palce międzynarodowym gestem oznaczającym pieniądze.

– Oj, nie wiem, naprawdę. – Zatrzepotała rzęsami.

– Niech pani pomyśli, jak pani sobie spaceruje po Warszawie. I myśli sobie pani czasami, jaki superlokal, jak fajnie by było tam pójść na kolację, żeby ktoś panią zaprosił.

– Elegancki lokal? – Rozmarzyła się.

– Elegancki, ale nie taki, że człowiek się wstydzi, że go kelner ochrzani, bo źle założył nogę na nogę.

Zaśmiała się.

– Wszystkie nanty chodzą do „Orientu” koło „Polonii”, ale tam niekoniecznie. Koło dworca się zawsze dziwna klientela zbiera, w ogóle nie lubię tej okolicy.

Potaknął ze zrozumieniem. Zwłaszcza że tam już dzwonił.

– Może coś francuskiego?

Skrzywiła się.

– Jak specjalna okazja, tobym wolała coś wyjątkowego, a te francuskie lokale teraz na każdym rogu. Wuj w inspekcji pracuje i on mówi, że nie wystarczy kaczkę na kanarda przechrzcić, jeszcze trzeba wiedzieć, jak ją usmażyć. I że takie wina, co się u nas do spróbowania daje, to we Francji by tym podłogi nie umył. A w ogóle

wódka to wódka, wiadomo. To znaczy wuj tak mówi. Wie pan, co mi koleżanka mówiła na przykład? Że w Łodzi jest restauracja włoska i podają tam taki jakby naleśnik z chleba, na którym jest mięso i oliwki, i pomidory, brzmi dziwnie, ale podobno super pyszne. A makaron dają bez zupy, tylko z różnymi sosami. Zabawne, prawda?

– Niezwykłe – odpowiedział, cóż było robić. – A w Warszawie jest jakaś włoska restauracja?

– Nie ma niestety, szkoda, bo ja oliwki bardzo lubię. Na miejscu pana kolegi tobym mimo wszystko coś wybrała na Bulwarze. Elementu nie ma, dobra klientela.

– Hm, może faktycznie, dobry pomysł. – Jakim, psiakrew, znowu Bulwarze? – Ma pani coś konkretnego na myśli?

– Jest oczywiście „Husaria", ale tam to nawet dla badylarza może być dodawanie zbyt słone. Ambasadorowie, księża z twierdzy, burże z Podkowy Leśnej, obrusy takie, że śnieg się przy nich brudny wydaje. Zresztą to każdy wie, prawda?

Pokiwał głową. Jeśli jeszcze trochę w tym świecie pożyje, to po całych dniach bezmyślnego kiwania głową będzie musiał masażystę znaleźć.

– A jest tam coś bardziej egzotycznego?

– „Bawarkę" niedawno otworzyli, ale nikt tam nie chodzi, pamięta pan, jaka była burza, też bym nie poszła chyba. Niemiecka knajpa w Warszawie. W Warszawie! Ja rozumiem, że polityka i trzeba patrzeć w przyszłość, i w ogóle, no ale są jakieś granice.

Zamyśliła się.

– Wiem! – powiedziała w końcu. – Wiem, gdzie ja bym chciała pójść, o matko, jak bym chciała. Do „Domku". Niby przy Bulwarze, ale tak trochę z boku, to jest następna za Mościckiego koło salonu Antoine'a, jak się idzie od Politechniki, nie pamiętam nazwy. Znam parę osób, które tam były, i tam jest podobno iperszłetnie: wszystko inne, smaki, kolory, nawet pladiżury mają tam szik, nie to, co gdzie indziej, tylko eskalopki czy coś, no i ten wystrój, jak z bajki, ja wiem, że tak się często mówi, ale naprawdę jak z bajki. I tak jak w ogóle to myślę, że Unia ma w wielu sprawach dużo racji, to tutaj akurat sądzę, że takich miejsc powinno być jak najwięcej. I ci

Arabowie super sympatyczni, no jak ktoś tak gotuje, to nie może zniszczyć chyba żadnej kultury, prawda?

15

Mam swoje lata i właściwie powinnam znaleźć jakieś dostojne słowa oznaczające zachwyt, szok i niedowierzanie, ale ponieważ mam też dwie wnuczki, więc je zacytuję: łał. Naprawdę wielkie łał.

Widziałam już w tej Warszawie miejsca dziwne i zaskakujące, niektóre znajome, niektóre zupełnie obce. Bloczydła w miejscu ambasady chińskiej na Bonifraterskiej, tajemnicza betonowa wieża gdzieś na Pradze, wielki plac budowy i pustka na terenie getta, pomnik opiekuńczego orła, futurystyczny klocek Dworca Głównego i w końcu budzący jednocześnie grozę i fascynację rezerwat ruin na Koszykowej. Wszystko interesujące, ale nic – przynajmniej na razie – nie mogło się równać z dzielnicą, w której stała moja szkoła. Musiałam poszwendać się po niej godzinę, zanim w głowie ułożyła mi się jej topografia i połączyła z właściwą Warszawą, w której się wychowałam i w której jeszcze dwa dni temu dożywałam swoich dni.

Oś dzielnicy stanowił Wielki Bulwar Marszałka Józefa Piłsudskiego i biegł na moje oko dokładnie po linii Trasy Łazienkowskiej, od Grójeckiej do placu Na Rozdrożu. Tyle tylko że Trasa jest bezduszną, wstrętną i brudną autostradą, wszczepioną w miasto przez frontowego chirurga z czasów wojen napoleońskich, który na każdą dolegliwość miał jedno lekarstwo: amputację. I tak też wyglądała na mapie i w rzeczywistości Trasa Łazienkowska, ślad po ciosie siekierą na zdrowej tkance miasta, brzydka blizna po długo paskudzącej się, ropiejącej ranie. Nieważne. W tym miejscu biegł teraz monumentalny bulwar o szerokości Pól Elizejskich. Oczywiście pośrodku było miejsce dla samochodów, po trzy pasy w każdą stronę, potem dwa rzędy drzew – nie miałam pojęcia jakich, ponieważ była druga połowa stycznia, ale miały gładką korę jak platany – następnie wspaniały kamienny trotuar o szerokości boiska do siatkówki i fasady kamienic. To znaczy kamienice to złe słowo,

nigdy nie interesowałam się architekturą, ale najbardziej kojarzył mi się ten styl – jak już wspominałam – albo z Muzeum Narodowym w Warszawie, albo z pałacami przy Trocadero w Paryżu. Nowoczesne, geometryczne, dość monumentalne, budzące szacunek. Czasami budynki były cofnięte od ulicy, tworząc rozległe dziedzińce z ogrodami. Czasami w pierzei zamiast budynku znajdowała się tylko kolumnada, za którą kryła się poprzeczna ulica albo park. W wielu miejscach wysokie partery kryły się w podcieniach, skąd wchodziło się do sklepów i restauracji. Przy witrynie „Husarii" stałam z kwadrans, za oknami wysokimi na pięć metrów doskonale widziałam wnętrze lokalu, stoliki na parterze i antresoli, ogromny bar podtrzymywany przez mosiężne kariatydy, wyprostowanych kelnerów w garniturach szytych na miarę, najbardziej zakochałam się w żyrandolach, gigantyczne konstrukcje z kryształu, kształtem przypominające odwrócone do góry nogami torty weselne. Osiemdziesiąt prawie lat żyję i nigdy nie widziałam tak pięknej restauracji. Zawsze wyobrażałam sobie, że w Nowym Jorku takie mają albo w Chicago, ale jakoś się nie złożyło.

Muszę powiedzieć, że mimo sklepów, restauracji i jednej wspaniałej kawiarni „Europejskiej", do której miałam zamiar zaciągnąć Wandę, jak tylko wybije szesnasta – również dlatego, żeby nie umrzeć z wyziębienia, dmuchało na tym cholernym Bulwarze jak nad Bałtykiem w lipcu – dzielnica robiła wrażenie opustoszałej. Zapewne przez sąsiedztwo, prawie wszędzie urzędy, ministerstwa i ambasady, ludzie siedzieli w biurach, a potem zmykali do domów. Jedynie w zakładzie fryzjerskim o zaskakujących rozmiarach i pretensjonalnej nazwie „Antoine de Paris" toczyło się normalne życie, kobiety siedziały z kawą, rozmawiały i przeglądały gazety, czekając, aż farba się przyjmie. Wystylizowany staruszek odstrojony jak na wesele królowej brytyjskiej czesał drobną brunetkę o krótkich włosach i twarzy tak anielsko pięknej, że aż mnie zatkało. Wydawała się znajoma, aktorka z jakiegoś czarno-białego filmu, ale z jakiego, to już ni cholery, dziura. Wtedy staruszek coś powiedział, na co jego klientka roześmiała się wesoło i dopiero ten śmiech sprawił, że wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Teresa Tuszyńska, Jezu, łzy stanęły mi w oczach, przecież ja patrzę na Teresę

Tuszyńską! Miałam ochotę wskoczyć do środka i powiedzieć jej, żeby o siebie dbała, żeby się nie pocieszała alkoholem, a najlepiej, żeby w ogóle nie piła, inaczej umrze przedwcześnie, samotna, przegrana i zapomniana. A przecież tylu ludzi jej kibicowało, ja jej kibicowałam, pojechałam specjalnie do Trójmiasta, żeby zobaczyć miejsce, gdzie Jacek spotykał się z Margueritte, i płakałam, obiecując sobie, że ja nigdy nie przegapię prawdziwej miłości, jeśli taka stanie na mojej drodze.

Miałam ochotę wejść do środka, żeby się na nią jeszcze pogapić, ale nie miałam pieniędzy i głupio mi było, że będę musiała coś kłamać jak bezdomna szukająca ciepła. Ale że już ciężko mi było wytrzymać na mrozie, weszłam w ogromną bramę, żeby przynajmniej nie czuć wiatru, i tam w bocznej uliczce zobaczyłam pocztę. Cudownie. W krainie znaczków i kopert moje pięćdziesiąt złotych to musi być majątek, pokręcę się, powybieram pocztówki, rozgrzeję, nie wzbudzając podejrzeń. Miałam jeszcze trochę czasu do spotkania z Wandą.

Na poczcie spodziewałam się wejść w tę samą lodowato-senną atmosferę, jaka charakteryzowała całą dzielnicę. Niesłusznie. Weszłam w sam środek awantury. W jedynym okienku tkwiła śmiertelnie obrażona urzędniczka, to znaczy wszystkie urzędniczki na poczcie są zwykle śmiertelnie obrażone, ale ta wyróżniała się nawet na ich tle. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, usta miała mocno zaciśnięte, oczy strzelały iskrami. Poza tym wyglądała jak urzędniczka pocztowa koło pięćdziesiątki. Ani ładna, ani brzydka, ani wyjątkowa, urzędnicza i tyle.

– Nie ma kwestii – powiedziała i jeszcze mocniej zacisnęła ramiona. – Nie sprzedam. Proszę cyrkulować.

Stojący przy okienku klient, niski szpakowaty mężczyzna, ubrany w trzyczęściowy garnitur, rozejrzał się bezradnie po sali, szukając pomocy. Na chwilę zatrzymał wzrok na mnie, ale w końcu zwrócił się do stojącej bliżej grupy, która składała się z księdza o posturze niedźwiedzia i otaczających go kilku zakonnic w czarnych habitach.

– To jest chyba niemoszliwe – powiedział z bardzo wyraźnym niemieckim akcentem. – To jest chyba usząd publiczni.

– Pięć osób z rodziny mi zabiliście w powstaniu – wycedziła urzędniczka. – Ojca, wuja, dwóch braci i siostrę. Całe moje rodzeństwo. I nie sprzedam.

I spojrzała na księdza. Ja też, i ten Niemiec też, i wszystkie siostry. Ksiądz odchrząknął.

– Moi mili – zaczął z kościelnym zaśpiewem – pozwólmy rozstrzygnąć ten spór świętemu Pawłowi. Który powiedział: bądźcie jedni dla drugich uprzejmi, serdeczni, odpuszczając sobie wzajemnie, jak i wam Bóg odpuścił w Chrystusie.

– To powiedział święty Paweł czy Jezus? – zapytała urzędniczka.

– Święty Paweł – potwierdził ksiądz.

– To nie sprzedam.

Ksiądz westchnął dobrodusznie.

– Nie oddawajcie złem za zło ani obelgą za obelgę, lecz przeciwnie…

– Jezus? – przerwała urzędniczka.

– Święty Piotr.

– To nie sprzedam.

– Dobrze, otóż i słowa samego Chrystusa: a gdy stoicie – wskazał dłonią na urzędniczkę, dając do zrozumienia, że ona też stoi, więc słowa jak najbardziej odnoszą się do niej – i zanosicie modlitwy, odpuszczajcie, jeśli macie coś przeciw komuś, aby i Ojciec w niebie wam odpuścił.

– Ja nie zanoszę żadnych modlitw. Nie sprzedam.

– Ale to jest tylko jeden znaciek! – zaprotestował Niemiec. – Ja nie walczyl z Polakami, ja jestem uszędnik w ambasady. Ja potszebuje list do szony!

Ksiądz wzruszył ramionami na znak, że próbował.

– Też bym nie sprzedała – powiedziała jedna z zakonnic, na młodej twarzy miała kocie czerwone okulary, zupełnie niepasujące do powagi habitu. – Mój tata był na robotach, przez trzy lata listu nie przysłał, bo mu bauerzy nie pozwalali. To ten też niech poczeka.

– Ależ siostro! – oburzył się ksiądz. – Nie pomaga siostra szerzyć Ewangelii.

– W Ewangelii nic o Niemcach nie ma – odparowała siostra.

– Nie ma, bo to są symbole, które można odnieść do każdej sytuacji w każdych czasach.

Młoda siostra zmarszczyła nos, dając do zrozumienia, że teologia sobie, a życie sobie, i nie zamierza zmieniać zdania.

– A pani co pani myszli? – zapytał Niemiec i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to do mnie. Wszyscy obecni, Niemiec, urzędniczka i ksiądz z siostrami, utkwili we mnie wzrok, jakbym była jakimś pocztowym trybunałem, ferującym ostateczne wyroki.

– Co ja sądzę? – zapytałam, żeby zyskać na czasie. – Ja sądzę, że mojego ojca też Niemcy zabili. We wrześniu.

Urzędniczka i część zakonnic pokiwały ze zrozumieniem głowami.

– Ale może nie zawsze warto od razu pytać Jezusa, tylko się rozejrzeć. To w końcu nasi biskupi napisali do niemieckich: „Przebaczamy i prosimy o wybaczenie". „Wir vergeben und bitten um Vergebung". – Na szczęście pamiętałam niemiecki cytat z wycieczki niedawnej do Wrocławia, na pomniku był wyryty, mogłam się popisać. – Inaczej jak żyć? Ręki sobie nigdy nie podamy? Kawy nie zaparzymy? Znaczka nie sprzedamy? Da się tak w ogóle?

Teraz ksiądz pokiwał głową ze zrozumieniem. Niemiec też wyglądał, jakby chciał pokiwać, ale bał się, że jak drgnie, to sprawa znowu się rypnie.

– List zwykły do Europy osiem złotych trzydzieści groszy – powiedziała urzędniczka, odwracając ostentacyjnie wzrok na Niemca, który szybko odliczył drobne i zabrał podsunięty mu znaczek. Nakleił na kopertę, wrzucił do skrzynki, a wychodząc, pocałował mnie w rękę i uciekł, jakby groził mu proces w Norymberdze.

Dopiero wtedy sytuacja się rozluźniła, ksiądz z siostrami podeszli do okienka, a ja stanęłam przy kręciołku z pocztówkami, z zainteresowaniem oglądając grafiki przedstawiające współczesną Warszawę. Rozpoznałam Starówkę, Krakowskie Przedmieście, dzielnicę wokół Efu i opiekuńczego orła, ale wiele miejsc wyglądało zupełnie obco, postanowiłam kupić kilka kartek i potem odwiedzić te miejsca. W sprzedaży mieli też gazety i kilka książek dla dzieci, po których przesunęłam wzrokiem bez zainteresowania i już miałam

odejść, kiedy zauważyłam tytuł: *Inżynier i chłopiec z przyszłości. Najnowsza historia Polski dla najmłodszych z ilustracjami*. Och tak, pomyślałam, tego mi trzeba.

Wzięłam książkę, odwróciłam się i stanęłam oko w oko z księdzem.

– Jako duchowny nie powinienem pochwalać kłamstwa – wyszeptał, grożąc mi komicznie palcem – i zmyślania kościelnych dokumentów na poczekaniu. Ale tym razem powiem tylko: dobrze zagrane! Szczęść Boże!

Aha, czyli ten list to w latach sześćdziesiątych, ale jeszcze nie teraz. Dobrze wiedzieć.

Zapłaciłam, opatuliłam się szczelniej, żeby pocztowe ciepło nie uciekło, i wyszłam, miałam kwadrans do spotkania pod „laską marszałka". Przynajmniej wiedziałam, czym jest „laska". Otóż Bulwar rozciągał się od Świątyni Opatrzności Bożej, ponurej twierdzy wyglądającej jakby specjaliście od nazistowskich fortyfikacji kazano zbudować katedrę Notre Dame, aż do placu Na Rozdrożu, który tutaj nazywał się placem Wolności. W normalnym świecie z placu rozciągał się widok na autostradę i most, tutaj, z braku jednego i drugiego, z tarasu podziwiać można było park na wysokiej wiślanej skarpie, otoczony rusztowaniami odbudowywany Zamek Ujazdowski i panoramę Wisły. Po drugiej stronie rzeki w niebo wystrzeliwała betonowa wieża w barwach Francji, którą wczoraj podziwiałam z balkonu Ludwika. Pomyślałam, że muszę spytać Wandy, co to za dziadostwo.

Aha, o lasce miało być. Otóż na placu Wolności, wystarczająco już dostojnym dzięki rozmiarom i nazwie, stał Przez Wdzięczny Naród Wzniesiony Monument ku Czci i Wiecznej Chwale Twórcy Polskiej Niepodległości Marszałka Józefa Piłsudskiego. Nie żartuję, naprawdę tak było napisane, dłuższą chwilę się zastanawiałam, czy to zdanie w ogóle gramatycznie ma sens, czy też polszczyzna została złożona w ofierze na ołtarzu napuszenia. Tak czy owak, monument miał kształt obelisku, wystrzeliwującego w górę z postumentu o kształcie trzech czarnych sześcianów z napisami „Bóg", „Honor", „Ojczyzna". Problem polegał na tym, że patrząc od strony Bulwaru – zwłaszcza teraz, o zmierzchu – „Honor" zlewał się w jedno

z obeliskiem, co nadawało monumentalnej instalacji mocno nieprzyzwoity kształt kanciastego, ostro zakończonego przyrodzenia, w którym „Bóg” i „Ojczyzna” robiły za jaja, a marszałek razem z „Honorem”, no cóż, za laskę właśnie.

Schowałam się za „Bogiem”, bo tam najmniej wiało, i czekałam na Wandę, która na szczęście się nie spóźniła. Od razu jej powiedziałam, że musimy iść do „Europejskiej”, że zapraszam ją na kawę i ciastko, co tylko będzie chciała, tylko ona musi zapłacić, bo ja mam wszystkie pieniądze w domu.

To znaczy taką miałam nadzieję, że mam wszystkie pieniądze w domu. Muszę tylko zajrzeć głębiej do szuflady z majtkami.

16

Pamiętał, że jej bezpretensjonalność była jednym z powodów rozstania. Denerwowało go, że Iwona nie przywiązuje wagi do ceremonialnej kobiecości, różnych zestawów ubrań, strojenia się, malowania, zajmowania łazienki na dwie godziny, żeby potem z niej wypłynąć na obłoku pary z każdym szczegółem swojej urody wyglancowanym i dopieszczonym. Kiedy gdzieś wychodzili, do teatru albo na przyjęcie, po prostu szła umyć zęby, brała torebkę i wychodziła. Kiedy pytał, czy zamierza się jakoś przygotować, niezmiennie pytała z udawanym zdziwieniem, czy aby nie śmierdzi, co równie niezmiennie prowadziło do awantury. Ona uznawała, że jeśli jest schludna, wyprasowana i ubrana do okazji, to brakiem szacunku wobec natury byłoby marnowanie cennych sekund krótkiego życia na nadawanie brwiom innego kształtu. On chciał, żeby zadawała sobie trud błyszczenia przy boku męża. Można powiedzieć, że jej podejście do kobiecości było protestanckie, jego – katolickie z przechyłem w stronę prawosławia.

Teraz podejrzewał, że w ogóle się nie pojawi na rocznicowej kolacji po wczorajszej awanturze, ale przyszła. Tak jak stała, prosto z pracy, w zamszowej spódnicy i czarnym dopasowanym golfie. Czyli ona się nie zmieniła, on – dojrzał o jakieś pięćdziesiąt lat.

Wtedy był przekonany, że jego żona jest zimnym i pozbawionym kobiecości babochłopem. Teraz patrzył na kobietę w swoich najlepszych latach, mądrą i spokojną, elegancką w ponadczasowy prosty sposób, której interesująca uroda piegowatego rudzielca nie wymagała żadnych specjalnych starań. Pomyślał, że gdyby w XXI wieku pacjent do niego przyszedł z żalem, że żona za mało się stroi przed wyjściem do knajpy, uznałby takie oczekiwanie za przemoc emocjonalną.

– Dziękuję, że przyszłaś.

– Mam rezygnować z dobrej kolacji tylko dlatego, że jesteś dupkiem, który zdradza mnie z pacjentkami? Nie sądzę. Czy możemy teraz odbyć tę rozmowę, żeby nie psuć sobie reszty wieczoru?

Pokiwał głową. Ponownie myśląc, że bycie staruszkiem w znudzonym sobą związku z pięćdziesięcioletnim stażem ma wiele plusów, których nie zauważał jeszcze kilka dni temu.

– Właściwie to nie będzie rozmowa, muszę ci coś zakomunikować. Otóż jesteś nie tylko moim mężem, ale też moim najbliższym przyjacielem. Lubię z tobą rozmawiać, rozumiesz naukę, masz otwarty umysł. Może bardziej uchylony niż otwarty, ale jesteś mężczyzną, okrucieństwem byłoby wymagać zbyt wiele. Mimo to jeszcze godzinę temu chciałam się z tobą rozwieść. Wiesz dlaczego?

– To nie jest tak…

– Jeśli powiesz „jak ci się wydaje”, na pewno to zrobię.

Pomyślał, że powinien, przecież czeka na niego tutaj Grażyna, jego najukochańsza żona od pół wieku, do której powinien wrócić jak najszybciej. Zamiast tego powiedział:

– Dlaczego?

– Dlatego że pewnych rzeczy nie da się odzobaczyć. Na przykład gołej, owłosionej waginy obcej kobiety w gabinecie własnego męża we własnym mieszkaniu. Myślę, że nie da się żyć z takim obrazem pod powiekami, ale postanowiłam spróbować. Są pewne warunki. Po pierwsze, nie chcę nigdy o tym rozmawiać. Po drugie, nie chcę nigdy widzieć tej kobiety na oczy. Po trzecie, podpiszesz papiery, że jeśli jeszcze raz wyskoczysz z czymś takim, automatycznie cały nasz

wspólny majątek ląduje u mnie w kieszeni, a ty zostajesz z niczym. Załatwimy to u notariusza, jesteśmy umówieni na następny wtorek. Czy to jasne?

– Jasne.

– Zgadzasz się na taki układ czy po prostu się rozwodzimy?

I co miał powiedzieć? Jeśli powie, że wybiera rozwód, to jego życie wskoczy na tory, po których jechało przez tyle lat. Wspaniałe, cudowne tory, ale jakże znane. Straci wtedy możliwość wyboru, nie dane mu będzie się dowiedzieć, kim naprawdę była jego pierwsza żona. A rozwieść przecież zawsze się można, prawda?

– Zgadzam się.

– Doskonale. To zamów bardzo drogie wino z karty i zaczynamy świętowanie.

I zaczęli. Rozmawiali o bzdurach, bał się poruszyć jakieś konkretniejsze tematy, żeby nie wyszedł jego brak elementarnej wiedzy o otaczającym go świecie. Próbował złowić jakieś detale z jej opowieści, ale zadanie wydawało się beznadziejne, żadna normalna osoba nie mówi na kolacji o swoim świecie w taki sposób, jakby chciała go przedstawić kosmicie.

– Przepraszam, że czasami jestem takim jaskiniowcem – wyrwało mu się przy przystawkach. Dokładnie tymi samymi słowami przepraszał czasami Grażynę.

Spojrzała na niego znad kieliszka wina.

– Koleżanki mi cię zazdroszczą – powiedziała z przekąsem. – Psycholog, znawca duszy i psychiki, nowoczesny mężczyzna, a nie jakiś wiecznie niedogolony mechanik samochodowy, co to na kolację tłusto, w sobotę z łapami, a w niedzielę do kościoła. Nie pijesz, nie bijesz, nie chodzisz w tango, marzenie każdej żony.

– Mówisz ironicznie?

– Dziś wszystko mówię ironicznie. Ale ty na poważnie?

– Na poważnie.

– To na poważnie odpowiadam, że to nie tyle ironia, co pewien fatalizm, świadomość tego, że historia toczy się wolniej, niż nam się wydaje. Niby jak spojrzysz, to tutaj rewolucja francuska, tutaj październikowa, tutaj ostatnia wojna, wszystko takie gwałtowne. Ale jeśli ktoś przed wojną nie mył zębów, to po wojnie nie zacznie.

Jak ktoś psa trzymał na łańcuchu, to go nie wypuści. Rozumiesz, o co mi chodzi? Ludzie, a przez to społeczeństwa, zmieniają się przez wieki, a nie przez dekady. Spójrz na Polskę. Wojna, potem trzy lata okupacji sowieckiej, teraz to histeryczne małżeństwo z Francją, nie wiadomo, czy za chwilę francuski nie będzie drugim językiem urzędowym, jak się ten europejski projekt powiedzie. Tyle zmian, a *Le Deuxième sexe* de Beauvoir od piętnastu lat nie może znaleźć polskiego wydawcy. Rozumiesz?

Pokiwał głową. Ależ miał przenikliwą i nowoczesną żonę, nic dziwnego, że nie mógł z nią wytrzymać.

– Ponieważ relacje społeczne, wszystkie te wzorce przekazywane z rodziców na dzieci, zmieniają się koszmarnie wolno. Trochę się uda zmienić w tym pokoleniu, trochę w następnym i tak może za jakieś pięćdziesiąt lat przyjdą czasy, kiedy kobiety nie będą musiały walczyć na ulicach o swoje prawa, a Kościół w końcu wyjmie im rękę z majtek i przestanie spychać do kuchni, kruchty i kołyski.

Przyniesiono jedzenie. Tażin z warzywami i kuskus z baranimi kiełbaskami. „Biały domek" okazał się polską wariacją na temat nazwy Casablanca, serwowano tu zgodnie z szyldem „Cuisine des pays du Maghreb", co bardzo mu odpowiadało, ponieważ uwielbiał kuchnię pełną przypraw, a właśnie w momencie, kiedy pojawiła się w Polsce, pieprzne jedzenie gastrolog kazał mu oglądać tylko z daleka.

– Merci, Ahmed, ça semble delicieux comme toujours. – Iwona uśmiechnęła się do mężczyzny, który przyniósł im jedzenie i który bardziej wyglądał na właściciela lokalu niż na kelnera.

– Ja wam bahdzo dziękuję – powiedział po polsku z bardzo wyraźnym francuskim akcentem. – Wy jesteście zawsze bahdzo miła, phoszę pani. Ja idę wam przygotować nowość do sphóbowania z Tuhcji. Doneh kebab, mięso od bahana od hożna we chlebie. My idziemy to sprzedawać z okienka na ulicę, jak on je u nas. To będzie… – Zabrakło mu słowa. – Le tube de l'été!

– Przebój, Ahmedzie. Albo szlagier. Tylko może dodaj coś polskiego do tego nowego dania, żeby się sprzedało?

– Może surówkę z kapusty? – rzucił Ludwik, nie mógł się powstrzymać.

Ahmed skrzywił się.

– Kapusta, ale phoszę pan… – Nagle się zamyślił. – To nie jest taka zły pomysł, kto wie, wy jesteście genialni, phoszę pan! Ja pójdę to sphóbować.

Ukłonił się, życzył im jeszcze raz smacznego i pożeglował w stronę innych gości.

– Kapusta do kuchni orientalnej, zwariowałeś? I co jeszcze? Frytki może?

Wzruszył ramionami i nałożył sobie tażina na kolorowy talerz z glazurowanej ceramiki. Jedzenie pachniało bosko.

– I żeby nie przedłużać, zdaję sobie sprawę z ról, jakie zdaniem ogółu mają odegrać kobieta i mężczyzna. I uważam, że na tle tego ogółu jesteś dość wyjątkowy. Co nie zmienia faktu, że jesteś synem swojego ojca i wnukiem swojego dziada. Ludwiku drogi, opieprzyłeś mnie tydzień temu, że w niedzielę nie zrobiłam ciasta. Mnie, doktora nauk fizycznych, która – pokazała palcem ścianę restauracji – trzysta metrów stąd opracowuje terapie na choroby nowotworowe. Zgoda, nie jestem może Marią ani Bronisławą, Nobla nie dostanę, ale sam rozumiesz.

Rozumiał. Teraz. Pięćdziesiąt lat wcześniej – kompletnie. Zabawne, że w sumie wszystko wyparł, całe swoje pierwsze małżeństwo, uznał ten związek za coś chwilowego i niepotrzebnego, przygrywkę przed prawdziwą wielką miłością. Tą miłością, która miała lepszy biust, nie pyskowała, nie żądała cały czas szacunku i uznania, a w łazience siedziała tyle, że zdarzało mu się korzystać ze słoika, bo nie mógł wytrzymać „jeszcze tylko minutki”.

– Przepraszam… – zaczął, ale machnęła ręką.

– Jedz tażina lepiej. A mnie nie przepraszaj, pamiętaj o tym na swoich terapiach, żeby pacjenci nie wychowali kolejnego pokolenia patriarchów, oczekujących całowania w pierścień. Kropla drąży skałę. Dlatego przychodzimy tutaj, prawda? Żeby pokazać, że nawet jak ktoś sympatyzuje z Unią, to nie musi być rasistowskim bucem, jak to lubią pokazywać w gazetach.

Nie rozumiał, więc pokiwał głową, jak miał w zwyczaju.

– Czytałeś dziś?

– Nie, co było? – Idealnie, nie musiał kłamać, nie musiał potakiwać, a jest szansa się czegoś dowiedzieć.

– Pod twierdzą będzie demonstracja w obronie słowiańskiej tożsamości. Przejdą pod ambasadę Francji i pod pałac Inżyniera. Tyle tylko że znowu to organizuje to skrajne skrzydło od Moczara, nie lubię ich i nie mam do nich zaufania, mam wrażenie, że szkodzą sprawie.

– A o co im chodzi w tym całym układzie… znowu? – dodał, robiąc minę człowieka, który zbyt wiele godzin poświęcił dyskutowaniu o aktualnej polityce.

– Walą w ten bęben islamski, odkąd wojna się skończyła, i wiadomo, że zaraz wrócą z niej nie tylko nasi dzielni chłopcy, ale też część Algierczyków, którzy chcą tutaj szukać szczęścia, no i uciekają przed zemstą Frontu. Wielu ich nie będzie, ale dla części narodowców, których i w Unii nie brakuje, to gratka, znaleźli Polakom nowego Żyda. Przecież Ahmedowi już dwa razy szyby wymalowano.

– Myślałem, że on jest z Maroka.

– Jest, ale co to dla nich ma za znaczenie. Zresztą rozmawialiśmy o tym tysiące razy. Że nie ze wszystkimi nam tam jest po drodze, ale trzeba zagryźć zęby. Unia to jedyna szansa, żeby nie wybierać między Moskwą a Paryżem, żeby zrobić Polskę w Polsce. Dziś się znowu o to pokłóciłam, rządowa propaganda nasila się przed wyborami. Zresztą nie chcę o tym gadać teraz.

Słuchał jej i nie słuchał, znowu ilość bodźców, informacji i emocji sprawiała, że jego mózg starał się nie przegrzać obwodów. Część rozkoszowała się słodko-pikantnym smakiem marokańskiego dania, część próbowała analizować otrzymywane informacje i zrozumieć, na czym tym razem polega tradycyjne, wpisane w narodowe DNA, samobójcze rozdarcie Polski, a część była zwyczajnie wzruszona i szczęśliwa, że los pozwolił mu zrozumieć, jak wspaniałą kobietą była jego pierwsza żona. Nawet gdyby jutro znowu się obudził jako osiemdziesięciotrzylatek, którego czeka już tylko śmierć, bo jednak z tą wyprawą do Zermatt to śmiech trochę, fajnie będzie umierać z pamięcią tego dnia. Najpierw Lucka, teraz Iwona, gdyby jeszcze dziś zobaczył Grażynę, trzy najważniejsze kobiety swojego życia

i trzy miłości, które go ukształtowały bardziej, niż był gotów to przed sobą przyznać, spotkałyby się z nim jednego dnia.

Myśląc o tym, położył dłoń na dłoni Iwony, uśmiechnął się z miłością do zielonych oczu i spojrzał na rozświetlony latarniami Bulwar za oknem, myśląc, że to wspaniała przygoda.

Za szybą stała Grażyna, patrząc na niego z mordem w oczach.

17

Ludwik zawsze się śmiał, że jedyny mój nałóg to wzywanie Pana Boga nadaremno. Faktycznie, miałam takie natręctwo językowe, że wszędzie wciskałam Jezusy Przenajświętsze, Matki Boskie, Jezusy Maryje, Boże Jedyne i tak dalej, tak samo na to nie zwracałam uwagi, jak ludzie, których narracja składa się z „jakby", „dokładnie" i „prawda". Zabawne, że choć sama jestem z katolickiej rodziny – kto nie jest? – to nigdy nie byłam specjalnie wierząca, miałam krótki moment po urodzinach Jacka, że może coś w tym jest, że trzeba dziecko wprowadzić w kulturę przodków i tak dalej. Ale nigdy to nie była wiara, raczej szacunek dla tradycji ojców, jak wiele osób w Polsce czułam głęboko, że prawdziwa moc drzemie w naturze, w porach roku, w tradycyjnych obrzędach. A że jedyna wersja tych obrzędów przetrwała w kościołach, to do kościołów chodziłam. Ale bardziej żeby świętować przesilenia, równonoce, Zielone Świątki i Dzień Zaduszny, niż przejmować się teologią Trójcy Świętej. Czyli przyznajmy, jak w wypadku większości Polaków, mój katolicyzm sprowadzał się do ludowego pogaństwa.

Tak też wyglądało moje życie modlitewne. Uwielbiałam dziecinną modlitwę do Anioła Stróża i – choć nigdy nikomu się do tego nie przyznałam – odmawiałam ją codziennie, prosząc o opiekę nad sobą, nad rodziną i tymi, którzy mogą jej potrzebować. Ale trudno by nazwać te moje modlitwy chrześcijańskimi. Lubiłam wtedy patrzeć w gwiazdy, w stronę anonimowej siły, która to wszystko spaja, a w roli Anioła wyobrażałam sobie na różnych etapach życia kolejne zmarłe osoby z rodziny, czując, że ich duchy są przy mnie i to one mnie chronią bardziej niż Matka Boska Częstochowska.

Ale teraz, siedząc w kawiarni „Europejska” przy białej kawie i kremie sułtańskim, włożyłam do ust łyżeczkę słodkiej bitej śmietany z pokruszonymi bezikami, spojrzałam na kryształowy pucharek, na srebrną łyżeczkę z wygrawerowanym herbem Warszawy, na swoją młodą dłoń z lśniącymi paznokciami i pomyślałam bardzo katolicko i świadomie: Boże Jedyny, Maryjo Przenajświętsza i Jezusie Nazareński, wysłuchajcie służki swojej i sprawcie, żebym w tym świecie została, bo jak wrócę do starej siebie, to się momentalnie potnę, a to grzech śmiertelny, więc chybabyście tego nie chcieli. Niech się tutaj dzieje, co chce, niczego się nie lękam i w ogóle, obiecuję, że będę mówiła normalne modlitwy, chodziła do kościoła i do spowiedzi regularnie, i do komunii, tylko mnie stąd nie zabierajcie, z wyrazami szacunku, wasza Grażynka.

– Wszystko w porządku? Minę masz, jakbyś się modliła.

– Może trochę. Myślałam, że kiedyś, to znaczy teraz, to znaczy czasami, ojej, chodzi mi o to, że biegnę, piję kawę, wsuwam krem sułtański i nawet o tym nie myślę. A to są takie fantastyczne chwile. Aż chciałoby się każdą przedłużyć, zachować, móc do niej wracać cały czas jak do zdjęć w albumie. Wyobrażasz sobie taki ogromny album, w którym trzymamy każde wspomnienie? Nie blakną, nie znikają, cały czas moglibyśmy przeżywać swoje życie na nowo.

– Przyjdzie czas, że wrócisz do swoich wspomnień o kremie sułtańskim jako stara baba, walcząc z nadwagą i cukrzycą.

Kochana Wandzia, zawsze można było na nią liczyć. Nie skomentowałam, wzięłam łyżkę kremu, tym razem spod spodu, czekoladowego z rodzynkami.

– Trwaj, chwilo – powiedziałam z pełnymi ustami. – Jesteś…

– Przestań! – przerwała mi gwałtownie.

– O co chodzi?

– O to, że nie jestem przesądna, ale ten cytat… Trzeba naprawdę nie wiedzieć nic o literaturze, żeby go wypowiadać dla zabawy albo wpisywać do pamiętników z serduszkami. To brama do naprawdę mrocznej historii. I wolę myśleć, że mam jeszcze chwilę, zanim postanowię zaprzedać duszę diabłu w zamian za młodość, miłość i pożądanie.

Krem sułtański nagle zupełnie przestał mi smakować.

– Mówisz poważnie teraz czy żartujesz? – spytałam, żeby powiedzieć cokolwiek, sparaliżowało mnie trochę pytanie, pojawiła się nieprzyjemna myśl, kto tak naprawdę jest reżyserem całej tej przygody. I czy aby nie traktuję jej lżej, niż powinnam.

– Zawsze mówię poważnie.

I taka to rozmowa z Wandą. Postanowiłam zmienić temat, opowiedziałam jej o swoich przygodach po szkole, starając się wysondować, o co w ogóle chodzi z tymi „kłosami", i wywnioskowałam tyle, że to jakiś ruch polityczny, który przeciwstawia się zbliżeniu z Europą, chcąc stworzenia Unii Słowiańskiej. Zaskoczyło mnie, że Wanda wydaje się ich sympatyczką, ponieważ na tyle długo żyję, żeby wiedzieć, że każda „unia słowiańska" to po prostu moskiewska agentura, tak było i tak będzie na wieki wieków, amen. Wandzie to nie przeszkadzało, wypowiadała się o nich z sympatią, opowiadając o socjalistycznych zdobyczach w Czechosłowacji i na Węgrzech, za to o mojej szkole mówiła z rezerwą i w ogóle zauważyłam dystans do tego całego sfrancuzienia, które mi kompletnie, jako frankofilce od kołyski, nie przeszkadzało. W pewnej chwili spytałam:

– A wieża na Pradze? Też ci przeszkadza?

– Pałac przyjaźni? Betonowy szpikulec widoczny z każdego miejsca i dziurawiący panoramę Warszawy? Nie, dlaczego miałby mi przeszkadzać?

– Wieżę Eiffla też dobrze widać.

– Ale sami ją sobie zbudowali.

– Statuę Wolności podarowali nowojorczykom i jakoś nie słyszę, żeby Amerykanie ją chcieli zatopić.

Wanda upiła łyk swojej herbaty miętowej.

– Grażka, ja naprawdę cenię to, że byłaś żabofilką, zanim to się stało oficjalną religią państwową. Ale powiem ci, że przed pierwszą wojną na placu Saskim stała ogromna prawosławna cerkiew, sobór Świętego Aleksandra. Wspaniała, naprawdę piękna świątynia, a obok dzwonnica, że hej, najwyższa budowla w Warszawie. I tę piękną atrakcję turystyczną po wojnie rozebraliśmy. Wiesz

dlaczego? Bo to nie była świątynia, tylko uzda założona Polakom przez cara.

– Burzyć każdy potrafi.

– Cenię twoję pięknoduchostwo, wtedy też zresztą różni wrażliwcy i artyści protestowali, że sztuka, mozaiki, świątynia. Chciałabyś mieć uzdę, choćby była wybijana diamentami? Łatwiej by ci było znieść, że ktoś za nią szarpie?

– Ja nie, ale ty, widzę, tęsknisz.

Spojrzała na mnie wrogo.

– Wybacz, ale nie rozumiem tego żartu.

Roześmiałam się. Boże Jedyny, jednak starość ma swoje zalety, ile ja takich rozmów odbyłam przy wódce i winie.

– Wanda, to nie jest żart. Myślisz, że twoja Unia Słowiańska to co to jest? Federacja dumnych ze swoich tradycji niezależnych państw? Ja nie muszę się nimi interesować, żeby wiedzieć, że to jest Moskwa, Moskwa i jeszcze raz Moskwa.

– Wybacz, ale powtarzasz propagandę. Zauważyłam, że ci się nasila, odkąd pracujesz w Efie. – Machnęła łyżeczką w stronę okna. – Stara śpiewka, że jak ktoś nie popiera Inżyniera i nie popiera Francji, to przyjdzie straszna Moskwa i nas pożre. Nie straszcie nas Moskwą, bo to już nie działa.

– Jasne. Dopuść ich do głosu i koło Dworca Głównego będziesz zaraz miała Pałac Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina i defilady ludu pracującego. Gwarantuję.

Akurat z tego dowcipu bardzo byłam dumna, ale Wanda się nie zaśmiała, patrzyła na mnie bardzo uważnie.

– Jesteś inna – powiedziała po chwili. – Nie wiem, o co chodzi, ale jesteś inna. Przed chwilą myślałam, że to ta twoja szkoła cię zmieniła, ale nie, to coś więcej.

Ciarki przeszły mi po plecach. Z jakiegoś powodu czułam, że Wandzie nie mogę wyjawić prawdy.

– Wiele osób uważa dojrzewanie za niefortunną zmianę status quo – powiedziałam po chwili milczenia. – Nie sądziłam, że jesteś jedną z nich.

Pokiwała głową, jak zwykle bez cienia uśmiechu.

– I znowu powtarzasz propagandę. Mam nadzieję, że bezmyślnie. Inaczej musiałabym uwierzyć, że masz w sobie pogardę dla tego defilującego ludu, o którym z takim pobłażaniem mówisz. Pamiętaj, że wiele osób w historii się na tym przejechało. Ja nie wiem, czy wy razem z Inżynierem macie rację, ale wiem, że lud tego nie chce. Nie chce sfrancuzienia, bo to ludowi śmierdzi elitą, panem ze dworu, folwarkiem, wyższością i arogancją. Na pewno nie chce zbliżenia z Niemcami. I nie chce, żeby mu powtarzać, czego się musi wstydzić. Unia rozumie, że lud potrzebuje idei i potrzebuje dostrzeżenia. I daje im dumę z ziemi, z tradycji, z wiary ojców, ze słowiańszczyzny. A wy, Grażka? Co powiecie, kiedy się zameldują z kosami na sztorc pod waszymi modernistycznymi gmachami?

Przynajmniej mi przypomniała, jak się ten styl w architekturze nazywał.

– Wanda, nie mam ochoty się kłócić nad kremem sułtańskim – odparłam, zdrapując resztki deseru ze ścianek pucharu. – Ale obawiam się, że czasy, kiedy byliśmy wspaniałym wolnym rumakiem, przeminęły razem z Zygmuntem Starym. Teraz jest jak jest i mając do wyboru Paryż i Moskwę, wybieram Paryż. I przynajmniej się wprost do tego przyznaję. Bo innego wyboru nie ma. Ty mówisz, że wiara przodków, samodzielność, wolność, potęga, „Międzymorze”, ale prawda jest okrutna: jeśli nie mówisz „Paryż”, to mówisz „Moskwa”.

Wanda pobladła. Śmieszne, zapewne przez to, że młodo umarła, musiałam jakoś wyidealizować jej obraz. Poważne miny brałam za mądrość, wyświechtane frazesy za cięte riposty, podziwiałam ją szczerze, jak młodsza siostra zapatrzona bezkrytycznie w starszą. Teraz czułam jedynie złość. Ty głupia kuro, miałam ochotę krzyknąć, opowiedzieć ci o antysemickich czystkach, o strzelaniu do robotników, o stanie wojennym, o zamykaniu ludzi w więzieniach za poglądy, o cenzurze, prześladowaniach, wszechmocnej tajnej policji, śmierci księdza Popiełuszki, o radzieckich wojskach, o biedzie tak strasznej, że codziennie płakałam w drodze do sklepu i płakałam nad patelnią, smażąc dziecku piąty dzień makaron na oleju i słysząc, jak mnie zapewnia, że to jego ulubione danie. Unia Słowiańska, tradycja przodków i wiara ojców, dlaczego ten

nieszczęsny naród się zawsze na to nabiera, co to za klątwa w ogóle jest, co za ziemia przeklęta?

– Mocne słowa – wycedziła w końcu.

– Tylko prawdziwe, w stronę mocnych nawet nie spojrzałam. – Uśmiechnęłam się do niej słodko. – I weź się uśmiechnij, jesteśmy dwiema przyjaciółkami na kawie, nie planujemy przy tym stoliku przyszłości Europy, to nie Jałta. Nie możemy o ciuchach pogadać? O perfumach? O muzyce?

Oczywiście się nie uśmiechnęła, jak to Wanda.

– Ostatnia uwaga – powiedziała. – Pałac ma trzy kolory, choć przecież powinien mieć pięć: bleu, blanc, rouge, biały i czerwony. Pamiętasz, jak uzasadniali, że są tylko trzy?

Zaprzeczyłam.

– Że przecież biały i czerwony już są we fladze Francji. Tak się skończy ten sojusz. Zostaniemy kolonią, stracimy tożsamość, tradycję, język. Tego chcesz?

Mogłam dyskutować, że jak na razie mimo usilnych starań polska tożsamość zawsze wypływała na wierzch i pewnie razem z karaluchami przetrwa wojnę atomową, a z francuskich kolonii to w końcu chyba tylko Korsykę utrzymali, ale zamiast tego odpowiedziałam:

– Za spokój, bezpieczeństwo, brak wojny i dobrą wołowinę? Bardzo chętnie.

Wymęczyła mnie ta rozmowa. Miałam ochotę gawędzić o codziennych bzdurach, zamiast tego wdałam się w jakieś polskie jęczenie, tylko wódki i jajek z majonezem brakowało, żeby dopełnić ten jałowy obraz. Wściekła byłam, że się na własne życzenie dałam w to wmanewrować, nie wiadomo, czy się jutro w XXI wieku jako stara baba nie obudzę, a zamiast korzystać z życia, dyskutuję o Polsce, jakby lepszych tematów nie było. A gówno mnie to obchodzi wszystko, myślałam, skręcając z Bulwaru pod kolumnadę i wchodząc w aleję Niepodległości. Nie mój cyrk, nie moje małpy, ja tu muszę znaleźć Ludwika i się z nim rozmówić.

I wtedy go zobaczyłam, siedział w kiczowatej orientalnej restauracji, tuż przy witrynie, patrzył maślanymi oczami na swoją żonę i głaskał ją po dłoni. No i weź tu chłopa zostaw choć na jeden dzień. Nawet nie wiedziałam, czy bardziej jestem wściekła, czy zdziwiona. Chyba zdziwiona, prawdę mówiąc, spodziewałam się raczej tego, że z załzawionymi oczami stoi na Wilczej pod drzwiami i czeka, aż się pojawię i mu łaskawie przebaczę. A zadziwić partnera po pięćdziesięciu latach małżeństwa, no nie jest to proste.

Stałam tak przez chwilę, zastanawiając się, co właściwie mam zrobić, kiedy odwrócił w końcu wzrok od żony i spojrzał na mnie. Wyraz jego twarzy pomógł mi podjąć decyzję, szybko weszłam do pachnącej przyprawami knajpy, dobiegłam niemal do ich stolika. Iwona wywróciła oczami i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

– Przymknij się, kochanie, bo to, co mam do powiedzenia, bardzo ci się spodoba – wysyczałam.

– Grażyna…

– Ty też się zamknij. To po pierwsze. Po drugie, nie próbuj mnie nachodzić, szukać, odwiedzać, wysyłać do mnie listów, zostawiać wiadomości. Jak spróbujesz, pójdę na policję i powiem, że mnie zgwałciłeś na terapii, złożę skargę do tego twojego towarzystwa wariatów ze śmiesznymi bródkami. Dopóki tu jesteśmy, nie chcę mieć z tobą żadnego kontaktu. Żadnego! Żegnaj, drogi Ludwiku, to koniec.

18

Jest taki stary dowcip: jak się kochają jeże? Ostrożnie. Często myślał po siedemdziesiątce, że starzy ludzie są jak jeże. Przynajmniej jeśli chodzi o ars amandi. Trochę dlatego, że z biegiem lat czułość wypiera pożądanie, w każdym zbliżeniu jest więcej tkliwości, spokojnego przytulania i doceniania bliskości z drugą osobą – a mniej zwierzęcej kopulacji, szukania przecinki w lesie w czasie wyjazdu na wakacje, żeby bzyknąć się na mchu i potem narzekać na ukąszenia mrówek. Ale też dlatego, że stare ciała wymagają ostrożności. Nie dla zwyrodniałych stawów biodrowych lubieżne

rozkładanie nóg albo obejmowanie partnera udami, nie dla wypadających dysków dzikie ujeżdżanie, nie dla hodowanych przez dekady gastrobrzuchów pokładanie się na kruchej partnerce z osteoporozą. Człowiek uczy się, że dotyk, bliskość ciał, pocałunki mogą być tak samo ważne.

Z takim bagażem doświadczeń położył się koło swojej żony – kiedy już się okazało, że mimo wszystkich ostatnich wydarzeń mu na to pozwala – którą kiedyś porzucił nie tylko dlatego, że się szaleńczo zakochał, i nie tylko dlatego, że za słabo podkreślała swoją kobiecość i piekła niewystarczającą ilość ciast w niedzielę, ale też dlatego, że miał ją za kobietę oziębłą. Co podkreślił na rozprawie rozwodowej i czego nigdy mu nie wybaczyła, sama przekonana, że czasami ludzie się rozstają, cóż, bywa, ale przecież nie zwalnia ich to z obowiązku zachowania elementarnej przyzwoitości. Wstydził się tego przez resztę życia, wspomnienie wróciło właśnie w łazience, kiedy szczotkował swoje – naprawdę swoje! – zęby. Obiecał sobie, że jeśli znowu się rozwiodą, to tym razem postara się, żeby przez resztę życia byli przyjaciółmi, ponieważ – teraz to wiedział – jego pierwsza żona była naprawdę bardzo fajna. Iper git, jak mówiła podsłuchana na ulicy młodzież.

Do swojego młodego ciała przywykł momentalnie, zgodnie z zasadą, że do dobrego człowiek szybko się przyzwyczaja. Wiadomo, nikt w dużym mieszkaniu nie chodzi w kółko po jednym pokoju, bo kiedyś miał kawalerkę, i nikt nowym samochodem nie wyprzedza wolniej, bo poprzedni ledwo się wlókł. Ale jak ktoś rzucał ręcznik na podłogę, to dalej będzie rzucał, a jeśli nie włączał kierunkowskazów – to się w nowym aucie nie zmieni. Sprzęt to jedno, a przyzwyczajenie – drugie.

Ludwik, który wkładał właśnie swojej żonie rękę pod satynową halkę, miał nowy sprzęt, ale przyzwyczajenia stare, na dodatek mocno był stremowany; po pięciu dekadach seksu z jedną kobietą czuł się trochę jak wtórny prawiczek. Przez tremę i nawyki staruszka docierał do swojej żony cierpliwie, pieszczotliwie i ostrożnie, co doprowadziło ją do jęczącego, wrzeszczącego, burzliwego orgazmu, a nawet – jak mu rano przyznała – do dwóch orgazmów jeden po drugim.

Zasypiał zawstydzony. Przeżył bardzo długie życie, przekonany, że dopasowanie seksualne jest podstawą zdrowego związku, napisał nawet kilka artykułów na ten temat. Tak też myślał o tym, co spotkało go w latach sześćdziesiątych, kiedy to zamienił oziębłą żonę na kobietę, na której punkcie szalał przez kolejne pięć dekad. Biologii się nie oszuka, tłumaczył studentom, pożądanie to sposób, w jaki mózg odpowiada na wszystkie przeanalizowane sygnały: kształt, kolor, zapach, gesty idealnej partnerki. Idealnej, ponieważ natura dobiera zestawy genów dla swojego dobra i możemy ją oszukać intelektem, ale jedyne, co osiągniemy w ten sposób, to niedopasowanie, konflikty i narastające problemy psychiczne.

Tyle teoria. Praktyka pokazała, że zwyczajnie poszedł na łatwiznę, ponieważ nigdy nie zadał sobie trudu, aby odkryć, jak jego żona chce się kochać.

Czyżbym wylądował tutaj po to, żeby naprawić błędy przeszłości?, pomyślał i usnął, wtulony w szczupłe, piegowate plecy.

19

Czyżbym wylądowała tutaj po to, żeby naprawić błędy przeszłości?, zastanawiałam się, leżąc na łóżku z rozłożoną przed nosem książką dla dzieci. Może nie chodzi o żaden urlop od małżeństwa, ale o przeżycie swojego życia jeszcze raz, tak jak naprawdę powinno być przeżyte? Zwłaszcza że Ludwik mi to ułatwia, de facto porzucając mnie na dzień dobry. Czy potrafię dać sobie radę bez niego? Czy po tych wszystkich latach jestem w ogóle zdolna kochać innego? Czy też drugie życie będzie dla mnie oznaczało jedynie samotność i tęsknotę?

Nie były to wesołe myśli, stale się w nich mieszała mdląca złość na Ludwika, strach przed nieznanym, tęsknota za poprzednim życiem i ekscytacja związana z tym, co może przynieść jutro. Wszystko razem dość wyczerpujące, postanowiłam więc uciec do *Inżyniera i chłopca z przyszłości*. Książeczka była hagiograficznym badziewiem w stylu asortymentu poczty z XXI wieku, gdzie dzieci muszą połączyć kropki, aby ujrzeć Jana Pawła II albo żołnierza

wyklętego. Uznałam jednak, że znajdę tam garść podstawowych informacji o powojennej historii Europy.

Otóż płowowłosy Janek żyje sobie w Warszawie 2012 roku, świecie tysiącpiętrowych wieżowców, latających samochodów i obozów harcerskich na Księżycu i właśnie podczas takiego obozu nasz niesforny chłopak korzysta z wehikułu czasu, aby zdobyć sprawność „badacza dziejów ojczystych". Dalsza część książki składała się z kilku bogato ilustrowanych spotkań Janka z „Inżynierem", bo tak tutaj nazywano Eugeniusza Kwiatkowskiego, i to właśnie przygody obecnego prezydenta pokazywały Jankowi, jak to się zaczęło, że Polska stała się taka wspaniała.

Najpierw Janek wylądował w czasach przedwojennych, kiedy niestrudzony inżynier Kwiatkowski budował Gdynię i opowiadał chłopcu, że tylko otwarcie na morze pozwoli Polsce stać się światową potęgą, bardzo to było wizjonerskie i romantyczne. Potem, jak to u nas, ciemne czasy: trwa wojna, smutny Kwiatkowski siedzi w Rumunii, pisze grube książki i opowiada chłopcu, jak Niemcy zamordowali jego syna. Ale nawet wtedy patrzy w przyszłość i mówi, że Polska będzie wolna i potężna.

Wciągnęłam się nawet, książka napisana była tak sobie, ale miała wspaniałe ilustracje, mocno zgeometryzowane i uproszczone zgodnie z duchem epoki, naprawdę sugestywne, świetnie się to oglądało.

Na przykład czas tużpowojenny artyście naprawdę wyszedł. Widziany od tyłu, pochylony nad stołem Kwiatkowski pokazuje plan wybrzeża, a naprzeciwko niego stoją srodzy, groźni, brzydcy i wąsaci komunistyczni działacze, na ścianie portret Stalina, wszystko w czerniach i czerwieniach. Kwiatkowski pyta, dlaczego mu nie ufają, przecież odbudował Gdynię, najszybciej stanęła na nogi ze wszystkich polskich miast. Tłumaczy, że teraz trzeba szybko stworzyć związek miast morskich, otworzyć Polskę na świat, na handel, na wymianę myśli. Na co komuniści wybuchają śmiechem: „Świata wam się zachciało, towarzyszu, cha, cha, cha". A mały Janek, schowany za kotarą, obserwuje to wszystko z trwogą.

Wanda wróciła z łazienki w szlafroku, zaczęła się krzątać przy kuchni.

– Ziółka sobie robię, chcesz coś? – zapytała.
– Herbaty. Mamy może białą?
– A w ogóle istnieje taka? – Autentycznie się zdziwiła.
– Żartuję, czarną.

Myślałam. Czyli to nie w czasie wojny coś się zadziało, tylko po. Z książeczki wynikało, że komuniści normalnie się zainstalowali w Polsce, a więc do pewnego momentu wszystko szło po staremu. Wojna, Zagłada, powstanie, konferencje w Jałcie i Teheranie, Lwów w ZSRR, Wrocław w Polsce. Bardzo ciekawe. Czy w mojej wersji historii Kwiatkowski też brał udział w komunistycznym urządzaniu państwa? Jako taki listek figowy, że niby czerwoni to kontynuacja przedwojennej władzy? Cholera wie, nie mam tutaj żadnego sposobu, żeby to sprawdzić.

Następnie Janek wylądował w 1947 roku, musiała to być ważna data, bo podano ją w całości: 19 stycznia. Tym razem wszystko monochromatyczne, polska beznadzieja, śnieg, łyse drzewa, szare chałupy pod szarym niebem. Janek patrzy, jak szarzy ludzie stoją w kolejce do głosowania, a potem demoniczni, rzucający długie cienie komuniści wrzucają ich kartki z głosami do wielkiego pieca. Narrator: komunistyczny rząd oszukał Polaków. Wyczerpani wojną, biedą, głodem i ostrą zimą ludzie nie mieli siły protestować. Czyżby nie znalazła się na świecie ani jedna osoba wystarczająco odważna, żeby walczyć o wolną Polskę?

Podejrzewałam, że pytanie było retoryczne, i faktycznie już na następnej stronie wróciły kolory. Inżynier Eugeniusz Kwiatkowski, wysoki i wyprostowany, z ogniem w oczach stoi na plaży we francuskim Hawrze, za nim jakieś kwadratowe bloki jak ze Stalingradu. „Przyjechałem tu, żeby zobaczyć, jak odbudować Polskę. A zrozumiałem, że najpierw musimy ją ocalić”.

Potem salon w mieszczańskiej francuskiej posiadłości, Kwiatkowski siedzi przy stole z de Gaulle’em, na stoliku butelka koniaku. Tak się zdarzyło? Naprawdę szukał u niego pomocy? Tego już chyba w mojej wersji historii nie było, takie wydarzenie na pewno by się przechowało jako doniosłe, nawet jeśli bez znaczenia. Czyli to musi być moment zwrotny historii. Nie druga wojna, nie

ustalenia Churchilla ze Stalinem, tylko sfałszowane wybory w 1947 roku.

Ilustracja na całą rozkładówkę. Rozświetlony słońcem Paryż, w tle wieża Eiffla, na podwyższeniu ustawionym symbolicznie na place de Varsovie stoi przy mikrofonie de Gaulle, krok za nim Kwiatkowski. Nad zgromadzonym tłumem powiewają polskie i francuskie flagi, widać las obiektywów aparatów i kamer, płowowłosego Janka trzyma na barana jakiś wąsaty Francuz w czarnym berecie. W komiksowym dymku de Gaulle grzmi: „Nous ne laisserons pas les Polonais seuls face à la barbarie soviétique ! Vive la Pologne dans l'Europe!".

W tekście zostało dodatkowo wytłumaczone, że oprócz wypowiedzenia „najważniejszego zdania w dziejach Polski" de Gaulle odwoływał się jeszcze do swojej walki z Sowietami w Bitwie Warszawskiej i że jego postawa porwała wszystkie kraje wolnego świata, które zgodnie zażądały powtórzenia wyborów w Polsce. Gdyby nie wizyta wielkiego Polaka u wielkiego Francuza, mały Jasio na pewno w 2012 roku byłby Iwankiem. Mniej więcej.

Wanda przyniosła mi herbaty i usiadła na skraju łóżka. Widziałam, że nie czuje się komfortowo ze wspomnieniem wcześniejszej kłótni, i szuka sposobu, żeby się pogodzić. Rozumiałam ją, też mi było głupio, awantury o politykę między zwyczajnymi ludźmi zawsze uważałam za najbardziej nonsensowne.

– Nie wolisz przeczytać normalnej książki od historii?

– Uczennice mnie czasami o coś pytają, chciałam sobie przypomnieć wszystkie najważniejsze daty bez kartkowania pięciuset stron. Dziś mnie jedna zapytała – postanowiłam zaryzykować – dlaczego wtedy w 1947 nie doszło do wojny nuklearnej, skoro to była taka awantura między mocarstwami?

Wanda wywróciła oczami.

– Sama widzisz. Skoro ta młodzież jest głupsza, niż się wydaje, uznałam, że sięgnę po jakieś opracowania dla dzieci, podłapię zrozumiały dla nich styl. Żeby nie używać pojęć typu „napięcie międzynarodowe" i „gra o strefy wpływów", tylko… – Przekazałam jej pałeczkę, mając nadzieję, że dokończy.

– Tylko… – odchrząknęła i obniżyła głos – …drogie dziewczynki, wtedy wujaszek Stalin nie miał jeszcze atomówki, a jak zaczął się awanturować, to inni dobrzy wujaszkowie powiedzieli mu, żeby przestał, bo inaczej mu nawrzucają atomówek do ogródka, a na co komu tyle sprzątania.

W myślach zaklaskałam w rączki z radości. Czyli o to chodziło. Nie miałam pojęcia, że wtedy Związek Radziecki nie posiadał jeszcze broni jądrowej, byłam przekonana, że to zimnowojenne szachowanie się nawzajem arsenałami zaczęło się zaraz po czterdziestym piątym. Wygląda na to, że Polska przypadkiem wykorzystała chwilową nierównowagę sił do korekty swojej sytuacji. A potem zbliżenie z Zachodem, zapewne plan Marshalla i poszło z górki.

– Nie przepadasz za Kwiatkowskim? – zapytałam.

Wanda zrobiła falisty ruch dłonią, że trochę tak, a trochę nie.

– W pięćdziesiątym szóstym pierwszy raz mogłam głosować i oczywiście głosowałam na niego jak wszyscy. To było po jego pierwszej kadencji. W końcu zapanował spokój, wszyscy pamiętali jeszcze wcześniejszy koszmar, kiedy nikt się z nikim nie mógł się dogadać, zabójstwo Mikołajczyka, chcieliśmy, żeby dalej rządził mąż opatrznościowy, który najpierw zbudował, a potem odbudował Polskę. Kochałam go, jak wszyscy. Dobry, spokojny, mądry, był spełnieniem marzeń o mężu stanu.

– Uważasz, że nim nie jest?

Uśmiechnęła się.

– Szczerze? Myślę, że to jedyny mąż stanu w historii naszej ojczyzny w ogóle. Tylko nie mów nikomu, bo mnie wyrzucą z Unii. Chcę, żeby w dobrym zdrowiu dotrwał do końca kadencji, a potem przeszedł na emeryturę i był szczęśliwy. Tylko uważam, że ceną za bezpieczeństwo nie może być wyrzeczenie się polskości. Tysiąc lat budowaliśmy te tradycje, walczyliśmy o nie ze wszystkimi, przenosiliśmy z pokolenia na pokolenie, nawet jak Polski nie było na mapie. Tyle osób oddało za to życie i teraz co? Mamy z tego zrezygnować z własnej woli? Rozpuścić się w jakimś europejskim sztucznym tworze, czyli tak naprawdę dać się zwasalizować Francji

i Niemcom? Przecież to potężne cywilizacje, nigdy nie zaakceptują nas na równych prawach.

– Nie boisz się, że alternatywą jest, wiesz. – Wskazałam ręką w stronę Wisły, na wschód.

– Boję się. Dlatego pewnie nie chciałabym, żeby Unia nagle sama rządziła i zrobiła tutaj słowiańsko-katolicki raj. Ale uważam, że zwyczajna tradycyjna Polska powinna mieć swoją reprezentację. Tak dla zdrowia. I nie kłóćmy się więcej o takie bzdury, bo to życia szkoda, a kto wie, ile go mamy tak naprawdę? Może kilka dekad, może kilka dni.

Przytuliłyśmy się do siebie mocno.

Marzec

1

Boże Jedyny, ależ to było przyjemne. Jako stara baba za bardzo się nie wczytywałam w swoje wyniki badań krwi, po co ma się człowiek denerwować, ale wcześniej, kiedy byłam młoda, piękna i zdrowa, czyli jakoś tak do sześćdziesiątki, uwielbiałam rytuał pobierania krwi i czekania na wyniki, żeby dowiedzieć się, jak bardzo jestem zdrowa i jak bardzo mam każdy wskaźnik w normie. Prawie każdy, ponieważ niezmiennie i u mnie, i u każdej osoby, z którą rozmawiałam, jeden wynik był zaniżony tak absurdalnie, że wyglądało to na jakiś błąd pomiarowy. Witamina D. Bardzo ważny składnik organizmu, walczy z chorobami, zapobiega grypie, nowotworom i próchnicy, w ciążę też łatwiej zajść, ambrozja i panaceum w jednym. Człowiek ją sobie bierze ze słońca, wystarcza pół godziny słońca dziennie, żeby witaminę D wytworzyć w wystarczającej ilości. I serotoninę, żeby czuć się dobrze. I melatoninę, żeby lepiej spać. Ależ to natura genialnie wymyśliła – wystarczy wyjść na słońce i człowiek zdrowy, wyspany i szczęśliwy. Szkoda tylko, że nie przewidziała, że jedno z ludzkich plemion w jakimś samobójczym pędzie postanowi osiedlić się w Polsce i będzie tu trwało uparcie w najbardziej kurewskim miejscu planety, gdzie geografia, fizyka i meteorologia sprawiają, że słońca albo zwyczajnie nie ma, albo go nie widać, gdyż jest zasłonięte mokrą, brudną, szarą szmatą. A ludzie chodzą ledwo żywi z wściekłości, ponieważ są jednocześnie niewyspani (niedobór melatoniny), zgorzkniali i smutni (niedobór serotoniny) oraz cierpiący na wieczne katary, przeziębienia i bóle zębów (niedobór witaminy D). Tak naprawdę powinniśmy się wszyscy spakować, wyjechać gdziekolwiek bądź, żeby zażywać szczęścia w słońcu i sprzedać komuś ten mroczny ugór na poligon do testowania broni atomowej. Zwłaszcza że jeśli wierzyć tutejszym gazetom, to wszyscy dookoła

testują broń atomową, więc na pewno przyda im się kilkaset tysięcy kilometrów kwadratowych wolnego miejsca w środku Europy.

Tak sobie właśnie myślałam w drugi dzień wiosny – pierwszy zwiastował raczej nadciąganie wiecznej zimy – leżąc na wznak na betonowym murku pośrodku rozległego szkolnego dziedzińca i wystawiając twarz do słońca, rozkoszując się każdym lądującym na mojej skórze fotonem. Gdybym była sama, rozebrałabym się do naga i tak leżała, ile się da.

– Madame?

Otworzyłam niechętnie oko. Przy mnie stała Józia, znana też jako Żozi, jedna z moich ulubionych uczennic, ta, która na pierwszej lekcji szybko wpadła na to, czym się różni prowadzenie domu od prowadzenia rodziny.

– Tak?

– Madame la directrice vous demande de la rendre visite.

Pokiwałam głową i niechętnie zwlokłam się z murku. Były momenty, kiedy zasady panujące w Efie kompletnie mi nie przeszkadzały, ale zdarzało się, że miałam ochotę rzucić tę robotę. Na niektórych lekcjach, przede wszystkim tych, gdzie chodziło o użyteczną wiedzę i precyzja komunikacji była istotna – na przykład na moich – mówiło się po polsku. Wiedzę humanistyczną przekazywano po francusku, a także we wszelkich kontaktach towarzysko-korytarzowych dziewczęta miały obowiązek używać francuskiego. Nie dotyczyło to kadry nauczycielskiej i pracowników technicznych, w tym szatynek. Niektóre mniej uzdolnione językowo dziewczęta – między innymi Żozi, której udało się zrobić błąd nawet w tym prostym zdaniu – unikały przez to kontaktów i uciekały w chorobliwą nieśmiałość, niestety, bo akurat tę dziewczynę naprawdę uważałam za mądrą i z potencjałem.

– Dziękuję, Józiu – powiedziałam, zeskakując z murku i otrzepując spódnicę. – Zapewne naruszyłam jakiś punkt regulaminu, wylegując się tak po prostu na słońcu, jaki z tego może być pożytek dla przyszłych pokoleń.

Żozi dygnęła i odeszła szybkim krokiem, bez cienia uśmiechu, normalna reakcja wśród uczennic, kiedy się wspomina o regulaminie. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że dyscyplina

w szkole była surowa, przewinienia nie przechodziły niezauważone, a obecność na każdym kroku szatynek przypominała dziewczynkom, co grozi za zejście na złą drogę. Przechodziłam właśnie koło grupy kilku, ubranych w identyczne granatowe dresy. Zgrzane i zdyszane, jak wszyscy nieprzyzwyczajone jeszcze po zimie do normalnych temperatur, przekopywały tę część dziedzińca, gdzie należało przed sezonem ogrodniczym przygotować rabaty. Jak zwykle zatrzymałam się, żeby zamienić trzy słowa o pogodzie, po pierwsze, uważałam, że tak trzeba w ramach walki z podziałami klasowymi, po drugie, szatynki sprawiały wrażenie normalnych, fajnych panien, z jakimi miałam kontakt przez całe życie, przy wepchniętych w mundurki uczennicach z ich skomplikowanym do mdłości formalnym francuskim czułam się często wyobcowana.

Na początku nie miałam pojęcia, o co chodzi z tymi szatynkami, a wstydziłam się zapytać wprost, ponieważ najwyraźniej był to jeden z fundamentów Efu. Długo zajęło mi zrozumienie, że „szatynki" wzięły się od francuskiego czasownika „châtier", czyli „karać". Tak nazywano uczennice, które w wyniku skumulowania najróżniejszych przewin – a system kar i nagród w tej szkole przypominał podręcznik do francuskiej gramatyki – zostały relegowane. Tyle że nie oznaczało to prostego wyrzucenia, pakuj się i do mamy, do widzenia. Kontrakt podpisywany z rodziną przed rozpoczęciem nauki ustalał, że w wypadku relegacji uczennica musiała przepracować w organizacji tyle lat, ile spędziła na edukacji.

Na początku ten pomysł rodem z bajki o smoku i księżniczce wydał mi się dziwaczny, wręcz okrutny. Potem w jakiś sposób uczciwy. Dziewczyny pochodziły z bardzo biednych rodzin, taki był stojący za całym Efem pomysł, żeby zamieniać prowincjuszki w damy i dawać im awans społeczny, na jaki inaczej nie miałyby szansy. Polska wieś, wieloosobowa rodzina, bieda, praca na gospodarce – umówmy się, nawet przy teoretycznie równych szansach te dziewczyny dzielił od cywilizacji ocean błota nie do pokonania. Dostawały szanse i bezpłatną edukację wartą majątek, ale skoro pokpiły sprawę, odpracowanie wydawało się rozsądne wychowawczo. Zwłaszcza że zostawały w mieście, nadal miały

razem z innymi wikt i opierunek, zdobywały może już nie subjonctif, ale bardziej użyteczną wiedzę i na koniec dyplom technika, większość świetnie sobie potem radziła na rynku pracy.

Na dodatek nie było żadnych ograniczeń, które nie pozwalałyby im zadawać się z uczennicami, prowadzić wspólnego życia towarzyskiego, organizowano też specjalne wykłady dla szatynek, aby nie pozbawiać ich edukacji ogólnej. W teorii cały mechanizm wyglądał być może surowo, ale sprawiedliwie i w tym całym układzie – jak to mawiał Ludwik – szlachetnie.

W praktyce czułam się trochę jak w filmie o świecie, w którym szlachetny eksperyment społeczny zamienił się w piekło. Kontakt między szatynkami i uczennicami nie istniał. Nie że zdawkowy, nie że utrudniony, nie istniał – kompletnie. Ludwik pewnie potrafiłby wytłumaczyć ten mechanizm, lubił opowiadać o tym eksperymencie socjologicznym, gdzie uczestników podzielono na strażników i więźniów i szybko wszystko wymknęło się spod kontroli. Fizycznie wyglądały tak samo – wspaniałe, piękne, młode dziewczyny. O różnym typie urody, ale wszystkie zjawiskowe, to pokolenie musiało być niezwykłe, żadnych nie było zezów, krzywych nóg, otyłości, zgarbionych kręgosłupów, to chyba kwestia diety z lat sześćdziesiątych. Może szatynkom ciężko było znieść, że uczennice codziennie przygotowują się do życia w lepszym świecie, którą to szansę one same sobie odebrały? Może uczennicom ciężko było znieść ten widok, przypominający, że w każdej chwili mogą przejść od dyskusji o *Czerwonym i czarnym* do zmywania podłóg na korytarzach i noszenia do pralni bielizny swoich koleżanek?

Nie wiem, coś w tym widziałam niepokojącego, im dłużej patrzyłam na relacje między dziewczynami, tym bardziej uznawałam, że akurat w tym eksperymencie wszystko poszło bardzo nie tak. Trudno uwierzyć – patrząc na umundurowane, ufryzowane panny, mijające spocone, machające motykami niegdysiejsze koleżanki – że ta szkoła powstała, aby niwelować nierówności społeczne.

Szybko przeszłam przez znajomy już labirynt gmaszyska i zameldowałam się u madame la directrice, trochę oswojonej od czasu poprzedniego spotkania. Zgodnie ze stereotypami dotyczącymi

pensji dla panien, madame lubiła się kreować na tyleż oziębłą i budzącą postrach, co sprawiedliwą i przenikliwą pedagożkę, trochę dziewiętnastowieczną guwernantkę, trochę tę starą nauczycielkę z *Harry'ego Pottera*. Proste garsonki, włosy w kok tak ciasny, że powodujący wytrzeszcz, z biżuterii tylko perły, ten typ. Plus te cholerne geny wyższej klasy, wyczuwalne w jej gabinecie jak feromony. Ale, powtarzałam sobie w myślach, to ja przeżyłam prawie osiemdziesiąt lat, rewolucję seksualną, pieprzony PRL i telefony komórkowe, więc niech spada.

– Uczennice przychodzą do sekretariatu w pani sprawie.

Spojrzałam uprzejmie, czekając na ciąg dalszy.

– Uczennice ze starszych roczników. Usłyszały od koleżanek o pani zajęciach i proszą, żeby prowadziła je pani także w ich rocznikach. Przyznaję, że pierwszy raz w mojej karierze się zdarza, żeby nasze panienki prosiły o dodatkowe lekcje.

Może dlatego, pomyślałam, że to jedyne lekcje, gdzie się ich nie karmi seksistowskimi bredniami z podręczników przepisanych ze ścian jaskiń, na których neandertalczycy notowali swoje złote myśli.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że to bardzo miłe.

– Oczywiście poprosiłam, żeby zreferowano mi wyjątkowość pani nauczania, przejrzałam też zeszyty. Uznałam, że jest to zbyt nowoczesne, zbyt pozbawione szacunku dla męża i zbyt przesycone pewnym godnym pogardy cwaniactwem. Uczy pani dziewczęta, jak osiągnąć spektakularne efekty najmniejszymi możliwie kosztami, wynosząc na piedestał własne egoizmy i własne potrzeby. Na jednej z lekcji za cel, jak to pani nazywa, „zarządzania codziennością", postawiła pani możliwość poczytania książki lub spokojnego wypicia kawy w taki sposób, aby nikt się nie zorientował.

No tak, na początku lat sześćdziesiątych takie zarzuty mogły się chyba równać tylko z zabójstwem ze szczególnym okrucieństwem i pedofilią. Czekałam na wyrok. Po prostu zwolnienie, czy połączone z ukamienowaniem? Ciekawe.

– Ma pani męża? – spytała nieoczekiwanie.

Zaprzeczyłam ruchem głowy, z trudem opanowując śmiech. I nagle zatęskniłam za Ludwikiem. Nie jak za mężem, nie jak za kochankiem, tylko jak za najbliższym przyjacielem. Bardzo chciałam

mu opowiedzieć te wszystkie anegdoty, historie, odkrycia poczynione w ciągu ostatnich tygodni. Zobaczyć, jak się zastanawia, usłyszeć, co ma na ten temat do powiedzenia, poirytować się, że psychologizuje i wygłasza wykłady. Posłuchać, co jemu się przydarzyło, nawet jeśli byłyby to relacje z weekendowych wypraw z pierwszą żoną. Naprawdę, po raz pierwszy na myśl o tym poczułam nie wściekłość, tylko ciekawość. Jedyna na tym świecie osoba, która może mnie zrozumieć, czy naprawdę powinniśmy brnąć w „bo ty zawsze, bo ty nigdy", niezależnie od tego, czy jesteśmy ze sobą, czy nie?

Uznałam, że chrzanić pretensje i żale, dziś do niego pojadę.

– Ja mam – powiedziała takim tonem, jakby przyznawała się do śmiertelnej choroby. – I może ministerstwo mnie za to zwolni, ale chciałabym złożyć pani propozycję. Proszę się zastanowić, czy nie chciałaby pani wziąć też wykładów w dwóch starszych klasach. Oczywiście rozumiem, że to więcej pracy, oczywiście otrzymałaby pani stały kontrakt i większą pensję, załatwilibyśmy też ostatecznie i od ręki właściwie sprawę mieszkania, udzieliłabym odpowiednich referencji, aby łatwiej pani poszło w Reżimie, zazwyczaj personel szkoły jest traktowany priorytetowo.

Zaskoczyła mnie, wybąkałam uprzejme podziękowania, oczywiście akceptując ofertę, zanim zdążyła zamknąć usta po ostatnim zdaniu. Nieważna ilość pracy, w wolnych chwilach mogę nosić bańki z mlekiem i kłaść papę na dachu, byleby mieć własny kąt. Wiem, mówiłam wcześniej, że czas spędzony na Wilczej z dziewczynami to najlepsze lata mojego życia, i płakałam ze wzruszenia, ale widać tak samo jak jest czas na miłość, tak samo jest czas na przyjaźń. Opowiem jeszcze o tym, ale przede wszystkim walka o łazienkę była codziennym, budzącym grozę upokorzeniem.

– Chciałam też z panią porozmawiać o jednym wydarzeniu, wcześniej się nie złożyło. Profesor Chmielecka opowiadała o niecodziennej sytuacji w jej klasie macierzyństwa.

Tak jest, tak tutaj nazywało się dla niepoznaki wychowanie seksualne. Czemu od razu tego nie nazwali „przygotowaniem do hipokryzji"?

– Bardzo przepraszam, doszło do nieporozumienia w pokoju nauczycielskim… – Byłam gotowa na każde kłamstwo i każdą samokrytykę, byle tylko nie stracić nadziei na mieszkanie, ale madame przerwała mi spojrzeniem. Naprawdę to potrafiła.

– Skąd u pani taka wiedza z zakresu seksualności?

– Mieliśmy wykłady na studiach, to znaczy takie otwarte, koleżanka mnie zaciągnęła, bo się interesowała medycyną, prelegentka opowiadała właśnie takie rzeczy. – „Takie rzeczy", podkreśliłam w sposób niepozostawiający wątpliwości, że pełna jestem dystansu do tych wszystkich orgazmów i w ogóle, durne feministyczne wynalazki, tylko błagam, błagam, proszę nie zapominać o mieszkaniu.

– Jak się nazywała ta prelegentka?

– Michalina Wisłocka – wypaliłam, od razu tego żałując, spokojnie mogłam przecież zasłonić się niepamięcią. Pozostaje mieć nadzieję, że po pierwsze taka osoba w tej rzeczywistości w ogóle istnieje, a po drugie nie pochrzaniły mi się daty i Wisłocka faktycznie jest już praktykującą lekarką, a nie studentką czy co gorsza licealistką gdzieś na prowincji.

Madame zanotowała nazwisko.

– Tamten pani krótki wykład też został zapamiętany. Jeszcze wrócimy do tego. Być może – spojrzała na zalany słońcem Bulwar za oknem, widok był spektakularny – być może w tym temacie też powinniśmy dopuścić nowe idee, choć myślę, że to może napotkać opór z drugiej strony. – Mówiąc to, popukała palcem w grubą księgę, leżącą przed nią na biurku, która z mojej perspektywy wyglądała jak elegancki katalog sklepu wysyłkowego.

Nie miałam pojęcia, o jakiej drugiej stronie mówi, więc potaknęłam uprzejmie. Myśląc już tylko o tym, że muszę zobaczyć się z Ludwikiem. Tęskniłam za tym starym dziadem jak jasna cholera.

2

To co, panie doktorze, za wiosnę?

– Niech nam żyje jak najdłużej – powiedział i wychylił kieliszek cudownie pachnącego drożdżami bimbru. Zakręciło mu się w oczach, wódka była mocna i prawdziwa. Smakowała jak wódka i śmierdziała jak wódka, nie przypominała żadnych wyrobów z XXI wieku, pozbawionych duszy i smaku destylatów, zmrożonych bezsensownie na olej i robionych z myślą o tym, żeby służyć za bazę przesłodzonych kolorowych drinków. Rozkoszował się chwilę tym, jak alkohol wędruje po jego przewodzie pokarmowym, i zagryzł kiszonym ogórkiem, kwaśnym i twardym. Gdyby istniała gdzieś pierwsza wódczana republika kiszonego ogóra, pan Eugeniusz byłby w niej prezydentem, premierem i szefem każdego ministerstwa.

Parsknął śmiechem. Tak, pierwsza wódczana republika kiszonego ogóra, no może nawet nie trzeba by było takiego państwa wymyślać od nowa.

Siedzieli na dachu swojej korby, na skrzynkach ustawionych między zagonami, opierając się plecami o wentylator w kształcie dużego muchomora i próbując tak się ustawić, aby słońce padało na jak największą powierzchnię ich twarzy. Ludwik w rozpiętej koszuli z podwiniętymi rękawami, pan Eugeniusz w swojej codziennej konsjerżowatej wyniosłości, czyli w garniturze, krawacie i zapiętej pod samą szyję koszuli, z policzkami tak gładkimi i wąsikiem tak wypielęgnowanym, że – Ludwik był tego pewien – musiał golić się kilka razy dziennie.

Siedzieli, pili wódkę, jedli ogórki, słońce grzało, to był dobry dzień i Ludwik poczuł ogarniającą go leniwą błogość, cudowne, lecz rzadkie uczucie, kiedy nie myślimy o wczoraj, o jutrze, o rzeczach do zrobienia, o tym, co byśmy chcieli i czego żałujemy, za niczym nie tęsknimy, bo chwilowo tu i teraz jest nam po prostu idealnie.

Szkoda, że Grażyny tu nie ma, pomyślał.

Choć ona sama pewnie czułaby się skrępowana, waląc wódkę w środku dnia razem z cieciem na dachu budynku. Oboje pochodzili co prawda z awansu społecznego, ale jej wielkopolska rodzina znajdowała się cywilizacyjnie szczebelek wyżej, co innego znaczyło małomiasteczkowe bidne mieszczaństwo w Środzie Wielkopolskiej, a co innego u niego w Ostrołęce. Różnice między zaborami były widoczne w architekturze, średniej ubłocenia i stopniu ogólnego

ucywilizowania, ale przede wszystkim w mentalności. Jej rodzina załatwiała sprawunki w sklepie i chodziła potem na kominki do przyjaciół, gdzie na stole nakrytym haftowaną serwetą stały konfitury i nalewka z jesieni. Jego zakładała gumiaki, żeby nie utonąć w czasie wykłócania się na bazarze, która to wizyta niezmiennie kończyła się spotkaniem znajomych, jedzeniem flaków z gara stojącego na przenośnej kuchni węglowej i piciem wódki na byle jakiej ławce, prowizorycznej i beztroskiej jak cała Europa na wschód od linii Warty.

Dlatego szybko odnalazł się w swojej korbie i nauczył doceniać to, co dla wielu lokatorów było powodem do wstydu i narzekania. Najpierw poznał (trochę dzięki Iwonie, a trochę dzięki wizycie w bibliotece) genezę osiedla, postawionego pod koniec lat czterdziestych na gruzach getta przez Le Corbusiera. To znaczy prawie przez Le Corbusiera, ponieważ początkowy projekt szwajcarskiego architekta został twórczo przetworzony przez nadwiślańską potrzebę chwili i tradycyjny brak szacunku dla przestrzeni. Architekt zaprojektował na terenie całego getta de facto nowe miasto, którego niewielką tylko częścią miały być ogromne „jednostki mieszkalne". Poza tym w projekcie znajdowały się parki, ulice, bulwary, osiedla domków, pawilony handlowe i znowu ulice, dużo ogromnych szerokich ulic. Polacy uznali, że na razie ważne są mieszkania, więc wbrew projektowi i zdrowemu rozsądkowi postawili na niewielkiej części terenu osiedle dziesięciu jednostek mieszkalnych, które w tej liczbie i przy swoich rozmiarach stały się szkaradnym, znienawidzonym przez warszawiaków blokowiskiem.

Sami mieszkańcy trochę się ich wstydzili, trochę z nich byli dumni, trochę kochali wyjątkowe dwupoziomowe apartamenty, ale też klęli na czym świat stoi, ponieważ zrobienie osiedla „tak trochę nie do końca, a potem się zobaczy" zamieniało ich codzienne życie w koszmar. Przede wszystkim brakowało pawilonów handlowych, przez co musiano się zaopatrywać w sklepach na piętrach handlowych poszczególnych bloków. Brzmi niewinnie, dopóki nie uświadomimy sobie, że żaden blok nie miał wszystkiego. Tu spożywczak, tam usługi, tu tysiąc jeden drobiazgów – ta modernistyczna symulacja miejskiej przestrzeni sprawiała, że

mieszkańcy w kółko kursowali windami i klatkami schodowymi między korbami.

Sam Le Corbusier w atmosferze skandalu wycofał się z realizacji, pozwał Warszawę do sądu, a w jednym z wywiadów wymsknęło mu się, że totalna destrukcja i postawienie od nowa to jedyne, na co polskie miasta zasługują, przez co stał się nad Wisłą persona non grata. Historia dość barwna i obfitująca w zwroty akcji, ale korby zostały w pejzażu miasta.

Trójka, czyli oficjalnie Muranowska Superjednostka Mieszkalna Numer 3, w której mieszkał Ludwik, wyróżniała się na tle pozostałych.

Najniższe piętra zostały rozdzielone przez Reżim (jak nazywano miejską dyrekcję zasobów lokalowych) wedle tajemniczych zasad, o których krążyły w stolicy legendy, ponieważ przestrzeń mieszkaniowa stanowiła najbardziej deficytowy towar. O sposobach na zdobycie lokum opowiadano tonem zarezerwowanym dla opowieści o duchach, zaginionych skarbach oraz ukrywanych przez sąsiadów żydowskich przodkach, żadna rozmowa nie mogła się bez nich odbyć.

Jeden poziom przypadł środowiskom naukowym i artystycznym, z naciskiem na młodych naukowców i rozwijające się, przyszłościowe dziedziny badań – tak on z Iwoną dostali swoje mieszkanie.

A dwa najwyższe zostały w ramach wyrównywania szans oddane we władanie społecznym dołom. Oczywiście nie nazwano tego wprost, wszystko zostało ujęte w programy o niemożliwych do zapamiętania nazwach, z których do świadomości ogółu przebił się jedynie termin aszelem (od francuskiego HLM – zakwaterowanie o obniżonych czynszach), szybko przerobiony przez warszawską ulicę na szalom. Ciekawe się wydało Ludwikowi, że właściwie większość socjalnej nowomowy pochodziła z francuskiego, znamienne, że wrażliwość społeczną traktowano jako wartość importowaną, a nie tradycyjnie polską. Tak więc w szalomach mieszkali szomerzy (czyli bezrobotni), smikardzi (pracujący za minimalną pensję), ich rodziny ze wsi, pociotkowie, przyjaciele, tak naprawdę szybko stracono kontrolę nad tym, co się w szalomie albo

na dernierze, czyli ostatnim piętrze, wyprawia, a zostawiona sama sobie ludność stworzyła na dwóch najwyższych poziomach corbusierowskiej utopii mazowiecką wiochę ulicówkę. Właściwie na trzech, ponieważ dach szybko stał się połączeniem szklarni, ogródka, podwórka, budki z piwem i przestrzeni wspólnej.

Korbiarze (jak nazywano mieszkańców osiedla) podzielili się w ocenie zjawiska. Część była pełna odrazy do „patologii", ale większość zaakceptowała taki stan rzeczy jako naturalny i zazdrościła mieszkańcom „trójki" szalomowców, których sąsiedztwo oznaczało łatwy dostęp do świeżych jaj, pomidorów, bimbru i w ogóle wprowadzało pewien hałaśliwy syf i rozpiździel, który nadawał całemu projektowi cechy swojskości.

Ludwik odnalazł się w tym momentalnie, szybko zrozumiał rządzące społecznością zasady i wsiąkł w blokową tkankę społeczną, ucząc się, gdzie jajka, gdzie bimber, czyim dzieciom pomóc w lekcjach i z kim zamienić dwa słowa. Szalomowcy odwdzięczyli się szacunkiem i zaufaniem, w ogóle lubili całe piętro artystyczno-naukowe, sympatia wynikała z zainteresowania zarezerwowanego przez lud dla baby z brodą, bo mniej więcej w tej kategorii umieszczali dziwaczne profesje, reprezentowane przez lokatorów tej kondygnacji. Psychologa na przykład.

– A słyszał pan, panie doktorze, o nowych na drugim piętrze?

Zaprzeczył, myśląc, że oto nadchodzi kolejna reżimowa historia o krokodylu w kanałach.

– Coś z pana specjalności.

Spojrzał pytająco.

– Historia o prawdziwym szaleństwie. – Pan Eugeniusz opowiadał głosem konferansjera z teatru grozy. – I to z każdej strony. Poprzedni to Kornikowie, mili zwyczajni ludzie, mąż, żona, trójka dzieci, on na Siekierkach w elektrowni pracował, ona w domu, wiadomo. Miła, serdeczna, trochę cicha, niby wszystko normalnie, ale oczy miała takie czarne, puste, aż dreszcz człowieka przechodził. Potem się dowiedziałem, że ona – zawiesił głos i wychylił kieliszek, Ludwik swój tylko do połowy, jeszcze miał jedną terapię wieczorem – Warmiaczka.

Ludwik pokiwał głową ze zrozumieniem, różne nieszczęścia po ludziach chodzą, cóż zrobić. Pokiwał leniwie, wódka i słońce sprawiły, że ogarnęła go senność.

– Mijały tygodnie, miesiące, mąż pracował, dzieci rosły, a jej twarz robiła się coraz bledsza, włosy coraz bardziej czarne, jak się tak codziennie siedzi na konsjerżu, to wszystko widać, dokładniej, niżby się chciało, tak powiem. Przyszedł czas, że jak ją widziałem, to się żegnałem ukradkiem pod biurkiem, szpilkę wkładałem do krawata czerwoną, taką mam z masy perłowej, rozumie pan.

– Na złe oko.

– Ewidamentnie, jak to młodzi mówią. Nie twierdzę, że to jej wina, nawet na dobrą osobę z pruskiej ziemi pogański urok może przeskoczyć, tak powiem. I coś tam było na rzeczy, coraz mniej ją widziałem i coraz rzadziej, i nagle… – Pan Eugeniusz zawiesił głos na tak długo, że Ludwik musiał otworzyć przynajmniej jedno oko, żeby okazać zainteresowanie – …się wyprowadzili.

– No wie pan, czegoś bardziej się spodziewałem.

Pan Eugeniusz uniósł dłonie w geście „panie, panie, to jeszcze nie koniec”. Na tle abstrakcyjnej betonowej rzeźby, która miała uatrakcyjniać ogród na dachu, wyglądał na proroka dziwnej religii, nauczającego mazowiecki lud.

– Gdzie się wyprowadzili, pan spyta.

– Pytam.

– Na Warmię wrócili. Do szpitala dla obłąkanych. Z czerwonej cegły, z wieżami i murami, jak to w Prusiech. Nie szpital, tylko dom duchów, zamczysko przeklęte, mówię panu, kuzynce przyjaciółka opowiadała, że tam w czasie wojny eksperymenty robili, krzyki się niosły po jeziorach całe noce takie, że ludzie chałupy zostawiali i uciekali, byleby tego nie słyszeć. A teraz pan spyta, czemu się wyprowadzili.

– No?

– Dziecko chciała upiec.

– Co?

– Panie doktorze, jakbym nie widział, tobym nie mówił, ale tam córka starsza Miklasowej z jajami poszła i co widzi na własne oczy? Piekarnik rozhajcowany, że do kuchni wejść się nie da, na stole

brytfanna stoi ogromna na indyka, a dziecko najmniejsze leży, nóżkami macha, całe już oliwą nasmarowane, i wie pan, czym się bawi?

– Grzechotką w kształcie diabła?

Teraz pan Edward parsknął. I przeżegnał się na wszelki wypadek.

– Weź pan takie bzdury. Jabłkiem się bawi, tak powiem. Rozumie pan? Dziecko chciała z jabłkiem jak kaczkę upiec, żeby smak dobry miało, trochę taki słodki, trochę kwaskowaty, moja żona tak kurczaka robi, też dobrze wychodzi.

– Teraz to pan bzdury.

– Panie doktorze, dziecko niewinne kłamać nie potrafi, powiedziała, co widziała, a jak Miklasowa rwetes zrobiła, to zaraz się wyprowadzili.

– Do zamku dla obłąkanych.

– Ale to jeszcze nie najciekawsze, historia jakich wiele. – Pan Eugeniusz machnął lekceważąco ręką, jakby dzieci z rożna stanowiły podstawową warszawską przekąskę. – Ale jak się wyprowadzili, no to zwolnił się lokal i ciekawi byliśmy, kogo Reżim przyśle, dla ludzi to ważna wskazówka, jaki jest kurs, bo to każdy kogoś ma, kto się o kwadrat stara, warto wiedzieć, czy aktualnie na rodzinę wielodzietną, czy na samotną matkę, czy na rodziców niedołężnych, czy na zawód jaki. Był miesiąc, że na całym Korbiaku cztery pielęgniarki się wprowadziły, zawsze falami idzie, tak powiem.

– No i?

Historia go zaciekawiła. Po chwili odpoczynku od Grażyny zżerała go tęsknota. Tyle rzeczy miał jej do opowiedzenia! Po dwóch dniach czytania w bibliotece starych roczników gazet oraz naukowych opracowań o najnowszej historii Polski wiedział już dokładnie, co się wydarzyło przez osiemnaście powojennych lat, co sprawiło, że nie ma w Polsce garnizonów Armii Czerwonej, jest za to prezydent Kwiatkowski. Krzyczałaby pewnie na niego, że przynudza jak zwykle i wygłasza wykłady, ale i tak bardzo chciał z nią porozmawiać, odkręcić jakoś to dziwaczne rozstanie albo przynajmniej pokazać, że można je odkręcić. I załatwienie mieszkania wiele by ułatwiło, na wypadek gdyby uznali, że trzeba skończyć te dąsy. Teraz, z nią mieszkającą na Wilczej i z nim u żony,

bez żadnego innego miejsca, beznadzieja. Pomyślał, że czas skończyć z tą dziecinadą, pojechać do niej i porozmawiać.

– Nie zgadnie pan.

– Nie zgadnę.

– Uchodźca.

Aż usiadł, w mózgu mu zatrzeszczało, poczuł się nagle jak w XXI wieku. Jaki znowu uchodźca?

– Jaki znowu uchodźca?

– Murzyn. To znaczy nie do końca Murzyn, arabski taki. No ale Murzyn.

– Ale skąd?

– No z Afryki, nie ze Szwecji przecież.

– Ale skąd się tu wziął?

Pan Eugeniusz spojrzał na niego, potem wymownie spojrzał na butelkę i znowu na niego.

– Z Af-ry-ki – powiedział bardzo wolno i bardzo wyraźnie.

– Tak, rozumiem, ale jaki ciąg przyczynowo-skutkowy… to znaczy jak to się stało, że ten czarnoskóry tutaj się znalazł?

– Z Algierii, no skąd przecież. Skończyła się wojna i nasi Murzyni uciekają, żeby ich nie nasi Murzyni nie zajebali.

– Ale do nas?

– No głównie to do Francji, ale do nas też, bo alians i w ogóle. I oczywiście najpierw wszyscy zmarkotnieli, no bo weź tu dostań mieszkanie na uchodźcę, jeszcze Murzyna. No da się?

– Nie wyobrażam sobie.

I faktycznie, trochę to słabo wyglądało, biorąc pod uwagę, że przez chwilę myślał, iż opatrzność mu sprzyja i wysyła znak, że ma się raz, dwa przepraszać z Grażką, załatwiać mieszkanie i posadzić swoje życie na właściwie tory.

– No właśnie. Ale od słowa do słowa się okazało, że są opcje. Że w sumie każdy zna kogoś z naszych chłopców w Algierii albo zna kogoś, kto zna kogoś z naszych chłopców, rozumie pan. Bratnia pomoc się skończyła, oni teraz wracają do domu i wiadomo, cały legion to bohaterowie, dla nich lokali nie zabraknie, w większości zresztą dawno dostali, żony tam siedzą w pustych mieszkaniach i się nudzą, kominiarze im czyszczą kominy, a listonosze wbijają

pieczątki, he, he, tak powiem. Ale dopóki nasi są w Afryce, widzisz pan, to mogą znaleźć Murzyna. Dobrego samotnego Murzyna, który właśnie pakuje manatki, i powiedzieć mu: stary, jedź anawa en Pologne. Przyjeżdża taki Murzyn, dostaje mieszkanie i czego teraz tylko do szczęścia potrzebuje?

– Pracy?

– Żony potrzebuje, panie doktorze, żony. No i tutaj to już się otwiera ocean możliwości. Zwłaszcza że Polki, widzisz pan, mają do Murzynów słabość. Pamięta pan festiwal młodzieży parę lat temu? Przecież pół Warszawy się potem skrobało, bo każda chciała z Murzynem, z waszego piętra ginekolożka sobie za to taką willę w Konstancinie postawiła, że ludzie, jak przechodzą obok, to się żegnają, bo przez te wszystkie wieże myślą, że to kościół. Zresztą nieważne, potem można rodzinę ściągnąć i zawsze jakieś zaczepienie w stolycy jest, a jeszcze jak się ma siostry, to wie pan, u islamistów jedna żona to za mało, ludziom to przeszkadza, ale ja z podziwem patrzę. Z jedną ledwo daję radę, a więcej, a idź pan w chuj.

Pan Eugeniusz nalał zupełnie odruchowo, u Polaków w najstarszych strukturach mózgu, tuż obok ośrodków odpowiedzialnych za walkę i ucieczkę, zakodowany jest gest polania wódki w momencie wyjątkowo głębokiej zadumy w trakcie dyskusji, sygnalizowanej płynącym z głębi serca „a idź pan w chuj".

Wypili.

Słońce schowało się za przeszkloną przybudówką, w której oryginalnie znajdowała się sala sportowa dla mieszkańców, a obecnie kiełkowały pomidory, ogórki i sałata, uprawiane kolektywnie przez całą społeczność szalomu. Wstał, przeciągnął się i stwierdził, że jest bardziej pijany, niż przypuszczał, bimber musiał mieć z sześćdziesiąt procent, dlatego tak przyjemnie palił w przełyk. Zdecydował, że jednak nigdzie nie jedzie, prześpi się i pojedzie do Grażyny wieczorem.

Nie, nie chciał jej namawiać na Murzyna. Chciał obgadać z nią pewien projekt, który nie dawał mu od kilku dni spokoju. Ale przede wszystkim bardzo tęsknił.

3

Jeszcze w trakcie rozmowy z madame myślałam, że nagle moja tęsknota wymazała wściekłość, jaką od dwóch miesięcy czułam do Ludwika. Cofam to. Im więcej o nim myślałam, tym bardziej czułam się, jakbym grzebała językiem w zepsutym zębie. Z jednej strony irytujący ból, z drugiej – złość, że nie można od tego bólu uciec. Im bardziej myślałam, tym bardziej się nakręcałam, tym bardziej czerwona zasłona spadała mi na oczy. Po pięćdziesięciu latach życia, miłości, seksu, pocałunków, dziecka, wnuczek, morza przygód i oceanu wspomnień on po prostu wzruszył ramionami i zamieszkał ze swoją byłą żoną. Tak, tęskniłam. Tęskniłam jak jasna cholera, ale im większą czułam tęsknotę, tym bardziej się wstydziłam i tym bardziej byłam na siebie zła.

Gdzie on jest? Czemu mnie nie błaga o wybaczenie? Czemu nie skamle u mych stóp? Aż tak niewiele to dla niego wszystko znaczyło? Aż tak był mną znużony?

Tak czy owak, westchnęłam, muszę się z nim zobaczyć. Możemy się nie kochać, możemy nie być razem, ale do sierpnia zostało kilka miesięcy, a niezależnie od wszystkiego nie zrezygnuję ze swojego syna. Nie ma mowy, żebym przynajmniej nie spróbowała powołać go na świat. Dlatego na razie nie jechałam na Saską Kępę, ponieważ bałam się, że podejmę pod wpływem emocji decyzję, która zmieni wszystko i sprawi, że mój plan stanie się niewykonalny.

Zaraz po powrocie ze szkoły wzięłam prysznic, korzystając z tego, że nikogo nie ma – jakakolwiek próba toalety rano lub wieczorem mijała się z celem – i sprawdziłam w lustrze, czy wyglądam odpowiednio oszałamiająco, aby skręcił się z tęsknoty i pożądania.

Zbiegłam wilgotną klatką schodową, na dole odruchowo omiotłam wzrokiem skrzynkę na listy, zardzewiałą i tak koszmarnie pogiętą, jakby co rusz padała ofiarą agresji ze strony zwalczającej polską pocztę sekty – której istnienie by mnie nie zdziwiło, biorąc pod uwagę powszechną nienawiść klientów do tej instytucji. W naszej przegródce leżała koperta, zaadresowana na moje nazwisko. Rozerwałam ją od razu, przekonana, że to Ludwik stęsknił

się za mną jak ja za nim, a że wstydził się przyjechać i przeprosić, napisał. To byłoby w jego stylu.

Przebiegłam szybko tekst krótkiego listu i zakręciło mi się w głowie, wyszłam na podwórko i usiadłam na jednym z robiących tu za krzesła odwróconych wiader. Kilka razy głęboko zaczerpnęłam powietrza i jeszcze raz przeczytałam tekst na spokojnie:

Droga Przyjaciółko,

z radością donoszę, że ukończyłem pełną przygód i niebezpieczeństw dyplomatyczną misję (której szczegółów oczywiście nie mogę zdradzić, sama rozumiesz) i wróciłem grzecznie do rodzinnego domu, jak na igrającego z życiem wysłannika rządu do specjalnych poruczeń przystało. Gdybyś miała ochotę wysłuchać niesamowitych opowieści (na tyle, na ile mogę je zdradzić, sama rozumiesz), daj znać listem lub zadzwoń, lub po prostu przyjedź. Wybacz szczerość mojego wyznania, ale stęskniłem się za Tobą przepotwornie i wróciłem z myślą, że i Tobie troszkę, troszeńkę mnie brakowało.

Twój,
A.

PS List spal albo zjedz, sama rozumiesz.

PPS Nie martw się, to specjalny jadalny papier, opatentowany przez polską służbę dyplomatyczną.

PPPS Choć znam ambasadora, który używa go zupełnie niezgodnie z przeznaczeniem. Nie mów nikomu.

Zamknęłam oczy, wypełniły mnie emocje tak gwałtowne, że poczułam mdłości.

To znak, krzyczał głos przygody w mojej głowie. Weź swoje rzeczy, jedź do niego, spal za sobą mosty, nie zrób tego błędu, który zrobiłaś wtedy, miej życie, o którym zawsze marzyłaś.

Uspokój się, mówił głos rozsądku, są powody, dla których wtedy to tak się skończyło, powody, dla których to z innym mężczyzną spędziłaś długie, szczęśliwe lata.

Na to przygoda: długie, szczęśliwe, zwyczajne i nudne jak jasna cholera.

I znowu rozsądek: a jakie byś chciała? Długie, szczęśliwe i pełne emocji? To się nawet w powieściach nie zdarza, nie bądź idiotką.

– A ty co, śpisz na tym wiadrze? Wiedziałem, że się szybko stoczysz w stolicy, ale że aż tak szybko?

Otworzyłam oczy, patrząc bez zrozumienia na stojącego przede mną mężczyznę. Niski, krępy, miał na sobie wojskowy mundur, nic galowego, zwyczajny mundur z rozpiętą bluzą i wytartymi spodniami. Nad bluzą okrągła polska twarz z jasnym wąsem, zakolami i szerokim uśmiechem, pokazującym brak jednej czwórki. Twarz niezbyt przystojna, ale bardzo sympatyczna, mimo nieładnie zagojonej blizny na brodzie. Patrzyłam na tę twarz i doznałam dziwnego uczucia wzruszenia pomieszanego ze zmieszaniem, jak by to określić, jak wtedy, kiedy czasami widzimy na ulicy bliskiego przyjaciela z lat młodzieńczych i chcemy mu się rzucić w objęcia na powitanie i już, już wyciągamy ręce, kiedy dopada nas świadomość, że ostatni raz widzieliśmy go w czasie matury i że przecież on nie może tak wyglądać, bo jest takim samym starym dziadem jak my.

– Co się tak gapisz, Graża? Aż tak mi źle w tych wąsach? To może zgolę, zanim do matki pojadę?

Dopiero wtedy zerwałam się z wiadra i rzuciłam na niego. Przytulałam go najmocniej, jak potrafiłam. Ostatni raz swojego starszego brata widziałam w więzieniu w 1958 roku. Siedział wtedy już cztery lata, wyglądał strasznie i w niczym nie przypominał chłopaka, który w czasie wojny robił mi teatrzyk z ziemniaków, żebym się nie bała, jak uciekaliśmy przed frontem. I który uczył mnie francuskiego i rosyjskiego, bestia miał niezły słuch do języków – umiejętność w stalinowskiej Polsce kompletnie nieprzydatna. Prosił mnie wtedy na widzeniu, żebym więcej nie przychodziła, ani ja, ani matka, że to niebezpieczne. Płakałam i kłóciłam się z nim, że nie może się poddawać, że nie może się z nami żegnać, że ludzie idą do więzienia, potem wychodzą i żyją normalnie przecież. Próbował żartować, że tamci to są zwyczajni normalni mordercy i złodzieje, nie tacy straszni wrogowie państwa jak on, że przecież nie chciałabym z kimś takim siedzieć przy stole wigilijnym.

Rok później go zabili. Matka dostała lakoniczne zawiadomienie o zgonie z przyczyn naturalnych i wyznaczonej dacie pochówku. List doszedł po pogrzebie. Zrobiłyśmy tylko potem pomnik na cmentarzu komunalnym w Radomiu. A ja mogłam przenieść Piotrka do grobu rodzinnego w Środzie dopiero za wolnej Polski, wcześniej nie pozwalali, skurwysyny. Matka tego nie dożyła, do śmierci na grób się autobusami pół Polski tłukła, zdrowie zostawiła w tych pekaesach. Potem Ludwik kilka razy namawiał, że powinnam zrobić badania, czy to na pewno on, wziąć teczkę z IPN, poznać dokładnie historię brata, dowiedzieć się, kto i dlaczego go prześladował, poznać nazwiska. Zawsze odmawiałam. Nie chciałam wiedzieć, że to nie on, nie chciałam też wiedzieć, że zginął przez jakiegoś szuję, którego pamiętałam jako przyjaciela rodziny, a który za parę złotych i paszport go zakapował.

I teraz, po tych wszystkich dekadach, tuliłam się do Piotrka, płakałam, chłonęłam jego zapach, śmiałam się, głaskałam po plecach i znowu płakałam, emocje dzieciństwa wracały wezbraną falą, wszystkie te momenty, kiedy starszy o dziewięć lat brat był przy mnie, rynek w Środzie, rowerowa wyprawa do Kórnika i nad Jezioro Bnińskie, którą wymyślił, żebym przestała płakać za ojcem, to było pierwsze lato po wojnie, pamiętam te wszystkie plenery jak z Iwaszkiewicza i w końcu spokój, że nie ma Niemców, że nikt nas nie zastrzeli.

– Piotrek, Jezu, jesteś.

– A dlaczego by mnie miało nie być? Tylko dlatego, że siedziałem trzy lata na kretyńskiej wojnie, naparzałem się z beduinami na pustyni, a kilkaset metrów ode mnie pierdyknęła bomba atomowa? Wolne żarty.

Odsunęłam się od niego.

– Bomba atomowa?

– Nie panikuj, mam tylko przez rok nikogo nie zapładniać i będzie okej. À propos zapładniania, są może twoje koleżanki?

– W pracy – odpowiedziałam automatycznie i dopiero potem ze śmiechem pacnęłam go w ramię.

– Psia kostka, no trudno, potem się przejdę po sąsiadkach. A herbata jest?

Pił jedną szklankę herbaty za drugą, dosypując fusów, dolewając wrzątku i tłumacząc, że tam się nauczył pić taką herbatę zamiast kawy. Pożerał wszystko, co miałyśmy w domu do jedzenia, i nie przestawał gadać, a ja słuchałam. Wyjątkowo moja ignorancja była usprawiedliwiona, poza tym Piotrek mówił tyle, że żadne, choćby najgłupsze pytanie nie mogło wytrącić go z transu. Wiedziałam już wcześniej, że Polska udzieliła Francji sojuszniczej pomocy i wysłała swoje wojska do Algierii. Co mi się wydało okropne, z mojej wiedzy historycznej wynikało, że cały ten konflikt był bezsensowną próbą utrzymania kolonii, ale moja znajomość tematu wynikała głównie z *Dnia Szakala*, więc może w rzeczywistości było inaczej. Wiedziałam też, że najsławniejszą jednostką na wojnie w Algierii był legion polski, o którym mówiło się „legioniści" albo „szokowcy". Czemu to drugie – nie mam pojęcia. Ale że mój brat nie dość, że żyje, to jeszcze jest w wojsku i na dodatek jako jeden z wyższych szarżą legionistów – to spore zaskoczenie.

– No, jak tajne, weź – odpowiedział na moje zatrwożone pytanie odnośnie do bomby atomowej. – Przecież we wszystkich gazetach to było następnego dnia na pierwszej stronie, mało się z wrażenia nie zesrali, że im się udało. Nie pamiętasz? Hourra pour la France – zagrzmiał głosem de Gaulle'a – Depuis ce matin… i tak dalej, i tym podobne. Powiem ci, że nie byłem wtedy w Reggane, ale byłem rok temu w Ekkerze, jak spierdolili ten podziemny wybuch i jak patrzyłem na tę francuską organizację, matko, to jest argument, żebyśmy my też mieli atomówki, skoro oni mają. Identyczny bordel, identyczne połączenie megalomanii, mitomanii i hipokryzji. Minus nasza prowizorka, za to plus pogarda dla reszty świata. Podam ci przykład. Wiesz, co to są dozymetry?

Zaprzeczyłam.

– Czujniki napromieniowania. Masz przy sobie taką plakietkę i jak jej środek ciemnieje, to znaczy, że coś jest nie tak. Że trzeba uciekać do schronu, przejść dekontaminację i tak dalej. Każdy w bazie taką miał. Tyle tylko że żołnierze dostawali swoje zamknięte w ołowianych pojemnikach. Żeby się nie zniszczyły, tak nam powiedzieli. Pour qu'ils fonctionnent bien, ech, co ja się tam napatrzyłem na przechodzoną kurwę Mariannę, książkę kiedyś

o tym napiszę. Zostaję w armii do końca roku, a potem spadam, jednego, co się w Algierii nauczyłem, to że nie ma sensu żyć w miejscu, gdzie zima trwa pół roku, pół roku jesień, częściowo dla niepoznaki nazwana wiosną, a lato przypada w jeden lipcowy wtorek po południu. Matka mi pisała, że pracujesz w Efie. Prawda?

– Nie podoba ci się to?

Upił herbaty, widziałam, że nie chce odpowiadać od razu.

– Graża, to jest twoje życie i twoje wybory, a ja zawsze jestem po twojej stronie. Myślę, że można tam robić wiele dobrego oraz wielu dziewczynom dać fajne życie, na które inaczej nie miałyby szansy.

– Wanda się ze mną o to kłóci. Sympatyzuje z Unią. I żeby było jasne, to, co mówi, jest bardzo przekonujące. Gdyby nie część osób, która tam jest… – Przerwałam w ostatniej chwili, bo nie chciałam się zdradzić z tym, że niektóre życiorysy znam ze swojej wersji historii.

Roześmiał się, posmarował krakersa smalcem i w całości włożył do ust.

– Wanda to kretynka, która wierzy, że jak będzie robić poważne miny i mało się odzywać, to jej mózg spęcznieje i będzie mądrzejsza. Unia to Moskwa, każdy, kto choć trochę myśli, to wie, problem polega na tym, że tutaj mało kto myśli, dlatego cały legion ściągają i z tego, co wiem, żabojady mają jesienią przyjechać na les grandes manoeuvres d'amitié. Ale akurat to zostaje między nami, d'accord?

Zrobiłam gest zamykania ust i wyrzucania kluczyka.

– Spodziewasz się zamieszek?

– To jest wersja optymistyczna. Pesymistyczna jest taka, że będziemy, hm, jak by to ująć delikatnie, dbać o to, aby wybory przebiegały w sposób demokratyczny.

– Parlamentarne?

– Jezu, a są jakieś inne? Przecież Inżynier ma jeszcze trzy lata do końca kadencji. Zaraziłaś się od swoich uczennic kretynizmem czy jak?

– A czemu coś miałoby pójść nie tak?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze ludzie są znudzeni, a po drugie ludzie są wkurwieni. Znudzeni, bo już trzy kadencje rządzą socjaliści z chłopami, tak?

Potaknęłam, na tyle już znałam polityczne realia, żeby się w nich odnajdywać. W skrócie wyglądało to tak, że około czterdziestu procent głosów w parlamencie mieli sojusznicy Kwiatkowskiego, prozachodnioeuropejska socjaldemokracja, która kontynuowała tradycje przedwojennego PPS. Do tego prawie dwadzieścia procent mieli chłopi i tak sobie razem rządzili już prawie trzy kadencje, dwanaście lat. Resztą miejsc w parlamencie podzielili się komuniści i narodowcy, którzy po równo budzili mój lęk, ale też byli kompletnie zmarginalizowani przez rządzącą koalicję, co dla osoby wiedzącej, jak mogłaby się potoczyć historia, wyglądało na spełnienie marzeń.

– Mimo że chłopi mają mniej więcej tyle samo głosów co komuniści i narodowcy, tak?

Potaknęłam.

– Ale wiadomo, że nikt się nie będzie dogadywał z komunistami, bo chodzą na pasku Moskwy, ani nikt się nie będzie dogadywał z narodowcami, którzy snują rojenia o wielkiej Polsce ze stolicą w Częstochowie, gdzie rządzi król Jezus, trzymając za rękę swoją mamę. Czyli sojusz ludowy to jedyna opcja i słusznie, szczególnie że to pod patronatem Inżyniera i niby wszystko gra, ale ludzie się nudzą. Chcą zmiany, zamieszania, igrzysk chcą, tak?

Potaknęłam.

– Gorzej, że robią się wkurwieni. Ci, którzy głosują na czerwonych i czarnych, są wkurwieni, bo ich wybrańcy zawsze są poza boiskiem i nigdy nie mają nic do gadania. Moim zdaniem słusznie, ale dla dobra kraju mogliby im ludowcy czasami rzucić jakiś ochłap, stanowisko czy ministerstwo jakieś. Oczywiście jak to u nas na ziemi przeklętej są na to za chciwi i za głupi, czyli Polska głosująca na komunistów i narodowców, a to prawie połowa narodu przecież, chodzi wkurwiona. Gorzej, że pozostali też się wkurwiają, pamiętają wojnę, a niektórzy to jeszcze zabory i ani im w smak robienie z nas kolonii francuskiej, nawet jak to się nazywa tworzeniem Nowej Europy, ani zbliżenie z Niemcami. Do tej pory to było niegroźne, ludzie zaciskali zęby i tyle, bo ciągle ich wkurwienie i znudzenie było za małe, żeby się nabrać na Gomułkę, przecież ten gość jest jak czarny charakter z bajek dla dzieci, tylko pypcia na

nosie mu brakuje. Po przeciwnej stronie Jędrzej jest estetyczniejszy i nie pluje, kiedy przemawia, ale jak dostanie jazdy żydowskiej, to wychodzi z niego wariat, a lud wariatów nie lubi. Można by powiedzieć: błogosławiony pat.

– Gdyby nie pojawiła się Unia.

– Właśnie. Młodzi ludzie, prawdziwi, autentyczni, bazgrzą coś tam na murach jak kochani powstańcy. Przywiązani do tradycji, ale nie obłąkańczo katoliccy. Żadna inteligencja używająca wielkich słów, mówią normalnym językiem o prostych, ale ważnych dla zwykłych ludzi sprawach. Ten Gierek to prostak, ale sympatyczny. I jak wali we Francję, to ludzie mu wierzą, wychował się tam przecież. Wzbudzają zaufanie, mówią o Słowiańszczyźnie, wspólnych celach naszej części Europy. O Moskwie oczywiście ani słowa. Nie są głupi i to mnie martwi.

– Nie przesadzasz? Rozmawiałam z Wandą wiele razy i trochę się z nią zgadzam, że jakaś histeria wokół Unii narosła. Naprawdę uważasz, że jak tylko ktoś złe słowo powie o Europie Zachodniej, to od razu go Moskwa finansuje?

Oblizał palce i spojrzał na mnie uważnie.

– A ty, przepraszam, desantowałaś się tutaj miesiąc temu z innej planety?

Ciężko było odpowiedzieć szczerze na to pytanie, postanowiłam więc uciec do przodu:

– Chciałam się ciebie spytać, czy to prawda, że w wojsku pracuje Jaruzelski?

– Wojtek? No jasne, siedzi w sztabie generalnym. Bardzo w porządku facet. Muszę do nich wpaść w ogóle złożyć gratulacje, Basia jest w ciąży podobno. Chcesz iść ze mną? Interesujący facet, czasami trochę za poważny, ale o naprawdę szerokich horyzontach.

– Ale – przełknęłam ślinę – myślisz, że on może być niebezpieczny?

– A ty bierzesz jakieś narkotyki czy jak? Uczciwy gość, świetny oficer i prawdziwy żołnierz, a nie taki, co o wojnie czytał w gazetach. Dla wielu naszych bohater, bo jako jedyny powiedział, że jest przeciwko naszej misji w Algierii. Sam go za to szanuję, mógł

to przypłacić karierą, naciskali go politycznie, żeby się zamknął, ale on nie zmienił zdania.

– I czemu go zostawili?

Roześmiał się.

– Bo jeśli kierujesz państwem i chcesz używać wojska nie tylko do defilad, ale też do wysyłania na podejrzane misje i utrzymywania porządku w czasie wyborów, to musisz mieć posłuch i szacunek. A tych się nie zdobywa, zwalniając doświadczonych generałów. Anglicy mają takie powiedzenie, że ogon czasami macha psem, a tego żaden rząd nie chce, rozumiesz?

Przytaknęłam.

– Mówisz o wyborach. Myślisz, że Unia wejdzie jesienią do sejmu?

– Jasne, że wejdą. Jeśli wejdą na kilka procent, to jeszcze spokój. Jak wejdą na dwadzieścia, to następnego dnia się dogadają z Gomułką i robi się ciężko, tylko system prezydencki nas ratuje. Ale Inżynier ma swoje lata, jeśli coś się wydarzy i stracimy jego ochronę, to zostajemy sowiecką republiką raz, dwa. I dlatego tu jesteśmy. Dopilnować, żeby niepodległość nie została zagrożona.

– Ale chyba nie chcesz powiedzieć, że…

– Graża, ja jestem z wojska. Racja stanu to racja stanu, jeśli trzeba uratować Polskę przed Polakami, to ją uratujemy. Pięknoduchostwem zajmę się później.

4

Po drzemce szybko wziął zimny prysznic, umył dwa razy zęby i stwierdził, że co prawda ciągle jest przyjemnie nietrzeźwy, ale nie na tyle pijany, żeby nie móc pracować, zresztą umówmy się, że tak jak piwo usypia, a wino rozleniwia, to akurat kieliszek dobrej wódki wyostrza zmysły, uspokaja nerwy i pozwala sprawniej i pewniej nawigować po codzienności. Z tą typowo polską myślą polał się wodą kolońską, założył czystą koszulę i czekał na pojawienie się nowej pacjentki, która trafiła do niego w ten sposób, że napisała list do szpitala, skarżąc się na wyjątkowo dokuczliwe, uniemożliwiające

funkcjonowanie koszmary senne. Mogło być ciekawie. A mogło się okazać, że babkę co noc goni wielka truskawka o twarzy zmarłej matki. Psychoterapia jest jak pudełko czekoladek, nigdy nie wiadomo, co się trafi.

Kobieta pojawiła się punktualnie, lekko spłoszona jak wszyscy, którzy pierwszy raz lądują w gabinecie. Trochę się wstydzą, trochę nie mają pojęcia, czego oczekiwać – zwłaszcza w latach sześćdziesiątych – trochę mają nadzieję, że się uda i w końcu poczują ulgę. Mało kto się spodziewa, że to będzie trudna i długa przeprawa, a zanim mu się polepszy, zazwyczaj znacznie mu się pogorszy, że rzuci to w diabły i potem wróci, że terapeutę będzie na zmianę kochać i nienawidzić, aby pod koniec myśleć, że łączy ich szczera przyjaźń, na ostatnią wizytę przyniesie eleganckie pióro w prezencie i w drzwiach będzie obiecywać częste kontakty, po czym nigdy więcej się nie odezwie.

– Jak to właściwie będzie wyglądać? – spytała rzeczowo i spokojnie.

Wiedział z listu, że jest matką dwójki dzieci i że razem z mężem prowadzą sklep, ale na tym jego wiedza się kończyła. Robiła wrażenie kobiety spokojnej, dobrze osadzonej w życiu. Niemłoda i niestara, w jego wieku pewnie, niebrzydka, ale też niepiękna, jej uroda miała w sobie pewne dostojeństwo, które wielu mężczyznom mogło się podobać. Była duża i mocna. Nie otyła i nie zapuszczona, tylko właśnie duża, dobrze zbudowana, krzepka, ale nie na chłopski, krępy sposób. Ten typ, który rzeźbiarze wybierają na modelki do posągu Nike, na kariatydę lub wolność wiodącą lud na barykady. Nie w jego guście, ale rozumiał, że wielu mężczyzn jej spokojna, pewna siebie macierzyńska kobiecość mogłaby doprowadzić do szaleństwa. W XXI wieku byłaby traktowana jako młoda seksbomba, tutaj zaakceptowała już swoją rolę matki w średnim wieku.

– Porozmawiamy. Opowie mi pani o swoich snach, potem pewnie o sobie. Sny nie są zrobione z kosmicznej energii, tylko z naszych myśli i uczuć, którymi mózg bawi się w nocy. Zazwyczaj niewinnie. Ale czasami wkradnie się do tego jakiś błąd, uparta emocja, która działa jak piasek wsypany w tryby. Zgrzyta, chrzęści, przeszkadza. Spróbujemy to znaleźć.

Pokiwała głową.

– Mamy z mężem na Grochowie sklep z zabawkami, nazywa się „Raj dziecka”. To znaczy nie tylko z zabawkami, bo na Pradze tylko z tego byśmy nie dali rady, mamy artykuły szkolne, papiernicze, książki, wózki i różne rzeczy do pielęgnacji. Raz jest lepiej, raz gorzej, ale nie narzekamy, biedy nie cierpimy i to też było nasze marzenie, odkąd się poznaliśmy. Żeby mieć sklep, który jest taki, jak by to powiedzieć, ładny. Jasny, estetyczny, żeby dzieci patrzyły na ładne rzeczy od początku, moim zdaniem to ma znaczenie. Feliks, mój mąż, mówi, że to przez wojnę, że ta wojna była taka strasznie brzydka i że my to chcemy odreagować. Myśli pan, że to ma sens?

Chodziła dookoła krzaka jak każdy za pierwszym razem. Nie przeszkadzał jej, dojdzie do tego, co ważne.

– Myślę, że ma. Wojna jest najgorsza dla dzieci. Wiem, miałem dziesięć lat, jak się zaczęła.

– Całkiem prosto! Widzę, że jesteśmy rówieśnikami. – Uśmiechnęła się. – Pamiętam strach, ale też pamiętam, jak się starałam, żeby młodsze rodzeństwo miało dzieciństwo, jakieś gry, jakieś zabawki, nie było to proste, jak się walczy o przetrwanie, to kto myśli o kolejce albo o misiu jakimś. Jajka, słonina, na to się wydaje pieniądze. Pewnie dlatego chciałam studiować na ASP, żeby nauczyć się robić ładne rzeczy, ale zabrakło talentu, nieważne.

Ważne, pomyślał, nawet bardzo, ale na pewno do tego wrócimy.

– Chodzi mi o to, że się bardzo staramy, żeby nasz sklep to nie był po prostu magazyn rzeczy do kupienia, ale żeby chciało się wejść, posiedzieć, obejrzeć, żeby ładnie było. Kolejkę mamy na przykład na wystawie elektryczną. Ze Szwajcarii, stara jak świat i używana, ale już wszystkie te góry i tunele sami zrobiliśmy, rozumie pan, żeby ładnie było.

Rozumiał.

– No i teraz te sny.

Atmosfera w pokoju momentalnie zgęstniała, przysiągłby, że zrobiło się ciemniej, ale może to po prostu chmura na moment przysłoniła słońce. Miał wrażenie, że dźwięki ucichły, że temperatura spadła – nagle zagościł w nim irracjonalny, nieprofesjonalny lęk. Zdumiony, bo nigdy nie odbierał w ten sposób

emocji pacjentów, musiał powtórzyć sobie, że to tylko chmura, a resztę dośpiewała mu wyobraźnia, podlana wcześniej wódką. Nawet jeśli akurat teraz czuł się trzeźwy jak nigdy.

– Słucham – powiedział.

– Oczywiście ja wiem, że to brzmi wariacko, ale to nie jest tak jak w zwykłych snach, że wchodzę do kuchni, a tam sala gimnastyczna, więc zaczynam po parkiecie jeździć na łyżwach i nic a nic mnie to nie dziwi. Tutaj za każdym razem czuję, jakbym wracała do tego samego, spójnego, rzeczywistego świata.

– Brzmi dość przygodowo.

– Tak, dopóki się nie pozna tego świata.

Domyślam się, że jest brzydki, pomyślał.

– Jest brzydki. Też pracuję w sklepie z zabawkami, ale to nie jest mój sklep, po prostu tam pracuję w brzydkim fartuchu w okropnym sklepie i sprzedaję zabawki, które są wstrętne – mówiła z głęboką odrazą. – Na podłodze błoto, na suficie żarówka zamiast lampy, na brudnych półkach lalki zezowate, z zadartymi sukienkami, jak ofiary gwałtów, misie o twarzach niedorozwiniętych morderców, bąki, z których odpada farba i które się nie kręcą, piłki, które się nie odbijają, kręgle z drzazgami większymi niż one same, ja tam, proszę pana, sprzedaję najbrzydsze, najohydniejsze przedmioty, jakie w życiu widziałam.

Udawał uprzejme słuchanie, ale czuł się bardzo, bardzo dziwnie. Znał te słowa, te zdania, te zwroty, te „misie o twarzach niedorozwiniętych morderców”, to jest jakiś cytat z literatury, Grażyna może by wiedziała. Ale dlaczego budzi to jego niepokój?

– I prawie co noc wracam do tego świata. Czasami do sklepu, czasami do domu, czasami na miasto. I wszędzie jest szaro i brzydko, jakby ktoś żyletką zeskrobał barwy. Wiem, że to koszmar, ale wszystko się wydaje takie realistyczne, ja mogę rozmawiać z ludźmi, mogę tam czytać gazety i kiedy mi się przyśni za jakiś czas, to tam też mija jakiś czas, tu zima i tam zima, rozumie pan, wstrętniejsza i obrzydliwsza wersja Warszawy. W centrum stoi okropna budowla, jakby ktoś zwymiotował na miasto, pałac imienia Józefa Stalina, wyobraża pan sobie? Stalina! Pośrodku gigantycznego pola, na którym nic nie ma. Rządzi nie Inżynier, tylko

ten plujący na wszystkie strony dziadyga Gomułka, a Polacy są częścią jakiegoś rosyjskiego imperium, nie wiem, nie zrozumiałam tego do końca, ale dzieci chodzą po ulicach w czerwonych chustach. Jesteśmy jakąś drugą Ukrainą albo drugą Białorusią, ja wiem, jak to brzmi, ale ja już nie chcę wracać do tego świata, nigdy, rozumie pan?

– Przepraszam, muszę się napić wody – powiedział i na miękkich nogach poszedł do łazienki, żeby ochlapać twarz i wypić duszkiem szklankę śmierdzącej chlorem kranówy. Uspokój się, Ludwik, wyszeptał do lustra. Uspokój się, wróć i posłuchaj pani jak profesjonalista, w końcu za chwilę będziesz świętował sześćdziesięciolecie pracy zawodowej.

Wrócił i słuchał jak profesjonalista opowieści o przygnębiających wizytach w prawdziwych latach sześćdziesiątych, o Polsce schowanej za żelazną kurtyną. Jednocześnie starając się skomunikować z własnymi emocjami i znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego te opowieści pchnęły go na skraj histerii. Przecież wiedział, że jego bytność tutaj jest jak sen, halucynacja, fantastyczna wizja. A mimo to szybko zapomniał, że gdzieś tam jest prawdziwy świat, w którym w centrum Warszawy sowieci zbudowali Pałac Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina. I tak samo jak nagle los go odesłał tutaj, tak samo nagle może go przyzwać z powrotem. Zamknie oczy, a jak je otworzy, znów będzie staruszkiem czekającym już tylko na śmierć, z nadzieją, że obejdzie się bez upokarzającej, bolesnej choroby. Bał się tego, nie myślał o tym, spychał ten scenariusz jak najgłębiej: dlatego ta wizyta go przeraziła.

– Cały czas to opowiadam jak sny, ale chciałabym, żeby pan zrozumiał, że nie pamiętam tego tak, jak się pamięta sny, ale tak, jak się pamięta wspomnienia. Coś, co wydarzyło się naprawdę, jesteśmy tego pewni, ale w miarę dobrze możemy przywołać tylko fragmenty. Zabawne, prawda? Myśli pan, że można do tego stopnia zmyślić swoje wspomnienia, żeby stworzyć jakiś zupełnie inny, równoległy świat, który nigdy nie istniał?

– Teraz to opisała pani dość poważne zaburzenie osobowości – powiedział, nie mogąc się doczekać, żeby to spotkanie z pytią

kariatydą dobiegło końca.

– Jedna rzecz jest dziwna – powiedziała z zadumą kobieta. – Nigdy mi się to nie śni, kiedy jestem na wakacjach albo pojadę do rodziny na święta, albo na groby. Tak jakby ten świat znikał, kiedy przekraczam granicę Warszawy.

Poczuł, jak włosy stają mu dęba. Musi ostrzec Grażynę, jak najszybciej. O ile nie jest za późno.

5

Szłam Marszałkowską w stronę Pałacu Kultury, którego oczywiście tutaj nie ma, ale nie potrafiłam tego miejsca nazywać inaczej, i myślałam, że muszę odwiedzić gorseciarkę. Tutaj, podobnie jak w prawdziwych latach sześćdziesiątych, kiedy chciało się coś załatwić, trzeba było iść „do kogoś", a nie „gdzieś". Po sukienkę do krawcowej, po naciągnięcie oczka do repaserki, po pranie do praczki, po garnitur do krawca, po mięso do baby – przyznaję, że ten nieustający kontakt z prawdziwymi ludźmi miał w sobie coś ożywczego.

Ostatnio wypadła moja kolej na pójście do magla, więc najpierw poszłam po upraną, wysuszoną i zwiniętą w rulon pościel do praczki. Przy okazji dostając dobrą radę, żeby nie chodzić na Powiśle, bo pojawiła się tam prawdziwa inwazja szczurów i pani tego się nie dowie z gazet, pani kochana, ale podobno są pierwsze przypadki dżumy, tylko chorych wysyłają od razu na Ziemie Odzyskane, tak to sobie wymyślili. Z rulonem poszłam do magla, gdzie musiałam zaczekać na swoją kolejkę, żeby pościel przeszła przez maszynę pochodzącą zapewne z czasów rewolucji przemysłowej, tyle że napęd parowy zastąpiono elektrycznym. Częściowo przynajmniej, ponieważ maszyna cały czas syczała i strzelała parą jak lokomotywa. Tam z kolei mi poradzono, że jak będę szła za mąż, żebym sama materiał do krawcowej zaniosła, sama koniecznie, bo znajoma kuzynki w Kielcach wzięła gotową suknię i umarła zaraz po ślubie. Przez trupi jad, bo to suknia była z nieboszczki zdjęta. Uwierzyłaby pani, taka historia?

No nieważne, musiałam do gorseciarki, ponieważ moje dwa staniki doprowadzały mnie do białej gorączki, za ciasne, zbyt zabudowane, zbyt grube, pijące wszędzie i przede wszystkim wypychające piersi do przodu, przez co czułam, że każdy, kogo mijam na ulicy, patrzy na mnie wzrokiem mówiącym: „Hej, co mi pani tak tutaj tymi opancerzonymi cyckami celuje". Potrzebowałam lekkiego, wygodnego, nietorturującego mojego biustu stanika. Czarnego oczywiście, nienawidziłam cielistej bielizny.

Snując rozważania o swoich cyckach, doszłam do skrzyżowania Marszałkowskiej z Alejami. Mogłam wsiąść w tramwaj w stronę Żoliborza i pójść do Ludwika. Albo mogłam pojechać przez Wisłę i zapukać do nadawcy listu, który cały czas trzymałam w dłoni, pogiętą i miękką od potu karteczkę.

Stałam na skrzyżowaniu, pod którym nie wybudowano jeszcze monstrualnego przejścia podziemnego, patrzyłam na obwieszone winogronami pasażerów tramwaje i myślałam. Muszę zobaczyć Ludwika, to jasne. Ale czy muszę to zrobić dziś? I czy naprawdę wylądowałam tutaj, żeby znowu robić to, co muszę, to, co powinnam, i to, co wypada? Czy do jasnej cholery nie mogę raz pójść tylko i wyłącznie za impulsem, za podszeptem serca, nie myśląc o całej reszcie?

I wtedy po lewej stronie rozległo się dzikie trąbienie, spojrzałam, jakaś kobiecina przechodziła od dworca przez Aleje w absolutnie niedozwolonym miejscu, ciągnąc za sobą na sznurku przerażoną, wierzgającą na wszystkie strony kozę i blokując ruch. W tej samej chwili na przystanek podjechało dwadzieścia dwa. Uznałam, że to znak, przebiegłam przez pustą ulicę, po warszawsku utorowałam sobie drogę przez tłum, trochę łokciami, trochę pancernymi cyckami, i chwilę później, będąc w połowie w środku, a w połowie na zewnątrz, powiewając spódnicą na wietrze, jechałam w kierunku Wisły.

Zabawne, myślałam, mijając gmach Muzeum Narodowego, że to moja pierwsza przeprawa przez rzekę. Kursowałam pomiędzy domem, Efem, sklepami na Józkowie (jak nazywano pieszczotliwie dzielnicę Piłsudskiego) i bazarem w Rezerwacie. To ostatnie to żaden żart. Podobno kiedyś urządzili w tych ruinach targowisko na

weekend, żeby pokazać, jak ludzie sobie radzili w czasie okupacji, ale szybko się przyjęło, najpierw miasto próbowało z tym walczyć, ale w końcu się poddało i teraz część wypalonych ulic Rezerwatu zastawiona była zawsze straganami, Ludwik pewnie byłby zachwycony tymi babami, pyzami z gara, półtuszami rozbieranymi na miejscu i grą w trzy karty. Ja mniej, ale mięso, to im trzeba przyznać, mieli fantastyczne. Szczególnie że nauczyli się na francuską modłę znajdować w krowie więcej niż „wołowinę z kością" i „wołowinę bez kości", obok rozbratli i antrykotów pojawiły się bawety, palerony i pajączki – ta ostatnia nazwa cholera wie, skąd się wzięła.

Tak czy owak na Pragę nie jeździłam, kilka razy miałam ochotę zobaczyć Wieżę Przyjaźni albo przejść się po Saskiej Kępie, ale zawsze coś wypadało. I teraz, zbliżając się do mostu, poczułam niepokój. Śmieszny, niemający podstaw niepokój, Ludwik kiedyś miał pacjenta, cierpiącego na fobię przed przekraczaniem mostów. Może się tego nabawiłam? A może… nie, to byłoby zbyt głupie.

Tramwaj zatrzymał się na ostatnim przystanku przed rzeką. Mieszkańcy Powiśla wysiedli, ale nie rozluźniło się na tyle, żeby wejść do środka, ciągle musiałam półwisieć na platformie. Tramwaj zadzwonił, ostatnia chwila na decyzję.

Może jeśli przekroczę magiczną granicę, coś gwizdnie i witaj stara babo w XXI wieku? Może lepiej napisać list do Adama, zaprosić do siebie, umówić się w centrum? Po co ryzykować?

Tramwaj zaczął już się toczyć, pomału nabierając prędkości, wiedziałam, że jak się rozpędzi, to nie dam rady wyskoczyć. Ostatnia chwila na decyzję.

Po co ryzykować?

6

Prawo jazdy zrobił oficjalnie w wieku szesnastu lat, ale tak naprawdę samochód nauczył się prowadzić pod koniec okupacji, co oznacza, że jest kierowcą już prawie siedemdziesiąt lat. I pierwszy raz mu się chyba zdarzyło, że wsiadł do auta nietrzeźwy. Może nie

pijany, ale bez wątpienia alkohol nie wywietrzał z jego krwi dzięki półgodzinnej drzemce i każdy alkomat pozbawiłby go prawa jazdy. Chyba. Nie pamiętał, jakie były regulacje w latach sześćdziesiątych, a nawet gdyby pamiętał, to tutaj mogło być inaczej. W tej sfrancuziałej Polsce mogli przyjąć normy znad Sekwany, a tam limity ustanowiono tak wysoko, że można było jeździć nieomalże kompletnie nawalonym.

Dziś jednak miał to gdzieś, pruł citroënem przez miasto, chcąc jak najszybciej dotrzeć na Wilczą, żeby powiedzieć Grażynie o dziwnych snach pacjentki i przede wszystkim ostrzec, że – choć brzmi to idiotycznie – opuszczanie miasta może być niebezpieczne. Psiakrew, może nawet Wisła jest magiczną barierą. Wstydził się swoich myśli, wydawały mu się zabobonne i godne politowania, ale z drugiej strony jako osiemdziesięciotrzylatek z XXI wieku siedział właśnie w swoim trzydziestoletnim ciele, w produkowanej w Polsce wersji citroëna i jechał przez nieistniejącą nigdy Warszawę sprzed pięćdziesięciu lat. Jeśli ktoś na tym świecie miał naprawdę dobre powody, żeby zredefiniować możliwe i niemożliwe – to on.

W XXI wieku pokonanie dystansu między Muranowem i Śródmieściem o tej porze zajęłoby pewnie z pół godziny stania w monstrualnych korkach plus kwadrans szukania miejsca do parkowania, teraz wystarczyło niecałe dziesięć minut, żeby przejechać przez miasto i zaparkować pod samą bramą kamienicy na Wilczej.

Długo się dobijał, ale w końcu musiał pogodzić się z tym, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Chwilę pokręcił się po podwórku, w końcu poszedł po „Warszawiaka”, usiadł w samochodzie i postanowił, że dotąd tu będzie siedział, aż Grażyna wróci.

7

Nie wysiadłam. Podjęłam w życiu niezliczoną liczbę asekuranckich decyzji, słuchając tego cholernego głosu rozsądku, powtarzającego „po co ryzykować”. Nie cierpiałam go, wyobrażałam sobie jako

należący do grubej wstrętnej baby sączącej herbatę i powtarzającej wysokim, nieprzyjemnym tonem „ależ kochanie, po cóż to tak ryzykować”.

Po to, że chcę, babo głupia, pomyślałam i zacisnęłam mocniej dłoń na wyślizganym metalowym uchwycie. Tramwaj przyspieszył i minął wieże przyczółka mostowego, uderzył w nas wiejący zawsze nad Wisłą wiatr, w dole pojawiła się wiosenna rzeka, wezbrana, brązowa i ponura.

Zacisnęłam powieki, serce łomotało mi w piersi, w głowie szumiało, nie próbowałam nawet zaczerpnąć oddechu, przekonana, że jeśli otworzę oczy, zobaczę swoje zagracone przez kilka dekad wspólnego życia mieszkanko, pachnące starymi ludźmi i niewietrzoną pościelą. Albo wnętrze nowoczesnego, klimatyzowanego tramwaju, dzieciaki z białymi słuchawkami w uszach, na ekranach zapowiedzi spektakli teatralnych, za oknem sznur samochodów, rowerzystów w kaskach i kolejkę do kebaba na placu Waszyngtona.

Tramwaj zaczął zwalniać przed przystankiem.

– Królowa wysiada czy tak będzie wisieć do Wiatraka?

Otworzyłam oczy. Nic się nie zmieniło. Ciągle byłam młoda, ciągle wisiałam uczepiona platformy przedpotopowego tramwaju, ryzykując zdrowie i życie, dookoła trwały w najlepsze lata sześćdziesiąte. Zeskoczyłam na chodnik, odetchnęłam, uspokoiłam oddech, zaczekałam, aż tramwaj odjedzie, i dopiero wtedy się rozejrzałam.

Rondo Waszyngtona, nie ulega wątpliwości. Za mną długa perspektywa mostu Poniatowskiego i panorama lewobrzeżnej Warszawy, to znaczy brak panoramy, w XXI wieku jest stąd śliczny widok na las śródmiejskich wysokościowców, teraz, cóż, jakieś budynki i drzewa, nic wartego uwagi. Przede mną ciągnąca się po horyzont aleja Waszyngtona, z parkiem po jednej stronie i skromnymi kamienicami po drugiej, jak zawsze.

Po lewej powinnam mieć monstrualny koszyk Stadionu Narodowego zbudowanego dopiero co na mistrzostwa Europy albo elegancką płaską miskę Stadionu X-lecia. Nic z tych rzeczy, tereny stadionowe zastawione były budynkami w tym charakterystycznym

betonowo-piaskowcowo-surowo-monumentalno-użytecznym stylu, a pomiędzy nimi ciągnął się szeroki bulwar z Wieżą Przyjaźni pośrodku. Słyszałam już z tuzin chyba dowcipów o pojedynku między „wieżą miłości" a „laską marszałka", wszystkie bardzo nieprzyzwoite.

Zadrzewiony bulwar wyglądał świetnie, naprawdę reprezentacyjnie, a spacerujące nim wycieczki szkolne pozwalały przypuszczać, że w budynkach po bokach mieszczą się jakieś muzea czy instytucje kultury, może obiekty sportowe, ciekawe. Ale wieża, Boże, zmiłuj się nad nami, w słońcu i z bliska sprawiała jeszcze gorsze wrażenie niż oglądana zza rzeki betonowa wariacja na temat latarni morskiej, rakiety kosmicznej i strzykawki. Teraz dopiero mogłam się zorientować, że jej trójkolorowa fasada składa się z niebieskich, białych i czerwonych ceramicznych kafli i tak samo zabarwione są tafle szyb. To akurat fajne rozwiązanie, bałam się, że zobaczę odchodzącą płatami olejną farbę, byłby to wtedy pomnik najświętszego w Polsce elementu dekoracyjno-upiększającego, przynajmniej w epoce przed wynalezieniem kostki betonowej.

Vis-à-vis tej nowej dzielnicy miałam jak zawsze wylot ulicy Francuskiej, bramę na Saską Kępę. Skręciłam tam i odetchnęłam z ulgą, stwierdzając, że zgodnie z przewidywaniami Saska Kępa nigdy się nie zmienia. Nigdy tu nie mieszkałam i nie zrozumiałam obłędu jej mieszkańców, którzy Kępę traktowali jak świątynię i gdyby mogli, to wprowadziliby wizy, żeby byle kto nie mógł chodzić między ICH willami, w cieniu ICH drzew, zaglądać do ICH ogrodów i pić kawy w ICH kawiarniach, siedząc stolik w stolik z ICH artystami, bo przecież na Kępie mieszkają WSZYSCY, no mówię ci. Reszta Warszawy wyzłośliwiała się na kępskich snobów, ale i tak nie byłoby osoby, która nie chciałaby mieszkać w tej zielonej willowej enklawie, dwa przystanki tramwajowe od centrum stolicy. Najlepiej o charakterze mieszkańców świadczyła moim zdaniem anegdota ze stanu wojennego, kiedy po godzinie milicyjnej wojskowy patrol zatrzymał dwie nobliwe panie, spacerujące ze swoimi pudlami. Upomniane odpowiedziały: „Ale jak to? Chcą panowie powiedzieć, że u nas na Kępie też jest stan wojenny?".

Uśmiechnęłam się do tej myśli, mijając dwie panie dokładnie jak z tej anegdoty – tyle tylko że jedna była z jamnikiem, a druga bez zwierzaka – na co one odpowiedziały podejrzliwym spojrzeniem.

Minęłam restaurację „Na Kępie", która ze swoim tarasem istniała od zawsze, dopóki za wolnej Polski nie przerobili jej na bank, i odbiłam od Francuskiej w stronę Wisły, między modernistyczne wille i ich ogrody, teraz jeszcze smętne i bezlistne. Niewiele samochodów, na ulicach bruk zamiast asfaltu, zwykłe furtki zamiast bram z wideodomofonami, huśtawki zawieszone na drzewach zamiast trampolin, ale poza tym za każdym kolejnym zakrętem oko chwytało te same kształty, do których przyzwyczaiło mnie spędzone w tym mieście długie życie.

Niezmierzoną ilość łez wylałam na tych zadrzewionych ulicach dawno, dawno temu. Przychodziłam tu niby na spacery – w ciąży, z głębokim wózkiem, potem ze spacerówką, w końcu z małym Jackiem, uciekającym na wszystkie strony, ganiającym wiewiórki i przynoszącym mi każdego znalezionego kasztana, jakby były zrobione ze złota. Przychodziłam tutaj, dopóki Adam nie wyjechał, za każdym razem w nadziei, że coś się stanie, że wpadniemy na siebie niby to przypadkiem i mój los się odmieni. I nawet kilka razy na siebie wpadliśmy, ale mój los się nie odmienił.

Dlaczego?

Wtedy myślałam, że cóż, życie. Dziecko, ojciec dziecka, zobowiązania, odpowiedzialność, że tak po prostu jest i tyle, rozpędzony pociąg nie może zawrócić tylko dlatego, że jakiemuś pasażerowi krajobraz za oknem się nie podoba.

Dziś wiem, że to nie „cóż, życie" kształtuje los, lecz decyzje. Że Adam w istocie zrobił wszystko – zwłaszcza pod koniec – żebym mogła podjąć każdą decyzję, jaką tylko chcę.

A ja po prostu wybrałam inaczej. Czy źle? Nie wiem, inaczej.

A teraz? Szłam między cichymi domami, widziałam cień siebie sprzed kilkudziesięciu lat, cień kobiety w burej jesionce w jodełkę, z kieszeniami wypchanymi kasztanami i mimo wszystko nie czułam smutku, lecz spokój.

I to było dobre.

Nawet kiedy minęłam skrzyżowanie z Obrońców i doszłam do jego willi, o którym to momencie marzyłam od pierwszego dnia tutaj i którego bałam się tak panicznie, że przez te dwa miesiące nawet nie przejechałam przez Wisłę – nawet wtedy czułam spokój. Kochałam kiedyś to miejsce najbardziej na świecie. Adama, jego rodziców, ten wspaniały mieszczański dom z okrągłym, przeszklonym salonem, troszkę zapuszczony tajemniczy ogród, nawet latarenka z numerem domu była tu inna, ładniejsza, bardziej ozdobna. Tutaj, otoczona eksterytorialną Saską Kępą, czułam się bezpieczna, wolna od okropnej, wulgarnej, brzydkiej, schamionej i zsowietyzowanej Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Spełnienie każdego marzenia wydawało się tu możliwe.

Tutaj byłam naprawdę wolna, najbardziej w całym swoim życiu.

A potem wszystko poszło… no właśnie jak? Źle? Tego bym nie powiedziała. Inaczej.

– Dzień dobry, pani Grażyno. Tak pani stoi, nikogo nie ma w domu?

Pięćdziesiąt lat temu tata Adama wydawał mi się przybyszem z innej planety, dopiero potem zrozumiałam, że rygorystycznie przestrzegana mieszczańska forma była dla niego sposobem na ocalenie człowieczeństwa. Im bardziej otoczenie staczało się w otchłań bylejakości, tym jego buty bardziej lśniły, język stawał się staranniejszy, a maniery nienaganne. Im więcej wrzasku i nienawiści było wokół, tym on zdawał się spokojniejszy, bardziej stonowany i ważący racje. Im więcej świń i szuj podnosiło głowy, tym bardziej on dawał się poznać jako człowiek bezinteresownie dobry, szczodry i ostentacyjnie ufny. Ceną za to był widoczny w jego oczach coraz większy smutek i głównie ten smutek zapamiętałam, kiedy go zabrakło. Płakałam po nim jak po własnym ojcu, którego przecież znałam znacznie gorzej, właściwie go nie pamiętałam.

Spojrzałam na dobrą, mądrą twarz, na oczy, w których po raz pierwszy, odkąd go znam, zamiast smutku błyskały iskierki wesołości, i rzuciłam mu się na szyję. Wzdrygnął się w pierwszej chwili, zaskoczony, ale zaraz potem przytulił mnie mocno i pogłaskał po plecach. Pachniał dojrzałym mężczyzną, tak jak

powinien pachnieć ojciec i dziadek. Niemodną wodą kolońską, dymem tytoniowym i wykrochmaloną koszulą.

– Wszystko w porządku, Grażynko?

– Bardzo pana lubię i uważam, że jest pan wspaniałym człowiekiem. Chciałam to panu powiedzieć, zbyt często takie rzeczy przemilczamy, zawsze tysiąc spraw, a potem żałujemy.

Spojrzał na mnie z komicznym niepokojem.

– Ale jesteś zdrowa? I to nie jest tak, że widzisz w moich oczach śmiertelną chorobę?

Złapał się za serce, kompletnie zapomniałam, że był paranoicznym hipochondrykiem, zupełnie jak jego syn. I wtedy usłyszałam od strony domu:

– Tato, możesz nie robić z siebie wariata, proszę. W jakim świetle mnie to stawia. Jak cię boli, to zrób sobie badania.

– Uważasz, że powinienem?

– Codziennie, żeby niczego nie przegapić.

Pierwsza myśl: inaczej go zapamiętałam. Nie bardzo inaczej, ale nie jestem pewna, czybym go od razu poznała na ulicy w tłumie. Młodszy ode mnie o dwa lata, a zawsze wyglądał na mniej. Teraz patrzyłam na niego oczami osiemdziesięciolatki i widziałam dzieciaka, który przebrał się za dorosłego. Wysoki, bardzo szczupły, z ciemnymi, już teraz przerzedzonymi na skroniach włosami. W cienkim czarnym golfie, w okularach w grubych rogowych oprawkach i z rachitycznym wąsikiem wyglądał na wyrośniętego licealistę, który bardzo chce dorośle wyglądać na studniówce. Żaden przystojniak schodził w moją stronę po schodkach, żaden Belmondo czy Cybulski, raczej wyższy i chudszy Leopold Tyrmand. Ale i tak zalała mnie fala emocji i wspomnień. Ten uśmiech, jedyny w swoim rodzaju, trochę wyzwanie, trochę zachęta, trochę usprawiedliwienie; uśmiech mówiący: no, co ja poradzę, że taki ze mnie genialny, szybko myślący łobuz i król wszelkiego stworzenia.

Cmoknął mnie w policzek, lekko ściskając dłoń. Uff, czyli w tym świecie też coś nas łączy, nie jesteśmy tylko przyjaciółmi od pogaduszek nad wuzetką.

– Cześć, szpiegu – powiedziałam. – Widzę, że wróciłeś do ojczyzny.

– Do ciebie wróciłem.

Tak, nie miał ust Ludwika, nie miał jego głosu, ale za to zawsze wiedział, co powiedzieć.

8

Ludwik bał się gazet. Autentycznie wzbudzały w nim lęk. Intelektualnie rozumiał, że nic nie pomoże mu zrozumieć tej rzeczywistości lepiej niż codzienna lektura prasy. Że z doniesień o różnych ważnych i nieważnych sprawach ulepi sobie w końcu pełen obraz tej wersji Warszawy, Polski i świata, bez konieczności zadawania wszystkim dookoła kompromitujących go pytań. Więc codziennie pędził do piekarni po gazety, ale z każdym dniem przychodziło mu to z coraz większym trudem, uczucie niechęci było tak niezrozumiałe, że w końcu poświęcił jeden wieczór na to, żeby przyjrzeć się swoim emocjom i dowiedzieć, o co chodzi.

Doszedł do wniosku, że to trochę jak z lekarzem. Tak naprawdę nie boimy się lekarza. Boimy się, że coś znajdzie, że odkryje chorobę, że będziemy cierpieć, poddawać się leczeniu, może nawet umrzemy. Głupie, przecież właśnie te wizyty zwiększają nasze szanse na zdrowie i życie – a mimo to ze strachu unikamy lekarzy, nawet jeśli czujemy, że coś nam dolega. Ten sam mechanizm odnalazł w swojej prasowej fobii. Nie bał się gazet – bał się tego, że za każdym razem, kiedy je otwierał, kiedy konfrontował się ze znanymi i nieznanymi wydarzeniami lat sześćdziesiątych, uświadamiał sobie, że tutaj nie przynależy, że jest tylko gościem, że znalazł się tu nie wiadomo jak i pewnie tak samo nie wiadomo jak, na pstryknięcie palcami, może obudzić się jako stary dziad w XXI wieku.

A nie chciał o tym pamiętać. Ponieważ mimo rozterek dobrze mu było w tym świecie, no i przede wszystkim w tym ciele.

Teraz też kupił „Warszawiaka”, ale położył go na siedzeniu obok i gapił się na życie miasta na rogu Wilczej i Marszałkowskiej. Interesujące, zwłaszcza defilada po raz pierwszy pozbawionych

burych jesionek młodych warszawianek, ale nie aż tak, żeby nie zaczęło mu się nudzić. W końcu więc sięgnął po gazetę.

Pierwsze dwie strony zajmowała polityka – relacja z uroczystych obchodów rocznicy zabójstwa Stanisława Mikołajczyka w 1950 roku. Msza święta w katedrze, przemówienia pod pomnikiem na placu Saskim, oczywiście historyczne zdjęcia z zamachu pod dolną stacją kolejki na Kasprowy Wierch. Przekartkował, znał już tę historię na tyle dobrze, żeby nie czytać z wypiekami na twarzy, co się wydarzyło. Najpierw dzięki Kwiatkowskiemu Polska odzyskuje niepodległość od Sowietów w 1947, potem Inżyniera odstawiają na boczny tor i odtwarzają cały koszmarny bezsens przedwojennej polityki, brutalną naparzankę postsanacji z postendekami. Co doprowadza do tego, że pobudzony falangowiec morduje Mikołajczyka w Zakopanem. Szok sprawia, że władzę w Polsce tracą w końcu trumny Piłsudskiego i Dmowskiego, a lud znajduje pocieszenie w dobrych, smutnych oczach Eugeniusza Kwiatkowskiego, i tak to sobie trwa do dziś.

Fala przyboru na Wiśle minęła Ciechocinek. Nie ma zagrożenia dla uzdrowiska. W Japonii rodzą się zdeformowane ofiary thalidomidu, matki oskarżają producenta i rząd japoński. Tenże rząd w Tokio wyraził zaniepokojenie francuską próbą nuklearną na Saharze. Jednocześnie strajkują francuscy pracownicy zakładów atomowych. I nie tylko oni, właściwie cała Francja strajkuje. Wulkan spustoszył Bali. W Słupsku wyszła za mąż pierwsza urodzona po wojnie słupszczanka. W Zermatt groźna epidemia tyfusu.

Ta ostatnia informacja przykuła jego uwagę, przeczytał o tym, jak dur brzuszny ze szwajcarskiego kurortu razem z narciarzami rozprzestrzenia się na cały świat – w tym wypadku na cały bogaty i snobistyczny świat – i nagle powiedział na głos:

– Psiakrew.

Ponieważ zdał sobie sprawę, że jest koniec marca i właśnie kończy się sezon narciarski. Wylądował tu w drugiej połowie stycznia, dostał od losu dwa miesiące wspaniałej, mroźnej zimy i gdzie je spędził? W Warszawie. Niewiarygodne. Biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenia, być może to dobrze, że nie strzeliło mu do

głowy jechać do Zakopanego albo Szczyrku – jeszcze by nagle wyparował, przekraczając pociągiem granicę stolicy – ale i tak przykro.

Festiwal orkiestr, oper i baletów. Śmierć pod kołami ciuchci. W Bydgoszczy pojawiają się gondole. Francuzi budują okręt podwodny o napędzie jądrowym. Tegoroczne Dni Morza w każdej wsi. Coraz więcej krajów likwiduje ruch lewostronny, ostatnio Unia Południowo-Afrykańska. Nowe przepisy ruchu drogowego. Na tym się zatrzymał. Pan pułkownik z drogówki tłumaczył, że w myśl nowych przepisów piesi powinni przechodzić przez zebry tak, aby ułatwić przejazd pojazdów. A zebra nie daje im pierwszeństwa, jedynie skupia pieszych w odpowiednich punktach.

Amerykanie kupili w RFN dwa tysiące owczarków alzackich do obrony wyrzutni rakietowych. Rekord świata w biegu na 220 jardów – 20,4 sekundy. Plebiscyt na najpopularniejszych aktorów wygrywają Barbara Krafftówna i Wieńczysław Gliński. W teatrach klasyka i jakaś francuszczyzna, w kinach *Rio Bravo* i *Babette idzie na wojnę*, w księgarniach nowy zbiór opowiadań Mariana Pilota – zabawne, kojarzył nazwisko pisarza, bo rok czy dwa wcześniej, czyli w 2011 albo 2012 roku, dostał nagrodę Nike. Interesujące plany artystyczne zespołu filmowego „Kamera", który tylko w ubiegłym roku zrealizował filmy *Nóż w wodzie*, *Jak być kochaną*, *Gangsterzy i filantropi*. Pomyślał, że to dość interesujące, że zrealizowano te same filmy, które sam pamiętał z lat sześćdziesiątych. Czyżby artyści byli odporni na zawirowania historii? Coś tam im w duszy gra i to robią bez względu na to, co się dzieje wokół? Bezsensowna teza, zwłaszcza w Polsce, gdzie wszyscy mają obsesję komentowania rzeczywistości. A może poza tytułami to zupełnie inne produkcje? Powinien trochę pochodzić do kina, żeby się przekonać.

Westchnął, odłożył gazetę, zerknął na zegarek. Dwie godziny prawie już tu siedział. Zmierzchało, ludzi ubywało na ulicach, w półmroku zamieniali się w niewyraźne sylwetki. Dlatego Lucynę i Wandę rozpoznał dopiero wtedy, kiedy skręcały z ulicy w swoją bramę. Wyskoczył z samochodu i przywitał się, wymienił uprzejmości, zapytał o Grażynę.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Lucka. – Nic nie mówiła, że gdzieś wychodzi, ale może coś w szkole jej wypadło albo gdzieś poszła ze znajomymi. Był pan z nią umówiony?

Zaprzeczył i wyjaśnił, że długo się nie pojawiała, chciał sprawdzić, czy wszystko w porządku, że proces terapeutyczny, istnieją pewne mechanizmy, i tak dalej, i tym podobne.

– Ryzykant z pana – skomentowała cierpko Wanda. – Ostatnio, jak się widzieliście, okładała pana pięściami.

Nie miał na to dobrej odpowiedzi, Lucyna go uratowała.

– Długo pan tak będzie czekał?

– Tak długo, aż się pojawi – powiedział, obejmując się ramionami na znak, że mu zimno, i próbując w ten sposób wyłudzić zaproszenie na herbatę. – To bardzo ważne.

Zerknęły na siebie. Lucyna z niemym pytaniem, Wanda z powątpiewającym skrzywieniem warg.

– To może… – zaczęła Lucyna.

– Obiecamy, że gdy przyjdzie, od razu ją tutaj do pana wyślemy, dobrze? Na wypadek gdyby się z panem minęła.

I to tyle w kwestii herbaty. Ukłonił się i podziękował grzecznie, wydawało mu się, że Lucyna była rozczarowana takim obrotem sprawy, ale Wanda szybko pociągnęła ją do śmierdzącej bramy. Wyraźnie nie przypadł jej do gustu. Teraz i wtedy, i na wieki wieków, amen.

Wrócił do samochodu, odpalił silnik, żeby włączyć ogrzewanie, i wrócił do gazety, żeby zdusić rosnący w nim niepokój. Na ostatniej stronie, w dziale popularnonaukowym, znalazł relację z konferencji, na której zastanawiano się, jaka będzie Warszawa w roku 2000 i jak należy się na to przygotować. Prorokowano optymistycznie, że w Polsce będzie mieszkać pięćdziesiąt milionów obywateli, a sama stolica będzie musiała pomieścić około cztery miliony. Powstanie gwiaździsta metropolia, której centrum będzie połączone liniami metra z zielonymi przedmieściami, a spiętrzona Wisła utworzy wielkie sztuczne jeziora, nad którymi będą mogli odpoczywać warszawiacy, pracujący wówczas jedynie trzydzieści godzin tygodniowo dzięki postępującej automatyzacji. Warszawa roku 2000

będzie wielkim miastem, lecz pozbawionym piętna uciążliwości dzisiejszych wielkich metropolii.

Westchnął głośno.

Odłożył gazetę, posiedział trochę, pogapił się w dal, oczy zaczęły mu się kleić, pospacerował więc trochę wokół auta, ale szybko zmarzł, dlatego wrócił do środka. Przeczytał wszystko od deski do deski, zostały mu tylko nekrologi i ogłoszenia drobne.

Wypożyczalnia zagranicznych sukien ślubnych, duży wybór. Globulka „ZET" zapobiega. „Ratlerkę" półtoraroczną, „pekinkę" dwuletnią sprzedam. Godło plakietę przedwojennego Auto Klubu Polskiego kupię. Jesteś samotny? Napisz!

9

Po chwili niezobowiązującej rozmowy tata Adama oddalił się na drzemkę i zostaliśmy w salonie sami, resztka słońca wpadała jeszcze przez wysokie, wąskie okna. Adam opowiadał, ja słuchałam, rozkoszowałam się obecnością w tym miejscu i trochę też śmiałam w duchu, jak czas wyprasował moją pamięć. We wspomnieniach ten dom i ten mieszczański salon przypominał pałac, usytuowany tak gdzieś pomiędzy Luwrem i Wersalem, zapewne przez kontrast z otaczającą go komunistyczną beznadzieją, przeludnionymi mieszkaniami w rozlatujących się kamienicach lub klitkami na nowych osiedlach. Teraz widziałam, że to po prostu dom dobrej mieszczańskiej rodziny, pełen zakurzonych książek i bibelotów zbieranych przez pokolenia, ale też żadna arystokratyczna siedziba. Ze stołu w kilku miejscach odchodził fornir, sufit pod tarasem zaciekał na żółto, wytarcia na dywanie zdradzały przebieg ulubionych ścieżek domowników, a głównym elementem dekoracyjnym był obraz przedstawiający małego Adasia z rodzicami – słodki, ale nie towarzyszyły mu portrety przodków z kilkunastu pokoleń wstecz.

– Musimy tam pojechać, po prostu musisz zobaczyć to miejsce. – Adam opowiadał o Lyonie, w którym spędził kilka miesięcy w polskim konsulacie. – Bo sama powiedz, co kojarzysz z Francji?

– Paryż oczywiście – odpowiedziałam, ręką mnie ponaglił, żebym mówiła dalej. – Marsylię, Alpy, Lazurowe Wybrzeże, Prowansję, ocean w Bretanii, wina w Bordeaux, polskich górników w Lille, zamki nad Loarą.

– A Lyon?

– Co Lyon?

– No co wiesz o Lyonie?

– Wiem, że to jedno z miast we Francji.

– No właśnie! Nikt nic nie wie o Lyonie. Mam taką teorię, że liończycy albo lionanie, no les lyonais po prostu zmówili się, żeby siedzieć cicho i nie mówić nikomu, jakie ich miasto jest iper fantastyczne. Niech sobie ci turyści jeżdżą do Paryża i do Marsylii, i do Cannes, a my tu sobie spokojnie żyjemy w najfajniejszym mieście Republiki. Mówię ci, tam są dwie ogromne rzeki, które w Lyonie się łączą, to się nazywa confluence. I można pójść w to miejsce, jak ktoś się nie boi, bardzo dziwna dzielnica, tyle ci powiem, i widać, że te dwie rzeki mają w słońcu dwa kolory, Rodan bardziej niebieski, Saona bardziej zielony, i jak się łączą, to jest niesamowite. Pomiędzy tymi rzekami jest centrum, takie dostojne centrum z ogromnym placem, ale też obok centrum jest najbardziej magiczne miejsce, wzgórze, małe uliczki, knajpki, schodki. Za jedną rzeką masz wielki park, a za drugą stare miasto, podają tam w mordowniach taką tłustą kluskę zmieszaną z rybą, to się nazywa quenelle, w sosie chyba ze cztery kostki masła są, nie wiem, jak oni to robią. No i wina mają swoje Côtes du Rhône i z Burgundii, genialne i właściwie za darmo w porównaniu do cen u nas. No i jeszcze spójrz na mapę. Z Paryża wszędzie jest daleko, chyba że do Belgii, która przecież poza Belgami nikogo nie interesuje. A z Lyonu? Kochasz góry, dwie godziny i jesteś w Alpach. Kochasz morze? Cztery godziny i jesteś na Lazurowym. A do tego więcej słońca niż w Paryżu, więcej ciepła. Jedziemy?

– Co? – Zaśmiałam się.

– No czy jedziemy? – W jego uśmiechu była energia pozwalająca zrozumieć, dlaczego ludzkość się rozwija. Dzięki ludziom, którzy dużo gestykulują, dużo się uśmiechają i namawiają resztę, żeby

robić rzeczy głupie, nieprzewidywalne i sprawdzać, czy niemożliwe naprawdę jest niemożliwe.

– Ale kiedy?

– No nie wiem, wkrótce. Niech się zrobi cieplej.

– Ale musimy zaplanować.

– Błąd! – Dosiadł się do mnie na kanapie, chwycił za rękę. – Musimy zdecydować. Każda podróż to decyzja, potem to już drobiazgi, bilety, urlopy, prowiant na drogę. To co? Jedziemy?

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– No co się zastanawiasz, wiesz, ile jest na świecie miejsc do zobaczenia? Win do wypicia? Niezwykłych dań do zjedzenia? Mórz do pływania? Na co chcesz czekać? Na emeryturę?

– Jedziemy! – powiedziałam, czując, jak szumi mi w głowie od euforii. Jestem młoda, ale jestem mądra, nie boję się i mogę wszystko. Wszystko! Łzy zakręciły mi się w oczach.

Cmoknął mnie w kącik ust i wstał, żeby gestykulować dalej.

– Swoją drogą to jest niesamowite – opowiadał. – Nie wiem, może to dlatego, że u sąsiada trawa zawsze bardziej zielona. Widzisz, jak to w Warszawie wygląda. Ludzie przed kawiarniami siedzą przodem do ulicy, żeby było jak w Paryżu, a przecież tu zimniej, błotniej i leje, bezsens totalny. W piekarniach bagietki i croissanty zamiast chleba, w radiu Françoise Hardy, u rzeźnika wołowina pokrojona na boeuf bourguignon. We Francji przyznać się do słuchania Françoise Hardy to jest jak, nie wiem, być fanem Mieczysława Fogga albo tego jego młodego klona, jak on się nazywa?

– Jerzy Połomski?

– O, całkiem prosto.

– To czego się słucha?

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Czekaj, coś ci pokażę.

Wyszedł, a ja poczułam, że tęsknię, jak tylko zniknął za drzwiami. Miałam ochotę krzyknąć, żeby wracał, żeby mnie nie zostawiał. Odetchnęłam głęboko, żeby się uspokoić. Wrócił po chwili z jakimś zawiniątkiem.

– Tak, wiem – powiedział. – Mam prawie trzydzieści lat i nie powinienem chować ubrań przed rodzicami, są kochani, ale

strasznie tradycyjni, nie chcę im robić przykrości. Zobacz.

Wyciągnął skórzaną czarną kurtkę z suwakami i niebieskie dżinsy lewisy. Nic nie rozumiałam.

– To jest żin – wypowiedział to z francuska – a to jest blouson noir. I to jest teraz coś, a nie puszczająca lawendowe bąki Françoise Hardy. Z Ameryki, z Anglii tak samo, przychodzi rokendrol, wolność, ty wiesz, jaka w tym jest energia? W Lyonie mam płyty, tylko nie miałem jak przywieźć, jak pojedziemy, to posłuchasz. Tam nikt z naszego pokolenia nie nuci Françoise Hardy.

Założył na siebie kurtkę, trochę wisiała na jego chudym ciele jak na strachu na wróble i zaczął z naprawdę fatalnym akcentem, czasami polskim, a czasami francuskim, fałszować „can't help falling in love with you". Śmiałam się tak, że mało nie spadłam z kanapy.

– No dla mnie to pierdzisz równie słodko jak Françoise – wykrztusiłam przy „darling so it goes", wyśpiewanym z graserującym „r".

– No czekaj, to ballada, a co powiesz na to? – Odchrząknął i zaczął się wydzierać: – Rakehula, rakrakehula, rakehula, rakrakehula! – I dalej o dwa tony głośniej i dwa tempa szybciej: – Rakehula, rakrakehula!

Porwał mnie do tańca, ale dalej nie znał słów, więc tylko nucił i powtarzał rakehula, wywijając mną na wszystkie strony w sposób, który na pewno nie był rokendrolem, ale za to pełen był radosnej energii. Pomyślałam, że mogłabym mu pokazać, jak się tańczy rokendrola, ale przestraszyłam się, że być może to umiejętność, której nie powinnam jeszcze posiadać. Więc tylko szamotałam się z nim do rakehula i czułam się bardzo szczęśliwa.

Wracałam już po zmroku, zimno zrobiło się przepotwornie, ale Warszawa opustoszała i miałam miejsce nie tylko wewnątrz tramwaju, ale nawet siedzące. Patrzyłam na swoje odbicie w szybie i jak nastolatka dotykałam delikatnie warg, na których ciągle czułam jego pocałunek. Długi, delikatny, ostrożny pocałunek, który odtwarzałam bez przerwy w wyobraźni, nie mogąc uwierzyć, że

przeżywam takie emocje jako kobieta, która za dwa miesiące będzie świętować siedemdziesiąte dziewiąte urodziny.

Nawet jeśli wcześniej miałam jakieś wątpliwości, to ta wizyta rozwiała je. Adam jest miłością mojego życia. Dlatego los, Bóg, przeznaczenie, nawet Szatan – tak naprawdę miałam w dupie, kto jest sprawcą tego zamieszania – sprawili, że pojawiłam się tutaj. Aby spędzić resztę życia w sposób, który od początku został mi przeznaczony, a który przegapiłam, bo zwyczajnie za bardzo się bałam.

Właściwie do załatwienia zostało tylko jedno: Jacek. Czułam się na siłach mieć nowe, fantastyczne, pełne przygód życie. Ale nie bez mojego syna.

10

Z każdą upływającą minutą jego niepokój coraz bardziej zamieniał się w przerażenie. Na początku jeszcze tłumaczył sobie, że to wszystko przez sny jego pacjentki, że to ona wpędziła go w ten stan, minie parę godzin, dojdzie do sobie, wszystko będzie w porządku. Ale niezauważalnie irracjonalny lęk przeszedł w regularną panikę, że coś stało się Grażynie. Że wybrała się na wycieczkę za miasto albo nawet tylko pojechała za Wisłę i nagle – puf! – nie ma jej. Być może wróciła do XXI wieku, a być może po prostu zniknęła.

Co wtedy powinien zrobić? Zostać tutaj i żyć normalnie swoim życiem? Czy szybko pojechać na rogatki i też zniknąć, w nadziei, że obudzi się w swoim mieszkaniu koło ronda Starzyńskiego u boku chrapiącej żony? Śpiącej w swoim dziwacznym siatkowym czepku, którego zaczęła używać ze strachu, że jej i tak przerzedzone włosy wypadną w nocy i zostanie łysa.

A jeśli ona siedzi u kogoś i pije wino, a on zniknie i jego szlachetny gest na nic się nikomu nie zda?

Tchórzostwo podpowiadało, żeby zostać, ale też wizja pozostania samemu w tym świecie, bez nikogo, kto potrafiłby go zrozumieć, wydała mu się przygnębiająca. Łzy stanęły mu w oczach.

I wtedy otworzyła drzwi od strony pasażera i wsiadła do środka.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo – odparł takim tonem, że spojrzała na niego uważnie.

Opowiedział jej o wizycie pacjentki, o jej dziwnym śnie i o jego podejrzeniu, że są uwięzieni w Warszawie.

– To bez sensu – skomentowała, ale w jej głosie brakowało przekonania. – Mój brat wrócił właśnie z Algierii…

– Twój brat, którego czerwoni zamordowali w więzieniu, zanim się poznaliśmy?

– Ten sam.

– A co on robił w Algierii?

– Pamiętasz, jak w sześćdziesiątym ósmym wybraliśmy się z bratnią pomocą do Czechosłowacji? To teraz pojechaliśmy, do Algierii, pomagać Francuzom pacyfikować arabskie wioski, żeby im jakieś głupie pomysły o niepodległości nie chodziły po głowie.

– Tyle to wiem, nie jestem tu od wczoraj. Co on dokładnie robił w tej Algierii?

– Dokładnie nie wiem. Cieszę się, że żyje, francuskie rozróby mniej mnie obchodzą. Ale przyjechał spoza Warszawy. Dopiero co spotkałam się z osobą, która wróciła z Lyonu.

– Piękne miasto, w góry blisko.

– Jezus Maryjo, nie przerywaj mi. Dwie osoby już znam, które są spoza Warszawy. Trzy, bo przecież twoja żona też skądś wróciła.

– Nie zaczynaj.

– Stwierdzam fakt i tyle, to ty nie zaczynaj. Poza tym docierają do nas wiadomości z Polski i ze świata, czytamy gazety, no nie wiem, to by było dziwne. I bardzo niefortunne.

– Dlaczego? Wybierasz się gdzieś?

– A co cię to interesuje?

– Grażyna, zlituj się, normalnie pytam.

– A nie chcesz mnie przeprosić?

– Za to, że mi zrobiłaś scenę w knajpie i porzuciłaś przy ludziach po pięciu dekadach małżeństwa? Kiedy próbowałem dla nas,

podkreślam: dla nas, na tyle ogarnąć rzeczywistość, żebyśmy mogli żyć normalnie. Wyobraź sobie, że nie zamierzam.

Był gotów na kłótnię, ale ona tylko wywróciła oczami, ta pełna znudzenia pogarda dotknęła go bardziej niż awantura, wyrzuty i agresja.

– Nie możemy nie wyjeżdżać z Warszawy – powiedziała po chwili.

– Myślałem o tym. Oczywiście to by było niefortunne, ale być może do zrobienia. W końcu to duże miasto, umówmy się, że nigdy wiele nie podróżowaliśmy, a mi się tutaj podoba. Na dłużej pewnie nie do zniesienia, ale na parę lat.

– Żartujesz?

– Nie, naprawdę myślałem o tym, czekając na ciebie. Tyle godzin. Przez które robiłaś nie wiadomo co.

– Nie ma mowy. Po pierwsze, mam zamiar mieć nowe, wspaniałe, pełne przygód i zwrotów akcji życie. – Zabolały go te słowa jak siarczysty policzek, musiał odwrócić głowę, żeby nie zobaczyła łez. – A po drugie, dobrze wiesz, że musimy w sierpniu wyjechać za Warszawę.

– Jacek.

– Jacek.

Siedzieli w milczeniu, każde pogrążone w swoich myślach. Mogli się sprzeczać, ale fajne mieli życie, a w tym życiu najfajniejszy był Jacek. A wydarzeniem najmniej fajnym: śmierć Jacka. Żadne dziecko nie powinno umierać przed swoimi rodzicami, nawet jeśli jest już po czterdziestce, samo ma dzieci, zakola i piwny brzuszek. Po prostu nie powinno. I nie musieli się odzywać, każde wiedziało, że drugie myśli o tym samym, każde też wiedziało, że zrobią wszystko, aby tutaj ponownie mieć Jacka. Bez względu na to, jak fantastycznie, irracjonalnie i beznadziejnie to brzmiało – musieli spróbować. Musieli być w Pluskach tej sierpniowej nocy.

Wiele razy rozmawiali o tym, że pary zazwyczaj nie wiedzą ze stuprocentową pewnością, kiedy poczęły swoje dzieci. Próbują zgadywać, ale stosunek do stosunku podobny, daty dokładnie określić się nie da, fajnie, jeśli to wypada w okolicach wyjazdów lub

świąt, można dzieciom ściemniać, że powstały w Londynie albo na Gwiazdkę, albo u cioci w domku letniskowym, ale pewności nie ma.

Oni mieli. Wtedy, w Pluskach, w czas żniw, gwałtowna ulewa złapała ich w czasie spaceru po lesie. Przemoczeni do suchej nitki, drżący z zimna znaleźli schronienie pod dębem, rosnącym od wieków na rozstaju leśnych dróg. Drzewo było tak rozłożyste, że w jego cieniu rozciągała się duża, porośnięta trawą i mchem łączka. Tam, na tej łączce, zaczęli się całować, potem dotykać, a potem kochać. Było w tym akcie nie tylko pożądanie, nie tylko miłość i bliskość, ale coś z pogańskiego obrządku. Do tej chwili byli po prostu kochankami, od niej – stali się sobie przeznaczeni.

Uruchomił silnik i ruszył gwałtownie.

– A ty dokąd?

– Gdzie jest najbliższa granica Warszawy?

– Chyba nie chcesz…

– A teraz o co ci chodzi? Przed chwilą jęczałaś, że nie możesz tu zostać, a jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. No gdzie? Wawer? Piaseczno?

Patrzyła na niego w skupieniu, nie mrugając oczami, z przygryzioną wargą, podejmując decyzję.

– Jedź na Olsztyn, tak jak byśmy chcieli do Plusek.

Skręcił z Wilczej w Marszałkowską na północ. Jechał dość szybko przez ciemną, pustą Warszawę, szybciej, niż powinien.

– Normalnie jadę na Gdańsk? – zapytał odruchowo, zawsze jej się pytał, orientacja w drogowej przestrzeni nie była jego mocną stroną.

– Tak, nie, czekaj, przecież Wisłostrady jeszcze nie ma, pamiętam, że jakoś inaczej się wtedy jeździło, tylko auta nie mieliśmy, Jezu Chryste, jak te pekaesy śmierdzące jeździły, już wiem, jedź na Pragę koło zoo i dalej na północ.

Tak też zrobił. Skręcił w Aleje Jerozolimskie, pokonując tym samym mostem tę samą trasę, którą ona dopiero co jechała i którą wracała od Adama, rozpamiętując jak nastolatka pożegnalny pocałunek, potem zjechał z mostu i ruszył na północ wzdłuż Wisły. Minął rozświetlone otoczenie Wieży Przyjaźni (część drogi biegła tutaj w tunelu) potem ciemne przestrzenie Parku Praskiego i zoo i nagle za mostem Gdańskim Warszawa się skończyła. Na

Jagiellońskiej wjechał w tak zaskakującą ciemność, że zwolnił i się zatrzymał.

– Co robisz?

– To jeszcze Warszawa? Te dzikie pola?

– Nie widziałam tabliczki. Ale wiesz co, na wszelki wypadek jedź powoli.

Jechał powoli. Droga nie miała nic wspólnego z tym, co znał. Jagiellońska jego czasów była kilkupasmową arterią obstawioną sklepami, magazynami i osiedlami mieszkaniowymi. Ta ulica była brukowaną kocimi łbami jezdnią, na której z trudem minęłyby się dwa autobusy. Musiał się obejrzeć, żeby sprawdzić, że za nim znajduje się miasto, domy, latarnie, inaczej mógłby uwierzyć, że wpadł w dziurę czasoprzestrzenną prowadzącą do jakiejś podlubelskiej wsi.

Za nim miasto istniało, mrugając obojętnie światełkami. Ruszył więc i jechał wolno, mile zaskoczony tym, jak wspaniale hydrauliczne zawieszenie citroëna radzi sobie z nierównym brukiem. Po obu stronach jezdni, cóż, praktycznie nie było nic. Pola, chałupy, sady owocowe, co jakiś czas przystanek autobusowy linii „B”. Przejechał około kilometra, zanim reflektory citroëna wydobyły z ciemności zieloną tablicę z przekreśloną nazwą „Warszawa”.

Zatrzymał się kilka metrów przed nią i zgasił silnik, ale światła zostawił zapalone. Bez słowa wyszli z samochodu i razem podeszli do tablicy, rzucając przed sobą długie cienie. Zbliżyli się do niej na wyciągnięcie ręki i stali bez słowa, nie bardzo wiedząc, co dalej. Czuł, że to on powinien zrobić krok, skoczyć naprzód i sprawdzić. Jeśli zostanie – to dobrze. Jeśli zniknie – ona dostanie od niego możliwość decyzji, czy i jak długo zostać tutaj.

Tak się powinien zachować mężczyzna.

Wtedy Grażyna pewnym krokiem ruszyła do przodu, mijając granicę tego dziwnego miasta, które tak bardzo zawsze jest w trakcie powstawania, że trudno powiedzieć ze stuprocentową pewnością, czy istnieje i czy to wszystko, co dzieje się w jego granicach, jest prawdziwe.

Zniknęła w cieniu, zanim zdążył zareagować.

11

Zrobiłam jeden krok, drugi, minęłam lekko wygniecioną tablicę z napisem „Warszawa”, zamknęłam oczy, wstrzymałam oddech i weszłam w mrok. Czego się spodziewałam? Chyba jakiegoś popisu fajerwerków z fabuły science fiction, że podniesie mnie niewidzialna ręka i ciśnie przez czasoprzestrzeń, gwiazdy będą wirować wokół, aż w końcu spadnę na łóżko w swoim mieszkaniu z XXI wieku i tak się nieszczęśliwie walnę w łokieć, że już do końca życia będzie mnie rwał na złą pogodę.

Przeszłam kilka kroków i nagle poczułam zmianę. Nie, żaden wir, szarpnięcie, błysk, nic z tych rzeczy. Bardzo delikatną, ale niepokojącą. Przestałam słyszeć szum wiatru w drzewach. Zrobiłam jeszcze kilka kroków. Skończyły się kocie łby i poczułam pod stopami twardą nawierzchnię, chodnik albo asfalt. Powietrze zrobiło się mniej wiejskie, bardziej suche, pachnące nie mokrą ziemią, tylko kurzem i spalinami.

Zatrzymałam się, z trudem przełykając ślinę.

Oczy ciągle miałam zamknięte, ale czułam, że wokół jest więcej światła. I więcej dźwięków. Przejechał szybko samochód, potem autobus, z przeciwnej strony ktoś oślepił mnie światłami, co sprawiło mi ból nawet przez zaciśnięte powieki. Z każdą sekundą pojawiało się więcej świateł i dźwięków, z prawej strony usłyszałam szczęk pistoletu do tankowania, czyjś głos, szmer automatycznych drzwi, dźwięki rockowej muzyki z radia.

Czułam, co mnie otacza, co się materializuje wokół. Warszawa, rok 2013. Pewnie stoję koło Orlenu albo Shella, nie pamiętam, co jest w tym miejscu na Jagiellońskiej. Po lewej mam sześć pasów ruchu i tory tramwajowe, przed sobą, jak tylko otworzę oczy, zobaczę trzy kominy elektrociepłowni na Żeraniu z migającymi regularnie czerwonymi światełkami.

Wracam. Wszystko stracone. Żegnaj, mój świecie.

Szkoda.

Tak bardzo, bardzo, bardzo chcę tutaj zostać.

Chrzanić to, jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Otworzyłam oczy.

Otaczały mnie zarośla i ciemność, pod nogami miałam kocie łby, tylko daleko nad drzewami mrugały regularnie czerwone światła elektrociepłowni. Mrugnęłam kilka razy, za każdym razem zdawały się coraz bledsze i w końcu zniknęły.

Bardzo dziwne.

Wróciłam do Ludwika, który na tle reflektorów citroëna był tylko czarnym cieniem, ale i tak wszędzie bym poznała jego sylwetkę, krzywiznę ramion, kształt głowy, czuprynę zawsze zwichrowaną na jedną stronę.

Tęskniłam i czułam, że on też tęskni, że wystarczyłoby go wziąć za rękę, pogodzić się, pojechać gdzieś do hotelu i wrócić do bezpieczeństwa, do jakże znajomej miłości, do tego, żeby było jak zawsze.

– Prawdziwy z ciebie mężczyzna – powiedziałam. – Nie uśmiechało się sprawdzać samemu, czy znikniesz, czy nie, co?

– Wyrwałaś do przodu jak wariatka, nie słyszałaś, jak cię wołam?

Nie słyszałam.

– Nie mogłeś pobiec za mną?

– Oszalałaś? Masz teraz do mnie pretensje, że sama polazłaś w krzaki, a ja nie rzuciłem się, żeby cię ratować przed wszechświatem?

Podszedł do mnie i wziął moje dłonie w swoje.

– Grażyna, wszystko w porządku? Wydajesz się strasznie spięta.

Powietrze zgęstniało. Ja to poczułam i wiedziałam, że on też. Od pierwszej nocy, przez pięćdziesiąt lat nasz związek trwał dzięki cielesnej bliskości. Oczywiście Jacek, przyjaźń, wspólne doświadczenia, wspomnienia, przygody, wiele było cegieł w murze naszej miłości, ale wszystko spajał seks. Gdyby nie on, nigdy nie przetrwalibyśmy kilku pierwszych lat, z Jackiem czy bez. Zawsze, czy akurat trafił się moment lepszy, czy gorszy, powietrze między nami drżało od napięcia, w łóżku się kłóciliśmy i w łożku się godziliśmy, tam się żegnaliśmy i witaliśmy, nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego tak było, akceptowałam ten stan jak grawitację i światło słońca – coś, co istniało, i już.

Teraz powietrze też drżało. Okres mi się właśnie skończył, nic nie stało na przeszkodzie, żeby wejść do samochodu, ściągnąć te straszne rajstopy i uprawiać seks, na samą myśl o tym, że mogłabym szczytować za parę chwil, zakręciło mi się w głowie.

Wystarczył jeden gest.

– Grażyna – zaczął. – Jesteśmy jedynymi osobami w tym wszechświecie, które mogą się ze sobą dogadać. Naprawdę chcemy to odrzucić? Wsiądźmy do samochodu i pojedźmy przed siebie. Do Gdańska. Mam tyle pieniędzy, żeby przeżyć kilka miesięcy, zastanowimy się, co dalej, jak jeszcze raz przeżyć życie, żeby wyciągnąć z każdej chwili, co się da. Spróbujemy powtarzać momenty fajne, unikać tych samych błędów, odkrywać rzeczy nowe. To się nam nie uda z nikim innym. Wiesz o tym, prawda?

Pomyślałam, że mogłabym powiedzieć „tak", uprawiać dziki seks na tylnym siedzeniu citroëna, a zaraz potem zmienić zdanie. Zaraz po dwóch orgazmach w sensie. No, trzech. Niegrzeczna, niegrzeczna ja.

– Nie – powiedziałam.

– Co „nie"?

– Wszystko nie. Nie uważam, że tylko ze sobą możemy być szczęśliwi. I nie chcę z tobą jechać do żadnego Gdańska, żeby tam próbować wejść do tej samej rzeki i udawać, że to najnaturalniejsza rzecz na świecie. Po prostu.

Patrzył na mnie długo, w końcu puścił moje dłonie.

– Ale chcesz mieć ze mną dziecko?

– Nie będę pierwszą samotną matką w dziejach ludzkości.

– Słucham?! – powiedział, podnosząc głos. – Chcesz mnie potraktować jak jakiegoś byka inseminatora? Który cię zapłodni, a potem na święta będzie wpadał zobaczyć dziecko? Co to jest? Żart? Jeśli tak, to wyjątkowo nieudany. Ja też chcę mieć mojego syna! Też chcę mieć te wspomnienia! I nie wolno ci mi ich odbierać, rozumiesz?!

Cofnęłam się o krok, ponieważ z każdym zdaniem się nakręcał, wypełniała go coraz większa furia. Albo nigdy nie widziałam go w takim stanie, albo zapomniałam, jaki kiedyś był porywczy.

– Wrócimy do tego tematu w sierpniu. Teraz proszę, żebyś mnie odwiózł do domu.

Stał tylko i patrzył na mnie, miał we wzroku coś takiego, że poczułam lęk.

– Ludwiku, bardzo cię proszę.

Odwrócił się bez słowa i wsiadł od strony kierowcy. Zrobiło mi się przykro, bo przez te wszystkie lata zawsze otwierał mi drzwi.

Kwiecień

1

Jego dłonie były wielkie jak bochny chleba – po raz pierwszy naprawdę zrozumiałam to wyświechtane określenie – i tak też czułam je na swoich piersiach, jakby ktoś położył na nich cieplutkie, świeżo wyjęte z pieca pieczywo. Kiedy mnie puścił, żeby zrobić notatki, poprawić jakieś kreski na arkuszu papieru milimetrowego, nieomalże jęknęłam z zawodu.

– Ta, jeszcze się szanowna pani nie rozebrała, a od razu wiedziałem, ży lewa większa. Na miseczce to będzie w sumie ze dwa centymetry. Bajbusek będzie tę wolał, zobaczy pani.

– Ignac! – krzyknęła żona gorseciarza, która siedziała przy biurku obok i albo notowała rzucane przez niego liczby, albo podliczała jakieś rachunki, albo oganiała się od czwórki dzieci, które wróciły ze szkoły i czekały, aż przyjdzie starsza siostra i się nimi zajmie. – Proszę wybaczyć te wszystkie uwagi. To dlatego, że mąż bardzo lubi dzieci.

Spojrzałam w dół na twarz klęczącego przede mną Ignaca. Musiał uklęknąć, żeby sięgnąć wygodnie do mojego biustu, chłop miał ponad dwa metry i posturę raczej kowala niż krawca, naprawdę był gigantyczny. Mrugnął do mnie i uśmiechnął się promiennie pod ogromnymi wąsiskami w stylu Piłsudskiego, w życiu chyba nie spotkałam sympatyczniejszej osoby niż ten mistrz gorseciarstwa ze Lwowa.

– Ta, jeszcze tylko szkic zrobię i już si może pani ubierać. Proszę si rozluźnić.

No to się rozluźniłam, w ogóle byłam wyjątkowo wyluzowana jak na sytuację, w której od kwadransa stoję półnaga przy dwóch przyjaciółkach, obcym facecie i całej jego wielodzietnej rodzinie. Może dlatego, że scena pozbawiona była jakichkolwiek podtekstów erotycznych, sam Ignac miał w sobie coś z sympatycznego

ginekologa, a jego dzieci pewnie widziały już biustów tyle, że kolejny nie robił na nich najmniejszego wrażenia.

Papier milimetrowy odsunął na bok i szybko szkicował mnie od pasa do szyi na kawałku brystolu, bardzo zręcznie cieniując kształt moich piersi, w niektórych miejscach robił strzałki i stawiał tajemnicze znaki, które zapewne były jakimiś kodami niedoskonałości, miejscami, w których odbiegałam od normy. Czekałam cierpliwie. Jak mówiłam wcześniej, gotowa byłam zapłacić nerką za wygodny stanik, wizyta u gorseciarza i pozowanie mu na golasa wydawało się bardzo niewygórowaną ceną.

– Ta, proszę teraz powiedzieć, jaki stanik pani potrzebuje. Do sukni ślubnej, do sportu, na plażę, na uwodzenie…

– Ignac!

– Wygodny – powiedziałam bez chwili wahania. – Cienki, przewiewny, który nie pije, nie uwiera, nie musi eksponować, nie musi wypychać do góry…

– Szczęściara – mruknęła Lucyna, przeglądając „Ty i ja” i paląc kolejnego papierosa.

– …nie może mieć żadnych wkładek i przede wszystkim nie może wypychać piersi do przodu, to mnie najbardziej w tych moich denerwuje.

– Francuskie? – zapytał pan Ignacy, cały czas szkicując.

– Chantelle.

Prychnął pogardliwie.

– Ignac. – Głos żony brzmiał bardzo spokojnie, ale nietrudno było usłyszeć w nim ostrzegawcze nuty.

Gorseciarz mimo to odłożył brystol i podniósł ze stołu mój wywatowany od środka kremowy stanik, którego tak nienawidziłam.

– Proszę spojrzeć na siebie i na to, czym si różni?

– Kształtem? – zaryzykowałam.

– Francuskie biustonosze powinny być w ogóle tutaj zakazane. – Wrócił do rysowania. – Sikorka polska, ukraińska i ruska ma biust okrągły jak pampuszek. A kobieta francuska spiczasty, taki wulkanik malutki, albo w ogóle jegu ni ma. To si ni może udać. I te rzeczy wszystkie fabryczne, no ja si ni denerwuje, ale to też si ni może

udać. Każda ma inną dłoń, inną nóżkę i inne piersiątko. Trzeba dbać o siebie.

– Mamo, mogę ciepłego mleka? – Po raz pierwszy poczułam się nieswojo, ponieważ najmłodsza pociecha gorseciarskiej pary powiedziała to zdanie, gapiąc się prosto na moje cycki.

– Mogę się już ubrać? – zapytałam.

– Bardzo proszę – odpowiedział bardzo zadowolony pan Ignacy. – A teraz zapraszam panie.

Lucyna zgasiła papierosa i spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby właśnie spostrzegła, że gorseciarz ma dwie głowy i jedna zaczęła pożerać drugą.

– A niby dlaczego? – zapytała zaczepnie.

– Dlatego ży ma pani zły biustonosz i przez to panią bolą plecy.

Lucyna spojrzała na nas zdziwiona.

– Jezu, skąd pan wie? Myślałam, że to przez to łóżko diabelskie niewygodne i że mnie Wanda na ścianę ciągle spycha.

Pan Ignacy nie odpowiedział, popatrzył tylko dobrodusznie tym swoim wzrokiem Piasta Kołodzieja skrzyżowanego z radzieckim bioenergoterapeutą i gestem zaprosił do siebie. Lucyna dłużej nie protestowała, zwolniłam jej więc miejsce. Dopiero teraz spostrzegłam, że mistrz ma podłożoną pod kolana niewielką poduszeczkę, wyglądała jak świśnięta z kościelnego klęcznika. Kabaret jakiś, a pomyśleć, że jak mi pierwszy raz Wanda opowiadała o królu staników z Woli, któremu pół Warszawy daje się obmacywać, to myślałam, że zmyśla. A okazało się, że miesiąc musiałam czekać na wizytę, i to tylko dlatego tak krótko, że ciotka Wandy znała jego żonę.

– Panie raczą zobaczyć. – Pan Ignacy wskazał półnagą Lucynę gestem cyrkowego magika, ta oczywiście od razu wzięła się pod boki i spojrzała na niego groźnie, zapominając, że w jej sytuacji cokolwiek komicznie to wygląda. – Niewielki, ale okrągły, ciężki drożdżowy pampuszek, żaden croissant z leciutkiego ciasta. Francuski biustonosz ani angielski ni będzie na niego pasował, nawet ni ma co próbować. I żaden fabryczny, przecież nawet jeśli objętość mają tę samą, to jeden jest krótszy, a drugi dłuższy, od razu

to widać. Elżuniu! Proszę, pisz wymiary pani. – Chwycił za centymetr. – Ta, ja to powtarzam codziennie…

– To akurat prawda – burknęła Elżunia.

– …ży po piersiach widać, jak się Europa dzieli na różne światy. Zachód, jak mówiłem, małe i spiczaste, igły busoli wycelowane w kolonie. Wschód, okrągłe pampuchy, często w kształcie łez, ile si przecież te ziemie wycierpiały. Południe, ciężkie, słoneczne, wszystkie jakby karmiące w kształcie kościelnych dzwonów. Północ, twarde, odważne, włożysz orzecha w dekolt, to rozłupiesz. Moim zdaniem historia cywilizacji… – Skończył wstępne mierzenie i właśnie położył dłonie na Lucynie, przykrywając prawie w całości jej drobny tułów, kiedy żona postanowiła zakończyć jego wywody.

– Ignac, albo przestaniesz natychmiast, albo zamkniemy interes, żebym się z tobą mogła spokojnie rozwieść.

Westchnął ciężko, ale przestał, spojrzał na Wandę.

– A panią następną oględniemy, pani nawet nic ni nosi.

Zamyślonej Wandzie zajęło chwilę zrozumienie, że ostatnie zdanie zostało skierowane do niej.

– Przecież ja nie mam co nosić w biustonoszu – burknęła, ale widać było, że nie jest odporna na magię lwowiaka i że być może przeszło jej przez myśl, że mistrz potrafi wyczarować jej biust w taki sposób, aby nie wyglądało to nienaturalnie i sztucznie, bo tak to się zwykle kończyło w jej przypadku z gotowymi wyrobami.

Pan Ignacy nie raczył nawet odpowiedzieć, jedynie spojrzał dobrodusznie, co sprawiło, że Wanda zarumieniła się i zgodziła skinieniem głowy na udział w bieliźniarskim rytuale. A ja kartkowałam porzucone przez Lucynę „Ty i ja” i nie zastanawiałam się nad odwiecznymi związkami między kształtami biustów a losami kultur, lecz nad tym, co podać na kolację. Tak, wiem, dopiero co się przedstawiałam jako niezłomna krzewicielka feminizmu, ale zależało mi, żeby zrobić dobre wrażenie z każdej strony i kulinarnie olśnić zarówno Adama, jak i – może nawet bardziej – jego rodziców.

Narodowość nigdy nie miała dla niego szczególnego znaczenia, przy wszelkich dyskusjach o cywilizacyjnych różnicach między narodami nudził się zawsze potwornie, uważając socjologię oraz antropologię za nauki podrzędne wobec psychologii, badającej istotę indywidualnego człowieka. W końcu czym były społeczeństwa, narody, grupy etniczne, lokalne i religijne, jeśli nie zbiorowiskiem indywidualności. Rozumiał, że grupy te – zwłaszcza próbujące kontrolować dusze – miały wpływ na psyche swoich członków, ale czymże był ten wpływ wobec pierwotnych lęków, potrzeb i żądz, którymi w swoim życiu kierował się człowiek? Polak, Francuz, nazista, katolicki zelota, islamski fundamentalista i patologiczny kibic Legii Warszawa na kozetce stawali się po prostu ludźmi, żyjącymi w cieniu rodzinnej historii.

Dlatego choć zauważał wszystkie różnice cywilizacyjne między swoimi a obecnymi latami sześćdziesiątymi, to nie poświęcał im wiele uwagi i nie zajmował się ich analizą, traktując je w sposób bardzo użytkowy. A na szczycie listy wszystkich zmian, związanych z kulturalną kolonizacją francuską, stawiał naleśnikarnie. Kreperie stały się najbardziej rozpowszechnionym ulicznym jedzeniem w Warszawie i traktował to jako dar niebios, ponieważ uwielbiał wszelkiego rodzaju naleśniki i to po nie wędrował do barów mlecznych w czasach ich prosperity. Podobało mu się, że krepy zastąpiły takie peerelowskie potwory jak zapiekanki i bułki z pieczarkami oraz znane już z wolnej Polski hamburgery, sajgonki i kebaby, wszystkie wyżej wymienione dania mające za wspólny mianownik stary tłuszcz i/lub górę mięcha tajemniczego pochodzenia. W porównaniu z nimi leciutki, usmażony na maśle naleśnik z mąki gryczanej lub pszennej, z dodatkiem różnych serów i warzyw w wersji na słono oraz owoców w wersji na słodko, wydawał się przybyszem z innej dietetycznej planety.

W obecnej Warszawie kreperie można było znaleźć wszędzie, od wykwintnych na Józkowie przez jadłodajniowe w każdej dzielnicy aż po budy z kilkoma zaledwie podstawowymi rodzajami

naleśników nieomalże na każdym rogu. Wszystkie toczyły ze sobą nieoficjalny – a kiedy „Stolica” organizowała swój doroczny konkurs, także oficjalny – bój na nazwy i nadzienia. W najbardziej reprezentacyjnym „Axis Krepi” podawano naleśniki z kawiorem z jesiotra, włoską mortadelą i szwedzką suszoną rybą. Z kolei w „Weselu w Krepowicach” starano się oddać kuchnię z każdego zakątka Polski, legendarne były tamtejsze naleśniki kaszubskie zwijane razem ze śledziowymi rolmopsami, których nie sprzedawano bez kieliszka wódki. Do polskiej klasyki weszły zainspirowane pierogami naleśniki ruskie oraz z kapustą i grzybami, w „Cep Krep” wyspecjalizowano się w najróżniejszych farszach grzybowych, w sezonie jesiennym na stolik trzeba było czekać podobno w kolejce na dwie przecznice, ponieważ bar nie przyjmował rezerwacji. I tak dalej, i tym podobne, zazwyczaj jednak menu było zbliżone, tak jak w „Dubeltowym Noblu” na Ochocie, gdzie właśnie siedział z Iwoną. On miał w sobotę luźniejszy dzień, ona co prawda pracowała, ale wyskoczyła na lunch z pracy w Instytucie Radowym. Właśnie bliskość instytutu zainspirowała właścicieli do nazwy oraz karty, w której klasyczne krepy nosiły radioaktywne miana typu „Polon” lub „Rad”, podstawowy bretoński naleśnik ser-jajko-szynka nazywał się „Pierre”, a suzette „Skłodka Marysia”. Dwa ostatnie w zestawie dziesięć procent taniej.

Iwona, cały czas w fartuchu laboratoryjnym, z przyczepionym dozymetrem, pałaszowała „Pierre’a” w takim tempie, jakby nie widziała jedzenia od tygodnia. Efekt tego, że rano szkoda jej było zazwyczaj czasu na śniadanie inne niż duży kubek kawy.

– Kamil dzwonił do mnie do biura, wrócili w końcu od jego rodziców i chcieliby wpaść wieczorem. Mówią, że wina nawieźli cały bagażnik.

Nie miał pojęcia, kim jest Kamil. I jego żona zapewne, skoro „chcieliby”. Ton Iwony wskazywał na przyjaciół, co najmniej bliskich znajomych.

– Doskonale – powiedział. – Przygotuję jakąś kolację.

Zastygła bez ruchu dokładnie w momencie, kiedy wkładała kawałek naleśnika do ust, nieścięte białko z jajka zaczęło formować

długą kroplę na dole kęsa. Popatrzyła na niego, odłożyła kawałek jedzenia na talerz i wytarła usta serwetką.

– Co zrobisz?

– Kolację. Dawno nie gotowałem, mam ochotę.

– Ludwiku, oczywiście zdajesz sobie sprawę, że od początku naszej znajomości w moje urodziny przynosisz mi jajka na miękko do łóżka, a poza tym, mówiąc oględnie, nie znałam cię jako mistrza kuchni.

Serio? Wszystko mu się mieszało we wspomnieniach, wydawało mu się, że gotował zawsze, ale może faktycznie to się zaczęło wtedy, kiedy Grażyna wyjechała do sanatorium? Zostawiła jemu i Jackowi wielki gar bigosu na tydzień, ale przypalił go pierwszego dnia i nie miał wyjścia, musiał zacząć robić kotlety i gotować ziemniaki. A potem poszło z górki, najpierw zauważył, że mechaniczne czynności krojenia i smażenia go odprężają, a potem uzależnił się od podziwu rodziny, kiedy wyszło mu coś nowego. Teraz nabrał pewności, że wszystko to zaczęło się znacznie później niż koniec jego pierwszego małżeństwa.

– Spróbuję, obiecuję, że nic z grzybami, żeby nas nie zamordować. – Próbował obrócić dziwną sytuację w żart. – Ty i tak siedzisz w pracy, ja dziś nie mam nic do roboty. Kupię dużo słonych paluszków, na wypadek gdybym poległ.

Pokiwała bez słowa głową, patrząc na niego ciągle dość podejrzliwie.

– Zgoda, oczywiście. Ale nie jesteś bratem bliźniakiem mojego męża, który właśnie wyszedł z więzienia, zamordował go i teraz się pod niego podszywa?

– Myślisz, że bym się przyznał?

– Racja.

– Nie masz się czym martwić, droga Jadwigo.

– Bardzo śmieszne.

Wrócili do jedzenia. Patrzył na dozymetr z jej imieniem i nazwiskiem, myśląc, że poprzednio Iwona nie pracowała w Instytucie Radowym, tylko w Świerku, polskim centrum badań jądrowych. Niby ta sama branża, niby ciągle pierwiastki promieniotwórcze, ale widział wyraźnie, że praca nie dla

teoretycznego dobra nauki, tylko w lecznictwie była jej prawdziwym żywiołem. Wtedy była fizykiem, teraz fizykiem, której badania zostały ściśle połączone z medycyną, w tym wypadku onkologią ginekologiczną. Wtedy nie mogła rozmawiać o pracy, wszystkie jej badania traktowano jako ściśle tajne, teraz godzinami potrafiła się rozwodzić o możliwościach bomby kobaltowej, czasami miał wrażenie, że mieszkają we trójkę: ona, on i bomba. Wtedy przez jej kontakt z radioaktywnością na wszelki wypadek nie starali się o dziecko, a potem, wiadomo, wszystko stało się nieaktualne. A teraz?

Czy powinien w ogóle o to pytać? Grażyna postawiła sprawę jasno, ale jeśli w sierpniu spróbują począć Jacka – cieleśnie tęsknił za nią tak potwornie, że odliczał dni do tego momentu – i jeśli im się uda zrobić Jacka albo w ogóle jakiegoś nowego człowieka, to co wtedy? Wrócą do siebie? Zaczną go wychowywać jak rozwiedziona para? Dostanie co drugi weekend i pół wakacji? Czy to będzie oznaczało koniec małżeństwa z Iwoną?

Postukał palcem w dozymetr.

– Jak to się ma do macierzyństwa? – spytał.

Wywróciła oczami.

– Znowu?

– Teoretycznie pytam. – Poczuł, że temat musiał być drażliwy i wiele razy przegadany. – Ogólnie.

– Ludwiku, daj spokój, wiem, dlaczego pytasz. Po raz kolejny zresztą. Teoretycznie dostałam w swojej karierze mniej milisiwertów, niż gdybym mieszkała na przykład w Norwegii. Teoretycznie po osiemnastu latach od Hiroszimy wiemy jeszcze niewiele, ale nie widać wzrostu statystycznego w uszkodzeniach płodu, ale w płodności w ogóle już tak. I w końcu teoretycznie nie jestem pewna, czy mam ochotę, żeby dziecko wyjęło mnie na trzy lata z badań w dziedzinie, w której rewolucyjny postęp dokonuje się co tydzień. Ale to i tak wszystko nieważne, ponieważ praktycznie od lat nie używamy żadnych zabezpieczeń i co? I nic.

Kelnerka przyniosła słodkie naleśniki, od razu poprosili o kawę i rachunek.

– Bardzo chcesz mieć dzieci? – zapytała.

Bardzo chciał mieć swoje, jedyne, najukochańsze, najfantastyczniejsze dziecko, ale tego nie mógł powiedzieć.

– Szczerze? Nie wiem.

– Ja też nie. Może bez histerii próbujmy normalnie, jak się trafi, to się trafi. Za dwa lata się przebadamy, jak to wygląda z naszą płodnością. I jak się okaże, że nie wygląda, to nie wiem. Adopcja? Za chwilę ta cała rozwydrzona dzieciarnia poczęta zaraz po wojnie zacznie mieć swoje dzieci i sierocińce znowu będą pełne.

Uśmiechnął się i pogłaskał ją po dłoni, tym samym gestem, który wtedy Grażyna zobaczyła przez witrynę marokańskiej knajpy. Nauczony złym doświadczeniem zerknął za okno, na zatłoczoną Grójecką, ale nikt nie stał przy szybie z wściekłą miną.

Kelnerka położyła przed nimi rachunek na karteczce z nadrukowanym symbolem radioaktywności. Pierwotna kwota została przekreślona, poniżej wpisano drugą, mniejszą o połowę.

– Instytut ma zniżki – wyjaśniła Iwona, widząc jego zdziwione spojrzenie.

Pomyślał, że czas postępu i wiary w naukę ma swoje dobre strony. Kto w XXI wieku obniżyłby rachunek naukowcowi?

3

Zapomniałam już, jak życie towarzyskie może być nużące. Stary człowiek nie prowadzi intensywnego życia imprezowego i uczuciowego, nie musi błyszczeć, lśnić i stroszyć piórek. Ma swoich starych, wypróbowanych przyjaciół i razem z nimi się starzeje, wymyślając nowe okoliczności dla starych anegdot, aby móc je opowiedzieć po raz tysięczny podczas gry w remika. Akurat ten aspekt starości traktowałam jako zbawienny, ponieważ przez całe życie uważałam czas imprezowy za stracony, najidiotyczniej spożytkowane godziny z tych niewielu, jakie udaje się wyszarpać naturze. Te koncerty, na których nic nie słychać i człowiek żałuje, że nie siedzi w domu i nie słucha płyty. Te rauty, gdzie trzeba prowadzić rozmowy o niczym z ludźmi, z którymi normalnie by się słowa nie zamieniło. Te ochlajparty po prywatnych domach, gdzie

od dziesiątej wszyscy patrzą na siebie wzrokiem mętnym albo wulgarnie pożądliwym, jakby właśnie nie trzymali swojej żony za rękę. Te bary, w których nie dość, że wszyscy się drą i muzyka dudni, to jeszcze majątek schodzi na chrzczone drinki i gówniane wina. Teraz widzę, że starość stanowiła błogosławione wybawienie od takiego życia.

Tak sobie myślałam, spacerując po mieście z Adamem i dwójką jego francuskich przyjaciół, którzy przyjechali na wycieczkę do Warszawy. Przyjaciele byli dzieciakami plus minus w wieku Adama, czyli około dwudziestu siedmiu lat, niedawno pokończyli swoje francuskie szkoły dla bogatych dzieci z dobrych rodzin i właśnie zaczynali podbój świata. A dla Adama mieli stanowić przepustkę do starych francuskich rodów w jego karierze wymarzonego przemysłowego łącznika między gospodarką polską i francuską. Tak, dobrze rozumiecie, miałam się uśmiechać ładnie jako idealna narzeczona swojego kosmopolitycznego narzeczonego. Nuda.

Oczywiście poszliśmy do Rezerwatu.

Sporo się zmieniło, odkąd zobaczyłam go po raz pierwszy, i musiałam usiąść na śmietniku, żeby nie stracić przytomności. Od tamtej pory kilkakrotnie odwiedzałam ruiny przy Koszykowej i niezmiennie odnosiłam wrażenie, że ta część Warszawy rządzi się innymi fizycznymi prawami. Słońca docierało tu mniej, wiatr nigdy nie rozwiewał zapachu gruzu, kroki stawiało się wolniej, jakby ciężar historii potęgował działanie grawitacji. Czułam się tu jak w kościele i tak też się zachowywałam, bezbłędnie odróżniając zadumanych warszawiaków od przyjezdnych, którzy potrafili się tu zachowywać niczym w wesołym miasteczku, trzaskając zdjęcia w śmiesznych pozach, jedząc lody na patyku i przyczepiając do szlufek spodni te słynne breloczki z kawałkiem warszawskiego gruzu.

Rezerwat w założeniu miał być pomnikiem wojny i powstania. Wzruszał mnie zawsze sposób, w jaki upamiętniono poległych, zabitych i po prostu zmarłych w czasie powstania. Wszystkich, którzy na terenie Rezerwatu walczyli i zginęli, lub tych, którzy tutaj mieszkali i nie dożyli końca wojny, uhonorowano prostymi plastrami brzozy z wyrytym bądź wypalonym imieniem

i nazwiskiem. Te naturalne plakietki, przyczepione do pozostałości fasad, niszczyły się od śniegu i deszczu, ginęły, turyści brali je jako pamiątki. I nikt z tym nie walczył, ponieważ częścią upamiętnienia było zadanie stołecznych szkół, żeby co roku sprawdzać, które nazwiska zginęły, jeszcze raz je wykonać i przytwierdzić. Dzięki temu każdy kolejny rocznik młodych warszawiaków musiał się zmierzyć z pamięcią o powstaniu, w jakiś sposób stać się częścią tej pamięci. Jeśli chcecie znać moje zdanie – bardzo mądry zabieg.

We czwórkę szliśmy pozostałościami Lwowskiej, samym centrum Rezerwatu, skąd nie było widać ani kawałka normalnego miasta. Jedynie ruiny, zasnute gruzami parcele, kamienice o różnym stopniu wypalenia. To tutaj stał najwyższy ceglany szkielet, na szczycie którego płonął wieczny ogień, upamiętniając wydarzenia sprzed dziewiętnastu lat.

Słowo o naszych gościach. Adrien robił zdjęcia, wszystko go dziwiło i o wszystko pytał, miły pyknik z lekkim brzuszkiem, wzbudzający naturalną sympatię. Marcel, wysoki i przystojny, z czarnymi lokami do ramion, sprawiał wrażenie bogatego dupka i bardzo chciałam się dać pozytywnie zaskoczyć, ale na razie nie dawał mi tej szansy.

– Mimo wszystko nie wiem, czy nie lepsze byłyby pomniki – powiedział Adrien, podnosząc z ziemi brzozową tabliczkę i próbując przymocować ją w miejscu, z którego odpadła.

– Tak myślisz, bo jesteś z cywilizacji kamienia – odpowiedział Marcel. – Z cywilizacji gotyckich katedr i zamków nad Loarą. W świecie drewnianych chałup takie upamiętnienie wydaje się właściwsze.

Nie skomentowałam, ale rosła we mnie wściekłość, nie była to pierwsza uwaga Marcela, pozornie neutralna i wynikająca ze znajomości różnych kultur, a tak naprawdę podszyta bezrefleksyjną francuską wyższością. Miałam ochotę odszczeknąć, że te gruzy i te tabliczki to także efekt tego, że tatusiowi Marcela nie chciało się ruszyć dupy i wypełnić sojuszniczych zobowiązań w trzydziestym dziewiątym, kiedy kilka francuskich czołgów mogło powstrzymać całe to szaleństwo. Ale rozumiałam, że gra toczy się o przyszłość Adama, o to, czy wejdzie do hermetycznych kręgów francuskich

wyższych sfer, choćby do przedpokoju. I grałam narzeczoną z lat sześćdziesiątych. Choć Bóg mi świadkiem, nie było to proste.

Słyszalne nawet tutaj dzwony Świątyni Opatrzności Bożej wybiły południe i dwójka Francuzów zaczęła się wiercić, znak, że nadeszła pora karmienia.

Weszliśmy przez bramę w fasadzie, której podziurawiona kulami i odłamkami struktura przypominała gąbkę, i reprezentacyjną, przedwojenną klatką schodową – częściowo zawaloną od strony podwórka – dostaliśmy się na ostatnią kondygnację, gdzie na dachu zamienionym w taras restauracji czekał nasz stolik. „Syrenka" nie była może – na ile udało mi się rozgryźć stołeczną scenę kulinarną – lokalem najwykwintniejszym, ale moim zdaniem najciekawszym. Mieściła się w Rezerwacie, na kilku piętrach kamienicy odrestaurowanej tylko na tyle, aby nie zawaliła się pod ciężarem kotletów schabowych.

– Dzień dobry, pani profesor. – Przy drzwiach czekała ubrana w biały fartuszek Żozi. Wiedziałam, że w weekendy dorabia w tej knajpie, i zależało mi, żeby nas obsługiwała. Raz, że naprawdę lubiłam tę dziewczynę, dwa, chciałam, żeby zgarnęła napiwki od zagranicznych gości.

– Stolik już czeka na państwa – powiedziała grzecznie, oczywiście z nerwów pomyliła rodzajnik, we Francji stół jest dziewczynką. I po kilku schodkach zaprowadziła nas na podwyższenie na dachu, gdzie nasze miejsce czekało przy krawędzi budynku od strony Noakowskiego.

Nawet Marcel z całym swoim zblazowaniem i szyderczą ironią nie mógł pozostać obojętny na ten widok. Patrzył dookoła może nie z rozdziawioną gębą, ale na pewno z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Tuż za krawędzią budynku mieliśmy kampus Politechniki z pięknym i strojnym Gmachem Głównym na pierwszym planie. Strona nauki. Za plecami – wypalone kikuty Rezerwatu, kolejne okaleczone pierzeje zachodziły na siebie niczym pasma górskie, a wieczny ogień migotał nieomalże na wyciągnięcie ręki. Strona śmierci. W stronę centrum ciągnęły się dość nudno zwyczajne dachy zwyczajnej Warszawy, ale najciekawszy widok roztaczał się po stronie południowej, gdzie doskonale widać było

założenie urbanistyczne Józkowa. Oś Bulwaru z reprezentacyjnymi gmachami, w tym budynkiem Efu, flankowana z jednej strony laską marszałka, a z drugiej monumentalną twierdzą Świątyni Opatrzności, wyglądałaby zjawiskowo sama w sobie, a w zderzeniu ze zgliszczami Rezerwatu ta strona przyszłości wysyłała czytelny przekaz: tak, Warszawa to miasto niezwyciężone.

– La ville invincible – skomentował z podziwem Adrien.

Tak jak mówiłam, zdecydowanie sympatyczniejszy. Świeżo wykształcony inżynier morski chciał pracować w jednej z naszych stoczni i pomyślałam, że z tym to się pewnie jeszcze zaprzyjaźnimy, zwłaszcza że będzie miał polską żonę, zanim zdąży policzyć do trzech, całkiem byli Francuzi nieodporni na słowiańskie kształty, jasne oczy pod ciemnymi brwiami, blond warkocze i wystające kości policzkowe.

Zamówiłam sztukę mięsa w sosie chrzanowym, reszta wzięła różne inne polskie klasyki, gołąbki, gęsinę i tak dalej. Do tego francuskie wino, Marcel nie chciał słyszeć o żadnym innym, normalnie też bym się pewnie napiła, ale wzięłam wódkę, żeby nie dawać szmondakowi satysfakcji.

– Bahco dziękuji – powiedział po polsku Adrien, uśmiechając się do Żozi, kiedy przyniosła mu zimne nóżki na przystawkę.

– Nie wysilaj się, oni tu wszyscy mówią po francusku przecież. – Marcel machnął ręką. – Nawet jeśli nie przerabiali jeszcze stołów i krzeseł.

Wymieniłam spojrzenia z Adamem i już otwierałam usta do riposty, kiedy Adrien mnie wyręczył.

– Ja to zawsze jak gdzieś jadę, próbuję choć parę słów powiedzieć. Poza tym języki są fascynujące, wiesz na przykład, że Polacy deklinują? Mają kilka różnych form rzeczownika, jak w łacinie. Pomyśl, jaką to daje precyzję wypowiedzi.

– Zoli i Hugo jakoś nie przeszkadzał brak przypadków.

– Rozmawiałeś z nimi ostatnio na ten temat?

Parsknęłam śmiechem.

– A pan, panie Marcelu, też zamierza zawodowo związać się z Polską? – spytałam. – Bo jeśli tak, to może się okazać, że takie

dziwne, szeleszczące słowa, jak „szmondak”, „szuja” i „obszczymur” mogą się panu przydać.

Adam momentalnie włożył sobie kawałek pasztetu do ust, żeby zdusić rosnącą w nim wesołość.

– A co one oznaczają konkretnie?

– Różne zwroty grzecznościowe, w negocjacjach na pewno użyteczne.

– Zobaczymy. Przyznaję, że najbardziej interesuje mnie to, co najwięcej warte, a tam nie obędzie się bez trudnych rozmów.

Zaciekawił mnie.

– A co pan ma na myśli?

– Ziemię. Trzysta tysięcy kilometrów słabo zagospodarowanych terenów, na których można zrobić wszystko. Fabryki, więzienia, farmy, ośrodki badawcze, nawet całe miasta. Inwestycje, których budowa byłaby zbyt niebezpieczna w zurbanizowanej Europie, a w tych lasach można zmieścić, co tylko się chce.

– Poligon jądrowy na przykład.

Marcel żachnął się.

– Ja rozumiem, że pani chce koniecznie widzieć we mnie buca i kolonizatora, ale proszę mnie nie traktować jak idioty. Polska to nie bezludna Sahara, żeby tutaj testować broń jądrową. Ale już przemysł jak najbardziej, korzystając z tańszej ziemi i tańszej siły roboczej. Jeśli unia celna wejdzie w życie, a wszystko na to wskazuje, to nagle tysiąc kilometrów od francuskiej granicy można mieć zakład produkujący na francuski rynek za połowę francuskich kosztów. Za chwilę wszyscy się zorientują, ruszą na poszukiwanie najlepszych miejsc, najlepiej skomunikowanych, najlepiej zorganizowanych. I ja chcę tam na nich czekać razem z najbardziej pożądanymi gruntami. Wyjdzie pewnie drożej niż w Algierii, ale za to bez problemu transportu morskiego i tubylców, którzy chcą nam odciąć głowy maczetami.

– Trochę to brzmi jak kolonizacja – skomentowałam.

– A trochę jak wymiana, na której obie strony korzystają. Szczególnie jednostki najsprytniejsze i najbardziej obrotne.

Żozi przyniosła główne dania, przed Marcelem postawiła gołąbki. Podziękował jej po francusku.

– Pani ma mnie za ignoranta, ale ja znam historię Polski. To historia biedy, nędzy, skrajnych nierówności społecznych, drewnianych chałup i błotnych duktów. Z jednej strony nieliczni panowie we dworach, z drugiej naród niewolników umierających z głodu. Nawet klasowo podzielona Francja wyglądała przy was jak oaza równości. Teraz po raz pierwszy dostajecie szansę wejścia do klubu, w którym od tysiąca lat próbujecie być, a my jesteśmy waszym członkiem wprowadzającym. I w zamian chcemy na tym skorzystać. Ktoś na tym traci? Moim zdaniem nikt. Ale oczywiście możecie wrócić do klubu, w którym jesteście mniej lub bardziej wbrew swej woli od trzystu lat, czyli o tam. – Wskazał ręką na wschód.

Uśmiechałam się uprzejmie, słuchając jego przemowy, ale gotowało się we mnie z wściekłości, czułam taką furię, że byłam o mały włos od rzucania talerzami na wszystkie strony, byleby spuścić trochę tego ciśnienia. A wiecie, co jest najgorsze? Byłam taka wściekła, bo jeśli odłożyć na bok emocje, narodową dumę, wszystkie kotłujące się w moim DNA narodowe mity i wyobrażenia, jeśli zostawić tylko suche fakty. Marcel miał rację.

– Nawet wasze narodowe danie to alzacka kapusta faszerowana. – Mrugnął do mnie. – Macie tu w ogóle coś swojego?

– Na Teutatesa, Marcel, przestań drażnić panią Gragine i zajmij się jedzeniem. Moja gęś jest doskonała, ani we Francji nigdy takiej nie jadłem, ani w Niemczech, które nazywasz Alzacją. Wódki się lepiej napijmy, a pani niech mi opowie, czy daleko jest z Warszawy do tej kopalni soli, o której piszą w przewodnikach.

Odetchnęłam głęboko i zajęłam się turystyczną konwersacją z Adrienem, Adam i Marcel zaczęli rozmawiać o jakichś technicznych wynalazkach, napięcie opadło i cała wyprawa zamieniła się w zwyczajny obiad grupy znajomych w podobnym wieku. Słońce jak na koniec kwietnia grzało całkiem nieźle, sztuka mięsa smakowała wybornie, panorama Warszawy cieszyła oczy, bodźców dostawałam zewsząd tyle, że nawet nie myślałam o Ludwiku. A muszę się przyznać, że wystarczało wrzucić myśli na bieg jałowy i od razu leciały do niego. Coraz częściej zastanawiałam się, czy jakaś opcja „to może zostańmy przyjaciółmi” nie byłaby

możliwa. Po to, żeby się czasami spotkać, porozmawiać, opowiedzieć o wszystkich przygodach, przyjaźniach i rozmowach. Brakowało mi czasami tych rozmów tak, że aż mnie skręcało. Tego siedzenia przy stole w szlafrokach, szukania okularów, oglądania na zmianę „Faktów" i „Wiadomości", mierzenia ciśnienia, przerzucania się durnymi informacjami, jakie znajdowaliśmy każde w swojej gazecie i albo wszczynania awantur o narosłe przez pięć dekad żale, albo śmiania się z tego, że jesteśmy dziadami wpadającymi w tony, że „świat kiedyś to dopiero, a ta dzisiejsza młodzież, lepiej nie mówić".

Tęskniłam strasznie. Rozejrzałam się po tych obcych ludziach, obcej knajpie i obcym mieście i zatęskniłam jeszcze bardziej.

A potem przyszło do płacenia rachunku.

Byliśmy grupą znajomych, a nie grupą ministrów i przemysłowców, kto wie, może za parę lat, więc Adam płacił za nas, a Francuzi każdy za siebie.

– Spora górka, takie są tutaj zwyczaje? – zapytał Marcel, widząc, że Adam dorzucił dwadzieścia złotych napiwku.

– Żozi jest uczennicą Grażyny, przyda jej się. – Adam uśmiechnął się do Józi, która podchodziła do stołu za plecami Marcela, niewidoczna dla Francuza.

– W Femmes Sans Frontières?

Przytaknęłam.

Marcel roześmiał się głośno, sięgnął do portfela, wyciągnął plik franków i dorzucił do odliczonej kwoty złotówek.

– Odbiorę sobie w naturze, jak już jej wypalicie na tyłku stempel jakości. Kiedy matura?

Adrien roześmiał się gardłowo, tracąc momentalnie całą moją sympatię. Znałam wszystkie durne dowcipy krążące o Efie, ale ten tutaj, wypowiedziany tym tonem, na dodatek z Żozi stojącą tuż za plecami Marcela, która mimo braku talentów językowych najwyraźniej zrozumiała każde słowo, ponieważ zrobiła się purpurowa i łzy stanęły jej w oczach – miałam ochotę zamordować żabojada.

I wtedy Adam wstał i zapiął marynarkę.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział na tyle głośno, że przy sąsiednich stolikach podniosły się zaciekawione głowy. – Obraziłeś moją narzeczoną i obraziłeś jej uczennicę. Żądam, abyś przeprosił je natychmiast w obecności wszystkich tu zebranych.

Marcel chyba zrozumiał, że przegiął, ponieważ też wstał i zapiął marynarkę.

– Je voudrais vous…

– Po polsku – przerwał mu lodowatym tonem Adam. – Jesteśmy w Polsce.

Ciemne oczy Marcela pociemniały jeszcze bardziej.

– Uważaj – wyszeptał.

– Powtarzaj za mną – odpowiedział spokojnie Adam i po polsku powiedział wyraźnie, ale dość szybko: – Błagam szanowne panie o wybaczenie.

Zaśmiałam się w myślach. Upokorzenie boli bardziej niż cios pięścią. Cholerny francuski arystokrata wiedział jednak, jak się zachować w każdej sytuacji. Podszedł do Żozi, skłonił się nisko i pocałował ją w rękę.

– Buagam szennie oczenie – powiedział głośno, czym spowodował wybuch radości w całej sali.

Potem podszedł do mnie i próbował pocałować w rękę, ale zamiast tego uścisnęłam ją po męsku.

– Mademoiselle, buagam szennie oczenie – powtórzył.

4

Kwiecień międzynarodowym miesiącem smażenia kapusty. Takie przynajmniej można było odnieść wrażenie w Muranowskiej Superjednostce Mieszkalnej Numer 3. Z nastaniem wiosny zamieszkujący Trójkę lud zabrał się do przygotowywania ukochanego dania wszystkich Polaków – smażonej młodej kapusty. Z kminkiem, z boczkiem, ze smalcem, z kiełbasą, z koperkiem, na maśle, wersji byłe tyle, ile mieszkań, i wszyscy uważali swoją za jedyną prawdziwą i autentyczną wersję tego dania. I byłyby te zawody nawet urocze, gdyby nie to, że wielki Le Corbusier

najwyraźniej nie przewidział, że w jego cacuszku wszyscy zabiorą się jednocześnie do smażenia kapusty, wentylacja nie nadążała i nie było w całym ogromnym bloku miejsca, gdzie nie unosiłby się kwaśno-tłusty zapach. Ludwikowi zdawało się, że wydobywa się nawet z kranu po odkręceniu wody.

On sam bardzo się postarał, żeby na swoją kolację przygotować danie, w którym kapusty nie było ani grama.

Okazało się, że Kamil to tak naprawdę Camille, a „oni" to Camille i jego żona Maryla. Mieli koło trzydziestki, on był inżynierem w polskiej fabryce Citroëna, ona zajmowała się administracją w jakimś instytucie projektującym meble, z niektórych wzmianek przy kolacji domyślił się, że to od niej pochodzi część wyposażenia, ta najbardziej nowoczesna. To znaczy nowoczesna jak na lata sześćdziesiąte, pomyślał Ludwik, próbując odnaleźć się w sytuacji, kiedy gościł u siebie swoich najlepszych przyjaciół, których nigdy nie widział na oczy. Wrócili po trzech miesiącach pobytu u rodziny Camille'a w Besançon i spragnieni byli kontaktu, opowieści, nowinek i plotek.

Przed katastrofą spowodowaną totalną nieznajomością tych osób, historii ich przyjaźni i wszystkich anegdotek i wspomnień, jakie łączą zaprzyjaźnione pary, uratowała go kuchnia.

– Chłopie, ja muszę powiedzieć, że ty miałeś jeden pomysł wspaniały. – Podczas kolacji Camille w ogóle nie posługiwał się francuskim, jego polszczyzna czasami pozostawiała trochę do życzenia i miała śmieszne warszawsko-knajackie naleciałości, ale była płynna i sprawnie nawigowała w gąszczu końcówek.

– Jak na to wpadłeś? – Iwona i Maryla spytały o to jednocześnie.

– Raz, dwa, trzy, moje szczęście! – krzyknęła Iwona i roześmiały się obie.

– Siedziałem u mechanika…

– Twoja auto, ona się popsuła?

– Drobiazg, nieważne. – Nie miał pojęcia, co zmyślić, może w ogóle citroëna serwisowali dzięki Camille'owi w fabryce i nie mieli żadnego mechanika? – Siedziałem i czytałem babskie gazety, tam był o tym cały artykuł.

– I mówiłeś, że to się woła jak?

– Pizza. Dwa zet w środku. Pomyślałem, że to tak proste, że musi się udać. Ciasto z mąki, wody i drożdży, na to sos pomidorowy i takie dodatki, jakie się tylko chce. I na chwilę do bardzo rozgrzanego piekarnika, moment i gotowe.

Iwona spojrzała na niego z takim zachwytem, że zapomniał na chwilę o tęsknocie za Grażyną, od początku kolacji nie mógł przestać myśleć, jak bardzo by ich to wspólnie rozbawiło, że przygotował w latach sześćdziesiątych pizzę. Z dostępnych składników, więc mało ortodoksyjne.

– Ta z oscypkiem i ogórkiem kiszonym jest wspaniała – zachwycała się Maryla, gryząc kolejny kawałek, między jej ustami a trójkącikiem pizzy rozciągała się nitka roztopionego sera. – Taką też podają we Włoszech?

– Ja bahdzo wątpię! Bourgogne?

Ludwik opróżnił kieliszek i ochoczo podsunął go pod szyjkę butelki. Choć znał Marylę i Camille'a od dwóch godzin, a zwykle ciężko nawiązywał kontakty z nowymi ludźmi – Grażyna zżymała się zawsze, że albo ma taką minę, jakby się nudził, albo jakby analizował rozmówców, żeby użyć tego w pracy naukowej – polubił ich bardzo szybko. On był typem radosnego testosteronowca, duży mięsisty facet, który na głowie wyłysiał pewnie jeszcze w podstawówce, za to spod rozpiętej koszuli i podwiniętych rękawów wylewało mu się czarne futro. Ona wyglądała przy nim jak Jane przy Tarzanie – niska, drobna blondynka o delikatnej figurze bajkowej wróżki z rysunków Szancera, z rysami twarzy tak doskonałymi, że ciężko było oderwać od nich wzrok.

– A ty, mon chèri, kiedy coś ugotujesz swojej ukochanej? – spytała.

Camille spojrzał na żonę znad kawałka pizzy z sardynkami, której Ludwik się w ogóle bał, jak to się uda z sardynką w pomidorach zamiast tuńczyka, ale wyszło zaskakująco dobrze, może tłustawo trochę.

– Ty myślisz o…

– O czymś innym niż herbata. Twoja matka potrafi zrobić w kuchni praktycznie wszystko, a jesteś jedynakiem, więc na pewno

ci przekazała sekrety swojego flana, swojego cuisse de canard confite, o tych perwersyjnie dobrych ptysiach nie wspomnę.

Camille spojrzał przerażonym wzrokiem najpierw na Iwonę, a potem na Ludwika, jakby to z ich strony spodziewał się odsieczy, ale ponieważ nic takiego nie nastąpiło, postanowił zmienić temat.

– Co tam słychać u Edwarda, mój stary? Mam nadzieję, że w formie przed wybohami? Byliście na jakimś zlocie?

Ludwik dopiero po chwili zrozumiał, że pytają go o Edwarda Gierka.

5

Ale czemu nie chcesz, żebym ci pomogła? Nie rozumiem, naprawdę.

– Dlatego że chcę wam zrobić niespodziankę. Jeśli zrobi pani sałatę z winegretem i przygotuje zastawę, to będzie wystarczająca pomoc.

Mama Adama westchnęła ciężko, jakby w prowincjonalnym teatrze zabrakło mikrofonów i chciała być pewna, że jej westchnienie usłyszą w ostatnich rzędach.

– Ale jakbym pomogła, mogłabyś się doprowadzić do porządku przed kolacją.

Teraz to ja bliska byłam takiego westchnienia, że szyby by w oknach strzeliły, ale ugryzłam się w wargę i uśmiechnęłam do niej promiennie. Kochana to była kobieta, ale nawet jak na warunki lat sześćdziesiątych dość staroświecka. Adam przytrafił im się dość późno, kiedy miała czterdziestkę, może nawet trochę więcej, co oznaczało, że jego rodzice urodzili się w XIX wieku w zaborze rosyjskim, a jedno i drugie pamiętało dobrze pierwszą wojnę i odzyskanie niepodległości. Kochani ludzie, wspaniali, dobrzy, wykształceni, uważni i czuli – ale troszkę niedzisiejsi. Miałam wrażenie, że tyle czułości nagromadzili, czekając na dziecko, że jak już się pojawiło, to ciągle mieli jej taki nadmiar, że obdarowywali nią resztę świata, czy to się reszcie świata podobało, czy nie.

– Żebyś tak nie musiała prosto od kuchni do stołu. – Cały czas patrzyła na mnie tym dobrym wzrokiem starszej pani (młodszej

o ponad dekadę ode mnie) w kremowej sukience i dopasowanych butach, założonych specjalnie na kolację, żeby było elegancko. Doceniałam, ale akurat kroiłam cebulę i się bałam, że sobie od tego jej wzroku palec utnę.

– Pomóc w czymś? – Adam włożył głowę do kuchni.

– Nie! – wrzasnęłam na niego i dopiero wtedy jego mama też odebrała komunikat.

– To ja nakryję do stołu. Adasiu, sięgniesz mi sztućce z kredensu?

Teraz to się dopiero spięłam. Szykowałam kolację raczej na żartobliwie, żeby pokazać im jedzenie, jakiego na pewno nigdy nie próbowali, ale nic to nie było wystawnego, wręcz przeciwnie. Raczej do pogryzania na tarasie i picia piwa z butelki. A oni się stroili i wyciągali najlepsze zastawy, jakby to była kolacja zaręczynowa. Cóż poradzić, menu nie zmienię, jest co jest i tyle. Pokroiłam cebulę, pokroiłam pomidora, wyjęłam z lodówki przygotowane wcześniej mięso i sprawdziłam, czy piekarnik się dostatecznie nagrzał. Może jeszcze sos szybko zrobię majonezowo-musztardowy?

Złapałam swoje odbicie w oknie kuchni. Wyglądałam wspaniale. Spektakularnie. W czerwonym fartuszku w białe grochy na sukience z odkrytymi ramionami, z lekko rozwianymi od krzątania się włosami, z zaróżowionymi policzkami. Miałam wrażenie, że patrzę na obcą osobę.

Wróciłam do blatu, postawiłam patelnię na gazie i pomyślałam, że szkoda, że Ludwika tu nie ma, on by akurat tę kolację docenił, razem byśmy ze śmiechu umarli chyba.

6

Camille z każdym zdaniem udowadniał, że jest w stu procentach znaturalizowanym Polakiem, który do białego rana może rozmawiać o polityce. Chyba że to też francuska cecha, tego Ludwik nie wiedział. Po którymś z kolei kieliszku, zwłaszcza odkąd przełączyli się z wina na calvados, polszczyzna gościa straciła na elegancji, zyskała za to polemiczny temperament.

– To jest nieuwierzalne, że ja muszę ciebie przekonywać. Ja, ten Fhancuz!

– Po prostu głośno myślę, przecież nic się zmieniło, cały czas jesteśmy po tej samej stronie. – Czyli stronie Edwarda Gierka, nie mógł uwierzyć, że na głos mówi te słowa. – Tylko czasami pojawia się we mnie obawa, czy nie lepiej za wszelką cenę trzymać z Francją i Niemcami, niż ryzykować eksperyment, który może się udać, a może nie udać.

– Ludwik, ty mnie znasz i ty wiesz, że ja kocham Polskę i że to moja dhuga pathia. I że gdybym musieć wybiehać, to wybieham Polskę niż Fhancję. Tutaj są inni ludzie, inna zieleń, inny powietrze, inaczej się hozmawia, inaczej pije, inaczej je, inaczej tańczy na wesel. Ja nie chcę, aby Polska zamieniła we Fhancję. Ja mam Fhancję we Fhancji, a w Polskę chcę mieć Polskę. A wy nie?

I opróżnił kieliszek. Ludwik rozlał calvados.

– I naprawdę nie ma w nikim z was wątpliwości? – zapytał.

Iwona roześmiała się.

– Kochanie, nie mogę uwierzyć, że o to pytasz. Co się stało? Przecież do tej pory to ty ciągnąłeś nas za uszy na zloty, nosiłeś Gierkowi kawę i przekonywałeś nieomalże przypadkowo napotkane osoby, żeby uwierzyły w Unię. A teraz mówisz zdaniami prosto z rządowej propagandy. A to ty zawsze powtarzałeś: nie straszcie nas Moskwą! Nie straszcie nas Moskwą, bo to już nie działa! Twoje słowa.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, ułamał więc sobie kawałek pączka i popił jabłkową brandy.

– W Efie nie uczyli mnie historii Polski – powiedziała Maryla, a on starał się ukryć kolosalne zdziwienie, że siedząca przy nim kobieta jest absolwentką szkoły Grażyny. – Historii filozofii, historii literatury, cywilizacji, Europy. Bardzo mnie wykształcono kosmopolitycznie i światowo, ale o historii własnego narodu nie wiedziałam nic. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Iwona i Camille pokiwali z zadumą głowami, on też pokiwał, zapewne opowiadała mu historię w tym gronie oczywistą jak wschody i zachody słońca.

– Już kiedy byłam żoną Camille'a, to on zachęcił mnie, żebym się dokształciła. I najbardziej mnie zdziwiło, jak bardzo Polacy, nikt w mojej rodzinie, jasna sprawa, ale jak wielu ludzi walczyło i tyle poświęciło, nawet życie, żeby ten kraj przetrwał. A teraz, kiedy w końcu jest tak wspaniale, chcesz dołączyć do nich? – W jej głosie usłyszał oburzenie, ale też cień pogardy. – I tak po prostu to oddać? Własnymi rękami się skolonizować, wyrzucić tę tożsamość, o którą tak zawzięcie walczyliśmy? Co się z tobą dzieje, Ludwiku?

Rozumiał, że nie przemawia przez nią publicystka ani historyczka amatorka, w jej goryczy pobrzmiewały nuty osobistego rozczarowania, wszystkie jego radary doświadczonego terapeuty zadrżały i skierowały się na nią. I nie chodziło tylko o edukację. Wiedział, że do Efu trafiały czasami dziewczyny naprawdę z dołów społecznych, z patologii. Czasami po prostu tak biedne, jak to tylko możliwe na mazowieckiej i lubelskiej wsi, czasami takie, które naoglądały się wódczano-przemocowej beznadziei. Co najmniej naoglądały. Dlaczego w takim razie Maryla gryzie rękę, która ją z tej beznadziei wyrwała? Poczucie winy? Zapewne. Musiała kogoś zostawić, pewnie młodsze rodzeństwo, może braciszka, który nie miał szans załapać się do szkoły dla dziewcząt. Tak, analizowanie jej mogłoby być bardzo interesujące.

Rozumiał, że żeby być w zgodzie z tym sobą, którego zastąpił, lądując w tej rzeczywistości, i który co rusz go zaskakiwał, powinien się zgodzić, wszyscy tego od niego oczekiwali. Ale nie mógł, nie ze swoją wiedzą, czym może stać się Unia Słowiańska – a może stać się okupowaną przez Sowietów ziemią jałową, odciętą od reszty świata żelazną kurtyną. Może. A może nie. Może to on się mylił?

– A jeśli – podniósł ręce w obronnym geście, uprzedzając ich atak – a jeśli jest tak wspaniale w tym całym układzie, właśnie dlatego, że jesteśmy kolonizowani?

Maryla prychnęła, Iwona spojrzała na niego z lekką naganą, Camille roześmiał się serdecznie, wlał w siebie resztkę calvadosu i objął go po przyjacielsku.

– Ludwik, ty musisz uwierzyć na swój khaj. Jak każdy Polak myślisz, że to jest nic, a to jest wielki khaj i no, ludzie też są fohmidabl. Zaufaj Unii. Zaufaj Edwahdem Giehekiem. Jeśli jemu się

uda i jeśli dołączy do niego z wojska Jahuzelski, to Polska będzie wielka. Bez Fhancji i bez Moskwy, po phostu wielka. A jeśli uda się zhobić całą Unią, jeśli do Polski dołączą inne nahody słowiańskie, to wtedy to będzie potęga.

7

Mama Adama nie potrafiła się przemóc i z widocznym apetytem, ale jednak bardzo dystyngowanie, jadła przygotowanego przeze mnie hamburgera, polując srebrnymi sztućcami na jego fragmenty, które od krojenia rozpierzchały się po całym talerzu. Adam i jego tata pałaszowali po nowoczesnemu, czyli ściskając kanapki w garści i wycierając w wykrochmalone serwetki ręce po każdym kęsie, kiedy odkładali moje dzieło na talerz, aby wziąć udział w konwersacji.

Tata Adama nie przestawał się zachwycać.

– Steak haché od razu z sałatką i chlebem, wyborne, naprawdę wyborne.

– Tato, już przestań, jak jakiś prowincjusz, wstydzę się za ciebie. To amerykański wynalazek, coraz więcej osób o tym wie w Europie.

Mama Adama odłożyła sztućce.

– Adasiu, na pewno zdajesz sobie sprawę, że cywilizacja nie narodziła się w Ameryce. I że być może w świecie, w którym cywilizacja rozwijała się przez tysiące lat wcześniej, ktoś wpadł na pomysł, żeby włożyć kawałek smażonego mięsa między dwa kawałki chleba. Nawet jeśli ktoś inny doprowadził to potem do takiej perfekcji jak Grażynka.

Nie byłam pewna, czy cała ta wypowiedź stanowiła komplement pod moim adresem, ale uśmiechnęłam się, bo strasznie lubiłam ich wszystkich. Cały ten wieczór towarzyszyło mi wrażenie, jakbym oglądała zdjęcia w sepii w starym rodzinnym albumie i nagle do niego wpadła, jak w jakiejś powieści dla młodzieży. Światła, kolory, emocje – wszystko wydawało mi się spokojne, stonowane, rzeczywistość otulała mnie pluszowym kokonem i dawała poczucie bezpieczeństwa. Był moment, pięćdziesiąt lat wcześniej, kiedy

przychodziłam do tego domu na Saskiej Kępie, przekonana, że wkrótce to będzie także mój dom. Że mama Adama stanie się matką taką, którą zawsze chciałam mieć, a tata Adama zastąpi mi ojca, który osierocił mnie na samym początku wojny. A sam Adam będzie towarzyszem na resztę życia pełnego przygód i czułości. A potem miałam gorszy moment, nawet nie pamiętam dlaczego, szukałam pomocy i nagle pojawił się Ludwik. Wtedy wydawało się, że to nic poważnego, przerywnik, fizyczna fascynacja, hormonalne rodeo. A potem urodził się Jacek. I nie wiedziałam kompletnie, co zrobić. A zanim się ogarnęłam, zanim pozbierałam myśli, zdarzył się sześćdziesiąty ósmy, który wszystko przypieczętował, i moje życie potoczyło się tak, jak się potoczyło.

Czym się różni moja wizyta w tym mieszczańskim salonie od wizyt sprzed pięciu dekad? Tym, że wtedy widziałam przed sobą jedynie przyszłość, teraz czułam bagaż całego życia, tyle się kotłowało w mojej głowie wspomnień, że na wizje przyszłości brakowało miejsca. A razem ze wspomnieniami – tęsknota za Ludwikiem. Czy dam radę się jej wyrwać?

– Mama cały czas mówi o tym, co było – perorował Adam. – A jeśli poczytamy książkę od historii, to się dowiemy, że nigdy nie udało się sprawić, żeby wciąż było tak, jak zawsze było. Świat porusza się tylko w jednym kierunku: do przodu. Ku przyszłości, ku nieznanemu, ku postępowi.

– Jak Ikar – skomentowała chłodno mama Adama.

– Jak Prometeusz – odparował mój chłopak.

– Może doczytaj, synku, jego historię do końca. On też źle skończył.

– Uwielbiam ten mit i znam go ze szczegółami. Został ukarany przez takich, którzy chcieli, aby było tak, jak zawsze było. Uważasz, że mieli rację?

Tata Adama skończył hamburgera i wytarł ręce.

– Adasiu, mama chyba chce powiedzieć, że nie można patrzeć do przodu, nie zerkając czasem wstecz. Masz oczywiście rację, że świat zmierza ku postępowi, ale to jest możliwe tylko dlatego, że zna swoją historię. Nie byłoby Einsteina bez Newtona, a Newtona bez Kopernika. I mama ma trochę racji, że nawet jeśli Amerykanie dziś

jedzą hamburgery i to oni je rozniosą na cały świat, to pewnie dlatego, że jakiś biedny imigrant z Europy przyjechał tam z kotletem w bułce. Nie można oddzielić przyszłości od historii, to niemożliwe.

Uśmiechnęłam się w myślach, komentarz taki, jakby czytał w mojej głowie. Może od początku źle myślę o tej przygodzie, traktując ją jako szansę na drugie życie. Dałam się uwieść brakowi zmarszczek i uznałam, że jestem „nowa". A nie jestem. To cały czas ta sama, trochę zmęczona życiem ja z osiemdziesięcioma prawie latami wspomnień i doświadczeń. Nie zaczynam od nowa. Decyduję się na zmianę. Próbuję zdecydować się na zmianę. I nie jestem pewna, czy starczy mi na nią odwagi.

Adam skończył burgera i poleciał umyć ręce, ja cały czas dłubałam w swoim jedzeniu, jak zwykle po staniu przy kuchni nie byłam specjalnie głodna. Oblizałam palec z sosu, łapiąc kątem oka karcące spojrzenie mamy Adama. Biorąc pod uwagę, że moja własna pewnie by próbowała ten palec uciąć, nie ma co narzekać.

Adam wrócił z łazienki w zapiętej marynarce, co uznałam za zbyt niski jednak ukłon w stronę mieszczańskiej formy. Chyba że w planie był naprawdę dostojny deser.

– Chciałem ci podziękować za ten dzisiejszy spacer z Adrienem i Marcelem – powiedział. – Widziałem, ile cię to kosztuje, i widziałem, jak bardzo się dla mnie starasz, żeby im nie wylać wina na głowę. I ta rozkoszna uwaga o szmondakach, mało się nie udławiłem ze śmiechu. I to, jak potem dałaś odpór Marcelowi, patrzyłem na ciebie i nie mogłem się nadziwić, jaka jesteś błyskotliwa i mądra. Piękna też, ale piękno może się trafić albo nie, a mądrość to jest coś, nad czym trzeba pracować, pielęgnować codziennie, inaczej zardzewieje i zniknie.

Strasznie szybko mówił i bardzo był zdenerwowany, poczułam niepokój, że coś jest nie tak. Jego rodzice też na mnie dziwnie patrzyli. O co chodzi? Spięłam się, żołądek mi się zacisnął i kompletnie straciłam ochotę na jedzenie.

– I cały czas byłem dumny, że ktoś taki jak ty, taka wyjątkowa kobieta, chce się pokazywać ze mną, sprawiać, żebym wydawał się lepszy i mądrzejszy, niż jestem w rzeczywistości. I dlatego postanowiłem zarezerwować cię na resztę życia. Wyjdziesz za mnie?

I rzucił się na kolana z pierścionkiem w ręce.

Wypełniała mnie absurdalna ochota, żeby powiedzieć, że muszę zapytać męża o zgodę.

Zamiast tego wyciągnęłam wysmarowaną sosem majonezowo-musztardowym dłoń w jego stronę.

Maj

1

Adam nalegał, żebyśmy zostali w łóżku, ale byłam na to zbyt podniecona. Tak, wiem jak to brzmi, ale seksualnie niezbyt się jeszcze dotarliśmy i z jednej strony rozumiałam, że to musi zająć trochę czasu, i nie mogłam się doczekać, jak w końcu będzie wspaniale, z drugiej – no cóż, dłużyły mi się, tylko trochę i tylko czasami, nasze figle. Normalnie pewnie bym jednak z lenistwa została, z dwojga złego wolę się nudzić, kiedy ktoś mnie całuje i pieści, niż nudzić się tak po prostu, ale to był ten dzień! Ten dzień, kiedy dokładnie o godzinie szesnastej miałam stawić się na ulicy Wolnych Francuzów, żeby odebrać od Reżimu klucze do swojego mieszkania i podpisać kontrakt. Wolnych Francuzów, symboliczna nazwa, biorąc pod uwagę, że tam będę naprawdę wolna, po raz pierwszy od prawie osiemdziesięciu lat mieszkając sama. Wcześniej mieszkałam z bratem i mamą, potem w akademiku, potem z Wandą i Lucyną i prosto stamtąd przeprowadziłam się do Ludwika. To znaczy najpierw do strasznego pokoju sublokatorskiego, a potem do mieszkania na Pradze, gdzie spędziliśmy całe życie. Śmieszne, że ulica Wolnych Francuzów znajdowała się nieomalże w miejscu naszego bloku na Szanajcy, tyle tylko że okolica wyglądała inaczej. Podobnie, ale inaczej.

Wolna, czyż to nie wspaniałe? Do tego stopnia, że wymyślając jakieś niby administracyjne przeszkody, zabroniłam i Adamowi i dziewczynom iść tam ze mną, żeby świętować ten dzień. Boże, jak się cieszyłam, że opuszczę w końcu ten lokal na Wilczej. Łazienka na korytarzu nie przestawała być codziennym upokorzeniem, do którego nie sposób się było przyzwyczaić, a jak narzekałam dziewczynom, to mnie wyśmiewały, że jak na Warszawę, to mogło być gorzej. Szczerze? Trudno mi było to sobie wyobrazić.

Warunki lokalowe tylko wzmacniały przykre uczucie, że nie potrafię wejść w stare przyjaźnie tak głęboko, jak bym chciała. Spodziewałam się euforii, bliskości, spotęgowanej świadomością, jak te wspaniałe chwile są ulotne. Tymczasem ciężko jakoś było nam się dopasować. Dopiero tutaj zrozumiałam, że Lucka – którą tyle dekad miałam za najbliższą osobę – zawsze bardziej przyjaźniła się z Ludwikiem niż ze mną. Jakoś tego nie zauważałam nigdy, że to oni razem inicjowali wszystkie wyjazdy, razem kłócili się o Polskę całe noce, kiedy ja znudzona szłam spać wcześniej, oni nadawali ton wspólnym wieczorom, imprezom i wyprawom. Bardzo to smutne, ale okazało się, że tak naprawdę nie miałam najbliższej przyjaciółki. Po prostu towarzyszyłam mężowi i jego przyjaciółce. Kiedy to zrozumiałam, codzienne patrzenie na nią zaczęło sprawiać mi przykrość. Czasami, zwykle spędzałyśmy wspólnie czas – ale jednak.

A Wanda? Cóż, albo nie żyła od tak dawna, że nie pamiętałam, jak bardzo nam było nie po drodze, i wyparłam te wspomnienia, albo to tutaj nasze drogi się rozeszły, przez jej sympatię do Unii i nienawiść do Efu jako symbolu francuskiej kolonizacji Umiłowanej Ojczyzny. Nie ustawała w ewangelizacji i nawet jeśli czasami czułam wahanie i myślałam, że przecież alternatywna wersja historii może oznaczać, że Gierek i jego świta nie są sowieckimi pachołkami, tylko po prostu politykami, którym słowiański konserwatyzm jest bliższy niż europejski kosmopolityzm, to w końcu i tak obstawałam przy swoim. Na wszelki wypadek. Wspomnienie komuny było zbyt silne.

Przyznaję, głupio też się przy niej czułam, bo choć byłam już świadoma różnych patologii swojego miejsca pracy, o których jeszcze opowiem, to racjonalizowałam, tłumaczyłam, szukałam dobrych stron i zagryzałam zęby – byle tylko dostać mieszkanie. Wstydziłam się, zwłaszcza przed Wandą, swojego oportunizmu i hipokryzji, ale mój Boże – tak pragnęłam mieć swoje, tylko swoje miejsce.

Dziś po raz pierwszy wykąpię się we własnej łazience i położę spać na własnej podłodze – na kocu, ale co tam. Sekundy dłużyły mi się jak dni, musiałam jakoś zabić czas.

Dlatego wybraliśmy się z Adamem na Szpikulak, jak nazywano dzielnicę wokół Wieży Przyjaźni, oficjalnej nazwy nawet nie znałam. Cel: targi książki. Ja chciałam autograf Simenona i Słomczyńskiego, Adam oczywiście Lema. Mój narzeczony – oprócz rokendrola, anglosaskiej popkultury i mnie – miał jedną pasję: przyszłość. Domorosły futurolog, który z „Młodego Technika", ale przede wszystkim z Lema i Asimova, tworzył wizje technologicznej przyszłości tak śmiałe, że choć czasami się z nim przekomarzałam, to obawiałam się, że wiedza o tym, w którą stronę świat naprawdę się potoczył, złamałaby mu serce. Adam nie zastanawiał się, czy androidy w ogóle powstaną, tylko czy powinno się „tranzystorowym sercom" zakazać intymnych kontaktów z ludźmi. Problemem nie były ludzkie bazy na Księżycu i Marsie – tylko czy ludzie będą tam mieszkać w blokach, czy w domach z ogródkiem. Wszelkie próby dyskusji obalał argumentem, że skoro w pięćdziesiąt lat przeszliśmy drogę od braci Wright do lotu w kosmos, to czemu na następne pięćdziesiąt mielibyśmy się zatrzymać. Mówiąc mu, że być może będzie jak zawsze, czułabym się, jakbym przekonywała przedszkolaka, że Święty Mikołaj nie istnieje.

Mimo to zaliczyłam z nim wystawę czasową o robotyce w Pałacu Przemysłu, chyba najważniejszym miejscu na Szpikulaku. Żałowałam, że nie mam telefonu przy sobie, mogłabym narobić zdjęć i pokazać przy jakiejś okazji Ludwikowi. Pomijając dużo modeli robotów o kształcie ludzi, pająków i przerośniętych karaluchów, wziętych prosto z powieści SF, był tam też jeden działający egzemplarz „robota". Metalowe ramię przenosiło klocek drewna z jednej miski do drugiej i z powrotem ku uciesze dziatwy szkolnej. Nawet chciałam zapytać Adama, ile by trzeba przenieść takich klocków, żeby wybudować osiedle na Marsie, albo czy się nie boi, że tranzystorowe serce mnie zaraz uwiedzie, ale darowałam sobie te złośliwostki.

To w końcu mój narzeczony. Przypominałam sobie o tym codziennie rano, patrząc na skromny pierścionek na palcu. Ja, mężatka od pięćdziesięciu lat, kobieta niedługo osiemdziesięcioletnia, mam ubóstwiającego mnie dwudziestoszześcioletniego narzeczonego. Nieźle to brzmi, co nie?

Teraz też opowiadał o *Powrocie z gwiazd* takim tonem, jakby odnaleziono piątą Ewangelię, a ja rozkoszowałam się tym, że w końcu jest naprawdę ciepło, że świeci słońce, że trzymam za rękę miłość mojego życia i że w podbrzuszu ciągle czuję – średnio udany, ale jednak – seks.

Szliśmy Bulwarem Europejskim, główną ulicą dzielnicy wybudowanej w miejscu, gdzie w moim dawnym świecie stał Stadion Narodowy. Ta część miasta stanowiła coś w rodzaju peerelowskiego Pałacu Kultury i Nauki rozparcelowanego na wiele różnych budynków. Stała tu Wieża Przyjaźni, strasznie nudna, bo w środku pusta, poza windą na taras widokowy. Kilka muzeów, w tym Muzeum Przemysłu i Muzeum Wojny, w którym jeszcze nie byłam i chyba się nie wybierałam, tę wersję życia zamierzałam przeżyć wolna od kultu męczeństwa i krwi przelanej. Ogromna sala widowiskowa, trzy czy cztery teatry, kilka kin, centrum sportowe i przestrzeń wystawowa, w której akurat teraz odbywały się targi książki.

Teoretycznie powinna to być ulubiona dzielnica wszystkich warszawiaków. W praktyce ludzie wybierali się tu tylko wtedy, kiedy zaplanowali wycieczkę do muzeum czy na koncert, nikt nie pojawiał się tu przypadkiem, bo akurat wyszedł z biura, wyskoczył do sklepu, czy wracał z przystanku tramwajowego do domu. Kościół bez Boga, martwe i puste miejsce, które nawet jeśli często bywało zatłoczone, to nigdy nie zaznało gwaru autentycznego miejskiego życia. Dokładnie jak Pałac Kultury i jego otoczenie.

Minęliśmy teatr Komedia, który reklamował na afiszach stylizowanych na zapowiedzi walk bokserskich „Międzynarodowy pojedynek na miny! Wiesław Michnikowski kontra Louis de Funès!”, i doszliśmy do Pałacu Wystawowego. Droga do wejścia prowadziła między straganami z nowymi i używanymi książkami oraz ludźmi służącymi za żywe słupy ogłoszeniowe, na szyjach mieli zawieszone tablice z plakatami reklamującymi między innymi nowe książki Bobkowskiego i Iwaszkiewicza. Na fasadzie ogromny baner zapowiadał „X Międzynarodowy Warszawski Salon Literatury – Maj 1963”.

W środku ustawiliśmy się w długim ogonku do Lema, ja i tak miałam trochę czasu, ponieważ Simenon miał się pojawić za godzinę, a Słomczyński za dwie.

– Uwierzyłabyś, że w tym świecie nikt nie pali? – Adam emocjonował się, cały czas w kwestii *Powrotu z gwiazd*. – On wyciąga papierosa, a ona nawet nie wie, co to jest. Pierwszy raz widzi na oczy taki przedmiot.

– Przecież to bez sensu – odparłam. – Ja nigdy nie jeździłam dorożką, a wiem, jak wygląda. Wiem też, że kiedyś ludzie chodzili w kontuszach z szablami, a to było trzysta czy dwieście lat temu.

– Ale świat się nie zmieniał tak szybko. Kiedyś zmiany trwały epoki, potem pokolenia, teraz zajmują raptem lata, o takim przyspieszeniu jest mowa. Dziś średniowiecze, jutro oświecenie, pojutrze romantyzm, to jest dzisiejsze tempo rozwoju. Tysiące lat ludzie konno jeździli. A teraz? Ciągle żyją tacy, którzy bali się parowozu na stacji i parowozu w kinie, a dziś mogą polecieć samolotem odrzutowym i oglądać telewizję. To pomyśl, czego my doświadczymy. Za pięćdziesiąt lat nie będziemy aż tacy starzy, osiemdziesiątki nawet nie będziemy mieli. Zakładając, że wtedy wiek będzie miał w ogóle znaczenie. Gdzie by pojechać wtedy na sylwestra, jak myślisz? Podwodne miasto? Hotel na siedemsetnym piętrze wieżowca? Stacja orbitalna? A może pociągiem pojedziemy do Paryża, wtedy to będzie trwało godzinę pewnie, wątpię, żeby dłużej.

Słodki Jezu, aż miałam mu ochotę wygarnąć, że widziałam to na własne oczy i w XXI wieku w godzinę to się nawet do Łodzi pociągiem z Warszawy nie da dojechać, tak samo w tych pociągach jak dziś śmierdzi i tak samo gówno przez dziurę wylatuje na tory. Futurystyka, futurologia, cybernetyka, robotyka, a gówno jak wylatywało na tory, tak nadal wylatuje – tak mogłabym podsumować świetlane perspektywy rozwoju naszej cywilizacji.

Cały och-jakże-ekscytujący *Powrót z gwiazd* jest, z tego, co zrozumiałam, o tym, że astronauta wraca na Ziemię, tyle że u niego minęło kilka lat, a tutaj – kilkadziesiąt, sto chyba. I nie może się odnaleźć, bo wszystko jest nowe, z miarą czasu włącznie. No, tak stara nie jestem, żeby pamiętać rok 2050, ale 2013 kojarzę całkiem

nieźle i na zegarze ciągle były dwadzieścia cztery godziny, w miastach wiązki energii nie zastąpiły ścian, latające wte i wewte cuda nie wyparły samochodów, nawet szlugi ciągle sporo osób paliło, choć fakt faktem, nie tak jak tutaj – na targach na przykład kopcił dokładnie każdy autor przy każdym stoliku. Śmieszne, że wśród palaczy rozpoznałam młodą Szymborską, od niej w sumie też bym mogła wziąć autograf. Powiedziałabym: „Dużo pieniędzy będzie wart, jak pani Nobla dostanie, cha, cha, cha".

– Dzień dobry, jak się pani miewa? – Usłyszałam obok siebie nieznajomy głos.

Odwróciłam się, obok mnie stała żona Ludwika, pod pachą trzymała kilka książek.

– Doskonale, dziękuję – odpowiedziałam, a widząc zaciekawione spojrzenie Adama, dokonałam prezentacji. – Państwo pozwolą. Adam, mój narzeczony, pani Iwona, żona mojego lekarza.

Nawet jeśli informacja zaskoczyła Adama, któremu nigdy nie wspominałam ani o Ludwiku, ani o swojej terapii, nie dał tego po sobie poznać. Chciałam, żeby ta żenująca sytuacja skończyła się jak najszybciej, ale ruda sucz najwyraźniej obudziła się tego dnia w towarzyskim nastroju.

– Do Lema państwo stoją? Wcale się nie dziwię, też miałam w planach, ale bałam się kolejki, jak widać słusznie. Oczywiście większość czytelników traktuje jego twórczość jak powieści przygodowe, taki Niziurski ze statkami kosmicznymi. Co za nieporozumienie.

Adam trochę się zarumienił, pewnie sam nie miał nic przeciwko gwałtownym zwrotom akcji, ale szybko odzyskał fason.

– Jeśli dzięki temu sięgną po *Dialogi* i poznają twórczość największego polskiego filozofa i futurysty, to chyba tylko lepiej. Stoję na stanowisku, że filozofia nie powinna być odstręczająca i hermetyczna, intelektualne wykluczenie nie boli mniej niż socjalne. Obniżanie progu wejścia w literaturę, bez jej spłycania, to zabieg wymagający mądrości i wielkiego talentu. Proszę spojrzeć na półki z literaturą fachową; na temat, ale nudno i bez polotu to każdy potrafi. Na tym też polega geniusz Lema.

Nieźle powiedziane, poczułam dumę.

– Nieźle powiedziane. – Sucz uśmiechnęła się z uznaniem, a oczy jej się zaświeciły do mojego chłopaka, niewiarygodne.

– Dopchałem się, ale muszę ci powiedzieć, że bardzo źle wygląda ten Bobkowski, na ostatnich nogach jest. – Ludwik podszedł i objął sucz, dopiero potem zobaczył nas i mina mu zrzedła.

Wet za wet, stary fiucie, pomyślałam i ponownie dokonałam prezentacji, podkreślając dyplomatyczną karierę Adama, przedstawiając go jako narzeczonego, błyskając pierścionkiem i obejmując go czule i dość ostentacyjnie, zwłaszcza jak na standardy początku lat sześćdziesiątych. Satysfakcja rozlała się po mnie jak najlepszy narkotyk świata, kiedy zobaczyłam wyraz twarzy Ludwika na widok pierścionka. Wet za wet. Ty masz żonę, to mi się narzeczony jak najbardziej należy. Możesz sobie od dziś wyobrażać moje życie narzeczeńskie, tak samo jak ja sobie wyobrażam twoje małżeńskie. Ze wszystkimi szczegółami, Ludwiczku drogi, najintymniejszymi szczególikami.

Chwilę rozmawialiśmy o Bobkowskim, jego chorobie i ostatniej książce, w której – już nie rowerem, ale samochodem – odbył podróż po trasie opisanej w *Szkicach piórkiem* i która to pozycja była wobec Francji dwadzieścia lat później zajadle krytyczna, co ze względu na pozycję Bobkowskiego w świecie literackim wywołało nawet mały międzynarodowy skandal. Potem rozmowa zeszła na Lema i szybko stało się jasne, że Ludwik ma ochotę przy mojej milczącej zgodzie nabijać się z Adama. Niestety nie mogłam uciec, Ludwik i sucz nigdzie się nie wybierali, a Adama tylko nagły krwotok z tętnicy mógłby skłonić, aby zrezygnował z miejsca w kolejce.

– Tego 2060 raczej nie dożyjemy, ale jak dobrze pójdzie, to XXI wiek zobaczymy. Ciekaw jestem, które z wizji Lema się ziszczą, jak pan myśli? – zapytał niewinnie mój mąż.

Mój narzeczony uśmiechnął się, przekonany, że dyskutuje na swoim własnym gruncie.

– Myślę, że po pierwsze, dożyjemy, biorąc pod uwagę rozwój medycyny. A po drugie, jeśli spojrzymy, ile niespodzianek przynosi każdy kolejny dzień w nauce, to pytanie powinno brzmieć: które z jego wizji się nie ziszczą? Albo ile rozwiązań okaże się bardziej

fantastycznych i rewolucyjnych niż jego proza. Ale żeby nie uciekać w fantastykę, to już dziś pewne jest upowszechnienie robotyki we wszystkich dziedzinach życia.

– Robot do odkurzania nie byłby zły. – Ludwik się uśmiechnął. – Taki, który sam wjeżdża pod regał. Co pani sądzi? – zwrócił się do mnie.

Wzruszyłam ramionami. Mieliśmy takie gówno, okazało się kompletnie do niczego, zajmowało miejsce, odkurzało beznadziejnie i zeżarło mi całą zasłonkę z rafii, durna maszyna. A kosztowała majątek, za każdym razem, jak tego mechanicznego szczura widziałam w piwnicy, to mi się płakać chciało. Robotyka, psiamać.

– Panie Ludwiku, myślę, że pan mówi o końcu lat sześćdziesiątych, a nie o XXI wieku. W XXI wieku robot odkurzy, zrobi kawę i pomoże panu postawić diagnozę, korzystając ze swojej encyklopedycznej wiedzy, a potem jeszcze plecy wymasuje. I będzie się pan zastanawiał, czy to nie przesada, że tyle dziedzin życia oddaliśmy maszynom.

– Zależy, jak nisko te plecy będzie masował – wyrwało mi się.

Sucz parsknęła śmiechem, Ludwik spojrzał na mnie tym swoim wzrokiem pełnym profesorskiej przygany, a Adam uśmiechnął się do mnie ciepło. Naprawdę mnie uwielbiał.

– Podobnie jak Lem jestem przekonany – Adam zmienił temat – że obsesja na punkcie bezpieczeństwa będzie jednym z ważniejszych trendów cywilizacyjnych. Fotele otulające pasażerów, ograniczenie ryzyka w środkach transportu, właściwie niemożność zrobienia sobie krzywdy. Wątpię, żeby ludzie się farmakologicznie pozbawiali agresji, być może niestety, ale będzie superbezpiecznie.

– Tak bym nie marzył na pana miejscu o eliminacji agresji. Nie byłoby postępu, którym pan się zachwyca, gdyby nie wojna. Wątpię, czybyśmy latali odrzutowcami i wysyłali rakiety w kosmos, gdyby przez sześć lat wszyscy naukowcy się nie zastanawiali, jak celniej i dalej przenosić bomby burzące. A jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to na początek pasy bezpieczeństwa by się przydały. Drżę o życie, jak muszę po mieście przejechać kilometr.

– Tak, czytałem o pasach w prasie naukowej i to oczywiście miła nowinka, ale pytanie, czy warto rozwijać półśrodki, skoro za chwilę

autonomiczne samochody, w których tranzystory podejmują decyzję zamiast kierowcy, nas wyręczą. Też pytanie, na ile w ogóle samochody ze swoimi ograniczeniami są przyszłością transportu.

– To bardzo ciekawe. Co pan sugeruje?

– Nie trzeba na bieżąco śledzić doniesień ze świata nauki – powiedział Adam tonem, w którym zabrzmiała nutka arogancji – żeby wiedzieć, że poduszkowce zdominują komunikację szybciej, niż nam się wydaje. Za dziesięć lat nie będziemy mogli uwierzyć, że ludzie woleli używać koła.

Znałam Ludwika i widziałam, ile wysiłku go kosztowało, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Dla wszystkich innych jego twarz wyrażała uprzejme zainteresowanie. Umiejętność nabyta przez kilkadziesiąt lat prowadzenia terapii, pacjenci kiepsko znosili eksplozje dzikiego rechotu, snując te wszystkie swoje mroczne opowieści z dzieciństwa.

– Poduszkowce? Ale bardziej jako pojazdy indywidualne czy autobusy?

– Jedno i drugie. Możliwość poruszania się nad dowolnym terenem sprawia, że zastosowania tych pojazdów są nieograniczone. Autobus może jechać drogą, potem przeciąć zaorane pole i przekroczyć rzekę w dowolnym miejscu, a pasażerowie nawet tego nie poczują. Można połączyć transport rzeczny i drogowy w jeden organizm, a jeśli stworzy się betonowe rynny, torowiska jakby dla poduszkowców, mogą rozwijać niezwykłe prędkości, nawet powyżej dwustu kilometrów na godzinę. Francuzi testują też takie szybkie koleje, tyle tylko że pociąg nie wyskoczy z szyn, a poduszkowiec może opuścić rynnę dużych prędkości i już normalnie podjechać na przykład do centrum miasta.

Co to za jakaś karma. Najpierw życie z wariatem, który do każdego tematu wtrąca psychologię, teraz mam świra, który wszędzie wciska poduszkowce. Naprawdę, niczego tak bardzo nie potrzebuję jak tego, żeby pomieszkać sama.

– Bardzo interesujące – powiedział Ludwik tonem „ja pierdzielę, w życiu nie słyszałem większej bzdury”. – A kto przoduje w tych badaniach?

– Anglicy, Francuzi postawili raczej na kolej. Ale mam nadzieję, że Polska stanie po stronie poduszkowców.

– To by miało sens, zawsze lubiliśmy raczej unosić się nad ziemią, niż po niej stąpać – powiedziała ruda sucz i tym razem mnie trudno było powstrzymać parsknięcie. – Pan właśnie w Anglii pracował na placówce?

– W konsulacie w Lyonie. Od razu uprzedzę pani pytanie, że moja praca nie polegała na paradowaniu w smokingu.

– Czyli szpieg. – Nie mogłam w to uwierzyć, ruda naprawdę z nim flirtowała.

Adam zaśmiał się szczerze. Lubiłam ten jego beztroski śmiech, od razu ścisnęłam go mocniej za rękę.

– Kusi, och, kusi mnie, żeby zmyślić teraz jakieś niestworzone historie, ale w rzeczywistości wyrabiałem ludziom paszporty, głównie emigracji z czasów wojny, która myśli o powrocie do Polski.

– Cóż innego mógłby pan odpowiedzieć jako szpieg.

– Muszę pani powiedzieć, że w urzędniczym okienku też się sporo można dowiedzieć, nie gorsze historie niż szpiegowskie.

– Na przykład?

– Na przykład: jak dobrze ludzie czytają politykę, lepiej, niż nam się wydaje. Jeszcze kilka lat temu ludzie brali paszporty i jeśli o czymś opowiadali, to o swojej tęsknocie za ojczyzną, nawet jeśli tej ojczyzny nie ma, skoro pamiętają Polskę lat trzydziestych. Wzruszające, słuchać ich historii o Żydach i Ukraińcach, jakby wszyscy tutaj na nich czekali, gotowi, żeby jak zwykle drzeć koty, a potem godzić się przy wódce.

– A teraz?

– Teraz ciągle biorą paszporty, ale są ostrożniejsi. Pytają, czy można wracać, czy to nie jest niebezpieczne, czy obwarzanek się przypadkiem nie wypełni.

Jeszcze jakiś czas temu nie miałabym pojęcia, o co chodzi, teraz wiedziałam, że „obwarzankiem” nazywano naszą część Europy. Polska zerwała się z komunistycznego łańcucha, ale nasi sąsiedzi już nie, ciągle otaczał nas Związek Radziecki i uzależnione od niego Czechosłowacja i NRD. Po tym jak Sowieci wyszli z Austrii w latach pięćdziesiątych, ludzie podobno myśleli, że to kwestia czasu, aż wyjdą z NRD, no ale nic na to nie wskazywało. Narrację

o „obwarzanku” uprawiali głównie polscy komuniści, proponujący „pełnię” zamiast „pustki” i pytający retorycznie na plakatach, czy Polska woli być ciastkiem, czy dziurką w ciastku. Większość przytomnie odpowiadała, że nie, dziękujemy, nie chcemy być ciastkiem pożartym i trawionym przez radzieckiego potwora, ale część się na to nabierała.

Zobaczyłam, że temat zainteresował Ludwika.

– A pan jako osoba, mimo wszystko, z dyplomacji, co sądzi?

Kretyn, to „mimo wszystko” naprawdę mógł sobie darować.

– Jestem optymistą. Nawet jeśli Unia coś ugra w wyborach, to tylko dlatego, że urwą głosy komunistom, może też narodowcom trochę, i partia europejska będzie koniec końców tak samo liczebna. Za mało, żeby blok moskiewski mógł rządzić.

Uśmiech na twarzy rudej zgasł.

– Widzę, że bardzo bezkrytycznie powtarza pan tezy rządowej propagandy. Z jednej strony to może zrozumiałe u osoby pracującej dla administracji, z drugiej od pracownika dyplomacji powinniśmy chyba oczekiwać większego dystansu do polityki. A nazywanie Unii tak nonszalancko „blokiem moskiewskim” może stanowić nieomalże obelgę dla jej sympatyków. Na przykład dla mnie i dla mojego męża.

Zdębiałam.

– Pan doktor jest miłośnikiem Edwarda Gierka? – wykrztusiłam.

– Jest nawet jego bardzo bliskim znajomym, przyjacielem – potwierdziła z dumą ruda. – I nie uwierzycie państwo, ale nie spotykają się na kawę w Moskwie, knując przeciwko Polsce.

Więcej nie potrafiłam z siebie wydobyć, patrzyłam tylko na Ludwika, czekając, aż coś powie.

– Myślę, że powinniśmy uważać, aby nie ulegać stereotypom – odpowiedział, patrząc mi w oczy. – I żeby zawsze patrzeć krytycznie, z jednej strony mnożąc wątpliwości, ale z drugiej dając sobie pozwolenie na zmianę poglądów, jeśli zmienią się fakty.

Adam skrzywił się.

– Proszę pozwolić, że się z panem nie zgodzę. Moim zdaniem za haftowanymi koszulami członków Unii kryje się Moskwa, zresztą ich powiązania wielokrotnie były demaskowane przez prasę.

– Przez prasę sprzyjającą rządowi – wtrąciła Iwona.

– Proszę pani, musimy mieć jakieś punkty odniesienia. Jeśli uznamy, że wszyscy wokół kłamią i zmyślają i żaden obiektywny osąd nie istnieje, to dokąd nas to zaprowadzi? Do obywatelskiego piekła. Osobiście wierzę w mądrość rodaków, Polacy za długo czekali na wolność i normalność, żeby teraz jej się pozbyć tak po prostu, z głupoty. A u nas sprawa zawsze była prosta. Jeśli się odwrócimy plecami do Europy, stajemy twarzą w twarz z Rosją.

Westchnęłam w duchu. Tak jak za PRL-u jeszcze można się było oszukiwać, to już czas po 1989 roku pokazał, że polscy wyborcy potrafią być nieobliczalnymi, krótkowzrocznymi wariatami, którzy za atrakcyjną uważają Polską Partię Przyjaciół Piwa oraz o mało co nie wybrali na prezydenta peruwiańskiego szamana. Dlatego tak mnie martwiła Unia, to znajome połączenie pozornej socjalnej wrażliwości i nacjonalistycznej agitki. Wracała pamięć o wyjącym nacjonalizmie polskich komunistów, o mariażu wszystkich najgorszych narodowych cech, o tym, jak zaskakująco wiele osób nie miałoby nic przeciwko temu, żeby z jednej strony dawać im mieszkanie i stałe zatrudnienie, a z drugiej wskazywać wroga, którego mogą obarczyć winą za wszystkie swoje niepowodzenia. Żyda, Niemca, imperialistę, obcy kapitał, reakcjonistów, bandy.

– A jeśli dogadają się i z komunistami, i z narodowcami? – spytałam.

Iwona parsknęła pogardliwie.

– Skrajna prawica ze skrajną lewicą? No co też pani opowiada.

– Dlaczego? – Adam ruszył mi z odsieczą. – Wszystkich łączy to, że są antyniemieccy, antyfrancuscy, antybrytyjscy, antyeuropejscy, boją się Zachodu. A jak się spojrzy na historię polskiego ruchu narodowego, to oni też zawsze tęsknie patrzyli w stronę Rosji. Co pani pomyśli, jak się pani Unia dogada z komunistami i narodowcami? Dalej będzie pani uznawać, że to wszystko w imię obrony polskiej tradycji?

Postanowiłam zmienić temat.

– A pan co upolował? – spytałam Ludwika, wskazując na jego wypchaną aktówkę.

– Ja, szanowna pani – uśmiechnął się do mnie takim uśmiechem, że nieoczekiwanie zalała mnie fala pożądania, emocja mnie zaskoczyła i aż poczułam się miękka w nogach – występuję tu dziś w roli zwierzyny łownej.

– Ludwik ma spotkanie z wydawcą – powiedziała dumnie ruda sucz i objęła go modliszkowym, zawłaszczającym ruchem.

– Postanowił pan opublikować swoje teorie, doktorze? Lustrzane konfrontacje?

– Jakie konfrontacje? – zdziwiła się sucz, a ja zganiłam się w myślach, na śmierć zapomniałam, że on to wszystko spisał dopiero w latach osiemdziesiątych.

– Och, pan doktor opowiadał mi o swoim pomyśle, żeby ludzi o lustrzanych problemach, na przykład z płcią przeciwną, łączyć w pary i w ten sposób terapeutyzować. Przepraszam, jeśli zdradziłam jakąś tajemnicę.

Spiorunował mnie wzrokiem, ale tylko uśmiechnęłam się niewinnie.

– Otóż nie, droga pani, występuję tu dziś nie jako naukowiec i psycholog, ale jako beletrysta.

– Słucham? – Nie zabrzmiało to zbyt grzecznie, ale o niebo lepiej niż „że co?", które wisiało mi na języku.

– Wątpi pani – w jego głosie usłyszałam irytację – że moja proza może kogoś zainteresować?

Jego gwałtowna reakcja sprawiła, że atmosfera trochę siadła, Adam zainteresował się swoim egzemplarzem *Powrotu*, a sucz pożegnała się pod pierwszym lepszym pretekstem, wzięła mojego męża pod ramię i poszli w siną dal.

No i dobrze, pomyślałam, krzyż na drogę.

2

To spotkanie dotknęło go bardziej, niż gotów był się przed sobą przyznać. Narzeczony? Pierścionek? Przecież jest jego żoną! Racjonalnie wiedział, że te pretensje nie mają sensu, sam przecież mieszkał ze swoją żoną, sypiał z nią, prowadził małżeńskie życie.

Nie mógł oczekiwać, że Grażyna zadowoli się złoszczeniem i tęsknieniem, zamiast robić radosny użytek ze swojego młodego, sprężystego, kształtnego, zdolnego do wielogodzinnych seksualnych wysiłków, pachnącego młodością ciała. Im więcej o tym myślał, tym bardziej jego wyobraźnia szalała, podsuwając obrazy fabuł, w których Grażyna i jej seksualna otwartość odgrywały główne role. Statystów w tych fantazjach też nie brakowało, ale niestety nie był on jednym z nich.

– Słucha mnie pan, panie Ludwiku?

– Tak, oczywiście, każde słowo – skłamał. – W końcu chodzi o moją literacką przyszłość.

Siedzący przed nim mężczyzna palił papierosa za papierosem, cały ten salon literatury wyglądał jak impreza promocyjna raka płuc, i patrzył na niego uważnie. Wysoki, przystojny, z kwadratową szczęką i szerokimi ustami w stylu Zbigniewa Cybulskiego. Nie wyglądał na redaktora w wydawnictwie, raczej na starzejącego się salonowego playboya z dobrej rodziny, który już stracił siły na chlanie i dymanie, więc mu wujaszek załatwił posadę w swojej oficynie wydawniczej.

– Dobrze, porozmawiajmy zatem o pana literackiej przyszłości. Proszę powiedzieć, dlaczego taki rozstrzał gatunkowy? Z jednej strony – teatralnie przesunął jeden jego rękopis na lewą stronę stolika – mamy projekt powieści, jak rozumiem, sensacyjnej, zaczynającej się od bardzo zakrwawionych zwłok znalezionych w Muzeum Czartoryskich, co ma związek z jakąś wielką tajemnicą chrześcijaństwa, o ile dobrze zrozumiałem konspekt?

Przytaknął.

– Tylko mam problem z tym głównym bohaterem. On jest naukowcem w jakiej konkretnie dziedzinie?

– Zajmuje się badaniem różnych symboli.

– Ikonografią? Czyli jest historykiem sztuki?

– Tak.

– I dzięki temu, jak pan pisze – sięgnął do konspektu – „rozwiązuje wiele pasjonujących zagadek w całej Europie razem ze śliczną Sophie, które doprowadzają go do rozwiązania, że Maria

Magdalena i Jezus mieli dzieci i że Sophie jest w prostej linii ich potomkinią”?

– Zgadza się.

– Czyli spisek i przygoda, tak. Natomiast z drugiej strony – przesunął drugi plik kartek na przeciwną stronę stołu – mamy młodego sierotę, prześladowanego przez wychowujące go wujostwo, jak z Dickensa ta sytuacja, powiedziałbym, który pewnego dnia dostaje zaproszenie do szkoły czarodziejów…

– Na Łysej Górze. – Uznał, że przeniesienie obu fabuł do Polski zwiększy jego komercyjne szanse.

– …i tam ma dwójkę przyjaciół, uczy się machania różdżką, ale ściga go cały czas ten zły czarnoksiężnik, jakby taki Hitler świata magii, który zamordował jego rodziców, czyli powieść dla młodzieży, dla dzieci nawet, tak?

Przytaknął.

– Zaplanowana na wiele tomów?

– Dokładnie. Chciałbym, aby każdy tom opowiadał jeden rok nauki w tej szkole, aż do ostatecznego pokonania złego Rummikuba.

Redaktor poprawił się na małym krzesełku, widać było, że wolałby siedzieć w swoim gabinecie niż w tej zaimprowizowanej kanciapce na targach książki.

– To są fabuły bardzo różne od siebie gatunkowo, mam u siebie autorów, niestety, eksperymentujących ze stylistykami, ale zawsze tam jest jakiś wspólny mianownik, którego u pana nie widzę. Przyznaję, że czułbym się bezpieczniej, gdyby pan mi przyniósł dwie powieści o wnuczkach Jezusa, to w końcu może być duża rodzina, prawda? Albo dwie powieści o magicznej sierotce. A tak to przyznaję, że czuję niepokój. Skąd ten rozstrzał gatunkowy?

– Dlaczego niepokój? – Znał literaturę jako czytelnik, zawodowo nigdy nie miał z nią nic wspólnego, kompletnie nie znał branżowej kuchni. Ale różnorodność wydawała mu się wartością, zaletą raczej niż wadą.

– Dlatego że różnorodność to jest, proszę pana, dobra dla czytelnika, ale nie dla autora. Jak by to panu wytłumaczyć? Pan jada na mieście?

– Jak każdy.

– Zdziwiłby się pan. Czyli ma pan swoje ulubione knajpy na tatara, na sznycel, na naleśniki. No i proszę sobie wyobrazić, że przychodzi pan na tatara, a tam są dziś ryby z rusztu, bo kucharz lubi różnorodność. I ja mam to cały czas, autor pisze genialne romanse, cała Polska je sobie wstrzykuje jak heroinę, a on przychodzi, że teraz napisze nową *Lalkę* albo nową *Ziemię obiecaną*, wszyscy na punkcie tych powieści mają obsesję. Czasami da się wytłumaczyć, częściej przekupić, ale niektórzy są niezłomni, no i nie kończy to się dobrze.

– Ponieważ?

– Ponieważ jak pan idzie na tatara, to pan nie chce ryby z rusztu, nawet jeśli rybę robił ten kucharz od tatara, proste.

Na taką rozmowę nie był przygotowany.

– Trudno mi to wytłumaczyć. Cały czas myślę o książkach, o historiach, o bohaterach, te fabuły kłębią się we mnie, uwierają, pączkują. Niektóre bardziej niż inne przykuwają moją uwagę i właśnie te owoce mojej wyobraźni zdecydowałem się zaprezentować panu.

Redaktor zamyślił się i zapalił, zapominając, że poprzedni papieros tli się jeszcze na krawędzi popielniczki. Do kanciapki na tyłach stoiska, w której siedzieli między stertami książek przygotowanych do sprzedaży na kiermaszu, weszła młoda dziewczyna. Poprosił ją o dwie czarne kawy, nie pytając, czy akurat na to ma ochotę. Widocznie w świecie literatury wszyscy palili dwa papierosy jednocześnie i pili tylko czarną kawę.

– No dobrze, będę z panem szczery.

– Niczego innego nie oczekuję.

– Naprawdę? To chyba pierwszy taki przypadek w środowisku literackim w Polsce. To, co pan proponuje, to jest zła literatura, pan sobie z tego oczywiście zdaje sprawę, dickensowski sierota czarodziej, Hitler z różdżką, trup w kałuży krwi pod *Damą z łasiczką* i wnuczka Jezusa parząca się jak jałówka ze śmierdzącym cebulą naukowcem z Krakowa. Podłe, ale skoro miałem być szczery, cóż, jest w tym jakiś perwersyjny potencjał literatury pociągowej, jeśli ktoś lubi podróże w wagonach bydlęcych, ça se comprend. Gorzej, że pan pisać nie potrafi.

– Nie jest pan zbyt miły.

– Miło to jest w burdelu, jak się zapłaci. Zapłacił mi pan? No właśnie. Fabularnie nawet to się klei, ale zdania, których pan używa, brzmią tak, jakby pan streszczał coś, co napisał ktoś inny. Proszę posłuchać: „Profesor Czubaj wszedł do środka, pocąc się w swojej marynarce, i zobaczył zwłoki leżące w kałuży krwi, na co odwrócił wzrok ze wstrętem i wybiegł, myśląc o tym, co może oznaczać symbol ryby namalowany krwią na ścianie muzeum”. No, to jest bardzo złe i za bardzo skrótowe. Z kolei w tej książce o Heniu czarodzieju scena, jak bierze do ręki po raz pierwszy różdżkę, jest tak szczegółowa, że muszę panu powiedzieć, tak jak lubię kobiety, to szczerze się podnieciłem, tyle tam erotycznej pederastii. To chyba moje ulubione: „stwardniałe włókna niczym nabrzmiałe żyły oplatały pulsujący energią, wyrywający mu się z rąk, świadomością jakby obdarzony pręt”.

– Wypraszam sobie…

– Proszę usiąść i się nie ażitować niepotrzebnie, my, wydawcy, jesteśmy tolerancyjni. Nie mamy wyjścia, wszyscy Hłaski i Tyrmanda nie możemy przecież wydawać. Niestety.

– Mógł pan po prostu odmówić, ten spektakl jest niepotrzebny.

– Ale czy ja panu odmawiam? Czy my się nie dogadujemy? Czy my nie możemy dobić targu? Zrobić aferę, jak to się teraz mówi. Porozmawiajmy o konkretach lepiej. Kawy?

3

Moja wizyta na targach książki zakończyła się lekką wpadką, bo kiedy w końcu dopchałam się do Słomczyńskiego po autograf na świeżo kupionym egzemplarzu *Cichym ścigałam go lotem*, z zachwytu i rozpędu pogratulowałam mu ulubionej książki, opowiadając o tym, jak fantastyczną atmosferę ma powieść dzięki umiejscowieniu akcji w starożytnym kreteńskim labiryncie. Na co on zbladł i spytał, czy to żart kogoś z wydawnictwa, czy może naprawdę czytałam taką książkę. Zrozumiałam, że ta cholerna *Pani Labiryntu* jeszcze się nie ukazała, roześmiałam się perliście, zamrugałam oczami i pochyliłam

zalotnie, nieomalże wciskając mu cycki w oczy. Zyskałam w ten sposób chwilę durnego męskiego oszołomienia, co pozwoliło mi powiedzieć „żart, żart oczywiście panie Macieju” i zniknąć, zanim zdążył zareagować. Uff.

A potem wysłałam Adama do domu razem ze wszystkimi książkami, sprawdziłam, czy mam dowód, i poszłam spacerkiem na ulicę Wolnych Francuzów. Szmat drogi, prawie godzinę mi ta wycieczka zajęła, ale teraz, kiedy zrobiło się cieplej, kochałam spacerować. Ciągle potrafiłam rozkoszować się tym, że idę, idę, idę – i wcale się nie męczę. Nie musiałam przystawać, odpoczywać, szukać ławki, żeby uspokoić oddech, po prostu szłam, machałam rękami, uśmiechałam się do ludzi i byłam szczęśliwa.

Z Pałacu Wystawowego poszłam w stronę kościoła Świętego Floriana, mijając zaniedbane, stare praskie kamienice. Jak wszyscy warszawiacy krytykowałam ile wlezie, że buduje się tylko nowe osiedla, zostawiając historyczne warszawskie dzielnice same sobie, co doprowadziło do sytuacji, że śliczne i szczęśliwe osiedla wyrastały w miejscach, gdzie zawsze rosła kapusta, a w centrum poza kilkoma reprezentacyjnymi – i też nowymi – miejscami jak otaczające Ef Józkowo straszyły stare czynszówki, gołe cegły, puste parcele, a często jeszcze wojenne ruiny.

Jak wszyscy warszawiacy nauczyłam się też nie zauważać tych miejsc, nie bywać w nich, poruszać się między wyspami nowości, ładności i kolorowych neonów. Rzadko się zdarzało, żebym tak jak teraz szła wzdłuż mrocznych bram, z których każda wyglądała jak wrota do innego świata. Nowo przybyli bali się tych miejsc, nie rozumieli lokalnego folkloru, tych strażników bramnych albo zbyt ostentacyjnie spokojnych albo zbyt pobudzonych, nigdy w normalnym stanie, zawsze stojących w grupach, samotny mężczyzna w tych dzielnicach nie istniał, samotna kobieta i samotne dziecko też nie, mężczyźni stali, kobiety siedziały na przywleczonych z domu krzesełkach, dzieci biegały w kółko, na wszystko patrzyła z głębi podwórka Matka Boska w kapliczce, jedynym zadbanym, czystym i odmalowanym miejscu w okolicy. Tło muzyczne do tej klasycznej warszawskiej scenerii zapewniała Sylvie Vartan, śpiewająca z radia *Locomotion*, wszędzie naokoło ją

promowali, bo miała w czerwcu przyjechać na Dni Morza razem z Johnnym Hallydayem.

– Królowa tak sama spaceruje? – zaczepił ktoś.

– Nigdy – odpowiedziałam, nie zwalniając kroku i składając ręce jak do modlitwy. – Zawsze mi towarzyszy moja cnota i Najświętsza Panienka.

– Ale niech królowa tak nie ucieka, zatańczymy przy sobocie, po gramofon skoczy kolega.

– Dla cnoty i koleżanki najświętszej też się towarzystwo znajdzie – dorzucił drugi.

Z okna na pierwszym piętrze wyglądała kobieta w fartuchu, oparta o specjalnie w tym celu uszytą poduszkę. Splunęła i spojrzała na zaczepiaczy.

– Nie bluźnij, Józek, bo wstyd matce przynosisz. A panienka nie zwraca uwagi, łobuzy.

– Oj, pani Monterowa, pani się nie dąsa, panią też na tańce zaprosimy.

I tak się tutaj toczyło życie całymi dniami. Na nowych osiedlach młyn rano i po południu, z i do pracy, szkoły, przedszkola – a tutaj styl raczej śródziemnomorski. Leniwe trwanie, przerywane okresami wielkiego rozgardiaszu, o którym można było potem rozprawiać bez końca, aż do następnego razu.

Park Praski, śmierdzące jak zwykle w ciepłe dni zwierzętami zoo i nagle znalazłam się w okolicy, w której spędziłam ostatnie ponad czterdzieści lat. Niewiarygodne, że teraz mam mniej lat, niż tutaj tkwiłam na niecałych pięćdziesięciu metrach. Najpierw z dzieckiem, potem sami. Kiedy to przestało być tymczasowe? Kiedy przestaliśmy planować, że trzeba dom wybudować, dać dziecku świeże powietrze, zieleń, ogródek? Nie pamiętam. Kiedy przestaliśmy planować, żeby zmienić mieszkanie na większe albo chociaż z balkonem, żeby można było wyjść, o tym przecież zawsze marzyliśmy. Też nie pamiętam. Jakoś tak zleciało.

Spacerowałam tymi ulicami z głębokim wózkiem, ze spacerówką, z Jackiem za rękę, sama, z Ludwikiem, z wnuczkami, ze znajomymi, w końcu o lasce, chyba nigdy bez celu, zawsze sklep, apteka, bank, przychodnia, plac zabaw. Im byłam starsza, tym bardziej na

rzeczywistość nakładały mi się cienie przeszłości. Za witryną cukierni widziałam zjawy jej poprzednich wcieleń: sklepu z piwami z całego świata, optyka, zakładu przewijania silników. Tam, gdzie Carrefour, wcześniej monopolowy, wcześniej wypożyczalnia kaset VHS, a jeszcze wcześniej – mroczna speluna „Pod Niedźwiedziem". Zawsze wchodząc do Carrefoura, widziałam przyjęcie komunijne, które wyprawiliśmy Jackowi „Pod Niedźwiedziem". W spożywczym chodniki, dywany, narzuty, nigdy gdzie indziej dywanu nie kupiłam. Niektóre miejsca po prostu znikały, jak „Weronika" i jej tysiąc jeden drobiazgów, jak niezliczone rzemieślnicze warsztaty, niepotrzebne w dobie jednorazówek, jak sklep motoryzacyjny (pełny asortyment, ceny fabryczne; Ludwika tam sto razy orżnęli i drugie sto razy wcisnęli mu zbędne części i ulepszenia do samochodu). Niektóre walczyły, zmieniając tylko szyld z artykułów papierniczych na artykuły biurowe, bo to bardziej światowo brzmi, sprzedając się wielkim sieciom lub wręcz przeciwnie – chwaląc się, że u nich jest jak zawsze, tyle tylko że strategia „jak zawsze" nigdy się nie sprawdza, więc i one w końcu znikały, zostawałam tylko ja, coraz wolniej spacerująca tymi samymi ulicami, coraz mniej wyraźnie widząca nowe szyldy, zresztą co mnie one poza apteką interesowały.

Ten świat tutaj nie istniał i poczułam nagłe ukłucie smutku, że ta okolica, w której rozegrało się całe moje życie, jest inna, że ktoś mi ją zabrał bez pytania. Siatkę ulic wyrysowano inaczej, w centrum dzielnicy zamiast długiego placu wybudowano spore rondo z fontanną pośrodku, od którego gwiaździście rozchodziły się ulice. Styl geometryczno-użytkowy, ale bloki dość niskie, z dużymi oknami, na parterach wyjścia prosto do ogródków, podobało mi się. Na pierwszych piętrach wzdłuż całej fasady ciągnął się balkon, trzymałam kciuki, żeby dostać mieszkanie właśnie na pierwszym albo na parterze. Tak mi się życie ułożyło, że nigdy ani balkonu, ani ogródka nie miałam, każde mieszkanie jak więzienna cela.

Przy Wolnych Francuzów 31 ciągle stały rusztowania i wyglądało to trochę jak plac budowy, ale w kilku mieszkaniach kręcili się ludzie, zapewne nowi lokatorzy, biorąc pod uwagę, że zgodnie z tradycją Reżimu mieszkania odbierano w soboty. W ogóle te wszystkie reżimowe opowieści o tradycjach, obyczajach, coś w tym

było z religijnego kultu, coś z przekazywanych z nabożeństwem legend miejskich. Nie dziwi to, biorąc pod uwagę, że reżimowcy pełnili funkcję kapłanów najświętszego polskiego bożka: lokalu. Bardzo byłam ciekawa, jak to wygląda w rzeczywistości.

Miałam jeszcze pięć minut, gapiłam się na okna i zastanawiałam, które może być moje. Wiedziałam tylko tyle, że mieszkanie ma dwa pokoje, pewnie niewielkie, skoro jego powierzchnia to niecałe czterdzieści metrów. Cholera, może w takich małych mieszkaniach nie przewidzieli balkonu.

Usłyszałam szum motoru z głębi dzielnicy, od strony gwiaździstego placu jechał mały, bzyczący skuter, z gatunku tych, którymi jeżdżą we Włoszech. Zatrzymał się tuż obok, nieomalże dotykając przednim kołem moich kolan, i zsiadła z niego filigranowa kobieta w grafitowym, charakterystycznym mundurze Reżimu, ze znakiem skrzyżowanych kluczy na ramieniu. Kiedy zdjęła kask z przydymioną przyłbicą, zobaczyłam, że jest lekko szpakowatą brunetką, uczesaną w warkocz zapleciony wokół głowy na ukraińską modłę, i że jedno oko zasłonięte ma czarną opaską, trochę jak Tom Cruise w tym filmie o zamachu na Hitlera. Pomyślałam, że Cruise pewnie właśnie chodzi na czworakach na jakichś amerykańskich przedmieściach i sra w pieluchy, i parsknęłam śmiechem.

– Co tak panią śmieszy? To, że jestem siwa, czy to, że nie mam oka?

– Boże jedyny, proszę nie myśleć…

– Nasza służba jest dumna ze swojej laickości, proszę pani. – Jej jedno oko patrzyło na mnie tak intensywnie, jakby wzrokiem chciała mi wypalić znamię na twarzy. – Renata Herman, major Regimentu Lokalowego Miasta Stołecznego Warszawy. Ma pani dowód osobisty?

Wylegitymowała mnie i razem poszłyśmy w stronę klatki, miałam nadzieję, że to tylko formalność. Mieszkanie jest przecież przyznane i nie mogą mi go chyba odebrać za niewłaściwe zachowanie. Wolałam nie pytać na wszelki wypadek. Pachnącą świeżym tynkiem klatką schodową weszłyśmy na drugie piętro, więc żegnaj, balkonie, gdzie pani major otworzyła drzwi do lokalu numer 16.

Jezusie Nazareński, ale byłam podniecona, widząc pomalowaną białą farbą olejną framugę drzwi, ułożoną w jodełkę jasną, cienką klepkę i kawałek wychodzącego na ulicę okna. Weszłam do środka, w przedpokoju była już szafa w zabudowie, przechodząca w pawlacz nad drzwiami do pokojów. Chciałam iść dalej, ale pani major zatrzymała mnie spojrzeniem.

– Zanim odbierze pani mieszkanie, musi pani złożyć ślubowanie i zaakceptować regulamin domicylu. Proszę powtarzać za mną: będąc świadomą, że lokal ten nie jest moją prywatną własnością, lecz został mi powierzony przez naród…

Powtórzyłam.

– …ślubuję, że dołożę wszelkich starań, aby służyć w nim narodowi lub narodowi go zwrócę, ku wiecznej chwale Rzeczpospolitej Polskiej.

Powtórzyłam, czując się, jakbym występowała w kiepskim kabarecie. Podpisałam ślubowanie i ruszyłam w stronę pokoju z prawej strony, to chyba salon, wydawał się ciut większy. Ale znowu mnie zatrzymała, cieszyłam się, że miała tylko jedno oko, inaczej tym spojrzeniem potrafiłaby chyba przewrócić.

– Musi pani jeszcze przy mnie przeczytać na głos i zaakceptować główne wytyczne nieruchomości. – Wręczyła mi kartkę z kilkoma punktami, które już znałam.

Wszystkie reżimowe mieszkania miały regulaminy, wyszczególniające prawa i obowiązki lokatora, przepisy porządkowe i tak dalej. Jak zawsze zresztą, tyle tylko że w normalnym świecie to się sprowadzało do tego, żeby nie sikać do windy i nie robić burd w środku nocy, i wszystko grało. W tym świecie Reżim, czyli funkcjonariusze Regimentu Lokalowego mieli uprawnienia bez mała policyjne i bardzo skutecznie kontrolowali swoje nieruchomości, egzekwowali przestrzeganie regulaminów i po trzecim przewinieniu bez litości eksmitowali. Jak pierwszy raz o tym usłyszałam, wydawało mi się to przesadne, ale o dziwo lud Warszawy popierał te praktyki. Wychodząc z założenia, że jeśli ktoś nie potrafi docenić tak luksusowego dobra, jakim jest mieszkanie, to jak mało kto zasługuje na kopniaka w tyłek.

Ale i tak najważniejsze były „gówna”, czyli główne wytyczne nieruchomości. W moim wypadku, żeby zachować prawo do lokalu, musiałam do końca 1964 roku wyjść za mąż lub zrobić stopień doktorski, a do końca 1967 albo urodzić lub adoptować dziecko, albo uzyskać stopień profesorski. Gówna zdarzały się najróżniejsze, każdy przypadek Reżim rozpatrywał osobno, w moim uznano, że mam za mieszkanie odpłacić społeczeństwu, tworząc rodzinę lub kształcąc się dla jego dobra. Szczerze? Niby dziwaczne, ale całkiem dobry pomysł, jak o tym pomyśleć w kontekście budowy społecznej odpowiedzialności każdego obywatela.

Przeczytałam i podpisałam gówna, podpisałam regulamin, cyrograf też bym podpisała i oddanie się w niewolę do tureckiego burdelu, byleby ta jednooka służbistka pozwoliła mi zobaczyć resztę mieszkania.

– Izba pierwsza, czyli przedpokój. Czy akceptuje pani jego stan?

– Tak.

– Przypominam, że jeśli zaakceptuje pani teraz, późniejsze złożenie reklamacji dotyczące usterek innych niż ukryte bądź wynikające z eksploatacji nie będzie możliwe.

– Dziękuję, akceptuję. Czy mogę hurtem zaakceptować resztę pomieszczeń?

– Nie. Przejdźmy do izby drugiej.

Oddychałam głęboko, próbując zachować spokój, powtarzając sobie w myślach, że muszę wytrzymać, że jeszcze kwadrans i zostanę sama w swoim mieszkaniu. Chyba obsikam wszystkie kąty czy coś, muszę jakoś fizjologicznie zaznaczyć, że to mój teren, czułam taką atawistyczną, zwierzęcą potrzebę.

Przedtem jednak obejrzałam duży pokój i mały pokój, od razu przechrzczone w myślach na salon i sypialnię. Puściutkie, bez grzejników nawet, bo ogrzewanie było tu jakieś nadmuchowe, średnio atrakcyjne, patrzyłam w kratki pod sufitem i od razu wyobraziłam sobie te kanały jako raj dla alergenów, prusaków, karaluchów i wszelkiego miejskiego robactwa. Jedno okno trochę krzywe, ale podpisałam izbę drugą i izbę trzecią bez gadania.

Izba czwarta, ciemna, czyli łazienka. Faktycznie ciemna, mikroskopijna, spartańska, ale wyposażona w wannę, umywalkę

i sedes. Pomyślałam, że pierwszym moim zakupem będzie lustro. Jednooka naziolka kazała mi odkręcić każdy kurek i spuścić wodę w toalecie.

Izba piąta, czyli kuchnia. Widna! Tak się bałam, że będzie jak u mnie w mieszkaniu, ciemna kiszka, której nie dało się nigdy dobrze wywietrzyć, w której zapachy każdego obiadu unosiły się przez kilka dni, mieszając z kolejnymi, a warstwa lepkiego, nie do domycia tłuszczu tak szybko osadzała się na meblach i ścianach, że trzeba było ją malować co dwa lata.

Ta miała wysokie wąskie okno do podłogi, ponieważ za tym oknem znajdował się – fanfary, werble, fajerwerki – balkon! Miał powierzchnię kartki z zeszytu, stanąć mogła na nim tylko jedna osoba, a i wtedy pięty miała na progu, ale był. Mój własny, prywatny, osobisty, pierwszy w życiu balkon z widokiem na altankę śmietnikową. Nie wytrzymałam i poryczałam się.

Pomyślałam, że jednak moim pierwszym zakupem będzie lodówka. Czy robią lodówki z lustrem?

Major Renata Herman z perwersyjną przyjemnością kazała mi jeszcze przez godzinę zwiedzać części wspólne budynku, piwnice, pralnie, suszarnię i wyżej wymienioną altankę śmietnikową.

Ale w końcu się pożegnała, obwieszczając chłodno, że za trzy miesiące przyjdzie bez zapowiedzi na wizytę adaptacyjną, „od której to pierwszej ewaluacji bardzo wiele zależy”, i poszła.

Zostałam sama.

Położyłam się na wznak na parkiecie z jasnej, wąskiej klepki.

Zamknęłam oczy.

Wstrzymałam oddech.

Pustka i cisza.

W głowie zagrała mi piosenka Turnaua.

Będziesz zawsze mieć w głowie tę samą pustkę i ciszę. Zaufaj tylko warg splotom. I tak dalej.

Zaczęłam fantazjować o Ludwiku.

4

Wracał do mieszkania wściekły. W brydża mu nie szło, na dodatek, choć minęło już kilka miesięcy i teoretycznie jego młode ciało powinno lepiej radzić sobie z toksynami, nie był w stanie znieść wszechobecnych kłębów dymu papierosowego. Koszmar, przed którym nie sposób uciec. W klubie brydżowym panowała atmosfera jak na surrealistycznym spalinowym party, na którym ze ścian wystają rury wydechowe różnych silników i pieców, żeby się sztachnąć wedle potrzeby, a to starym dieslem, a to niskooktanową mieszanką, a to koksem z dodatkiem śmieci domowych. Po wyjściu stamtąd było oczywiście lepiej, ale ciągle źle – mieszkańcy wychodzili na korytarz pogadać i zapalić, w domu czekała kopcąca jednego za drugim Iwona, tapicerka mebli, pościel, ubrania – wszystko bez wyjątku śmierdziało, próbował to z siebie zmyć, ale i gąbka, i ręcznik, i szlafrok tak samo cuchnęły, a pomiędzy kiblem i umywalką zawsze stała pełna petów popielniczka, bo Iwona lubiła sobie w czasie każdego sikania posiedzieć, poczytać i wypalić papieroska lub dwa.

Ale i tak wziął prysznic, żeby choć trochę zmyć z siebie brydżowy sztynk.

– Markotny jesteś – zagaiła, kiedy usiadł na drugim fotelu, w szlafroku i z mokrymi włosami. – A wcześniej mówiłeś, że dogadałeś umowę i że to ogromny sukces.

Skrzywił się.

– Jakoś mnie tak okręcił wokół palca, jak sztukmistrz. Najpierw tak skrytykował, że teraz myślę, że to było poniżające, ale wszedłem w to na zasadzie, że my, dwaj zawodowcy, przecież szczerze możemy rozmawiać o literaturze. Potem z zimnego zawodowca zamienił się w takiego miłego geszefciarza, który sam za bardzo się na literaturę nie snobuje, tylko musi udawać, bo wiadomo, środowisko, ale najbardziej lubi właśnie książki do poczytania takie.

Teraz ona się skrzywiła. Pamiętał, że jego pierwsza żona była koneserką kultury wysokiej, bez krzty snobizmu. Stała za tym, jak za wszystkimi jej poczynaniami, logiczna intelektualna kalkulacja.

Obliczyła, że na świecie wytworzono tyle dobrej kultury, że poznając ją rekreacyjnie, i tak można ledwie liznąć jej ogrom. W związku z czym obcowanie z kulturą byle jaką nie ma uzasadnienia.

– Potakiwałem, czułem, że się rozumiemy. Potem opowiadał o trudnym rynku, o ryzyku wydawania debiutantów, ale że on to ryzyko podejmie, bo bardzo we mnie wierzy, no i w końcu zgodziłem się, że nie dostanę żadnej zaliczki i że za pierwsze dwa tysiące sprzedanych egzemplarzy nie dostaję honorarium, żeby pokryć koszty promocji.

Parsknęła.

– Kara boska bezpośrednia.

– Mogłabyś być bardziej wspierająca.

– Wspieram cię we wszystkim, co ma sens i w co wierzę. Do tego stopnia, że toleruję ganiające po tym mieszkaniu szalone nagie kobiety, zamiast cię puścić w skarpetkach. Co ciągle może się zdarzyć. Pamiętasz naszą umowę?

Potaknął.

– Swoją drogą powinieneś być zadowolony, że jej się poprawia. Ale ta książkowa szajba? Kompletnie nie rozumiem twoich motywacji.

– Jakich motywacji?

– Pisarskich. Po co chcesz pisać jakieś kocopały o wnuczce Jezusa? Przecież to tandeta.

– Literatura rozrywkowa.

– Literatura rozrywkowa to oksymoron. Jest literatura i jest rozrywkowa tandeta słowna. Nie rozumiem, dlaczego mój mądry mąż chce tracić czas na produkcję tandety.

– Wolę słowo „tworzenie”.

– Tworzą to artyści literaturę. Ty chcesz produkować tandetę.

– Ludzie to lubią.

– Słyszałam, że lubią też prostytutki i bicie żon sznurem od żelazka. Uważasz, że dostarczanie im tych rozrywek też jest warte twojego zainteresowania?

– Ad absurdum. Na pewno znasz lepsze sposoby na wygranie dyskusji.

Odłożyła książkę.

– Więc proszę, przekonaj mnie i wytłumacz, dlaczego chcesz napisać powieść o wnuczce Jezusa, wędrującej od trupa do trupa pod ramię z krakowskim naukowcem.

Nie mógł jej odpowiedzieć, że według Wikipedii tej książki sprzedało się osiemdziesiąt milionów egzemplarzy i nawet jeśli nie osiągnie tego pułapu, tylko dojdzie do ośmiu, a niechby i czterech, to i tak rozwiązuje to ich problemy finansowe po wsze czasy.

– Moja intuicja podpowiada mi, że połączenie kryminału i chrześcijaństwa się sprzeda.

– Czyli robisz to dla pieniędzy?

– No tak.

– A po co ci pieniądze?

– Co to za pytanie. Każdemu potrzebne są pieniądze.

– Spytam inaczej: po co ci więcej pieniędzy. Ja zarabiam, ty zarabiasz, dzieci na razie nie mamy. Jesteśmy zdrowi, w miarę młodzi, dostaliśmy piękne mieszkanie z tak łagodnymi gównami, że nie sposób go stracić. O co chodzi?

– Podróże, jachty, piękne restauracje, dalekie kraje, nie kręci cię to?

– Wstydziłabym się nic nie robić, tylko siedzieć na jachcie, jeść ośmiorniczki i pić wino, za które trzeba zapłacić dwie pensje polskiego robotnika. Wstydziłabym się, że zbijam bąki, zamiast kontynuować badania. To byłby policzek dla natury lub Boga, jak kto woli. Dostaliśmy w darze potężne narzędzie – popukała się w głowę – do tego, żeby nieustannie zmieniać świat na lepsze, a ty chcesz je położyć na jachcie i wygrzewać w słońcu zamiast pożytecznie używać? Uważasz bezczynność za pełnię szczęścia? To naprawdę rozczarowujące. Tym bardziej że nie jesteś taką osobą, Ludwik, znam ciebie. Potrafisz zrezygnować z tygodniowych wakacji nad Bałtykiem, bo przyjeżdża pacjent albo masz dyżur, albo jakieś sympozjum. I nagle chcesz spędzić życie w Cannes, jedząc kargoladę z aïoli i czytając pełne uwielbienia listy od czytelników twojej tandety?

– A ty jak wyobrażasz sobie swoje życie? Najpierw chodzenie codziennie do pracy, a potem emerytura, starość i śmierć?

– Do tego przyjaciele, rozmowy, książki, filmy, wakacje. Prawdę mówiąc, tak. A ty co? Co świat będzie miał z twojego życia w tej wersji? I jeśli odpowiesz, że literacką rozrywkę, to się z tobą rozwiodę.

Innej odpowiedzi nie miał, więc milczał.

– A czy trzeba stale myśleć o świecie? Nie można też czasem o sobie?

– Pewnie nie trzeba, ale co to byłby za świat, gdyby nikt o nim nie myślał i czekał, aż pomyślą o nim inni. Chcesz coś napisać, napisz o tej swojej teorii. Jak ona mówiła: teoria luster? Nie opowiadałeś nigdy.

– Lustrzane konfrontacje. To tylko taka myśl w powijakach – skłamał. Napisał cztery książki na ten temat, dwie najważniejsze przełożone na kilkanaście języków, a pierwsza w różnych branżowych zestawieniach zawsze była przytaczana jako jedna z najważniejszych książek psychologicznych XX wieku. Tylko pisać tego teraz tutaj nie miało sensu, świat będzie na to gotowy za dwadzieścia lat najwcześniej. – Nazwa potoczna, żeby wytłumaczyć laikom, o co chodzi.

– A jak byś to nazwał normalnie?

– Metoda kognitywno-birefleksyjna.

– Masz mnie. Wolę wersję dla laika.

– W skrócie psychoanaliza i w ogóle psychoterapia są skoncentrowane na pacjencie. Pacjent jest centrum wszechświata, na nim skupiona jest uwaga analityka oraz jego własna. Nienaturalna, sztuczna, laboratoryjna sytuacja. Z kolei terapia grupowa, bogatsza o relację pacjentów z prawdziwymi ludźmi, ma inną dynamikę, traci na intymności, jej funkcja kognitywna jest ograniczona. Najlepiej byłoby, żeby pacjent przyprowadził na terapię osoby, z którymi relacje są źródłem zaburzenia. Ale takie osoby zwykle nie chcą lub się buntują, lub mają gdzieś, lub wręcz nie żyją. Nie do zrobienia.

– I gdzie tu lustro?

– Im dłużej to robię, tym więcej widzę w praktyce, bo w teorii mamy przecież skodyfikowane przez Junga typy osobowości, że ludzie są do siebie bardzo podobni, ich problemy psychiczne i źródła tych problemów także. Co oznacza, że jeśli mam pacjenta,

którego problemy wynikają z kontaktów z matką, to jest szansa, że mam wśród pacjentów matkę, która rozwiązuje swoje problemy z synem, rozumiesz?

– I chcesz ich połączyć?

– W kontrolowanej przestrzeni gabinetu, pod okiem terapeuty. Efekty są, mogłyby być – poprawił się – niesamowite. Rozumiesz, od początku czuję, że w tej dwójkowej relacji pacjent–analityk jest jakiś błąd, że nie można wydestylować człowieka ze świata, ponieważ żaden byt nie potrafi zidentyfikować się sam. Jednostki, grupy jednostek, warstwy społeczne, narody, te byty zyskują kształt dzięki relacji z innymi, dzięki swojemu stosunkowi do innych i stosunkowi innych do nas.

Uśmiechnęła się do niego.

– Fascynujące. Z jednej strony myślę, że chętnie bym poczytała o tym i zobaczyła, jak w praktyce dzięki twojej terapii jacyś biedni ludzie zyskują szansę na spokój i szczęście, ale umówmy się, od dziś mam zamiar w Cannes czytać tylko literaturę rozrywkową, a twoich pacjentów tobym się chyba bała w ogóle na nasz jacht wpuścić, jeszcze by coś zniszczyli. Idziesz do łóżka?

Poszedł. Wstydząc się strasznie w duchu, bo podejrzewał, że będą uprawiali seks. A po początkowym zachłyśnięciu się Iwoną traktował teraz swoją mądrą, przenikliwą żonę jako chodzące i mówiące narzędzie do masturbacji. Nie pamiętał, kiedy ostatnio uprawiał z nią seks, faktycznie z nią, nie fantazjując w każdej chwili o Grażynie.

Czerwiec

1

I pomyśleć, że tydzień temu nalegałam, żeby została dłużej. Skakałam wokół niej, jakbym miała dziesięć lat, a nie – w zależności od punktu widzenia – prawie osiemdziesiąt albo prawie trzydzieści. Mamo to, mamo tamto, mamo zostań, przecież za tydzień Dni Morza, będzie wielki koncert, nie ma sensu, żebyś właśnie tego dnia wyjeżdżała, ja ci kupię drugi bilet, ależ będzie wspaniale, no, mamo, proszę, proszę, proszę.

Cóż, wystarczył tydzień i odprowadzałam ją na Dworzec Główny, starając się nie wspomnieć ani słowem o Dniach Morza, ani w ogóle o niczym w obawie, że jednak postanowi zostać. Dzień był upalny i pociłam się jak mysz. Nie pozwoliła mi wziąć taksówki, „bo to tyle kosztuje", więc mało nie umarłam z braku tlenu w przeładowanym w porannym szczycie tramwaju. Potem taszczyłam jej ciężki kufer z tramwaju na dworzec, odpoczywając co chwila, bo choć ludzkość w miarę szybko wymyśliła zarówno koło, jak i walizkę, to już koncept przyczepienia kółek do walizki z jakichś powodów przyszedł jej do głowy dopiero w latach – no właśnie, jakich? – chyba dziewięćdziesiątych. Przynajmniej dopiero wtedy się w Polsce pojawiły.

Matka była chyba jedyną osobą wyjeżdżającą w tych dniach z Warszawy, miałam wrażenie, że brniemy pod prąd demograficznej fali powojennego baby boomu, z dworca nie przestawała wychodzić młodzież w wieku szesnastu, osiemnastu lat, buzująca podnieceniem tak, jakby wszyscy się czegoś naćpali. A w drugą stronę przepychałyśmy się tylko my – ja i moja niespełna sześćdziesięcioletnia matka, która zgodnie z obyczajowymi wymogami epoki weszła już w buty sędziwej staruszki w grubych rajstopach, brązowych pantoflach i siwych włosach, uczesanych w kok. Mogłam jej wygarnąć, że za mną w jej wieku to się jeszcze

na ulicy oglądali, ale nie do końca to by była prawda, jak byłam w jej wieku, to upadała komuna i nikt się za nikim nie oglądał, bo każdy patrzył jedynie w świetlaną przyszłość Polski albo zerkał przez ramię, czy go ZOMO przypadkiem nie pałuje.

– Może pomogę? – Uśmiechnął się do mnie przystojny młody brunet.

– Dziękujemy, ale świetnie dajemy sobie radę – odpowiedziała chłodno matka, zanim zdążyłam odpowiedzieć, że „tak, bardzo chętnie".

Brunet skłonił się i odszedł, a ja spojrzałam z mordem w oczach na matkę.

– A może sama chcesz ponieść swój kuferek?

– Nie przesadzaj. Ja nigdy nie flirtowałam z przygodnie napotkanymi mężczyznami i jakoś żyję, więc i tobie się uda. Myślisz, że twój narzeczony byłby zadowolony?

– Myślę, że bardzo, wiedząc, że nie muszę targać walizki tak ciężkiej, jakbyś tam trzymała trupa zapaśnika wagi ciężkiej. Po co ty żeś wzięła tyle rzeczy na tydzień?

– Kochanie, to nie jest Rzym, tylko Warszawa. Nigdy nie wiadomo, jaka jest pogoda. I nigdy nie wiadomo, jaka się nadarzy okazja. Sama powiedz, jak ja bym wyglądała na kolacji u rodziców Adasia, gdybym nie wzięła wyjściowej sukienki?

– Normalnie, tak jak wszyscy. Zamiast jak dziwadło, które właśnie wyszło z premiery w operze wiedeńskiej.

– Kolejna złośliwość z twojej strony. I tak jak wszystkie poprzednie, zupełnie niepotrzebna. Twój brat też miał na sobie mundur galowy. Chodźmy, bo się spóźnimy.

– Mamo! Jesteśmy godzinę przed czasem!

Nie odpowiedziała. Od dziecka mi to robiła, nigdy nie odpowiadała; kiedy podnosiłam głos, jedynie patrzyła, czekając, aż powiem to samo grzecznie i normalnie, dopiero wtedy odpowiadała. Nie zamierzałam wypowiadać się grzecznie, więc po prostu poderwałam kufer i na przekór roześmianej, młodzieżowej fali ruszyłam w stronę dworca.

Lubiłam to miejsce, jak wszystkie zresztą dworce, od ogromnych lotnisk po stacyjki kolejowe pośród pól, składające się z torów,

jednej ławki i pordzewiałej tabliczki z nazwą miejscowości. Wszystkie traktowałam jak magiczne bramy do innego wymiaru, do podróży i do przygody. Całe życie żałowałam, że z tych bram nie korzystałam tak często, jak mogłam. Ale wiadomo, zawsze coś. Teraz też tylko odstawiałam matkę, potem miałam zajęcia, potem koncert, potem dziewczyny przychodziły w odwiedziny, no po prostu nie ma jak wcisnąć w grafik wyprawy do Patagonii.

Dworzec nie wyróżniał się specjalnie na tle tej Warszawy, tak samo jak reszta budynków użyteczności publicznej przytłaczał piaskowcową monumentalnością. Bardziej użyteczny niż widowiskowy i przyznaję, że nasz peerelowski Dworzec Centralny z gigantyczną, przeszkloną halą główną wydawał się znacznie bardziej udany, odważny i nowoczesny. Ten jawił mi się jako ciemny i ciasny, złośliwie podzielony na hole, sale i korytarze, żeby można się w nim było zgubić za każdym razem. Ale miał też jakiś staroświecki urok i podobały mi się zdobienia pokazujące nowoczesność, pęd i podróż. Na przykład wielka mapa Polski i wielka mapa Europy, z zaznaczonymi neonowymi rurkami czynnymi połączeniami kolejowymi. Dojechać z Warszawy można było bez przesiadek do Paryża, Berlina, Wiednia, Moskwy, Pragi i Stambułu! Niesamowite, muszę Ludwika na to namówić. Tylko my we dwójkę, przedział w wagonie sypialnym i podróż Orient Expressem przez calutką Europę. Przygoda życia, o której zawsze marzyliśmy.

I znowu pomyślałam mimowolnie „Ludwika”, choć przecież powinnam pomyśleć „Adama”. Zdarzało mi się to bez przerwy i chociaż walczyłam z tymi emocjami, choć wkładałam mnóstwo sił i zapału w swoje narzeczeństwo, to i tak coraz częściej zdarzały mi się takie chwile. Kiedy chciałam z Ludwikiem udać się w wielodniową podróż kolejową, siedzieć bez przerwy razem w małym przedziale, tak jak zawsze siedzieliśmy razem w małym mieszkaniu, gadać, wspominać nasze życie i uprawiać seks.

A może mogłabym mieć raz w roku taką podróż, a poza tym normalnie ciągnąć narzeczeństwo, a może potem i małżeństwo z Adamem, który jest taki mądry i czuły, przecież bez wątpienia to miłość mojego życia? Proszę, mamo, tak bardzo proszę.

Ruchomymi schodami zjechałyśmy na peron, z którego za trzy kwadranse miał ruszyć pociąg do Poznania. Z ulgą postawiłam kufer na ziemi; biorąc pod uwagę jego pancerną, drewniano-płócienno-okuciową konstrukcję, ważyłby swoje nawet wtedy, gdyby zapakować go jedynie watą.

– Z tym oknem coś musisz zrobić. Ciągle nie mogę uwierzyć, że tego nie zgłosiłaś. Przecież skoro podpisujesz te wszystkie cyrografy, to oni są ci coś winni, prawda?

– Mamo, nie przeszkadza mi to.

– I trzeba sprawdzić, czy do tego ogrzewania jakiejś siatki nie produkują, żeby robactwa ci nie nalazło.

– Masz rację, sprawdzę – powiedziałam dla świętego spokoju.

Po drugiej stronie peronu zatrzymał się pociąg z Łodzi, tak szczelnie wypełniony ludźmi, jakby próbowali pobić rekord Guinnessa w liczbie osób podróżujących jednym przedziałem. Sapnął, stęknął i wyrzucił z siebie rój wrzeszczących i śmiejących się nastolatków.

Mama spojrzała na nich, a potem na mnie.

– Nie jesteś już nastolatką – powiedziała. – Masz prawie trzydzieści lat. Wiesz, co czułam, patrząc, jak dmuchasz tyle świeczek?

– Dumę, że masz taką wspaniałą córkę?

– Taki ogromny żal, że dmuchasz je jako bezdzietna panna. Mąż i dzieci powinni razem z tobą dmuchać.

– Obiecuję, że jak przyjedziesz za miesiąc, wszystko będzie gotowe.

– Życia w żart nie obrócisz, czasu nie cofniesz.

– Ja przez całe życie niczego w żart nie obróciłam i jakoś żyję. – Sparodiowałam jej ulubione powiedzonko przesadzonym głosem starej baby, bo już naprawdę działała mi na nerwy.

Nie skomentowała. Tylko patrzyła. Ja też na nią patrzyłam. Osiemdziesiąt lat prawie miałam, nie będzie mnie gówniara rozstawiała po kątach.

Westchnęła.

– Przyjedź latem z Adamem na trochę. Piotrek może dostanie przepustkę, byśmy razem posiedzieli w ogrodzie. Co ty na to?

O, proszę, czyli jednak jest w niej matka, za jaką tęskniłam. Pokiwałam tylko głową, bo wzruszenie mnie zadrapało w gardle.

– Rodzina by się ucieszyła i gzika bym zrobiła, tak jak lubisz. Możecie siedzieć, ile tylko chcecie.

– Dziękuję, mamo.

– Wiesz, że ten Adam to skarb, prawda?

– Wiem.

– To dobrze. Leć już, do pracy się spóźnisz, a mnie tutaj jeden z tych młodych z walizką pomoże.

Objęłam ją i przytuliłam, zaskoczyła mnie tym, jak mocno odwzajemniła uścisk, długo tak stałyśmy objęte. Usłyszałam, że pociągnęła nosem, pewnie czeka teraz, aż jej oczy wyschną, żeby nie pokazać słabości.

– My tak z ojcem zawsze robiliśmy – powiedziała cicho – że całą rodziną dmuchaliśmy nasze torty, uwielbialiście to przecież, pamiętasz?

Pamiętałam. Całe długie życie pamiętałam. Po siedemdziesiątce potrafiłam się ciągle popłakać czasami na to wspomnienie. Myśląc, że ojca nie ma i Piotrka, i mamy też nie ma, Jacek nie żyje, ja sama niedługo umrę. A jeszcze wczoraj ojciec mnie trzymał na rękach, żeby razem dmuchać świeczki, i wszyscy byliśmy nieśmiertelni.

2

Śmiać mu się z tego chciało, ale brakowało mu internetu. Ze względu na swój wiek nie załapał się do końca na rewolucję teleinformatyczną, ale jednak miał komputer, telefon i tablet i choć pewnie wykorzystywał promil możliwości tego sprzętu, to codziennie używał poczty elektronicznej, skajpa i wikipedii, zaglądał na portale informacyjne. I teraz dałby wszystko, aby móc sprawdzić, kto napisał, że „nikt nie jest samotną wyspą”. W XXI wieku każda wiedza była na sięgnięcie po telefon do kieszeni. A teraz?

Siedział sam w domu, w gabinecie, i rysował na kartce papieru bezludną wyspę. Fale, kawałek piasku, jedna palma i człowieczek

pod palmą. Tyle mu wychodziło z prób skupienia. Rysunek palmy. Nawet udany.

Po kilku tygodniach prób zrezygnował z kariery beletrysty, okazało się, że literatura piękna nie różniła się od zawodów sportowych. Jak się patrzy, to z taką łatwością wszyscy biegną, jeżdżą na łyżwach i kopią piłkę, a jak człowiek sam wyjdzie na boisko, to szkoda gadać. Na szczęście nie wziął żadnej zaliczki, więc nie będzie musiał oddawać pieniędzy, przynajmniej tyle.

Postanowił pójść za poradą Iwony i jednak spisać swoją teorię lustrzanych konfrontacji w nadziei, że pomoże mu zdobyć tytuł profesorski. Zaczął od tego, że na czystej kartce napisał: „Nikt nie jest samotną wyspą". I za cholerę nie mógł sobie przypomnieć, kto jest autorem cytatu, żeby móc go podpisać. Hemingway?

Dorysował obok ludzika na wyspie damską postać i połączył kreskami, żeby wyglądało, jakby trzymali się za ręce.

Patrzył na te dwie postaci, patrzył na bezludną wyspę i wspominał.

Cóż to była za epicka awantura. Początek lat siedemdziesiątych, Jacek miał siedem lat, poszedł do szkoły i rozchorował się potwornie. Żadna śmiertelna choroba – nie wtedy – tylko katar przechodzący w przeziębienie, przeziębienie w anginę, angina w zapalenie oskrzeli i tak dalej, tygodniami to trwało, lekarze rozkładali ręce, antybiotyki nie działały. Wszyscy byli u kresu sił. Jacek – z oczywistych względów. Oni razem – ponieważ nie mieli pojęcia, czy to tylko naturalny proces uodparniający, efekt zderzenia syna z nową florą bakteryjną ogromnej szkoły, czy też może dolega mu coś poważnego, tylko nikt nie potrafi tego zdiagnozować. Grażyna – ponieważ zmieniła pracę na pół etatu, aby móc towarzyszyć dziecku w pierwszych latach szkolnych, ale jednak pół etatu nie oznaczało zera etatu, a nawet w PRL-u nie można było po prostu nie chodzić do roboty. Dlatego starali się, aby to on siedział przy dziecku, co w zderzeniu z tym, że zaczynał się rok akademicki i na dodatek wszyscy pacjenci powracali z wakacji, pełni nowych traum i wspomnień małżeńskich patologii, sprawiło, że jemu świat zawalił się kompletnie.

Był wieczór w Dzień Nauczyciela, 14 października, kiedy Jacek w końcu usnął po inhalacji czymś, co miało mu pomóc, a tylko sprawiło, że katar wrócił, a oni padli na kanapę, zbyt zmęczeni, żeby usnąć, nie wspominając o jakiejkolwiek innej aktywności. Powinni sobie nalać kieliszek. Powinni zadzwonić do Lucyny, że dziś jest w porządku, że ona i jej samochód nie będą potrzebni, aby znowu jechać do lekarza. Ale nie mieli siły. Więc tylko leżeli obok siebie w ubraniach na kanapie i próbowali się zregenerować na tyle, żeby umyć zęby i usnąć.

I jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, rzucili się sobie do gardła. Grażyna wspomniała, że jutro mimo połowy etatu musi zostać dłużej, ponieważ jest zebranie, na którym ustalają nowy sposób rozliczeń pieniędzy w szkole. On powiedział, że właśnie na jutro poprzekładał pacjentów, żeby ona mogła dziś i wczoraj pójść do szkoły. Na co ona, że on zawsze, na co on, że ona nigdy, kwadrans później się rozwodzili, pół godziny później każde było gotowe, żeby trzasnąć drzwiami i nigdy nie wrócić, ale żadne z nich nie miało na to siły, więc próbowało do wyjścia skłonić to drugie, co w końcu tak ich rozśmieszyło, że się pogodzili.

Powiedziała, że powinien łączyć pacjentów w pary. Że pary to najprawdziwsza prawda o świecie.

Odparł, że nie lubi grup.

Wytłumaczyła, że mówi serio, że zawsze ją ciekawiło, dlaczego na analizy przychodzi tylko jeden pacjent. Przecież analityk ma wielu pacjentów i mógłby łączyć ich w pary, stawiając wtedy przed nimi i ich problemami lustro w postaci prawdziwego człowieka. Który też ma swoje problemy i emocje, a nie jest jedynie życzliwą ścianą jak terapeuta.

Zapytał, czy mówi poważnie.

Odpowiedziała, że jak najbardziej, przecież każdy by mu płacił, a on zarabiałby tyle samo, a miałby dwa razy więcej czasu i mógłby się dzieckiem zająć.

Nieźle się wtedy uśmiali i poszli się kochać.

Następnego dnia jak zwykle uratowała ich Lucyna, przychodząc do Jacka, ale ziarno zasiane podczas tej rozmowy kiełkowało,

kiełkowało i w końcu zrodziła się z niego jedna z najbardziej skutecznych szkół terapeutycznych XX wieku.

Dlatego swojej pracy dał motto: „Nikt nie jest samotną wyspą". Nie dlatego, że tak świetnie podsumowywała istotę nowej terapii, lecz dlatego, że nigdy by na nią nie wpadł i nigdy nie opracował, gdyby nie jego mądra, wspaniała żona, którą kochał i której pożądał pięć dekad bez przerwy. Ile to jest pięćdziesiąt lat? Niecałe dwadzieścia tysięcy nocy. Ile z nich przespał, nie trzymając dłoni na piersi Grażyny? Dwieście? Na pewno nie więcej. Mało przecież podróżował, a jeśli już, to razem z nią.

Tęsknił strasznie.

3

Wszystkie uczennice z Efu dostały zaproszenia do specjalnego sektora na dzisiejszy popołudniowy koncert. Już od kilku dni prowadzenie zajęć z każdą godziną stawało się coraz trudniejsze, z fazy rozkojarzenia dziewczęta przeszły w fazę nieustającego pobudzenia, drżenia, tokowania i piszczenia, bałam się, że jeszcze trochę i stanę się świadkiem ataku epileptycznego, bo mózg którejś z nich nie wytrzyma stałego nadmiaru euforii. Dlatego w czasie tak zwanych lekcji macierzyństwa ze starszym rocznikiem postanowiłam się ograniczyć do dobrych rad dotyczących zachowania się na imprezach zbiorowych, gdzie emocje i używki mogą poluzować obyczajowe hamulce. Biorąc pod uwagę, że dziewczęta wyglądały na gotowe puścić się z każdym, kto im pokaże płytę ze zdjęciem Johnny'ego Hallydaya – który moim zdaniem wyglądał na gwiazdę disco polo z Płocka, kompletnie nie rozumiałam tej manii – temat wybrałam roztropnie.

Wszystko szło gładko. Udało mi się przekazać odrobinę feministycznej wiedzy, że „nie to nie" i że w każdym momencie randki mogą wstać i wyjść, i że to ich święte prawo. Zerkały trochę po sobie, mrugając znacząco, że wychodzenie z randki to ostatnie, na co mają ochotę, ale udawałam, że tego nie widzę. Udało mi się je rozbawić przykładem, że tak samo jak facet w drogim garniturze nie

jest winny tego, że go napadną i zabiorą portfel – tak samo kobieta nigdy nie jest winna tego, że zostanie napadnięta i napastowana. Ale też rozumiejąc, że Polska w latach sześćdziesiątych bez względu na wariant historii musi być wszechświatowym królestwem mizoginii, kazałam powtórzyć głośno naszą mantrę bezpieczeństwa.

– Jeśli ktoś was napadnie, złapie i zagrozi, że nie możecie krzyczeć, bo was zabije, to co zrobicie?

– Krzykniemy, kopniemy i uciekniemy! – wyrecytowały chórem.

Tak jest, feminizm feminizmem, a sztuka przetrwania sztuką przetrwania.

– Madame, czy w mariażu też można powiedzieć „nie”? – zapytała Rebeka pod koniec lekcji, wbrew swojemu starotestamentowemu imieniu typowa słowiańska blondynka o platynowych, prostych włosach.

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Ślub nie sprawia, że stajecie się czyjąś własnością, tylko że decydujecie się z kimś wspólnie spędzić życie jako partnerzy. To bardzo ważny temat, przygotuję wam z tego osobną lekcję już po wakacjach.

– A madame to od dawna ma ten nowy pierścionek? – rzuciła z tylnej ławki Magda, ta najbardziej wyszczekana z mojej pierwszej lekcji, kiedy zabłąkałam się do tej klasy przez przypadek. – Tak à propos mariażu.

– Kilka tygodni – odpowiedziałam, na co dziewczyny roześmiały się i zaczęły klaskać, a ja zarumieniłam się mimo woli, nie było to zbyt profesjonalne i madame la directrice raczej by mnie nie pochwaliła.

Żałowałam trochę, że poprzednio nie trafiłam do edukacji jako nauczycielka, tylko jako urzędniczka i w końcu dyrektorka. Uwielbiałam swoje dziewczyny, wszystkie razem i każdą z osobna, nawet jeśli czasami działały mi na nerwy i nawet jeśli czasami dziwiłam się, jak ogromne potrafią przechodzić z dnia na dzień zmiany nastrojów. Ale i tak rzadko się zdarzało, żebym wstawała bez podniecenia, że pójdę do szkoły, że je spotkam, że usłyszę ich pytania. A fakt, że mogłam wybić je choć trochę z orbity służalczości i poddaństwa, na której większość z nich kręciła się od urodzenia, dodawał mi takiej euforycznej siły, jakbym pracowała nie

w szkole, ale w laboratorium opracowującym terapię na raka. Każde czterdzieści pięć minut ze mną zwiększało ich szanse na to, że wpadną w życie ciut bardziej niezależne niż ich matki i babcie, zwłaszcza że większość, a może nawet wszystkie pochodziły z tradycyjnych domów.

– Madame. – Rebekę wyraźnie coś dręczyło. – Ja wiem, że pani nam opowie po wakansach, ale my się czasami zastanawiamy, bo będziemy pewnie czyimiś żonami i w ogóle, że co, jeśli w ogóle nie będziemy miały ochotę na obowiązki małżeńskie. Jeśli co wieczór będziemy chciały powiedzieć „nie". Tak to chyba nie można, prawda?

Coś owijała w bawełnę, ale nie potrafiłam do końca zrozumieć, jaka jest jej intencja.

– Rebeko, wydaje mi się, że mówisz o przypadkach dość skrajnych. Człowiek ma naturalną potrzebę bliskości cielesnej i jeśli z kimś zaprzyjaźnia się na tyle, że decyduje się na ślub, to wychodzi to naturalnie. Poznajecie siebie, swoje potrzeby, swoje granice, ważne, żeby to robić z delikatnością i szacunkiem. Raz jest lepiej, raz gorzej, jak ze wszystkim. I na pewno nie powinnyście nazywać tego „obowiązkiem".

– Niech lepiej on to tak nazywa – rzuciła Magda, jak zwykle niezawodna.

– Madame. – Rebeka nie odpuszczała. – A jeśli tak by się zdarzyło, że któraś teoretycznie czuje, że tak powiem, że mówiłaby zawsze „nie" każdemu mężczyźnie?

Kilka dziewczyn wymieniło się porozumiewawczymi spojrzeniami, siedząca dwie ławki obok Rebeki Cenia zrobiła się purpurowa, a ja dopiero teraz zaczęłam rozumieć, o co chodzi w tych pytaniach.

I co ja mam na to odpowiedzieć? Głupia jestem, że nie przygotowałam wcześniej jakiejś riposty na takie pytanie. Nastolatki w wieku licealnym, żeńska szkoła, internat, hormonów się w powietrzu unosiło tyle, że Bóg mi świadkiem, czasami miałam wrażenie, że na korytarzach w czasie przerw widzę jak przez mgłę. Muszę coś powiedzieć. I to szybko. Cholera, gdybym się urodziła

czterdzieści lat później, bardziej by to wszystko naturalne było dla mnie.

– Rebeko, jeśli mówisz o kobietach, które czują pociąg do innych kobiet – oczywiście chichoty, ale chciałam brzmieć profesjonalnie, więc nawet pauzy nie zrobiłam na zgromienie ich wzrokiem – a nie do mężczyzn, to możesz mówić o dwóch sprawach. Po pierwsze, każdy z nas jest istotą ciekawską. Pod każdym względem, także pod względem cielesnym. I nie ma w tym nic złego, zwłaszcza jeśli swoją ciekawość zaspokajamy z kimś, kto również jest tego ciekawy. Ale w każdym społeczeństwie kilka procent ludzi jest osobami homoseksualnymi. Nie interesują ich kompletnie związki z płcią przeciwną, ale z własną. – Zawiesiłam głos.

Przypomniał mi się wstydliwy epizod w karierze Ludwika, kiedy utrzymywał, że potrafi leczyć z homoseksualizmu, na szczęście było to w latach osiemdziesiątych, długo przed epoką internetu, i nikt mu potem tego nie wyciągnął. Poza mną w czasie różnych kłótni, co zazwyczaj było argumentem kończącym. Naprawdę bał się, że jak mnie kiedyś porządnie wkurzy, to pokażę komuś jego artykuł o leczeniu homoseksualistów poprzez lustrzaną konfrontację z symbolem silnie dominującego rodzica tej samej płci.

O mało nie parsknęłam śmiechem, przypominając sobie, że naprawdę miałam skitrany ten tekst w szufladzie z rajstopami i jeszcze kserówkę za mikserem na wszelki wypadek. Długie dekady traktowałam to jako ubezpieczenie w razie, gdybyśmy się rozwodzili i potrzebowałabym karty przetargowej.

Oczywiście nie mogłam parsknąć, nie teraz, wiedziałam o tym i tym bardziej narastała we mnie wesołość. Kretyńska sytuacja.

– Takie osoby nie powinny się wiązać z przeciwną płcią – kontynuowałam, z trudem nad sobą panując – bo w ten sposób unieszczęśliwiają i siebie, i partnera. Zamiast tego powinny żyć w zgodzie ze swoją orientacją.

– Ale wtedy ślub nie wchodzi w grę?

Nie znałam prawodawstwa tej Polski, ale na rany Chrystusa, niezwykle bym się zdziwiła.

– Nie. Ale to nie znaczy, że osoby homoseksualne nie mogą żyć ze sobą i w szczęściu dożyć spokojnej starości, ciesząc się swoją

miłością, przyjaźnią i oczywiście swoją cielesnością.

Ważyłam każde słowo, widziałam, że Rebeka szepcze moje zdania pod nosem, żeby je lepiej zapamiętać. Reszta klasy spostrzegła, że chodzi o coś ważnego, skończyły się spojrzenia i chichoty.

– Nawet jeśli inni będą to potępiać?

– Pozwól, że odpowiem tak. Zapewne są wśród was osoby wierzące – wolałam nie zwracać się tylko do Rebeki – które spodziewają się życia po śmierci, ale nawet wtedy to będzie gdzieś tam życie wieczne, a jedyne, o którym wiemy coś pewnego, mamy tutaj. Jedno, niezbyt długie i bardzo szybko przeleci, zaufajcie mi, nawet jeśli teraz wydaje wam się inaczej. Ślub, praca, dziecko, nie zdążycie policzyć do trzech i będziecie na emeryturze. Jeśli w tym życiu na coś naprawdę nie ma czasu, to na zastanawianie się, czy ktoś nas będzie potępiał, czy nie.

Dzwonek.

– Z tego to wam zrobię dwie lekcje po wakansach, drogie dziewczęta. – Podniosłam po nauczycielsku palec. – I klasówkę z potrójną wagą do rozliczenia.

Część jęknęła, część się roześmiała, ktoś zaczął bardzo ładnie śpiewać „souvenirs, souvenirs", kilka dziewcząt od razu zaczęło tańczyć rokendrola, a ja wyszłam z klasy, bo może byłam młoda z punktu widzenia osiemdziesięcioletniej staruszki, ale i tak już za stara, żeby zostać z moimi uczennicami.

Szybko leci.

4

Do Hali Mirowskiej szli trochę dookoła, żeby skorzystać z ładnego dnia. Miodową, potem koło Teatru Wielkiego i przez Ogród Saski. Ładny spacer, tym bardziej że w większości prowadzący taką Warszawą, w jakiej zawsze mieszkał, nie licząc odbudowanego w tej rzeczywistości Pałacu Saskiego. Miasto wydawało się dość puste jak na późne popołudnie, kto mógł, dawno już przeprawił się przez Wisłę, aby wziąć udział w obchodach Dni Morza, reszta zgromadziła się przed telewizorami, żeby uroczystości oglądać u siebie albo

u sąsiadów. Nieliczni przechodnie zdawali się zmierzać w tę samą stronę, co ich grupa.

Na Marszałkowskiej stanęli na światłach, na głównych ulicach zawsze się czekało na przejście wieki, w „Stolicy" czytał, że to celowe, aby zapewnić płynność ruchowi kołowemu i komunikacji miejskiej. Trzeba będzie poczekać jeszcze parę dekad, aż ktoś zauważy, że piesi też mieszkają w mieście. I rowerzyści, tych to akurat z Grażyną szczerze nienawidzili, tak szybko jeździli po chodnikach, że strach czasami było wyjść na zakupy, szczególnie Grażynie z tymi jej kruchymi kośćmi.

– Do pekaes mam pięć kilometry – powiedział stojący obok niego facet do swojego towarzysza. – O czwartej za piętnaście jest pekaes.

Drgnął. Któryś już raz zdarzyło mu się słyszeć tutaj dziwne echa tamtego świata, jak wtedy, kiedy pacjentka opowiadała swoje sny o brzydkich zabawkach. Podsłuchiwał urywki dialogów, które brzmiały znajomo. Teraz też poczuł to déjà vu, wiedział, że następna kwestia będzie brzmiała „I zdanżasz pan?".

– I zdanżasz pan?

– Nie, ale i tak mam dobrze, bo jest przepełniony i nie zatrzymuje się. Przystanek idę do mleczarni…

– A ty co masz taką minę? – Iwona ujęła go pod ramię. – Dobrze się czujesz?

– Tak, oczywiście. Może to ten początek lata, przesilenie, organizm się musi przyzwyczaić do tego, że jest ciepło.

Światło się zmieniło i ruszyli, zostawiając z tyłu mężczyzn dyskutujących o „zdanżaniu". Z jakiegoś filmu peerelowskiego to chyba był dialog, Grażyna by wiedziała, ją zawsze bardziej kino interesowało niż jego.

– Ty wierzysz, że taka tempehatura jest ciepło? – Camille zaśmiał się. – Biedni Polacy, tak sthasznie was pehturbowała histohia i natuha.

Uśmiechnął się uprzejmie, choć miał wrażenie, że gra napisaną dla kogoś innego rolę, cała sytuacja doskwierała mu coraz bardziej. Na początku zdjęcie z Edwardem Gierkiem jedynie go bawiło i dziwiło, jak wszystko tutaj. Potem przeżył szok, kiedy odkrył, że razem z Iwoną są nie tylko sympatykami, ale wręcz aktywistami

Unii Słowiańskiej. Która – ktoś z wiedzą o PRL-u musiał to widzieć jasno – nie mogła być niczym innym niż sowiecką agenturą. Tłumaczył sobie, że w poprzednim życiu też popełniał błędy, z PZPR wystąpił dopiero po wydarzaniach na Wybrzeżu w 1970 roku, oddanie legitymacji poprzedziły dwa lata awantur z Grażyną i Lucyną, które uważały, że po antysemickich czystkach tylko ostatnie fiuty zostały w partii. Ale akurat wtedy nie mógł, musiał pojechać do Wiednia na seminarium psychoanalityczne, gdyby mu wtedy zabrali paszport albo co gorsza, wyrzucili z uczelni, zapłaciłby karierą i stracił szansę na profesurę.

Historia inna, życie inne, błędy takie same jak zawsze, tak sobie myślał. Jednak w miarę rozmów z Iwoną i ze znajomymi, zwłaszcza z Camille'em, zaczął się wahać. Myślał: jeśli Kwiatkowski może być prezydentem, jeśli Gomułka może być przewodniczącym niewiele znaczącej opozycyjnej partii, to może i Gierek w innych okolicznościach zostałby normalnym politykiem? Rozsądnym patriotą, szukającym trzeciej drogi między groźbą sowieckiej okupacji a histeryczną, bezmyślną westernizacją? Oswoił tę myśl, a ponieważ w czasie kampanii wyborczej ciągle i ze wszystkimi trzeba było dyskutować o polityce, ukształtował swój punkt widzenia i stał się faktycznie sympatykiem Unii, wierzącym, że Polska powinna wykorzystać najlepszy moment w historii, aby ukształtować swój byt niezależnie od cisnących ją z dwóch stron imperializmów.

A mimo to coraz bardziej ciążyła mu ta niedopasowana rola. Cała Warszawa, cała Polska nawet żyły Dniami Morza, dorocznym świętem przyszłości i nowoczesności. Stolica buzowała energią tysięcy nastolatków, które zjechały świętować swoją nieśmiertelność przy dźwiękach najmodniejszych przebojów i w świetle ogni sztucznych. A on? Szedł w grupie ludzi w średnim wieku i starszych, żeby w Hali Mirowskiej słuchać swojego przyjaciela Edwarda Gierka.

Brzmiało to jak ponury żart.

5

Liczyłam na swój urok, bo na nieoczywisty szarm Lucyny z jej petem w ustach i kpiącym wzrokiem nabierali się tylko wyrafinowani koneseserzy kobiecej inteligencji, gatunek może nie zagrożony wyginięciem, ale wyjątkowo rzadki. Od strony Parku Skaryszewskiego doszliśmy do naszego sektora na Szpikulaku, gdzie Lucyna wyciągnęła moje zaproszenie, a ja legitymację nauczycielki Efu. Pewna, że to zadziała, a jeśli nie, będę rżnęła słodką idiotkę.

Trafiłyśmy na służbistę, który spytał o moje zaproszenie. Na co zaczęłam strzelać oczami, wypychać do przodu biust – już w nowym staniku, więc co prawda zadbany i dopieszczony, ale mniej ostentacyjny – i opowiadać, że przecież wszystkie z Efu mamy wejściówki do tego sektora, w szkole koleżanka mówiła, że wystarczy legitymacja, ojej, taka przykrość niespodziewana. Im bardziej się starałam, tym bardziej policjant patrzył na mnie jak na wariatkę, która zamierza rzucić wuzetką w Inżyniera. Sympatia zgromadzonych wokół nas była po jego stronie, ponieważ zajście blokowało kolejkę.

– Pan jej wybaczy te kłamstwa – powiedziała Lucyna. – Narzeczonego ma z Podhala, podarł jej zaproszenie, bo zazdrosny strasznie, teraz akurat o tego francuskiego szansonistę. Od dawna jej mówię, żeby bacę zostawiła, ale dziewczyna zakochana, co zrobić.

Była już po drugiej stronie bramki, ale przeszła obok policjanta i stanęła obok mnie.

– Chodź, Grażynka – powiedziała smutno. – Bez ciebie to po co mi tam samej siedzieć.

Sympatia zgromadzonych zmieniła wektor. Tłumek zaszumiał.

– Cyrkulować, cyrkulować proszę w spokoju – rzucił policjant służbowym tonem do zgromadzonych.

– Panie kierowniczku kochanieńki! – ktoś krzyknął. – Warsiaskiej panny pan nie wpuścisz? Godzi się tak?

Policjant otworzył usta, jakby znowu chciał nakazać „cyrkulowanie”, ale widać uznał, że jest na przegranej pozycji.

– Stolica, psiakrew, mieli rację ojciec, matka, żeby się trzymać z daleka – mruknął pod nosem stójkowy i machnął ręką, żebyśmy przechodziły.

Co też ochoczo zrobiłyśmy i po chwili spaceru między budynkami szukałyśmy już miejsca na naszej trybunie. Tutaj słowo wyjaśnienia. Kiedy pierwszy raz zwiedzałam Szpikulak, czyli dzielnicę wokół Wieży Przyjaźni, dziwiłam się wywyższeniu gmachów wzdłuż głównej arterii. Do każdego budynku wchodziło się po szerokich, wysokich schodach niczym do greckiej świątyni. Miałam to za bardzo pretensjonalne, dopóki nie zrozumiałam, jaki stał za tym zamysł: żeby cała dzielnica mogła też służyć za miejsce imprez masowych. Schody zamieniały się wtedy w naturalne trybuny, a między budynkami dobudowywano trybuny tymczasowe, i tak oto powstawał może nie tyle stadion, co wariacja na temat starożytnego wydłużonego cyrku.

Nasza trybuna znajdowała się na stopniach wiodących do Muzeum Nowoczesności (przechrzczone przez Lucynę nie bez racji na oksymoronarium) i wlazłyśmy wysoko, aż między kolumny wejścia, aby dobrze widzieć całą imprezę. Pejzaż robił wrażenie. Wokół wieży zbudowano na podwyższeniu okrągłą scenę. Na naturalnych i sztucznych trybunach było dość pełno, ale na ulicy – pełniącej w tym wypadku funkcję płyty stadionu, gdzie każdy mógł wejść bez zaproszenia i bez biletu – kłębił się nieomal po horyzont nieprzebrany tłum dzieciarni.

Coś zaczynało się dziać.

Najpierw na scenie rozchyliła się zapadnia i wyjechał z niej niewielki postument z mikrofonem. Potem otworzyły się drzwi i z wieży wyszło kilkudziesięciu werblistów i kilku trębaczy, wszyscy w mundurach marynarki wojennej. Stanęli w równych odstępach wokół sceny, podnieśli pałeczki i zaczęli grać. Im dłużej wygrywali w kółko ten sam sygnał, tym bardziej tłum cichł, tym mocniej brzmiały odbite od murów dźwięki, monumentalny, podniosły efekt przyprawiał mnie o ciarki.

Nagle, jak połączeni niewidzialną żyłką, przestali.

Dopiero wtedy sygnaliści podnieśli trąbki i po Warszawie rozniósł się pobudkowy hejnał Wojska Polskiego.

Kiedy skończyli, od ciszy dzwoniło w uszach i tym lepiej słyszalny był męski głos, który oznajmił:

– Prezydent Rzeczpospolitej Polskiej.

6

Wiecie, co myślę? Myślę, że znowu z czegoś nas okradają. Od wieków nasi słowiańscy przodkowie, których życie zależne było od cyklu natury, świętowali przesilenie letnie. Dzień, kiedy słońce pokazuje swoją moc, kiedy ciepło i światło pokonują mrok, dzień miłości, płodności i nadziei. A potem przyszedł Kościół i nazwał kupałnockę Świętym Janem. A wiecie, jak to jest z tymi chrześcijanami, zawsze stawiają na swoim, no.

Wybuch śmiechu.

– I tak to się plotło przez wieki, słowiańskie święto razem ze wspomnieniem Jana Chrzciciela, aż się splotło w jedno i stało naszą tradycją. Wspaniałym połączeniem starej wiary, nowej wiary i przywiązania do ziemi i natury. A teraz oni pewnie grają na werblach pod Wieżą Niechcianej Miłości i mówią, że to ich święto. Dzień Morza. Nieważne, że Bałtyk zaślubił Polsce wielki patriota generał Haller w lutym 1920 roku. Nieważne, że po ostatniej wojnie powtórzyliśmy zaślubiny w marcu. Ważne, żeby zabrać nam jedno z najwspanialszych świąt ludowych i zamienić je w propagandową pokazówkę. Mówią: furda wiara. Mówią: furda tradycja. Mówią: patrzmy w przyszłość. I wiecie co? Ja ich posłuchałem. Spojrzałem. I żadnej przyszłości tam nie zobaczyłem, no.

Burza oklasków.

Chciał stać gdzieś z tyłu, na wszelki wypadek, żeby nie spotkać bliskich znajomych, przyjaciół i politycznych towarzyszy broni, przed którymi musiałby udawać, że ich nie widzi pierwszy raz na oczy. Ale Iwona i Camille pociągnęli go do przodu, zapewne do grona najwierniejszych aktywistów. I stał teraz trzy metry od zaimprowizowanego podwyższenia, z którego przemawiał Edward Gierek. Młody, przystojny grubo ciosaną urodą chłopaka z gminu, z podwiniętymi rękawami jasnej koszuli. Poznawał

charakterystyczne „no”, twarde i akcentujące pewność siebie, poznawał niewątpliwą charyzmę pierwszego sekretarza i jego bezpośredniość, którą ten tak dobrze potrafił odgrywać za komuny.

Gdyby Grażyna go teraz zobaczyła, jak stoi w świeżo odbudowanej Hali Mirowskiej – do której całe życie jeździli po mięso od baby, ponieważ się upierał, że najlepsze w Warszawie, czego ona kompletnie nie rozumiała i o co kłócili się dekadami – i oklaskuje Gierka, zapewne umarłaby ze śmiechu.

– Oni mają całą dzielnicę, wiadomo, władza – kontynuował Gierek. – A my się spotykamy skromnie, w hali targowej. Możecie spytać: dlaczego? Chętnie odpowiem. Po pierwsze, żeby sobie przypomnieć, że to do tego miejsca polski lud, prawdziwy polski lud, przyjeżdżał karmić miasto. Bez tego pożywienia nie byłoby elit, salonów, poetów i pań dyrektorowych. Z głodu by wszyscy zdechli, no.

Przerwał wiwaty ruchem dłoni, dając znać, że będzie na poważnie.

– Po drugie, żeby przypomnieć sobie czas powstania. Kiedy w czasie rzezi Woli banda Dirlewangera urządziła między tymi prostymi straganami orgię przemocy. Zamordowali wszystkich. Tych, którzy karmili. I tych, którzy chcieli być nakarmieni. Po jednej stronie wejścia – pokazał palcem – ułożono stertę zwłok, głównie kobiet i dzieci, jak to na bazarze. Po drugiej ich torby, torebki, koszyki z zakupami.

Dał ludziom chwilę na wyobrażenie sobie tej sceny.

– Dirlewanger nie żyje. Ale najważniejszy kat Warszawy, odpowiedzialny za stłumienie powstania, dowódca SS Erich von dem Bach, człowiek z krwią dwustu tysięcy warszawiaków na rękach, ma się doskonale. Niby go skazali, ale potem wypuścili, sympatyczny starszy pan, po co go ciągać po sądach, no. Heinz Reinefarth już taki stary nie jest, sześćdziesiątkę raptem ma, to jego oddziały na rozkaz von dem Bacha dokonały rzezi Woli, pięćdziesiąt tysięcy ludzi w weekend. Skarżył się, że brakuje mu amunicji do rozstrzeliwania kobiet i dzieci. Spytacie może, gdzie go powiesili. Nigdzie. Od dziesięciu lat jest burmistrzem kurortu nieopodal Danii. Ja myślę, że obaj panowie mogą się przydać, budować razem

z inżynierem Kwiatkowskim nową Europę ponad podziałami. Myślę, że łączy ich to, że żaden nie chce patrzeć w przeszłość. Dlatego też się tutaj spotykamy. W tej hali, która jest podwójnym pomnikiem: pomnikiem miłości polskiego ludu, który karmił tu swoją stolicę. I pomnikiem niewyobrażalnego cierpienia tego ludu. W świętej hali, której nikomu się nie chciało odbudować przez osiemnaście lat, tak bardzo wszyscy patrzyli w przyszłość. Chcę podkreślić to z całą mocą: my też wybieramy przyszłość. Ale nigdy bez tradycji i nigdy bez pamięci! Chcemy Polskę na powrót uczynić wielką i potężną!

– Miło pana znowu zobaczyć, panie doktorze – ktoś wyszeptał mu do ucha i postukał w ramię w czasie niekończących się oklasków i wiwatów, kiedy przemówienie Gierka dobiegło końca.

Wanda. Uśmiechnął się do niej, autentycznie ucieszony, że ją widzi. Może się dowie, co słychać u Grażyny.

7

Jak długo żyję, tak pierwszy raz chyba z zainteresowaniem słuchałam polityka. Czy tylko przez ciekawość, kim jest osoba, której udało się wyciągnąć Polskę za uszy z czarnej dziury historii? Pewnie tak, ale też było we mnie znacznie więcej emocji niż tylko historyczna ciekawość. Jakieś patriotyczne wzruszenie drapało mnie w gardle, do czego wstyd mi się trochę było przyznać.

Słuchałam, jak szczupły, wyprostowany starszy pan przemawia, nie dbając o anegdoty, o teatralną stronę wystąpienia, o podlizywanie się tłumowi. Jego głos brzmiał przedwojennie, kojarzył mi się sposobem akcentowania z homiliami Wojtyły, ale miał w melodii i wymowie kresową miękkość, zwłaszcza jego „ł” brzmiało tak, jakby tę literkę specjalnie w wolnych chwilach głaskał i pieścił, aby potem wydawała się w czasie przemówień najbardziej mięciutkim, pluszowym i zadowolonym dźwiękiem całego alfabetu.

Ale nie to mnie wzruszało, tylko to, że mówił normalnie. Za komuny albo do nas mówili jak rozzłoszczeni ojcowie straszący laniem, albo jak umizgujące się prostytutki. Po upadku muru nikt nie mówił, bo za dużo ważnych rzeczy ważni ludzie mieli do roboty,

żeby głupiemu ludowi tłumaczyć co i jak. A za Unii Europejskiej zaczęli nas traktować jak śliniących się idiotów, którym na co dzień można łgać w żywe oczy, a raz na cztery lata rzucić jakiś ochłap. Właściwie po raz pierwszy w życiu czułam się jak obywatelka, do której ktoś mówi tak po prostu. O tym, co zrobiliśmy, co trzeba będzie zrobić, co się może udać, ale będzie bardzo trudne, a co niestety schrzaniliśmy. Boże Przenajświętszy w Trójcy Jedyny, myślałam, przecież gdybyśmy my takich mężów stanu mieli w swojej historii chociaż setkę, to byłby najszczęśliwszy kraj pod słońcem.

Całe przemówienie poświęcone było morzu i wszystkiemu temu, co z nim związane, i czuło się, że dla Inżyniera to nie jest tylko jedna z dziedzin gospodarki, to klucz do przyszłości narodu, sposób na związanie Polski z całym światem tak mocnymi więzami, aby stały się one nierozerwalne. Słuchałam z fascynacją o międzynarodowych sukcesach polskiej koalicji miast morskich, ale Lucyna tak ziewała i wywracała oczami, że zapewne nie pierwszy raz to słyszała. Tymczasem Kwiatkowski deklamował Johna Donne'a:

– Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą; każdy stanowi ułomek kontynentu, część lądu. Jeżeli morze zmyje choćby grudkę ziemi, Europa będzie pomniejszona, tak samo jak gdyby pochłonęło przylądek, włość twoich przyjaciół czy twoją własną. Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością. Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon: bije on tobie[1].

Uśmiechnął się bardzo smutnym uśmiechem, który stanowił zarówno jego znak rozpoznawczy, jak i obiekt drwin. – Wiem, że nie przyzwyczaiłem państwa do cytowania literatury, zawsze uważałem, że ważniejsze są cyfry i tabele. Ale córka prosiła, żebym raz powiedział coś jak człowiek, tak jak mówię w domu. To powiem, żeby w ten tekst zamiast słowa „człowiek" podstawili sobie państwo słowo „naród". Żaden naród nie jest samotną wyspą. Pomyślcie, proszę, o tym.

8

Rozglądał się po charakterystycznej, stalowej konstrukcji hali targowej, słuchał dość nieuważnie przemówienia Camille'a, który rozbawiał publiczność błędami językowymi – starannie wycyzelowanymi, normalnie popełniał zupełnie inne – z pasją wychwalając wspaniałą polską tradycję – i myślał. Myślał, że jest idiotą. Cholernym idiotą, który za wolno myśli i który wszystko robi źle. Chciało mu się płakać. Paść na kolana, podnieść twarz do nieba i wyć.

Przemówienie Gierka wyleczyło go kompletnie z Unii Słowiańskiej. Straszenie krwawymi Niemcami, cyniczne i obrzydliwe połączenie przeciwników politycznych z hitlerowskimi zbrodniarzami i w końcu nacjonalistyczne brednie o powrocie do polskiej potęgi – jak na dłoni ujrzał, czym jest Unia. I miał ochotę walić się pięściami po głowie, że dał się omamić.

– Czy wy wiecie, czego wam, Polacy, bhakuje? – pytał Camille ze sceny. – Odwagi! Ewidamentnie bhakuje wam odwagi. Ja myślę jako Fhancuz, że wy, Polacy, jesteście nahódem tchórzy!

Sala zabuczała.

– Nie żahtuję, sto dla sto mówię sehio. Tchórze!

Sala zabuczała głośniej, a Ludwik zrozumiał nagle, że największy błąd popełnił nie wtedy, kiedy myślał życzliwie o Gierku, ale kiedy pierwszego wieczoru pozwolił Grażynie wyjść z samochodu na Wilczej. Idiota, głupek, debil, kretyn. Miał ją, miał samochód, miał swoje młode ciało. I jej młode ciało. Zamiast jechać przed siebie, wrócił do żony, do pacjentów i kalendarzy. I w tym zostanie, ponieważ nie ma Grażyny, która pomogłaby mu po raz drugi uciec z codzienności.

– Bhakuje wam odwagi, żeby mówić „my". Ja w Polsce cały czas słyszę „oni". Wszystko w Polsce się wydarzyło i się wydarza, bo „oni Fhancuzi", „oni Niemcy", „oni Hosjanie" albo „oni Amehykanie". Dlaczego? Dlaczego wy, Polacy, nie macie odwagi, żeby byliście dumni z tego wspaniałego khaju. Z natuhy. Z heligii. Z istohii. Z thadycji. I z przyszłości. Ja wiem, że wy już nie chcecie słyszeć

o przyszłości, oni cały czas tylko o tym. Ja nawet hozumiem, wtedy jest wygodniej, bo nie trzeba mieć przeszłości i tehaźniejszości. Ale co powiecie na to, żeby sobie samemu zhobić własną, polską przyszłość? Tylko wy, bez żadni oni.

– No cześć! – zawołała obok zachwyconym szeptem Iwona i cmoknęła kogoś trzykrotnie w policzek.

Odwrócił się, żeby zobaczyć, że cmokała Edwarda Gierka. Który zaraz potem uścisnął mu dłoń i objął kumpelskim gestem.

– Witajcie, naukowcy, jak tam wasze kariery? Macie jeszcze czas je rozwijać do września, po wyborach pracujecie u mnie.

– Czyli gdzie? – zapytał automatycznie, zanim zdążył się opamiętać.

– W Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, gdzieżby indziej, no. – Mrugnął do nich szelmowsko, ci, którzy stali najbliżej i słyszeli wymianę zdań, zachichotali.

– Życzę wam, Polakami, dwiema ważne rzeczami – kończył Camille. – Po piehwsze, żebyście zlikwidowałyśmy końcówkom, bo to się tak nie da na dłuższej mecie.

Aplauz.

– A po dhugie: odwagi! Dobhej odwagi!

Tłum wiwatował, Gierek rozmawiał z Iwoną, on próbował nie dać po sobie poznać, jak bardzo nie chce tutaj być. Musi z tym wszystkim skończyć. Z Unią, z Iwoną, z powtarzaniem starych błędów starego życia. Potrzebuje, jakkolwiek ironicznie by to w tym kontekście brzmiało, odwagi.

– A jak wam się podoba hasło „uczyńmy Polskę znowu wielką”? Wojtek Jaruzelski mi to wymyślił.

– To Jaruzelski jest z nami? – Iwona zdziwiła się entuzjastycznie.

– Na razie się zaprzyjaźniliśmy, ale trzymajcie kciuki. Świetny gość swoją drogą, planujący do przodu, rozumiejący realia geopolityki, niebojący się wyzwań, myślę, że z nim naprawdę dalibyśmy radę dokonać w Polsce rzeczy wielkich.

– Żeby ona sama była znowu wielka. – Nie mógł się powstrzymać, jego gorzki, sarkastyczny ton zazgrzytał w radosnej atmosferze.

– A co, masz coś przeciwko? – zapytał Gierek ze śmiechem.

– Nie, tylko się zastanawiam. Wielka jak za Stalina? Niekoniecznie. Za Hitlera? Też nie. Może jak przed wojną, za waszych ulubieńców Kwiatkowskiego i Piłsudskiego? Nie sądzę. Przedtem zabory. Przed zaborami sto lat czarnej dziury. Przedtem siedemnasty wiek, kiedy wojny i konflikty rozerwały Polskę na strzępy. Jeszcze wcześniej? Nieudacznik Zygmunt III Waza. Wasz wspaniały tradycyjny lud przez stulecia cierpiał z powodu nędzy, niewolnictwa, cywilizacyjnego zastoju, bezsensownych konfliktów, pańskiego batoga i kościelnego kagańca. Próbuję zrozumieć, że skoro Polska ma się stać ZNOWU tradycyjnie wielka, to do jakiego konkretnie momentu tej wielkości wracamy. Zygmunta Starego? Kazimierza Wielkiego? Monarchia też wróci?

Zgromadzeni wokół ludzie ucichli i zerkali po sobie, zaskoczeni jego filipiką.

– Bracie, nie podoba mi się twój ton – wycedził Gierek.

– Nie ma sprawy. Mnie się w tobie, bracie, nic nie podoba. A najbardziej, że w najlepszym momencie polskiej historii ruski szpion chce nas znowu pociągnąć na dno, robiąc z siebie zbawiciela ojczyzny.

I wtedy rosły górnik, znany tutaj jako brat Edek, a w innej linii czasu jako pierwszy sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, sprzedał mu takiego prawego haka, że Ludwik nieprzytomny padł na deski.

9

Szłam pieszo razem z Lucyną ze Szpikulaka do swojego mieszkania i kręciło mi się w głowie od zmęczenia i endorfin. Boże, jak żałowałam, że Ludwika ze mną nie było tego wieczoru! To znaczy Adama, Adama oczywiście miałam na myśli. Mój narzeczony musiał znowu wyjechać na kilka tygodni do Lyonu i oczywiście proponował, żebyśmy pojechali razem, ale nie wyobrażałam sobie zostawienia dziewcząt przed końcem roku szkolnego. Poza tym madame la directrice nigdy by mi nie dała urlopu w tym terminie.

Po Kwiatkowskim szybko zaczęła się część artystyczna, której największymi atrakcjami był ogromny, ale naprawdę ogromny pokaz sztucznych ogni i oczywiście koncert Sylvie Vartan i Johnny'ego Hallydaya, którzy razem i osobno dali genialny show. Show, szał, Jezu, co tam się działo. Zaczęli z grubej rury, od francuskiej wersji *Da Dou Ron Ron*, od czego tłum tych wszystkich gówniarzy wpadł w ekstazę, a my, no cóż, nie będę ukrywać, że my też. Z Lucką zbiegłyśmy na dół na ulicę i tam szalałyśmy razem z tłumem, tańczyłyśmy twista z obcymi mężczyznami, śpiewałyśmy, wywijałyśmy nogami, najlepiej bawiłam się przy *What I'd say* Raya Charlesa, które – zabijcie mnie, muzyczni puryści – znacznie lepiej brzmiało w wykonaniu twistującej na scenie Sylvie jako *Est-ce que tu le sais!* I jeszcze ten kawałek o smutnych filmach, który chyba słyszałem po raz pierwszy.

– Chciałabym cofnąć czas o kilka godzin i przeżyć to jeszcze raz – powiedziała Lucka, robiąc piruet na chodniku. – Kto by pomyślał, że będzie tak byczo. Zauważyłaś, że „byczo" to doskonały przekład „vachement bien", czyli „krowio dobrze"? Więc po co młodzież mówi „waszebiście"?

– Z jednym się tak całowałaś, że mało z nim w ciążę nie zaszłaś.

– Przystojny, co nie? Fotograf z Poznania. Kawaler!

– Wyjął ci język z ust na tak długo, żeby to powiedzieć?

– Świnia! Całowałam się z nim i wiesz, o czym myślałam?

– Boję się spytać.

– O PCK.

– Oszalałaś?

– Pracuję w aptece. Jestem przewodniczącą związków zawodowych aptekarzy warszawskich. Honorowym dawcą krwi. Komendantką żeńskiej drużyny harcerskiej. A od tygodnia wolontariuszką PCK.

Cała Lucyna. Jak widać nie potrzebowała komunizmu, żeby zbawiać świat i walczyć o lepsze jutro.

– I dziś całowałam tego fotografa kawalera i myślałam: czy ja muszę, do jasnej anielki, zbawiać świat i walczyć o lepsze jutro?

– Może na pół etatu? Wtedy na drugie pół mogłabyś się całować.

– I mógłby mi robić zdjęcia, portrety, akty wspaniałe, żebym potem je mogła oglądać na starość, jaka byłam piękna i młoda.

Pomyślałam, że to doskonały pomysł. Całe życie żałowałam, że nie mam takich swoich zdjęć z młodości. Teraz mogę poprawić parę błędów.

– Żeby tak ktoś patrzył na mnie jak Tadeusz Rolke. – Lucyna rozmarzyła się.

– A skąd wiesz, jak on patrzy?

– Po oczach widzę tych aktorek i modelek w „Ty i ja" i „Przekroju", jak one odwzajemniają to spojrzenie.

Doszłyśmy do mojego domu na Wygwiazdowie, zaczęłam szukać kluczy w torebce.

– To może umów się z Rolkem – powiedziałam, myśląc, że jeśli ktoś na samym początku czuje się w obowiązku oświadczyć, że jest kawalerem, zapewne chwilę temu rozmasowywał sobie ślad po obrączce, żeby nie było widać.

Prychnęła.

– Musiałabym się ustawić w ogonku długim jak Poniatoszczak, czy ty w ogóle wiesz, co za historie o nim na mieście opowiadają?

– Sprośne i mroczne! – powiedział ktoś obok nas grubym głosem, obie podskoczyłyśmy i krzyknęłyśmy jednocześnie, klucze upadły mi na chodnik.

Wanda wyszła z cienia bez śladu uśmiechu na twarzy.

– Co tak piszczycie, dziewczęta? Boicie się Tadeusza?

– Wariatka – sapnęłam.

Pokazała wystającą z jej torby szyjkę butelki.

– Wariatka, ale dobrze zaopatrzona.

Zabawne, że nasze relacje uległy znacznej poprawie, odkąd się wyprowadziłam z Wilczej. Na co dzień czułam się dziewczynami zmęczona, ale teraz z dnia na dzień lubiłam je coraz bardziej. Mroczna wyznawczyni Unii i neurotyczna zbawiaczka świata, czego tu nie lubić? Po fazie rozczarowania, że stare przyjaźnie nie pasują na mnie, trochę jak wyciągnięta z szafy suknia ślubna sprzed dekad, zaczęłam zaprzyjaźniać się z nimi jeszcze raz, na nowo. Konstatując

ze zdziwieniem, że tak bardzo się trzeba napracować, aby było, cóż, jak zawsze.

Butelka przyniesiona przez Wandę zawierała pyszną pigwówkę, którą rozpijałyśmy, próbując we trzy stać na moim mikroskopijnym balkonie.

Wanda pytała, czy ładne były sztuczne ognie za niemieckie srebrniki. My dociekałyśmy, czy musiała jeść surowe ziemniaki, aby udowadniać miłość do tradycji ludowej. Miło było i śmiesznie, ustaliłyśmy już, że będą spać na mojej kanapie, a ja na łóżku polowym, więc nikt się nigdzie nie spieszył, rozkoszowałyśmy się tym najlepszym momentem życia – na tyle stare, żeby już pewnie stąpać po świecie, i na tyle młode, żeby w lepsze dni ciągle wierzyć w swoją nieśmiertelność.

– Pamiętasz tego doktorka, do którego chodziłaś na przełomie roku? Tego, co miał cię wyleczyć z histerii, żebyś przestała nas budzić po nocy?

– Ja pamiętam – wtrąciła Lucka. – Przyszedł raz porozmawiać o tobie i muszę przyznać, że naprawdę miał coś w sobie. Nudziarz, ale ciężko od niego było wzrok oderwać. Przystojny jak Tadeusz Rolke.

– A widziałaś w ogóle kiedyś tego Tadeusza?

– Nie, ale sobie wyobrażam.

– I co z tym doktorkiem? – spytałam, starając się, aby mój głos brzmiał jak najbardziej neutralnie.

– Najpierw wypytywał mnie o ciebie, jakby nie było ciekawszych tematów na świecie, a potem pobił się z Gierkiem – oznajmiła Wanda.

10

Połowę twarzy miał spuchniętą, w ustach cały czas czuł smak krwi i jeden ząb mu się nieprzyjemnie ruszał, ale najgorszy był pulsujący ból głowy, jakby ktoś rytmicznie kłuł mu widelcem czaszkę od środka. Nieźle walił pierwszy sekretarz. Wysypał w mały ręcznik przyniesione z kuchni kostki lodu, przyłożył sobie taki okład do

twarzy i przywiązał rajstopami Iwony, żeby nie musieć tego trzymać cały czas. Westchnął, przepłukał usta wodą, żeby usunąć smak krwi, i dopiero wtedy wyszedł z łazienki.

Iwona czekała na korytarzu.

– Chcesz jechać do szpitala?

– Nic mi nie jest.

– To dobrze, bo chcę cię o coś zapytać. Czyś ty oszalał? Co to miało być?

Spojrzał zdumiony, słysząc w jej głosie agresję.

– Rzucił się na mnie szalony faszysta. Myślałem, że tam byłaś.

– Ludwiku, od dawna działamy w Unii. Ludzie na nas patrzą, biorą z nas przykład. Jeszcze w grudniu razem przemawialiśmy na świątecznym wiecu. Cały drugi dzień świąt siedzieliśmy u Edka. A teraz to faszysta, którego publicznie oskarżasz o szpiegowanie dla Moskwy? Nie rozumiem. Jesteś wtyczką socjalistów? Specjalnym agentem Kwiatkowskiego? Czy po prostu pożytecznym idiotą?

Czuł, że widelec wewnątrz czaszki kłuje go mocniej i z większą częstotliwością.

– Chodźmy do łóżka. Wszystko ci wyjaśnię.

– Nie mam zamiaru iść z tobą do łóżka. Czy ty wiesz, że nie mamy tam po co wracać? Że jeśli wygrają wybory, to możemy zapomnieć o reformowaniu Polski, o pracy dla rządu?

– A możemy chociaż usiąść?

Usiedli w salonie. Dał znak ręką, że musi się skupić, żeby odpowiedzieć, zaczął zbierać w myślach wszystkie argumenty, aby wygłosić wykład o tym, że nikt nigdy z Edwardem Gierkiem żadnej Polski reformować nie będzie. Ale kiedy w końcu otworzył usta, wydobyło się z nich coś kompletnie innego:

– Chcę rozwodu – powiedział.

11

Słuchałam z zainteresowaniem, dławiąc się ze śmiechu. Jednak nienadaremno wzywałam całe życie imienia Boga. Okazało się, że Bóg istnieje i ma poczucie humoru, skoro pięścią Edwarda Gierka

wymierzył Ludwikowi sprawiedliwość za jego dubeltową głupotę. Zachciało się starej żony? Zachciało się polityki? Voilà!

– Grażka, czy ciebie coś z nim łączy? – zapytała Lucyna, patrząc na mnie uważnie znad filiżanki herbaty.

– Z kim?

– Udaje głupią – skomentowała Wanda. – Czyli łączy.

– Trzy razy go widziałam. Raz, kiedy cię odwiózł, a ty go w samochodzie okładałaś pięściami. Już to wyglądało wystarczająco dziwnie. Następnego dnia przyjechał cię szukać, też mi to nie wyglądało na standardowe zachowanie, ale dziwna dziedzina nauki, co ja tam wiem. Trzeci raz go widziałam, jak siedział w samochodzie i czekał na ciebie. Widzieliście się wtedy? Mówił, że się nie ruszy, dopóki nie przyjdziesz.

W pierwszym odruchu miałam ochotę skłamać.

– Tak, widzieliśmy się wtedy. Ja już nie chciałam chodzić na terapię, on uważał, że nie powinniśmy przerywać, bo może mi się pogorszyć, ja z kolei czułam się naprawdę dobrze.

– Łżesz – skwitowała Wanda. – Aż ci się z uszu dymi.

Co miałam im powiedzieć? Że to mój mąż od pięćdziesięciu lat i że muszę z nim mieć dziecko?

– Ewidamentnie – potaknęła Lucyna. – Jakbyś była Pinokiem, to mogłybyśmy suszyć na twoim nosie pranie z całego tygodnia. Dodajmy do tego pozostałe fakty. Pierścionek jest, ale o przyjęciu zaręczynowym nie słychać. O ślubie tym bardziej. Czy ja się jasno wyrażam?

– A pan doktor nie wyglądał dziś na bardzo szczęśliwego u boku swojej rudej małżonki – dopowiedziała Wanda.

– Co oznacza, że Grażyna zabujała się w żonatym lekarzu, wzdycha do niego i czeka, aż on w końcu powie swojej żonie, bo ona i tak go nie rozumie i to małżeństwo praktycznie nie istnieje, i żeby mogli żyć długo i szczęśliwie w jej gniazdku z niedomykającym się oknem.

Chciałam ją szyderczo wyśmiać albo po prostu zaprzeczyć, albo obrócić wszystko w żart, nie mogłam się zdecydować, który wariant odpowiedzi wybrać, a czas mijał. No i w końcu nic nie

powiedziałam, tylko rozlałam nam do kieliszków resztkę pigwówki i zaproponowałam, żebyśmy poszły na balkon.

Sierpień

1

Kochałam się z Adamem i nudziłam potwornie. Jakkolwiek bym się nie ułożyła, jak nie wypięła, jak nie oplatała go rękami i nogami, jak on by się nie starał, to i tak nudziłam się jak cholera, łapałam się na tym, że w tym wszystkim najbardziej bawi mnie symulowanie orgazmu, bo to przynajmniej jakieś zadanie aktorskie. Nie żebym nie miewała orgazmów, aż tak to nie, ale jakieś takie były, nie wiem, płytkie. Przykro mi było i czułam się winna, bo Adam nie był kochankiem nieuważnym, nieczułym, niemyślącym o moich potrzebach. Wręcz przeciwnie, za dużo myślał o moich potrzebach, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby któregoś dnia, idąc sobie zrobić kanapkę, zadarł mi spódnicę, zerżnął zamyślony i poszedł dalej, nie przestając dłubać wykałaczką w zębach. Ale nie, on musiał najpierw całować mnie w szyję i mruczeć, jak bardzo mnie kocha. Czy powinnam się na to zżymać? Wręcz przeciwnie, wiedziałam to i tym bardziej czułam się winna, tym bardziej zapewniałam go o swojej rozkoszy i swojej miłości, a pierścionek zaręczynowy na palcu coraz bardziej parzył, teraz też zwinęłam dłonie w pięść, żeby go nie widzieć.

Szczęśliwie dobrnęliśmy w moich orgazmicznych spazmach do końca, leżeliśmy obok siebie, gadaliśmy i było wspaniale. Jak zawsze, kiedy rozmawialiśmy, kiedy moje szare komórki pracowały na wysokich obrotach i nie dawałam im szansy, żeby uciekały w stronę Ludwika. Boże, jak ja uwielbiałam rozmawiać ze swoim narzeczonym. Nie było tematów, na które by nic nie wiedział, nie miał poglądu, nie znał jakiejś teorii, i przy tym miał tę cudowną cechę, że zawsze wybiegał w przyszłość. Nie mówił: „ciekawe, skąd to się wzięło”, pytał: „ciekawe, dokąd nas to zaprowadzi?”. Wszystko jedno, czy chodziło o filmy, zegarki, architekturę, czy ortografię. Cały wieczór żeśmy przegadali na temat przyszłości

polskiej ortografii i polszczyzny w ogóle, Adam na serio uważał, że razem z postępującą rewolucją komunikacyjną i telekomunikacyjną wkrótce wykształci się język wspólny dla całej planety, a języki narodowe staną się ciekawostką dla badaczy. Co ciekawe, słusznie prognozował, że języki z koniugacją i deklinacją są co prawda bardziej precyzyjne, ale trudniejsze do nauki, a języka sztucznego w stylu esperanto nie uda się wypromować, i dlatego za bazę wspólnego posłuży angielski. Popatrzyłam wtedy na niego z podziwem.

Leżałam na wznak na swoim łóżku w swoim mieszkaniu, paliłam i wydmuchiwałam kółka pod sufit. I uznałam, że nie ma co czekać dłużej.

– Bardzo mi przykro, ale muszę cię zdradzić – powiedziałam.

– Popić boeuf bourguignon gewurztraminerem? Nigdy na to nie pozwolę.

– Nie żartuję.

Coś w moim głosie musiało sprawić, że usiadł i spojrzał na mnie poważnie, a potem założył koszulę. Też naciągnęłam sukienkę, nie chciałam prowadzić tej rozmowy na golasa.

– Nie rozumiem. Zdradzić, czyli że zrywasz ze mną? Masz kogoś?

– Nie, jestem szczęśliwa i nie chcę z tobą zrywać. Muszę spędzić noc z innym mężczyzną. Nie mogę tego nie zrobić, a uznałam, że uczciwie będzie ci powiedzieć przedtem.

– I prosisz mnie o pozwolenie?

– Tak.

– Ale kto to jest?

– Czy to ważne?

Zastanowił się, jak to on, i uznał, że faktycznie, to nie jest ważne.

– Masz rację. Właściwe pytanie brzmi „dlaczego”.

– Chcę mieć z nim dziecko.

– Grażyna, ta rozmowa jest bardzo dziwna. Jak chcesz mieć dziecko, to weźmy ślub i miejmy dzieci. Albo po prostu miejmy dzieci. Wystarczy, że przestaniemy uważać.

– To nie jest takie proste. Muszę mieć dziecko z tym mężczyzną.

Patrzył na mnie z uwagą, ale z delikatnym uśmiechem na ustach, mówiącym, że co prawda czuje niepokój, ale ciągle wierzy, że to

jakiś pokręcony żart, że za chwilę usłyszy pointę. Nie usłyszał i w końcu musiał się odezwać.

– Nie rozumiem. Nie biegam, nie wrzeszczę, nie wyzywam, nie trzaskam drzwiami, czuję, że to coś ważnego i że mówisz to na serio. I chciałbym z tobą porozmawiać, bo cię kocham. Ale nie rozumiem. Mam za mało informacji.

Rozpłakałam się. Był taki mądry, dobry, czujący i wspaniały, nie chciałam go stracić. A nie mogłam zrobić inaczej, nie mogłam zapomnieć o Ludwiku, a przede wszystkim o Jacku, musiałam spróbować. Czułam, że jeśli nie spróbuję, a przecież przeszła mi taka myśl przez głowę, to już zawsze będę sobie wyrzucać, że to jak morderstwo, że mój synek czekał gdzieś tam przy drzwiach, żeby w tym świecie przeżyć jeszcze raz swoje życie, choćby znowu to miało być te marne czterdzieści parę lat, trzyma rękę na klamce i czeka. A ja nie daję mu szansy. Ale jak to wszystko miałam wytłumaczyć Adamowi? Nie potrafiłam, nie mogłam, wtuliłam się w jego koszulę i szlochałam, a on mnie głaskał i całował delikatnie po włosach.

Oderwałam się od niego i zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Powiem ci prawdę i zrobisz z nią, co chcesz. Nie jestem tutaj pierwszy raz. Pół roku temu miałam prawie osiemdziesiąt lat i żyłam w Warszawie w 2013 roku. Coś się stało i obudziłam się tutaj, w swoim ciele sprzed pięćdziesięciu lat. Myślałam, że to sen, że to minie, ale to nie mija.

Podświadomie czułam, że będzie jak w bajkach; jeśli wyjawię komuś prawdę, to ten świat zniknie. Ale nie znikał. Mieszkanie, łóżko, niedomykające się okno (teraz oczywiście myślę, że matka miała rację i trzeba było spisać usterki), Adam w mokrej od moich łez koszuli, wszystko było na swoim miejscu.

– Najwspanialszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała, był syn Jacek – kontynuowałam – który urodził się w 1964 roku i niestety umarł młodo na początku dwudziestego pierwszego wieku. To największa tragedia, jaką przeżyłam. I czuję, że jestem mu winna, żeby spróbować go powołać na świat jeszcze raz. Wiem, że w Warszawie mieszka jego ojciec. Wiem, że zbliża się dzień jego

poczęcia. No i to tyle. Próbowałam z tego zrezygnować dla ciebie, naprawdę, ale nie potrafię, przykro mi.

Długo milczał, analizując informacje.

– A jeśli się uda – zapytał – to czy będziesz chciała zostać z ojcem tego dziecka?

Jak zwykle zadał to jedno, najważniejsze, wybiegające w przyszłość pytanie.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

2

No, zajęło mi to chwilę, bo to ciągle coś, wiadomo, ale wie pan, widziałam pana wtedy na tym spotkaniu w Hali Mirowskiej. – Dziewczyna zarumieniła się, jakby uważała, że to jest temat, którego nie należy poruszać. – Przypomniałam sobie o pana radzie i najpierw dużo myślałam, a potem zapisałam to wszystko w zeszycie, o, proszę spojrzeć. – Położyła na biurku zeszyt w kremowej okładce, zwykły, szkolny, z czasów, kiedy były to po prostu przedmioty do robienia notatek, a nie nośniki reklamowe i sposób na wyrażanie siebie. Biurko było całe zawalone papierzyskami, porządkował je codziennie, ale papiery najwyraźniej wykształciły w sobie złośliwą świadomość, ponieważ po chwili wracały do naturalnego stanu wiecznego burdelu. Wziął zeszyt do ręki, bojąc się, że zginie w tej magicznej przestrzeni.

– Chętnie przeczytam – powiedział – ale bardziej mnie interesuje, do jakich wniosków pani doszła.

Czuł wdzięczność, że odnalazła go w szpitalu w Tworkach, odebrał to jako mały dowód na to, że jest jednak komuś potrzebny. Przed wyprowadzką z korby pannę Ewę widywał regularnie, robiąc zakupy na dole, i zawsze z nią zamieniał kilka słów, trochę z grzeczności, trochę, bo naprawdę mu się podobała, a trochę, ponieważ miał sentyment do ślicznej ekspedientki, z którą rozmawiał pierwszego dnia pobytu tutaj, kiedy wszystko jeszcze było nowe. Ale miał też dziwne wrażenie, że ją skądś kojarzy, od ich pierwszego spotkania wrażenie to narastało, nie dawało mu spokoju,

musiał sobie tłumaczyć, że to jedno z tych prześladujących go kretyńskich déjà vu, nic więcej. Panienka Ewa kilka razy tłumaczyła się z tego, że jeszcze nie przyszła po radę w kwestii pójścia do Efu i w ogóle swoich wyborów życiowych, on odpowiadał, żeby przestała, bo to nie praca domowa, przyjdzie – dobrze, nie przyjdzie – też dobrze. Potem przestała poruszać ten temat i nagle, po paru miesiącach, zjawiła się niespodziewanie w szpitalu na dyżurze.

– No więc – powiedziała – doszłam do wniosku, że jestem słowiańską tradycjonalistką.

Westchnął w duchu, słysząc, jak obco brzmią w jej ustach te słowa. Swoją drogą, co za fatum, będzie go ta Unia i jej idee zawsze prześladować, nie odpokutował wystarczająco, stając się workiem treningowym dla Edwarda Gierka? Przybrał życzliwy wyraz twarzy i słuchał dalej.

– I jak to zrozumiałam, to wszystko wygląda łatwiej. Ale zrobiłam, jak pan kazał, siedziałam sama i pisałam w zeszycie różne możliwości mojego życia. A u mnie nie jest łatwo być samą, bo mieszkanie niewielkie i czwórka rodzeństwa, i jeszcze ciotka przyjechała, jak wuj znowu poszedł w tango, z dziećmi oczywiście, bo ich przecież nie zostawi, no nieważne, znajdowałam chwilę, że jestem sama, i pisałam. I muszę panu powiedzieć, panie doktorze, nic mi się nie podobało. Tak mam opowiadać szczegółowo?

Przytaknął i uśmiechnął się zachęcająco.

– Najsampierw pisałam wszystko, co mi siedziało w głowie, że jednak idę do Efu. Że się uczę na damę i potrafię gotować zagraniczne jedzenie i mówić po francusku i po angielsku, czytam książki, oglądam filmy i wiem, jaki kieliszek jest do jakiego wina. Pan myśli, że tego się można nauczyć w ogóle?

– Myślę, że wszystkiego można się nauczyć.

– I były takie chwile, że jak sobie wyobrażałam siebie, to aż mnie zatykało, że będzie pięknie. Że siedzę w domu z kamienia gdzieś we Francji, z widokiem na ocean, rozmawiam z mężem po francusku, on jest taki chudy i czarniawy, jak to Francuzi, że mam dwójkę dzieci i jak przychodzą goście, to wyjmuję z pieca flanbretona i nalewam wino do dobrego kieliszka. Często sobie wieczorami to wyobrażałam i tak się lulałam do snu tymi marzeniami.

– Brzmi dobrze.

– Ale rano się budziłam i sobie przypominałam opowieści wszystkie o dziewczynach z Efu, takie najgorsze, co to nie wiadomo, czy prawdziwe, czy zmyślone, niektóre to i strach, i wstyd powtarzać. O tym, że żadne z nich królowe w kamiennych domach, tylko kuchty, służące i prostytutki. Że królowe to Francuzki, a z Efu to już biorą tylko ci, co starzy, brzydcy i wredni, co to ich nikt na miejscu nie chce. Że niby jak są źle traktowane, to można zerwać kontrakt, ale jest źle i źle, prawda? Wykorzystywana, niekochana i poniewierana to jeszcze nie bita i dręczona, prawda? Można wzruszyć ramionami i powiedzieć, że a to jedna kobieta w Polsce tak ma? Starczy na moją ciotkę spojrzeć. Życie, wiadomo. I tak jak wieczorem marzyłam, to rano byłam przerażona. Że jestem w obcym miejscu, do rodziny daleko, do domu daleko, do Polski daleko, a ja nieszczęśliwa. A jak w tym nieszczęściu dzieci przyjdą? Zostawić nie do pomyślenia, zabrać ze sobą nie da rady, policja francuska nie pozwala, bo to francuskie dzieci, mało to ludzie opowiadają? I tak mija cały dzień, a wieczorem znowu myślę, że ludzie to głupoty gadają najróżniejsze, sama moja matka, gdyby pan usłyszał, no wstyd po prostu. Gdyby to wszystko była prawda, to przecież byłoby w gazetach głośno i w ogóle, a tak jedna baba drugiej babie wszystko może nakłamać. Pisali raz, jak tą dziewczynę, wie pan, ten stary i jego bracia zwyrodnialcy, no ale pisali, to o innych też by chyba napisali.

Zamyśliła się, zapatrzyła w okno. Z korytarza dobiegł przeciągły krzyk, ale oboje udawali, że tego nie słyszą. Szpital dla obłąkanych, czego się spodziewać.

– No i tak w kółko, aż mnie to męczyć zaczęło. Więc dałam spokój i pisałam co innego. Że zostaję w Warszawie, męża znajduję uczciwego, staramy się w Reżimie o mieszkanie, dzieci rodzę, w sklepie pracuję, życie, wiadomo.

– Nie słyszę ekscytacji w pani głosie.

– No bo kto się ekscytuje takim zwyczajnym, najnormalniejszym życiem? To znaczy nie jestem głupia, wiem, że w większości wszyscy tak kończymy, ale można by wcześniej spróbować przynajmniej czegoś innego, prawda? Inaczej człowiek całe życie się

potem zadręcza, że mógł spróbować, a nie spróbował. Więc zaczęłam sobie wyobrażać, co ja bym mogła spróbować. Pójść w Warszawie do szkoły zawodowej, nauczyć się jakiegoś zawodu, pielęgniarki na przykład, pielęgniarka ludziom pomaga, dziękują jej, szanują, to jest ważne, czasami, myślę, bardziej niż doktor. Ojej, przepraszam…

Spłoniła się cała, bardzo wydało mu się to urocze.

– Ale ja zgadzam się z panią. Często więcej w chorobie pomaga dobre słowo i opieka niż medyczne procedury. Piękny i potrzebny zawód, a wiem, co mówię, w moim wieku trochę się szpitali od środka ogląda.

Palnął to bez zastanowienia, panienka Ewa spojrzała na niego podejrzliwie, ale nie skomentowała.

– I najpierw się zapaliłam, widziałam, jak chodzę po korytarzach szpitala, tak jak tutaj, koleżanki mam fajne, pacjenci się uśmiechają, a ja jestem potrzebna.

– Potrzebna, ale chyba nie do końca szczęśliwa, jeśli dobrze panią wyczuwam.

– Dobrze, ale nie wiedziałam dlaczego. Kojarzy pan, gdzie jest Dzierżenin?

Drgnął. Czyżby znowu w czasie rozmowy z pacjentem miał dostać jakieś dziwne ostrzeżenie? To przecież w Dzierżeninie był z Grażyną, kiedy ich romans rozkwitł i zamienił się w związek. To po tamtej wyprawie rozstał się z Iwoną. 22 lipca 1963, dzień otwarcia Zalewu Zegrzyńskiego. W tej rzeczywistości nie pojechali do Dzierżenina, nie mają romansu, a Zalew Zegrzyński w ogóle nie istnieje. Ale z żoną się rozstał, nawet wcześniej. Dlaczego to teraz do niego wraca?

– Oczywiście. Wieś nad Narwią, zaraz za Serockiem.

– I co pan sądzi?

– Piękne miejsce, w ogóle cały ten rejon, gdzie Bug wpada do Narwi, to moim zdaniem najładniejsza okolica pod Warszawą.

– Stamtąd właśnie się tutaj przeprowadziliśmy, ojciec nie chciał, ale matka miała obsesję, żeby się wynieść ze wsi, że tylko w mieście jest przyszłość dla dzieci. No fakt, że tam warunki niespecjalne. Prosto, biednie. Dziadkowie tam mieszkają cały czas.

– Ale tęskni pani?

– Tęsknię. Wie pan, za czym najbardziej?

Myślał, że to pytanie retoryczne, ale wyraźnie czekała na odpowiedź.

– Za rzeką? Za zapachami?

– Za tym, że się wzrok nie zatrzymuje. Pole, droga, rzeka, wszystko po horyzont. Nawet jak się rano z chałupy wyjdzie, to wzrok biegnie nie jak tutaj, do następnego bloku, tylko przez sad do chałupy sąsiada. A w mieście się oko nie może rozpędzić. I jak pomyślałam, że mam żyć w mieszkaniu w kamienicy i pracować w szpitalu, cały czas w korytarzach, salach, pokoikach, to mi się ciężko zrobiło. Ja wiem, że wszyscy chcą mieszkać w mieście, że w mieście praca, fabryki, mieszkania, że miasto to przyszłość.

Przerwała i patrzyła długo w okno.

– Wszyscy, tylko nie pani. – Normalnie pacjentowi pozwoliłby milczeć, ale to było nieomalże towarzyskie spotkanie, dziewczynie nic nie doskwierało, po prostu układała sobie życie.

– Też tak myślałam, ale już po tym wielkim spotkaniu w Hali Mirowskiej, które wie pan, było trochę onieśmielające. – Znowu się spłoniła, jakby nie chciała dać po sobie poznać, że widziała, jak dostaje po gębie. – Koleżanka zabrała mnie na małe spotkanie Unii, w świetlicy w dwójce. Nie chciałam za bardzo, ale i tak nie miałam nic do roboty, pomyślałam, że zawsze to jakaś rozrywka. Pełna sala była. Spodziewałam się jakiejś nagonki na Inżyniera czy w ogóle coś politycznego, a wie pan, o co oni zapytali? Taka kobieta to prowadziła, blada z czarnymi włosami, jak czarownica trochę.

Zaprzeczył.

– Kto jest ze wsi, zapytała. Najpierw ludzie się roześmiali, że to jakiś żart, ale ona wytłumaczyła, że na poważnie pyta. Ludzie coś tam poszeptali, w końcu ktoś podniósł rękę, potem kto inny, no i w końcu wie pan, co się okazało?

– Co?

– Wszyscy byli ze wsi. Wszyscy, sto procent. I ta kobieta, siostra Wanda, zaczęła wtedy opowiadać o wsi. O żniwach, dożynkach, nocy Świętego Jana, przednówku, pasterce, procesji na Boże Ciało, o weselach wiejskich, o pięknie pól, lasów, rzek właśnie.

Powiedziała, to mi utkwiło w pamięci, że jak się kogoś kocha, to się go karmi. A Polskę wieś karmi, dosłownie, ale też duchowo. Sporo osób się spłakało, potem mówili, że nawet nie zdawali sobie sprawy, jak tęsknią. Ja też płakałam i było mi przez to strasznie wstyd.

– Wstyd?

– Tak, bo rodzina zrobiła taki wielki wysiłek, żeby się przenieść. Też dla mnie, żebym miała szkołę i dentystę, i przyszłość inną niż na wsi, w chałupie z glinianym piecem i sławojką. I co? Mam im teraz powiedzieć, że to wszystko na nic?

– A uważa pani, że to było na nic?

Milczała. W końcu powiedziała, że nie wie.

– A ja wiem i chętnie się z panią podzielę. Jest pani wspaniałą młodą osobą. Dzięki swojej rodzinie jest pani i ze wsi, i z miasta, co mi się wydaje dość sympatyczne w tym całym układzie. Myślę, że należy im za to podziękować. Ale też myślę, że jedyne, na czym im naprawdę zależy, to żeby pani była szczęśliwa. A gdzie, to już tylko pani decyzja, nie ich.

– Tak pan sądzi?

– Nawet jestem pewien.

– Ale pan to jest ipermądry.

– W tym wieku to żadna sztuka.

Psiakrew, ciągle to robił. Jeszcze kiedy był stary, rozumiał, że to jest natręctwo, te jego wtręty, że wrzucał je, bo jak każdy stary człowiek wstydził się bycia takim nieestetycznym, czuł potrzebę przepraszania i usprawiedliwiania się. No i mu zostało. Za długo był stary, cholera.

– Czy pan tu mieszka? – spytała nieoczekiwanie, wskazując wzrokiem na rozlatującą się niewielką kanapę w rogu zagraconego szpitalnego gabinetu.

– Ależ skąd – skłamał. – Mam służbowe mieszkanie na Ochocie.

– Szkoda, że pan już u nas nie mieszka.

– Też żałuję, ale czasami tak się układa.

– Życie, wiadomo.

Potaknął.

– To jeszcze coś panu powiem, tylko proszę obiecać, że się pan nie będzie śmiał.

– A jeśli to będzie dowcip?

– Słucham?

– Nieważne, proszę mówić.

– Mam starą ciotkę, która ma chałupę w Wierzbicy, zaraz za Serockiem. Brzydka, ale duża, to znaczy ta chałupa, nie ciotka, zaraz przy szosie, jak się jedzie do Pułtuska. Gospodarka wyprzedana, obejście zostało niewielkie, ale i tak ciotka nie ma siły się tym zajmować. Mogłabym się do niej sprowadzić.

– To bardzo szlachetnie, ale co by tam pani robiła?

– Karmiła. Tak jak polska wieś karmi Polskę, tak ja będę karmiła Polaków. Świeżymi rybami prosto z Narwi. Ja uwielbiam gotować, to tam małą karczmę zrobię, przy drodze, dobry punkt, a świeżą rybkę z patelni każdy zje. Co pan na to?

Powiedziała swoje i spięła się tak, że widział, jak dłonie bezwiednie zacisnęła w pięści. Zapewne długo o tym myślała, zapewne jemu jako pierwszej osobie o tym powiedziała. Młoda dziewczyna z całym życiem przed sobą i rozpierające ją marzenie. Mała karczma w Wierzbicy, w której karmi Polskę, a jak się wyjdzie za próg, wzrok się długo nie zatrzymuje. Marzenie, które wyhodowała w sobie, bo obcy facet w sklepie poprosił, żeby poświęciła spokojną chwilę na wyobrażenie sobie swojej przyszłości.

– Chętnie przyjadę – powiedział i uśmiechnął się. – Uwielbiam ryby.

Rozluźniła się i krzyknęła:

– Całkiem prosto! Ja już pana zapraszam na otwarcie. Tylko jeszcze nazwę muszę wymyślić.

Na początku pobytu tutaj myślał o wszystkich durnych filmach fantastycznych, jakie w życiu oglądał, w których ludzie podróżują w czasie i dzięki swojej wiedzy z przyszłości wpływają na los świata, co jest zbrodnią, zagrożeniem, i wszystko kończy się źle. Ale szybko uznał, że rzeczywistość to nie fikcja, jest jak jest i trzeba żyć normalnie. Dlatego zdecydował się na drobny żart, jeden z tych, które tylko on i Grażyna potrafiliby zrozumieć.

– Mam coś dla pani.

– Tak?

– „Złoty lin”. Co pani na to?

– Boże, pan jest żenialny! Pyszna ryba, lepsza od karpia i faktycznie złota, i można ją złapać w Narwi, i jak się ją udusi w śmietanie, królewskie danie.

Podskoczyła, pocałowała go w oba policzki, zakręciła się na jednej nodze tak szybko, że spódnica jej się rozkloszowała, pokazując majtki, dziewczyna pożegnała się i wybiegła.

A on mógł się roześmiać na głos, bardzo dumny z tego, że pomógł pannie Ewie wymyślić nazwę jej knajpy. Już wiedział, skąd zna tę dziewczynę, zatrzymywał się u niej w karczmie „Złoty lin" za każdym razem, kiedy jechali lub wracali z Mazur, czasami nawet jeździli tam specjalnie, to była jedyna sensowna knajpa rybna w Warszawie i okolicach.

3

Wiedziałam, że tą odpowiedzią złamię mu serce, ale skoro już postanowiłam być szczera, to do końca.

– Żadnych poduszkowców.

– Ale jak to? – Miał naprawdę komicznie smutną minę. – Przecież to jest najlogiczniejszy środek transportu.

Przyznaję, nie miałam wystarczającej wiedzy z historii poduszkowców, żeby mu to wytłumaczyć kompetentnie. Próbowałam pocieszyć go inaczej.

– Ale są szybkie pociągi. I nowoczesne samochody, bardzo bezpieczne, tak jak mówiłeś. Mają pasy, ale mają też poukrywane niewidoczne poduszki, które się nadmuchują w momencie uderzenia i chronią pasażera.

– To przecież dokładnie takie fotele jak w *Powrocie z gwiazd*!

– I dużo samochodów ma ekran, jakby taki mały telewizor, na którym pokazują mapę i gdzie jesteś na tej mapie.

– I sam cię dowozi?

– Aż tak dobrze to nie ma. Ale pokazuje, jak jechać, gdzie skręcić, to akurat superwynalazek. Zazwyczaj, bo kiedyś mnie wywiózł ten telewizor w szlaban pod las, traktorem mnie musieli wyciągać, mało z wściekłości nie umarłam.

Patrzył na mnie jak na istotę z innego świata. W sumie byłam istotą z innego świata.

– Muszę to sobie wszystko poukładać w głowie, ale to, co mówisz, jest niesamowite, to oznacza, że rozwój poszedł w takie małe rzeczy ułatwiające życie, zamiast w prawdziwie rewolucyjne zmiany.

Nieźle to ujął.

– No chyba tak. Masz rację, nie zastanawiałam się nigdy nad tym, ale przez te pięćdziesiąt lat ludzkość raczej zmniejszyła i udoskonaliła wszystko to, co już miała, niż wynalazła rzeczy naprawdę nowe. Ciągle jeździmy pociągami i samochodami, latamy samolotami, mieszkamy w starych domach albo w nowych, ale nowe wyglądają po prostu jak domy, a nie jak lewitujące nad ziemią purchawki ze szkła. Chorujemy, umieramy, medycyna poszła do przodu, więc żyjemy trochę dłużej, ale niewiele, stulatki to nadal wyjątek, a nie norma. Ja miałam pół roku temu siedemdziesiąt osiem i większość przyjaciół w grobie.

– Ale baza na Księżycu jest?

Mogłam skłamać, nic mnie to nie kosztowało, pytana o szczegóły, mogłam się zasłonić nieznajomością historii podboju kosmosu. A jemu pewnie bym zrobiła przyjemność, miałby na co czekać.

– Obiecałaś mówić prawdę.

Westchnęłam.

– Nie ma.

– To niemożliwe. Dlaczego? Wylądowaliśmy w ogóle na Księżycu?

– Jakoś tak pod koniec lat sześćdziesiątych. Facet, który wyszedł ze statku, powiedział: „mały krok dla człowieka, wielki dla ludzkości”.

– Czyli Amerykanie.

– Tak. Potem jeszcze lądowali kilka razy, ale chyba już parę lat później to się skończyło.

– Tak po prostu? Może coś tam odkryli niebezpiecznego. Jakieś artefakty innej cywilizacji, nieznane pierwiastki, zagrożenie biologiczne? Promieniowanie?

– Odkryli, że Księżyc to nudna kupa kurzu i kamieni, wysyłanie tam ludzi kosztuje majątek i jest niebezpieczne, a korzyści naukowe

niewielkie. I że lepiej te pieniądze wydać na rzeczy mniej spektakularne, ale mające więcej sensu.

– Czyli na Marsie w ogóle nie wylądowaliśmy?

– Jakieś sondy.

Zadumał się.

– I to tyle, jeśli chodzi o *Powrót z gwiazd* – skwitował smutno. – Dobrze przynajmniej, że wojny atomowej nie będzie, tutaj wszyscy są przekonani, że zaraz wybuchnie, każdy kraj buduje te bomby, ostatnio Francja. To akurat dobrze, może my też będziemy dzięki temu mieli.

– Jest stacja kosmiczna, która lata wokół Ziemi – powiedziałam, żeby go jakoś pocieszyć.

– Naprawdę? To genialne! Taki okrągły pierścień, który się obraca, żeby symulować grawitację? A w środku pewnie laboratoria, mieszkania, ale też parki i basen?

– Dokładnie! Opisujesz, jakbyś to widział – powiedziałam, wkładając w ten szczery podziw wszystkie nabyte w czasie symulowania orgazmów zdolności aktorskie. Co mu miałam powiedzieć? Że Międzynarodowa Stacja Kosmiczna to parę puszek połączonych ze sobą, a w gazecie ostatnio czytałam, że największym problemem jest to, żeby ta kupa złomu nikomu na głowę nie spadła, jak będzie za chwilę dożywała swoich dni.

– No to nie jest tak źle. – Ucieszył się. – Z takiej stacji można już myśleć o eksploracji kosmosu, po prostu to wszystko dłużej trwa, ale się dzieje. Ale wszystko, co mówisz, nie wiem, nie sądziłem, że przyszłość może być aż tak zwyczajna.

– Nie jest zwyczajna! – krzyknęłam, trochę urażona, że w latach sześćdziesiątych ktoś się z takim lekceważeniem wypowiada o mojej cywilizacji XXI wieku. Gdybym wiedziała, tobym mu wygarnęła prawdę o tej stacji kosmicznej. – Jest po prostu inna, niż sobie teraz wyobrażasz, ale jest wspaniała.

– Normalne samochody, normalne domy, baz na Księżycu nie ma, kontakt z inną cywilizacją nienawiązany, a ludzie starzeją się i umierają, tylko żyją kilka lat dłużej, jeśli mają szczęście. Co w tym wspaniałego, że jest jak zawsze?

– Głupi jesteś, nigdy nie jest jak zawsze. Opowiem ci. Telefon. Kojarzysz?

– Aha.

– Wyobraź sobie, że każdy ma w domu telefon.

– Nietrudne.

– Że każdy ma w domu telefon, ale może z nim chodzić po całym mieszkaniu bez kabla.

– O, to fajne.

– Czekaj. Każdy ma w kieszeni telefon wielkości paczki papierosów i może chodzić z nim, gdzie chce, jeździć za granicę, siedzieć w lesie i w każdej chwili może zadzwonić do innej osoby. Każdy to ma, stary, młody, dzieci dostają, jak idą do szkoły, wszyscy w każdej chwili mogą być ze sobą w kontakcie. Mogą zadzwonić albo wysłać SMS-a, to znaczy wystukać jakby taki telegram, który druga osoba od razu widzi na swoim telefonie.

Źrenice mu się rozszerzyły jak pod wpływem narkotyków, czułam, że jego futurystyczna wyobraźnia pracuje na pełnych obrotach, ale nie daje rady, wziął do ręki leżącą na łóżku paczkę papierosów, oglądał ją ze wszystkich stron, zrobił na niej okrężny ruch placem, jakby czymś kręcił.

– Wystukać na tarczy?

Aha, czyli to mu się nie zgadzało.

– Nie ma tarczy, nie byłoby miejsca. Są małe klawisze z numerami i literami, trochę jak w maszynie do pisania.

– Niesamowite! Ale jak to działa technicznie tak dokładnie?

– A skąd mam wiedzieć. Chyba radiowo, bo cały system wymaga masztów poustawianych w dziwnych miejscach.

– Ale przecież to jest rewolucja, tak powszechna komunikacja…

– Słuchaj dalej. Kojarzysz komputer? Serce tranzystorowe, co robi te wszystkie obliczenia?

– No jasne.

– Więc komputer też ma każdy.

– Ale po co ludziom komputery? Przecież są centra obliczeniowe.

– Słuchaj. Każdy ma komputer, czyli połączone w jedno niewielki ekran, klawiaturę jak z maszyny do pisania, no i serce tranzystorowe.

– To jakiś absurd. I co na nim robi?

– Co chce. Księgowy księguje, pisarz pisze, kompozytor komponuje, architekt projektuje. – Uznałam, że nie będę wprowadzać wątku gier komputerowych, trochę dlatego, że sama ich nie rozumiałam, za stara byłam, żeby się na nie załapać, a z tego, co mi wnuczki pokazywały, to niewiele rozumiałam poza tym, że trudno to było od telewizji odróżnić, takie prawdziwe. – Każdy ma podobny komputer, ale każdy używa innych narzędzi, zależy, co na nim robi.

– Czyli pisze się słowa na ekranie i co dalej się z nimi dzieje?

Niesamowite, facet planował podróże międzygwiezdne, a to go wyraźnie przerastało.

– Każdy komputer ma pamięć, w której to przechowuje.

– Taśmę czy kartę perforowaną?

– Nie, zupełnie inaczej, nie wiem, jak to działa. Ale każdy może przechować bardzo dużo danych i w każdej chwili mieć do nich dostęp. Na ekranie to widać jak teczki i w tych teczkach przechowujesz rozdziały książki albo fragmenty muzyki, albo zdjęcia. I w każdej chwili możesz to zobaczyć, co masz w tej pamięci, i na przykład pisać dalej.

– No dobrze, a jak chcę to komuś pokazać?

– Możesz na przykład wydrukować, prawie każdy ma w domu drukarkę.

– Co?

– No mówiłam, że wszystko się zmniejszyło. Sama mam, miałam, drukarkę wielkości, ja wiem, pojemnika na chleb. Drukarka jest podłączona do komputera i można wydrukować, co się chce. Ale nikt tego nie robi.

– Nie rozumiem.

– Słuchaj dalej. Przez kable telefoniczne wszystkie komputery są połączone w jedną sieć. Co oznacza, że mogę wysłać na twój komputer to, co napisałam, kawałek muzyki czy swoje zdjęcie znad morza. I od razu je zobaczysz na swoim ekranie, w tej samej chwili.

– Boże, to niesamowite.

– Ale w tej sieci masz nie tylko komputery poszczególnych osób. Masz też encyklopedie, słowniki, gazety, telewizje, uniwersytety.

I wszystko to możesz wyświetlić na swoim ekranie. Czyli jak chcesz się dowiedzieć, kiedy człowiek wylądował na Księżycu, to na ekranie możesz zobaczyć hasło z encyklopedii, film z lądowania, poczytać prace naukowe na ten temat i dowiedzieć się, czy jest planowana jakaś nowa ekspedycja. Jeśli nie znasz angielskiego, a artykuł jest po angielsku, to komputer przetłumaczy to sam na polski. Koślawo i z błędami, ale na tyle, że da się zrozumieć.

Miał taki wzrok, że bałam się, że zemdleje. Na serio zaczęłam się martwić, czy nie przesadzam, czy mimo wszystko w jego futurystycznym mózgu nie strzeli jakiś bezpiecznik od nadmiaru informacji.

– Przecież – wydukał – przecież to jest raj. Grażyna, ty jesteś aniołem, wysłanniczką z raju. Twój świat to jest spełnienie wszystkich marzeń ludzkości o dostępie do wiedzy, wymianie informacji, współistnieniu różnych poglądów, bez barier językowych, to jest zwycięstwo prawdy naukowej, to wyklucza istnienie konfliktów, wojen, w takim świecie każde kłamstwo zostanie zdemaskowane w ciągu sekund, czyli że nie da się manipulować tłumem, rozgrywać resentymentów i nienawiści.

Nie komentowałam. Niech sam się przekona za parę dekad.

– Najlepsze zostawiłam na deser.

– Co? To nie koniec?

– Mówiłam o telefonach. Mówiłam o komputerach. Ale już w czasie mojej wczesnej starości…

– Och nie, mam tyle na to czekać?

– …połączono te dwa urządzenia. Telefon, który nosimy w kieszeni, jest jednocześnie komputerem podłączonym do tej sieci, nie ma już klawiatury, jest tylko ekran, wyobraź sobie paczkę papierosów, której cała jedna ściana jest ekranem.

Znowu spojrzał podejrzliwie na paczkę papierosów, jakby miała za chwilę porazić go prądem.

– To jak się pisze te telegramy?

– Jak chcesz coś napisać, na ekranie pojawia się klawiatura i wystukujesz wiadomość na ekranie.

– Bujasz.

– W ogóle. To, co ci mówię, to jest bardzo spłycona wersja i uproszczona. Pamiętaj, że jestem osiemdziesięcioletnią staruszką, która nie rozumie wszystkich tajemnic i możliwości tej rewolucji komunikacyjnej.

– Jeszcze raz – powiedział powoli, z miętolonej przez niego paczki tytoń wysypywał się na pościel. – Masz w kieszeni telefon wielkości paczki papierosów, możesz z niego do każdej osoby zadzwonić i wysłać natychmiastowy telegram, ale masz też na jego ekranie dostęp do całej wiedzy świata. Którą możesz przetłumaczyć na dowolny język.

Śmieszne, nosiłam jak każdy komórkę w torebce, ale dopiero on nazwał to w taki sposób, że aż mi się trochę wstyd zrobiło, że nie potrafiłam tego należycie docenić. Przytaknęłam.

– I na przykład ty do czego najczęściej używasz tego potężnego narzędzia?

Hm, właściwie to do grania w spadające klejnoty, ale tego przecież nie powiem. Po pierwsze, wstydziłam się, po drugie, nie miałam tygodnia na tłumaczenie, czym są spadające klejnoty.

– Do komunikacji, jak wszyscy chyba. Albo do zdjęć, zapomniałam dodać, że każdy telefon ma aparat fotograficzny i kamerę. Możesz nagrać film i od razu komuś wysłać, a możesz też zadzwonić do kogoś i widzieć tę osobę jak w telewizji. To jest wspaniałe, jeśli za kimś tęsknisz i bardzo chcesz go zobaczyć, a jest daleko, na innym kontynencie.

Energia w pomieszczeniu nagle drgnęła, jakbym wypowiedziała zaklęcie, Adam wstał, w koszuli, ale świecąc gołym chudym tyłkiem, i podszedł do okna. Otworzył na oścież spaczone skrzydło, wpuszczając trochę ciepłego sierpniowego powietrza i gwar ulicy.

– I w tym świecie… – zaczął cicho – …dzwonimy do siebie, żeby się zobaczyć, kiedy jesteśmy daleko?

4

Zawsze zastanawiała go wizerunkowa różnica między salonem samochodowym a warsztatem samochodowym. Gdyby to przełożyć

na człowieka, to porodówki lśniłyby marmurami i mosiądzami, a pępowinę przecinano by diamentowym ostrzem. Za to przychodnie byłyby miejscami kaźni, z flakami walającymi się po ziemi i jękami torturowanych, a lekarz miałby na sobie skórzany fartuch, uwalany krwią i gównem, z którego kieszeni wystawałaby odcięta kończyna oraz nadgryziona kanapka z salcesonem.

– Francuska myśl techniczna, polskie wykonanie, pan widzi sobie gorsze połączenie? – powiedział majster o wyglądzie sympatycznego Cygana.

– Sudańska myśl techniczna, egipskie wykonanie?

Majster zarechotał wesoło spod jego citroëna, dając do zrozumienia, że docenił żart.

– Polski pan rasista mi się zdaje, niełądnie, niełądnie.

Skorzystał z tego, że majster go nie widzi, i wzniósł oczy ku niebu, to znaczy ku sufitowi garażu, ciemnemu i okopconemu, jakby w pomieszczeniu regularnie płonęły ofiarne stosy. Cóż za klątwa drzemie w motoryzacji, że wymusza na ludziach z branży nieustające tokowanie. Sprzedawcy, taksówkarze, mechanicy, wulkanizatorzy, każdy w blokach startowych, żeby opowiedzieć historię swojego życia i wygłosić opinię na każdy temat.

– Tutaj panu sworzeń lewego łącznika stabilizatora trochę lata.

Równie dobrze mógłby próbować zrozumieć inkantację azteckiego kapłana.

– Tak też myślałem po dźwięku – powiedział pewnym tonem. – Ale lata tak, że się urwie, czy lata tak, że pojeździ?

– Zawsze pojeździ, dopóki się nie urwie.

Miał ochotę złapać najcięższy klucz, wyciągnąć mechanika spod samochodu i walić go tym kluczem po głowie.

Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Powtórzył sobie w myślach, że mechanik nie jest złym człowiekiem, jest tylko mechanikiem. I że to on zamontował mu w citroënie amatorskie pasy bezpieczeństwa, nawet jeśli przy okazji wygłosił sto durnych uwag na ten temat.

W tym momencie pojawił się inny klient, widocznie spięty, naburmuszony i nakręcony facet z brzuszkiem.

– Panie Baltazarze, dzień dobry.

– A dzień dobry, panie Mietku – odparł majster, nie wychodząc spod citroëna. – Wszystko w porządku?

– Niekoniecznie, panie Baltazarze. Bo ja już czekam cały miesiąc, a pan, widzę, inny samochód naprawia.

– No skoro pan tyle czeka, to może pan poczekać jeszcze jeden dzień.

I znowu déjà vu ścisnęło go za gardło, światło jakby przygasło, temperatura spadła o pół stopnia. Znał ten dialog, słyszał już kiedyś te kwestie. Świat chciał mu coś przekazać. Ale co? Że to nieprawda? Że to nie jest żadna przygoda, że zwyczajnie śni, zwariował albo nie żyje?

– Ja mam czekać jeszcze jeden dzień, a ten pan – wskazał na Ludwika – dopiero co!

– Ma pan rację – przyznał koncyliacyjnie majster. – Samochód tego pana przywieziono osiem godzin temu, czyli że dla niego…

Jak to w déjà vu, znał następną kwestię zanim padła: „jeden dzień czekania dłużej to jest trzysta procent więcej czasu”.

– …jeden dzień czekania dłużej to jest trzysta procent więcej czasu. A dla pana, skoro pan czekasz trzydzieści dni, to jeden dzień więcej to będzie jakieś trzy procent.

– To jest skandal!

Majster Baltazar westchnął.

– Na jutro będzie.

Klient nawet nie odpowiedział, obrócił się na pięcie i wyszedł. A Ludwik postanowił wykorzystać swój czas do końca, przerażony, że on też się tutaj pojawi za trzydzieści dni, żeby wysłuchiwać sylogizmów.

– Powiem panu tak. Jutro muszę dojechać na Warmię i nie może mi się nic popsuć po drodze. Muszę tam dojechać bez przeszkód i na czas, bez żadnej przesady to jest sprawa życia i śmierci. Więc mi pan nie pierdoli tutaj sentencjami, tylko, kurwa, powie, czy dojadę, czy nie?

Stukanie ustało, mechanik znieruchomiał. W końcu powoli wyjechał spod podwozia, pokazując szelmowsko uśmiechniętą śniadą gębę.

– Widzi mi się, że zły dziś polski pan – powiedział i wybuchnął śmiechem.

Wtedy podjął decyzję, że zgarnie Grażynę dzisiaj, jakby co, to zawsze jakoś dojadą autobusem albo na stopa.

5

Do szkoły szłam przygnębiona. Rozmowa z Adamem zaczęła się trudno, rozwinęła się na zabawnie i skończyła na rozdzierająco smutno. Wyznałam mu, że nie, w tamtym świecie nie jesteśmy, nie byliśmy razem. Nie dopytywał i chyba dobrze, bo nasze ostateczne rozstanie było jednym z najgorszych wspomnień mojego życia i nie miałam ochoty do niego wracać. W końcu musiałam się zbierać do szkoły na remizę, jak nazywano w Efie uroczystość wręczenia dyplomów. Zapytałam go wprost, czy przez to, co powiedziałam, co muszę zrobić, czy to oznacza, że z nami koniec. Odpowiedział po chwili namysłu: „Wszystko to jest zbyt dziwne, żeby stawać temu na drodze. Zrób, co musisz zrobić, ja będę na ciebie czekał".

I jak go nie kochać?

Wiedziałam, że przed szkołą ma być duża demonstracja Unii, więc poszłam do tylnego wejścia, ale przecinając Bulwar, widziałam ludzi zgromadzonych przed Efem. Dużo ich było, za dużo, żeby rozgonić, zresztą miesiąc przed wyborami traktowano ich wyraźnie łagodniej. Inżynier bał się oskarżeń o drugą sanację, która musi ludzi wsadzić do więzień, żeby wygrać wybory. Postawił na młodych, wysunął do przodu Jeziorańskiego i Bartoszewskiego, nawet poszłam na jedno spotkanie z Lucyną i siedziałam koło Jacka Kuronia – ledwo go poznałam szczupłego i z włosami, przystojny z niego był testosteronowiec – który cały czas palił, zadawał mnóstwo pytań o wizję Polski i nerwowo się rozglądał, jakby szukając klasowej barykady, na której szczycie mógłby stanąć. Bawiłam się świetnie.

Za to jeśli chodzi o Unię, na zmianę umierałam ze śmiechu i przerażenia, czytając, jak Edward Gierek najpierw klęczy z pękiem zbóż w rękach w czasie mszy, a potem na wiecach zatroskanym głosem opowiada o narodowych tradycjach i o złej Europie, która

atakuje wspaniałą Polskę nie tylko swoją laickością, ale też chce nas zmusić do przyjęcia innowierców z Algierii, którzy rozbiją naszą chrześcijańską wspólnotę od środka. Gdyby Inżynier zdecydował się na twardy kurs, zdelegalizował i wsadził unionistów do Berezy czy gdzie indziej, bo Bereza chyba na Białorusi została, okiem bym nie mrugnęła. A może po prostu nie potrafiłam im wybaczyć, że upokorzyli Ludwika? Znałam go, musiał to ciężko przeżyć, wyrzucał sobie pewnie głupotę i naiwność; gdybym przy nim była, powtarzałabym, że lepiej być naiwnym niż cynicznym, ale mnie nie było. Od tamtej relacji Wandy w czasie Dni Morza nie miałam z nim żadnego kontaktu, żadne też do mnie nie dotarły informacje. Po uroczystości w Efie planowałam pojechać do niego na Muranów, ponieważ jutro jest ten dzień i niezależnie od tego, co on o tym sądzi, ja nie zamierzałam zrezygnować ze swojego syna.

– Madame! – Do tylnego wejścia od strony dziedzińca miałam jeszcze ze sto metrów, kiedy spomiędzy filarów gmachu Ministerstwa Przyszłości (naprawdę takie było) wyskoczyła wprost na mnie Żozi, w szkolnym mundurku, tak spuchnięta od płaczu, że ledwo ją poznałam. – Niech pani mnie ratuje!

– Żozi, kochanie, co się stało?

– Ja… ja byłam wczoraj na badaniu i nie dostałam certyfikatu, rodzina mnie zabije, ja sama siebie zabiję…

– Żozi, tylko spokojnie. Trzy głębokie wdechy, policz do dziesięciu, uspokój się. Tramwaj nie urwał ci nogi, nie masz krwotoku, nie zrobiłaś sobie dziury w głowie, tout va bien, tak?

Patrzyła na mnie, jakby nie rozumiała ani słowa. Czy powinnam ją strzelić po gębie, żeby oprzytomniała? Niechętnie, co prawda to lata sześćdziesiąte, nikt nie zwróci uwagi, ale jakoś tak głupio mi było.

– Pani profesor, nic tout va bien – jak mówiłam, żaden geniusz językowy – albo mnie ktoś uratuje, albo się zabiję.

– Tak, to już słyszałam. Z tego wniosek, że muszę cię uratować.

Potaknęła, cały czas z histerią w oczach.

– Ale żebym mogła cię uratować, musisz się uspokoić i powiedzieć, o co chodzi.

– Ja przez to, że byłam chora, a potem miałam okres, dopiero wczoraj byłam na badaniu.

– Jakim?

– No, wie pani. – Wskazała na dół brzucha.

– U naszej pani Marylki?

Potaknęła. Pani Marylka była pracującą na stałe w Efie ginekolożką, co uważałam za fantastyczne, nowoczesne i feministyczne rozwiązanie, żeby w dziewczęcej szkole mieć na stałe opiekę lekarza od spraw kobiecych, a nie tylko dentysty. Jesli chodzi o profilaktykę i nauczenie dziewczyn, żeby zastąpiły katolicki wstyd świadomym dbaniem o zdrowie, niezastąpione. Choć nieśmiałe „no wie pani" w ustach Żozi wskazywało, że dużo jeszcze na tym polu zostało do zrobienia.

– No i o co chodzi? Jesteś chora? Coś się stało?

– Ona twierdzi, że nie jestem dziewicą, a ja nic nigdy, przysięgam pani, pani profesor, całowałam się tylko, a poza tym wiem to, co u pani na lekcjach, tylko teoria, przysięgam, na swoją matkę i Matkę Boską Częstochowską, niech pani spojrzy! – Mówiąc to, zrobiła energicznie znak krzyża i uklękła.

Złapałam ją za ramiona i podniosłam.

– Oszalałaś, dziewczyno? Kogo to obchodzi, czy jesteś dziewicą, czy nie?

Zaśmiała się gorzko.

– Co pani opowiada? Przecież ja bez dziewictwa nie dostanę promocji! Zostanę szatynką, moja matka tego nie przeżyje, zabije mnie.

Poczułam, jak kostka lodu przejeżdża mi po kręgosłupie. Wiele rzeczy w Efie, które uważałam za, hm, dyskusyjne, zracjonalizowałam sobie, uznając, że ostatecznie wykonywana praca u podstaw, dla wyrównania szans społecznych, jest tego warta. I że w ramach tej instytucji mogę robić dobrą, edukacyjną, feministyczną robotę. Wersja oficjalna. Prawdziwa: bałam się, że jak coś fiknę, to nie załatwią mi mieszkania.

– A ja naprawdę nic nigdy, przysięgam.

– Powiedziałaś to pani Marylce? Ona na pewno to zrozumie, fizjologicznie każda kobieta jest trochę inaczej zbudowana, nie

każda ma błonę dziewiczą, czasami ona sama pęka, czasami się zrasta na nowo, nie jesteśmy maszynami z jednej fabryki, są też różne schorzenia, wypadki. – Pewna niepokojąca myśl pojawiła mi się w głowie, kiedy patrzyłam na chlipiącą Żozi. – Żozi, czy w twoim życiu coś się kiedyś zdarzyło, coś intymnego, na co nie wyraziłaś zgody?

Tylko płakała, długo myślałam, że w ogóle nie usłyszała pytania.

– Mama mnie wysłała do Efu, żebym nie była w domu – powiedziała w końcu tak cicho, jakby mówiła do siebie. – Ale to było dawno, no i tak nawet nie wiem, czy to to, bo to było dziwne, nie pamiętam naprawdę.

Jak dawno to mogło być, dziewczyno, pomyślałam, skoro ty masz teraz szesnaście lat.

– To jest na pewno do wyjaśnienia – powiedziałam zdecydowanie. – Pójdę do pani Marylki, pójdę do pani dyrektor, wszystko będzie dobrze, Żozi, obiecuję.

Ale wcale nie byłam tego taka pewna.

6

Zatrzymał się na chwilę w Rezerwacie na kawę, ponure ruiny stały się jego ulubionym fragmentem miasta, podobnie jak dla wielu warszawiaków zresztą. „Stolica” już kilka razy zastanawiała się, czemu mieszkańcy, zamiast rozkoszować się przeszklonymi kawiarniami na bulwarach, woleli tłoczyć się w małych i ciasnych parterach zburzonych prawie kompletnie kamienic i wysiadywać w ogródkach pomiędzy zawalonymi pierzejami. Sam kilka razy zadawał sobie to pytanie i nie znał na nie odpowiedzi. Nie mógł to być sentyment do przedwojennej Warszawy, bo tej nie znał. Do okupacji też nie – mieszkał wtedy poza miastem, poza tym kto przy zdrowych zmysłach chciałby wracać do czasów okupacji? Tęsknota za jego Warszawą XXI wieku? Bez sensu, rezerwat ruin nie miał z tym nic wspólnego, w jego Warszawie stały w tym miejscu socrealistyczne budynki placu Konstytucji i MDM-u. Chyba podobało mu się, że było tu prosto i zwyczajnie, filiżanki zdarzały się

wyszczerbione, z deserów dawali sernik krakowski i szarlotkę, a nie merengi pistacjowe, zaś piwo nalewała pani Sandra z dziobami na tłustej gębie i bezinteresownym złym słowem dla każdego klienta, a nie kelner startujący w konkursie na najlepiej ubraną osobę w Europie Wschodniej.

Więc dał się zbesztać w „Kwadransie" przy ruinach Lwowskiej, że nie ma drobnych, i stanął z filiżanką małej czarnej przy wysokim stoliku na zewnątrz. Sączył kawę i patrzył na pierzeję po drugiej stronie ulicy. Odrobinę po lewej na trzech kondygnacjach mieścił się sklep z pamiątkami, ze środka wychodziła właśnie młoda para z trójką dzieci w wieku szkolnym, wszyscy ze świeżo założonymi biało-czerwonymi opaskami na rękach, a najstarszy chłopiec, na oko trzynastoletni – wyróżniony ku widocznemu niezadowoleniu rodzeństwa – także z zielonym powstańczym chlebakiem. Obejrzał prezent ze wszystkich stron, przewiesił go sobie przez ramię i wyprostował się dumnie, jakby chciał dać wszystkim przechodniom do zrozumienia, że już jest gotowy, żeby umrzeć za ojczyznę.

Ludwik odwrócił wzrok.

W kamienicy bezpośrednio przed nim nie urządzono nic, za bardzo była zniszczona, żeby się załapać na ten patriotyczny lunapark. Kiedyś musiała być piękna, strojna. Mimo zniszczeń w pofalowanej fasadzie i pozostałościach roślinnych ornamentów widać było secesyjne rozbuchanie. Za wielkimi oknami pierwszego piętra świeciło słońce, wystawały jakieś zielone badyle, z budynku nie zostało właściwie nic oprócz fasady.

Pomyślał o swoich pierwszych pacjentach, o trupie siostry znalezionym w podwórku kamienicy na Lwowskiej. Wypił kawę, podszedł do zawalonej gruzem bramy i przeczytał wszystkie brzozowe tabliczki – czterdzieści trzy tylko na tej jednej fasadzie. Nazwiska panieńskiego swojej pacjentki z Grochowa nie znał, ale jak ona mówiła? Że siostra maturę pod ziemią zrobiła. Czyli musiałaby mieć w powstaniu dwadzieścia, góra dwadzieścia trzy lata. Dwie takie były dziewczyny na tabliczkach, może to któraś z nich. Była też osiemnastoletnia para o tym samym nazwisku. Rodzeństwo? Raczej nie, trzy miesiące dzieliło ich daty urodzenia.

Może młode małżeństwo, trochę takich było w powstaniu, za wszelką cenę chcących sobie kupić trochę miłości i bliskości. Była też rodzina siedmioosobowa. Babcia, rodzice, czwórka dzieci od dziesięciu lat do roku. Było też samotne trzymiesięczne niemowlę. Nie przeżyło nalotu? Matka je zadusiła, żeby ich nie znaleźli w szafie albo za stertą węgla w piwnicy? Strach pomyśleć, co się kryje za tymi tabliczkami.

Mimo że był środek jasnego dnia, drgnął, kiedy z podwórka kamienicy rozległ się głośny dźwięk osypującego się gruzu. Wyobraził sobie, że to nieodnalezione ciała wygrzebują się właśnie spod gruzów, złe, że nie mają swojej tabliczki i nawet kawałek brzozy nie opowiada ich historii.

Znowu posypał się gruz i z bramy wyszła para. Mieli około osiemnastu lat, on w brązowych spodniach i koszuli z krótkim rękawem, ona w turkusowej letniej sukience do kolan i z odkrytymi ramionami. Oboje z błyszczącymi oczami i potarganymi włosami. Ona się spłoszyła na widok obcego mężczyzny na ulicy, złapała chłopaka za rękę i spuściła głowę, jakby chciała mu powiedzieć: „mówiłam, że to nie był dobry pomysł".

– Uszanowanie – powiedział chłopak, z trudem utrzymując równowagę na rumowisku.

– Uszanowanie – odpowiedział Ludwik.

Zmówił jeszcze w myślach modlitwę za zmarłych i ruszył w stronę placu Politechniki, idąc między martwymi, czarnymi kamienicami, po ulicy poznaczonej ogromnymi kwadratami światła, efekt możliwy tylko w tym jednym miejscu na świecie, gdzie słońce mogło przebić się przez nieistniejące dachy i nieistniejące stropy.

Przed sobą miał plecy młodej pary, która starała się skakać z jednego kwadratu słońca na drugi, cały czas trzymając się za ręce.

Doszedł do Bulwaru. Już z daleka słyszał harmider, nic dziwnego, w gazetach trąbili od tygodnia o wielkiej unijnej demonstracji, zapowiedzianej na dzień dorocznej sierpniowej promocji w Femmes Sans Frontières. Zwykle po promocji uczennice maszerowały Bulwarem, połączone to było z festynem i występami artystycznymi co bardziej uzdolnionych dziewczyn. W tym roku z festynu ku

rozczarowaniu kochających uliczną rozrywkę mieszkańców zrezygnowano z obawy przed zamieszkami.

Słyszał harmider, czytał gazety, przedsmak wydarzenia dostał już w Hali Mirowskiej, gdzie przecież też zgromadziły się tłumy, a nie grupka aktywistów – ale i tak był zaskoczony skalą demonstracji. Przed dostojnym budynkiem Efu kłębiło się kilka tysięcy osób. Idących do szkoły chronił szpaler wojskowych, stojących jeden obok drugiego. Zauważył, że wchodziły tylko uczennice, traktowane przez tłum dość pobłażliwie; logiczne, biorąc pod uwagę, że Unia przedstawiała je jako ofiary systemu. Nie widział dorosłych, albo przyjechali wcześniej, albo wchodzą od podwórka.

Żeby dostać się do szkoły, chcąc nie chcąc musiał przecisnąć się koło podwyższenia, ku któremu zwróceni byli zgromadzeni i gdzie przemawiali kolejni mówcy. Schylił głowę i skurczył się trochę ze strachu, że ktoś może go rozpoznać, Iwona i Camille na pewno gdzieś tutaj byli. Podobnie jak Wanda i panienka Ewa. Na transparentach widniały głównie symbole kłosa i kłosa walczącego, ale widział też dziwaczne biblijne hasła: „Wszechnica nie wszetecznica" i „Wypierzemy brudy nierządu". Oraz zawsze modne i na miejscu „Syjoniści do Izraela".

W tłumie dało się odczuć poruszenie, ktoś zaczął skandować: „Ed-ward! Ed-ward!", i na mównicę wszedł Gierek. Opalony, postawny, z zaczesanymi do tyłu włosami, bez marynarki i krawata, z podwiniętymi rękawami białej koszuli o ludowym kroju, wyglądał w pełnym sierpniowym słońcu jak porządny trybun ludowy i nie można mu było odmówić charyzmy.

– Polacy! – zaczął. – Tak, Polacy. Nie Europejczycy, nie obywatele świata, nawet nie ludzie, tylko: Polacy!!!

Tłum nagrodził go oklaskami.

– Mam złe wiadomości dla was wszystkich, którzy jesteście naszymi sympatykami i którzy tak ja my marzycie o Polsce silnej, suwerennej, dumnej ze swojej tradycji i niezależnej od wszystkich wpływów. O Polsce, która nie jest niczyją kolonią ani niczyim kondominium. Otóż dziś usłyszałem w radiu, że, no co za pech, wszyscy jesteście sowieckimi agentami – zakończył z kabaretowym smutkiem, a tłum wybuchnął śmiechem.

Gierek uśmiechnął się i dyskretnym gestem uciszył tłum.

– Śmieszne, prawda? Że oni wszyscy nie mogą uwierzyć, że taka siła wyrosła z tej wspaniałej, dumnej, polskiej ziemi. To niemożliwe. Kto za tym stoi? Jaka jest tego tajemnica? Ale ja nawet to rozumiem, bo w Polsce jest taka fatalna tradycja zdrady narodowej. I to jest właśnie nawiązywanie do tego. To jest jakby w duszach niektórych ludzi, tego najgorszego sortu Polaków. No i ten najgorszy sort właśnie w tej chwili jest niesłychanie aktywny, bo czuje się zagrożony. Proszę zwrócić uwagę, że sanacja, wojna, potem stalinizm, później odbudowa Polski, tak jak ją przeprowadzono, to właśnie ten typ ludzi promowała, dawała mu wielkie szanse. Oni czują, że nadchodzi wielka zmiana. I tak bardzo się tego boją, stąd ta furia, stąd ta nienawiść. Z jednej strony tych, którzy po prostu są wynajęci, a z drugiej tych, którzy po prostu oszaleli z nienawiści. Ale bądźcie pewni, że potrafimy zwyciężyć. I przyjdzie wielka klęska tych, którzy nienawidzą, którzy w gruncie rzeczy nienawidzą Polski, bo o to chodzi, oni nienawidzą Polski, ale Polska zwycięży!

Ludwik westchnął, nie chciało mu się tego słuchać. Za długo żył, za dużo słyszał i czytał przemówień przez te wszystkie lata. Śmieszne, że patrząc z Polski, widać było w tych przemówieniach ścierające się wielkie wizje. Patrząc z zewnątrz, wszystko zlewało się w niezrozumiałą, obsesyjną autonarrację. Efekt? Kraj, którego politycy obiecują obywatelom szczerze „krew, pot i łzy”, potrafił zapanować nad połową świata, a kraj w kółko zajęty swoją wielkością znika z mapy, jak tylko człowiek wzrok odwróci. Słuchał, jak Gierek kontynuuje w znanym już stylu opowieść o błędach przeszłości, świetlanej przyszłości, ludowej tradycji i złych Niemcach i nawet nie zdaje sobie sprawy, jak łatwo wchodzi w buty pierwszego sekretarza. Dożynki i odwieczny wróg narodu polskiego, znacie?, znamy, to posłuchajcie.

– Niedawno ktoś zakpił ze mnie, czy skoro chcemy odbudować wielkość Polski, to cofniemy się do czasów Kazimierza Wielkiego. I wiecie, co myślę? Że coś w tym jest, że chcemy, żeby Polska była piękna. I że potrzebujemy nie tylko nowych, importowanych z Zachodu symboli wielkości, będących tak naprawdę symbolami poddaństwa. Kiedy w tym samym czasie nasze narodowe symbole

leżą w gruzach. Dlatego zapewniam was, że Unia Słowiańska odbuduje zamki Kazimierza Wielkiego. Wrócą na mapę Polski jako symbol potęgi i chwały!

No proszę, jeśli to nastąpi, pomyślał Ludwik, cały czas nie spuszczając wzroku ze szkoły, to będę mógł się chwalić, że zapisałem się w książkach od historii.

Sznureczek wchodzących do szkoły uczennic robił się coraz cieńszy, aż w końcu zanikł zupełnie, nauczycieli wciąż nie było widać. Niedobrze. Wpuścić go na pewno nie wpuszczą, uznawszy za dywersanta, który chce robić w środku robić burdy i wykrzykiwać unijne hasła. Gdzie jest inne wejście, nie ma pojęcia. Gdzie Grażyna mieszka, tego też nie wie. Wanda powiedziała mu wtedy w Hali Mirowskiej, że „dostała mieszkanie i wyprowadziła się na Pragę", mało to był dokładny adres. Najgorsze, że jeśli Grażyna zacznie szukać jego, to też go nie znajdzie w mieszkaniu na Muranowie. Co robić? Czekać na nią w szpitalu w nadziei, że się domyśli? Iść na Wilczą i próbować wyciągnąć jej adres od Wandy i Lucyny?

Tymczasem brat Edward zmierzał ku końcowi:

– Ja czuję energię płynącą z tej czarnej ziemi i to jest wielka energia woli milionów. Przekujemy ją w program realizowany nie dla elit, tylko wspólnym wysiłkiem klasy robotniczej, chłopów i inteligentów polskich. Dzięki temu pójdziemy naprzód i osiągniemy sukces, który przysporzy nam szacunku i uznania w świecie. W krótkim czasie Polska stanie się silniejsza, a Polakom zacznie żyć się lepiej. I tego faktu nie zakwestionuje nikt, nawet nasi wrogowie!

Chwila na wiwaty.

– Możecie być, drodzy rodacy, przekonani, że my, tak samo jak i wy, jesteśmy ulepieni z tej samej gliny i nie mamy innego celu jak ten, który żeśmy zdeklarowali, i to jest podstawowy program naszego działania. Jeśli nam pomożecie, to sądzę, że ten cel uda nam się wspólnie osiągnąć. Jak, pomożecie? No!

7

Cisza panująca w gabinecie była tym bardziej słyszalna, że zza okna dobiegały przytłumione wiwaty, oklaski i okrzyki protestujących.

– Rozumiem pani wzburzenie – powiedziała spokojnie madame la directrice. – Ale gdyby zasady miały wyjątki, nie byłyby zasadami. A ta zasada musi być przestrzegana wyjątkowo rygorystycznie, inaczej nasze piękne, młode uczennice używałyby życia na wszelkie możliwe sposoby, a oprócz klas lekcyjnych musielibyśmy mieć tutaj porodówkę i klinikę aborcyjną. Każda jest tego świadoma, podpisując kontrakt na naukę, poza tym les filles châtiées też odbierają staranną edukację i wspaniale sobie potem radzą w życiu. Często przychodzą z kwiatami na Dzień Nauczyciela długo po tym, jak zostały absolwentkami.

– I dyscyplina to jedyny powód wymogu dziewictwa?

– Oczywiście.

– I nie ma to nic wspólnego z tym, że klienci pani luksusowego bordelu lubią świeżutki, nieprzechodzony towar?

– Ten bordel nie jest mój, ponieważ to publiczna szkoła, należy do Rzeczpospolitej i tam pani może zgłaszać swoje pretensje. Może też pani wyjść przed budynek i o ile wcześniej się na panią nie rzucą, przyłączyć się do miłych państwa, których celem jest przynależność Polski do Związku Radzieckiego, tylko ten durny tłum tego nie rozumie.

– Stręczycielka.

– Jeśli ja, to pani też. Chociaż nie, wiem, pani po prostu próbuje reformować system od środka. Nie uwierzy pani, ale nie pani pierwsza przychodzi do tego gabinetu z garścią obelg i ideałów. Ciekawe, że zawsze dzieje się to dopiero po tym, kiedy dostaniecie klucze do mieszkania. Dlatego od paru lat kontrakty pracownicze są bardzo szczegółowe i szczerze mówiąc, od czasu ich zmiany jest pani pierwsza. W pewien sposób doceniam pani zaangażowanie i gotowość zapłacenia każdej ceny za swój idealizm.

Nie podobały mi się te słowa. Bardzo, ale to bardzo mi się nie podobały. Bo też nigdy nie czytałam swojego kontraktu, w pewien

sposób nawet nie ja go podpisywałam. Byłam gotowa stracić dla Żozi pracę, ale czy równie chętnie oddałabym dla niej swoje niedomykające się okno i ukochany balkon z widokiem na altankę śmietnikową? Milczałam, dyrektorka też, obie słuchałyśmy, jak za oknem tłum na melodię *Mazurka Dąbrowskiego* śpiewa, że „żyje, żyje duch słowiański, i żyć będzie wiecznie, gromy, piekło – złości waszej ujdziem my bezpiecznie!”.

– Pani Grażyno. Powinnam panią wyrzucić dyscyplinarnie i zapomnieć o sprawie. Ale bardzo doceniam pani pracę. Proszę o odrobinę refleksji. Zabieramy te dziewczyny ze środowisk, gdzie ich jedyną przyszłością jest próchnica, przemoc domowa i latanie do studni po wodę. Dajemy edukację, obycie, wielki świat, życie, którego inaczej nigdy by nie dostały. I wbrew legendom ludowym nie sprzedajemy ich do bordeli ani nie stręczymy puszczającym winne bąki bretońskim wieśniakom, każdy kontrakt małżeński jest starannie przygotowywany, podpisywany przez pełnoletnią kobietę i potem nadzorowany przez nasze pracownice na miejscu we Francji. Dzięki nam każda polska dziewczyna, która miała pecha w momencie urodzin, może nie tylko marzyć, ale też spełnić te marzenia. A dzięki pani zostaje wyposażona w nowoczesną, feministyczną wiedzę, dzięki której milimetr po milimetrze my kobiety w końcu zmienimy świat. A nie każdemu ta wiedza jest w smak, musiałam walczyć o panią po niektórych pani lekcjach. Także w ministerstwie.

Jakaś część mnie chciała jej uwierzyć. Część, która żyła wystarczająco długo, aby zrozumieć, że nic nie jest czarno-białe, że metody powolnej ewolucyjnej zmiany zawsze są lepsze niż rewolucja, że mądre kompromisy lepiej się sprawdzają niż pełne oburzenia gesty. Ale co ja poradzę, że oprócz tej rozsądnej kobiety mieszkała we mnie wiecznie wkurwiona i gotowa do awantury Polka?

– Każda polska dziewczyna? – spytałam i sięgnęłam po leżący na biurku *L’album des dames*, pięknie wydaną na kredowym papierze książkę z portretami naszych absolwentek. Zdjęcia portretowe, zdjęcia naturalne całej sylwetki, zainteresowania, pasje, parę słów o sobie, ulubione danie. Teoretycznie pamiątkowa szkolna książka,

w praktyce katalog agencji towarzyskiej, rozprowadzany w specjalnych francuskich biurach matrymonialnych, do których Polska wysyłała swój żywy towar. – Każda? W takim razie proszę mi pokazać tutaj zdjęcie dziewczyny brzydkiej. W okularach. Z wystającymi zębami. Z krzywym kręgosłupem. Z niepełnosprawnością. Ociężałej. Albo takiej jak Żozi, która nie jest dziewicą, ponieważ w rodzinnym domu padła ofiarą przemocy seksualnej. Czyli takiej, która naprawdę potrzebuje pomocy, a nie takiej na tyle pięknej i przebojowej, żeby sama uciekła do powiatu, do dużego miasta czy choćby za granicę.

Pani dyrektor siedziała w milczeniu. Tymczasem zza okna dobiegał głos przemawiającego Edwarda Gierka.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła stamtąd gruby album. Nie pięknie wydaną książkę jak *L'album des dames*, tylko zwyczajny stary album fotograficzny, czarny gruby papier, do którego przytwierdzało się odbitki, przedzielony cienkimi warstwami bibuły, żeby zdjęcia się nie sklejały.

– Powinno się pani spodobać – powiedziała, przesuwając go po biurku w moją stronę. – Czarno-biało, zupełnie jak pani świat. Robimy je zawsze w domach rodzinnych naszych uczennic przed podpisaniem kontraktów edukacyjnych. Prawdziwe zdjęcia, nie stylizowane pamiątki z powiatowego atelier, w garniturach i na tle dworu namalowanego na ścianie.

Otworzyłam, zaczęłam kartkować. Chciałabym móc myśleć, że to fałszywka przygotowana na takie okazje. Ale urodziłam się w 1934 roku, wychowałam na prowincji, miałam tam rodzinę, znałam powojenną prawdziwą Polskę nie tylko z opowieści. I znałam też przedstawioną na tych zdjęciach straszliwą nędzę. Trzydziestolatki o twarzach starych kobiet, mężowie cuchnący bimbrem nawet na zdjęciach, dzieci apatyczne i osowiałe z głodu, niemające siły się uśmiechnąć do aparatu, walące się wiejskie chaty, sutereny i oficyny małomiasteczkowych kamienic, sienniki wepchnięte pod warsztat stolarski, młode dziewczyny o spojrzeniu mówiącym „nie ma sprawy, mogę zostać najtańszą kurwą, tylko zabierzcie mnie stąd, błagam".

– To nie jest dowód tylko wymówka, można tym ludziom pomóc inaczej.

– Proszę uprzejmie, nikt pani nie zatrzymuje.

– Za kilka dekad w Polsce nie będzie takiej biedy.

– Proszę im to powiedzieć, co to jest kilka dekad w porównaniu z życiem wiecznym. To wszystko katolickie rodziny, na pewno łatwo je pani przekona.

Milczałam. Za oknem Gierek krzyknął „pomożecie?". Normalnie pewnie bym się roześmiała.

– Niech pani zostanie. To rozwiązanie nie jest idealne, ale jest. I nic się tu nie dzieje bez niczyjej świadomej zgody. Te dziewczyny mogą być emisariuszkami tego, w co pani wierzy i czego pani ich uczy. Tak się zmienia świat. A nie odezwami i słusznym oburzeniem.

– Jeśli Żozi zostanie.

– To niemożliwe.

– A jeśli odejdę?

– Zasady to zasady.

– A jeśli odejdę i zacznę krzyczeć?

– Nie pani pierwsza. To po pierwsze. A po drugie, straci pani mieszkanie.

– Nie mam w gównach obowiązku pracy tutaj.

– Ale ja mam znajomych w Reżimie. I kopię pani kontraktu. Ale nawet jak się pani uda, to jedyną opcją zachowania mieszkania będzie zasuwać do ołtarza, a potem rozmnażać się jak królica, jest pani na to gotowa?

– Zacznę krzyczeć miesiąc przed wyborami. Łakomy kąsek dla wszystkich gazet, biorąc pod uwagę, jak dobrze poczyna sobie Unia i że nie ma przemówienia, w którym nie przedstawialiby szkoły jako źródła wszelkiego zła. Żeby ukręcić sprawie głowę, będą musieli złożyć kogoś na ołtarzu ofiarnym, pani nadawałaby się najlepiej.

Jej arystokratyczne usta lekko drgnęły, pierwszy i ostatni objaw emocji, jaki zaobserwowałam w tym gabinecie.

– Wstępuje pani do Unii? Gratuluję. To właściwie zdrada stanu.

– Uważa pani, że to jedyny wybór? Między kurewstwem a zdradą stanu?

– Witamy w Polsce.

Pięćdziesiąt lat temu by mnie przekonała. Ale jak ktoś bardzo długo żyje, to wie, że bardzo długo to jest w gruncie rzeczy za krótko, żeby się zeszmacić.

– Zniknę i będę siedzieć cicho, a Żozi zostaje.

Patrzyła na mnie bez słowa. Ja na nią. Za oknem śpiewali *Bogurodzicę*.

– Słowo wrednej polskiej baby? – zapytała w końcu.

– Słowo.

8

Myślał, że po Edwardzie Gierku intonującym *Bogurodzicę* nic go już nie zaskoczy, a jednak uniósł brwi, kiedy na scenę weszła Wanda – najwyraźniej szybko pięła się w unijnej hierarchii. Naprawdę szczerze doceniał ich stylizację. Żadnych garniturów, krawatów, ołówkowych spódnic. Wszyscy ubrani po prostu, jakby tego nie przygotowywali, tylko przechodzili obok i zdecydowali się podzielić z tłumem tym, co im leży na sercu. Wszyscy też z jakimś niby przypadkowym drobnym elementem ludowym, pokazującym przywiązanie do tradycji, w wypadku Wandy była to szeroka opaska w kaszubskie wzory, która podtrzymywała jej czarne włosy.

– Dzień dobry – powiedziała tonem osoby, która z serca coś ważnego chce powiedzieć, ale czuje się niepewnie w takiej sytuacji. Nieźle to było wyreżyserowane. – Ja tutaj nie w sprawie politycznych przemówień, tylko tak bardziej o przyszłość narodu.

Rozejrzała się niepewnie, otworzyła torebkę i po chwili szukania wyciągnęła stamtąd złożoną na czworo kartkę papieru. Rozprostowała ją, wygładziła dłonią zagięcia. Nachyliła się do mikrofonu.

– Dałem im rozkaz nieugiętego i bezlitosnego zabijania dzieci polskiego pochodzenia i polskiej mowy – zagrzmiało nad tłumem – bo tylko tą drogą zdobyć możemy potrzebną nam przestrzeń życiową.

– Hańba! – ktoś krzyknął i tłum podłapał, skandując „hań-ba, hań-ba”. Chwilę to trwało, zanim się uciszyli. Dopiero wtedy Wanda przeczytała:

– Dziecko chce być dobre. Jeśli nie umie, naucz. Jeśli nie wie, wytłumacz. Jeśli nie może, pomóż.

Złożyła kartkę i schowała do kieszeni skromnej sukienki w biało-niebieską kratę.

– Siostry i bracia, pewnie się zastanawiacie, kto powiedział te słowa. Pierwsze, to łatwo się domyślić, należą do niemieckiego przywódcy. Drugie do wspaniałego wychowawcy, którego Niemcy zamordowali dlatego, że był Polakiem i Żydem. Dlaczego w ogóle zestawiać te słowa? Przecież nie ma wątpliwości, że każdy człowiek przy zdrowych zmysłach opowie się po stronie Korczaka, nie Hitlera.

Tłum słuchał zaciekawiony.

– A jednak w dzisiejszej Polsce wybór nie jest oczywisty. Polska wysyła swoich synów na wojnę w Algierii. A swoje córki do tej szkoły. W Afryce umarło na pustyni już ponad dwa tysiące polskich dzieci! – Wanda podniosła głos. – Których w ogóle nie powinno tam być! Zimne, podziurawione kulami albo pokawałkowane maczetami zwłoki prawdziwych dzieci polskiej ziemi. Zabrano im życie, marzenia i przyszłość. Ponieważ ktoś chciał prowadzić politykę za pomocą eksportowania polskiego mięsa armatniego! To hańba. To zdrada stanu. To jest realizowanie z zimną krwią planu Adolfa Hitlera!

– Na szafot! – ktoś krzyknął wściekle, a tłum podchwycił:

– Bę-dą-wi-sieć! Bę-dą-wi-sieć!

Wyciągnęła z kieszeni kartkę i rozprostowała.

– Posłuchajcie! – Tym razem musiała przekrzyczeć tłum, żeby się uspokoił. – Co wielki obrońca polskich dzieci Janusz Korczak powiedział o szkole: szkoła winna być kuźnicą, gdzie wykuwają się najświętsze hasła. To ona najgłośniej wołać winna o prawa człowieka, piętnować najśmielej i najbezwzględniej to, co jest w życiu zabagnionego.

Tłum ucichł, miała nad nimi totalną kontrolę, Ludwik był pod wrażeniem.

– Tym powinna być szkoła. Tymczasem my stoimy obok przedsiębiorstwa – wskazała na budynek Efu – które eksportuje do Francji polskie dziewczęta tak, jak się eksportuje mięso, tyle tylko, że certyfikat zdrowia mają w kieszeni, a nie przybity na czole w postaci pieczęci weterynaryjnej. To jedyna różnica! Hodowla mięsa armatniego i hodowla prostytutek. Tak Polska traktuje teraz swoje dzieci. Polacy! Ja nie jestem politykiem, ja nie chcę mówić, że Unia jest dobra, a Inżynier jest zły, sama na niego głosowałam – pomruk dezaprobaty – jak pewnie wielu z was, nie ma się czego wstydzić. Ale dziś walka nie toczy się o Polskę taką albo Polskę inną. Dziś walka toczy się o to, czy Polska będzie, czy nie będzie jej w ogóle!

Wzięła głęboki oddech, jakby nie potrafiła sobie poradzić z emocjami. Tłum cierpliwie czekał.

– Nie wiem, jakie są wasze sympatie polityczne, ale błagam was w imieniu Polek, chrześcijanek, kobiet: nie zabijajcie naszych dzieci!

Brakowało tylko, żeby osunęła się na kolana.

– W imię Boga! – rzucił ktoś, wzburzony tłum zaczął wściekle skandować „wi-mię-Bo-ga” na zmianę z „bę-dą-wi-sieć”, ktoś rzucił jajkiem w fasadę Efu, na co tłum zaryczał i odwrócił się w tamtą stronę, poleciało parę innych przedmiotów.

I wtedy otworzyły się frontowe drzwi i stanęła w nich Grażyna.

9

Ile poważnych, grożących śmiercią błędów można popełnić w ciągu kilku sekund? Ja zrobiłam trzy. Pierwszy: oszołomiona rozmową z madame la directrice, odtwarzając w kółko w myślach nasze kolejne kwestie, poszłam automatycznie do głównego wyjścia i nagle stanęłam twarzą w twarz z tłumem, skumulowana wściekłość zgromadzonych ludzi uderzyła mnie tak, że poczułam to jak fizyczne pchnięcie, zachwiałam się na nogach. Powinnam od razu zawrócić, drzwi się jeszcze nie domknęły, ale wtedy zobaczyłam Wandę na scenie, z jakąś kretyńską ludową szmatą na głowie, i zaskoczenie okazało się silniejsze niż strach.

Drzwi zamknęły się za mną z cichym trzaskiem. A chwilę później tłum zaczął we mnie rzucać wszystkim, co kto tam miał pod ręką, na szczęście nie były to kamienie, tylko jakieś drobiazgi, głównie obwarzanki i śliwki, które ludzi sobie kupili w drodze na piknik. Ale zanim się zorientowałam, co to jest, skuliłam się z lęku, że zostanę ukamienowana. A powinnam była po prostu otworzyć drzwi i uciec do szkoły. Drugi błąd.

W histerii przestałam myśleć i zamiast pokazać obwarzankowym fanatykom środkowy palec – a raczej gest Kozakiewicza, palec jeszcze do nas nie dotarł, gest Kozakiewicza zresztą też wciąż był zwykłym bezimiennym pokazywaniem wała – i wrócić do środka, zaczęłam rozglądać się w poszukiwaniu pomocy i dostrzegłam w tłumie Ludwika. I wtedy popełniłam błąd trzeci: minęłam kordon wojska i ruszyłam w jego stronę, co oznaczało bezmyślne wejście w rozwścieczoną ciżbę.

10

Wtedy wydawało mu się, że to trwa wieki, potem dopiero zrozumiał, że to musiały być sekundy. Zalała go fala wzruszenia i tęsknoty, gdy u szczytu schodów zobaczył dziewczynę, w której się zakochał pięćdziesiąt lat temu. W eleganckiej letniej sukience, skąpaną w słońcu, osłaniającą oczy dłonią, jednocześnie żywe zdjęcie jego przeszłości i ucieleśnienie wielu dekad miłości i przyjaźni. Łzy wzruszenia stanęły mu w oczach. Chwilę potem przedzierał się już w jej stronę przez tłum jak lodołamacz, roztrącając brutalnie ludzi.

– Ludzie, uspokójcie się! Zostawcie ją! – krzyczała Wanda ze sceny.

Nikt jej nie słuchał.

Widział, jak Grażyna chowa głowę w ramionach, niezdolna się bronić, tłum otaczał ją ciasnym kręgiem. Niektórzy pluli, inni rzucali w nią wyjętymi z papierowych torebek śliwkami i malinami, po których zostawały czerwone ślady na szarej sukience, ktoś krzyczał rytmicznie „hańba, hańba”, troszkę dalej ciągle

skandowano „wi-mię-Bo-ga”, a wszyscy przesuwali się w stronę Grażyny, przez co tłum w tym miejscu gęstniał i Ludwikowi coraz ciężej było się przeciskać. Z przerażeniem widział też, że pusta przestrzeń wokół jego żony się zacieśnia, za chwilę zniknie zupełnie; jeśli Grażyna upadnie, to mogą ją stratować. Niektórzy, stojący najbliżej, zdali sobie z tego sprawę, opamiętali się i ze strachem rozglądali wokół, widząc, że to zmierza w złym kierunku, ale niektórzy wobec tłumu nie znaczą nic.

Ktoś pchnął go w plecy i Ludwik zrobił gwałtownie krok do przodu, popychając wbrew sobie ludzi w kierunku Grażyny. Krąg się zamknął i jego żona osunęła się na ziemię. Wpadł w histerię, krzyczał coś przeraźliwie, zaczął okładać ludzi przed nim pięściami, ktoś mu oddał, poczuł piekący ból pod okiem i cieknącą po twarzy krew, mimo to dalej szarpał i tłukł ludzi wokół, byleby przesunąć się w jej stronę.

Wtedy rozległy się strzały. Jeden, drugi, trzeci. Tłum momentalnie ucichł i się cofnął, rozluźniając szeregi. Ludwik wykorzystał moment, żeby pokonać ostatnie metry i uklęknąć przy skulonej w pozycji embrionalnej Grażynie. Wziął jej twarz w dłonie, trzęsła się ze strachu, oczy miała pełne przerażenia, ale wyglądała na całą.

Rozejrzał się, słysząc zdecydowane kroki. Między ludźmi przeszedł żołnierz w polskim mundurze, oficer. Niski, krępy, pewny siebie, wyglądał na zawodowca. W opuszczonej ręce trzymał skierowany w dół pistolet. Zatrzymał się przy nich.

– Znasz go? – spytał Grażynę.

Skinęła głową, podniosła się niepewnie na nogi i złapała Ludwika za rękę.

– Wszystkich nas nie zabijecie! – krzyknął ktoś z tłumu. Wysoki, młody chłopak wysunął się przed szereg. Przystojny blondyn, płowy wąs, ludowa wyszywana koszula.

– Na razie nikogo nie zabiłem – odparł spokojnie wojskowy, starając się, żeby „na razie” wybrzmiało jako najważniejsza część zdania.

– Czyli że to się może zmienić?

– Może. – Ludwik nie słyszał nigdy, żeby w jednym, spokojnie wypowiedzianym słowie udało się komuś zawrzeć tyle groźby.

– Strzeliłby pan do patrioty?

Blondyn podszedł bliżej.

– Nigdy. – Ten sam spokój.

Blondyn zrobił kolejny krok. Na co żołnierz podniósł wyprostowaną rękę, lufa pistoletu nieomalże dotykała czoła blondyna.

– Ale do sowieckiego fiuta, który razem ze wściekłym tłumem chce zlinczować moją siostrę, właściwie czemu nie?

Blondyn przełknął ślinę. Zrozumiał, że wszedł w coś więcej niż konfrontację demonstracji ze służbami porządkowymi i w coś więcej niż polityczne starcie różnych wizji Polski. Stała przed nim poturbowana kobieta, on jest częścią tłumu, który ją poturbował, a jej brat trzyma pistolet przy jego czole. Dojście do rozsądnych wniosków nie było trudne i blondyn zaczął się wycofywać, już bez słowa komentarza.

W ciszy strzeliła głośno migawka aparatu. Oprócz żołnierza wszyscy drgnęli i wstrzymali oddech, blondyn się zatrzymał, chwilę zajęło mu upewnienie się, czy ciągle żyje, potem wycofywał się dalej.

– Wynoście się stąd. Raz, raz – rzucił do nich oficer, który musiał być Piotrem, bratem Grażyny, który wrócił z Algierii.

Nie kazali się prosić, szybkim krokiem oddalili się w stronę ściany budynku, gdzie stali żołnierze, już nie w szpalerze, tylko ustawieni tak, żeby mieć na oku każdy fragment terenu, z bronią w ręku.

Ludwik pomyślał, że skoro wysłano do ochrony szkoły zaprawione w bojach frontowe jednostki z karabinami zamiast początkujących, znudzonych kolejnymi wiecami policjantów, sytuacja może być poważniejsza, niż się wszystkim wydaje.

11

Targały mną sprzeczne emocje. Łazienka pachniała Adamem, łóżko w nieładzie, dwie poduszki oparte o ścianę, w wygniecionej pościeli

widziałam nasze cienie, słyszałam echo porannych rozmów. I po raz kolejny pomyślałam, że może powinnam odpuścić. Czy naprawdę wierzyłam, że pojadę na Mazury, tam się bzyknę i nagle czary-mary, dostanę swoje dziecko z powrotem? Kompletnie irracjonalne, nawet jeśli jakimś kosmicznym cudem dokładnie ten sam materiał genetyczny zagnieździ się w mojej macicy i urodzę identycznego chłopca, to ja jestem inna, świat jest inny, w czasie jego wychowania podejmę miliony innych decyzji, a to będzie i tak kropla w miliardzie innych bodźców, które go ukształtują. I co wtedy? Czy nie będzie narastało we mnie rozczarowanie, że mój syn wyglądający jak mój syn jest zupełnie innym człowiekiem? Czy nie lepiej zapomnieć o starym życiu, przewalczyć tęsknotę za Ludwikiem, tak jak się zwalcza narkotyczne uzależnienie, i pojechać z Adamem do Lyonu, do Marsylii i stamtąd, jak on sam mówił, „na koniec świata i jeszcze dalej”? Wstydziłam się tej myśli, ale czy przypadkiem nie wykorzystuję pamięci o Jacku, żeby po prostu kochać się z człowiekiem, z którym się satysfakcjonująco bzykałam przez pięćdziesiąt lat i ciężko mi się od tego odzwyczaić? Może dojrzalej byłoby powiedzieć mu, że to koniec, i pozostać uczciwą wobec Adama?

Myślałam o tym, przebierając nogami z podniecenia, zerkając na zegarek odliczający minuty do pojawienia się Ludwika i pakując wiklinowy koszyk, który specjalnie na ten wyjazd kupiłam już miesiąc temu. Kanapki z żółtym serem, pomidory, jajka na twardo, duża szklana butelka oranżady, wielka torba śliwek. Szlag mnie trafiał, że zapomniałam o termosie, słabo funkcjonowałam bez kawy, a przecież tutaj stacje benzynowe nie są kawiarniami i supermarketami, tylko stacjami benzynowymi. No cóż, może trafi się jakiś bar przydrożny.

Mieliśmy jechać jutro, ale po całym zamieszaniu pod Efem postanowiliśmy ruszyć od razu, Ludwik przekonał mnie, że lepiej mieć zapas czasu. Bo to lata sześćdziesiąte, bo można złapać gumę (faktycznie, samochody w XXI wieku chyba nie łapały kapcia, a wcześniej zmiana koła była stałym elementem każdej podróży), bo kwaterę rezerwował korespondencyjnie i nie wiadomo, jak to wyszło, no i w ogóle świat poza Warszawą może być pełen

niespodzianek. Miał rację, jego nudna przewidywalność potrafiła być roztropnością, która dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

Stałam już na klatce z kluczem wetkniętym w górny zamek, kiedy mój wzrok zatrzymał się na pierścionku zaręczynowym od Adama. Po chwili wahania wróciłam do mieszkania i wrzuciłam go do szkatułki na różności.

I zaśmiałam się histerycznie. Cóż to za perfidia losu! Od pół roku o niczym innym nie myślę, tylko o tym, jak mieć swojego syna raz jeszcze. Planuję, kombinuję, staję na rzęsach, żyję w dziwnym emocjonalnym rozkroku. A pięćdziesiąt lat temu stałam nad jego kołyską, patrzyłam na tłustego bobasa i fantazjowałam o tym, że nagle przestaje oddychać, że krztusi się czymś i umiera, ciągle to się zdarza małym dzieciom i niczyjej winy w tym nie ma, ot, los. Marzyłam, żeby go nie było, żebym mogła odzyskać swoje życie młodej kobiety, żebym mogła zapomnieć o dzikiej seksualnej przygodzie z przystojnym terapeutą i wrócić do Adama, tam, gdzie naprawdę widziałam swoje miejsce i swoją przyszłość. Kilka lat płakałam nocami z tęsknoty i niemocy, niepotrafiąca podjąć decyzji, przybita do krzyża macierzyństwa i pożądania.

A teraz, kiedy spełnienie marzeń los przyniósł mi na srebrnej tacy – wytrącam mu ją, depczę skorupy zastawy i jeszcze kopię go w tyłek na odchodne. No przecież sensu w tym nie ma za grosz!

Może zostać?

Usłyszałam dobiegające z ulicy trąbienie.

I zamknęłam drzwi.

Z torbą podróżną i koszykiem zeszłam przed dom, on już czekał, kudłaty, przystojny i boski, w festyniarskich plastikowych ciemnych okularach, oparty o maskę swojego citroëna niczym James Bond o astona martina. Jeden policzek miał lekko fioletowy i opuchnięty, skaleczenie zakryte plastrem tak krzywo przyklejonym, że musiał to sobie robić sam.

– A ty co taki zadowolony?

– Mam dla ciebie niespodziankę. Dwie nawet.

Policzyłam w pamięci do pięciu, żeby się uspokoić i nie powiedzieć: „a może chcesz zobaczyć mieszkanie?”. W kretyński

sposób uważałam, że jeśli ograniczę intymność tego wyjazdu do próby prokreacji, to będę mniej nieuczciwa w stosunku do Adama.

– Okulary przeciwsłoneczne i słomkowy kapelusz?

Uśmiechnął się, sięgnął przez otwarte okno do wnętrza samochodu i wyciągnął dwa termosy.

– Dla ciebie normalna, dla mnie zbożowa. Specjalnie kupiłem na wyjazd, jak sobie zdałem sprawę, że tutaj na stacjach jest tylko benzyna i facet nalewający benzynę. A jak tu w trasę bez kawy?

– To się nie zatrzymamy na statoilu w Modlinie? Hot doga też bym zjadła.

Wybuchnęliśmy śmiechem, w którym była i ulga, że w końcu ktoś nas rozumie, i smutek, że jesteśmy jedynymi osobami we wszechświecie, które ten kiepski dowcip mogą pojąć.

– Jak dla mnie to tylko jeden prezent.

Gestem poprosił, żebym zaczekała, znowu zanurkował do samochodu, skojarzył mi się z iluzjonistą grzebiącym w kapeluszu. Odwrócił się, trzymając w ręku niewielkie tranzystorowe radio w skórzanym ubranku, przekręcił gałkę i z głośnika popłynęła muzyka. Lekko zniewieściały męski głos śpiewał smutno po francusku na melodię *My Way* Franka Sinatry, że będzie „płakać, śmiać się i żyć tak jak zawsze". Je vais vivre, comme d'habitude…

Drgnęłam, zabrzmiało to jak przepowiednia, szczególnie w połączeniu z melodią piosenki, która podobno jest w Stanach największym hitem pogrzebowym.

– Prawdziwy koliber! Grażyna, ile my żeśmy rzeczy z naszego życia pozapominali. Pamiętasz, że na każde wakacje żeśmy to radio zabierali, miesiąc przed wyjazdem polowałem na zapas paluszków, bo nad morzem to łatwiej było znaleźć białego wieloryba niż baterie.

– Na plaży słuchaliśmy „Lata z radiem", jakaś była w ogóle stacja radiowa oprócz Jedynki?

– No chyba Dwójka. – Odchrząknął i obniżył głos o oktawę. – Wysłuchali państwo drugiego koncertu fortepianowego coś-tam-moll Sergiusza Rachmaninowa w interpretacji Władysława Szpilmana…

Roześmiałam się.

– Jedziemy? – zapytałam.

Pojechaliśmy.

Jeździliśmy starą drogą na Gdańsk i na Olsztyn setki razy, a jednak każdy jej zakręt wydawał mi się nowy, tak bardzo miałam w głowie aktualną wersję tej trasy, aktualną, czyli z XXI wieku. Zabawne, zupełnie jakby pamięć przypominała zbiór taśm magnetofonowych. Droga z Warszawy do Plusek to jedna taśma i za każdym razem kiedy nagrywamy nowy przejazd, kasujemy poprzednie. Czy tak jest ze wszystkim? Z seksem na przykład? Tyle lat, tyle orgazmów, a pamiętałam tylko wyjątkowe sytuacje, pokoje hotelowe, wyjazdy, najbardziej chyba żaglówkę na jeziorze pod Ostródą – kołysanie, ani jednego fotonu światła, rozkosz zawieszona w nicości. A seks w domu? Musieliśmy mieć tam tysiące stosunków i wszystkie pamiętałam jako nieokreślony „seks w domu". Być może ostatni, ten, po którym znaleźliśmy się tutaj, nadpisał wszystkie poprzednie. Szkoda, chciałabym pamiętać wszystkie.

– Nie pamiętałem, że taka bieda była – skomentował Ludwik.

Nadpisało się, pomyślałam i pokiwałam głową. Minęliśmy właśnie Mławę, słońce zachodziło pomarańczowo po lewej stronie. Czasy przedobwodnicowe i przedautostradowe, więc od granic Warszawy absurdalnie wąska i kręta droga przebiegała przez środek każdego miasta, miasteczka i sioła, mogliśmy się przyjrzeć prawdziwej Polsce. Przyglądaliśmy się i z każdym kolejnym mijanym miejscem miny nam rzedły, bo też łatwo było w pełnej świeżutkich domów i osiedli stolicy nie myśleć o tej polskiej nędzy, która mi mignęła przed oczami tylko raz, w albumie wyciągniętym przez madame la directrice.

Wozy zaprzężone w ubłocone po uszy konie, drewniane chałupy kryte strzechą, ściany rozłażące się pod wszelkimi kątami, obejścia jak z Reymonta, boczne drogi bez asfaltu, bruku, bez żadnego utwardzenia w ogóle. I wszędzie ślady wojny. Dwadzieścia lat po jej zakończeniu ciągle straszyły dziury w pierzejach zabudowy, wolno stojące ściany murowanych domów i popalone kikuty tych drewnianych. Mława, której i tak nigdy nie tytułowano turystycznym centrum wszechświata, sprawiała wyjątkowo

przygnębiające wrażenie. Niby uprzątnięto gruzy, ale tkanka urbanistyczna została tak zniszczona, że wyglądało to, jakby szalona sekta postanowiła pobudować na wielkim polu trochę domów bez ładu i składu. A pomiędzy domami – pełno dzieciarni, można było pomyśleć, że większość populacji Polski nie ma jeszcze dziesięciu lat.

– Wydaje mi się, że za naszych czasów jakoś to lepiej ogarnęli – skomentowałam.

– W sensie poprzednio? W PRL-u?

– Tak.

– Też mi taka myśl przyszła do głowy. Może to cena wolności.

– Nie rozumiem. – Faktycznie nie nadążałam za jego tokiem rozumowania. Byłam ciekawa, co ma do powiedzenia, nawet jeśli wiedziałam, że sama się proszę o akademicki wykład. Zabawne, ale za tymi wykładami też się stęskniłam.

– Zamordyzm się przydaje, jak trzeba szybko podjąć dużo decyzji. Nie musisz dyskutować, iść na kompromisy, dogadywać się z ludźmi. Tylko mówisz: dobra, Mława dostała nieźle po dupie, to tutaj wybudujemy fabrykę butów i mleczarnię, a tu osiedle. I już, za trzy lata wszystko stoi. A w normalnym kraju? Właściciele nie dadzą terenów pod fabrykę, bo to ojcowizna. Przedsiębiorca powie, że buty to on woli robić w Kutnie, a obywatele zaczną protestować, że oni nie chcą bloków, tylko osiedle domków jednorodzinnych.

– Ty weź tutaj nie wychwalaj komuny.

– Nie chwalę, myślę, że koniec końców lepiej, żeby to trwało dłużej, ale żeby dogadać się z właścicielami, żeby fabryka butów stała tam, gdzie to ma sens i żeby ludzie mieszkali tak, jak sami zdecydują. Centralne zarządzanie jest atrakcyjne tylko na pierwszy rzut oka, ludzie są szczęśliwi, że ktoś za nich ogarnia rzeczywistość i decyduje, o nic nie pyta, niczego nie wymaga i jeszcze darmo daje. Tylko potem to wszystko się rozłazi w szwach, każdy dekretowy bezsens mści się tysiąc razy. Najczęściej na następnych pokoleniach, ale kto by tam myślał o następnych pokoleniach.

– Pewnie masz rację, ale przygnębiająco to wygląda, jakby miało nigdy nie stanąć na nogi. Jednak to już dwadzieścia lat po wojnie prawie.

Wzruszył ramionami.

– A może za naszych czasów wcale nie było lepiej, tylko wspomnienia nam się wyprasowały? Byliśmy młodzi, jechaliśmy na wakacje i w dupie mieliśmy, co się wali, a co się nie wali, byleby na kwaterze nam nie kapało na głowę.

– Teraz też jesteśmy młodzi.

– Tylko jak patrzymy w lustro.

Pokiwałam głową, sama często o tym myślałam, dokładnie tymi samymi słowami.

Granica między Mazowszem i Mazurami, dawniej między Polską i Prusami, nieodmiennie w tych i każdych innych czasach stanowiła granicę estetyczną. Po jednej stronie monotonne równiny, pola i drewniane chałupy, po drugiej malownicze pagórki, lasy, jeziora i czerwona cegła. Usłyszałam kiedyś kontrowersyjny pogląd, że powinniśmy obchodzić rocznicę Jałty jako święto narodowe, bo przesunęliśmy się na zachód, zamieniając dzikie pola z wkurwionymi mniejszościami na nie dość, że bardziej cywilizowane, to jeszcze przepiękne tereny. Jakaś prawda w tym była.

Skręciliśmy w przecinkę i po dwustu metrach rozłożyliśmy się z piknikiem na niewielkiej polance. Chleb z serem i pomidorem, kubek ciepłej kawy i kawałek szarlotki, resztki słońca, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby ta chwila trwała dekadę.

– I jak tam, jesteś szczęśliwa?

– Wyglądam jak twoja pacjentka?

– Kiedy atakujesz, żeby uciec od niewygodnego tematu? Jak najbardziej.

– Spadaj.

– To jesteś czy nie?

– Jasne. A ty?

– Trudno powiedzieć. Przez to, że cały czas się czuję w tym świecie gościem, intruzem nawet, bywają chwile, kiedy jestem bardzo samotny, samotny jak jedyny człowiek na obcej planecie, co to nawet nie ma się komu zwierzyć z samotności. Poza tym, będziesz się śmiała, boję się, że jak komuś powiem prawdę, to czar pryśnie.

– Nie pryśnie.

– Powiedziałaś mu?

– Aha.

– I co?

– Zapytał, jak często jeździliśmy na wakacje do bazy księżycowej.

Parsknęliśmy śmiechem.

– No tak, lata sześćdziesiąte, nieomalże sprzedawali wtedy bilety na loty marsjańskie. Pytał o Polskę?

Zaprzeczyłam.

– A o mnie?

– Och, bez przerwy. Nic innego go nie interesuje.

– W sensie powiedziałaś mu, że… – Gestem pokazał, że chodzi mu o naszą wyprawę.

– Aha.

Pokiwał głową. Jadł pomidora, tak jak się je jabłko, miąższ spływał mu po palcach, Boże Wszechmogący, jakie on miał piękne dłonie, powinien reklamować zegarki. Zemdliło mnie z pożądania na myśl, że mógłby mi tę dłoń położyć na kostce, pochylić się, przesunąć ją wyżej, normalnie pół minuty i czułabym go w sobie, patrzyłam na niego i fantazjowałam tak intensywnie, że mało brakowało, żebym samym myśleniem doprowadziła się do orgazmu.

– A ty?

Nie odpowiedział od razu, skończył najpierw pomidora, starannie wytarł ręce w bawełnianą chusteczkę w niebiesko-czerwoną kratę.

– Nie ma komu. Rozstaliśmy się ponad miesiąc temu. – Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i dodał: – Jak zawsze.

Przyznaję, autentycznie mnie zaskoczył. Dlaczego mnie nie szukał, żeby o tym powiedzieć? Nie chciał? Wstydził się? Uznał, że jakkolwiek tandetnie by to brzmiało, nie powinien stawać na drodze mojemu szczęściu?

– Gdzie mieszkasz?

– W gabinecie w Tworkach. Czasami w samochodzie, jak ma dyżur kolega, z którym mi nie po drodze.

– Nie ma żadnych wolnych izolatek? – rzuciłam głupi dowcip, żeby nie pokazać, jak bardzo mnie uderzyła ta informacja.

– Tęsknisz za mną? – odpowiedział pytaniem.

Odchrząknęłam, z trudem przełykając ślinę.

– Szczerze? – spytałam, żeby zyskać na czasie, myśląc, że nie wolno mi powiedzieć „przytul mnie, całuj, błagam, weź mnie tu i teraz”, bo co innego Jacek, a co innego zdrada. – Oczywiście. Nie wiem, czy pamiętasz, ale spędziliśmy ze sobą pięćdziesiąt lat.

– Ja też. Czasami to jest nie do wytrzymania.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem i wstałam na miękkich nogach, dając do zrozumienia, że piknik skończony.

12

Zmierzchało, kiedy dojeżdżali na miejsce, na niebie pojawiały się już pierwsze, najjaśniejsze gwiazdy. Milczeli zdołowani po przejeździe przez Nidzicę i Olsztynek. Niemieckie miasta Neidenburg i Hohenstein zostały doszczętnie zrujnowane przez Armię Czerwoną i nie kwapiły się do zmartwychwstania jeszcze bardziej niż Mława. Szczególnie szczątki zamku w Nidzicy robiły przygnębiające wrażenie, całe miasto wyglądało, jakby znajdowało się w trakcie ewakuacji, tylko nie wszyscy usłyszeli komunikat i snuli się bez sensu po ulicach.

Na szczęście potem jechali już tylko przez lasy i śliczniutkie pruskie wsie z czerwonej cegły, jeszcze nie oszpecone przez polskich kolonizatorów. Sama wieś Pluski też w niczym nie przypominała luksusowego letniska, którym się stanie za kilkadziesiąt lat. Las, skarpa, kilkanaście rybackich chat nad brzegiem jeziora, które – o to akurat nigdy się nie kłócili – musiało być najpiękniejszym jeziorem świata.

Zaparkowali pod tym samym co zawsze domem, jeszcze nie ocieplonym styropianem i nie pomalowanym na seledynowo, wyraźnie widać było szachulcową konstrukcję, białą elewację przecinały grube, poczerniałe ze starości belki. Wysiedli, ciszę zakłócał jedynie delikatny plusk jeziora i cykanie świerszczy.

– Mutti! Die Gäste sind gekommen! – krzyknął ktoś w środku.

– No tutaj to się moja francuszczyzna nie przyda. – Grażyna uśmiechnęła się.

– I dobrze. W końcu jakiś normalny język.

– I tak się będziesz musiał nauczyć dobrze francuskiego, nie słyszałeś, że to ma być drugi oficjalny język w Polsce?

– Już to widzę, jak się polscy chłopi targują o jajka w subjonctifie.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich wysoka, niewyobrażalnie wręcz szczupła kobieta w okolicach sześćdziesiątki.

– Pan Ludwig z Warszawy? – spytała z akcentem.

Uff, czyli wygląda na to, że się udało, list dotarł i ktoś na nich czeka. Przywitali się, zanieśli bagaże do pokoiku na poddaszu i zeszli na kolację, czekały na nich pierogi z kaszą gryczaną i boczkiem.

– Słuchaj, to właściwie Warmia czy Mazury? – zapytała cicho, bojąc się, że jej pytanie może urazić gospodynię. Autochtoni zawsze mieli bzika na punkcie tego, czy to Śląsk, czy Zagłębie, Kurpie, czy Powiśle, Warmia, czy Mazury.

– A bo ja wiem? Nidzica to na pewno Mazury, Olsztyn to na pewno Warmia, czyli może na jakimś pograniczu jesteśmy.

– Przepraszam bardzo! – Ludwik zwrócił się do gospodyni.

– Przestań! – syknęła szeptem. – Aż tak mnie to nie interesuje.

– O co innego mi chodzi – odszepnął i powiedział do gospodyni: – Mam takie pytanie, bo kiedyś słyszeliśmy, że mają tutaj w okolicy ośrodek wybudować dla rządu. Na polowania i tak dalej. W Łańsku.

Spojrzała na nich dziwnie.

– Lansk? Przecież tam nic nie ma? To znaczy zwierzęta są. Ale kto poluje?

– Prezydent Polski na przykład. Albo z Rosji prezydent.

– A w Rosji to w ogóle jest prezydent? – spytała podejrzliwie.

– To znaczy pierwszy sekretarz. Pytam, bo chcemy jutro dużo spacerować i się boimy, czy nas ktoś nie zastrzeli.

– Prawda, że ostatnio to tutaj Rosjanie strzelali, no ale to już dwadzieścia lat. Nie bójcie się państwo.

Popatrzyła jak na nienormalnych i wróciła do swoich zajęć.

– Myślisz, że to dobrze? – spytała.

– Że nie będzie nas gonił Breżniew z dubeltówką? Moim zdaniem wspaniale.

– A co, jeśli wtedy zaszłam w ciążę od stresu, że nas gonił?

– Nie miałem cię na oku cały czas, ale lubię myśleć, że miałem w tej ciąży większą rolę niż Leonid Breżniew.

Jadąc, jedno i drugie myślało, że przegadają całą noc, jedno i drugie fantazjowało też, że nie skończy się na rozmowie. Tymczasem w ciepłej kuchni, przy pierogach, po dniu pełnym emocji, jednocześnie dopadło ich zmęczenie i nawet nie skończyli kolacji. Poszli na górę do swojego pokoju, ziewając i powłócząc nogami.

W pokoju atmosfera zgęstniała, spojrzeli na wąskie łóżko, na jedną kołdrę i na siebie, nagle dość obudzeni.

– Nawet o tym nie myśl – powiedziała ostro.

– Nie myślę – odparł takim samym tonem jak zawsze, kiedy się wściekał. – Przecież formalnie ciągle jestem żonaty.

– To się doskonale składa, bo ja za chwilę będę mężatką.

– Robię to dla Jacka, reszta mnie nie interesuje.

– Cieszę się, że myślimy tak samo. Bałam się, że to dla ciebie coś więcej.

– Fajnie, że to sobie wyjaśniliśmy. Dobranoc.

Dziesięć minut później leżeli pod jedną kołdrą, odwróceni do siebie plecami, przy zgaszonym świetle. Jedno i drugie ledwo żywe z pożądania i z wściekłości pewni, że przez to wszystko nie zmrużą oka.

Chwilę potem głęboko spali.

13

Jak tylko otworzyłam oczy, zaraz po świcie, błyskawicznie wstałam, umyłam się i ubrałam, żeby uniknąć pokusy. Całe gospodarstwo pogrążone było we śnie, więc wzięłam kurtkę i po cichu wymknęłam się z chałupy. Pachniało lasem, jeziorem i wsią, i choć w powietrzu wisiała zapowiedź letniego dnia, zimno było jak jasna cholera, ruszyłam szybkim marszem wzdłuż brzegu, żeby się rozgrzać. Miałam zamiar wychodzić myśli i emocje, ale o dziwo okazało się, że nie muszę. Mając wokół siebie tylko naturę, poczułam chyba po raz pierwszy od stycznia spokój i wspaniałą, kojącą pustkę.

Może to dlatego, że natura zawieszona jest poza czasem, przynajmniej poza ludzkim jego pojmowaniem. W warmińskim lesie nie musiałam się konfrontować z odmienną wersją historii i rzeczywistości, las był tu sto lat przede mną i będzie sto lat po mnie, a wersje historii niewiele go obchodziły. Rozkoszowałam się tą obojętnością, siedząc nad brzegiem jeziora i patrząc, jak zmienia się krajobraz. Słońce wstawało za moimi plecami, najpierw rozświetliło na różowo czubki ciemnych drzew po drugiej stronie jeziora, potem wolno zeszło do powierzchni wody, czarna tafla ustępowała miejsca granatowej i połyskliwej, świetlne refleksy przemieszczały się leniwie w moim kierunku, dowód na to, że planeta wiruje i pędzi, tak samo od setek milionów lat, ją też pewnie i moje osobiste rozterki, i losy Polski niewiele obchodziły.

Czułam spokój i zachwyt. Nie myślałam o Jacku, nie myślałam o seksie ani o trudnych wyborach, cieszyłam się, że posiedzę tu jeszcze chwilę, a potem wejdę do wiejskiej kuchni na śniadanie i kawę. Cieszyłam się, że zjem je razem z Ludwikiem, jak zawsze, ponieważ w pewien sposób nigdy z nikim innym śniadań nie jadałam. Gdybym weszła do tej chałupy i zobaczyła, że pochylony nad gazetą siedzi tam mój prawdziwy Ludwik, czyli wkurwiający staruszek, a potem spojrzałabym na swoje dłonie i odkryła, że ja też jestem stara – wciąż byłabym szczęśliwa.

14

Już w połowie drogi przeklinał pomysł, żeby w oczekiwaniu na burzę zrobić piknik. W czasach przed plastikowymi pojemnikami na jedzenie i jednorazową zastawą, oznaczało to, że dźwigał w wiklinowym koszu dwa garnki z jedzeniem naszykowanym przez ich gospodynię, szklaną butelkę z domowym winem, szklaną butelkę z wodą, prawdziwe talerze, prawdziwe szklanki i prawdziwe sztućce, wszystko ważyło chyba tonę. Robił dobrą minę do złej gry i nieodmiennie odpowiadał „daj spokój, nie wygłupiaj się” na ponawiane przez Grażynę pytanie, czy nie potrzebuje pomocy.

Szli przez pole, a potem przez sosnowy las w stronę Jeziora Łańskiego, nie rozmawiając za wiele, Grażyna wydawała się zatopiona w myślach albo zachwycała się otaczającą ich przyrodą, on odpowiadał półsłówkami, starając się nie dyszeć za bardzo, pot ściekał mu po kręgosłupie i wsiąkał w spodnie, obciążone koszem ramię rwało, zaciśnięte na wiklinowej rączce palce bolały, jakby trzymał w nich rozżarzony pręt.

Pomyślał, że jest w tym jakaś ironia, jak trzeba się napracować, żeby uwieść własną żonę, którą się zna od pięćdziesięciu lat.

Nie bali się, że pomylą drogę, do śmierci Jacka regularnie przyjeżdżali w to miejsce. Pole, las, i kiedy już widać ze wzgórza jezioro, trzeba skręcić w lewo w szeroki leśny dukt, potem przejść koło ruin starego młyna i sto metrów dalej rośnie ich dąb. Doszli właśnie do tego miejsca, kiedy Ludwik powiedział:

– Może się wykąpiemy? Koszyk schowam za krzakiem.

Spojrzała na jezioro, spojrzała na niego, spojrzała w niebo, znowu na niego.

– A jak przegapimy moment?

– Dwieście metrów mamy do jeziora, niebo bez jednej chmurki, ta burza pewnie dopiero wieczorem była, tylko zapomnieliśmy. No chodź, po raz pierwszy jesteśmy poza miastem, skorzystajmy.

Ciągle nie była przekonana.

– Lato zaraz się skończy. Następna okazja za rok.

– Nie mamy kostiumów.

– Będę patrzył w drugą stronę.

Pomyślała chwilę i skinęła głową. Z ulgą postawił koszyk na ziemi. Kilka minut później rozbierał się już niecierpliwie na brzegu, faktycznie nie patrząc na Grażynę, ponieważ kompletnie go w tej chwili nie obchodziła. Chciał zanurzyć się w aksamitnej, chłodnej, pachnącej słodkawo wodzie, reszta świata zeszła na drugi plan.

– Wiesz, o czym myślę? – spytała, kiedy spokojną żabką wypłynęli obok siebie daleko w jezioro. – O naszej ostatniej kąpieli.

– W jeziorze? Nawet nie pamiętam, kiedy to mogło być.

– Nie, w ogóle ostatniej. Pamiętasz, po Nowym Roku poszliśmy na basen na Jagiellońską. Głupi pomysł, jeszcze były ferie, mnóstwo rodzin z dziećmi plus stado czterdziestolatków, którzy zapragnęli

o siebie zadbać w ramach postanowień noworocznych. Stałam w tym tłumie w damskiej przebieralni i czułam, że patrzą na mnie wrogo, myśląc, że co to jest z tymi starymi babami, które mogą iść na basen o każdej porze, a muszą akurat w ferie, żeby pracującym i uczącym się zabierać miejsce. Wszędzie się wcisną dziady. Do autobusu o siódmej trzydzieści, do sklepu w piątek wieczór, na pocztę tuż przed dwudziestą, na basen w ferie, no jak na złość normalnie. Widziałam te spojrzenia, widziałam siebie w lustrze, pomarszczoną babę w staromodnym czepku, i chciałam stamtąd uciec.

– Tyle zapłaciliśmy przez te wszystkie dekady podatków w dzielnicy, że powinniśmy mieć osobny honorowy tor na tym basenie.

– Taka się czułam zbędna, jak byłam stara. A ty?

Zanurkował, zerkając pod wodą na nieostre kontury jej nagiego ciała, i wypłynął z drugiej strony, prychając wodą.

– Chyba nie. Stary, chory, niedołężny, tak. Ale zbędny? Nie, chyba nie. Miałem ciebie przecież. Miałem pacjentów. Miałem uczniów. Przyjaciół mi brakowało, nie mówiłem ci, ale kiedyś zrobiłem listę wszystkich bliskich przyjaciół, co się nazbierali przez całe życie. Potem wykreśliłem tych, którzy już nie żyją. A potem trzymałem tę listę w szufladzie i po każdym pogrzebie skreślałem kolejne nazwiska.

– I?

– Kiedy skreśliłem Romana w listopadzie, to było ostatnie nazwisko. – Oprócz Iwony, ale uznał, że o tym nie musi wspominać. – Płyniemy z powrotem?

– Aha.

Zawrócili. Ludwik przepłynął kilkadziesiąt metrów kraulem i potem na plecach wrócił do Grażyny.

– A z kąpieli lepiej pamiętam, kiedy to było, ze dwadzieścia lat temu chyba, jak pojechaliśmy do tego letniska na tyłach Gietrzwałdu. Taka paskuda, co to się zatrzymała w latach osiemdziesiątych.

– Rentyny.

– Tutafe!

Parsknęła śmiechem.

– Co?

– Mais rien. Vas-y, raconte-moi tout.

– Pacjentka jakaś mnie tym zwrotem zaraziła, nie śmiej się. W tych Rentynach w tym całym układzie poszliśmy się wykąpać, poszedłem na pomost i chciałem skoczyć na główkę, ale uznałem, że jakoś tak mi nie przystoi. Wokół tyle dzieciarni, a ja po sześćdziesiątce, z brzuszkiem, co się będę wygłupiał. I nie skoczyłem. Ale nie dawało mi to spokoju. Następnego dnia wstałem wcześnie, jeszcze spałaś, i poszedłem na plażę, nikogo nie było. Chciałem od razu skoczyć, ale pomyślałem, że lepiej najpierw się oswoić z wodą. Popływałem chwilę. Potem się trochę porozciągałem. W końcu stanąłem na krawędzi pomostu, spięty byłem, jakbym pierwszy raz stanął na słupku jako siedmiolatek.

Nabrał w usta wody z jeziora, przepłukał i wypluł, wypuszczając długi strumień.

– I?

– I skoczyłem. I w tej samej chwili poczułem okropny ból.

– Pamiętam! Naderwałeś więzadło, opowiadałeś, że noga ci wpadła do jakiejś jamy na spacerze.

– Wstydziłem się powiedzieć prawdę, zawsze kochałem skakać z pomostu. Nie mogłem przyznać głośno, że jestem na to za stary.

– Musimy ci tu znaleźć jakiś pomost. Pływamy jeszcze?

– Nie ma mowy, jestem głodny.

– Szukasz pretekstu, żeby mnie wyciągnąć na brzeg i się gapić.

– Przykro mi, moja droga, ale naprawdę jestem głodny, młodość potrzebuje kalorii, żeby móc robić dużo głupich i niepotrzebnych rzeczy.

Wyszli na brzeg i położyli się obok siebie na trawie.

– W sumie lepiej kolano niż bardziej czułe fragmenty męskiego ciała – zauważyła.

– O psiakrew, Chorwacja, nie przypominaj mi.

– Chciałeś się popisać przed Jackiem, a mówiłam ci, że jest jakiś powód, że z tej zjeżdżalni nikt nie zjeżdża. W ogóle tylko raz w życiu takie dziwactwo widziałam, wielka, stroma, pionowa prawie zjeżdżalnia, i to w morzu, pięćdziesiąt metrów od brzegu.

– Tylko dla twardzieli.

– Nie wyglądałeś na twardziela. Całą drogę z powrotem krzyczałeś, a potem szlochałeś jak niemowlę i tarzałeś się po piasku jak w ataku jakimś. Jacek się pytał, czy tata umiera. Pamiętasz, że potem nie pozwalał nam chodzić na żadne zjeżdżalnie? Mamo, darł się, nie można, bo tatę będą boleć jajka.

– Musiałem jakoś rozłożyć nogi niefortunnie i był chyba odpływ, daleko do wody. Wrócę tam chyba teraz, jestem młodszy, pokonam chorwacką bestię. Myślę, że cała tajemnica to trzymać nogi mocno złączone.

– W prostytucji byś kariery nie zrobił.

Roześmiali się i poleżeli jeszcze chwilę w milczeniu.

– Myślisz, że się uda? – spytała.

– Nie mam pojęcia. Ale cieszę się, że spróbujemy.

Woda jeziora zmyła z nich napięcie, oczyściła atmosferę i w magiczny sposób sprawiła, że odnaleźli się w tym najlepszym okresie swojego związku, kiedy byli najbliższymi przyjaciółmi. Po erach napalonych kochanków i umęczonych rodziców, ale przed epoką znużonego sobą i schorowanego starego małżeństwa. Szybko doszli na polanę, gdzie ich dąb stał jak zawsze, obserwując pewnie takie pary od trzystu czy czterystu lat, rozłożyli piknik i zajęli się jedzeniem, gadając bez przerwy, na zmianę wymieniali opowieści z tego świata i wspomnienia z poprzedniego.

– Dobrze pamiętam, że zabraliśmy tu Jacka na czterdziestą rocznicę jego poczęcia, czyli był 2003 rok. To było po jego rozwodzie, szukaliśmy atrakcji dla niego i dla dziewczynek, żeby je jakoś osadzić w historii rodzinnej, on też kompletnie nie miał pojęcia, co z nimi robić w swoje weekendy.

– Daj mi jeszcze kotleta kawałek. W ogóle myślisz, że to była jego wina?

– Co?

– Rozwód.

– A bo ja wiem. Tak naprawdę nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się wydarzyło. Na początku byłam pewna, że to ona coś

przeskrobała, zawsze wydawała mi się taka zimna i jakaś zdystansowana, chuda dziunia na obcasikach.

– Słyszę „ale”.

– Ale pół roku później Jacek przyprowadził tę dziewczynę od siebie z firmy.

– Tej nie możesz zarzucić, żeby była chuda.

– No nie, była za to bezdennie głupia, wszystkie kalorie szły jej w cycki i mózg umarł z niedożywienia.

– Wspaniała z ciebie teściowa, dla każdej synowej masz dobre słowo.

– A nie była głupia?

– Była. Przecież się poznał na niej, rok nawet to nie trwało.

– Ale pamiętasz, jak nas zaprosili na obiad. Do jej mieszkania w bloku na Żoliborzu, Jacek się przeprowadził, żeby nie płacić za wynajem, pamiętam, jak mi było przykro, że chłop po czterdziestce i bez swojego kąta, mieszka u idiotki, u której w domu prawie w ogóle książek nie ma, same jakieś bzdury o dietach i wierze w siebie, najwyraźniej nieczytane, zwłaszcza te pierwsze. Nieważne, co zapamiętałeś z tego wieczoru?

– Potworne jedzenie, wydziwione i niesmaczne. Najgorsza ta zimna pomidorówka była.

– Gazpacho, prostaku, chłodnik hiszpański!

– Zimna pomidorówka, nie przekonasz mnie. A budyń z ostrą papryką na deser?

– No tak, to było straszne. Ale tłumaczyłam sobie, że kobieta młoda i nowoczesna, stara się, a my jesteśmy dziadami, co to robią tylko kotlety schabowe i sernik krakowski. Zresztą nie o jedzeniu chciałam, tam stały ich fotografie z różnych wyjazdów, no i za dużo ich trochę było jak na taki krótki związek. Na jednym zdjęciu miał rękę na temblaku.

– Nie, przecież to wtedy się zdarzyło, kiedy z nim i dziewczynkami pojechaliśmy na Kalatówki, tam Zosię stawiałem po raz pierwszy na nartach. A on się połamał na Kasprowym, lodowisko pionowe od góry do dołu. Czyli czekaj, Zosia musiała mieć trzy lata, czyli to było z jakieś pięć lat przed rozstaniem. Jesteś pewna?

– Jestem. Nawet się zastanawiałam, czy on jakoś podświadomie nie chciał mieć tak jak ty. Najpierw żona, a potem prawdziwa miłość, rodzina, udany związek, szczęście na wiele dekad. Nie mógł uwierzyć, że trafił od razu.

– Czemu mi tego nie powiedziałaś?

– Bo się bałam, że zaczniesz go nachodzić w tej sprawie, zawracać głowę, terapeutyzować, tłumaczyć z wyżyn swojej wiedzy, że „istnieją pewne mechanizmy w tym całym układzie", jak to ty.

– Świetnie, robisz ze mnie wariata.

– Ja? A pamiętasz, jak musieliśmy spać w polonezie, bo nas z wesela wyrzucili pod Płońskiem, kiedy zacząłeś analizować pannę młodą? Noc zimna, zadupie kompletne, a wyjechać nie mogliśmy, bo już byliśmy przecież pijani, mało nie zamarzłam wtedy.

– O nie! Ja z nią tylko rozmawiałem, to ten prostak jej mąż źle to wszystko zrozumiał. Zaczęła mi się zwierzać, opowiadała o swoich obawach, to chciałem jej pomóc.

– Wersja męża: ona płakała, a ty trzymałeś ją za rękę i opowiadałeś, żeby nie bała się seksu, że czujesz jej energię, że jest jak nabrzmiały sokami pąk, gotowy, żeby wybuchnąć erotyzmem i życiem.

– Ale to była prawda przecież!

Nie wytrzymała i zaczęła się głośno śmiać.

– No i co z tego?! Nie mówisz takich rzeczy pannie młodej na jej ślubie w obecności jej narąbanego męża z mazowieckiej wiochy!

Nalali sobie wina.

– Zresztą długo to nie trwało, powiedziałabym ci, ale potem Jacek zachorował i wszystko zeszło na drugi plan. Analfabetka z cyckami szybko się zawinęła, Jadzia wróciła. Powiedzieć ci coś dziwnego?

– Powiedz.

– Odkąd tu wylądowaliśmy, spokojniej myślę o Jacku.

– Czyli?

– Ostatnie pięć lat byłam właściwie tylko żałobą i żalem po jego śmierci. Codzienność, zwyczajne życie, inne emocje, inne wspomnienia, wszystko odczuwałam powierzchownie. Czarny kamień, na który czasami świeci słońce, deszcz pada, ktoś go

weźmie do ręki, pomaluje na wesoły kolor, ale to ciągle czarny kamień.

Słuchał, nie chciał jej przerywać.

– Ja żyłam, a moje dziecko nie. Zniknęło na zawsze. Chodziłam do różnych kościołów, wiesz? Najróżniejszych, obskoczyłam świątynie wszystkich chyba wyznań i religii w Warszawie, zdziwiłbyś się, ile tego jest. Klęczałam i modliłam się, żeby Bóg zesłał mi wiarę, dowolnie jaką, żebym mogła wierzyć, że Jacek nie jest nicością, tylko w zaświatach kontynuuje swoje życie zawsze trochę zbyt poważnego i rozsądnego człowieka. Że jest dobrym duchem dla swoich bliskich i czeka, żeby nas przywitać, kiedy przyjdzie nasza kolej. Naiwne i głupie, wiem, ale myślałam, że skoro tylu ludzi wierzy, to i mi się uda.

Jako mąż miał ochotę ją pocieszyć, ale jako terapeuta uznał, że teraz ważniejsze jest milczenie.

Wstała.

– A potem wydarzyło się to. – Rozłożyła ręce gestem kaznodziei. Pod koroną drzewa, w pomarańczowych promieniach popołudniowego słońca wyglądała jak kapłanka prastarego kultu natury. – I z każdym dniem czułam większy spokój. Skoro my mamy taką przygodę, to może on też? Jeśli świat jest zdolny do takich niespodzianek, to raczej nie wysyła ludzi w nicość.

A może po prostu wreszcie przepracowałaś swoją żałobę, pomyślał, ale zachował to dla siebie.

– Chcesz się kochać? – zapytała.

Rozejrzał się.

– Nie ma burzy.

– I nie będzie. Spójrz prawdzie w oczy, Ludwiku. To najpiękniejszy dzień lata, nie spadnie tu dziś ani jedna kropla deszczu.

– I ciągle chcesz się kochać?

– Chcę się z tobą kochać, bo cię bardzo lubię, dziadu stary. Dlatego tutaj przyjechałam.

Wrzesień

1

Siedziałam na kiblu, patrzyłam między udami na krople krwi na białej ceramice i zastanawiałam się, co czuję. Miesiąc temu wpadłabym w histerię, patrząc na nie jak na zwłoki swojego dziecka. A teraz po prostu pomyślałam, że to ostateczny znak, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki i że winna jestem losowi wdzięczność za drugą szansę, a nie pretensje, że nie pozwala mi spełniać wydumanych pragnień. Wszyscy wiemy, jak skończyła baba z baśni o złotej rybce, co to zawsze chciała więcej. Wytarłam się i sięgnęłam po koszmarne podpaski, których tutaj używano i które w końcu znalazłam w drogerii. To znaczy nie powinnam narzekać, ponieważ w PRL-u do podstawowych zadań kobiety w wieku rozrodczym należało polowanie na watę, żeby raz w miesiącu móc ją włożyć do majtek. Tutaj przynajmniej mieli podpaski, ale nie wpadli jeszcze ani na skrzydełka, ani na to, żeby jedną stronę pokryć klejem, więc trzeba je było mocować sznureczkami do specjalnego paska, a one i tak wywędrowywały z majtek na brzuch albo na tyłek, koszmar.

– Żyjesz?

– Człowieku, zostaw mnie w spokoju! – odkrzyknęłam. – Doceń, że postanowiłam spędzić drugie już życie z tobą, i mnie nie denerwuj. Bo zmienię zdanie.

Zamocowałam cholerstwo i wróciłam do Ludwika, który siedział nad swoimi zeszytami, jak zwykle uważając, że kluczem do sukcesu jest porządek i systematyczność. I teraz, porządnie i systematycznie, postanowił przypomnieć sobie i wyszlifować dawno nieużywany język francuski, jednocześnie każąc się uczyć specjalistycznego technicznego słownictwa. Naprawdę się przykładał, a znałam chłopa i wiedziałam, że ma w tym jakiś cel, inny niż deklarowane „uczestnictwo w tej nowej sfrancuziałej Polsce". Zżerała mnie

ciekawość, ale też nigdy nie utrzymał przede mną nic w tajemnicy, więc teraz też byłam spokojna, że wkrótce się dowiem, o co chodzi.

– Jeszcze raz – powiedział – bo się gubię w notatkach. Czyli w końcu jak się wymawia e?

– Normalnie e się wymawia tak, jakbyś zrobił dzióbek francuski i powiedział e. Spróbuj.

– E.

– Bardzo dobrze. To jest twoje podstawowe francuskie e.

– Nie jedyne?

– Nie. Bo są jeszcze dwa. Drugie to takie nasze polskie e. Jakbyś chciał powiedzieć jEstEm niEokrzEsany. Tak na przykład wymawiasz we francuskim ai. Jak w słowie mleko, lait. Czyli rodzajnik określony le wymawiasz z dzióbkiem, a mleko le bez dzióbka. Spróbuj powiedzieć to mleko.

– Le le.

– Nie, jeszcze raz. Pierwsze z dzióbkiem, drugie gęba szeroko.

– Le le.

Westchnęłam.

– Wiesz co, załóżmy że oni się domyślą, o co chodzi, to jest naprawdę najmniejszy problem. Przygotowałam ci to słownictwo.

– Waszebiście, dawaj.

Zerknęłam do zeszytu.

– Kształt wydłużonej klepsydry z mocnym wcięciem pośrodku. Po francusku to będzie la forme d'un sablier allongé avec un fort rétrécissement au milieu.

Notował pilnie.

– Za to „krzywizna stanowiąca wycinek okręgu" to będzie… – Zawiesiłam głos, czekając, aż skończy. – Ludwik, to jest jakiś bezsens, albo mi powiesz, do czego są ci potrzebne te kretyńskie zdania, albo odmawiam uczestnictwa w tym szaleństwie.

– Zrozum – zaczął terapeutycznym tonem, od czego mnie od razu szlag trafił. – Potem wszystko ci wyjaśnię w tym całym układzie, na razie sam dokładnie nie wiem…

Przerwał mu dzwonek do drzwi. Spojrzeliśmy po sobie, nie spodziewaliśmy się nikogo. Spięłam się na myśl, że to może być Adam, który mimo wszystko postanowił desperacko o mnie walczyć.

Ludwik już się podnosił, ale uznałam, że to moje mieszkanie, moje drzwi i mój obowiązek.

Otworzyłam i zobaczyłam mojego brata. Bez munduru wydawał się niższy.

2

Siedzieli, pili herbatę ze szklanek, parząc sobie palce, i jedli ptasie mleczko, niezmiennie pyszne. Grażyna i Ludwik doceniali przysmak tym bardziej, wiedząc, że w XXI wieku, po wielu zmianach właścicieli marki Wedel, smakołyk zamieni się w przesłodzone barachło.

– Przesadzasz – powiedziała. – Kilka dni po wyborach, a ty mówisz, że trzeba wyjeżdżać.

– Jeśli się mylę, możesz zawsze wrócić. Chwilowo przecież i tak nie masz roboty.

– No ale chcę napisać tę książkę o zarządzaniu rodziną.

– Książkę możesz pisać gdziekolwiek.

– Piotrek, przesadzasz, nic się nie dzieje. Normalne demokratyczne wybory, nie pod lufami, nie sfałszowane, w parlamencie reprezentowane są wszystkie poglądy, prezydent najnormalniejszy z możliwych jeszcze przez trzy lata. Naprawdę, potrafię sobie wyobrazić gorsze wersje historii.

Westchnął ciężko.

– Kto twoim zdaniem będzie teraz rządził?

– Inżynierscy z chłopami, jak do tej pory, proste.

– Nie mają większości.

– Ale mają prezydenta – wtrącił się Ludwik, wściekły, że brat Grażyny ostentacyjnie traktuje go jak powietrze – który desygnuje premiera, może rządzić dekretami, wetować ustawy i w ogóle ma bardzo szerokie uprawnienia. Mniejszościowy rząd z poparciem prezydenta ma szansę rządzić. A Unia może ma silne drugie miejsce, ale nawet jak się dogada z komunistami, to nie ma większości i prezydenta przeciwko sobie, bez szans scenariusz.

Piotr westchnął ciężko, jak nauczyciel skonfrontowany z wyjątkowo odporną na edukację klasą, i przejechał dłońmi po krótko ostrzyżonych włosach.

– Dobrze, spróbuję po kolei. Powoli i bez trudnych wyrazów, żebyście nadążyli i zrozumieli, że chodzi o wasze bezpieczeństwo. Są trzy ważne elementy, które trzeba wziąć pod uwagę. Po pierwsze – wyprostował kciuk – są narodowcy. Od tak dawna nikt ich nie traktuje poważnie, że ludzie zapomnieli, że oni są w ogóle w parlamencie cały czas. A nawet jak są, to wiadomo, narodowcy, cały czas zajęci tropieniem międzynarodowych żydowskich spisków i malowaniem map, na których cesarstwo polskie rozciąga się od Oslo do Konstantynopola. Ale oni bardzo chcą władzy i coraz więcej osób mówi, że dogadają się z Unią i komunistami. Ci ostatni kiedyś byliby dla nich nie do przełknięcia jako towarzystwo w koalicji, ale czerwoni już od dawna nie wspominają o międzynarodówce, zaczęli grać umiejętnie kartą antysemicką i pochylili się nad tradycją przodków na wzór Unii. Wszystkich łączy nienawiść do Europy, silniejsza niż jakikolwiek inny element ich poglądów.

– Giertych razem z Gierkiem i Gomułką? Triumwirat trzech G? Wątpię, ale nawet jeśli, to mają wtedy większość, ale prezydenta przeciwko sobie.

– Po drugie – Piotr wyprostował palec wskazujący – zapomina pan o chłopach, z rozpędu traktując ich jako wiecznych sojuszników i koalicjantów Inżyniera. A chłopi jedyny sojusz mają sami ze sobą i rozumieją, że ich elektoratowi bardziej się podoba tradycyjność Unii niż europejskość Inżyniera. Jeśli do władzy dojdzie tam młody Gucwa, to możemy mieć czterech panów G, większość konstytucyjną i możliwość zmiany prezydenta od ręki.

Piotr siedział z wyprostowanymi dwoma palcami, a oni wymienili się spojrzeniami, myśląc o tym samym. Że nagle wszechświat trzeszczy, wracając na stare tory. Wrócili do siebie, zamieszkali w mieszkaniu nieomalże w miejscu swojego poprzedniego domu, a ich kraj buduje komunistyczno-narodową bramę powitalną dla Armii Radzieckiej. Źle, naprawdę źle to wygląda.

– Miały być trzy elementy – zauważyła przytomnie Grażyna.

– Armia. – Piotr wyprostował środkowy palec. – Znam nastroje w wojsku i wierzcie mi, to nie są sympatycy Inżyniera. Wszyscy patrzą na Jaruzelskiego i czekają, co zrobi. A Wojtek się zmienił, oddalił od starych kumpli, plotkują o jego przyjaźni z Gierkiem. To by oczywiście była zdrada stanu, ale wielu od niego tej zdrady oczekuje. Mnóstwo straciło kolegów w Algierii i nie ma osoby, która by nie uważała naszego zaangażowania w Afryce za błąd, a sojuszu z Francją za bezsensowny. Szczególnie ci, którzy tam byli. Wiecie, co to znaczy ratissage?

Grażyna zmarszczyła brwi.

– Grabienie ogródka moim zdaniem. Co to ma do rzeczy?

– Tak nazywaliśmy akcje czesania algierskich miast i miasteczek. Teoretycznie tylko tych wspierających Front. Teoretycznie tylko w celu wyłapania powstańców. Ale w rzeczywistości to były krwawe pacyfikacje, kto się nawinął pod lufę, ten miał pecha. Wyobrażacie sobie? Miałem w oddziale powstańców warszawskich, miałem ludzi z Armii Krajowej, polskich partyzantów. I pojechaliśmy mordować biednych wieśniaków za to, że być może wspierali wojowników o wolność i niepodległość. Wyobrażacie sobie? My, Polacy, my nie jesteśmy jak Francuzi. My jesteśmy jak Algierczycy. Polski lud to czuje i podejrzewa, że w tym sojuszu coś jest nie tak. A armia nie podejrzewa, lecz zwyczajnie to wie. Wielu patrzy na Jaruzelskiego z nadzieją, że to skończy, mieliby go za bohatera.

Ludwik wstał i zaczął chodzić po pokoju, jak zwykle, kiedy się zapalał do jakiejś dyskusji.

– Ale czy oni nie rozumieją, że zwrócenie się przeciwko Francji oznacza wpadnięcie w objęcia Rosji? – zapytał. – Naprawdę nie trzeba mieć doktoratu z historii Polski, żeby to pojąć.

– Część tak, część nie, część ma to w dupie, tak bardzo nienawidzą tego kolonialnego układu. Postawienie na Francję od początku było błędem. Łatwo się nabrać na ich kulturę, na ich jedzenie, na ich wino, na ich styl życia. Sam się nabrałem. Ale za tym wszystkim jest pogarda dla każdego, kto nie ma ich kultury, ich jedzenia, ich wina i ich stylu życia. Stawiamy na złego konia.

– To kogo by pan wolał, Moskwę?

– Berlin.

– Oszalałeś – żachnęła się Grażyna. – Teraz? Kiedy jeszcze dwadzieścia lat nie minęło?

– Tym lepiej. Ciągle im wstyd, ciągle czują się winni, cała ta zjednoczona Europa działałaby wtedy na naszych zasadach, bo jak tylko Niemcy chcieliby wykręcić coś nie po naszej myśli, wyciągalibyśmy zdjęcia pieców i gruzów Warszawy. Poza tym Niemcy to jedyny wielki naród Europy, który nas rozumie, wie, jak się z nami dogadać i robić interesy. W którym zaborze ludziom się żyło najlepiej, co? Która nasza granica była wcześniej najtrwalsza? Poza tym siła Francuzów i Brytyjczyków to kolonie, których już nie ma, Południe to lenie i nieudacznicy, tylko siła Niemców wynika z pracowitości, z pomysłów, z inżynierów. Francja się nami pobawi jak kot z myszką, zwłaszcza teraz, kiedy pusto im w kolonialnym serduszku po Indochinach i Algierii. Potem się znudzą i wyrzucą, bo sobie znajdą Kanadę czy inną rozrywkę. Wiecie, dlaczego tak nas kochają? Bo absolutnie nic od nich nie chcemy. I jeszcze ta hodowla kurewek, jak ci nie wstyd było tam pracować.

Grażyna się zarumieniła.

– Odeszłam przecież, a poza wszystkim to…

– Jak powiesz, że to nie jest takie czarno-białe, to Bóg mi świadkiem, przełożę cię przez kolano i spiorę jak nieznośnego bachora. Tak czy owak, to wszystko nie jest ważne. Ważne, że siedzimy na beczce prochu. Rewolucja może wybuchnąć lada dzień, a rewolucja potrzebuje krwi. I ja nie chcę, żeby to była twoja krew, Grażka. A boję się, że spalenie twojej szkoły będzie pierwszym symbolem narodowej odnowy. Zanim wytłumaczysz, że już tam nie pracujesz, że ty się temu sprzeciwiałaś, może być za późno. Każdy w Polsce widział w gazetach zdjęcie, jak opętany żądzą mordu wojak chroni swoją hodującą kurewki siostrę i jej gacha. Dlatego na pana miejscu też bym odkurzył paszport.

Ludwik zbierał się do pełnego oburzenia protestu, ale Piotr uciszył go ruchem ręki.

– Kawy lepiej zróbcie, bo ta herbata mi się zaczęła jakoś z Afryką nieprzyjemnie kojarzyć. Wcześniej lubiłem, a teraz, sam nie wiem, reakcję mam spóźnioną. I rozumiem, że mogę brzmieć jak wariat, ale przynajmniej to przemyślcie, d’accord? Jeśli nie mam racji, to

wrócić zawsze można. Jeśli mam, to lepiej wyjechać teraz niż wtedy, kiedy wszyscy się rzucą do ucieczki. I przepraszam za tego gacha, widzę, że Grażka pana na serio lubi.

3

Ciężko mi się było pozbierać po wizycie Piotrka. W jego słowach widziałam echa tamtego strasznego, prawdziwego świata lat sześćdziesiątych. Po 1989 roku ludzie mówili, że komuniści to, komuniści tamto, jakby w Polsce rządziła jakaś dziwna rasa, która nagle tutaj wylądowała i wylazła ze statków kosmicznych. A to wszystko byli przecież Polacy. Przebierający nogami, żeby dostać trochę władzy za wszelką cenę. Lizusy, zdrajcy, szuje, donosiciele, antysemici i zwykłe chamy, zadowolone, że teraz się odegrają za wszystkie poprzednie pokolenia. Nie wzięli się znikąd, zawsze tu byli, sól polskiej ziemi, i kiedy tylko ktoś pozwolił im podnieść głowę – bez wahania wykorzystali moment dziejowy.

Dlatego słowa Piotra nie wydawały mi się fantazją. Wygodnie było myśleć, że te wszystkie Gomułki, Gierki i Jaruzelskie zostały tu wsadzone przez Moskwę, inaczej to wszystko nigdy by się nie wydarzyło. Ale czy na pewno? Może gdyby Gomułka zapowiedział rozprawę z syjonistami, gładko wygrałby demokratyczne wybory. Gierkowi też by pomogli, taki wielki budowniczy, a że trzeba rozprawić się z wichrzycielami, paru przebrzydłych wykształciuchów wsadzić do więzienia, no to tylko lepiej. Że cenzura? A my i tak książek nie czytamy, bezeceństwa same pedalskie i kłamstwa. Zamknięte granice? A po co dobry Polak ma jeździć za granicę, jak tu i rodzina, i kościół, i pierogi. Jeszcze nam się nazjeżdża jakichś brudasów. Róbcie swoje, towarzysze, pomożemy, jasna sprawa. Nigdy o tym nie myślałam, naprawdę nigdy, tak oczywisty wydawał mi się konflikt między Polakami i komuną, ale teraz nie potrafiłam wyrzucić z głowy uporczywej myśli: czy gdybyśmy mogli wtedy normalnie wybierać, to nasza historia na pewno potoczyłaby się inaczej?

Spacerowałam po Wygwiazdowie, zaglądałam na parterze ludziom do okien, kiwałam głową opartym o poduszki na parapecie sąsiadkom i sąsiadom, którzy na wystawionych na chodnik stołkach naprawiali swój sprzęt wędkarski albo karmili gołębie. Przemierzyłam główny plac i doszłam do miejsca zabaw dla dzieci i boiska koło kościoła, lubiłam tam przychodzić, żeby oglądać chmary dzieciarni, w XXI wieku łatwo zapomnieć, że kiedyś po Polsce biegało tyle maluchów. Grające w piłkę dwie drużyny liczyły po dwadzieścia osób, a wokół karuzel i huśtawek latało drugie tyle. Biorąc pod uwagę liczbę dorosłych – w stu procentach kobiet oczywiście – trzy czwarte tego tałatajstwa musiało się szwendać bez opieki, zawieszone na szyi klucze stanowiły raczej regułę niż wyjątek.

Stanęłam w pewnym oddaleniu, oparłam się o rusztowanie stojące przy wykańczanym bloku i patrzyłam.

Czy będę miała tutaj dzieci? Mam nadzieję. Żałowałam, że Jacek był jedynakiem; jeśli teraz się uda, to chciałabym mieć więcej, trójkę może. Umęczona, zziajana i nieszczęśliwa nie potrafiłam tego zauważyć, ale dziś za najpiękniejszy czas w swoim życiu miałam właśnie pierwszych kilka lat macierzyństwa.

– Jak wyglądało wtedy nasze pożegnanie?

Drgnęłam. Adam oparł się o rusztowanie obok mnie.

– Wiem, wiem, to żałosne, nachodzę cię jak odrzucony małolat.

Jesteś odrzuconym małolatem, mój ukochany, pomyślałam.

– Ale nie dawało mi to spokoju, że nie wiem, jak to się wtedy skończyło. Wtedy w twoich czasach. Czyli wtedy w przyszłości, dziwnie to brzmi.

Spojrzałam na niego. Wyglądał smętnie; gdyby organizowano zawody na najbardziej wymuszony uśmiech, wygrałby je w cuglach.

– Adam…

– Potraktuj to jako pożegnalny prezent dla fana fantastyki. Który całymi dniami chodzi i się zastanawia, co będzie, co może być i co by było gdyby.

– To nie jest wesoła historia.

– A która jest? Nawet bohaterowie komedii w końcu umierają. Nie pokazują tego na scenie, jasne, ale wszyscy to wiemy.

– Jesteś pewien? Naprawdę tego chcesz?

– Ewidamentnie.

Westchnęłam.

– Nie pytałeś nigdy o politykę.

– Polityka jest nudna.

– Cóż, wtedy nie była. W moim świecie żaden Eugeniusz Kwiatkowski nie uratował Polski przed Związkiem Radzieckim. Nie podzieliliśmy losu Białorusi, ale Czechosłowacji już tak. Granice zamknięte, wyjazd na Zachód praktycznie niemożliwy, chyba że zgodziłeś się szpiegować i donosić. Stacjonowało w Polsce sowieckie wojsko, tajna policja zamykała i mordowała ludzi, którzy przeciwstawiali się reżimowi, mojego brata na przykład uwięzili i zabili, szalała cenzura i propaganda, dzieci w szkole uczyły się o przyjaźni polsko-radzieckiej i oczywiście rosyjskiego obowiązkowo.

Powiedziałam to wszystko lekkim tonem zarezerwowanym dla dobrze wszystkim znanej historii, która może nie potoczyła się najweselej, ale skończyła happy endem, jednak Adamem ten lakoniczny opis PRL-u wstrząsnął, wyglądał jak człowiek poinformowany o śmiertelnej chorobie.

– Przecież coś takiego nigdy nie istniało – wykrztusił. – Rosjanie to nasi odwieczni wrogowie.

– Wiem. To znaczy nie rób takiej miny, to wszystko strasznie brzmi, ale udało też się zrobić parę fajnych rzeczy. Odbudowa kraju chyba sprawniej poszła niż teraz, walka z podziałami klasowymi też, biednie było jak zawsze, ale dopóki nie przychodziły ci do głowy jakieś bzdury o wolności słowa czy wolności zgromadzeń, czy wolności w ogóle – dało się żyć. Łatwiej było o pracę, mieszkanie, szkołę dla dziecka. Zwłaszcza teraz jakoś to było, to znaczy w tych czasach, to znaczy w latach sześćdziesiątych, kiedy już się skończyło stalinowskie mordowanie, a jeszcze nie zaczęło strzelanie do robotników i potem ta nędza straszna. Nie masz pojęcia, jak to wyglądało, nie było wojny, a musieliśmy nieomalże walczyć o jedzenie, o najprostsze towary.

– Grażyna, co ty opowiadasz, to budzi grozę przecież.

– Słuchaj dalej. Pod koniec lata sześćdziesiątych doszło do partyjnej walki o władzę, ja też nie znam wszystkim szczegółów, ale nagle zaczęła się straszna antysemicka nagonka. Chodziło o czystkę we władzach, ale jak już się udało podburzyć tłum, to poszło szeroko.

– Ale chyba… chyba nie pogromy?

– Nie. Ale emocje te same, to była straszna hańba. Ze dwadzieścia tysięcy osób wyrzucono z Polski.

– Co ty opowiadasz, nie da się polskich obywateli wyrzucić z Polski. To jest niewykonalne prawnie.

– A jednak. Szło się do urzędu i dostawało się dokument zezwalający na wyjazd, z adnotacją, że okaziciel nie jest obywatelem Polski. Mogłeś oczywiście nie napisać podania i nie wyjeżdżać, decydując się na bezrobocie, nędzę, być może więzienie i Bóg wie jakie prześladowania. Wasza rodzina chciała zostać.

– Chcieliśmy, czyli… nie zostaliśmy.

Znowu poczułam drgnienie mocy, jak przy przejeżdżaniu przez Wisłę albo potem, kiedy pierwszy raz mu się przyznałam, że przybyłam z przyszłości. Niepokój, że naruszam tabu, jakiś fundament, na którym opiera się istnienie tego świata.

– Na pewno chcesz?

– Na pewno.

– Twoja mama chciała uciekać za wszelką cenę do rodziny we Francji i ja ją rozumiałam, dusiła się w tej Polsce i cierpiała strasznie. Przede wszystkim dlatego, że chciała lepszego życia dla ciebie. Była nieubłagana i choć twój tata wolał zostać, w końcu się złamał. Nie wyobrażał sobie życia bez Polski, ale bez swojej żony tym bardziej.

– A ja?

– Ty nie dopuszczałeś do siebie myśli o wyjeździe oczywiście, chciałeś walczyć o wolną Polskę.

– Ale coś się stało?

– Twój tata umarł. Wyjechałeś z matką z Polski ostatnim pociągiem z Dworca Gdańskiego, stamtąd was wysyłali.

– Jak transporty w czasie wojny – powiedział cicho.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Kilka dni przed wyjazdem spotkaliśmy się na pogrzebie, następnego dnia przyszedłeś do mnie, siedziałam sama w domu z czteroletnim synkiem, chorym akurat. Zmęczona matka w wynajętym pokoiku, jeszcze nie mieliśmy mieszkania. On płakał, my też płakaliśmy. Płakaliśmy i wyznawaliśmy sobie miłość, chociaż od dwóch lat się nie widzieliśmy wtedy, ale wszystkie emocje odżyły, wszystkie wróciły.

Mimo wszystko ciężko mi było o tym wszystkim opowiadać. A relacjonowanie tego jemu? Kompletny surrealizm.

– Teraz wiem, że w życiu nic lepszego od mojego syna mi się nie przydarzyło, ale wtedy traktowałam go jak wpadkę, owoc szaleństwa, przez które musiałam odtrącić swoją prawdziwą miłość, czyli ciebie. Powtarzałeś, że to nie ma znaczenia. Błagałeś, żebym wyjechała razem z wami, mogłeś mi załatwić po starych znajomościach ojca „dokument podróży", jak nazywali ten glejt wyjazdowy. Obiecywałeś, że dziecko wychowasz jak własne, że też dla Jacka powinnam to zrobić, że na Zachodzie będzie miał lepsze życie.

– Ale się nie zgodziłaś.

– Zgodziłam się.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Zgodziłam się, dwa dni później przyniosłeś glejt. Posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim, tak było napisane na samej górze.

– I?

– Stchórzyłam w ostatniej chwili. Mimo że już spakowałam walizki. Strasznym tchórzem byłam wtedy.

Milczał. Ja też. Razem milczeliśmy i patrzyliśmy na dzieci biegające bezsensownie wokół leżącej na trawie starej opony i chwiejące się z histerycznego śmiechu, jakby nikt nigdy nie wymyślił lepszej zabawy niż bieganie wokół opony.

– Żałowałaś?

– Czasami. A czasami byłam tak szczęśliwa, że wszystko inne wydawało mi się gorszym rozwiązaniem. A większość czasu, cóż, życie. Wstawałam z listą rzeczy do zrobienia w głowie, robiłam je, zasypiałam zmęczona i tak mijały dekady.

Zamilkliśmy, oboje patrząc tępo na plac zabaw. Robiło się coraz później, dzieci ubywało, niektóre same wracały do domów, po inne przychodzili rodzice.

– Teraz nie jesteś tchórzem.

– Nie.

– I nie jesteś w ciąży.

– Nie.

– Więc dlaczego? Przecież mieliśmy mieć przygody.

O mało co nie westchnęłam westchnieniem starej, doświadczonej kobiety, ale nie chciałam zrobić mu przykrości. Jakie przygody, Adasiu, miałam ochotę powiedzieć. Pracowałbyś w konsulacie, potem może w ambasadzie w Paryżu, ja siedziałabym z dziećmi, co roku w sierpniu jeździlibyśmy na wczasy do Bretanii albo na Korsykę, a raz polecielibyśmy na Martynikę, gdzie co prawda jedno dziecko by miało zapalenie ucha, a drugie biegunkę, ale i tak byśmy to do starości wspominali jako przygodę naszego życia.

– Bo lubię być królową w swoim zamku – odpowiedziałam, uśmiechając się. Jacek i Ludwik zrobili mi kiedyś laurkę na Dzień Matki. Wspaniałą salę zamkową z papier mâché. Na środku sali stał tron, a na tronie siedziałam ja, to znaczy laleczka podobna do mnie z koloru włosów i oczu i chyba niczego więcej, gruba jakaś taka się wydawała. Na tylnej ścianie wisiał baner, jak na pierwszego maja, białe litery na czerwonym tle: Mama to nasza królowa!

– Nie rozumiem.

– Spędziłam z Ludwikiem, czyli tatą Jacka, pięćdziesiąt lat. Czyli prawie dwadzieścia tysięcy dni. Każde wspólne śniadanie, wieczorna kłótnia o pieniądze, zaśnięcia, przebudzenie, zachody słońca na wakacjach, piwa na ławce w parku i kawy przy stole w kuchni, wyjazd z dzieckiem do lekarza, jasełka w przedszkolu, paskudny listopadowy dzień i guma złapana w trasie, to są wszystko cegiełki, z których zbudowany jest mój wspaniały zamek, w którym jestem bardzo szczęśliwa. Gdybym mogła to zapomnieć, wybrałabym ciebie. Ale nie mogę.

4

Gdy tylko Grażyna wyszła na spacer, wymknął się z domu, podniecony tym, że to może być naprawdę przełomowy dzień ich życia. Jeśli się uda, to potem wystarczy pracować nad pamięcią, a być może poprosić któregoś z kolegów, żeby w czasie seansu hipnotycznego powyciągał mu te wspomnienia z głowy – i żegnajcie materialne troski!

Na Wygwiazdowie, jak to na nowym osiedlu, pobudowali bloki i niewiele więcej na razie, więc musiał dojść aż do Dworca Wileńskiego w poszukiwaniu cywilizacji. Tam, między kamienicami starej Pragi, mając koniec języka za przewodnika, dowiedział się, że poszukiwane przez niego źródełko szczęścia znajduje się na rogu Targowej i Kijowskiej. Szedł bardzo szybkim krokiem, ponieważ z kolejnych bram błyskały na niego typowo praskie spojrzenia, rzucane przez lokalną ferajnę, a on miał w przewieszonej przez ramię torbie pięć tysięcy złotych w gotówce. I bardzo niechętnie by się z nimi rozstał.

Raz ktoś za nim krzyknął, czy pan kierownik papieroska by nie miał użyczyć, ale odkrzyknął, że nie, sportowcem jest, i przyspieszył, bojąc się jak cholera, że zaraz usłyszy za sobą kroki. Ale nie, udało się i chwilę później podchodził zziajany i spocony do budki z napisem TOTO.

– Panie, tu się piłkę tylko obstawia, a nie w nią gra. Co pan tak zipiesz?

Machnął tylko ręką, że nieważne, i poczekał chwilę, żeby uspokoić oddech.

– Można jeszcze dzisiejszy mecz obstawić?

– Można. Jeszcze pięć minutek do zamknięcia, ale można.

– Co za szczęście, u nas żadnej kolektury nie ma, myślałem, że coś przy dworcu będzie, ale też nic nie było.

Gość w okienku, kompletnie łysy, w okularach i muszce, trochę jak artysta kabaretowy, a nie bukmacherski kasjer, patrzył na niego ze zdziwieniem.

– Pan to chyba ze zagranicy przyjechał?

– Bo co?

– Bo we Warsiawie przecież jeden totek tutaj i drugi we Śródmieściu.

Świetnie, oczywiście zrobił z siebie idiotę, trudno.

– Naprawdę? Nie, nie z zagranicy, tylko myślałem, no nieważne. To ja chciałbym obstawić.

Wyjął plik pieniędzy i włożył szybko do okienka, jakby parzyły, ciągle się bał, że ktoś nagle go zaatakuje i mu je odbierze.

Łysy spojrzał na niego, spojrzał na banknoty, znowu na niego, w oczach wyraźnie można było przeczytać zdanie „ech, nałogowcy, nigdy się nie nauczycie".

– Zwycięstwo szanowny pan obstawia czy wyniczek?

– Wynik.

Identyczne spojrzenie, tylko bardziej wymowne. Łysy wyglądał, jakby walczył ze sobą, żeby nic nie powiedzieć, ale w końcu nie wytrzymał.

– Nie moja sprawa, ale wyniczek nie jest łatwo trafić, a w takim meczu o nic to w ogóle jest loteria. A dużo pieniążków pan tutaj położył.

– Wiem, co robię.

Łysy pokiwał z rezygnacją głową, po czym bez słowa przeliczył banknoty.

– Jak pan obstawiasz?

– Dziewięć do zera dla naszych.

Długo i ze smutkiem patrzył łysy Ludwikowi w oczy, a jego spojrzenie opowiadało o bankructwach, zniszczonych rodzinach i złamanych karierach, których to zdarzeń był świadkiem w tym okienku. Kiedy nie doczekał się żadnej reakcji, po prostu wystawił odpowiedni kwitek, podał go Ludwikowi i bez słowa zamknął okienko.

5

Na początku myślałam, że to moje młode zmysły działają lepiej, ale nie, tutaj naprawdę jedzenie było smaczniejsze. Nie wszystko, nie

ma co idealizować, generalnie mniejszy był wybór, o różnych rodzajach mąki można było pomarzyć, owoce i warzywa smakowały gorzej, myślę, że to przez chemię, którą w latach sześćdziesiątych sypano wszędzie bez opamiętania. Ale nabiał, Jezusie Nazareński, gdybym miała uczulenie na laktozę, tobym chyba z żalu codziennie godzinę płakała, tak dobry tu mieli nabiał. Mleko, za które jak kiedyś płaciło się abonament w sklepie i potem znajdowało pod drzwiami, miało aksamitny głęboki smak, codziennie pierwszy łyk celebrowałam jak paryski sommelier butelkę otwieraną dla de Gaulle'a w rocznicę zburzenia Bastylii. Masło, śmietana, twaróg, żółty ser, mogłabym się nie odżywiać niczym innym. A już szczególnie kochałam kefir, odkąd zostałam bezrobotna, w kółko robiłam chłodniki, koktajle owocowe, placuszki i naleśniki na kefirze, w końcu Ludwik powiedział, żebym przystopowała, bo jego żołądek zaczyna dziwnie reagować na te ilości bakterii fermentacyjnych.

No i jajka. W sklepie bywało różnie, ale zaopatrzenie domu zawsze należało do Ludwika z jego niezrozumiałym dla mnie umiłowaniem do szemranych targowisk. Szybko odkrył bazarek na Annopolu, a na bazarku najlepszą babę z jajami i co tu dużo mówić, nie wiem, jak ta baba te kury pieściła, jak bardzo je kochała i co im dawała jeść, ale to nie były po prostu jajka, lecz wspaniałe obiekty kulinarne, na ich cześć zapewne wykonano jajka fabergé. Czy zwykły omlet, czy kogel-mogel, czy babka drożdżowa, czy ciasto biszkoptowe z rabarbarem, które dziś zrobiłam – wszystko dzięki tym jajkom wędrowało dwa piętra kulinarnej radości w górę.

– Ty się modlisz do tego ciasta czy wychodzimy? – Ludwik stał przy drzwiach pod krawatem i w marynarce, bo przecież szliśmy w gości, nawet jeśli tylko do sąsiedniej klatki.

Zabawne, ale to też mi się podobało. Że przez bardziej formalne stosunki ludzie się bardziej starali ładniej mówić, ładniej ubierać, uważać na słowa i na formy grzecznościowe. A może to tylko stara baba przeze mnie przemawia, co to narzeka, że co to za czasy, dorosłe chłopy paradują w szortach i sandałach po ulicy i wszystko jest dla nich „zajebiste".

Poprawiłam ramiączka sukienki (w której wyglądałam bosko, gdyby ktoś pytał), wzięłam blachę z ciastem pod pachę i wyszliśmy. Dopiero na klatce zauważyłam, że Ludwik ma w rękach półtoralitrowy na oko słój pełen wody.

– Oszalałeś? Słoik wody w gości niesiemy? Wino jakieś miałeś znaleźć.

Spojrzał na mnie, podnosząc jedną brew. Strasznie mi się wydawał dzisiaj jakiś pobudzony. A idziemy tylko na głupi mecz przecież. Towarzyski na dodatek.

– Wino? W latach sześćdziesiątych? W Polsce? I może jeszcze piwo bezalkoholowe. Ja im tu niosę ambrozję.

– Chryste Panie, jakiś bimber, po którym wszyscy oślepniemy?

– Bardzo go obraziłaś teraz. Tym „jakiś" – powiedział i pogłaskał czule słoik.

Uznałam, że nie ma co z wariatem dyskutować, i przeszliśmy przez cichą, wieczorną ulicę, pachnącą trochę zwierzętami z zoo, akurat wiało z tamtej strony i weszliśmy w ostatnią klatkę, w której na drugim piętrze mieszkał ze swoją żoną i dwiema małymi córkami przesympatyczny urzędnik z ratusza dzielnicowego. Ludwik poznał go na bazarze i się szybko zakumplowali, co miało wspaniałą zaletę: pan Tadeusz posiadał telewizor jako jedyny albo jako jeden z nielicznych sąsiadów. Co w tych czasach oznaczało, że jego lokal automatycznie zamienił się w świetlicę, miejsce obcowania z wiadomościami, kulturą oraz jak w tym wypadku – wydarzeniami sportowymi. W środku, jak już dym papierosowy rozwiał się na tyle, żeby zobaczyć cokolwiek, zastaliśmy kilkanaście osób zgromadzonych wokół odbiornika o wypukłym ekranie wielkości niewielkiego laptopa z XXI wieku, na którym migało coś szarego, co prawdopodobnie było telewizją, ciężko było poznać przez podwójną mgłę dymu i zakłóceń.

– Widzę, słoik już jest, panie doktorze, to może ja ogórków przyniosę. – Gospodarz mrugnął. – Krzeseł nie przynieśliście.

Fakt, nie przynieśliśmy, bo zapomnieliśmy już, jak to było, jak się na telewizję cały blok schodził do jednego mieszkania.

– Nic nie szkodzi, pójdę po sąsiada z dołu, razem z dodatkowym krzesłami go zaproszę, tylko się boję, że będzie Norwegom

kibicował, bo to dziwak straszny. Z Ziem Odzyskanych wrócił, tam siedział dziesięć lat i dla wszystkiego wymyślał nowe polskie nazwy, niecodzienna robota, przyznacie. No to ja lecę.

Mam ochotę powiedzieć, że myślałam wtedy, jak wielkim było błędem, że upadek muru uczynił z nas wszystkich indywidualistów, wyrzuciliśmy poczucie wspólnoty, jak się wyrzuca niemodne meble, tylko po to, aby kilka lat później pluć sobie w brodę, że pozbyliśmy się niezwykłych przedmiotów, wartych grube pieniądze i pożądanych przez wszystkich. Wspólnoty narodowej, miejskiej, podwórkowej, zawodowej, nawet rodzinnej do pewnego stopnia. Ale oczywiście nie myślałam o tym, jak zwykle dodaję po fakcie, żeby wyjść na mądrzejszą. Wtedy zwyczajnie dałam się ponieść adrenalinie, spocona, ledwo mogąca złapać oddech w tych kłębach dymu, darłam się ze wszystkimi na całe gardło, kiedy Polacy strzelili pierwszego, drugiego i trzeciego gola. Durny towarzyski mecz o pietruszkę, transmisja tak niewyraźna, że bardziej słuchaliśmy relacji, niż ją oglądaliśmy, ale Boże drogi, kiedy ja zapomniałam, że można być tak euforycznie, oszałamiająco radosną? I czy zapomniałam dlatego, że się zestarzałam, czy dlatego, że zabrakło wspólnoty właśnie, z którą mogłabym wspólnie przeżywać różne uniesienia?

Do przerwy prowadziliśmy trzy do zera i wtedy zauważyłam, że z Ludwikiem coś się dzieje. Reszta piła i wiwatowała, on teoretycznie uczestniczył, ale poznałam jego spięcie momentalnie. Coś było nie tak.

– Wszystko w porządku? – zapytałam cicho.

– Tak, tak, w porządku, tylko coś mało prowadzimy.

– Mało? Trzy do zera do przerwy?

– Tak, tak, masz rację, nieważne, wszystko będzie dobrze.

Trochę nie rozumiałam, czemu w czasie imprezy towarzyskiej się zachowuje, jakby czekał na wyniki markerów nowotworowych, ale uznałam, że dowiem się później, i zajęłam się piciem wódki i jedzeniem sałatki jarzynowej.

Pierwsze dwadzieścia minut drugiej połowy nic się nie działo i wtedy trener zdjął młodziutkiego Włodzimierza Lubańskiego, jedynego zawodnika, jakiego w ogóle kojarzyłam z nazwiska.

– Co robisz, kretynie?! – wydarł się Ludwik tak głośno, że wszyscy spojrzeli na niego dziwnie, zwłaszcza że emocje opadły, na boisku akurat nic się nie działo. – Przecież on zaraz strzeli gola! On musi strzelić gola, to Włodzimierz Lubański, przecież on…

Ścisnęłam go za rękę, obawiając się, że zaraz zacznie wykrzykiwać jakieś szczegóły z meczów Lubańskiego z lat siedemdziesiątych. Krzywda by się nie stała, wyszedłby na szaleńca i tyle, ale moglibyśmy wypaść z klubu zapraszanych na jedyną w bloku telewizję, a zamierzałam zbliżyć się do pani domu na tyle, aby zostać stałym gościem w czasie czwartkowej „Kobry".

Opanował się.

– Cholera, no założyłem się w pracy o butelkę wódki, że gówniarz strzeli gola w debiucie…

Reszta się roześmiała i wszystko wróciło do normy, ale Ludwik resztę wieczoru siedział nieobecny. Ożywiał się przy kolejnych golach, ale kiedy wszyscy fetowali niebywałą wygraną osiem do zera, najwyższą w dziejach polskiej reprezentacji, wyglądał, jakby się miał rozpłakać.

– Panie i panowie! – Pan Tadeusz stanął na krześle, wszyscy już byliśmy mocno pijani. – Wypijmy za dzień, w którym zaczyna się wielka potęga polskiej piłki. Czuję, że to nie ja przemawiam, lecz Bóg przeze mnie przemawia. I Bóg mówi: zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, od dziś nie będzie Pucharu Europy ani Pucharu Świata bez Polaków. Niczym woje Chrobrego, husaria Sobieskiego i legiony Piłsudskiego młócić będziemy wszystkich i ścierać w pył, ku wiecznej chwale naszej ojczyzny. Amen!

– Amen! – krzyknęli wszyscy i wstali, na szczęście, bo mogli złapać mówcę, który stracił równowagę i zaczął niekontrolowanie lecieć w stronę miski z sałatką.

Co się z tobą dzieje? – spytałam, jak tylko znaleźliśmy się na zewnątrz.

– Wszystko stracone – powiedział z rozpaczą.

– Co stracone?

– To był jeden z niewielu wyników, które pamiętałem z tej cholernej piłki. Dziewięć zero z Norwegią, najwyższy wynik w dziejach i pierwszy gol szesnastoletniego Włodzimierza Lubańskiego, historyczne spotkanie.

Pomału docierało do mnie, o czym on mówi.

– Ludwik, czy ty postawiłeś na ten wynik jakieś nasze pieniądze?

– Gdyby się udało, gdybym potem sobie poprzypominał inne wyniki…

– Ile?

– …myślałem nawet o hipnozie, któryś z zaufanych kolegów mógłby mnie wprowadzić albo ciebie bym nauczył, to nie jest trudne…

– Ile?

– …te wszystkie mecze za Górskiego, z lat siedemdziesiątych, pamiętasz, mundial jeden i drugi, co jakiś czas mielibyśmy zastrzyk gotówki, który by nam pozwolił żyć wygodnie…

– Ludwik! Ile?!

– Pięć tysięcy.

Zakręciło mi się w głowie, musiałam usiąść na krawężniku. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Usiadł obok i próbował mnie objąć, ale go odepchnęłam, chciało mi się płakać i byłam wściekła. Co za kretyn.

– Ale ty wiesz, że jestem bez pracy?

– Chciałem, żeby nam było dobrze. Żebyśmy drugi raz nie musieli spędzać życia na etatach, mieli jakiś luz, zapas. Próbowałem napisać te książki, ale się nie udało. Wiesz, jak trudno jest napisać książkę? Niby to po prostu tak jak w życiu, ktoś idzie, coś myśli, coś mówi. Rozumiesz, zawsze jak otwieramy usta, to jest jakiś dialog. Ale teraz to ja nie wiem, jak oni to robią, że czytasz i jest jak w życiu, moim zdaniem tak się nie da.

– Już wiem – powiedziałam po chwili, kiedy w końcu się zamknął. – To Bóg cię pokarał za tę żenującą próbę plagiatu. I wiesz co? Jestem po jego stronie. Tylko dlaczego mnie też? Za współudział?

Pokiwał ze smutkiem głową. Siedzieliśmy, milczeliśmy, noc była piękna i rozgwieżdżona, pachniało zwierzętami, z oddali dobiegł nas

ryk słonia, odpowiedziało mu nawoływanie szympansów, jak w jakimś filmie surrealistycznym; gdyby ulicą przejechała goła baba na hipopotamie, nie zdziwiłabym się.

Ludwik ciężko westchnął.

– Teraz został już tylko ten pieprzony francuski – powiedział.

Wolałam nie pytać, o co chodzi. Nie dziś.

Zaduszki

1

Kilka dni przed naszą rocznicą, wtedy, w 2013 roku, musiałam pojechać do Śródmieścia. Do lekarza oczywiście, wtedy był to jeden z niewielu powodów, dla których w ogóle ruszałam się z domu. I jak zawsze, nawyk od czasu mieszkania z dziewczynami na Wilczej, postanowiłam pójść do Włocha na Hożą na kawę i kawałek spumoni. Dopóki nie pojechałam na wycieczkę do Rzymu w latach dziewięćdziesiątych, myślałam, że spumoni to właśnie trójkątny kawałek loda, wycięty z dużego kawałka o kształcie kuli, o smaku czekoladowym lub waniliowym. Oczywiście we Włoszech szukałam ulubionego przysmaku. Szukałam i nie znalazłam. Na miejscu okazało się, że spumoni to trójkolorowy blok o smaku czekoladowym, waniliowym i truskawkowym, a deseru z Hożej – graniastosłupa o wyjątkowej, nierównej, chałwowatej jakby teksturze – w ogóle nie znali. Mimo że w Warszawie robił je prawdziwy Włoch na autentycznej, sprowadzonej z Italii maszynie.

Ot, zagadki wszechświata.

W każdym razie poszłam do lodziarni, która słabo się odnalazła w wolnej Polsce, to ją zamykali, to ją otwierali, to przebudowywali, to zmieniali menu, w latach dziewięćdziesiątych dorabiali nawet sprzedażą jajek, ale koniec końców lody spumoni i filiżankę cappuccino zawsze tam można było dostać. I na taki zestaw poczłapałam ostrożnie Marszałkowską z lecznicy na Waryńskiego, ciesząc się, że chodniki ładnie uprzątnięte i że się nie pośliznę na kawałku stwardniałego śniegu.

Lokal znowu wyglądał inaczej, urządzony wyjątkowo skromnie i na czarno-biało, ale stoliki stały na swoim miejscu, lada z lodami też, za ladą dziwny, ale sympatyczny młodzieniec z rudą brodą do pępka, tatuażami na każdym widocznym skrawku ciała i wzrokiem osoby, która dużo czyta, ale niewiele mówi.

Cóż, nie takie rzeczy można było zobaczyć w Warszawie Anno Domini 2013. Zamówiłam spumoni i cappuccino.

Spumoni nie było.

Spytałam dlaczego.

Bo to jest teraz inny lokal.

Świat poszedł naprzód, bywa, pomyślałam. I ze skromnego wyboru lodów wzięłam kulkę słonego karmelu i kulkę waniliowych. I cappuccino.

Młodzieniec zadał mi wtedy kuriozalne pytanie: sojowe czy owsiane?

Musiałam zrobić nieszczególną minę, bo dał mi jeszcze chwilę i doprecyzował, że chodzi o mleko.

Powiedziałam, że nie trzeba, za stara jestem na eksperymenty, mleko krowie mi wystarczy. Myśląc jednocześnie, że chciałabym zobaczyć dojenie owsa.

Na co młodzieniec cierpliwym tonem, wskazującym na to, że mówi to sto razy dziennie, wyjaśnił, że to jest lokal wegański i nie ma tu żadnych produktów pochodzenia zwierzęcego, w tym krowiego mleka.

Świat poszedł naprzód. Wzięłam z ciekawości owsiane i kiedy parzył kawę, zapytałam, z czego w takim razie robią ciasta i lody, skoro nie używają mleka, śmietany, masła i jajek.

Powiedział, że „z różnych rzeczy" takim tonem, jakby bazą był mus z halucynogennych grzybów, i dodał, że lody na przykład z mleka kokosowego.

Wypiłam taką sobie kawę, zjadłam lody, muszę oddać im sprawiedliwość, że smakowały nieźle, i myślałam o Ludwiku, ponieważ na tablicy z listą napojów zaraz za espresso znajdowała się kawa zbożowa, a o takie rzeczy to nawet w dziwacznym XXI wieku nie było łatwo.

A potem wróciłam do domu i płakałam przez cały wieczór. Za lodami? Za wspomnieniami? Za młodością? Ze smutku za odchodzeniem miejsc zdawałoby się wiecznych? Pewnie za wszystkim po trochu.

Dlatego teraz Ludwik zrobił mi niespodziankę i na pożegnalną przed swoim wyjazdem kawę zabrał mnie właśnie na Hożą do

Włocha. Dwa razy biała kawa, dla niego jak zawsze wuzetka, dla mnie jak zawsze czekoladowe spumoni. Podawał prawdziwy Włoch, mówiący po polsku płynnie, ale z zabawnym akcentem.

– Moglibyśmy mu podpowiedzieć, żeby zaczął robić pizzę – szepnęłam do Ludwika. – Na pewno potrafi, a więcej by na tym zarobił niż na lodach, zwłaszcza w październiku. Co sądzisz?

Faktycznie, mimo podwieczorkowej pory byliśmy jedynymi gośćmi w lokalu. Mało zaskakujące, biorąc pod uwagę, że wczoraj spadł pierwszy śnieg i warszawiacy z dużą agresją odnosili się do wszystkiego co zimne.

– Grażynko, pojedź ze mną – powiedział, nie odpowiadając na pytanie.

– Daj mi spokój. – Poczułam złość. – Tłumaczyłam ci sto razy, że po pierwsze, jak mi znikniesz na dwa tygodnie, to będę mogła skończyć spokojnie książkę i wtedy by się ukazała na wiosnę. Mógłbyś być trochę bardziej wspierający wobec kogoś, kto kiedyś cały płatny urlop przeznaczył na to, żeby panu doktorowi habilitację przepisać na maszynie, wiesz? Po drugie, nie mam ochoty tłuc się na przełomie października i listopada przez północną Europę. Matko Boska, zabierz mnie do Wenecji w maju, obiecuję, że nie będę protestować.

Podniósł obie dłonie w geście kapitulacji i poczekał, aż się uspokoję.

– Chodzi tylko o to, że w świetle tego, co mówił Piotr…

„W świetle tego”, trzymajcie mnie wszyscy anieli. Naprawdę go wybrałam? Może jeszcze nie jest za późno, Adam przysłał mi swój adres w Lyonie, trzymam go w szufladzie na wszelki wypadek.

– Ludwiku najdroższy. Pamiętam, co mówił Piotr, ale nic z tego się nie dzieje. Rząd mniejszościowy sobie rządzi nudno i niespektakularnie, ale spokojnie, prezydent ich wspiera dekretami, reszta gardłuje jak to opozycja, ale nic z tego nie wynika, jedyne zagrożenie, o którym wszyscy mówią, to przedterminowe wybory, żeby wyłonić jakiś bardziej stabilny parlament. Ale zanim się zdecydują, przegłosują, ogłoszą, zanim coś z tego wyniknie, miną miesiące, a ty masz być z powrotem za trzy tygodnie najdalej. Tak mówiłeś.

– Cały czas tak mówię.

– Oto słowo Boże. A teraz połóż rękę na sercu i przysięgnij, że będziesz najostrożniejszym kierowcą świata.

– Przecież nawet pasy bezpieczeństwa kazałem zamontować!

– Ten twój wynalazek to nie jest pas bezpieczeństwa, tylko troczek od plecaka przyszyty do siedzenia. Równie dobrze mógłbyś skakać z chusteczką do nosa zamiast ze spadochronem. Przysięgaj.

Westchnął.

– Przysięgam – powiedział uroczyście, kładąc rękę na sercu.

– Powtarzaj za mną: że będę jechał ostrożnie jak stary dziad, którym dopiero co byłem.

– Że będę jechał ostrożnie jak stary dziad, którym dopiero co byłem.

– I pisał do żony, jak tylko zobaczę pocztę.

Uśmiechnął się do mnie tym swoim uśmiechem najprzystojniejszego mężczyzny świata.

– Nie szczerz się, tylko powtarzaj.

– I pisał do żony, jak tylko zobaczę pocztę.

– To pij kawę, wracamy do domu i sprawdzamy z listą, czy wszystko masz.

I piliśmy, a ja poprawiłam spumoni wuzetką. Obiecałam sobie zacząć na poważnie dbać o linię po czterdziestce, jeszcze dekada mi została.

2

Zawiózł Grażynę do mieszkania na Pradze i pod pretekstem sprawdzenia jakiejś mechanicznej rzeczy u Baltazara przejechał przez most Gdański na drugą stronę Wisły i zaparkował pod Superjednostką Mieszkalną Numer 3. Na parterze skinął głową panu Eugeniuszowi, gotów zamienić dwa słowa, ale ten udał, że go nie zauważa – zapewne uznał, że Ludwik, rozstając się z żoną, porzucił też jego i cały budynek. Potem wsiadł do windy razem z dwiema kobietami z korbiarkami na plecach i chwilę potem, cokolwiek

spięty, pukał do swojego starego mieszkania. Dochodziła osiemnasta, Iwona powinna już być w domu.

Była. Otworzyła mu w szlafroku, z papierosem w dłoni.

– Muszę przyznać, że to nieoczekiwana wizyta – powiedziała.

– Tylko na moment.

Nie wyglądała jak ktoś, kto ma zamiar go wpuścić.

– Momencik. Dwie krótkie sprawy.

– Słucham.

Rozejrzał się po korytarzu. Byli sami, ale trudno było uznać otoczenie za sprzyjające intymnej rozmowie.

– Pierwsza. Chciałbym, żebyś wiedziała, że wszystko to, co wydarzyło się między nami, miłość, małżeństwo, wszystkie lepsze i gorsze chwile, rozmowy, codzienność cała, że wszystko to bardzo wiele dla mnie znaczy, że ukształtowało mnie jako człowieka i jako mężczyznę i że nigdy tego nie zapomnę.

Strzepnęła popiół na wycieraczkę.

– Rozumiem, co do mnie mówisz, i doceniam – powiedziała w końcu. – Wzajemnie.

– Druga. Miałem taki sen, w którym jestem bardzo starym człowiekiem i ze wszystkich ludzi, którzy mnie przez całe życie otaczali, tylko ty jeszcze jesteś przy życiu.

Uniosła jedną brew, ale nie skomentowała. Wyciągnął z aktówki grubą brązową kopertę.

– Gdyby coś się stało. W środku są dwa listy, jeden do ciebie.

– A drugi do niej?

Skinął głową.

Długo na niego patrzyła, w końcu wyciągnęła rękę i zabrała brązową kopertę.

– Powodzenia – powiedziała.

– Szczęścia – odparł.

– Ko, ko – skomentowała Zofia, która znienacka pojawiła się na wycieraczce.

3

Matko Boska Przenajświętsza, ależ to na mnie tego wieczoru spadło nieoczekiwanie. Nie wiem, może dosypał mi czegoś do jedzenia, a może miałam owulację, a może matka natura, bogini płodności, święta Anna, czy kto się tam tym zajmuje, wskazała na mnie palcem i powiedziała: teraz. Nie myślałam w ogóle o seksie, zbyt byliśmy zajęci prowiantem, mapami, termosami, zapasem kawy zbożowej, ubraniami, częściami zamiennymi do samochodu, przeliczaniem i układaniem w osobnych przegródkach portfela marek i franków i całym tym szpejem, który w latach sześćdziesiątych do podróżowania był niezbędny, a w który pięćdziesiąt lat później można się będzie zaopatrzyć na każdej stacji benzynowej, co sprawiało, że aby ruszyć w drogę, człowiek będzie potrzebował jedynie prawa jazdy i karty kredytowej. I decyzji.

Po północy walnęłam się zmęczona całym dniem ganiania na łóżko obok Ludwika, który właśnie nastawiał budzik, z myślą, że tylko pięć minut odsapnę, a potem pójdę umyć zęby. I nagle zalała mnie fala pożądania, ze świadomej, zajmującej się obowiązkami odpowiedzialnej kobiety zamieniłam się w zwierzę w rui, chciałam, żeby mnie wziął i żeby mi było dobrze, reszta świata zniknęła.

Wróć: właściwie to ja chciałam go wziąć.

Podniosłam się, wyjęłam mu z rąk cholerny budzik wielkości zegara z kurantem, ściągnęłam mu spodnie i jak tylko dostał wzwodu, usiadłam na nim, nie bawiąc się w ceregiele czy czułości, nie bawiąc się nawet w ściąganie bluzki czy bielizny, odchyliłam na bok majtki i postanowiłam pomyśleć tylko o sobie. A właściwie przestać myśleć o sobie. A właściwie w ogóle nie myśleć. A właściwie w ogóle kompletnie i totalnie nie myśleć, było mi tak dobrze. Zamknęłam oczy i skupiłam się na własnym ciele i na tym, co się w nim działo. A działo się to, że nadchodził, jak zwykle u mnie gdzieś z tyłu, nie z dołu brzucha, a spomiędzy pośladków, z okolic kości ogonowej, niezwykły orgazm.

Ukucnęłam, kładąc mu ręce na klatce piersiowej i tak mocno wczepiając się palcami w jego owłosienie, że jęknął z bólu, co było

mi kompletnie obojętne, resztkę świadomości skupiłam na tym, żeby nie zgubić rytmu, jeszcze tylko przez chwilę. Wydawało mi się, że on już doszedł, krzyczał z rozkoszy albo z bólu pod moimi paznokciami, wstrząsały nim pode mną i we mnie spazmy, ale nie dbałam o to, nie miałam w sobie przestrzeni na żadne troski, na myślenie o innych, na to, czy umrze, czy przeżyje, czy nie, chciałam tylko, żeby ten rytm utrzymał jeszcze przez kilka sekund, dwie, jedną, o Matko Boska Przenajświętsza.

Kiedy już się zaczął, to trwał i trwał, i trwał, nie było we mnie żadnej inne myśli ani emocji, czułam w nim echo wszystkich swoich orgazmów, odkąd pierwszy raz się dotknęliśmy, czułam echo tego pierwszego styczniowego mroźnego dnia w 1963 roku.

Jak to mówią: wszystkie orgazmy przeleciały mi przed oczami.

4

Czuł się młodo, jak zawsze. Młodo i jak to się mówiło, waszebiście. Śnieg stopniał, droga prosta i pusta, w ciele wspomnienie wczorajszego seksu, bak pełen, a w głowie entuzjazm, optymizm i plany na przyszłość. Nie przeszkadzało mu nawet to, że nie istniało w tej wersji Polski coś takiego jak autostrada ani coś takiego jak droga szybkiego ruchu, ani w ogóle, psiakrew, nic takiego jak normalna droga, czuł się jak człowiek skazany za jakieś straszliwe zbrodnie na oglądanie niekończącego się dokumentu o Polsce prowincjonalnej. Błonie, Sochaczew, Łowicz, Kutno, Krośniewice, wszystko to zlewało mu się w jeden wielki urbanistyczny bezkształt, myślał, że dojedzie na obiad do Poznania, ale podróż tymi wszystkimi miastami, miasteczkami i wsiami trwała tyle, że żołądek przyklejał mu się do kręgosłupa już w Koninie i tam też zjadł pomidorówkę i schabowego z ziemniakami, popijając mętnym kompotem. Wierny najważniejszemu przykazaniu polskiego kierowcy, że jeśli jesz byle gdzie, to zamawiaj to, co zamawiają wszyscy, i nic mielonego.

I tak jak jeszcze wczoraj planował, że może nawet uda się przelecieć przez NRD, to po południu, kiedy wjechał do

Świebodzina, okaleczonego ciągle przez wojnę jak wszystko na Ziemiach Odzyskanych, postanowił się zatrzymać na nocleg. Mając nadzieję, że nawet jeśli Niemców już w mieście nie ma, to może chociaż zostały artefakty przedwojennej cywilizacji w postaci ładnych pokoi i wygodnych łóżek. Zabawne, że na niemieckiej mapie drogowej z końca lat pięćdziesiątych, której używał w podróży, granica między Polską a Niemcami zaznaczona była jako „granica zony", a faktyczna przebiegała tak jak przed wojną. Świebodzin występował tam jako Schwiebus, niemieccy kartografowie nie zadali sobie nawet trudu, żeby w nawiasie wpisać polską nazwę. Ot, w małych rzeczach można poznać miejsce Polski w Europie, pomyślał. I że w sumie nawet nie wie, czy w związku ze zbliżeniem między Adenauerem, de Gaulle'em i Kwiatkowskim została już uznana zachodnia granica Polski. W prawdziwym świecie kiedy to nastąpiło? W latach siedemdziesiątych dopiero.

Zjadł doskonałą soliankę i jeszcze lepsze pielmieni, menu w oryginalnym Schwiebusie zapewne nieznane, ale w zasiedlonym częściowo przez kresowiaków Świebodzinie jak najbardziej. Słuchał, jak kelnerka, kucharka i właścicielka w jednym wykłóca się z kimś śpiewną gwarą, i pomyślał, że barwna wydaje się ta Polska tego czasu, bardziej mięsista niż dwudziestopierwszowieczna, gdzie wszystko jakieś takie jest identyczne i standardowe. Trzeba będzie nadrobić i popodróżować trochę z Grażynką, pięćdziesiąt lat tak bardzo zajęty był pacjentami i karierą, że prawie nosa z Warszawy nie wyściubiał, tyle co na wakacje.

Dużo, dużo pomysłów na fajne życie, ale jeśli plan się powiedzie – wszystko to uda się zrealizować, a nawet więcej.

5

Wczorajsza miłość wyczerpała mnie tak, że nie tyle usnęłam, co straciłam przytomność, a rano musiałam spać tak mocno, że jak się obudziłam, słońce stało wysoko, a łóżko po stronie Ludwika już wystygło. Najpierw mi się zrobiło smutno, że mnie nie obudził,

a potem pomyślałam, że po takim wspaniałym pożegnaniu – nie musiał.

6

Wstał o świcie, co o tej porze roku oznaczało wylegiwanie się w pościeli do siódmej, zjadł jajecznicę ze skwarkami, zatankował do pełna, żeby nie musieć się zatrzymywać w NRD, i ruszył w trasę pod tym niepowtarzalnym środkowoeuropejskim niebem o barwie przedwczorajszych zwłok. Na zachód.

Po pięćdziesięciu kilometrach dojechał do granicy, która w niczym nie przypominała stojącej na moście nad Odrą tabliczki „Wilkommen in Bundesrepublik Deutschland", znanej z czasów Unii Europejskiej. Po obu stronach rzeki graniczne zabudowania przypominały fortece, dwa zamki ostrzeliwujące się regularnie z armat, pełno tu było betonowych umocnień, wieżyczek strzelniczych, szlabanów i zwojów drutu kolczastego.

Polacy przybili pieczątkę i puścili go dalej, Niemcy sowieccy za to z rana prezentowali jeszcze dużo zapału, przetrzepali samochód, zajrzeli do bagażu i bardzo się zainteresowali jego rysunkami, które wiózł do Francji. Na szczęście akurat niemieckim władał biegle, jak większość liczących się naukowców w jego fachu, gdzie wszystkie fundamentalne dzieła napisano w języku Freuda i Junga. Dlatego udało mu się wytłumaczyć, o co chodzi, rozluźnić atmosferę, pogadać o sporcie i w końcu mógł wskoczyć na autostradę. Bynajmniej nie odetchnął z ulgą, przebywanie w radzieckiej strefie wpływów napełniło go bliskim paniki niepokojem, widok warownego przejścia granicznego uświadomił mu z całą mocą, jak fatalnie musi wpływać na Polskę „obwarzanek" prosowieckich państw, otaczających ją z każdej strony.

Dlatego wyciskał ze swojego citroëna siódme poty. Zorza z łatwością mknęła do przodu, kołysząc się dostojnie na hydropneumatycznym zawieszeniu, minął Berlin, minął Magdeburg i po zaledwie dwóch godzinach zatrzymał się przed szlabanem w Helmstedt. Nad Odrą tego nie odczuł, ale tutaj granica mogła

posłużyć za ilustrację różnic między ustrojami. Po stronie NRD po horyzont w jedną i drugą stronę ciągnęły się wieże strażnicze, zasieki, mury, płoty i pasy zaoranej ziemi, a pogranicznicy wpatrywali się w jego paszport tak, jakby godzinę później mieli zdawać egzamin z jego znajomości, za którego oblanie groziła kara śmierci.

Po drugiej stronie stał niewielki posterunek, znudzony oficer zapytał o cel podróży, wbił pieczątkę i podniósł szlaban.

Dopiero wtedy Ludwik odetchnął z ulgą. Dochodziła trzynasta. Jeśli nic się nie przydarzy, to nawet z długą przerwą na posiłek dotrze dziś do Karlsruhe.

Dotarł. No prawie, bo zmęczony pogubił drogę i po zjechaniu z autostrady zamiast do Karlsruhe trafił do uroczego miasteczka Ettlingen, a w nim do hotelu Enge. Tam stali bywalcy baru, zorientowawszy się, że jest z Polski i mówi po niemiecku, wciągnęli go w rozmowę o przyszłości Europy żywcem przeniesioną z XXI wieku, dziwaczne, zakręcone déjà vu. Oczy mu się kleiły, ale jako Polak z krwi i kości chętnie wziął udział w pełnej emocji dyskusji, która niczego nie zmieniała i do niczego nie prowadziła, chociaż każdy z dyskutantów sprawiał wrażenie władnego do decydowania o losach świata. Cały wieczór nie mógł przestać się zastanawiać, co ci sympatyczni pięćdziesięciolatkowie robili dwadzieścia lat wcześniej. Polska choroba, wiadomo.

Rano poszedł na kawę na rynek, wysłał Grażynie pocztówkę i ruszył dalej. Półtorej godziny drogi, niestety już bez autostrady, jeszcze raz podwójne oglądanie paszportu, most na Renie i wjechał do Strasburga. Miał nadzieję pokonać dziś resztę trasy, ale nie dojechał nawet do Miluzy, kiedy na poważnie zaczął się bać, że trafi go nagła kurwica, przez co końca dobiegnie nie tylko jego przygoda, ale życie w ogóle.

Francuskie drogi to był koszmar. Beznadziejne, wąskie i przechodzące przez każdą najmniejszą mieścinę, łącznie z takimi, z których istnienia jego mapa Michelina nie zdawała sobie sprawy. Jak w Polsce, tyle tylko że po kraju będącym wielkim, płaskim

plackiem idą w miarę prosto, a wiejska cywilizacja nie stawia im trudnych do sforsowania barier. We Francji droga wiła się niczym jelito cienkie, przejazd przez każde miasteczko przypominał odcinek specjalny przez urbanistyczny labirynt, z drogami jednokierunkowymi, bramami i zakrętami o dziewięćdziesiąt stopni, gdzie narożnik kamienicy zasłaniał sto procent widoczności. Za każdym razem przymykał wtedy oczy, gotowy na najgorsze, nie mając pojęcia, czy wyjedzie na pustą drogę, czy na jadącą z naprzeciwka kamionetkę z mlekiem, której kierowca korzysta do ostatniej tysięcznej promila z liberalnych francuskich norm dopuszczalnego poziomu alkoholu we krwi.

Na dodatek po polskich beznadziejnych drogach jeździło niewiele aut. W bogatej Francji ruch był zauważalnie gęstszy, wszędzie robiły się korki, do tego dochodziła inna kultura jazdy, w ramach której mieściło się zatrzymanie pośrodku jezdni, wyskoczenie po bagietkę i wypicie kawy przy okazji, skoro już się spotkało przypadkiem starego znajomego.

Spodziewał się w porze lunchu widzieć już Alpy, ale zatrzymał się w pięknym jak bajkowa scenografia Colmar, zdając sobie sprawę, że jeśli przegapi porę karmienia, to następna szansa na ciepły posiłek nadarzy się o siódmej. W czasie obiadu trzy razy został zaczepiony przez Francuzów, zaciekawionych, czy podoba mu się Francja i dlaczego tak bardzo, i co sądzi tak szczerze o wspaniałych alzackich winach, które są najlepsze na świecie. Za trzecim razem nie wytrzymał i odparł, że żałuje, że nie ma samolotu, nie musiałby wtedy korzystać z tutejszych dróg. Uśmiali się, zgodzili z nim w stu procentach, poklepali po plecach i postawili kubeczek grzańca z pływającą gwiazdką anyżku. Pił skromnie, ale z każdym łyczkiem zakochiwał się w tym smaku bardziej i obiecał sobie kupić w drodze powrotnej skrzynkę alzackiego wina, żeby przygotować napój w Warszawie, na polską zimę będzie jak znalazł.

Po posiłku dokonał obliczeń, korzystając z mapy, notesu oraz ołówka, i wyszło mu, że do celu ma jeszcze czterysta kilometrów. Siedem godzin przy pomyślnych wiatrach. Dochodziła czternasta, czyli realnie byłby około dwudziestej drugiej. Czy znajdzie tam jakiś hotel o tej porze? Spojrzał jeszcze raz na mapę. Jeśli nie, najbliższa

większa miejscowość to Grenoble, tam na pewno są hotele z całodobową recepcją.

Tak, Grenoble, uśmiechnął się do siebie, szczęśliwy. To już brzmiało prawie jak Alpy.

Anawa!

7

Zadowolona, że wymyśliłam tytuł dla swojej książki – *Rodzina jako kombinat* – i że w miarę sprawnie uwinęłam się z rozdziałem o planowaniu cyklicznych i przewidywalnych czynności, które w gospodarstwie domowym trzeba robić zawsze – utknęłam na macierzyństwie, zastanawiając się, czy i w jakim stopniu powinnam uwzględnić macierzyństwo samotne. Ludzie w latach sześćdziesiątych nie rozwodzili się tak ochoczo jak pięćdziesiąt lat później, ale oznaczało to głównie to, że mniej było rozwodów z cywilizowanym dzieleniem opieki nad dziećmi, a więcej przypadków, kiedy mężczyzna wychodził do kiosku po papierosy i znikał bez śladu. Oczywiście uznałam, że trzeba to uwzględnić, ale jak rozłożyć akcenty? Bardziej na wsparcie duchowe i zrozumienie, walcząc z seksistowskim przeświadczeniem, że kobieta samotna to kobieta wybrakowana? Czy może uznać, że tak jest i tyle, i skupić się na praktycznej stronie rozwiązywania problemów w pojedynkę. Przyszło mi do głowy pierwsze zdanie: samotne matki, nawet nie wiecie, jakie macie szczęście, że żaden facet wam nie przeszkadza!

Parsknęłam śmiechem i wtedy ktoś zapukał.

Chryste Panie, to jak żart wygląda, drugi dzień dopiero jestem sama i już mnie ktoś nachodzi, żeby truć dupę.

Piotrek.

– Bracie, kocham cię jak brata, ale mam nadzieję, że to coś ważnego. Ludwik wyjechał, mam dwa tygodnie, żeby skończyć książkę, i spędzę czas z tobą tylko wtedy, jeśli dowiedziałeś się właśnie, że masz raka i został ci tydzień życia.

– Nie dramatyzuj, tylko kawy zrób – powiedział i wepchnął się do środka. – Tylko żeby mocna była i nie zbożowa. Kto w ogóle pije

kawę zbożową?

– Nie zaczynaj.

– Gdzie twój żonaty narzeczony?

– Powiedziałam: nie zaczynaj. Pojechał do Francji w interesach. I po rozwodzie jest od tygodnia.

Rozsiadł się na kanapie, a ja poszłam do kuchni nastawić zakręcaną maszynkę do kawy.

– Słyszałaś, co się stało?

– Co się stało?! – odkrzyknęłam.

– Głosowanie.

Wróciłam do niego z pudełkiem ptasiego mleczka.

– Co głosowanie?

– Ty się w ogóle czymś interesujesz?

– Makijażem i sukienkami, wiesz, jakie my dziewczynki jesteśmy. – Zachichotałam. – Pocałuj mnie w dupę, pracuję i nie wychodzę z domu.

– Głosowali dziś dekret prezydenta o tym, żeby francuski stał się drugim językiem urzędowym. Podobno nawet jego partia mu to odradzała, ale się uparł. Przekonywał w sejmie, że albo uciekniemy do przodu, w stronę Europy, albo populiści razem z Rosjanami nas dopadną i zjedzą, że należymy do wspólnoty wartości, że kiedyś z tego powstanie bezpieczna Europa bez granic, kontynent przyjaźni, inteligenckie bajki. Wyśmiali staruszka prawie wszyscy. A potem wytoczyli działa tożsamości, tradycji, religii i niezawisłości, straszyli rozbiorem Polski, kondominium, cały repertuar.

– Przyznaj, że ciężko się z Inżynierem nie zgodzić. – Wzruszyłam ramionami. – Traktaty nam w trzydziestym dziewiątym niewiele dały, im bardziej się spleciemy z Zachodem na wiele codziennych sposobów, tym lepiej.

– Ludzie są przeciwko.

– Głos ludu jest przereklamowany. Osobiście po wszystkim, co przeżyłam – spojrzał na mnie dziwnie, ale już nie chciało mi się poprawiać – jestem za tym, żeby władza była mądrzejsza od obywatela, przecież tylko dlatego Polska dziś istnieje, że kilka razy udało się ją obronić przed Polakami. Nie rób z siebie hiperdemokraty, za mądry na to jesteś, zaczekaj chwilę.

Usłyszałam, że czajniczek skończył pyrkotać, i poszłam nalać nam kawy. Przy ekspresie stała puszka zbożówki. Ukłuła mnie tęsknota. Irracjonalna, przecież dwa dni nie minęły, jak Ludwik wyjechał. Ale jednak. Zaniosłam kawę do salonu.

– Inżynier przegrał głosowanie.

To mnie zaskoczyło.

– Co ty opowiadasz, przecież potrzeba dwóch trzecich głosów, żeby obalić dekret.

– Wszyscy byli przeciwko oprócz inżynierskich, a razem mają sześćdziesiąt siedem procent. Przyszli co do jednego, posła chorego od Giertycha przynieśli na łóżku szpitalnym i pod kroplówką, żeby tylko mógł zagłosować.

Zastanowiłam się.

– Cholerni chłopi – powiedziałam w końcu. – Może faktycznie jest jeszcze za wcześnie u nas na Europę, ale krzywda się przecież nikomu nie stała. Ten parlament i tak nie mógł trwać wiecznie.

Pokiwał głową na boki, że może nie, a może tak.

– Po głosowaniu Wycech ustąpił i szefem PSL-u został Gucwa. Same najgorsze rzeczy o nim słyszałem. Na wakacje do Soczi jeździ, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

– I co to oznacza twoim zdaniem? Że jednak zrobią przedterminowe wybory?

– Myślę, że zrobią zamach stanu.

Parsknęłam śmiechem.

– Twój pesymizm nawet jak na Polskę bije rekordy. Daj spokój.

Czekałam, aż się roześmieje, powie jakiś głupi żart, ale on siedział z kamienną twarzą, śmiertelnie poważny.

– Proszę cię, Grażka, przynajmniej wyjedź z Warszawy. Weź Lucynę, ona jest dobrze zorganizowana, we dwie dacie sobie radę. Jeśli coś się zacznie na serio, ja jestem w pierwszej setce do zgarnięcia, nie będę mógł cię ostrzec. Co ci za różnica, gdzie piszesz tę swoją książkę dla kucharek.

– Nie bądź seksistowski.

– Przy siostrze? Oszalałaś?

– Jezu, seksistowski znaczy dyskryminujący kobiety. Musisz być tym wojskowym z dowcipów o durnych trepach? Piszę książkę

o tym, jak mieć fajną rodzinę i fajny dom, uważasz, że to lektura tylko dla kobiet?

– A dla kogo?

Nie żartował. Jego zdziwienie było autentyczne, szczere i totalne, a ja nie po raz pierwszy pomyślałam, że być może się z tą książką pospieszyłam o jakieś trzy dekady. No cóż, zobaczymy.

– Wyjechałabym chociażby po to, żebyś się ode mnie odpieprzył w końcu, ale sąsiadka z dołu ma telefon i Ludwik może do niej dzwonić, tak się umówiliśmy. Obiecuję, że jak wróci z Francji, to pryśniemy na wieś, zakopiemy paszporty w bezpiecznym miejscu i będziemy czekać na twój zamach stanu.

– Nie mój, niestety – powiedział i westchnął ciężko, wkładając sobie do ust trzy kawałki ptasiego mleczka naraz.

8

Trzech mężczyzn kończyło posiłek w milczeniu. Ludwik powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, i miał nadzieję, że mimo koszmarnych błędów językowych, które sam słyszał w każdym zdaniu, został zrozumiany. Dopijał kieliszek czerwonego wina i czekał. Emile Allais, szpakowaty pięćdziesięciolatek i chyba najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego Ludwik kiedykolwiek widział, a zarazem legenda alpejskiego narciarstwa, spokojnie palił jednego papierosa za drugim. Obok niego Abel Rossignol, na oko równolatek Allaisa, o zażywnej posturze karczmarza, czyścił talerz po wołowinie po burgundzku kawałkami bagietki z takim namaszczeniem, jakby chciał w ten sposób wysterylizować naczynie, by używać go potem w badaniach laboratoryjnych.

– Wypadałoby, żebyśmy pojechali z panem do warsztatu – powiedział.

Allais podniósł rękę z papierosem.

– Kawę i rachunek, jeśli łaska! – zawołał.

Kazali mu zostawić zorzę pod pensjonatem i pojechali razem rozklekotaną furgonetką na obrzeża miasteczka. Tutaj czuć już było

góry i nawet nie o to chodzi, że wyrastały na horyzoncie, chodziło o coś innego, coś w powietrzu, w zapachu, coś, co zawsze bezbłędnie wyczuwał na wiele kilometrów, zwłaszcza kiedy zbliżała się zima.

Zaparkowali koło kilku niewielkich budynków gospodarczych. Nie powiewały przed nimi żadne flagi, nie błyskały logotypy, wielka litera R nie kręciła się na wysokim maszcie. Tylko przy wejściu do biura przykręcono tabliczkę z napisem „Rossignol", a obok przybito dwie skrzyżowane ze sobą narty. Słodkie czasy, kiedy sprzęt sportowy robili inżynierowie razem ze sportowcami, a nie handlarze pozłotkiem.

Weszli do ostatniego w szeregu budynku, w zauważalny sposób najstarszego ze wszystkich, pachniało drewnem i klejem, wszędzie walały się deski, laminaty, maszyny i urządzenia, których przeznaczenia nie rozumiał.

– To pierwszy zakład – wyjaśnił Abel. – Mój ojciec zrobił tu swoje narty i nauczył mnie stolarstwa. Uwierzyłby pan, że narty to było wtedy dziwaczne hobby dla kogoś, kto zbił majątek na czółenkach i szpulkach do przemysłu tkackiego?

Ludwik uśmiechnął się ze zrozumieniem, choć ostatniego zdania kompletnie nie zrozumiał. Rossignol zdjął z wieszaka błękitny drelichowy fartuch i założył na siebie.

– Pan mnie interesuje. Przychodzi do nas trochę ludzi, zwykle to domorośli sportowcy, którzy bardzo wierzą w swój talent i potrzebują darmowej pary nart, żeby go rozwinąć. Sporo też szpiegów od konkurencji, którzy udają dziennikarzy albo kandydatów na uczniów, żeby wykraść nasze tajemnice. Trochę ludzi szukających pracy. Ale taki przypadek widzę pierwszy raz. Kim pan jest z zawodu?

– Psychologiem.

– I co robi taki psycholog?

– Rozmawia z ludźmi i oni dzięki temu czują się lepiej.

Francuzi wymienili spojrzenia, mówiące „Słowianie, lepiej nie dopytywać". Rossignol zdjął z półki szeroki kawałek drewnianego laminatu i położył na długim stole.

– Nie mówię, że to zrobię, ale dla rozrywki, proszę. – To mówiąc, wręczył mu płaski stolarski ołówek.

– To jest ślad narciarski – zaczął Ludwik, rysując na desce charakterystyczny szlaczek. – Zakręt, zakręt, zakręt. Łuk, łuk, łuk. Kiedyś, to znaczy teraz też, tak trudno się nauczyć jeździć na nartach, ponieważ trudno nimi skręcać. Są długie, ciężkie, a najmniejszy błąd kończy się upadkiem. Wielu ludzi to od narciarstwa odstrasza, a teraz wyobraźmy sobie nartę, która właściwie sama skręca. Łuk, łuk, łuk.

Oczekiwał kpin, ale Francuzi patrzyli z zainteresowaniem.

– Narysuję wam wasze narty. Ponad dwa metry, proste krawędzie, z góry przypomina to ołówek, cienki, długi prostokąt.

Narysował. Szkic mógł być absolutnie wszystkim.

– A teraz rysuję swoją. Jesteśmy podobnego wzrostu, około metra siedemdziesięciu pięciu, według mojego projektu narta dla nas miałaby metr sześćdziesiąt pięć i taki oto kształt wydłużonej klepsydry z mocnym wcięciem w talii. – Przydały się francuskie ćwiczenia z Grażyną. – Wasza narta ma wszędzie około ośmiu centymetrów szerokości. Ja proponuję, żeby miała tyle w środku, a z przodu i z tyłu żeby się rozszerzała do trzynastu, czternastu centymetrów.

Oczekiwał wybuchu śmiechu.

– Dlaczego akurat tyle? – zapytał rzeczowo Rossignol.

– Mówię mniej więcej, ważne, żeby ta krzywizna – poprawił ołówkiem jedną z krawędzi narty – stanowiła wycinek okręgu. Wymiary będą różne, w zależności od tego, jak duże łuki ma robić narta.

– Mniejsze dla slalomu, większe dla zjazdu – powiedział Allais. – Ciekawe. A jak wygląda wtedy technika jazdy pana zdaniem?

– Można oczywiście jeździć jak na normalnych nartach, tak ja pan to wymyślił, rotation-ruade. Tylko jaki jest problem z tą techniką? Przy każdym zakręcie wytracamy szybkość. Za to na tych nartach wystarczy przenieść ciężar na obie krawędzie – wyciągnął przed siebie dłonie na płask i przekręcił obie o czterdzieści pięć stopni – i narta sama jedzie po łuku, zależnym od krzywizny krawędzi jak lokomotywa po szynach. I nie zwalnia, tylko przyspiesza. Potem

przenosimy ciężar – przestawił dłonie – i bierzemy zakręt w drugą stronę…

– A narta ciągle przyspiesza. – W oczach Allaisa pojawił się błysk, zawodowemu sportowcowi użycie w jednym zdaniu kilka razy słowa „przyspiesza” przemówiło najwidoczniej do wyobraźni.

– Dla sportowca same zalety. Dla amatora tym bardziej, bo łatwiej kontrolować narty. Wystarczy się przechylić, nawet byle jak i rozpaczliwie, a narty i tak jakoś tam skręcą. I teraz pytanie, jakie narty wybiorą ludzie zachęceni budową nowych wyciągów w Alpach. Takie, które im pozwolą się bawić już w tym sezonie, czy takie, które opanują za trzy lata, jeśli dobrze się przyłożą do nauki?

Allais i Rossignol patrzyli bez słowa na proste rysunki.

– Dwa pytania – powiedział Rossignol. – Trzy właściwie.

– Słucham.

– Psycholog tego nie wymyślił.

– Ale uważny narciarz, który widział stare norweskie narty w takim kształcie i który ma przyjaciela stolarza, już tak.

– Dlaczego pan tego nie zrobi w Polsce?

– Bo chcę na tym zarobić. I wolę sprzedać to firmie, która zaopatruje w sprzęt mistrzów olimpijskich, niż skończyć na trzech prototypach, które będę trzymał w pasterskim szałasie w maleńkich polskich górach.

Rossignol pokiwał głową.

– Żeby było jasne, uważam, że to się nie uda, ale gdyby jednak, to ile pan za to chce?

– Trzy procent od każdej waszej pary nart z tym systemem. I piętnaście procent od sublicencji.

Znowu zamilkli. Tym razem każdy z nich utkwił wzrok w innym kącie warsztatu.

– Jeśli – przerwał milczenie Rossignol – podkreślam: jeśli, to okaże się na tyle interesujące, że kupimy od pana ten patent, zapłacę panu sto tysięcy nowych franków.

Ludwik szybko obliczył, że to by było około dwudziestu tysięcy dolarów. Za patent, który zrewolucjonizuje narciarstwo. I to już teraz, na trzydzieści lat, zanim w rzeczywistości zostaną opracowane narty carvingowe, wolne żarty.

– Nie ma mowy. Trzy procent od nart, piętnaście od sublicencji.

– Jeden i dziesięć.

– Dwa i trzynaście.

– Dwa i dwanaście.

– Zgoda.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Niech pan przyjdzie na kolację, ja mieszkam tutaj w domu za warsztatem. Napijemy się i podpiszemy umowę. Żona pana chętnie pozna, nasz syn służył w Algierii i historie, jakie opowiadał o Polakach, no muszę panu powiedzieć, że połowę miałem za zmyślone.

Niestety wątpię, pomyślał Ludwik, jednocześnie nie uszło jego uwadze, że Allais skrzywił się niezauważalnie, być może nie był takim wielkim entuzjastą wojny o kolonie jak jego wspólnik.

Spotkanie dobiegło końca, miał zamiar spytać wieczorem, ile zajmie zrobienie prototypu, ale spodziewał się, że będzie musiał czekać dwa, może trzy tygodnie. Z innym pytaniem nie mógł jednak zwlekać, nosił je w sobie całą drogę.

– Chciałbym jeszcze panów spytać, czy można gdzieś już jeździć. Wiem, że zima dopiero się zaczyna, ale skoro i tak przejechałem całą Europę…

Rossignol roześmiał się serdecznie.

– Proszę pana, za trzy dni klej wyschnie i jedziemy wszyscy do Courchevel wypróbować pański wynalazek. I pan na nim pierwszy zjedzie, wie pan, tak jak inżynier musi przejść przez nowy most.

Mało nie krzyknął ze szczęścia.

9

Wychowanie nie dzieje się jednego dnia. Kiedy powali nas grypa i nastoletni syn przyniesie nam herbatę z sokiem malinowym albo wręcz przeciwnie, przejdzie obojętnie koło naszego łóżka – to nie dlatego, że akurat ma lepszy czy gorszy dzień. Jak się tego dnia zachowa, zależy od lat pracy, setek tysięcy, a może i milionów małych decyzji. Nie da się podjąć tych decyzji jeszcze raz, naprawić

popełnionych błędów, czas biegnie tylko w jedną stronę. Dlatego warto mieć dobry plan.

Takimi słowami zaczęłam rozdział poświęcony wychowaniu dzieci. I uznałam, że zrobię sobie kawy, zawsze najbardziej się męczyłam przy takich ogólnych fragmentach, potem mogłam już porządkować treść na punkty i podpunkty, jak lubiłam najbardziej, przedstawiać konkretne rozwiązania. Ale wstępy, zakończenia i różne dywagacje, no to był koszmar. Czułam, że są potrzebne, i mniej więcej wiedziałam, co powinno w nich być, ale ubieranie w słowa nie konkretów, lecz idei i emocji wyczerpywało mnie fizycznie, jakby ten ośrodek w mózgu był u mnie słabo rozwinięty i męczył się przy byle wysiłku.

Czyli kawa. Wypiłam już dziś dwie, więc zaparzyłam sobie ludwikowej zbożowej – znowu czując ukłucie tęsknoty, tym razem mocniej – często tak robiłam, ale nigdy mu się nie przyznałam, nie chcąc stracić możliwości nabijania się z niego. Zabawne, ponad pięćdziesiąt lat i nigdy mi się to nie znudziło. Jak pierwszy raz przyszłam do niego na terapię i zapytał, czy zaparzyć mi kawy zbożowej, myślałam, że to żart. No bo na Boga Ojca Jedynego, który dorosły z własnej woli piję inkę? Przecież to brzmi jak historia z czasów okupacji, ludzie suszą na piecu cykorię, żeby ją potem utłuc w moździerzu i zrobić „kawę". Nazywanie tego w ogóle kawą to nieporozumienie. Tak sobie myśląc, dolałam mleka, posłodziłam i stanęłam przy oknie, wychodzącym na ulicę.

Ostatni dzień października był ponury i dżdżysty, a Warszawa – przynajmniej ten kawałek, który miałam przed oczami – wydawała się wyludniona. Normalne, wszyscy tu skądś przyjechali, wszyscy pojechali na groby w rodzinne strony. Też powinnam odwiedzić grób ojca, ale napisałam tylko list do matki, że muszę skończyć książkę i że przyjadę później, może uda się namówić Piotrka, żeby wziął urlopu dwa dni, fajna by była taka rodzinna wyprawa.

Skorzystałam z tego, że i tak mam przerwę, i zeszłam do sąsiadki na dół. Miała męża prokuratora, dlatego zainstalowali im telefon. Spytam, czy Ludwik może nie dzwonił, to już prawie tydzień, jak go nie ma.

Zapukałam, otworzyła mi z dziwnym wyrazem twarzy, przez ramię miała przewieszoną stertę ubrań, jakby sprzątała albo się pakowała, może też na groby jedzie.

– Przepraszam, widzę, że nie w porę. Ja tylko chciałam spytać, czy mój narzeczony nie dzwonił.

– Jak dzwonił, jak telefony nie działają.

– Jakaś awaria? – spytałam grzecznie.

Spojrzała na mnie, jakby spomiędzy oczu wyrósł mi nagle długi palec i zaczął dłubać w nosie.

– Awaria? Przecież wyłączyli. Ze względów bezpieczeństwa. – Roześmiała się cokolwiek histerycznie.

Poczułam niepokój.

– Przepraszam, ale ja w domu pracuję i w ogóle nie wychodzę, a radia nie słucham…

– Radio też nie działa, Szopena puszczają i hymn polski co godzinę.

Niepokój stał się wspomnieniem. Poczułam strach, mdląca groza chwyciła mnie za gardło.

– Co się stało?

Rozejrzała się po klatce schodowej i wciągnęła mnie do mieszkania, drzwi zamknęła na oba zamki. Pomyślałam, że polski gen wiecznej konspiracji szybko się uaktywnia.

– Jak to co? Zamach stanu. W nocy zebrało się zgromadzenie narodowe, wszystkie partie opozycyjne powołały Front Jedności Narodu albo Front Jedności Narodowej, jakoś tak. Najpierw uchwalili, że nasz udział w wojnie w Algierii był zdradą stanu, i na mocy uchwały zamknęli albo odwołali wszystkich najważniejszych oficerów, którzy w niej brali udział. Armię przejęli w godzinę, to musiało być wszystko przygotowywane od miesięcy.

O mój Boże, Piotrek. Śmiałam się z niego, jak mówił, że jest na pierwszej liście.

– Jak to zamknęli? – wyjąkałam.

– Do sprawy, do wyjaśnienia, żeby zapobiec matactwom, w trosce o bezpieczeństwo państwa, co by mówili, wszyscy wiemy, jak jest – szeptała sąsiadka. – Szefem sztabu został Jaruzelski, ten w ciemnych okularach, kojarzy pani?

Jeszcze jak. Usiadłam ciężko na tapicerowanym krześle i potaknęłam.

– Potem odwołali prezydenta pod zarzutem zdrady stanu, że razem z Niemcami i Francją chciał doprowadzić do utraty niepodległości. I na jego miejsce wybrali Gierka, tego chłopka roztropka z Unii, kojarzy pani.

Skinęłam głową, czynność ta kosztowała mnie wiele wysiłku. To nie może być prawda, powtarzałam w myślach. Nie, nie, nie, niech ktoś mnie uszczypnie, niech się obudzę, historia nie może wskoczyć na swoje tory, nie tym razem, Boże Jedyny, Matko Boska, wszyscy anieli i święci, niech raz w dziejach na tej ziemi przeklętej coś pójdzie inaczej, niech nie będzie jak zawsze!

– I… – wyjąkałam. – Dlatego pani wyjeżdża?

– Mąż mi kazał. Nie wiadomo, czy z pracy wróci, prokurator w końcu. Zawsze tylko kryminalne sprawy robił, ale to resort siłowy, nie wiadomo, co im do łba strzeli.

– Za granicę?

Roześmiała się chrapliwie.

– Jaką granicę? Granice zamknięte ze względów bezpieczeństwa, podobno wypuszczają, tylko jeśli się ma obcy paszport. Nie wiem na pewno, ale ludzie plotkują. Ja do rodziny na wieś, przeczekać w spokoju i zobaczyć, jak się sytuacja rozwinie. Ale pewnie wrócę za chwilę. Raz, że z matką więcej niż dwa dni nie wytrzymam, a dwa że co? Żyć trzeba, wstrętnie to wszystko wygląda, ale co się może wydarzyć? Ludzie ich wybrali w demokratycznych wyborach? Wybrali. Połączyli się w koalicję zgodnie z prawem? Zgodnie. Mają mandat, żeby odwołać prezydenta, wybrać swojego i rządzić? Mają. Więc uważam, że mąż panikuje, ale jadę, bo inaczej mi będzie marudził. Nie wiem, jak ten pani narzeczony, ale mój mąż jest tak okrutnie marudzący, że fizycznie to jakoś tak tutaj – postukała się w mostek – odczuwam. Zresztą powiem pani, że ja sama na Unię głosowałam. Ze wsi pochodzę, z normalnego domu, normalnej rodziny i ja widzę, że z Europy to tylko durne nowinki, obce firmy i śmierć, syn sąsiadki na tej pustyni zginął. I po co? Za co? No nieważne, wracam do pakowania.

Zrozumiałam, że to koniec wizyty, pożegnałam się grzecznie i wyszłam z mieszkania.

– Pani Grażynko – wyszeptała już przy otwartych drzwiach. – Pani jest fajna kobieta i wiem, że kto młody to głupi i że przecież pani stamtąd odeszła. Ale pierwszy dekret Gierka to było rozwiązanie waszej szkoły, a to zdjęcie z lata cała Polska widziała, więc na pani miejscu, rozumie pani? Do rodziny na wieś, do znajomych. Lepiej po zmianie władzy wzmożenie przeczekać. A potem wiadomo, wszystko wróci do normalności, jak zawsze.

10

Przyszli po niego o świcie, załomotali w drzwi, ale już od dawna był na nogach, z podniecenia nie zmrużył oka. Trudno uwierzyć, że za chwilę będzie jeździł na nartach w Courchevel, resorcie, o którym nawet nie miał co marzyć przed 1989, a potem snobistyczne miejsce i tak było dla nich za drogie, oglądał jedynie światła Courchevel ze znacznie bardziej finansowo dostępnych stoków La Plagne, i tak drogich jak jasna cholera. Zjedzie teraz, mając trzydzieści kilka lat! A przecież w normalnym świecie musiał czekać do pięćdziesiątki, żeby po raz pierwszy jeździć w Alpach, a nie w niskich, małych, pogodowo kapryśnych i groteskowo wręcz fatalnych pod względem infrastruktury górach Polski i Czechosłowacji.

Przyjechali wczoraj późno w nocy, oni swoją ciężarówką, on za nimi zorzą, uznali, że tak będzie lepiej, gdyby chciał wracać, ponieważ oni musieli zostać na miejscu doglądać nadchodzącego początku sezonu. Emil Allais okazał się dyrektorem całej stacji narciarskiej, dzięki czemu tylko dla nich uruchomiono dwa wyciągi prowadzące na szczyt La Saulire i wyprowadzono z garażu „l'engin de damage", czyli jakiegoś prapradziadka ratraka, przeróbkę pojazdu używanego przez polarników w Arktyce. Allais opowiadał z wielkim entuzjazmem, że ta maszyna zrewolucjonizuje narciarstwo, i cóż, trudno było nie przyznać mu racji.

Pod dolną stacją wyciągu Rossignol wyciągnął z kamionetki ich buty i narty. Ludwik westchnął, bo akurat porządny but narciarski,

wysoka plastikowa skorupa, dobrze przenosząca siłę, by się przydała. Ten zrobiony był ze sztywnej skóry z wewnętrznym botkiem, miał grubą drewnianą podeszwę, ale przynajmniej zamiast sznurówek użyto metalowych klamer. Największą wadą wydawała się jego niewielka wysokość, ale cóż, wyboru nie miał. Założył buty, dopiął je jak potrafił najciaśniej i złapał za swoje narty.

– Co pan sądzi? – spytał Rossignol, wyraźnie oczekując pochwały.

– Sądzę, że w muzeum pana imienia ten prototyp będzie jednym z najważniejszych eksponatów.

Francuz roześmiał się.

– Ech, Polacy, zawsze głowa w chmurach.

Ale Ludwik nie żartował. Jego narta wyglądała świetnie, kilka centymetrów niższa od niego, slalomowo wytaliowana, z nasmarowanym plastikowym spodem i ostrymi krawędziami. Na wierzchu Rossignol nie bawił się w ozdóbki, wypalił tylko na drewnianym laminacie literę R i słowo „prototype", a całość zamalował grubą warstwą bezbarwnego lakieru. Ludwik uśmiechnął się na myśl, że taki surowy naturalny design w XXI wieku byłby szczytem narciarskiej mody. Narta wydawała się dość sztywna, co mu akurat nie przeszkadzało, zaskoczyły go natomiast przytwierdzone do nart aluminiowe wiązania firmy Look. Głowę by dał, że do lat siedemdziesiątych wiązania narciarskie z tyłu miały zakładany na obcas kabel, a nie, tak jak później, zatrzaskujący się uchwyt.

Rossignol zauważył jego zdziwienie.

– Mój drogie przyjaciel Jean przysłał mi z Nevers ten nowy wynalazek, żebyśmy wypróbowali. Pomyślałem, że skoro i tak robimy prototypowe szaleństwo, to czemu nie.

Podniósł kciuk do góry. Nowoczesne narty, nowoczesne wiązania, wyratrakowany stok, Courchevel, do pełni szczęścia brakowało tylko Grażyny, żeby czekała na niego w schronisku w samej bieliźnie. Albo i bez.

Zabawne, tydzień nie minął, a on już tęskni.

Ze stacji śmieszne dwuosobowe jajka w żółtym kolorze wywiozły ich wyżej, w rejon, gdzie zaczynał się prawdziwy śnieg. Bliżej stacji leżało go mało i nie nadawał się do jeżdżenia. Kiedy przesiadali się

po kwadransie z jajek do kabiny kolejki, która miała ich zawieźć na La Saulire, wyglądało to już porządnie. A kiedy wysiadł na szczycie, zaraz po zejściu z peronu wpadł w głęboką zaspę, Allais pomógł mu się wygrzebać.

– No, panowie, sport sportem, prototyp prototypem, ale najpierw napijemy się kawy – zarządził Rossignol i poprowadził ich na taras zamkniętej knajpy „Le Panoramique". Zgarnął rękawem śnieg z barierki, wyjął z plecaka czerwony termos i rozlał kawę do trzech metalowych kubków.

Ludwik oparł się o barierkę, wciągnął głęboko w płuca pachnące śniegiem mroźne powietrze i upił łyk kawy, mocnej jak jasna cholera, fusy chyba pół na pół z wrzątkiem zmieszane. Pod sobą widział stok z odcinającym się wyratrakowanym paskiem, niżej zabudowania Courchevel, a za nimi ogromną alpejską dolinę, do której jeszcze nie dotarło słońce. Po drugiej stronie doliny rozpoznawał szczyty, które staną się nie wiadomo kiedy stacją La Plagne, czyli że poniżej musi być jego ukochane Champagny, starał się coś dostrzec, ale nie mógł, pewnie teraz to kilka góralskich chałup wokół kościoła Świętego Zygmunta. Próbował wypatrzyć świątynię, ale wzrok cały czas uciekał mu wyżej, nad grań, gdzie świecił na różowo w promieniach wczesnego słońca masyw Mont Blanc.

– Nigdy mi się to nie znudzi – skomentował Rossignol, wypowiadając na głos jego myśli. – Jedziemy?

Podeszli do początku wyratrakowanego śladu, z każdym krokiem Ludwik czuł się coraz bardziej spięty. Ciało miał młode, ale od piętnastu lat bardziej się na nartach ostrożnie woził, niż naprawdę jeździł, a ostatnio to w ogóle szkoda gadać. Nawet jeśli miał wrażenie, że jeżdżenie na nartach lepiej mu idzie niż chodzenie, żaden sportowy wyczyn to nie był. Na dodatek nie miał swoich sprawdzonych nart, tylko dziwne dechy, wykonane przez stolarza w latach sześćdziesiątych. Co, jeśli się zbłaźni? Jeśli będzie się przewracał na każdym zakręcie? Albo co gorsza się połamie, kolano mu się wypnie, zanim zadziałają prototypowe wiązania „drogiego Jeana"?

Pieprzyć to. Jest ryzyko, jest zabawa.

Ułożył narty obok siebie, zrobił kilka przysiadów, żeby rozruszać kolana, oparł się na kijkach i wpiął wiązania. I dopiero głośny trzask sprawił, że odeszły obawy, a na twarzy zagościł szeroki uśmiech. Spojrzał na Mont Blanc, przeżegnał się trochę dla zgrywy, a trochę dla podkreślenia narodowej tożsamości, pochylił się, odepchnął i ruszył w dół.

Pozwolił nartom nabrać prędkości i dopiero wtedy wyprostował się lekko, po czym zaczął dociskać kolana do stoku. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że to nie działa, poprawił biodrami i dopiero wtedy narty posłusznie się wygięły, położyły i przyspieszyły – zostawiając za sobą równy podwójny ślad, jakby w śniegu rozciągnięto szyny kolejki wąskotorowej – aby po chwili odbić i wyrzucić go do następnego zakrętu.

Narty świszczały, wiatr szumiał w uszach, słońce grzało gębę, a on jechał, skręcał, śmiał się w głos i krzyczał ze szczęścia. Powinien pewnie się zatrzymać, żeby zobaczyć, jak radzą sobie Francuzi, ale nie mógł się powstrzymać, chciał, żeby ten pęd trwał jak najdłużej, i w końcu wyhamował dopiero przy dolnej stacji kolejki, uda paliły go jak ogień. Młody wiek młodym wiekiem, ale przygotować się trochę do sezonu by nie zaszkodziło, pomyślał.

Dopiero wtedy spojrzał w górę. Rossignolowi szło gorzej, znajdował się wyżej i widać było, że nie wykorzystuje potencjału nart, cały czas zamiatając ich tyłami jak miotełkami. Za to Emil Allais, cóż, mistrzostwo świata zobowiązuje, szybko złapał rytm i teraz śmigał długimi gigantowymi skrętami, w pięknym stylu, nieomalże szorując biodrami o śnieg. Ludwik pomyślał, że akurat ten gość potrafiłby pewnie zjechać z gracją nawet na połamanym krześle i cały czas wyglądałby jak bóg zimy.

Allais zatrzymał się przy nim, wzniecając fontannę śniegu. Zdjął okulary, w przystojnej twarzy oczy błyszczały mu z podniecenia.

– I co? – Ludwik nie mógł się doczekać pochwał.

– Pas mal – odparł Francuz od niechcenia, udowadniając, że ekscytacja jest dla niższych klas społecznych i niżej znajdujących się na drabinie cywilizacyjnego rozwoju narodów. – Jeszcze raz pojedziemy! – krzyknął w stronę mężczyzny, który wystawił głowę z okienka stacji.

– Na czym wy jeździcie? – zapytał zaciekawiony mężczyzna. – Nie widziałem nigdy tak szybkich nart.

– Na wynalazku pana Polaka.

Mężczyzna gwizdnął.

– Gratulacje. Pan przyjechał z Polski?

Ludwik potwierdził.

– Może niech pan zostanie u nas, w radiu mówili dziś, że w Warszawie zamach stanu.

– Co w Warszawie? – zapytał, czując, jak nagle uchodzą z niego wszystkie narciarskie endorfiny. Miał nadzieję, że się przesłyszał, że to jego francuski i że „kudeta" nie oznacza tak naprawdę zamachu stanu, tylko na przykład gwałtowną burzę albo coś w tym rodzaju.

– Zamach stanu! Przewrót polityczny, jacyś Słowianie przejęli władzę. Ale to chyba dobrze, przecież jesteście Słowianami, co nie?

Ludwik zabrał się do odpinania nart, w tej samej chwili dojechał do nich Abel Rossignol.

– Jeszcze raz! – krzyknął. – Nie od razu mi wyszło, ale miał pan rację, to rewolucja. Dawajcie, panowie, jeszcze mamy kilka godzin do obiadu.

Ludwik trzasnął o siebie nartami, żeby strzepnąć z nich śnieg, i podał Rossignolowi.

– Muszę wracać natychmiast do Polski. Gratuluję, zrobił pan wspaniałe narty. Panie Allais, to była wielka przyjemność poznać osobiście takiego sportowca jak pan. Proszę, niech pan nie ustaje w wysiłkach, coś mi mówi, że pana starania zrewolucjonizują ten sport. – Zdrowia nie musiał mu życzyć, cholerny Allais musiał mieć dobre geny, w dobrym zdrowiu dożył swoich setnych urodzin w 2012 roku i dopiero potem umarł. – Napiszę do was albo przyjadę, umowa podpisana.

– Niech pan nazwę chociaż dla tych nart wymyśli! – rzucił za nim Rossignol, kiedy już wskakiwał do jadącego w stronę stacji jajka.

Nie musiał się zastanawiać.

– Gragine! – odkrzyknął. – G-R-A-G-I-N-E!

Miał nadzieję, że nie popełnił błędu, zawsze mu się myliło w literowaniu „że" i „żi", czyli „g" i „j".

– A to coś znaczy?

– Wszystko!

11

Narastała we mnie histeria. Najgorsze było poczucie osamotnienia. Ludwik siedział gdzieś w Alpach, matka w Wielkopolsce, Adam w Lyonie, u Lucyny mogłam się natknąć na Wandę i być może jakichś jej kumpli, którzy właśnie zastanawiają się, czy lepiej brzmi nazwa Urząd Bezpieczeństwa, czy Służba Bezpieczeństwa. Szukanie przyjaciółek z Efu byłoby nierozsądne, a żadnych innych tutaj się nie dorobiłam. W tych cholernych czasach bez komórek, SMS-ów i internetu, z wyłączonymi telefonami czułam się najbardziej samotną osobą na świecie.

Iwona.

Kuriozalny pomysł, ale mogłabym pojechać do Iwony. Wiem, gdzie mieszka, w pewien sposób znam ją, łączy nas ten sam mężczyzna, jakkolwiek idiotycznie to brzmiało, mogłaby chyba udzielić mi na kilka dni schronienia. Potem pojechałabym do matki, a jak sytuacja się wyklaruje, na Zachód, mam nadzieję, że Ludwik nie jest aż takim idiotą, żeby tutaj wracać. Jest Adam, który może nam pomóc, mi pomóc, mój Boże, muszę zrobić wszystko, aby nie spędzić drugiego życia za żelazną kurtyną, los nie może być aż tak okrutny.

Moja histeria falowała. Na zmianę albo powtarzałam sobie, żeby się uspokoić, że zamach stanu nie polega na polowaniu na nauczycielki, które kilka miesięcy temu zmieniły pracę – albo snułam czarne wizje, obracając w głowie wszystkie najkoszmarniejsze wspomnienia epoki Gierka i Jaruzelskiego. Jako jedyna osoba tutaj wiedziałam NAPRAWDĘ, co oznaczają ich rządy.

W końcu postanowiłam spakować podręczną torbę i pojechać do Iwony. Niech los zdecyduje. Jak jej nie będzie, to po prostu wrócę do domu i będę czekać na sygnał od Ludwika, a może pojadę do matki po Wszystkich Świętych, zobaczymy. Jeśli mnie wyśmieje i wyrzuci za drzwi – jak wyżej.

A jak mnie przyjmie, to przez kilka dni będę się czuć bezpiecznie. To w końcu ratująca ludzkie życie pani naukowiec, kontynuatorka dzieła Marii Skłodowskiej, raczej nikt jej nie wciągnie na żadną czarną listę.

Wrzuciłam do małej torby maszynopis książki, trochę ciuchów i szczoteczkę do zębów, do jednego z kozaków schowałam paszport, do drugiego trochę gotówki. Tak, wiem, idiotyczne i histeryczne, ale lepiej się potem śmiać z przesady, niż płakać, wyklinając głupotę i nieostrożność.

Zakręciłam wodę i gaz, zamknęłam wszystkie okna (poza tym cholerstwem, które się nie domykało), założyłam palto, zdjęłam z półki w przedpokoju parasolkę i otworzyłam drzwi.

Na progu stało dwóch młodych żołnierzy, żaden z nich nie był moim bratem.

– Tak? – Gardło miałam tak ściśnięte, że wydobył się z niego dziwny pisk.

– Dzień dobry. – Stojący bliżej zasalutował. – W związku z nowymi dekretami dotyczącymi bezpieczeństwa obywateli przeprowadzamy wybiórczą weryfikację dokumentów paszportowych.

– To znaczy?

– Musi nam pani oddać paszport za pokwitowaniem, zostanie on zweryfikowany i będzie pani mogła go odebrać w urzędzie dzielnicowym po uzyskaniu informacji, że został pozytywnie zweryfikowany.

– Niestety nie mam tutaj paszportu – odpowiedziałam już bez zająknienia. – Zostawiłam przypadkiem u mojej matki w Środzie Wielkopolskiej w czasie ostatnich wakacji.

Żołnierze wymienili spojrzenia, ich wzrok mówił, że nie po raz pierwszy słyszą dziś taką historyjkę.

– Zgodnie z dekretem w przypadku takiej deklaracji mamy prawo przeprowadzić przeszukanie lokalu.

Skinął dłonią, okazało się, że za nim stoi jeszcze trzech wojskowych. Bezceremonialnie weszli do środka, wpychając mnie w głąb mieszkania.

– Może pani zdjąć buty – powiedział dowódca. – To chwilę potrwa.

12

Powtarzał sobie, że te wszystkie paniczne ruchy są bez sensu, że ma przed sobą dwa tysiące kilometrów do przejechania po drogach z lat sześćdziesiątych, że jest w sercu francuskich Alp, po nieprzespanej nocy i na dodatek pogoda się psuje. I w tym kontekście fakt, czy będzie wiązał sznurówki wolno, czy szybko, nie ma żadnego znaczenia.

Powtarzał sobie, ale i tak wiązał je szybko i mocno. Swoje rzeczy spakował byle jak, zapłacił i pobiegł do samochodu. Na zewnątrz dostał śniegiem po gębie, wiało i padało, musi zjechać do doliny, zanim pogoda go tutaj uwięzi.

– Proszę pana, proszę pana! – Wybiegła za nim kobieta z recepcji, drobna czarnowłosa Francuzka. – Mąż mówi, żebym pana zatrzymała, że może pan zostać do jutra albo i dwa dni bez płacenia. Prognoza jest naprawdę zła, niech pan przeczeka śnieżycę, po co ryzykować?

– Muszę! – zawołał, przekrzykując wiatr. – Żona na mnie czeka.

Francuzka podeszła bliżej.

– Proszę pana, pan jest z Polski, prawda?

Potwierdził.

– Niech pan mi powie, czy tam naprawdę jest tak płasko?

Dziwne pytanie, ale odpowiedział zgodnie ze stanem faktycznym:

– Naprawdę.

– To pan może sobie tego nie wyobraża, ale ja jestem stąd, tu się urodziłam i całe życie tu mieszkam. Jesienne burze potrafią być straszne. Wiatr wieje dolinami z każdej strony, deszcz, śnieg, lód. To nie jest po prostu zła pogoda, czasami nawet my się boimy, jakby się otwierały wrota do innego świata, ludzie w czasie takich burz giną bez wieści i czasami nawet ciał nie znajdujemy. Co żonie po panu, jak pan zniknie?

Zawahał się. Ale potem pomyślał o Grażynie siedzącej samej w pustym mieszkaniu, bez telefonu, bez internetu, bez SMS-ów, bez przyjaciół, bez wiadomości od niego, w świecie, który wraca właśnie do swojej koszmarnej prawdziwej wersji.

– Muszę. Jak będzie bardzo źle, zatrzymam się gdzieś z boku i przeczekam.

– Tutaj nie ma żadnego z boku. Są skalne ściany z jednej strony i przepaście z drugiej. I nie ma przeczekiwania, jest mróz i wiatr.

– Proszę się nie bać, jakoś to będzie – powiedział, odpalił citroëna i pojechał w stronę doliny.

Pierwsze kilka kilometrów chwalił się w myślach za podjęcie właściwej decyzji. Ciemno się zrobiło, wiało i sypało śniegiem ze wszystkich stron, ale widział drogę, widział barierkę oddzielającą go od przepaści, pomału, bo pomału, ale pokonywał kolejne metry, kolejne zakręty, każdy obrót kół przybliżał go do Grażyny. Wiedział, że na dnie doliny powinno być lepiej, a im bliżej krańca gór, tym bardziej z każdym kilometrem zamieć będzie się przekształcać w zwyczajny jesienny deszcz.

Co to za pech, że akurat teraz, kiedy go nie ma, spełniły się najczarniejsze przepowiednie jej brata. W kraju pewnie ludzie snują najróżniejsze scenariusze, ale on wiedział, co się stanie. Historia wraca na właściwe tory, Polska zostanie zamknięta za żelazną kurtyną, a oni powinni mieć jeden jedyny cel – uciec stamtąd, zanim będzie za późno. Byle gdzie, byle jak, nieważne. Dlatego musiał jak najszybciej dojechać do Grażyny, zanim kurtyna opadnie na dobre, zanim ucieczka stanie się niemożliwa.

Pstryknął leżące na siedzeniu pasażera radio i pokręcił chwilę, aż znalazł jakąś francuską stację. Czuł się niepewnie, chciał, żeby ktoś do niego gadał.

Niestety mylił się, zakładając, że z każdym metrem aura będzie się poprawiać. Gdy wjechał w warstwę zalegających w dolinie chmur, stracił kompletnie widoczność, śnieg sypał z każdej strony, a wiatr walił z taką mocą, że samochód cały się trząsł. Przestraszył się, zwolnił do kilku kilometrów na godzinę i pochylił nad kierownicą, mając nadzieję zobaczyć skalną ścianę z jednej albo barierkę z drugiej strony, zanim uderzy w jedno albo w drugie.

I nagle drgnął, ponieważ przez szumy i trzaski źle odbierającego radia usłyszał dźwięki tej francuskiej wersji *My Way*. Pomyślał, że to brzmi jak upiorna wróżba, ale nie wyłączył radia, nie chcąc zostać w gęstniejącej zamieci bez towarzystwa.

Jechał i jechał, wracając do niej jak zawsze, podobnie jak bohater piosenki, pokonując kolejne metry, a podróż coraz bardziej odklejała się od rzeczywistości. Citroën sunął po niewidocznej drodze tak łagodnie, że równie dobrze mógł płynąć w głębinach bądź latać w przestworzach, wrażenie byłoby to samo. Świat za oknem zniknął zupełnie, czasami stawał się bardziej szary, a czasami bardziej biały, ale kierunki przestały istnieć, być może cały czas jechał, być może spadał, być może wirował w jakimś innym wymiarze, absurdalna nierzeczywistość tego doznania sprowadziła na niego najpierw paraliżujący, duszący lęk, a potem zamieniła się w spokój, ogromny spokój. Z każdą chwilą czuł się coraz bardziej spokojny.

To dlatego, że świat mi sprzyja, pomyślał. Niemożliwe, że bym z tej podróży nie wrócił do swojej miłości.

Jak zawsze

Dlaczego zostawił mi ten list u Iwony? Jej nigdy nie spytałam, a żadna z odpowiedzi, które mi przyszły do głowy, nie wydawała się satysfakcjonująca. Uznałam po prostu, że dla niego w jakiś pokrętny sposób było to ważne, a może wynikało to z jakiejś popieprzonej terapeutycznej teorii, kto go tam wie.

Jezu Chryste i Maryjo Dziewico, ależ ten list był długi! Nie tyle pożegnanie, co wykład na temat pożegnania, nawet się zastanawiałam, wstyd trochę przyznać, czy nie pisał tego przypadkiem z myślą o tym, żebym go odczytywała na akademiach ku jego czci albo na wypadek, gdyby jakąś ulicę na zadupiu nazwano jego imieniem. Wspominał, jak się poznaliśmy i jak się poznawaliśmy – założę się, że był dumny z tego rozróżnienia – i przygody, i oczywiście Jacek, i czasami nawet fajne konkretne rzeczy, jak na przykład kiedy dzik zaatakował kondukt w czasie pogrzebu mojej matki, ale poza tym mnóstwo emocjonalnego teoretyzowania na wysokim diapazonie, jacy to byliśmy sobie bliscy, ile odcieni miłości i przyjaźni, jak namiętność scalała nasz związek niczym dobry klej do protez (to moje, dla niego za błyskotliwe), świat istniał dla nas, a my istnieliśmy dla świata, no nie mogę, nie przejdzie mi przez palce ta grafomania.

A może się wściekam, bo go nie ma, a minie trochę czasu i będę z rozrzewnieniem i rozczuleniem całowała każde słowo tego listu, no zobaczymy. Teraz myślę, że przekombinował chłopina jak zawsze, tymczasem proste rzeczy są proste. Ja bym napisała: fajne życie, czasami ekstra, czasami do dupy, ale seks zazwyczaj udany. Wielkie dzięki, trzymaj się, Grażyna.

No ale nie mam do kogo napisać, tak to wygląda.

Dwa zdania mi się spodobały. Kiedy prosi, żebym dbała o siebie, bo jak długo ja żyję, tak długo on jest nieśmiertelny. Wiem, pretensjonalne i na dodatek niby do mnie, a tak naprawdę cały czas o nim, niech nam żyje męskie ego, hip, hip, hurra, ale cholera,

czegoś to we mnie dotknęło. Na tyle, że teraz często mam wrażenie, jakbym żyła nie tylko dla siebie, ale też dla tych wspomnień, w których on mieszka. Głupie, ale uważniej czytam etykiety w sklepach, na spacery chodzę, lekarza nie odkładam na później.

A ostatnie zdanie to już bez kpin cytuję i nawet wzruszam się trochę, przyłapaliście mnie. Coś takiego to i ja bym mu mogła napisać, w tym całym układzie.

Głowa do góry, wcześniej czy później będziemy razem. Jak zawsze.

Od autora

Dużo wysiłku mnie kosztowała ta powieść i trochę mi już słów brakuje, ale chciałbym na koniec napisać, że nie byłoby tej książki, gdyby nie wielu utalentowanych ludzi oraz paru niezwykłych przyjaciół.

Jan Ołdakowski zahaczył mnie kilka lat temu na kawie, kiedy jak zawsze kłóciliśmy się o Polskę, czybym nie napisał powieści, która się dzieje w wyobrażonej Warszawie, jakiej nigdy nie było. I wręczył świetną książkę Jarosława Trybusia *Warszawa niezaistniała* (Muzeum Powstania Warszawskiego, 2012). Ta pozycja posłużyła mi przede wszystkim do stworzenia powieściowej wersji stolicy, razem z książkami Błażeja Brzostka – *Za progiem. Życie codzienne w przestrzeni publicznej Warszawy lat 1955–1970* (TRIO, 2007), *PRL na widelcu* (Baobab, 2010) oraz *Paryże Innej Europy. Warszawa i Bukareszt, XIX i XX wiek* (W.A.B., 2015) – a także naręczem warsavianistycznych książek i czasopism z lat sześćdziesiątych, zdobytych dzięki pomocy Marcina Gałązki z antykwariatu „Kwadryga" na Wilczej (vis-à-vis mieszkania Grażyny, Wandy i Lucyny, uwierzylibyście?).

Gdyby nie historyczna wiedza Henryka Falkowskiego i jego podziw dla Eugeniusza Kwiatkowskiego, nigdy w życiu bym nie wyszedł poza etap walenia głową w mur, nie mając pojęcia mimo przeczytania kilometrów literatury historycznej, kto mógłby stać się mężem opatrznościowym tej alternatywnej historii Polski.

Dziękuję ekipie wydawnictwa W.A.B.: Eli Kalinowskiej, Marcinowi Mellerowi i Filipowi Modrzejewskiemu, którzy uwierzyli w ten tekst na tyle, że z ich spojrzenia znikło nawet nieme pytanie: „człowieku, nie mógłbyś napisać czwartego Szackiego po prostu?".

Piszę te słowa w TGV ze Strasbourga do Marsylii, w czasie kolejnego tournée po francuskich księgarniach i festiwalach literackich, a obok siedzi wierny towarzysz tych wypraw, Kamil Barbarski, który tłumaczy moje książki na francuski i powinien mnie

mieć serdecznie dosyć, a mimo to chciało mu się dyskutować bez końca o alternatywnej polsko-francuskiej rzeczywistości i jeszcze przeczytać ten tekst dwa razy.

Marcin Mastalerz towarzyszy mi w literackiej przygodzie od początku, od czasu, kiedy złożyłem na jego ręce pierwszy tekst w dziale miejskim redakcji „Super Expressu" w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Tym razem nie tylko przeczytał, nie tylko opieprzył, ale zgodził się zredagować powieść zdanie po zdaniu. Marcinie: wielkie dzięki.

Żono Marto i bracie Wojtku – jak zwykle czytaliście nową książkę jako pierwsi, jak zwykle okazaliście się nie tylko rodziną, nie tylko przyjaciółmi, lecz także świetnymi redaktorami.

Marto, Maju, Karolu – sami wiecie.

I na koniec: książkę tę napisałem dla rodziców, a przede wszystkim dzięki nim i ich zaskakującym wspomnieniom z czasów młodości. Niedługo będą obchodzić pięćdziesiątą rocznicę ślubu, a jeśli chodzi o seks – cóż, ciągle nie miałem odwagi spytać, czy pamiętają dokładną datę swojego pierwszego razu, ale to pewnie lada moment.

Mario i Krzysztofie – wszystkiego najlepszego! Dziękuję za wszystko.

Z.

Warszawa–Olsztyn, 2016–2017

PS Redakcja powieści to przede wszystkim jej redukcja, zwykle wyciętych kawałków mi nie żal, ale jeden przywracam tutaj, bo dobrze oddaje mój stosunek do trzeciej głównej bohaterki tej powieści, czyli mojego rodzinnego miasta:

Ach, sierpień w Warszawie, niechby każdy miesiąc był taki. Ranki wilgotne i zamglone, dni gorące i leniwe, wieczory chłodne i orzeźwiające, noce przejrzyste i rozgwieżdżone. Można się w sierpniu zakochać w Warszawie, w soczystej zieleni, w nagrzanych piaskowcowych fasadach, w opalonych po lecie chłopcach, w dziewczynach w letnich sukienkach ze spłowiałymi od

słońca włosami, w zapachu mokrego kurzu po przejeździe polewaczki, w neonach odbijających się w szybach tramwajów, w stukocie obcasów, w nawoływaniu gazeciarzy. W sierpniu, czy ktoś mieszkał tu od pokoleń, czy dopiero po wojnie przyjechał, żeby cegła za cegłą odbudowywać to uparte miasto, czy godzinę wcześniej wysiadł w zakurzonych butach na Dworcu Głównym, każdy rozglądał się i z dumą myślał: moja stolica. Tak, oczywiście, słyszę wasze narzekania, że co to za miasto, bezsensownie rozlazłe, z urbanistyką nudną albo w ogóle bez urbanistyki, poprzecinane autostradami, z architekturą raczej ekonomiczną niż estetyczną, albo w ogóle bez architektury, odwrócone zadkiem do rzeki, nieprzyjazne i niezachęcające, poznaczone bliznami jak stary bokser. A ja odpowiem: to jest miasto kochane. Za co? Za to, że żeby być naprawdę stąd, nie trzeba się tu urodzić, wżeniać, wpraszać, łasić, podlizywać, wkupywać. Trzeba powiedzieć: jestem stąd, bo tak chcę, i nic ci do tego, frajerze.

[1] Cyt. za: E. Hemingway, *Komu bije dzwon*, przeł. B. Zieliński, oprac. L. Elektorowicz, wyd. II, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1988, s. 2.

Redakcja: Marcin Mastalerz
Korekta: Sabina Raczyńska, Małgorzata Denys, Elżbieta Kalinowska

Projekt okładki: Joanna Górska, Jerzy Skakun • homework.com.pl

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4935-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.